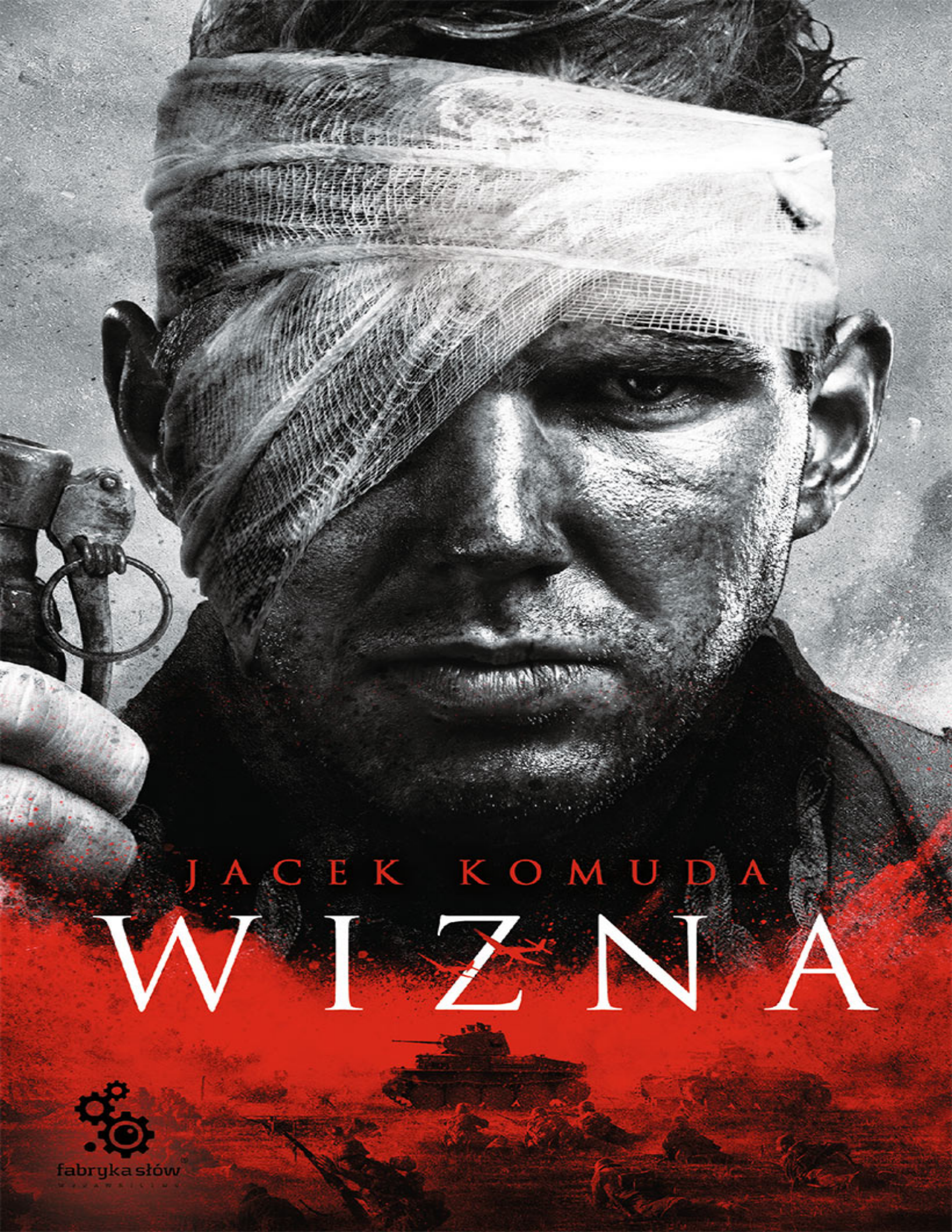
JACEK KOMUDA
WIĘZNA
fabryka słów

– Ładować – powiedział Pawlak, rozrywając pudło.
Cholera, w środku były naboje luzem, nie magazynki. Starszy strzelec wcisnął mu w rękę puste czarne, długie pudło.
– Ładujcie, panie kapralu! Czasu szkoda.
Sam chwycił w rozdygotane ręce cztery długie, lśniące naboje przeciwpancerne, wciskał je do magazynka, ale nie było już kiedy skończyć. Wbiwszy tam trzy, wcisnął resztę luzem do ładownicy, chwycił karabin.

Od północy szły na nich dwa czołgi, prując z kaemów i działek. Wokół zalegli w okopach żołnierze z trzeciego plutonu ósmej kompanii, przydzieleni do ochrony schronu.
Czołgi już zawróciły na południe, przebiły się przez okopy, rozerwały zasieki, szły teraz jeden obok drugiego prosto na bunkier, nie obawiając się widać broni przeciwpancernej. Serie szły górą, po zasłonach z worków z piaskiem, tryskał piach, kamienie, nie sposób było wychylić się z okopu.

Spis treści

Karta tytułowa

Rozdział I. Pogranicze w ogniu

Rozdział II. Ostatnie dni wolności

Rozdział III. Dywersja

Rozdział IV. Szybki Heinz

Rozdział V. Stracona pozycja

Rozdział VI. 40 do 1

Rozdział VII. Ostatni schron

Rozdział VIII. Wizna umilkła

Mapy

Książki Jacka Komudy

Karta redakcyjna

Okładka

JACEK KOMUDA

WIZNA

fabryka słów®
Lublin – Warszawa

Naród, który traci pamięć,
przestaje być Narodem – staje się
jedynie zbiorem ludzi czasowo
zajmujących dane terytorium.

Józef Piłsudski, marszałek Polski

OBWIESZCZENIE MOBILIZACJI

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ ZARZĄDZIŁ

MOBILIZACJĘ POWSZECHNĄ.

W WYKONANIU POWYŻSZEGO W POROZUMIENIU Z WŁAŚCIWYMI MINISTRAMI

zarządzam co następuje:

I. Dnie mobilizacji.

1-szym dniem mobilizacji jest: CZWARTEK 31 SIERPIEŃ 1939 r.

(dzień tygodnia, dzień miesiąca, miesiąc i rok)

Następne dnie liczą się kolejno jako 2-gi, 3-ci, 4-ty i t. d. dzień mob.

II. Powołanie do czynnej służby wojskowej.

A. Powołuję do czynnej służby wojskowej **WSZYSTKICH TYCH**
- **oficerów** rezerwy, pospolitego ruszenia i stanu spoczynku,
- **podchorążych** rezerwy i pospolitego ruszenia,
- **podoficerów, starszych szeregowców i szeregowców** rezerwy oraz pospolitego ruszenia,
- **podoficerów stanu spoczynku,**
- **zaliczonych do pomocniczej służby wojskowej,**

BEZ WZGLĘDU NA WIEK, KATEGORIĘ ZDROWIA I RODZAJ BRONI (SŁUŻBY), którzy otrzymali BIAŁE KARTY MOBILIZACYJNE BEZ CZERWONEGO PASA.

B. Powołani **wykonają rozkaz podróży** podany na stronie 2-giej białej karty mobilizacyjnej, który wskazuje **KIEDY, GDZIE I W JAKIEJ FORMACJI WOJSKOWEJ LUB NIEWOJSKOWEJ** powołany ma się zameldować, w jaki sposób—pieszo lub koleją—odbyć podróż i co ma zabrać ze sobą.

Powołani, którzy są kierowcami lub właścicielami i kierowcami pojazdów mechanicznych, a w myśl otrzymanych imiennych kart powołania lub ogłoszonego planu poboru mają dostarczyć te pojazdy do komisyj poborowych, winni zastosować się do wskazówek podanych w punkcie 3-cim na str. 3-ciej karty mobilizacyjnej.

C. Powołani, którzy przed **rozplakatowaniem** niniejszego obwieszczenia **lub równocześnie z** rozplakatowaniem **otrzymali kolorowe karty powołania, winni wykonać rozkaz podróży podany w tych kolorowych kartach powołania.**

D. 1) Oficerowie, podchorążowie, podoficerowie, starsi szeregowcy i szeregowcy **rezerwy do 40 roku życia włącznie, którzy nie otrzymali ani kart mobilizacyjnych ani niebieskich zaświadczeń mobilizacyjnych,** winni **BEZZWŁOCZNIE** zgłosić się w tych komendach rejonów uzupełnień, na terenie których w chwili obwieszczenia mobilizacji się znajdują.

2) Oficerowie, podchorążowie, podoficerowie, starsi szeregowcy i szeregowcy **rezerwy, pospolitego ruszenia, stanu spoczynku oraz zaliczeni do pomocniczej służby wojskowej,** którzy otrzymali karty mobilizacyjne, a w chwili obwieszczenia mobilizacji z jakichkolwiek powodów ich nie posiadają, winni udać się **BEZZWŁOCZNIE:**
- ci, którzy pamiętają, do jakiej jednostki otrzymali przydział mobilizacyjny — do tych jednostek,
- ci, którzy nie pamiętają, do jakiej jednostki otrzymali przydział mobilizacyjny — do tych komend rejonów uzupełnień, na terenie których w chwili obwieszczenia mobilizacji się znajdują.

Udający się w myśl niniejszego punktu D. do jednostek lub komend rejonów uzupełnień winni zabrać ze sobą wszystkie posiadane przez nich dokumenty wojskowe (książeczki stanu służby, książeczki wojskowe), a w razie posiadania — również legitymacje osobiste.

Ponadto ci z pośród nich, którzy w chwili obwieszczenia mobilizacji znajdują się w miejscowościach położonych ponad 20 kilometrów od miejsca stawiennictwa, winni przed wyruszeniem zgłosić się do najbliższego zarządu gminy lub posterunku policji państwowej, gdzie otrzymają zaświadczenia uprawniające do przejazdu koleją.

III. Cofnięcie urlopów.

A. Przebywający na **URLOPACH CZASOWYCH:**
1) oficerowie służby stałej,
2) podoficerowie służby stałej i nadterminowi,
3) podoficerowie i szeregowcy odbywający zasadniczą służbę wojskową,

mają **BEZZWŁOCZNIE** powrócić do swych oddziałów.

B. Podoficerowie i szeregowcy **STALE URLOPOWANI** z powodu skrócenia czasokresu zasadniczej służby wojskowej, którzy posiadają **dokumenty urlopowe, a nie otrzymali kart mobilizacyjnych,** mają **BEZZWŁOCZNIE** udać się do oddziałów podanych w punkcie II pouczenia dla urlopowanego na dokumencie urlopowym.

C. Podoficerowie i szeregowcy **STALE URLOPOWANI** z powodu czasowej niezdolności do służby wojskowej pozostają w swych miejscach zamieszkania do terminu wyznaczonego w dokumencie urlopowym, a następnie zgłaszają się w terminie i miejscu podanym w punkcie II pouczenia dla urlopowanego na dokumencie urlopowym.

IV. Nie podlegają powołaniu do czynnej służby wojskowej w myśl niniejszego obwieszczenia:

1) wszyscy ci oficerowie, podchorążowie, podoficerowie, starsi szeregowcy i szeregowcy, którzy posiadają:
- białe karty mobilizacyjne z czerwonym pasem,
- niebieskie zaświadczenia mobilizacyjne,

2) wszyscy ci oficerowie rezerwy ponad 40 lat życia, pospolitego ruszenia i stanu spoczynku, podchorążowie, podoficerowie, starsi szeregowcy i szeregowcy pospolitego ruszenia, podoficerowie stanu spoczynku, oraz zaliczeni do pomocniczej służby wojskowej, którzy nie otrzymali wogóle kart mobilizacyjnych,

3) osoby korzystające z odroczenia odbycia zasadniczej służby wojskowej.

Odroczeni pozostają — aż do dalszych zarządzeń — w swych miejscach zamieszkania.

V. Odpowiedzialność za niezgłoszenie się do czynnej służby wojskowej.

Winny niezgłoszenia się do czynnej służby wojskowej w myśl niniejszego obwieszczenia **BĘDZIE UKARANY** według przepisów kodeksu karnego wojskowego, przewidującego — zależnie od kwalifikacji czynu — **KARĘ POZBAWIENIA WOLNOSCI DO WIĘZIENIA BEZTERMINOWEGO WĄCZNIE LUB KARĘ SMIERCI.**

Warszawa, dnia 30 SIERPIEŃ 1939 r.

Minister Spraw Wojskowych

P. 100718 Arch.

Wydanie wieczorne – Godzina 19

Nr 26A. – WARSZAWA, 1 WRZEŚNIA 1939 R., PIĄTEK Rok LXIII. Cena 10 gr.

KURJER PORANNY

Redakcja i Administracja: Marszałkowska ks 140. Adres dla depesz: Warszawa „Kurjer Poranny". Telefony: Redakcja — wrzo 5-38-20, dyrekcja 5-13-78. Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty w godzinach od 13 do 15.

WRÓG ODWIECZNY ROZPOCZĄŁ DZIAŁANIE

ORĘDZIE PREZYDENTA RZPLITEJ DO NARODU POLSKIEGO

Idziemy do boju i pełnego zwycięstwa

Obywatele Rzeczypospolitej.

Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i historii.

W tej chwili dziejowej zwracam się do wszystkich obywateli państwa w głębokim przeświadczeniu, że cały naród w obronie swojej wolności, niepodległości i honoru skupi się dokoła Wodza Naczelnego i Sił Zbrojnych oraz da godną odpowiedź napastnikowi, jak to się już nieraz działo w historii stosunków polsko-niemieckich.

Cały naród polski, pobłogosławiony przez Boga, w walce o swoją świętą i słuszną sprawę, zjednoczony z armią, pójdzie ramię przy ramieniu do boju i pełnego zwycięstwa.

(—) IGNACY MOŚCICKI,
Prezydent Rzeczypospolitej.

Warszawa, dnia 1 września 1939 r.

Ogłoszenie stanu wyjątkowego

Niech żyje Polska!
Niech żyje
Pan Prezydent!

Wodzu prowadź
na Niemców!

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zakupione w nexto: 3206933

Rozdział I

Pogranicze w ogniu

2 IX 1939, Jeżewo Stare koło Białegostoku, godzina 9.37

Poszarpana, pofalowana rzeka uciekinierów nieubłagalnie zalewała trakty, drogi i gościńce. Pstrokata, brudna i wystraszona, odpowiadająca krzykiem i paniką na każdy huk lub strzał, na wiadomość wykrzyczaną w tłumie – dzisiaj zwykłe plotki miały siłę gromu. Na południe i wschód sunęły zarówno wąskie chłopskie wozy zaprzężone w dwójkę wypasionych koni, jak i drabiniaste wehikuły, łomocące kłonicami, ciągnięte przez chude szkapy z pochylonymi łbami. Siedziały w nich całe rodziny. Na przedzie woźnica w czapce, smagający batem konie, dalej baby w chustkach, przytrzymujące wypchane, opięte sznurem toboły albo poduszki, pierzyny, kury, gęsi. A na każdej furmance można było naliczyć pięć, sześć, siedem, a czasem i więcej potarganych dziecięcych główek. Za nimi dreptały kołyszącym się krokiem czarno-białe i brązowe krowy. Tak uciekali zwykli chłopi. Wozy łomżyńskiej szlachty zagrodowej były mocniejsze, zwykle półkoszki, wyłożone plecionką z łoziny, albo kolasy – ze stopniami z boku do wsiadania. Jechali na nich wąsaci, poważni gospodarze w kapeluszach, ubrani odświętnie, żony, córki w rękawiczkach, wszyscy w butach, obok wiązane paskami walizki, worki. Nierzadko za wozem kłusował koń wierzchowy. Taki, którego szkoda było wyprowadzać do pracy na roli.

Z boków postępował zbity tłum pieszych objuczonych bagażami; mężczyźni w nakryciach głowy, płaszczach, z plecakami, szukający komend uzupełnień, zapłakane kobiety, dzieci, bose i w bucikach – byle dalej od granicy, byle na zbawczy, wyczekiwany wschód, tam odpoczynek, tam spokój.

– Niemcy! – rozlegało się w tłumie co jakiś czas. – Niemcy idą! Samoloty słychać!

I wtedy zbity wąż uciekinierów rozpraszał się, przyśpieszał, czasem się ścieśniał. Gdzie droga się zwężała, powstawał ścisk i zator, słychać było wymyślania, trzask batów, płacz dzieci, na

ziemi poniewierały się rozwalone kosze, toboły i bagaże, tratowane końskimi kopytami.

– Spalili Niemcy Bogusze i Lipówkę! – szło z ust do ust. – Chałupy, stodoły, brogi, wszystko! W odwecie za naszych ułanów! Do ludzi jak do psów strzelali!

Tłumy ciągnęły nieprzebranymi potokami, masa ludzi, koni, rowerów, małych, czterokołowych ręcznych wózków, wyglądających jak miniatury dużych wozów, czasem zabłysnął chromem reflektorów samochód. Tak uciekały władze powiatowe, gminne, bo policjanci z karabinami na plecach szli, prowadząc po piasku rowery. Był drugi dzień wojny, a chaos i panika ogarniały całe Łomżyńskie i Podlasie.

A jednak w przeciwnym kierunku też płynął wąski strumyk – poboczami, bo droga była zajęta przez uchodźców, dwoma długimi szeregami szli zawzięci, spoceni i dyszący polscy żołnierze w czapkach polowych, przebijający się w stronę frontu, skąd czasem nadchodził głuchy, przytłumiony łomot wystrzałów.

Kapitan Władysław Raginis jechał na czele sekcji konnych zwiadowców z pułku piechoty. Wyprostowany, szczupły, w okrągłej czapce zwanej „kopówką”, z granatowym otokiem i takimi samymi „łapkami” z zieloną wypustką na kołnierzu kurtki. Za sobą prowadził sto trzydziestą szóstą kompanię saperów z Grodna kapitana Tadeusza Jurowskiego. Czterech oficerów, stu szeregowców i podoficerów. Długi wąż ludzi i koni; siedemnaście wozów, na końcu biedka z ładunkami wybuchowymi, ciągnięta przez pojedynczego gniadego wałacha.

Szli chmurni i zacięci, bo tłum, choć pozdrawiał ułanów okrzykami i brawami, nieskory był do rozstępowania się przed wojskiem. Na próżno sekcyjny kapral krzyczał, groził, roztrącał ludzi końską piersią; ustępowali niechętnie, uchodzili dopiero

prawie tratowani przez konie. Zwiadowcy jechali poboczami, przeskakiwali przez rowy, co było o tyle niewygodne dla Raginisa, że jego gniady koń Karo nie lubił przeszkód, zresztą nie tylko ich. Było to zwierzę nieugięte w pysku, w obliczu zaś rowów i innych ograniczeń, w rodzaju drąga leżącego na ziemi, uparte aż do tępoty; całe szczęście – nienarzucające jeźdźcowi swojego widzimisię. Karo po prostu przysiadał na zadzie, tulił uszy, broniąc się do ostatka przed wysiłkiem, ale nie robiąc innych niespodzianek, w rodzaju stawania dęba czy baranków. Ukłuty solidnie ostrogami, zamiast po prostu przejść – przesadzał przeszkodę nerwowym skokiem. Im dłużej Raginis siedział w siodle, tym większego przekonania nabierał, że w Osowcu dali mu po złości najgorszego i najbardziej nieruchawego remonta. I tylko jego ordynans Gierszułł cmokał z zachwytu nad wielkim, krągłym zadem i potężnymi kopytami konia. Fochy wierzchowca zaś były tylko dowodem jego mądrości.

– Un tyż musi jak człowiek pomyśleć, żeby w byle rowie kopyt nie połamać – mówił ordynans na postojach, sypiąc bez opamiętania owies do żłobu Karo.

W Jeżewie Starym, gdzie przed folwarkiem i browarem Glogera krzyżowały się wszystkie możliwe drogi: szosa z Białegostoku do Warszawy – w atlasie Polskiego Touring Klubu figurująca jako „droga bita, średnio dobra” – z traktami z Tykocina i Wizny, nader podłymi, utworzył się zator. Nikt nie kierował ruchem, poza patrolem kilku zziajanych harcerzy w rogatywkach, czerwonych chustach, z chlebakami przewieszonymi przez ramię. Co jakiś czas zatrzymywali ludzi na szosie, by przepuścić ludzką ciżbę napierającą od północy, oczyszczając drogę na Kruszewo i Wysokie Mazowieckie.

Raginis podjechał tam pierwszy, był świadkiem, jak spomiędzy uciekinierów ciągnących od strony Warszawy

wyjechał, przebijając się przez tłum donośnym dźwiękiem klaksonu, obły i niski austro-daimler z pochyloną przednią szybą. Tylne siedzenie załadowane było kuframi i walizami, zwiniętymi w rulon dywanami i koszami z porcelaną. Na przednim rozwalił się podpułkownik w galowym mundurze, błyszczący rzędem medali na piersi. Za kierownicą z kolei zasiadał oficer w stopniu porucznika, pewnie adiutant, ale jakby nieobecny, uciekający gdzieś wzrokiem. Z tyłu, wciśnięta między bagaże, siedziała młoda, szczupła kobieta w niebieskiej sukience w kwiaty, na oko ze trzydzieści lat młodsza od podpułkownika. Na głowie miała równie niebieski kapelusik z woalką, ozdobiony pękiem sztucznych kwiatów.

– Na Białystok dobrze jedziemy? – Podpułkownik zamachał na najbliższego harcerza. – Ej, druhu, do ciebie, do diabła, mówię! Dobrze?

Wezwany harcerz odsunął do tyłu czapkę, pokiwał głową.

– Puszczajcie! My ze sprawą do sztabu!

– Front jest na północy, o tam, panie pułkowniku – powiedział harcerz. – W Osowcu potrzebują oficerów, tędy dotrzecie do Strękowej Góry, tędy. – Pokazał drogę.

– Co ty mi chrzanisz, gówniarzu! – rozzłościł się oficer. – Z drogi!

Tymczasem piękność w kapeluszu ze sztucznymi kwiatkami pochyliła się w przód i dłonią w rękawiczce nacisnęła na klakson, trąbieniem dając znać, jak bardzo jest zniecierpliwiona.

Na próżno! Harcerze stanęli przed samochodem jak mur, własną piersią zatrzymując szarżę panny. A tymczasem od strony Tykocina waliły coraz to nowe furmanki, wozy, bryczki, długie szeregi uchodźców. Znów zabrzmiał klakson, austro-daimler szarpnął się, ale na harcerzy nie wjechał, zatrzymał się, warcząc motorem jak wściekły pies.

– Pan tu dowodzi? – zawołał podpułkownik do Raginisa. – Pana posterunek? Ja w życiu, jako stary żołnierz, nie widziałem takiego burdelu! Proszę nas puścić!

– Miejsce prawdziwego żołnierza jest na froncie, a pan ucieka! – odparował kapitan. – Nie uczyli pana w sztabie, że rola dowódcy polega na dawaniu dobrego przykładu?

– Co? Co pan powiedział?! – wybuchnął podpułkownik. – Pan kapitan jak się nazywa? Jaki przydział?

– Już, już robimy przejście, panie kapitanie! – meldował tymczasem, salutując, druh. – Przejście dla oddziałów WOJSKOWYCH – zaakcentował. – Przejście!

– Ja jeszcze nie skończyłem! Proszę się zatrzymać! – krzyczał wściekły podpułkownik.

– Kłusem marsz! – zakomenderował Raginis, skręcając w prawo z szosy. – Całuj pan Karo w zad.

Zakotłowało się na błotnistym skrzyżowaniu, jeden z harcerzy poleciał w bok, kiedy odtrącił go dyszel, omal nie stratowały kłusujące konie, zacinane batem przez zarośniętego chłopinę. Na wielkim wozie stłoczona siedziała cała rodzina, baba w chustce, sześcioro synów w za dużych paltach i opadających na oczy czapkach. Za wozem dreptali zbitym tłumem czarni i brodaci tykocińscy Żydzi, dźwigając kosze towarów i dobytku. Za nimi cisnęły się suche i dostojne, bose chłopki, ktoś poganiał kulejącą krowę.

Zwiadowcy konni wpadli między nich, rozpychając tłum. Buchnęły wyzwiska, krzyki, ale ludzie rozpierzchli się, robiąc miejsce dla kolejnych żołnierzy. Saperzy przedarli się, bo maszerowali zwartym szykiem, dwójkami, każdy z plecakiem, poza karabinem objuczony jeszcze łopatą, której stylisko, zakończone kulą, sterczało wysoko ponad lewym ramieniem. Maszerowali jak na paradzie, choć mundury pokryte były kurzem, a wzrok przekrwiony.

– Ułani! Ułani! – krzyknął ktoś. – Wojsko idzie!

– Na Niemców!

– Już oni dadzą im bobu!

– Na bok! Ustąpcie miejsca! – krzyczeli harcerze.

Gwar cichnął z każdym kolejnym krokiem. Kolumna skręciła znowu – wbijając się w odchodzącą ukośnie drogę na Zawady i Strękową Górę. Szli w żółtych promieniach dopalającego się lata, maszerowali jak na starych obrazach. Z tyłu Raginis usłyszał jeszcze powtarzający się dźwięk klaksonu i cichnące krzyki.

– Widziałeś! – syknął jeden ze zwiadowców do ucha starszego strzelca. – Wszyscy wieją. Oficery, wójt, starosta też już wiatrował. Co to będzie?

Starszy strzelec kiwnął znacząco głową w kierunku pleców Raginisa. Kapitan jednak się nie odwrócił. Szli na Wiznę.

Wizna, godzina 11.24

Za Zawadami na drodze zrobiło się pusto, a kiedy minęli skrzyżowanie dróg pod Strękową Górą, napotykali już tylko pojedyncze wozy i grupki uciekinierów. Kiedy minęli lasy, gdzie jasny brąz sosen mieszał się z bielą brzóz, z lewej roztoczyła się przed nimi panorama łąk i mokradeł, za którymi szarzały strzechy chałup wsi Kurpiki. Z prawej poczęły się wznosić niewysokie piaszczyste wzgórza nad Narwią, która płynęła tutaj w kierunku zachodnim, aby po kilku kilometrach połączyć się z Biebrzą i skręcić bardziej na południe. Przed wsią i wzdłuż drogi zarysowały się poszarpane, kolczaste gąszcze zasieków, co znaczyło, że właśnie dotarli do głównej pozycji obronnej, do pododcinka Kurpiki. Stanowisk artylerii ani schronów bojowych w Górze Strękowej, Kurpikach i Maliszewie nie było

stąd widać. Wszędzie wzdłuż drogi uwijali się junacy kopiący rowy dobiegowe, żołnierze rozciągający ostatnie druty, zbijający i ustawiający kolczaste kozły, którymi miano zagrodzić bitą, choć wąską szosę przed Niemcami.

Raginis prowadził saperów prosto na most, drogą, która biegła nasypem, gdyż z obu jej stron rozciągały się łąki i trzęsawiska między Włochówką a Maliszewem. Niestety, z powodu upalnego lata były mocno wyschnięte.

Przybyli na wysuniętą pozycję odcinka Wizna. Dwa schrony bojowe – dobrze schowany Sulin na północ od nich i drugi nad samą Narwią, na wprost Wizny, we Włochówce – były już ukończone. Junacy rozbierali ogrodzenia z desek, kopali jeszcze doły pod dwa mniejsze stanowiska, na zakrętach szosy podchodzącej do mostu. Za to w pewnej odległości od rzeki rozciągał się cały pas zasieków na linii Sulin – Smolarze, a także wzdłuż drogi do tej ostatniej wioski. Najmocniejsze były przy przeprawach, rozciągały się też wzdłuż szosy. Z tej strony junacy i pionierzy kończyli właśnie ustawianie zapór przeciwczołgowych: lasu żelaznych pali sterczących skośnie z zabetonowanych dołów i kozłów zbudowanych z pociętych palnikami szyn kolejowych.

Przed sobą nieco w dole ujrzeli rozległą przestrzeń łąk i mokradeł – zielono-brązowawych po upalnym, suchym lecie – przeciętą na środku szaroniebieską wstęgą Narwi. Droga wspinała się wyżej, przechodząc w żelazny most o drewnianej, skręconej śrubami nawierzchni, spinający rzędem przęseł oba brzegi niczym łańcuch. Łagodnie wznoszące się i opadające przęsła ciągnęły się przez ponad pół kilometra, górując nie tylko nad samą rzeką, ale i jej bagnistą doliną. Niestety, Narew opadła. Zwykle wzburzona, a po roztopach zalewająca niczym morze okoliczne pola i łąki, teraz płynęła wartko wąską smużką szarości roztapiającej się wśród kęp trzcin i suchych traw.

Z lewej strony była Wizna, miasteczko krętych uliczek, ze starym kościołem z czerwonej cegły i górą po zamku czy też grodzie, przy której przycupnął mały cmentarz. Gęsto zaludniona, pełna drewnianych domków ściśniętych wokół głównej ulicy, rynku i kilku zaułków.

– Panie kapitanie – powiedział Raginis do dowódcy saperów, gdy już zsiadł z konia i oddał wodze luzakowi – witam na odcinku Wizna.

– Myślałem, że to pozycja straceńców. – Kapitan próbował się uśmiechnąć, choć był szary i zmęczony, jak wszyscy jego ludzie.

– Raczej boczno-tyłowa. Patrząc w stronę granicy, po prawej mamy starą, jeszcze carską twierdzę w Osowcu. Po lewej Łomżę. Tak więc siedzimy pośrodku, na błotach. Jeszcze nie widzieliśmy Niemców. Tylko wieczorem samoloty. Może pan dać spocznij.

– Tak jest! Spocznij, zbiórka w plutonach!

– Pańskie zadanie jest proste, proszę przejąć od pionierów i obsadzić most, jak najszybciej go zaminować. Jeszcze nam Szwaby wlezą do Białegostoku.

– Rozumiem. Zaraz przystąpię... Natychmiast.

– Nie tak zaraz – uśmiechnął się Raginis. – Zjedzcie najpierw obiad.

– Przepraszam, ale nie wydali nam kuchni. Znaczy dali, ale rozleciała się po drodze. Prawdziwa kuchnia polowa, została w polu, niech ją...

– ...szlag. Dobrze – zafrasował się Raginis – pobierzcie obiad z naszej i junackiej. Jak nie starczy, niech gotują dodatkowy, powiedzcie, że pan kapitan kazał. A potem – ogarnął ręką most i umocnienia – do roboty!

– Kompania plutonami po posiłek – rozkazał Jurowski.

Na szosie zrobił się ruch, saperzy zaroili się jak pszczoły, ciągnęli plutonami do lasku, gdzie dymiły kuchnie polowe.

– Z tego, co widzę, budowa jeszcze nie zakończona.

– Niech pan pozwoli za mną, kolego. – Raginis poprowadził sapera wzdłuż szosy, do miejsca, w którym junacy wykopali już dół pod schron bojowy blokujący drogę na most, a cieśle zaczęli zbijać szalunki.

Z gromady wysunął się mężczyzna w roboczym kombinezonie, poszarzały na twarzy, niewyspany.

– Nasz technik, pan Michał Szymonowicz – przedstawił go Raginis. – Poznajcie się, bo pan kapitan ciekawy, jak idą postępy.

– Nie chcę wróżyć z fusów, ale... robimy, co możemy.

– Przecież wiem, panie Michale.

– Te małe schrony będą musiały poczekać. Brakuje mi szalunków i dobrej stali. Potrzebujemy góra dwóch tygodni, żeby wykończyć wszystko.

– Długo.

– Beton musi związać, z całym szacunkiem, panie kapitanie.

– Do tego czasu będziemy w Berlinie, przynajmniej jeśli wierzyć zapewnieniom naszego naczelnego wodza. Sam nas tu odwiedził!

– Rydz-Śmigły? – Jurowski wytrzeszczył oczy ze zdumienia. – Marszałek?

– A jakżeby inaczej. Razem z generałem Fijałkowskim, z podpułkownikiem Szyllingiem. Przyjechali do Góry Strękowej pięcioma taksówkami. Pomyśl pan sam, niespodziewanie wizytowali schrony na wzgórzu sto dwudziestym szóstym, a wartownik przy wejściu do dolnego zaprezentował broń i wpuścił marszałka, bo go poznał. I złamał regulamin, za co zdjęli go z posterunku, a dowódcę warty ukarali aresztem. Potem było jeszcze lepiej, nieprawdaż, panie Michale?

– Kierownik budowy głównego schronu uciekł... z wrażenia – dokończył Szymonowicz. – Więc mnie wezwali i udzielałem

wyjaśnień samemu marszałkowi, razem z kapitanem Grocholskim. Łydki same się trzęsły.

– Na szczęście mnie tu jeszcze nie było. – Raginis uniósł ręce, jakby odżegnywał się od tego wszystkiego. – Kopuły przywieźli?

– Gdzie tam. Na waszym schronie dowodzenia zamontowali na razie tylko jedną.

– Sam pan widzi, że traktują nas jak piąte koło. Pozycja tyłowa. Nie dają kopuł, nie wysyłają pomp i filtrów do oczyszczania powietrza. Nawet rur głosowych nie ma. Dobrze, że mamy chociaż zapasy na cztery dni. Wydali wam coś w Białymstoku?

– Nam? Nie, tylko ładunki wybuchowe.

– Zapraszam w takim razie do naszego skromnego oficerskiego stołu. Pobierzcie... moją porcję, dzisiaj zjem ze zwykłym wojskiem.

Kuchnia była w lasku po drugiej stronie drogi, pod sosnami. Jednak Raginis skierował się w inną stronę – do tej przeznaczonej dla obsady pozycji wysuniętej, pionierów fortyfikujących most, a teraz także dla saperów. Zastanawiał się, jakie będzie miał z tego powodu przeprawy z płatnikiem, ale machnął na to ręką.

Podszedł do kuchni, pojawił się tak niespodziewanie, że kucharzowi wypadła chochla z ręki, zadzwoniła na zielonkawej blasze.

– Matko boska! Pioter! – krzyknął do szeregowego kuchcika. – Wizytacja!

– Niezapowiedziana wizytacja, Wicik! Pokażcie, co tam za gnaty macie w garnkach? Jakąś chudą krasulę? A może samą wodę?

– Gulasz wołowy z kartoflami, panie kapitanie. Wedle rozkazu i podług tabeli.

– Wczoraj był gulasz, dzisiaj jest gulasz, jutro pewnie też będzie. A pojutrze?

– Pojutrze, panie kapitanie, zamelduje się wodzianka ze szperką.

– O, dlaczego? Coś się nie starasz, Wicik. Ludzie są źli, jeszcze cię wrzucą do kotła.

– Za pozwoleniem, panie kapitanie, jak mam się starać, skoro zapasy się kończą? Nie sprzedają nic chłopy. Kabany, farfocle, paruszuki, wszystko pochowali po stodołach, po piwnicach. Mówią, że wojna. Z próżnego to i Salomon nie naleje, co dopiero biedny starszy strzelec Wicik.

– Coś zaradzimy. Tymczasem daj popróbować.

– Nie lepsze, panie kapitanie, w oficerskiej kuchni?

– Przecież mówiłem: wizytacja. Nakładaj, nie gadaj.

– Piotruś, menażka dla kapitana.

Wicik starannie, z namaszczeniem, jak ksiądz, odkręcał mocowania dwóch z trzech kotłów, z jednego zaczerpnął wielką chochlą gulaszu, z drugiego kartofli – na otwarte wieczko.

– Smacznego i na zdorowie, panie szarża. Samo gęste, ze dna – dorzucił, wbijając w gulasz łyżkę.

Raginis stał przez chwilę, nie wiedząc, gdzie z tym wszystkim pójść. Nie jadł od rana, z rana zresztą też mało co; nie było czasu. Tymczasem prowizoryczne stoły koło kuchni zajęte już były przez saperów, podobnie jak wszystkie pieńki, zwalone drzewa i miejsca dokoła. Przechodząc, złowił strzępy rozmów.

– Mówiłem, władze wieją, a najbardziej panowie sanacja!

Raginis nie zatrzymywał się, nie zwracał na to uwagi, choć może powinien, po prostu jak cień przesunął się za plecami żołnierzy. Widzieli go; ktoś się zakrztusił, inny zerwał się i zasalutował, potrącając menażkę kolegi. Krzyki, stłumione przekleństwa. Najgorsze, że to wszystko byli kopiści, z jego trzeciej kompanii fortecznej. Kadra podoficerska była dobra, ze

szkoły w Osowcu, ale ludzie – cóż, z poboru. Odciął się od nich, siadając samotnie na ostatnim wolnym pniaku. I wtedy poczuł na sobie czyjś wzrok.

Spojrzenie należało do dwóch... dziewczynek. Miały może osiem, może dziesięć lat. Młodsza z kokardą wplecioną we włosy. Przybrudzone, w długich kamizelkach, w starych, spękanych bucikach. Spoglądały nie tyle na kapitana, ile na menażkę w jego ręku. Raginis też patrzył, patrzył... i wzdychał.

– No, chodźcie tu – powiedział w końcu, stawiając naczynie na pieńku. – Proszę – wręczył starszej łyżkę – najpierw jedna, potem druga. Podzielcie się ładnie a równo.

Nie musiał ich zachęcać. Wygłodzone dzieciaki jadły na przemian, wyczyściły menażkę dosłownie w kilka chwil. Raginis zobaczył, że młodsza zaczęła dosłownie wylizywać wieczko. Wtedy delikatnie wyjął im menażkę z rąk.

– Dziękujemy – pisnęła starsza.

– Podjadłyście, idźcie do rodziców. Macie tu jakichś, prawda?

Pokiwały głowami, a potem odbiegły w podskokach. Kiedy z opróżnioną manierką wrócił do kuchni, Wicik uśmiechnął się szeroko.

– Pan kapitan po dokładkę? Ni ma. – Rozłożył ręce. – Kotły puste, piechota wszystko wyjadła. Herbaty nawet ni mam.

– Są jeszcze suchary – rzucił kuchcik. – Ale nie wiem, czy pan kapitan...

Z garścią wojskowych sucharów szukał znowu miejsca przy szosie. Zobaczył swój poczet, ordynansa Gierszułła, chudego, ponurego chłopa, młodziutkiego i gładkiego jak panna strzelca Jarmulika, pozostałych obserwatorów. Chciał posilić się chociaż sucharami, ale wtedy poczuł wzrok konia, gniadosza przywiązanego do drzewa. Wolny, leniwy Karo spoglądał na Raginisa jakoś tak żałośnie, że kapitan westchnął ciężko,

skruszył w ręku suchary i podsunął kawałki na otwartej dłoni pod toporny, garbonosy pysk.

– Bierz, oparchu – mruknął. – Lepszy pewnie z ciebie gulasz niż wierzchowiec.

– Gdzież tam – jęknął ordynans. – Panie kapitanie złoty, to kuń dobry, że lepszego nie znajdzie. Prawda, że trochę wolno myśli, ale on siły zbiera, coby na Szkopów szarżować.

– Wszędzie tam jego ojczyzna, gdzie owies – rzucił Jarmulik. – Zupełnie jak u ciebie: tam dom, gdzie pełna miska.

I wtedy nisko nad drzewami przemknął cień.

Nawet w kilka chwil później Raginis nie mógłby odtworzyć tego, co stało się na drodze do Wizny. Najpierw okrzyki: „Alarm! Lotnik, kryj się!”. Potem stłumiony, zbliżający się charkotliwy jęk motorów, który zamienił się w warkot...

I nagle piach, kamienie trysnęły w górę wokół nich! To serie z broni maszynowej poszły po szosie, po pionierach, po ludziach. Niczym dwa równe ściegi przeszyły drogę i las, wzniecając panikę, krzyki. Saperzy, żołnierze, junacy i cywile rozpierzchli się w dwie strony niczym fale. Aby potem jak malutkie, bezradne ludziki rozbiec się po rowach i krzakach.

W górze przemknął kolejny kształt z czarnymi krzyżami na kadłubie. Jęk silnika przeszedł w warkot, najpierw stłumiony, potem potężniejący.

– Wraca! Wraca! Na dwunastej! Kryj się!

Raginis nie zgrywał zucha. Padł razem z innymi w piasek koło starej sosny. Niemiec zawrócił, waląc z karabinów po lesie, po zabudowaniach Sulina. Obsypując ich fontannami piachu, posyłając im z góry kolczaste gałązki sosen, kalecząc pnie głębokimi białymi nacięciami pocisków.

Kapitan zmusił się, by wtulić głowę w piach, przeczekać, przetrwać. Wszystko zaczęło się tak gwałtownie, tak niespodziewanie, że w ogóle nie czuł lęku. Dopiero kiedy

warkot motorów ucichł w oddali, świat jakby się zbudził, napełniając uszy symfonią dźwięków, a głowę rytmem walącego serca. Raginis zerwał się i pierwsze, co zrobił – pomacał się po lewej kieszeni bluzy na piersiach, rozpiął guzik, sprawdzając, czy wszystko jest na miejscu. Wyczuł dwie obrączki przewiązane sznurkiem i poczuł ulgę.

– Wszyscy cali? Zgłaszać rannych.

– Karo uciekł! Gdzieżeś poleciał, tłuku zatracony! – zajęczał Gierszułł. – Żebym tam skonał, proszę pana kapitana...

– To co robisz, szukaj go! – podszczuwał Jarmulik. – Już cię tu nie ma! Tak ty konia pilnował jak cnoty u dziewuchy!

Rzeczywiście, leniwy, strachliwy służbowy wierzchowiec kapitana zniknął, pozostawiając tylko kawałek uwiązu na drzewie. Jednak Raginis spoglądał po żołnierzach, szukał rannych; na szczęście ich nie znajdował. Ruszył w kierunku zbiegowiska przy szosie i wszedł w sam jego środek, rozpychając żołnierzy i junaków. Zobaczył zapłakaną kobietę w chustce na głowie. I leżące na pokrytych ciemnymi zaciekami kamieniach dwa chude, małe ciała. Dziewczynki, siostry, obie w długich kamizelach, mniejsza z kokardą, która wysunęła jej się z włosów, teraz zlepionych i pokrytych krwią. Ktoś krzyczał, wygrażał niewidocznemu wrogowi, wlepiając wzrok w niebo, które nagle zrobiło się nienawistnie ciężkie, groźne, bo – niemieckie.

Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 13.16

Gdy tylko Raginis wydał rozkazy i sprawdził wykonanie poprzednich, wrócił do schronu dowodzenia w Górze Strękowej. Na piechotę; konia jeszcze nie złapali, nie było to zresztą aż tak daleko. Zaraz na północ od drogi wznosił się

dobrze zamaskowany pierwszy schron bojowy, nie był to jednak główny obiekt obronny. Największy, obserwacyjno-bojowy, zbudowany był na szczycie wzgórza 126, u którego podnóża leżała maleńka wioska, prawie niewidoczna od strony szosy. Widok stąd był daleki i szeroki – na dolinę Narwi, wijącej się wśród spalonych słońcem łąk i mokradeł. Na ledwie zarysowane dachy domów Giełczyna po północnej stronie rzeki. Na płaskie pola i przestrzenie ciągnące się aż do ujścia Biebrzy. Tylko Wizny nie było stąd widać, jednak można było dostrzec obszary za rzeką, poznaczone jak szachownica na zmianę: zielonymi plamami łąk i brązowawymi ugorami i chaszczami, pogrodzone liniami wierzb i olszyn.

Główny schron był wielkim płaskim prostokątem o zaokrąglonych krawędziach, zagrzebanym głęboko, niby wieloryb, w piasku Góry Strękowej. Wkopany w ziemię, wyglądał po prostu jak przedłużenie i zwieńczenie pagóra nad rzeką. Od zachodu osłaniał go nasyp, przy samej żelbetowej ścianie o grubości półtora metra był wykop wypełniony kamieniami, obłożony na wierzchu darnią. Ta sama darń pokrywała też dach pokryty lepikiem. Schron mieszczący wewnątrz osiem komór: amunicyjną, dowodzenia, sanitarną, sypialną i stanowiska karabinów maszynowych – miał tylko jedną, ośmiotonową kopułę pancerną z czterema szczelinami. Sterczącą jak mała czapka albo sterta słomy i zamaskowaną gałęziami. Drugiej nie dostarczono, prawy otwór zalano zatem cementem, który jeszcze nie zdążył dobrze wyschnąć. Wejście było od tyłu, z rowu dobiegowego, przez pancerne drzwi, chronione dwoma schodkowymi strzelnicami zabezpieczającymi przed rykoszetami. Od zachodu, od strony, skąd miał nadejść nieprzyjaciel, nie było żadnych strzelnic, osłabiających konstrukcję. Schron był obiektem osłonowym – w północnej i południowej ścianie znajdowały się wnęki,

a w nich strzelnice dla karabinów maszynowych flankujących przedpole i tworzących zaporę ogniową. Od południa były dwa cekaemy, od północy jeden. Ich linie ognia krzyżowały się w polach z liniami ostrzału najbliższych obiektów obronnych – pod Kurpikami i Giełczynem po drugiej stronie Narwi.

Kapitan przeszedł przez pancerne drzwi z tyłu, przyglądając się okrągłym otworom czerpni powietrza, przesłoniętym kratkami. Najgorsze, że nie dostali do nich żadnych wentylatorów. Raginis bał się pomyśleć, w jakie piekło zmieni się wnętrze obiektu po dłuższej walce i użyciu ciężkiej broni. Drugich drzwi, przeciwgazowych, także jeszcze nie było.

Major Jakub Fober, dowódca pozycji Wizna, czekał w kabinie dowodzenia, przy stole, odkładał właśnie do skrzynki słuchawkę telefonu polowego, kiedy kapitan wchodził.

– Melduję, że wszystkie ciężkie schrony bojowe ukończone, brakuje wentylatorów i części kopuł. Lekkie schrony bojowe oszalowane i przygotowane do wylania betonu, brak żelaza do zbrojeń. Zapasy prowiantu mamy tylko na trzy dni, skup w okolicy z trudnościami, ale nie zarządziłem rekwizycji.

– Siadaj, Władku – powiedział dziwnie miękko Fober, który z dwóch grup oficerów piechoty: tych o byczych karkach i tych w pasie jak trzcina, sprawiał wrażenie raczej przedstawiciela pierwszego typu. – Teraz to wszystko będzie twoja sprawa. Właśnie awansowałeś – dodał, widząc zdumione spojrzenie kapitana. – Pół godziny temu dostałem rozkaz o przeniesieniu. Mam zabrać trzeci batalion i jeszcze dziś przejść do rejonu na południe od Łomży. Wracamy znowu do Siedemdziesiątego Pierwszego Pułku.

– Zabiera pan wszystkich ludzi?

– Tak jest, łącznie z pepancami, taborem i radiostacją. Zostawię wam część zapasów. Od teraz jesteś dowódcą pododcinka Wizna. Głowa w górę, trzymać fason.

– Widzę, że naprawdę traktują nas jak drugorzędną placówkę.

– I zostawiają jako dowódcę kapitana z taką lokatą? Głowa do góry, zluzują nas oddziały KOP-u, ale kiedy przyjdą, tego nie wiem. Idź, odpocznij na kwaterze, zjedz jakiś obiad, bo o siedemnastej zwołuję odprawę... Na pożegnanie. Ty ją poprowadzisz. Jakieś pytania?

– Życzę powodzenia, panie majorze. Uschniemy z nudy, kiedy wy zobaczycie prawdziwą wojnę.

– Rozkaz to rozkaz, nie ma to tamto. Proszę się zameldować o siedemnastej. To wszystko.

Gdyby ktoś stwierdził, że Raginis wychodził z bunkra zgięty pod brzemieniem odpowiedzialności, powiedziałby nieprawdę. Kapitan czuł się, jakby wyrosły mu skrzydła. Wojenna historia zaskakiwała go; nagle miał sam sprawować dowództwo nad siedmiuset żołnierzami i ponad dwudziestoma oficerami. Cóż milszego dla nie tak dawno awansowanego oficera? Jedyny kłopot był w tym, czy w ogóle doczekają się Niemców. Od dwóch dni wojna szła bokami, rozgrywała się gdzieś na Pomorzu i pod Mławą, koło Krakowa i na Śląsku, daleko. A gdyby nawet przyszła, to Wizna była tak wycofaną, mało znaczącą placówką wobec twierdz w Łomży i Osowcu, że w tych błotach mogli nie zobaczyć ani jednego Niemca.

Za zasiekami, tam gdzie kończył się rów łącznikowy, czekał na niego cały poczet w komplecie – Gierszułł i jak zwykle podszczypujący go słowem Jarmulik, gładki chojrak z białostockich Chanajek. Wszyscy z końmi, które pobrali z baterii piechoty. Ordynans trzymał wodze Karo, zgrzanego, o zlepionej, ledwie wyschniętej sierści. Kapitan nie wiedział, czy na jego widok cieszyć się, czy płakać.

– Zdybaliśmy oparcha, panie kapitanie – zameldował Gierszułł – prawie pod samą Strękową Górą. On nic nie winien,

ot, spacer sobie zrobił, wybrał się na przebieżkę, pohasał i wrócił.

– Zobaczył dobrą trawę na łące – rzucił Jarmulik. – A wrócił, bo żal mu się zrobiło, bo jak go nie było, to wszyscy ciebie za największego ciemięgę brali.

– Kogo? Co ty gadasz?

– Sprawdź lepiej, czy popręg podciągnięty.

– Jedziemy na kwaterę, do Niszczaków, do Strękowej Góry – rozkazał kapitan.

Gierszułł aż podskoczył, popatrzył na oficera jak pies, którego czeka lanie.

– No, powiedz, coś zmalował, jak na spowiedzi – podśmiewał się Jarmulik. – Panie kapitanie, ma pan nową kwaterę. Przenieśliśmy rzeczy do dworu koło Narwi.

– Przenieśliście? Jak to? Bez mojej wiedzy?

– Uj, prawdę rzekłszy, to... – zająknął się Gierszułł – pan dziedzic kazał.

– Jaki dziedzic?

– No, szlagon. Znaczy pan Jamiołkowski. Mówił, że będzie tam panu lepiej, bo razem z porucznikiem Brykalskim. No i co dwór, to dwór, ni chałupa!

– I przenieśliście, bez rozkazu?! – Raginis nie wiedział, co rzec.

– Gierszułł przeniósł, ja nie ruszałem – bronił się Jarmulik. – Ale pan dziedzic na nas nastawał. A on bardzo przekonujący jest.

– No to jedziemy do tego całego dziedzica – mruknął Raginis. – Na koń!

Dwór w Strękowej Górze, godzina 14.30

Dwór był po południowej stronie wioski, niedaleko od Narwi i otaczających ją łąk, za ostatnimi chałupami. Stał na końcu lipowej alei, szeroki i ciemny, wzniesiony z sosnowych bierwion zaciosanych na krańcach w jaskółczy ogon. Wierzeje bramy były otwarte na oścież, być może nigdy niezamykane, bo pochylone, powichrowane, podparte przegniłymi pniakami. W nie lepszym stanie była stajnia z tyłu – widzieli tylko jej kawałek, przegniła, z zapadającym się dachem, chyba czekającym na naprawę, bo poobkładanym gałęziami.

Kapitan Raginis ciekawy był gospodarza, oczekiwał typowego siwego dziedzica o wydatnym brzuchu, łysej głowie, wąsach, kogoś w rodzaju Sienkiewiczowskiego Zagłoby. Tymczasem na ganku czekał człowiek chudy, stary, o białych, podgolonych wysoko włosach i wąsiku jak zaznaczonym pędzlem; raczej ktoś w typie artysty niż łomżyńskiego dziedzica szlagona gospodarującego na paru morgach pozostawionych przez przodków. Z daleka machał przyjaźnie ręką, obok zaś czekał wysoki, garbaty, łysy jegomość w koszuli i kamizelce, chyba sługa albo kamerdyner. Ze swoją szarą gębą wyglądał jak grabarz, śmiało mógłby robić za konkurencję dla Borisa Karloffa wychodzącego z krypty.

– Witam, panie kapitanie, w skromnych progach – roześmiał się dziedzic, wyciągając rękę. – Janusz Kajetan Jamiołkowski, do usług razem z dworem. Z tych lepszych Jamiołkowskich. Pozwoliłem sobie przenieść do nas rzeczy pana kapitana. U mnie pan odpocznie, będzie pan miał ciszę i spokój, nie to, co w chłopskiej chałupie... Hej – to było do sługi – niech Safian weźmie bagaże pana kapitana.

– Nie trzeba, ordynans zaniesie.

– Zatem niech Safian wskaże mu pokój gościa.

– Tak jest, proszę pana! – skłonił się stary sługa.

Dziedzic zszedł z ganku i okiem znawcy obejrzał konia Raginisa, uśmiechnął się.

– Błażejek! Tutaj! Na jednej nodze! – zawołał, pstrykając palcami i dokładnie wskazując miejsce, gdzie miał stawić się drugi sługa.

Przybiegł kamerdyner w kamizelce i białej koszuli, usłużny, nisko noszący głowę, młody, o bystrych oczach oraz przydługich, opadających na kark włosach.

– Niech no Błażejek odprowadzi konie do stajni. Wie pan, panie kapitanie, jest w tym kłopot, bo wiatry zwaliły dach, ale jakoś się tam pomieszczą w kąciku. A pana kapitana proszę, proszę. – Zagarnął Raginisa za otwarte dwuskrzydłowe drzwi.

Znaleźli się w sieni, przecinającej w poprzek cały dwór, kończącej się tylnymi drzwiami prowadzącymi zapewne do ogrodu. Jamiołkowski pokazał w prawo, sługa otworzył kolejne drzwi, do wielkiego salonu, jadalni. Raginis znalazł się we wnętrzu pełnym staroci, jakie gromadziły się w każdym wiekowym dworze, jak pamiątki po minionych czasach, powstaniach i zwycięstwach. Po każdym wieku, zakręcie dziejów pozostawiając: broń, wyblakłe czarno-białe fotografie w oprawach, ryngrafy, sofy, kredensy, stoliki, sekretery, szable, makaty, obrazy w pociemniałych ramach. Wszystko złożone bez ładu, bez składu, każda rzecz z innej epoki – najstarsze pamiętające pewnie czasy króla Stasia i Augustów, najmłodsze z warsztatu Moszka stolarza z Wizny albo Łomży.

Pod ścianą stał przepastny bielony kominek, obok piec z zielonych kafli, przy nim sofa, kanapka, na środku ogromy, rozkładany stół, gięte, wyścielane krzesła.

I wreszcie kredens na srebrną zastawę, ciężki i szeroki jak budynek, a nie mebel, szafa na broń myśliwską, kilka zakurzonych trofeów na ścianach.

Wszędzie konie – obrazy, rysunki, na których wznosiły się dumne chude pyski z szeroko otwartymi, jakby przerażonymi oczyma rumaków czystej krwi arabskiej.

Raginis zatrzymał się w zagraconym wnętrzu, spoglądając na sufit – jak zwykle w dworach belkowany, przy czym jedna, największa, przecinająca środek jak tragarz, dźwigająca ciężar ogromnej powały, ozdobiona była napisem:

BOŻE! CI LUDZIE, KTÓRZY TU BYWAIĄ.
CZEGO NAM ŻYCZĄ, NIECH TO SAMI MAIĄ.
1797

– Pan kapitan chyba nietutejszy? – zapytał dziedzic. – Skąd rodem? Z Kresów?

– Z daleka. Urodziłem się w Dźwińsku, skąd rodzice po odzyskaniu niepodległości przenieśli się do Wilna.

– Prawda, czuję u pana charakterystyczny akcent. Usilnie stara się go pan pozbyć, ale nie ma po co. Tu są sami swoi. A tymczasem niech Safian przyniesie karafkę. Już on dobrze wie którą!

– Czasem – Raginis uśmiechnął się z zakłopotaniem – mówię jak marszałek Piłsudski. Od niedawna mam przydział do Korpusu Ochrony Pogranicza, do pułku „Sarny”.

– Ach, Piłsudski seplenił, nie mówmy o tym komendiancie pod nobliwym dachem starego dworu – machnął ręką Jamiołkowski i napełnił kieliszki. – Pańskie zdrowie, bo ono najważniejsze w takim czasie, jaki mamy. Proszę, oto prawdziwa lokalna śliwowica. Niech pan spróbuje, kochaneńki.

– Za zwycięstwo! – Raginis uniósł kryształowy kieliszek. Trunek był ostry w smaku, trudny zrazu do przełknięcia, ale w przełyku rozlewał się niby czyste złoto, grzał od środka,

pozostawiając niezatarty aromat starych śliw. – Smak prawie jak wileńskiej maciejówki.

– Grzeszysz pan, kochaneńki. Proszę, siadajmy, spróbujmy jeszcze, może jednak pana przekonam. To unikalna receptura, jesienią śliwki dryluje się, wrzuca do beczki, którą zostawia się zakrytą gęstym sitkiem, aby fermentowała w sposób naturalny. Następnie masę przeciska się przez prasę, a płyn destyluje. Tak tworzy się czyste srebro, lepsze niż śliwowica łącka, którą destylują z suszonych śliwek. Proszę jeszcze. Za chwilę podadzą obiad, bo pan kapitan pewnie zmęczony. Jak tylko wróci pana kolega, porucznik Brykalski.

– Pan, zdaje się, ma lepsze wiadomości o miejscu jego stacjonowania niż ja, dowódca...

– Proszę go nie osądzać surowo, porucznik jest w dobrym towarzystwie, pojechał przejeżdżać konie z Lodzią. Sam nieprędko bym wrócił.

– Z Lodzią?

– Pozna pan moją córkę Leokadię, wróciła właśnie parę dni temu z Warszawy, ze studiów, boję się jednak, że nie utrzymam jej w domu. Te dzisiejsze panny są takie niezwykle... wolne.

Raginis przez chwilę rozglądał się dokoła. To wnętrze, tak ciche, było oazą spokoju po szaleństwie ostatnich dni, przemarszach, betonowaniu schronów, kopaniu rowów, użeraniu się z technikami i junakami. Mały, zamknięty, cichy świat; światek raczej, ostatnie złote promienie polskiej jesieni wpadające do okien, kładące się ciepłymi plamami na drewnianej posadzce.

Stolik z niedokończonym pasjansem zaciekawił go.

– Pan grywa? Pewnie przerwałem panu rozkładanie.

– Życie to gra z losem, z Fortuną, z przeznaczeniem, z ludźmi. Dla mnie dziś już nie ma dużego sensu, na koniec zawsze przegrywa się ze śmiercią. Tak jest, przyznaję, kochaneńki

kapitanie, grałem. Grałem dużo i często, całe życie z diabłem, zwodnikiem. Ten dwór, ta resztówka, to wszystko, co mi zostało. Grałem za cara, w kasynach w dawnym rosyjskim imperium. Dziś już nie te czasy, nie ma tego blichtru, tego towarzystwa. Byłem ostatnio w Warszawie, ale to wszystko nędza, mizeria, panie kapitanie. Taki tam brydż, trzy karty, oczko, ruletka w skromnym pokoiku, równie dobrze można iść na Kercelak albo na Różyckiego. Też mi przyjemność: czułem się tam tak, jakbym grywał w trzy karty po bramach. Kochaneńki kapitanie: poker! Ot, to jest gra! To poezja, uniesienie, to jakbyś pan ujeżdżał dziką Fortunę, a kapryśna to pani.

– Niestety, ja tylko bardzo słabo w brydża. Nie mam szczęścia w kartach, więc nie gram.

– A w zamian ma pan w miłości?

– O tak, jestem nawet zaręczony.

– Paradne. Ja nie mam dziś gdzie grać – unosił się Jamiołkowski i znowu napełnił kieliszki. – A grałem w rosyjskim Yacht Clubie w Petersburgu, gdzie w roku dziewięćdziesiątym czwartym, pamiętam jak wczoraj, Józef Weyssenhoff przegrał czterysta tysięcy rubli do Borysa Włodzimierzowicza, stryjecznego brata cara Mikołaja. „Ot i mamy czwarty rozbiór Polski", zażartował książę.

– Suma ogromna, ile to by było na dzisiejsze złote?

– Fortuna. Cały majątek Samoklęski poszedł na długi, został mu tylko pałac, taka sama resztówka jak moja. Wszyscy my tacy rycerze karcianej, karecianej właściwie Fortuny. Na stole miliony, a dokoła ziemi, że pies ogon trzyma za granicą sąsiada. Ale, ale, powróćmy do sedna historii. Weyssenhoff przegrał karetą z króli do karety asów. Układ prawie niemożliwy do powtórzenia.

– Czyżby książę okazał się szulerem?

– Gdzież tam! Nie on! Nie wypadało. Wielki książę, jak to wielki książę, nie kantował. Rozumiesz pan, kapitanie, mój Weyssenhoff miał cztery króle! Arcywysoka szansa, jest co prawda jeszcze wyższa: mogą być cztery asy, ale czy można liczyć na to, że przeciwnikowi los użyczy aż czterech asów? Co znowu! Matematycy pokera dawno ustalili, że cztery asy kontra cztery króle to wydarzenie z pogranicza utopii. Więc nie dziw się pan, że Weyssenhoff czuł, że nareszcie będzie się mógł odkuć za wszystkie przegrane. Zaczął ostro dokładać jak najwyższe kwoty. W nieprzytomnym zapamiętaniu się nie dostrzegł, że wielki książę bez sekundy wahania przyjmuje i wzmaga dorzutkę. W puli doszło do kilkuset tysięcy rubli, bodaj że do ośmiuset, czyli koło czterystu tysięcy ze strony Weyssenhoffa. Nadszedł moment, kiedy wyłożyli karty... Zdrowie, za duszę kompana.

– Za jego duszę – powtórzył kapitan.

– Pamiętam, jak Weyssenhoff filuje, rozkłada karty, prezentuje kwartet królów. Borys Włodzimierzowicz spokojnie rozkłada swoje. Lodowaty dreszcz mnie przeszedł: na stole spoczęły cztery asy! Jak w romantycznej noweli Puszkina do zrozpaczonego gracza uśmiecha się jadowicie dama pikowa. Jedna tylko dama. Do Weyssenhoffa szatańsko się śmiały cztery jego króle. Musiało się to przytrafić tak wielkiemu i zajadłemu monarchiście!

– I od tamtego czasu pan już nie gra?

– Co mogłem, to straciłem. Resztę... niewiele zostało. Do Grand Hotelu w Sopocie już nie chodzę, rozbiłem tam bank. Mniejszy niż inżynier Gliński, który w roku dwudziestym ósmym wygrał tam dwa miliony guldenów, czyli jakieś, bagatelka! trzy i pół miliona złotych polskich. W Otwocku, w tym drewnianym baraku, moja noga nigdy nie postała, preferans, pikieta i brydż to groszowe sprawy dla uliczników

i miejskich apaszów. Można by rzec, kapitaneńku, że ostałem się jak Ignacy Chodźkiewicz, sławny Chack, warszawski, moskiewski i paryski karciarz z czasów Stanisława Augusta, szpieg oraz łotr co się zowie. Mogę powiedzieć to samo co on, kiedy zobaczył, jak za Kościuszki zadyndali targowiczanie: „Jak teraz żyć? Przecież powywieszali moich najlepszych partnerów do faraona!”.

Za oknem rozległ się łoskot kopyt. Raginis zobaczył między drzewami dwa konie – cisawego i smukłego jak sarna konia polskiego i skarogniadego, nieco grubokościstego, jednak wdzięcznie stawiającego nogi anglika. Zakotłowało się, załomotało coś na ganku; rozległy się kroki, rozmowy, śmiechy. Drzwi do salonu otwarły się i wkroczyła najpierw zaanonsowana już wcześniej przez Jamiołkowskiego panna Lodzia, a za nią porucznik Brykalski.

Panna była szczupła, filigranowa wręcz, ubrana po męsku, w bryczesach, czarnych oficerkach i koszuli z krótkimi rękawami. Jej oblicze było równie delikatne, włosy częściowo przycięte krótko, częściowo splecione w warkocz upięty na górze głowy niczym u Lidii Wysockiej. Szła szybko, prawie w podskokach, jakby obrażona, rzucając ciekawe spojrzenie na kapitana Raginisa. Za nią postępował uśmiechnięty porucznik Brykalski, dowódca baterii artylerii pozycyjnej, podporządkowanej i wspierającej odcinek Wizna.

– Kapitan Władysław Raginis – powiedział kapitan, wstając i składając pocałunek na drobnej rączce panny Lodzi.

W ostatniej chwili zdjęła rękawiczkę, wszak przyszła prosto od koni, z palcatem w ręku.

Brykalski zerkał na nią co chwila z uśmiechem wypisanym na okrągłym, gładkim obliczu. Niższy i szczuplejszy od Raginisa, przyniósł z pułku świeże gwiazdki porucznika, nieustający

dobry humor i nonszalancję, a także sławę kobieciarza, którą sam wokół siebie budował.

– Dzień dobry – powiedział Raginis. – Pan porucznik nie powinien przypadkiem być w baterii?

– Daj spokój, Władku. – Brykalski rozłożył ręce, jakby chciał objąć dowódcę, a Raginis przez chwilę pożałował, że może za wcześnie wypili bruderszaft na poprzedniej kwaterze. – Przyjechałem pogratulować ci awansu! Wszyscy już wiedzą. Oto nasz nowy dowódca pododcinka!

– Zatem zapraszam panów do gabinetu – powiedział Jamiołkowski, zgarniając ze stołu karafkę ze śliwowicą. – Niech Safian nakrywa do stołu. I niech Janowa się pośpieszy, podawajcie! Goście są głodni!

W gabinecie było cicho, zacisznie i ciasno, jakby właściciel dworu urządził tutaj skład mebli.

– Zdrowie pana kapitana. – Brykalski wychylił duszkiem kielich.

– Jak wycieczka, dobre konie? – zapytał dziedzic córki. – Cóżeś taka markotna, Lodziu?

– Pan porucznik nie dał mi forów, kiedy się ścigaliśmy po łąkach, aż do samej Góry Strękowej.

– Mówiłem, panna, lżej siedź, nie obijaj się o siodło – uśmiechnął się Brykalski. – Strach to zły doradca, jednak wstrzymała panna wodze przed strumieniem, a przecież Dziryt pruje po wodzie jak kuter.

– Specjalnie dałeś mi pan takiego konia.

– Nieprawda – śmiał się Brykalski – sama panna wybierała. A ja pokazałem, że nie każdy rumak, który ma zad wyniosły i ciężki, będzie śmigły w locie. Mój chudy, kościsty, a bierze panny anglika o dwie długości. Gdyby było inaczej, toby przekupki z targu przeganiały łanie.

– Zatem udostępnił pan, poruczniku, służbowe konie do przejażdżki? Co ja słyszę, mamy wojnę, nie święto pułkowe!

– Panie kapitanie, proszę się nie złościć na pana Brykalskiego – powiedziała Lodzia jakoś tak słodko, miło, nagle ujęła Raginisa pod rękę i poklepała po ramieniu. – To ja sama wszystko wymyśliłam, chciałam zobaczyć, czy wojskowe konie lepsze od naszych. Mnie proszę wsadzić na odwach.

– Proszę państwa! Podano do stołu – zagrzmiał Safian głosem grabarza. Jakby prosił na stypę, którą w rzeczywistości mogła być cała uroczystość.

Raginis szedł do salonu, czując, jak delikatnie ciążą mu obrączki w kieszeni mundurowej bluzy. Brykalski dyskretnie strzelił do niego oko, a potem zaczął znowu denerwować pannę Lodzię.

Dwór w Strękowej Górze, około godziny 16.00

...i denerwował ją cały czas, uśmiechając się, zbijając z pantałyku, na każdą jej uwagę miał kontruwagę. Szło oczywiście o konie, bo kiedy Lodzia mówiła z miłym uśmiechem, że czasem jej koń na ujeżdżalni idzie w lewo, mając głowę wychyloną w prawo, więc musi kontrować go wędzidłem, Brykalski szczerzył zęby i opowiadał, że trzeba robić to dosiadem, inaczej tylko go znarowi. Kiedy mówiła, że capluje w kłusie, usiłując przejść do galopu, i może tylko go wstrzymywać, kręcił głową, że to po chłopsku i furmańsku – można wszak samym ciężarem ciała, odchylając się do tyłu... I – sami rozumiecie, moi drodzy koniarze.

Raginis w pewnym momencie w ogóle przestał ich słuchać, skupiając się na obiedzie, niezłym, może ostatnim takim. Grobowy lokaj podał im dziczyznę, pieczeń marynowaną

w occie z korzeniami, warzoną w rondlu z cebulami, cytryną, goździkami, marchwią i winem. Podano ją z czerwoną kapustą, do tego oczywiście winko węgierskie – wytrawne, samorodne, z cesarsko-królewskich winnic, rocznik bodaj dwudziesty ósmy. A na koniec była i karafka żytniówki Baczewskiego. Dla Lodzi przygotowano kalafiora z masłem i trochę szpinaku, co Brykalski znowu skwitował frywolnie:

– Panna musisz jeść dobrze, najlepiej dziczyznę i wołowinę, żeby siedzieć jak stary wiarus, inaczej wiatr cię z siodła wywieje.

I tylko w pewnym momencie panna Leokadia przeszła do kontrataku. Mówiła bowiem o tym, że koń najlepiej powinien chodzić ze spuszczonym łbem, wedle szkoły angielskiej, porucznik uśmiechnął się i rzekł pieszczotliwie:

– Dla panny Lodzi najlepszy byłby rower. Ten zawsze ma łeb spuszczony i lepiej niż ja byłby się panny słuchał.

– Wolę automobil. Pan porucznik umie jeździć samochodem? Bo ja mam pozwolenie na wszystkie auta. Pan ma?

Brykalski odruchowo skinął głową, ale zaraz spoważniał, słysząc dalsze słowa:

– Więc niechże pan się pochwali, jak ono wygląda. Co za mężczyzna, co nie opanuje automobilu. Ja zaraz swoje przyniosę.

– Oj, nie mam. Niewymagane w wojsku. Jeszcze nas nie zmotoryzowali.

– Widać, że szanowny pan porucznik z Berdyczowa. I tylko po polskich sielskich drogach konikami jeździ. A z żelaznego konia łatwiej zwrócić uwagę damy!

Brykalski umilkł, zbity z pantałyku. Istotnie, prawa jazdy nie posiadał.

Po obiedzie zapalili, Jamiołkowski pewnie nie wypuściłby ich w ogóle ze dworu, ale obowiązki wzywały. Na ostrą

reprymendę kapitana otworzył drzwi do sieni, ale zaraz pokazał im podwójne, szerokie drzwi na drugą, lewą stronę domu.

– Panowie, jestem niepoprawnym gospodarzem, ale podarujcie mi chociaż kwadrans. Coś wam pokażę.

Szarpnął za klamkę, potem przekręcił klucz w drzwiach i otworzył. Z wnętrza buchnął skisły zaduch, znajoma woń potu i dużych zwierząt. Raginis wszedł pierwszy, za nim Brykalski. I obaj oniemieli.

W dużym pokoju dworu stały konie. Tak jest, stały na deskach w prowizorycznie wydzielonych przegrodach, uwiązane do wbitych w ścianę obręczy, zajadały owies, od czasu do czasu podnosząc łby, spoglądając bystrym wzrokiem na ludzi.

Cóż to były jednak za konie?! Same perełki, szlachetna półkrew arabska i angloarabska. Średniej wielkości, z suchymi nogami, znamionującymi wielką wytrzymałość ścięgien, kształtnymi kopytami. Szczupłej budowy, smukłe, o małych, wesołych główkach, niektóre nawet z wręcz kanciastymi zadami, wyglądały jak chude, bo koń ten strawi szybko, co zje – w biegu, w ruchu na słonecznej przestrzeni stepu. Wszystkie miały dumnie uniesione łby, mądre, ciemne oczy. Większe od arabów, mniejsze od anglików czy koni poznańskich, ucieleśniały zgrabne i gibkie piękno, obiecujące pęd i cwał aż do samego krańca świata.

– Całe życie grałem wysoko, ale nigdy na tyle, aby pozbyć się moich ukochanych przyjaciół – powiedział pan Jamiołkowski. – Oto Iwaszko, Batory, Pałasz, Ruski i Oleszko. – Przyjacielsko klepał konie po grzbietach, karkach, gładził wyciągające się ku niemu miękkie, wilgotne pyski. Przechodził między nimi jak wśród dzieci, nie obawiając się ani kopnięcia, ani ugryzienia.

– Aż tyle są warte, że... stoją we dworze? – zapytał Brykalski.

– Stajnia mi się zawaliła, więc musiałem opuścić salon. Na chwilę. Lodzi się to bardzo nie podobało, ale cóż, w sercu ułana, gdy je położysz na dłoń, na pierwszym miejscu panna, przed nią? – Spojrzał na Raginisa.

– Ja z artylerii, ale odpowiem za kolegę z KOP-u: przed nią tylko koń – uśmiechnął się Brykalski.

– A ten piękny, choć smukły. – Raginis poklepał po szyi pięknego siwka, starego typu, u którego można było wyczuć absolutny, niewzruszony spokój, bo stał dumny jak posąg na polu bitwy. Czuło się od razu, że to mądry koń, niezłośliwy, pewnie i niepłochliwy, inaczej niż Karo. Taki o suchych nogach i twardym, szarawym kopycie.

– To jest koń szczególny, jeszcze mojego ojca, świeć, Panie, nad jego poczciwą duszą – powiedział stary – co wykupywał moje wszystkie długi karciane. Jakże mi go dziś brakuje. Koń nazywa się Bohatyr i jest u nas od... Sam nie wiem od kiedy. Zawsze był, zawsze, odkąd pamiętam.

– Papa każdego kolejnego siwka nazywa Bohatyrem – wtrąciła swoje trzy grosze Lodzia – więc można by rzec, że wcale się nie starzeje. Dziadek tak samo, co miał siwka, to zwał go na pamiątkę tego pierwszego...

– Cicho tam – machnął ręką dziedzic – nie wychodź przed starszego. Mojemu ojcu, staremu Hipolitowi Jamiołkowskiemu, ten koń uratował życie. Ocknął się porąbany po bitwie pod Węgrowem, a obok był jego wierny wierzchowiec. Nie odstąpił pana na krok, położył się, grzał własnym ciałem, a potem rannego, prawie bez przytomności zaniósł do dobrych ludzi.

– Papciu, to by znaczyło, że musiałby mieć przynajmniej z osiemdziesiąt lat. Konie nie żyją tak długo. Najstarsza u nas miała bodaj dwadzieścia trzy lata, ta srokata klaczka, co ją papa odziedziczył po panu Strumińskim.

– Za pozwoleniem panny – wtrącił porucznik Brykalski – Krechowiak u Ułanów Krechowieckich przeżył dwadzieścia siedem lat, z czego dwadzieścia dwa w służbie czynnej. Jeszcze teraz, w lipcu, odbierał defiladę dowódcy. Zdarzają się więc chwalebne wyjątki.

– Daj Bóg, aby pan porucznik przeżył tyle i był taki mądry.

Raginis uśmiechnął się i wskazał zad konia.

– Ma wypalony znak właściciela. Herb jakiś, jak tarcza. Dziś nie oznacza się tak koni. Wojskowym daje się numery na grzbiecie, poniżej kłębu, więc to znak prywatnej stadniny.

– W rzeczy samej, przypomina trochę herb Janinę. Nie nasz, bo my jesteśmy Poraje.

– Pewnie pana Strumińskiego – mruknęła Lodzia. – Proszę, nie dręcz już panów.

– Komu w drogę, temu czas – powiedział Raginis. – Jesteśmy dozgonnie wdzięczni za gościnę, cóż, służba wzywa!

– Kazałem osiodłać wasze konie, panowie. Na którą mam przygotować kolację?

– Nie trzeba, mamy dziś wiele zajęć. W każdej chwili mogą przyjść Niemcy.

– Będę jednak czekał. A potem... może partyjka brydża?

– Nie mam takiego szczęścia w kartach jak pan – powiedział Raginis.

– Ale za to będzie pan miał w miłości – uśmiechnęła się zalotnie Lodzia.

– W miłości. – Kapitan pomacał się po kieszeni z obrączkami. – W miłości... tak jest, istotnie.

Sama chciała przytrzymać mu konia, kiedy wsiadał na Karo, który teraz, po obejrzeniu wierzchowców Jamiołkowskiego, wydał się Raginisowi grubą, pospolitą bambaryłą.

– Pani Lodziu, zbytek łaski. I proszę nie gniewać się na porucznika Brykalskiego. To jeszcze nieoszlifowany młodzian.

Obiecuję, że od jutra dodam mu odpowiedniego cugu i fasonu.

– Ja w zamian proszę tylko o jedno. – Obejrzała się na ganek, gdzie stał ojciec. – Proszę coś zrobić, wpłynąć na papę, błagam. Niech pan mu przemówi do rozumu, żeby zostawił te całe konie i uciekał. Przecież tu blisko granica, jest wojna, jak przyjdą Niemcy, to nas spalą. On przegrał w karty majątek, został nam tylko ten dwór. Ja... ja przyjechałam tu z Warszawy specjalnie dla niego, ale on nie chce słuchać. Nie chce ze mną wyjechać.

– Nie mogę zostać u was dłużej, ale obiecuję, pomówię z nim. Może nawet dziś wieczorem. Dziękuję za wszystko, panno Lodziu.

Kiedy już odjeżdżali spod dworu, pozostawiając za sobą ten ostatni przyjazny zakątek, Raginis pochylił się do Brykalskiego.

– Mógłbyś być milszy dla naszej gospodyni – powiedział. – Brakuje nam tutaj chyba ptasiego mleka. Chcesz znowu jeść suchary i gulasz z najstarszej krowy z Kurpik? Zmielonej razem z oborą?

– Ejże, przesadzasz, panie kolego. Nie bój nic, kapitanie. – Brykalski poufale poklepał go po ramieniu. – Wszystko to element planu, najpierw trzeba pannę zdenerwować, żeby się boczyła, szła bokiem, wyłamywała. Żeby potem nagle zacząć postępować łagodnie, spokojnie, jak z koniem. A najlepiej: na słodko.

Góra Strękowa, godzina 16.47

Obok zamaskowanego dolnego schronu bojowego, gdzie zaczynały się zasieki, przed posterunkiem wartowniczym zgromadził się spory tłumek. Sami młodzi mężczyźni, niektórzy palili papierosy. Widząc oficerów na koniach, rzucili je w piach,

zadeptali. I zaraz zaczęli przepychać się bliżej, zastawiając przejście.

– Panie kapitanie, zgłosili się ochotnicy – zameldował, salutując, plutonowy, dowódca posterunku. – Powoli, nie pchajcie się.

– Baczność! – wypalił Raginis. – Uciszyć się. Słucham.

– Panie oficerze, my chcemy do naszego wojska – powiedział ktoś. – Bić Niemców.

– Macie karty mobilizacyjne?

– Na dziesiątego września!

– Na jedenastego!

– Za trzy dni!

– A władze uciekają! Z gminy, z powiatu, my chcemy się bić. Prosimy, panie kapitanie.

– Nu, uważajcie, żeby Niemcy nie narobili w portki! – zakpił plutonowy. – Nie pchać mi się tutaj! Pomału.

Raginis spoglądał po twarzach zgromadzonych; prawdę powiedziawszy, nie dostrzegał w nich jakiegoś fałszu ani przebiegłości. Wszystko proste chłopaki ze wsi, w czapkach, kurtach, paltach – czasem niedopasowanych, jakby odziedziczonych po ojcu czy starszym bracie. Kurpiowskie, zacięte oblicza. Pewnie też żaden z nich nie poszedł wyżej niż siedem klas szkoły powszechnej. A jednak przyszli się bić za Polskę. Ale w tych stronach chłopscy synowie, często wywodzący się z dawnej zagrodowej szlachty, mieli duże poczucie honoru, godności osobistej i karności. Nie mędrkowali i nie wydziwiali jak miastowi. Chociaż pomiędzy nimi a kapitanem była przepaść, niebo i ziemia, Raginisowi zrobiło się jakoś niezręcznie, by przemawiać do nich z wysokości końskiego grzbietu. Zsiadł, stanął przy prawym boku Karo, trzymając wodze, i powiedział:

– Ja dla was broni nie mam, ale dziękuję za ochotę.

– Panie kapitanie, broń zdobędziemy na Niemcach!

– Nic nie poradzę, nie mam ani jednego zbędnego karabinu.

– Panie oficerze, Niemcy zajmują wsie nad granicą, wywożą gdzieś wszystkich mężczyzn, zabierają bydło. To na co my mamy czekać? Zanim stawimy się do komisji, już nas powiozą na zatracenie.

– Idźcie do Białegostoku – rzekł kapitan po namyśle – albo do Łomży, tam są wasze komendy uzupełnień, jeśli się przeniosły. Jeśli nawet was nie wezmą, to powiedzą, dokąd pójść. Na pewno mobilizują oddziały w Osowcu, w forcie numer jeden. Pytajcie o niego. Życzę wam szczęścia.

– Usuńcie się z drogi! – zakomenderował plutonowy. – Rozstąpcie się.

Raginis szedł, prowadząc za sobą konia. Szedł ze spuszczoną głową, powoli.

Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 17.07

– Panowie – zagaił major Fober – z rozkazu podpułkownika Tabaczyńskiego mój batalion Siedemdziesiątego Pierwszego Pułku przechodzi do rejonu Łomża. W zamian za to wesprze was kompania ze składu KOP-u, ale nie wiem jeszcze kiedy. Tym samym dowódcą pododcinka Wizna staje się kapitan Raginis. Bezpośrednim przełożonym jest ciągle podpułkownik Tabaczyński, do niego proszę kierować wszystkie raporty. Jakieś pytania?

Przy stole w świetle lampy karbidowej siedzieli wszyscy dowódcy trzeciej kompanii Batalionu KOP „Osowiec”, plutonu artylerii pozycyjnej i jednej baterii z 71. Pułku. Porucznik Witold Kiewlicz, wyprostowany jak świeca, o podłużnym, pociągłym, gładko wygolonym obliczu, ozdobionym ciemnym

wąsem. Uśmiechnięty jak zwykle Brykalski, kręcący się niecierpliwie na ławce, obok młody jak panna porucznik Jan Zawadzki – jego ręka drżała; ścisnął ją w pięść, czując wzrok kapitana. Dalej siedział dowódca kompanii saperów kapitan Tadeusz Jurowski, jakby nieobecny, a może trochę zastraszony, niczym inteligent albo poczmistrz wśród zagończyków z KOP-u.

Mowa majora Fobera nie wzbudziła żadnych reakcji, nikt się nie dziwił, nie poruszył, nie było westchnień ani spojrzeń.

– Panowie, nie jest źle, z ostatnich wiadomości frontowych: cała nasza obrona się trzyma. Mamy walki na granicach, pod Mławą, w Borach Tucholskich i na Śląsku. Z tego, czego dowiedziałem się przez radio z Osowca, nasz pierwszy baon Sto Trzydziestego Piątego Pułku uderzył na Prostki, przechodzi właśnie przez granicę, bijąc wroga. Mam doniesienia, że zabitych jest sześćdziesięciu paru Niemców, dodatkowo w trzecim baonie zestrzelili samolot i złapali kilku dywersantów. Co na odcinkach?

– Melduję, że główne schrony ciągle są niezdolne do walki – powiedział Kiewlicz. – Nowy dowódca będzie musiał zadbać o sprowadzenie i zamontowanie wentylacji. – Zabrzmiało to trochę jak wyrzut. – Inaczej będziemy zmuszeni wystawić broń maszynową do rowów. To tylko zła wieść, nic innego.

Zawadzki podniósł rękę, trochę jak uczniak w szkole.

– Słucham, poruczniku.

– Obsadzamy pozycję wysuniętą w takim porządku, w jakim pan major naznaczył. Melduję, że most zaminowany, zapory przeciwczołgowe przygotowane. Pionierzy prawie skończyli pracę.

– Jak nastroje w wojsku?

– Z tym gorzej – rzekł niepewnie porucznik. – U naszych kopistów postawa wzorowa, ale jest sporo uzupełnień z Łomży, z Osowca, przeważnie starsze roczniki i nie pododdziały

liniowe, ale zaopatrzenie i tabory. Wielu tam Białorusinów, z okolic skomunizowanych, spod Białegostoku, Grodna, Wołkowyska, nieżyczliwie nastawionych do Polski. Pracują opieszale, możliwe są też dezercje.

– To pan porucznik nie wie, czy są, czy nie? – prychnął Kiewlicz. – Może najpierw niech pan ich policzy, zamiast straszyć.

– Na dzień dzisiejszy stwierdzono dezercję dwóch żołnierzy. Z drużyny gospodarczej: jeden woźnica i jeden pomocnik kucharza.

– Rozumiem – mruknął Fober. – Panie kapitanie, proszę po moim odejściu przedsięwziąć odpowiednie środki.

– Rozstrzelać skurwysynów – warknął Kiewlicz. – Nie ma co się patyczkować.

– Być może będzie to konieczne – rzekł Raginis.

– Panowie – zabrał głos kapitan Jurowski – moje prace, choć zaczęliśmy z opóźnieniem, idą zgodnie z planem. Do jutra skończymy zasieki na pozycji wysuniętej. Kłopot jest z niedźwiadkami, znaczy z małymi schronami, jakbyście nie wiedzieli – ciągnął jakby zakłopotany. – Brakuje stali zbrojeniowej, nie nadeszły też drzwi i kopuły. W związku z tym koncentrujemy się na pracach przy rowach strzeleckich i zasiekach. – Umilkł, zdjął czapkę i przetarł chustką czoło z potu, bo w schronie było duszno i gorąco. – Prawdziwa tragedia grecka to tabory, zarówno wasze, jak i moje. Drobni rolnicy z okolic Białegostoku wysilili cały swój spryt i chytrość, żeby przedstawić komisjom poborowym jak najgorsze konie, słabe wozy, liche uprzęże, bezwartościowe postronki.

– Nie będą potrzebne, bo nie planujemy odwrotu – wtrącił Raginis.

– W opinii dowództwa w Osowcu nie jesteście główną pozycją obronną. Jest spodziewane, że uderzenie pójdzie na

Łomżę, Nowogród i na odcinek Augustów. Dlatego musicie tu wytrwać. Panie kapitanie, proszę przede wszystkim zwrócić uwagę na słabą obsadę pododcinka Kurpiki na południe od wsi i rejonu Grądy-Woniecko. – Palec majora Fobera powędrował po mapie wzdłuż Narwi, a potem cofnął się na wschód, na obszar łąk i mokradeł. – Po odejściu mojego baonu zostanie wam tutaj spora przerwa.

– Ktoś tamtędy w ogóle przejdzie? – zdziwił się Brykalski. – Przez bagno Wizna? O – uniósł w górę rękę – taaaakie błota?

– Poziom wód opadł – mruknął Jurowski. – Aż się boję o przeprawy pod Wizną. Chłop mógłby przejechać tam z wozem, sam widziałem. Wszystko przez upały.

– Zmniejszy się wam obsada międzypól – ciągnął Fober. – Proponuję obsadzić ją przybyłymi posiłkami.

– Jakie są szanse, panie majorze, że nadejdą szybko?

– Już są w drodze. Prawdopodobnie kompania. Czekajcie, a się doczekacie. No, panowie. – Fober wstał i wyciągnął rękę. – Czas się żegnać. O wszystko pytajcie teraz nowego dowódcę. Obyśmy spotkali się w lepszych czasach i po wojnie. Panie kapitanie, proszę zarządzać, co dalej. Ja się odmeldowuję. – Z uśmiechem ściskał dłonie podwładnych, słuchał krótkich pożegnań, życzeń. Nie było czasu na nic więcej.

Na drodze do Strękowej Góry, wieczór

Raginis wracał z pocztem o zmierzchu opustoszałą szosą do Strękowej Góry. Na drodze co jakiś czas błyskały światła latarek saperów, czasem napotykali wlokący się wolno chłopski wóz. Na łąkach od strony Kurpik ciemniały wysokie kopki siana.

Kapitan przymknął na chwilę oczy, bo przypomniał sobie, że niecały tydzień temu, w niedzielę dwudziestego siódmego

sierpnia, droga była pełna wojska. Tędy właśnie na Jedwabne i Orlikowo jechał 10. Pułk Ułanów Litewskich z Białegostoku pod dowódcą Kazimierzem Buslerem. Za nim podążał cały jego dziewięciokonny poczet z zastępcą i trębaczem. Potem pionierzy, kwatermistrzostwo, pluton łączności z taczankami i wozem ze sprzętem.

Wreszcie szwadrony liniowe, w kolumnach trójkami – najlepszych do pokonywania nieutwardzonych dróg – na czele każdego rotmistrz, za nimi luzacy i poczty dowódców, dalej plutony, zwarte szeregi jeźdźców z grzebieniastymi hełmami adrianami na głowach. Potem szwadrony cekaemów z taczankami i częścią karabinów przewożonych w jukach na grzbietach koni, wreszcie pododdział przeciwpancerny ciągnący na przodkach dwa przeciwpancerne działka Boforsa, podskakujące na wybojach polskiej drogi. Na końcu po końskich łajnach wlekli się smętni kolarze na rowerach i szwadron gospodarczy z wozami napakowanymi prowiantem, lecz przede wszystkim sianem i owsem dla koni. Długie tabory zielonkawych wozów z pałubami i dymiące kuchnie polowe.

– Jadą na Prusy, na Szwabów – zamruczał wtedy łącznik Jarmulik. – Nie zostawią ani jednego dla nas.

– Mnie tam dobrze tutaj – zagadał w odpowiedzi Gierszułł. – Micha jest na miejscu, nie muszę odgniatać się w siodle. Kunie ładniutkie, spokojne, trawkę jedzą. Kule nie gwizdają, to co chcieć więcej?

– Aleś fason gdzieś zgubił, bracie!

– Gdzie?! – Gierszułł rozejrzał się niespokojnie po mundurze, po rzędzie końskim. – Gdzie zgubiłem? Co, kiedy? Wszystko jest. Jak ni ma, czego ni mówicie?

Łącznicy zaśmiali się.

– Eeee, nie przejmuj się, brachu – dorzucił Jarmulik. – Bez niego lżej będzie twojej głowie i twojemu koniowi.

Szarpnięcie przerwało wspomnienia kapitana Raginisa. To głupek Karo, zobaczywszy poszarpaną przez wiatr kupkę siana, z której sterczały niby rogi długie wiechcie trawy, skoczył w bok, podnosząc głowę. Prychał, parskał, za nic nie chciał iść dalej.

– Jarmulik, jedź pierwszy! – mruknął wściekły kapitan.

Łącznik przemknął do przodu. Pomogło! Karo, wierzchowy rumak nie wiadomo dlaczego nazywany koniem kategorii W, poszedł dopiero za zadem kolegi. A byli już przy Strękowej Górze.

Dwór w Strękowej Górze, około godziny 19.30

We dworze Jamiołkowskiego Raginis od razu udał się do swojego pokoju – miał własny, nie dzielił go z nikim, bo Brykalskiego zakwaterowano w alkierzu, po drugiej stronie sieni. Pokój łączył prostotę z dawnym pięknem. Szerokie dębowe łóżko z siennikiem, okrągły stół do gry w karty, z czterema krzesłami, na stole sześcioramienny świecznik, piękna stara szafa, za parawanem stolik z miską do mycia i dzbanem z wodą. Stara jak świat sekretera z mnogością szufladek, szufladeczek i opuszczanym blatem. To wszystko stało na starych dechach podłogi, nieco wypaczonej, wyślizganej nogami wielu pokoleń, które wychowywały się, żyły i umierały w tym dworze. Ściany z bali, bielone wapnem, które gdzieniegdzie odpadało. Typowo dworski kontrast kunsztownych staroci z prostotą. Dodajmy do tego woń starego drewna i kurzu.

Kapitan pakował do walizki własne rzeczy, które ledwie kilka godzin temu rozłożył ordynans. Jutro musiał opuścić dwór –

wydał już rozkaz, aby dowódcy odcinków przenieśli się do swoich pozycji. Czekał go duszny schron cztery kilometry dalej.

Przed zamknięciem walizki sprawdził jeszcze osobiste pamiątki. Stare, zniszczone zdjęcia – on sam w mundurku gimnazjalnym z czasów nauki w gimnazjum w Wilnie. I fotografia razem z niepokorną siostrą Marią, jeszcze zanim zaczęła studia na Uniwersytecie Wileńskim. On sam w mundurze wojskowym, na początku nauki w szkole podchorążych w Ostrowi Mazowieckiej. „Władkowi Raginisowi na pamiątkę" – głosił napis na odwrocie. To były jeszcze inne czasy – ze zdjęcia spoglądał na niego drobny, wystraszony blondynek.

Kolejna karta – 1931 rok, promocja na podporucznika, potem on sam na czele plutonu w 76. Pułku w Grodnie. Wreszcie niedawny, wyróżniający przydział do KOP-u, pułk „Sarny", kompania kaemów, fotografia z kolegami.

Wspomnienia i widoki Dźwińska, dziś to już Łotwa. Matka i ojciec, kresowe typy, on potężny i krzepki, ona wspierająca go z całych sił, jak dwa splecione drzewa.

Ślub siostry w parafii Świętego Jana w Wilnie; udziela go proboszcz Makarewicz, Maria wychodzi za Stanisława Morawskiego, leśniczego. Na koniec wyjął zdjęcie dziewczyny o pofalowanych włosach. „Kochanemu Władziusieńkowi – Zofia".

Wtedy włożył wszystkie pozostałe zdjęcia do pugilaresu i odłożył na bok. Schował tylko jedno – narzeczonej. Poszukał w kieszeni obrączek, wyciągnął je, grube, ciężkie, kawał złota; niestety, przez wojnę jego własny ślub musiał poczekać. Wyciągnął czarne wieczne pióro ze złoconą stalówką, rozkręcił, opuścił pulpit sekretery i przysunął sobie ryzę papieru.

„Najmilsza Zosieńko" – rozpoczął. „Piszę ten list na pozycji bojowej, przed walką z Niemcami, których jeszcze nie

widzieliśmy...”

Przerwał, przygryzł wargi, bo słyszał jakieś hałasy za oknem. Podszedł więc bliżej i wtedy poczuł woń prostej machorki, rozpoznał głos starego Safiana i tego drugiego kamerdynera – Błażejka; chyba tak się nazywał. Siedzieli w ogrodzie, palili papierosy, a raczej, wnosząc z woni podłego tytoniu – skręty.

– Długo jeszcze tu będziesz, stary? – powiedział Błażejek. – Długo ci jeszcze pan będzie pstrykał, kiwał, a ty będziesz na każde skinienie przybiegał?

– Chcesz, to wróć do chałupy, do siedmiorga twoich i ojca dynksa.

– Już bym to zrobił, bo wolę... na swoim niż we dworze, co się wali. Stary winien mi pensję od samej Wielkiejnocy. A tobie bodaj jeszcze dłużej.

– Nie twoja to sprawa. Poza tym... breszesz! To jest pan Jamiołkowski... wielki dziedzic. Od zawsze ja u niego. A tobie się nie podoba, to szukaj wiatru w polu. Ja nic się nie boję, zapłaci. U niego hunor jest.

– Uch, stary, ty widzisz, ile tu dobra po pokojach stoi? Jakby pan dziedzic trocha sprzedał, wszystkich by spłacił, a i nawet parcha Mortkę z Tykocina, co go nachodzi.

Raginis zamknął okno. Siadł znowu do sekretery, ujął pióro i...

Zaraz znowu je zakręcił. Ktoś zastukał do drzwi.

– Wejść!

Wszedł kapitan w płaszczu i polowej rogatywce. Prosty jak świeca, szczupły; oficer doskonały, podręcznikowy przykład. Zasalutował także przepisowo do daszka polowej rogatywki.

– Kapitan Schmidt Wacław melduje przybycie ósmej kompanii Sto Trzydziestego Piątego Pułku Piechoty. Stan: czterech oficerów, dwustu dwudziestu dwóch podoficerów i szeregowców, wszyscy zdrowi.

– Wacuś! – Raginis rozłożył ręce. – Jak pragnę zdrowia, Wacek! Dawnośmy się nie widzieli.

– Melduję braki zaopatrzeniowe: dwa plutony wyszły bez tornistrów, cała zaś kompania bez żabek do bagnetów i częściowo bez butów. Wszystko ma być uzupełnione, ale nie wiem kiedy – ciągnął oficer.

– Nie poznajesz? – zapytał Raginis. – Siedemdziesiąty Szósty Lidzki Pułk Piechoty w Grodnie. Mieszkaliśmy w jednej kwaterze, pamiętasz?

Schmidt powoli, jakby z namysłem wyciągnął rękę.

– Awansowałeś – powiedział – i postarzałeś się. Myślałem, że idę pod komendę majora Fobera, a tu proszę: swojak. Kapitan będzie służył pod kapitanem. I zakola ci urosły. – Przeciągnął powoli po głowie.

– Starzeję się. Trzydziesty pierwszy rok mi idzie. Więcej ci powiem: żenię się. Niedługo, jak tylko wojna się skończy – dodał ściszonym głosem.

– Na razie proszę o wskazanie miejsca postoju.

– Kompania staje na noc w Kurpikach, wszystko pokaże wam mój szef, który czeka przy dolnym schronie na pozycji. Proszę, pozwól tutaj, unaocznię ci naszą sytuację.

– Słucham.

Raginis wyciągnął z mapnika i rozłożył na stoliku do gry w karty mapę wojskową, „setkę” sztabową oznaczoną jako „Tykocin”, z naniesionymi pozycjami obronnymi oddziałów.

– Wszystkie dokładne rozkazy wydam jutro na piśmie. Dziś po nocy będziecie mieli kłopot z obsadzeniem pozycji. Mamy dużo zasieków, trudno rozpoznać drogę. Trzecim plutonem piechoty wzmocnisz czatę w rejonie Włochówka – Sulin-Strumiłowo. Drugi z sekcją granatnika przejdzie na odcinek Giełczyn, pod komendę porucznika Kiewlicza. Reszta kompanii i cekaemy obsadzą pod twoim dowództwem południową część

pododcinka Kurpiki, tam są dwa ciężkie schrony w rejonie Kurpik i Maliszewa, rowy strzeleckie dobiegowe i zasieki.

– Jak wygląda sytuacja na skrzydłach? Od strony Osowca znam, byliśmy sąsiadami. A na południe od nas? Za Maliszewem? – Schmidt wskazał palcem bagnisty obszar na południe od szosy.

– To bagno Wizna z przyległymi łąkami. Nikt tamtędy nie przejdzie. Zwłaszcza ciężki sprzęt, samochód albo czołg.

– Niepokoi mnie to miejsce. – Schmidt pokazał wieś Grądy-Woniecko, położoną jak wyspa pośród błot, połączoną drogą i przeprawą promową z terenami koło Niwkowa na południe od Wizny.

– Poza odcinkiem obrony. Cóż, myślę, że mógłbyś wydzielić placówkę z erkaemem, jedną drużynę i obsadzić tę wieś dla świętego spokoju. Wspólnie z oddziałami Trzydziestego Trzeciego Pułku.

– To wszystko?

– Tak jest.

– Odmeldowuję się – zasalutował Schmidt. – Idę przekazać rozkazy dowódcom plutonów.

– Wróć na kolację, bo może być ostatnia spokojna. Dziś jeszcze śpimy na kwaterach, od jutra przenosimy się na stanowiska. Ta cisza od Niemców za bardzo uspokaja. I rozleniwia.

Dwór w Strękowej Górze, godzinę później

Była już noc, kiedy zasiedli do spóźnionej kolacji przy świecach. Raginis nie skończył listu, wzrok miał bardzo zmęczony. Za to przekazał Jamiołkowskiemu pugilares z osobistymi zdjęciami.

– Mam prośbę, aby pan to przechował. Osobiste fotografie i pamiątki. Boję się, że zginą mi, kiedy przeniosę się do bunkra – powiedział, a Jamiołkowski się ukłonił.

Do kolacji zasiedli wspólnie z Brykalskim, dziedzicem i kapitanem Schmidtem, który zdążył już rozłożyć kompanię we wsi. Siedzieli we czterech nad stołem zastawionym półmiskami ozorów w galarecie, zimnych mięs i innych przystawek. Kamerdyner Błażejek latał jak wściekły, prawie rzucał talerze na stół, a kiedy dziedzic ganił go wzrokiem i mruknięciem, kulił się jak pies i nisko kłaniał. Do picia Safian podał kawę i likiery – warszawski mandarin Kantorowicza i słodkiego benedyktyna, jak zapewniał gospodarz, oryginalnego, francuskiego. Narzekał też, że nigdzie nie mógł dostać kaparów ani fig.

– Cóż, panie starszy – odpowiedział Schmidt, gładząc czarne, przyklepane brylantyną włosy z przedziałkiem po lewej stronie – wojna. W aprowizacji będzie raczej gorzej niż lepiej.

– Jakieś wieści o działaniach wojennych? – zapytał Brykalski. – Bo my tu jesteśmy jak na jakimś zadupiu albo w Berdyczowie.

– Cóż, pozycja prawie tyłowa, niewiele się dzieje. Niewiele wiem i ja. Nie macie tutaj radia?

– Miałem operę – skwitował cierpkim uśmiechem Jamiołkowski. – Niestety, zajęta. Przynajmniej chwilowo.

– Wiem tyle, co podały radio i gazety: nasz ambasador Lipski opuścił Berlin, Niemcy zaatakowali Westerplatte w Gdańsku, Litwa i Włochy ogłosiły neutralność...

– A sojusznicy? – spytał Jamiołkowski. – Już wysłali obiecane bombowce nad Berlin? A może na Helu pojawiła się eskadra angielska?

– To tylko kwestia czasu. Anglia zbyt wiele ryzykuje, pozwalając Hitlerowi rozwijać swoje żądania, aby miała pozostać neutralna.

– Tak myślałem. Bardzo źle się wszystko ułożyło. Ryzykujemy całym krajem, tak ciężko odbudowanym po wielkiej wojnie i kryzysie trzydziestego roku, w imię imperialnych interesów Londynu i Paryża.

– Pan, zdaje się, nie jest po stronie rządu – mruknął Brykalski. – Cóż, pożyjemy, zobaczymy.

– Obyśmy przeżyli najbliższy rok – wzruszył ramionami dziedzic. – A co do pańskiego pytania, poruczniku, to mam nieodparte wrażenie, że przystępujemy do wojny nieprzygotowani, a sojusznicy tylko kupują sobie czas dzięki krwi polskiego żołnierza.

– Zatem uważa pan, że należało oddać Hitlerowi Gdańsk? I całą resztę Pomorza?

– Uważam, że należało zyskać na czasie. Choćby po to, żebyście panowie mieli wszystkie kopuły na schronach i wszystkich żołnierzy pod bronią.

– Hitler nie skończyłby na Gdańsku. Chciałby więcej i więcej, po kawałku, jak zrobił z Czechosłowacją. Tak by nas po prostu pokroił.

– Oczywiście Gdańska oddać nie mogliśmy – zamachał ręką dziedzic – choć każdy miesiąc odwlekający wojnę mógł być zbawienny. Ale nasze wspaniałe rządy poplecznikόw marszałka Piłsudskiego wpędziły nas w pułapkę własnej wydumanej siły. „Nigdy”, mówili, „nie oddamy Gdańska, ani jednego guzika, byczo jest, nie pozwolimy odepchnąć się od morza!” Więc teraz rząd, który z rozsądkiem wycofałby się z Wolnego Miasta, dając nam czas na przygotowanie się do wojny, stanąłby pod pręgierzem publiki, jak ostatni żebrak. Dlatego zaczęliśmy wojnę sami, słabi i niegotowi. Tyle panu powiem.

– Zapewne znacznie lepiej od nas zna pan sztukę blefowania w kartach – odezwał się Raginis – więc proszę pamiętać, że tak jak pan przy stoliku, tak nasze władze musiały często udawać,

że Polska jest silniejsza niż w rzeczywistości. Inaczej już dziesięć lat temu zgnietliby nas Niemcy albo Sowieci. Jak wszystkie słabe kraje: Austrię, Czechy, Abisynię Włosi. I jak komuniści chcieli poskromić Hiszpanię.

Jamiołkowski osadził w długiej fifce papierosa, Brykalski pochylił się i pstryknął benzynową zapalniczką. Raginis kątem oka obserwował Błażejka, który podniósł jakiś posążek z szafeczki i oglądał dokładnie. Speszony, pod wzrokiem oficera udał, że tylko po to, aby wyczyścić go z kurzu.

– Jeśli zna pan kanony wielkiego pokera – powiedział Jamiołkowski – to pewnie wie, że są dwa rodzaje blefu. Jeden nachalny, agresywny, kiedy podbija pan stawkę coraz wyżej, upewniając przeciwnika, że trzyma pan w garści mocne i nieprzebite karty. Drugi z kolei lękliwy, licytuje wygrywający układ, aby pozostali gracze myśleli, że pan przegrywa, podczas gdy trafiły się panu same asy. Żeby ich wciągnąć i wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy. Ten pierwszy sposób jest dobry, jednak pod warunkiem, że nie ryzykuje pan wszystkiego... Ja tak robiłem – powiedział po chwili. – Ryzykowałem wiele, można by rzec: przegrałem całe życie. Ale do pewnych granic. Nigdy nie postawiłem mojego dworu – zatoczył ręką koło – koni. I mojej żony. Tak samo nigdy nie postawiłbym losu Polski na jedną kartę, bo to nie jest morga czy tysiąc mórg ziemi, milion czy sto tysięcy złotych, stos carskich rubli. To jest nasz dom, a jeśli przegramy, możemy już nigdy nie powstać. Cud roku osiemnastego może się nie powtórzyć.

Umilkł, a Raginis zobaczył, że jego ręka drży. Dłoń zawodowego pokerzysty... A jednak. Dziedzic podniósł się i ukłonił.

– Panowie wybaczą, ale muszę się położyć. Za bardzo przejmuję się tym wszystkim, a i zdrowie nie dopisuje. Wojna to

nie partyjka preferansa. Ciągle się boję, że stracę... córkę. Nie wiem, po co przyjechała tu z Warszawy.

– Może powinniście razem wyjechać – zasugerował Raginis. – Gdzieś w mieście albo na głębokiej prowincji będziecie bezpieczniejsi.

– Ja już się nie nadaję do tułaczki. Zostaję tutaj, nie porzucę koni, dworu, tego wszystkiego, co mam. Nawet moich długów. – Jamiołkowski uśmiechnął się i podkręcił wąsa. – Dobranoc, życzę słodkich snów, Safian będzie do panów dyspozycji. – Strzelił palcami i stary lokaj pojawił się jak duch. Oczywiście z butelką likieru. Dziedzic odszedł powoli.

– Mówiłeś, że się żenisz – powiedział Schmidt. – Czy z ową niewiastą, którą poznałeś w... w...

– W Departamencie Broni Ministerstwa Wojny? Musiał ci ktoś źle powiedzieć. Oto moja narzeczona Zofia, Zosieńka Kochańska. – Raginis wyciągnął zdjęcie i pokazał kapitanowi.

– Cóż – Schmidt oglądał je chwilę, zbliżając do światła – tylko pozazdrościć koledze. We wszystkim mnie wyprzedzasz: w starszeństwie i w małżeństwie, nawet ty dowodzisz pododcinkiem Wizna.

– Ejże, nie jesteś chyba zawistny.

– Jestem, a jakże, zwłaszcza że przestałem sobie chwalić stan kawalerski. Dobrze mieć jednak dom i piękną żonę.

– Można? – zapytał Brykalski. Oglądał z uwagą zdjęcie pięknej długowłosej panny przy sztalugach malarskich, z wielkimi, rozmarzonymi oczyma. – Widzę, że artystka. Nie będzie kolega miał kłopotów z pułkową komisją małżeńską?

– Cóż, serce nie sługa. W razie czego... będzie to trudna decyzja.

– Naprawdę? Gotów byłbyś odejść ze służby?

– Dla niej! Naprawdę. Czyż nie jest tego warta? Ale mam nadzieję, że nie będzie trzeba.

– A posag ma na książeczce czy w ruchomościach?

– Jeszcze nie ustalony. Przed komisją miałem stawać we wrześniu. Gdzież tam jest teraz czas na to.

– Zatem życzę, żeby komisja i dowódca brygady udzielili zgody. – Schmidt wzniósł kieliszek. – Zdrowie naszych pięknych pań!

– Tylko której mojej pani? – zacukał się Brykalski. – Koledzy, co robić, mój wybór jest całkiem spory.

– Wybór? A, chcesz się żenić, tylko nie wiesz z którą?

Porucznik wyciągnął swoje zdjęcia niczym zawodowy gracz pokera. Podał im trzy; każde przedstawiało inną... panią. W dodatku w pozach dość swobodnych. Jedna z długimi, pofalowanymi włosami, druga w bieliźnie, cóż, komisja wojskowa pewnie nie uznałaby jej za odpowiednią żonę dla oficera. Trzecia na huśtawce. Kapitan Schmidt spoglądał na to zdjęcie z jadowitym uśmiechem.

– Wszystkie kochają – ciągnął Brykalski. – Każda piękniejsza od drugiej. Jedna dziedziczka, druga aktorka, a trzecia... cóż... zapomniałem. Dedykacje macie na odwrocie.

– Do tej na huśtawce nie jesteś pan pierwszy, panie kolego – powiedział Schmidt, krzywiąc się złośliwie. – Rzekłbym, że jest do niej spora kolejka.

Pogrzebał w mapniku, wyciągnął notes, a z niego powyginane zdjęcie.

– Podpułkownik Tabaczyński skonfiskował takie uczestnikom kursu szkoły podoficerskiej KOP-u. Podpadało pod szerzenie pornografii. Ja wziąłem oczywiście tylko dlatego, żeby pokazywać wszystkim przykłady tego... ohydztwa. Tak więc jako starszy kolega radzę lepiej lokować swoje uczucia i nadzieje.

Na zdjęciu była ta sama panna machająca frywolnie nogami na huśtawce, co na pamiątce porucznika.

Artylerzysta otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu tchu. Mówiąc prosto – kapitan Schmidt zgasił Brykalskiego jak świecę.

– Panowie, ostatni kieliszek i spać! Już dawno po capstrzyku!

WARSZAWA, Nalewiecka 6
P. 310971 A
Ft. Biblioteka Narodowa

Antywojenne demonstracje i panika w Niemczech

Wydanie A B C

Cena 10 gr.

DZIENNIK POLSKI

WYCHODZI RANO

Rok V. | Prenumerata ... | Lwów, piątek 1 września 1939 r. | Codzienna korespondencja ... | Nr. 239

Wobec nowych prowokacji Berlina

Polska wydała szereg zarządzeń obronnych

Warszawa, 30. 8. (Tel. wł.) Wskutek zarządzeń prowokacyjnych Berlina w stosunku do Polski, Rząd Rzeczypospolitej uznał za konieczne wydać w dniu dzisiejszym nowe zarządzenia obronne.

Zarządzenia te dalekie są od jakichkolwiek zamiarów agresywnych. Są one jedynie następstwem zdecydowanego stanowiska Polski, która zawsze podkreślała, że odeprze siłą każdą próbę ataku bezpośrednio czy pośrednio zagrażającego jej bezpieczeństwu.

Rząd polski w licznych enuncjacjach najwyższych kierowników Państwa przestrzegał Berlin przed nieodpowiedzialną polityką gwałtów, aneksji i kłamstw, która ostatecznie będzie musiała się spotkać ze zbrojnym odporem.

Naród stoi stale pod bronią z czystym sumieniem, wiedząc, że jego kierownicy uczynili wszystko, by uchronić Polskę a wraz z nią i świat cały przed potopem wojennym. Może jeszcze armaty nie zagrzmią, może jeszcze w ostatniej chwili podwalacze świata cofną się wobec zdecydowanej postawy obrońców pokoju i wolności narodu. Możliwości tych nie wykluczamy, przeciwnie tym bardziej musimy okazać nasza siłę, powołując do szeregów nowe zastępy żołnierzy.

Jakkolwiek rozmowy dyplomatyczne toczą się nieprzerwanie, to jednak w ciągu wtorku sytuacja uważana jest we wszystkich stolicach świata za bardzo poważną.

Londyn, 30. 8. (PAT) Cała prasa angielska nadaje dużo znaczenie memorandum polskiemu, skierowanemu do rządu słowackiego z racji objęcia Słowacczyzny przez wojska niemieckie. Dzienniki uważają, że protest ten posiada doniosłe znaczenie.

Korespondent dyplomatyczny „Daily Telegraph" pisze na ten temat, że KOMUNIKAT POLSKI O PROTESCIE PRAWDOPODOBNIE MA NA CELU ZWRÓCENIE Z GÓRY UWAGI NA FAKT, ŻE POLSKA UPRAWNIONA BĘDZIE WEDŁUG POSTANOWIEŃ POLSKO-ANGIELSKIEGO UKŁADU O WZAJEMNEJ POMOCY OCZEKIWAĆ ZE STRONY W. BRYTANII, O ILE POLSKA UZNA ZA RZECZ KONIECZNĄ, PRZECIWSTAWIĆ SIĘ PRZY UŻYCIU SWOICH SIŁ ZBROJNYCH, POŚREDNIEMU ZAGROŻENIU NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI, JAKIE WYOBRAŻA KONCENTROWANIE WOJSK NIEMIECKICH NA GRANICY POLSKO-SŁOWACKIEJ.

STOIMY ...

Ambasador Stanów Zjedn. u lorda Halifaxa

Warszawa, 31. 8. (Tel. wł. — I. r.) Ambasador Stanów Zjednoczonych w Londynie przybył wczoraj o godzinie 18 do Foreign Office i został przyjęty przez lorda Halifaxa.

Komunikacja lotnicza Rzym-Londyn

Warszawa, 31. 8. (Tel. wł. — I. r.) Komunikacja lotnicza między Rzymem a Londynem, która była od tygodnia przerwana, została przywrócona.

Los nauczycieli polskich w Niemczech nieznany

Warszawa, 31. 8. (PAT) Według otrzymanych wiadomości, cały skład gimnazjum w Kwidzynie poprzeniesiono do Królewca.

W Złotowie aresztowano p. Konstenckiego, adwokata Polaka, p. Kozika, Polaka, dyrektora banku, Szkoły zamknięto. Los nauczycieli obecnie nieznany.

Cofnięcie uprawnień dewiz bankom niemieckim

Warszawa, 31. 8. (Tel. wł. — I. r.) „Monitor Polski" z 30 bm. zawiera obwieszczenie ministra Skarbu o cofnięciu uprawnień bankom zwrotnych następstwem przedłużeniem banków. Deutsche Bank w Katowicach, Bank Spółdzielczy w Poznaniu, Bank für Handel und Gewerbe w Poznaniu, Bank Spółek Niemieckich w Łodzi.

Rzesza przekroczyła wszelkie dopuszczalne granice

w zuchwałym zagrażaniu Rzeczypospolitej

Warszawa, 31. 8. (Tel. wł. — I. r.) Komunikat rządu polskiego w sprawie zarządzeń wojskowych wyraźnie wskazuje, że sytuacja jest poważna.

Polityka Rzeszy Niemieckiej doprowadziła do takiego zaostrzenia stosunków z Polską, że nie znaczy, iż zagrożeniem Rzeczypospolitej nazwać trzeba istniejący obecnie stan rzeczy.

Niemieckie przygotowania do agresji przeciw Polsce, jak z naciskiem wskazują miarodajne czynniki, są aż nazbyt widoczne. Uławiania się one nie tylko w ruchach i koncentracji wojsk niemieckich nad naszą zachodnią granicą, ale również

w publicznych oświadczeniach najwyższych czynników Rzeszy,

wprowadzających zuchwałe pretensje terytorialne.

Niemiecka propaganda nadal nie zaprzestaje w atakach na Polskę, szerząc w świecie obelgi, oszczerstwa i kłamstwa, wszystkie metody prowokacji stosowane na granicy oraz na terenie Gdańska nie pozostawiają żadnych złudzeń co do zamierzeń Rzeszy.

Polska zachowuje cały czas postawę pełną godności i pokoju.

Tę wolę pokoju stwierdził jeszcze raz po przemówieniu Marszałka Śmigłego Rydza i orędzie P. Prezydenta R. P. wczorajszy komunikat urzędowy, wskazując jednocześnie, że

Rzesza przekroczyła wszelkie dopuszczalne granice.

Polska staje się zagrożona i jako państwo wysoko ceniące swój honor, odpowiedziała na niemieckie zakusy społeczeństwa i armia już z bronią u nóg.

Jeszcze jedna prowokacja

Gdańsk żąda żywności z Polski

Gdańsk, 31. 8. (PAT) Senat W. Miasta zaproponował wczoraj komisarzowi generalnemu R. P. przeprowadzenie rozmów na temat dostawy do Gdańska artykułów żywnościowych z Polski, oraz otwarcia ruchu pasażerskiego na linii Tczew — Gdańsk.

Wyznaczeni do tych rozmów pp. Grabowski i Szadkowski, udali się na wyznaczone miejsce. Rozmowy toczyły się w rzeczowym i życzliwym nastroju.

Kiedy jednak obaj delegaci opuścili gmach, w którym rokowania toczyły się, zostali przez Gestapo aresztowani.

Gdańsk, 31. 8. (PAT) W ciągu wczorajszego popołudnia, aresztowani zostali w Gdańsku znowu dwaj inspektorzy celni Jurczyński i Czerwa.

Skład nowego rządu tokijskiego

Japonia dąży do kompromisu z Wielką Brytanią

Londyn, 30. 8. (PAT) Z Tokio donoszą, że nowy gabinet japoński został dzisiaj skompletowany.

Premierem i ministrem spraw zagr. jest gen. NOBYUKI ABE.

Ministrem spraw wewn. i opieki społecznej jest p. HARA.

Ministrem finansów p. AOKI.

ministrem marynarki jest wiceadmirał JOSZIDA.

Ministrem wojny mianowany został gen. HATA.

Nominacje te są uważane za najbardziej doniosłe. Minister wojny gen. Hata był dotąd główym adiutantem cesarza. Minister marynarki wiceadmirał Joszida był głównodowodzącym floty a minister finansów Aoki był przewodniczącym urzędu planowania.

Co do samego premiera, to nie jest spodziewane, że obejmie on portfel spraw zagranicznych na dłuż. Rzeczpospolitej, że jest to zarządzenie przejściowe. Prasa japońska przyznaje, że rząd obecny będzie dążył do znalezienia kompromisu z W. Brytanią.

P. 310971 (A)

Rozdział II

Ostatnie dni wolności

3 IX 1939, przed dworem w Strękowej Górze, godzina 6.25

Dzień zaczął się pechowo. Kiedy Raginis kazał przygotować się do wyjazdu i siodłać konie, okazało się, że Karo okulał. Gierszułł przyprowadził go z niewyraźną miną, a koń ledwie stąpał na przedniej lewej nodze. Kiedy kapitan pochylił się nad

nim, wyraźnie wyczuł pod lewym nadgarstkiem z tyłu nadpęcia zgrubienie jak szyszka, ciepłe i bolesne, bo koń wyrywał nogę.

– Cholera jasna! Mamy w taborach jakiegoś weterynaryjnego łapiducha?

– Nie trzeba tu medyka, panie kapitanie – powiedział Jamiołkowski, który przyglądał się wszystkiemu z ganku. – Ja nawet stąd widzę, że naderwał ścięgno.

– Co pan proponuje?

– Rozsiodłać go i do stajni, niech stoi, dać zimne okłady, pomału będzie się zmniejszać. Za parę dni, jak ta bulwa zniknie, może zacząć chodzić normalnie. Wtedy go prowadzać, ale po twardym, żeby sobie czasem drugi raz nie naciągnął.

– Tak zrobimy – zdecydował kapitan. – Gierszułł, postaw Karo osobno, żeby go inne nie zaczepiały...

– Oj, chodź, ty mój biedaku – rozczulił się ordynans.

– Jarmulik, zostaniecie tutaj, siądę na twojego.

– Nie trzeba – rzucił Jamiołkowski. – Ja panu sprezentuję konia. Niech Safian przyprowadzi Bohatyra.

Sługa wrócił po chwili, prowadząc na uwiązie siwego wierzchowca.

– Proszę jeździć jak na służbowym. Ja i tak nie mam czasu na zabawę, a kości mam stare. Koń godny bohatera, panie kapitanie, wojskowo chodził: w dwójkach, w trójkach, spokojny.

– A nie kopie? Nie gryzie? – rzucił wystraszony Gierszułł.

– Gdyby gryzł, poszedłby na kotlety. W przeciwieństwie do niektórych pań, nie trzymam wariatów pod siodło.

Gierszułł powoli, jakby z obawą włożył na grzbiet bohatera potnik, a potem oficerską kulbakę, okutą na przednim łęku dwudziestkępiątkę z sakwami i czaprakiem. Zapiął popręg, ale nie podciągał od razu. Najpierw założył na łeb ogłowie z kantarem i munsztukiem. Spiął łańcuszek, sprzączki,

przeprowadził kilka kroków, dopiero powoli, spokojnie podciągnął popręg drugi raz.

Koń znosił to wszystko cierpliwie, wyglądał nawet na zadowolonego. Kapitan postawił stopę w strzemieniu, odbił się, wylądował miękko na siedzisku, ujął wodze, przyciągnął lekko. Nic. Koń stał nieporuszony.

– Proszę jechać śmiało – powiedział dziedzic. – Jest dobrze ujeżdżony, byle go nie szarpać na pysku.

Raginis dodał łydek i koń poszedł posłusznie, najpierw powoli, potem kłusem. Po okrągłym i wypasionym Karo prezentował się jak chudzielec, jednak kapitan od razu poczuł w nim siłę wyrobioną swobodnymi galopami po łące, ćwiczeniami, jazdą w terenie, po drogach, po lasach, polach, uroczyskach. Siedział jak na żelaznym koniu, stworzonym z twardych mięśni i stalowych ścięgien. Więc ruszył. Zaraz na drodze za dworem przeszedł w długi kłus, rozgrzewając konia. Poczet posłusznie szedł za dowódcą.

Giełczyn, godzina 9.24

Bohatyr to był koń jak marzenie każdego kawalerzysty. Raginis poczuł to już po kilku dłuższych chwilach. Zwarty, krępy, szedł raźno do przodu, a kiedy kapitan wypuścił go wreszcie w łagodny galop, zaczął nawet pochrapywać z zadowolenia. Dawno był niejeżdżony, na szczęście pan Jamiołkowski wyganiał konie na cały dzień z dworu na łąki nad rzeką, miały gdzie się wyszaleć. Niósł łagodnie, miękko, był trochę wykłębiony; nie lubił jazdy na wodzach, kapitan musiał znacznie poluzować mu oficerski munsztuk, inaczej Bohatyr złościł się, szarpał głową.

W Górze Strękowej Raginis zaczął obchód, zajrzał do schronów, odebrał raporty, potem wsiadł na koń i pojechał – najpierw na pododcinek Giełczyn – brodem koło wioski, u podnóża wzniesienia upstrzonego tu i ówdzie szerokimi łysinami piasku. Bohatyr zamarudził trochę, czując pod kopytami błoto, lecz dzielnie przeszedł przez Narew. Po fochach i wariactwach Karo to była niemal czysta rozkosz.

Przebyli bagnistą, pełną łąk i błot pradolinę Narwi, wjechali do Giełczyna, prostej ulicówki rozłożonej wzdłuż zakurzonej, typowo polskiej drogi. Przemknęli obok rzędu chałup, teraz, w czas wojny, dość osobliwych, bo z oknami zaklejonymi krzyżującymi się paskami papieru – żeby szyby nie wypadały. Kierowali się na zachód od wioski, gdzie na nabrzeżnych łąkach i rozlewiskach wznosiły się schrony bojowe – dwa duże i jeden mniejszy – pododcinka Giełczyn.

Kiedy znaleźli największy, koło Gaci, będący punktem dowodzenia porucznika Kiewlicza, Raginis drgnął. Obok schronu przed zasiekami rozgrywała się niepokojąca scena. Czterech strzelców stało z bronią gotową do strzału – na razie jeszcze u nogi. Obok spierali się porucznik Kiewlicz i porucznik rezerwy Teofil Szopa, dowódca drugiego plutonu ósmej kompanii.

Były też trzy skulone postacie – dwóch czarnych od brudu żołnierzy w czapkach polowych opadających na oczy, rozdygotanych, postawionych na wprost plutonu egzekucyjnego. Gdyby nie mundury, można by powiedzieć, że jeńcy. Trzeci osobnik był po cywilnemu, w roboczej drelichowej kurtce, w czapce maciejówce.

Egzekucja, nic innego! Dowodzący plutonowy wydawał powoli przeciągane komendy:

– Baczność!

Żołnierze wyprężyli się przepisowo.

– Na ramię broń! Cel!

Karabiny podniesione do oczu...

– Stój! – rozkazał Raginis, podjeżdżając bliżej. – Stój! – powtórzył. – Do nogi broń! Co tu się dzieje?!

Kiewlicz zmarszczył brwi jakby z niechęcią, ale wyprostował się regulaminowo i zasalutował jakby od niechcenia.

– Jak to co? Rozwalamy dezerterów, panie kapitanie!

– A ten cywil?

– Dywersant, złapany z bronią w ręku w lesie pod Kołodziejami.

Kapitan zeskoczył z Bohatyra, po kozacku, przekładając prawą nogę nad przednim łękiem. Oddał wodze luzakowi.

– Kto ich sądził? Jakim prawem?

– Ja – oświadczył Kiewlicz. – Prawem sądu polowego. Razem z porucznikiem.

Szopa westchnął, otarł pot z czoła.

– Byłem przeciwko, panie kapitanie – oświadczył. – Co nagle, to po... po diable!

– Ci tutaj dwaj uciekli dziś w nocy z taborów ósmej kompanii. Złapani przez patrol kaprala Wiewiórskiego. Doprowadzeni zgodnie z regulaminem, sąd odbył się dziś rano, o godzinie siódmej. Przepraszam, nie zdążyłem wysłać raportu.

Raginis odwrócił się do dwóch dezerterów, podszedł, marszcząc brwi. Rękę miał już na kaburze z visem, powoli odpinał pasek, pociągnął za rękojeść...

– Nazwiska i przydziały! I nie kłamać!

– Strzelec Marczuk – powiedział starszy, nieogolony, ale spokojniejszy.

– Przydział? Specjalizacja?

– Woźnica, panie kapitanie, a przydział to wóz furażowy. Ale stoi pusty, owies konie wyjadły. My niewinni, panie kapitanie.

– Ze strachu uciekliście?

– Z głodu. Zostawili nas w Laskowcu, pilnować wozów nie wiadomo po co. A wszyscy poszli. Jeść dwa dnie nie dali. Żeby nie ludzie z wioski, przyszłoby już skapiać. To co mieliśmy robić, jak wkoło mówią, że wszyscy uciekają?

– A ty?

– To strzelec Hawryła, Białorus, panie kapitanie.

– Sam nie ma języka w gębie?!

– Tak jest, panie wielmożny! – zaśpiewał drugi, bardziej zestrachany. – Ja zy wsi jestem, z Zapiczków koło Supraśla...

– Jaki masz przydział?! – huknął plutonowy.

– Wóz przykuchenny. Woźnica.

– Kiedy ostatni raz jedliście?

– Dwa dni temu. A racji nie mamy.

– Nie nastarczamy dać wszystkim, brakuje żarcia. Wodę samą będziemy chyba gotować, bo chłopy wszystko pochowali. Gadają, że wojna, nie będą sprzedawać po cenach państwowych – zaszemrał Kiewlicz.

– Panie jasny, panie! – zajęczał Hawryła i nagle runął na kolana, składając ręce jak do modlitwy. – My nie winowaci! Myśmy słyszeli, że Niemiec idzie, że trzeba się ratować...

– Plutonowy!

– Na rozkaz!

– Zabrać ich, dać łopaty i do wieczora niech kopią rowy! Dajcie im dobrą szkołę, potem odkomenderować do kuchni. A teraz precz! – Pochylił się jeszcze nad nimi na chwilę. – Puszczę was wolno. Tym razem. Jeśli jeszcze raz nawiejecie, każdy dostanie kulę osobiście ode mnie. Z tego służbowego visa. To była nauczka, zrozumieliście?

Kiwali spazmatycznie głowami.

– To biegiem! Za plutonowym! Ruszać się!

– Tak jest!

– A co z dywersantem? – zapytał porucznik Szopa. – Złapany z bronią.

– Sprowadźcie pod eskortą do baraków w Górze Strękowej. Każcie sierżantowi go zamknąć. A pana porucznika proszę na słowo, za mną.

Kiewlicz posłusznie ruszył za Raginisem. Dowódca wszedł do schronu, przeszedł przez korytarzyk skręcający w prawo, potem przez otwór czekający na drzwi przeciwgazowe, przez kolejny przedsionek i skierował się na lewo, do komory bojowej, gdzie przy strzelnicy z osadzonym w półkolistym jarzmie cekaemem wz. 30, grubym jak cygaro, dyżurowali: celowniczy, ponury starszy strzelec i taśmowy.

– Proszę zostawić nas samych!

Zasalutowali i opuścili komorę. Raginis odwrócił się do pociemniałego porucznika.

– Można wiedzieć, co pan robi, poruczniku? Wedle dekretu z dziewiętnastego roku, o ile dobrze pamiętam, organizacja polowego sądownictwa doraźnego należy do Naczelnego Dowództwa i dowództw okręgów generalnych, czyli w naszym przypadku do dowództwa grupy operacyjnej albo Osowca.

– Które mogą przekazać uprawnienia podległym im dowództwom...

– Nie niższym jednak od dowódcy pułku lub detaszowanego batalionu włącznie.

– Nie będę się z panem przerzucał paragrafami, jednak rozporządzenie majowe i Kodeks wojskowego postępowania karnego sprzed trzech lat dają mi prawo do organizacji sądów.

– Znów pan się myli, gdyż kodeks określa, że prawo sądzenia w trybie doraźnym należy wyłącznie do kompetencji dowódcy, czyli mnie. A przy okazji i tak wszczęcie postępowania następuje z chwilą doręczenia wojskowemu sądowi

okręgowemu rozkazu dowódcy! Nawet ja nie miałbym prawa ich rozstrzelać, musiałbym przekazać wyżej, do Osowca.

– Niech pan da spokój, kolego – powiedział nerwowo Kiewlicz. – Przecież pan wie, że nie chciałem ich rozwalać, tylko nastraszyć. Siedzimy tu, na słabej linii umocnień, co dzień moi ludzie gnieżdżą się w niewykończonych schronach i widzą, jak z tej cholernej ósmej kompanii wieją dezerterzy. Jak wszystko wkoło rozpada się i uciekają władze. To załamuje morale nawet wśród moich kopistów.

– Nie zatrzyma ich pan strachem. Żołnierzom trzeba dać przykład.

– Jaki, skoro nawet nie powąchaliśmy niemieckiego smrodu?

– Proszę dać im choćby dobrze jeść.

– Skąd wezmę racje?

– Proszę pomówić z proboszczem w Giełczynie. On przemówi chłopom do rozsądku i sprzedadzą wam mięso. W ostateczności można przeszukać chałupy i skonfiskować. Ma pan na to moją zgodę.

– Tak jest.

– A teraz poproszę szczegółowy raport!

– Na dzień dzisiejszy: załogi w gotowości obsadzają dwa ciężkie schrony bojowe. Trzeci obsadzony przez porucznika Szopę. Nadal nie mamy wentylacji i rur do powietrza. Małe schrony pod Kołodziejami niewykończone, załogi obsadzają rowy strzeleckie. Zakończono budowę zasieków. Melduję też, że drugi pluton ósmej kompanii zakończył obsadzanie stanowisk między schronami. Sekcja granatników przygotowana do walki. Prowadzimy stałą obserwację przedpola. Przypominam, że junacy i saperzy nie zdążyli rozebrać szop, baraków i innego ustrojstwa w pobliżu linii obronnej. Sami musimy się z tym uporać.

– I tak trzymać. Dziękuję, panie poruczniku.

Kiewlicz nic nie powiedział, pozostał zwarty, zbity, gotowy do obrony nie przed Niemcami, lecz przed dowódcą. Wychodząc, Raginis miał przekonanie, że nie zdołał wzbudzić w nim entuzjazmu ani wsparcia.

Wierciszewo – Wizna, około godziny 10.00

Gdyby popatrzeć z góry na pozycje obronne pod Wizną, uderzyłby w oczy chaos. W terenie, jakim jest dorzecze Narwi i Biebrzy, nie da się przeprowadzić prostej i miłej dla oka linii umocnień znanej z Linii Maginota czy starych rosyjskich albo austriackich fortów. Jeśli spojrzeć z Góry Strękowej na zachód, Narew rozcina teatr walk na dwie równe części, płynąc we wspomnianym kierunku i zataczając szerokie, postrzępione łuki, meandrując po zielonych łąkach i bagnach, porzucając stare koryta jak odpadłe od pnia gałęzie. Pomiędzy Wierciszewem a Rusią rzeka raptownie skręca na południe i dalej płynie już mniej więcej prosto, mijając z prawej strony Wiznę. Jednak właśnie mniej więcej na owym ostrym zakręcie z północy wpada do niej Biebrza, wynurzając się z malowniczych bagien i błot. Ogólnie obie rzeki układają się w figurę na kształt dużej litery T pochylonej w lewo.

Tereny są ciężkie, błotniste i bagniste. Doliny rzek po wiosennych roztopach, a czasem i jesienią po deszczach zmieniają się w rozlewiska i jeziora. W dodatku po południowej stronie Narwi, jeszcze przed zakrętem, za szosą z Wizny do Góry Strękowej, rozciągają się błota i mokradła, z których jak wyspy sterczą wioski z otaczającymi je polami: Maliszewo, Włochówka, Grądy-Woniecko. Roztoki wód dzielą więc teatr wojny na trzy pododcinki – słabo ze sobą połączone brodami i mostami.

W środku mniej więcej, na południowym brzegu Narwi, na wzgórzu 126, które od północy wznosi się stromo nad doliną rzeki, a od południa opada łagodnie ku szosie, stoi obiekt GG-126, główny schron kapitana Raginisa. Obiekt obserwacyjno-bojowy, z kopułą obserwacyjną, flankujący cały teren od rzeki do drogi z Wizny.

Poniżej, u podnóża góry, wznosi się kolejny obiekt, żelbetowy, solidny, broniący podejścia do stanowiska dowodzenia.

Na północ, za rzeką, jest pododcinek Giełczyn porucznika Kiewlicza. Trzy ciężkie schrony bojowe, rozrzucone w lekkim łuku – pierwszy przed wsią Giełczyn, drugi na południe od Gaci, trzeci zaś bardziej na północy, pod Kołodziejami. Pomniejsze schrony budowane są jeszcze dalej, na zachód od wsi Kołodzieje, lecz nieskończone, nieprzygotowane do obrony.

Kolejny odcinek obrony to pozycja wysunięta – pomiędzy wsiami Sulin-Strumiłowo a Włochówką, pod dowództwem porucznika Jana Zawadzkiego. Rozciąga się po wschodniej stronie Narwi, mając przed sobą rzekę, nieco z lewej strony Wiznę i most, a także rozległe, spalone słońcem łąki i zarośla na jej drugim brzegu. Są tu pomniejsze schrony bojowe, lekkie – jeden we Włochówce, z widokiem z kopuły na Wiznę, drugi nieco bardziej na północ, koło wsi Sulin-Strumiłowo. Dwa są zaczęte – na zakrętach szosy, jeden ledwie ukończony, z jeszcze nie wyschniętym betonem. Drugiego prawie nie ma – jest wykopana dziura, założone szalunki, jednak technik Szymonowicz jeszcze nie zdołał nawet wylać fundamentów.

Pozycja główna, czyli odcinek Kurpiki, rozciąga się dalej na wschód, będąc przedłużeniem linii umocnień kapitana Raginisa. Po drugiej stronie drogi stoją dwa mniejsze schrony bojowe – jeden pod Kurpikami, drugi pod Maliszewem. Pomiędzy nimi znajduje się jeszcze mały obiekt flankujący.

Jedyne wsparcie to działa. Bateria artylerii pozycyjnej porucznika Brykalskiego składająca się z dwóch plutonów, czyli czterech niezawodnych starych prawosławnych armat wz. 02/26. A także z plutonu artylerii piechoty z 71. Pułku, dwóch dział siedemdziesiąt pięć milimetrów, wspierających pozycję wysuniętą, ustawionych na stanowiskach w pobliżu mostu.

Armaty stoją w lasku, wśród karłowatych sosenek, na wschód od schronu kapitana Raginisa, za Górą Strękową, zamaskowane, na stanowiskach, osłonięte zasiekami i kozłami hiszpańskimi. Nad każdym wisi siatka maskująca stanowisko, obok wkopane są schrony ziemne dla obsługi, magazyn amunicji znajduje się nieco dalej, przy leśnej drodze. Armaty mierzą w Wiznę i przeprawę mostową przy niej. Niestety, zbyt wysoki brzeg Narwi z tej strony utrudnia prowadzenie ognia.

Prosto spod Giełczyna kapitan ruszył drogą na zachód, do Wierciszewa nad Biebrzą. Towarzyszył mu poczet: ordynans luzak Gierszułł, dwóch obserwatorów, trzech gońców-łączników. W zwykłych warunkach koń przysługiwał tylko kapitanowi, jednak Raginis miał pod opieką spory odcinek umocnień pociętych rzekami, błotami i przeszkodami. Aby go skontrolować, musiał poruszać się szybko. A nie mógł jeździć sam, choćby ze względu na dywersantów, przed którymi ostrzegano we wszystkich komunikatach radiowych.

Wierciszewo leżało za promową przeprawą, dzięki której dotarli na drugą stronę Biebrzy. Nie było duże – ot, kilka chałup o ścianach pobielonych wapnem, krytych strzechami schodzącymi aż do samych malutkich okienek. Zabudowania stały ciasno, tworząc wąskie podwórka, nad którymi górowały ciężkie dachy stodół. Sielsko i spokojnie; drewniane płoty wokół domostw, z tyłu ogrody, pochyłe wierzby, olchy i topole przy drodze. Czasem czuło się odór krowiego gnoju.

Była niedziela, więc mijali chłopów wracających z kościoła – jednych wozami, innych idących boso, bo droga piaszczysta, niosących drogocenne buty za plecami, na kijach albo w ręku. Przemknęli koło nich, skręcając w gruntowy trakt łączący wioskę z Samborami, przez które przechodziła główna droga do Wizny. I roztoczyła się przed nimi ogromna płaska panorama łąk i pól, ostrych ściernisk po żniwach i kartoflisk, na których brązowiały uschnięte, jeszcze nie zebrane łęty. Wszystko obramowane z lewej niewidocznym korytem Biebrzy. Byli na wysokości wsi Ruś nad samą rzeką, kiedy kapral obserwator zamachał rękami i pokazał coś z lewej.

– Panie kapitanie, lotnicy!

Usłyszeli to za chwilę wszyscy – nadciągający warkot nienawistnych motorów. Zza lasów na drugim brzegu rzeki wypadły myśliwce z czarnymi krzyżami na płatach.

– W prawo, tutaj, panie kapitanie! – machał ręką Jarmulik.

Zjechali z drogi w bok, w rzadki zagajnik olszaków i dębów. Zeskoczyli z koni, trzymając wodze w ręku.

Samoloty zatoczyły łuk, a potem zaczęły pikować w dół, prując z karabinów pokładowych. Na skrzydłach wykwitły im ledwie dostrzegalne obłoczki dymu, kiedy pruły seriami po przeprawie mostowej. Wkrótce doszedł do nich stłumiony rytmiczny łoskot odpowiadających im karabinów przeciwlotniczych z pozycji wysuniętej Jana Zawadzkiego. Lotnicy zdawali się nic sobie z tego nie robić.

– Skurwysyny – mruknął ktoś z tyłu. – A gdzie są nasze orlęta? Na defiladzie w Warszawie?

– Milczeć! – rzucił kapral. – Myślicie, że lotnictwo ma czas ścigać każdego Niemca? Na pewno mają w tych dniach masę roboty.

– A Anglicy? Ja słyszał, że chiba flota anglijska... – odezwał się Gierszułł.

– Słyszałeś? A uszy umyłeś? – uciął Jarmulik. – Uszy to ty masz do słuchania, ale rozkazów!

Samoloty postrzelały, pokrążyły i odleciały – na północ, w stronę Prus. Raginis kazał wsiadać na koń. Ale skoro tylko zamajaczyły przed nimi ledwie widoczne chałupy Wizny, głos motorów powrócił, tym razem znacznie cichszy, stłumiony. Znowu od południa, od strony Góry Strękowej.

– Patrzcie, całe mrowie ich leci!

– Pół nieba.

Tym razem wysoko w górze szły ciężkie i z pozoru powolne bombowce, dwusilnikowe, błyszczące z daleka przeszkloną kopułą z przodu, na dole i na samym szczycie kadłuba, o płaskim ogonie z pionowym statecznikiem. Żeby nie mieli wątpliwości: czarne krzyże namalowane miały na kadłubie, za skrzydłami.

– Wracają znad Warszawy, sukinsyny.

– A naszych znowu nie ma.

Zatrzymali się, ale nie ukrywali, bo samoloty leciały wolno i wysoko, pewnie zrzuciły już ładunek i teraz wracały na lotniska w Prusach po nową porcję śmierci. Znad Narwi z pozycji polskich znowu odezwały się karabiny przeciwlotnicze.

– Co oni robią! – zdenerwował się Raginis. – Przecież lecą za wysoko. Marnują amunicję!

Ale nie wszystkie maszyny ciągnęły pod wysokim niebem. Nagle uderzył w nich ryk motorów, bo jeden z samolotów leciał nisko, tuż nad samym lasem. Wychynął znad bagien od strony Maliszewa, ciężki i jakby bezbronny, ciągnąc za sobą strużkę dymu. Karabiny przeciwlotnicze natychmiast skoncentrowały na nim ogień, choć już niewiele mu pozostało życia. Z narastającym warczeniem motorów przeleciał nad nimi, aż konie zaczęły przysiadać na zadach, a potem zawrócił szerokim

łukiem w stronę Wizny, zniżył się, zakręcając, opadając na pola między miasteczkiem a Rutkami. Kiedy podnieśli głowy, dostrzegli, że jeden z silników nie działał, z drugiego szła struga dymu.

Ciężki heinkel zniżył się raptownie, prawie spadł. I zniknął z oczu. Poczuli drżenie ziemi, potem doszedł do nich stłumiony huk, czarny kłąb dymu wykwitł z prawej przed nimi, na polach.

– Jeden łącznik do porucznika Zawadzkiego! – rozkazał Raginis. – Proszę przekazać, żeby natychmiast wysłał patrol w okolice Srebrowo – Męczki! Po drodze powiadomić chłopów, żeby dawali znać o załodze. A reszta za mną!

Drugi łącznik pogalopował szosą w stronę Wizny i niedalekiego mostu. Kapitan skręcił w prawo, ruszył po ugorach, ścierniskach, łąkach. Szedł tam, gdzie znikł bombowiec, za polną drogą, za pochylonym drzewem. Szybciej!

Konie rwały galopem, przeskakiwały miedze, potykały się o kartoflane grzędy. Rozczapierzona chmura dymu była coraz bliżej, choć owiewał ich wiatr, czuli już swąd, jakby palonej gumy, smród benzyny, do tego narastający głuchy łoskot płomieni.

Kiedy przybyli na miejsce, nie było kogo brać do niewoli ani wyciągać z wraku. Samolot wrył się w ziemię i wybuchł, płonęła jasnym, gorącym ogniem zniszczona kabina z przodu, płomienie wydobywały się przez górną kopułkę strzelecką, pełzały po kadłubie, jedynie ogon zdawał się mało uszkodzony.

– Kapralu, weźcie obserwatora, obejdźcie z tyłu, czy jakiś Szwab nie uciekł.

Nie było na to szans – od pogiętego bombowca waliło ogniem, smrodem tlących się części, zawiewało dymem. Konie szarpały się, nie chciały podejść, cofały się albo kręciły w miejscu; jedynie Bohatyr stał w miarę spokojnie.

Znienacka wyczuli w dymie i żarze mdły, słodkawy smród spalonego mięsa; podstępny, okropny tym bardziej, że najpierw zdawało się, że palą się jakieś dziwne rzeczy, może wyściółka kabiny albo jakieś mundury. Dopiero kiedy rozum podpowiedział najprostsze rozwiązanie, Jarmulik nie wytrzymał. Nagle przechylił się w bok i zwymiotował.

– Prze...pra...szam – wybełkotał.

– Nu co ty? – zadziwił się Gierszułł. – Świń nigdy nie biłeś, miastowy, a? Szczeciny nie opalałeś? Jednak białostockie chojraki cienkie i rzadkie jakiesi są.

– Paszoł ty w... buraki. Nie bałakaj.

– Spokój! – skarcił ich Raginis. – Gierszułł, dasz radę podejść bliżej?

Ordynans zeskoczył na ziemię, podchodził ostrożnie do płonących szczątków, obracając głowę, bo żar był coraz większy, lecz choć wytrzeszczał wzrok, nic nie dostrzegł. Niespodziewanie podjął coś z ziemi, spośród szczątków; zaraz potem wracał do kapitana, dmuchając na jakiś przedmiot.

– Order znalazłem, panie kapitanie! – zameldował.

Raginis ujrzał powalany ziemią niemiecki krzyż ze swastyką i dwoma skrzyżowanymi mieczami wbitymi między ramiona. Na ostrzu każdego z nich był jakiś ptak; coś mu to przypominało.

– To chyba hiszpański krzyż. Legion Condor – powiedział. – Znaczy że Niemiec był w Hiszpanii na wojnie.

Wrócił kapral z drugim obserwatorem, ich miny pokazywały, że nic nie znaleźli.

– Wracamy! – wydał komendę Raginis. – Dwójkami za mną marsz.

Kurpiki, przed godziną 12.00

Odebrawszy meldunki od porucznika Zawadzkiego, Raginis wracał do głównej kwatery drogą przez most koło Wizny. Na szosie do Góry Strękowej, która otoczona była zasiekami i przegrodzona kozłami hiszpańskimi, czekała na kapitana niespodzianka. Przed zamkniętym przejazdem, na którym czuwał uzbrojony posterunek – dwóch żołnierzy i kapral – stał chłopina. Marny, chudy, w kapocie i czapce, którą zdjął na widok oficera i zmiął w rękach, odsłaniając pomarszczoną, wyłysiałą głowę.

– Panie kapitanie, ten gospodarz czeka tu na was. Jak osioł, nie dał się spławić. Co odgonię, to wraca. Prosi o rozmowę.

Chłop faktycznie był uparty, posunął się do konia Raginisa, pokłonił, prawie padł na kolana.

– Panie oficerze, ja względem syna, Marcinka. A jestem Józef Subota z Brzezin...

Kapitan nawet na niego nie spojrzał.

– Zrobić przejście! – rozkazał żołnierzom. Czekał, aż przesuną ciężki kozioł najeżony drutem kolczastym.

– Mojego Marcinka wzięli wasi żołnierze pod Kołodziejami. Z bronią, w lesie. Ale on nie żaden dywersant ani szpieg. On kłusownik! Zawsze po złe do lasu chodził! I do złego go ta strzelba przywiodła. Ja mogę zaświadczyć, zresztą, panie wielmożny, broń zobaczcie. Jakby co, to ja zaświadczę, zapłacę, panie kapitanie... Jego jednego mam, a orać trzeba.

– Jutro wasz syn zostanie przekazany żandarmerii polowej z Osowca. Pytajcie w dowództwie fortu, już oni tam zdecydują, co dalej.

Chłop płakał, łzy spływały po ogorzałej twarzy. Raginis, cóż, było mu go żal, ale nie dawał tego po sobie poznać. Pamiętał dobrze, że nie wolno pobłażać miejscowej ludności. Jak raz im się pofolgowało albo dało palec, potrafili odgryźć całą rękę.

Zostawił starego za zasiekami i ruszył do Góry Strękowej. Podjechał pod barak na początku wioski, w którym mieszkali junacy, kiedy stawiali szalunki i wylewali stropy obu największych schronów, dziś zamieniony na magazyn i przymusowy areszt.

– Czekajcie tutaj, spocznij! Możecie palić.

Zsiadł z konia i ruszył do środka. W pokoju zza biurka podniósł się zażywny, wąsaty chorąży Świstoń, szef trzeciej kompanii cekaemów Batalionu KOP „Osowiec", odrywając się od brulionu, w którym coś pisał. Odłożył pióro z obsadą i zasalutował.

– Jakieś zmiany? Coś nam dosłali? – zapytał Raginis.

– Posłusznie melduję, że przyszła cała amunicja, razem z zapasem na biedkach, i mamy po pięć jednostek ognia na każdy kaem.

– Mało, powinno być przynajmniej osiem na taczankach i po dwanaście na biedce.

– Magazyny Osowca już puste, panie kapitanie.

– Proszę wysłać zapotrzebowanie na więcej. Wystrzelamy to wszystko w dwa, góra trzy dni.

– Taaajest!

– Co z tym dywersantem? Przyprowadzili go?

– Siedzi spokojnie. Nic nie mówi.

– Każcie go sprowadzić. I przyślijcie do mnie podoficera gospodarczego. Sami też bądźcie, musimy sporządzić raport i odesłać go do Osowca.

– Taaajest!

– Dajcie też jego broń.

– Tutaj jest, melduję. – Chorąży schylił się i wyciągnął z biurka strzelbę. – Odmeldowuję się.

Raginis zasiadł na jego miejscu. Obejrzał broń. Stara myśliwska kniejówka, dwie lufy, ucięte w dwóch trzecich dla

skrócenia broni. Odtylcowa, łamana z tyłu, zaopatrzona w zamek iglicowo-kurkowy – dwa wygięte kurki uderzały po prostu w iglice, wywołując strzał. Odszukał numer seryjny broni: 15052, oznaczenie kalibru: 16,0 i długości łuski: 65. Najdziwniejszy jednak był monogram K.M.R. i tarczka herbowa z trzema trąbami wybita w srebrze. Ogólnie broń bardzo piękna, ozdobna, w komplecie, brak tylko było zaczepu do pasa. Broń dywersanta? Raczej myśliwego czy kłusownika. Ale może się mylił.

Wszedł szef, za nim plutonowy i dwóch żołnierzy z karabinami, eskortujących nieszczęsnego jeńca. Chłop był wysoki, jasnowłosy, na łbie zaznaczały się już pierwsze zakola, chociaż niestary jeszcze mężczyzna. Obcięty krótko, wyglądał bandycko, w ogóle w całej postaci było coś... zuchowatego. Kapitan poznał już takich ludzi z opowieści kolegów kopistów oraz z własnych doświadczeń z Kresów. Chłopaki z wiosek, przemytnicy, pełni fantazji, cóż, kiedy brak pieniędzy. Tacy właśnie przenosili w nioskach na sowiecką stronę kontrabandę. Papierosy i przedmioty luksusowe, którymi w Sowdepii, krainie wiecznej szczęśliwości ludu pracującego, były... lusterka, grzebyki, perfumy i maszynki do golenia. Była i kokaina, powiadali, że czekiści, to znaczy teraz już oficerowie NKWD, upajali się nią bez przerwy. Ciężka widać to była praca gnać czerwone bydło ku świetlanej przyszłości, narkotyk dawał odpoczynek. Z powrotem przemycano wódkę, złoto, futra, czasem trafiało się coś grubszego.

– Imię i nazwisko? – zapytał chorąży. – A wy, plutonowy, piszcie raport.

– Marcin Subota.

– Lat?

– Dwadzieścia siedem.

– Zamieszkały?

– Brzeziny, gmina Borzejewo.

– To wasza broń? – Kapitan podniósł strzelbę.

Obwiniony pokiwał głową.

– Subota, czy przyznajecie się, że rano dnia trzeciego września roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego zostaliście schwytani przez patrol wojskowy z bronią w ręku na lustracji umocnień polowych koło wsi Kołodzieje?

– Przyznaję się, panie kapitanie – mruknął Subota. – Ale nie do wszystkiego.

– Co macie na swoją obronę?

– Ja nie lustrowałem niczego, z przeproszeniem, poszedłem na zające. Ja nie wiedziałem, że panowie żołnierze coś tam robią.

– Na zające, więc przyznajecie się do kłusownictwa? Jesteście zwykłym rubszycem, co jak bolszewik strzela do każdej zwierzyny.

– Ale nie z psami, żeby szczuć. To nigdy.

– Wnyki też zastawiacie?

– Co to, to nie, panie kapitanie. Ja honorowo, tylko ze strzelbą chodzę.

– Skąd macie broń? Nawet nie pytam, czy macie w ogóle pozwolenie. Ukradliście?

– Broń moja własna.

– Dlaczego oberżnięta?

– Broń jak dziewczyna, musi pasować do chłopa, panom wojskowym chyba nie muszę tłumaczyć. Zawadzała mi ta lufa.

– Nie mówcie, że kupiliście ją w składzie myśliwskim! – wykrzyknął szef. – Tu są inicjały właściciela. Czyje? Nie wasze przecież.

– Skąd wiecie, panie chorąży, że nie moje? Wszystkie rozumy pojedliście?

– Chyba czegoś nie rozumiesz, rubszycu! Wieczorem przekazujemy cię do sądu polowego w Osowcu.

– Sądy są dla ludzi, a nie psów. Mnie już raz zwolnili, więc nie krzyczcie. Przecież nie powieszą. Bo niby za co?

– Za szyję, gnoju! Dostałeś kiedyś w gębę?

– Raz jeden. Przyzwyczaiłem się.

– Zaraz będzie drugi i trzeci.

– Tylko proszę od pana kapitana, nie od chorążego. Większy będzie honor.

– Marcinek, możesz się zamknąć i odpowiadać? – wtrącił się Raginis. – Bo z gębą jak tatar siekany nie wejdziesz już na żadną zabawę. Czyja to broń?

– Te inicjały są księcia ordynata Karola Mikołaja Radziwiłła. Strzelbę francuską własną raczył mi podarować.

– Za to, że strzelasz mu zwierzynę?

– Pan kapitan wie, jak to jest. Jak roboty nie ma, idzie się za chojaki. A jak jest, to trzeba warować w czertach za łosiem. Ja tutaj i pana Jamiołkowskiego nie raz prowadziłem na polowanie. A pana księcia tak dobrze podprowadziłem pod żubra, że dał mi strzelbę z dobrej woli.

– Zapytam pana Jamiołkowskiego, czy to potwierdzi. Jeśli nie, to będzie z wami chudo. Jutro przekażę was żandarmerii z Osowca. Panowie, podpiszcie się na protokole zatrzymania.

Stalówki chrzęściły cichutko po papierze. Subota ocierał pot z czoła.

I chyba wreszcie trochę się skurczył za stołem.

Dwór w Strękowej Górze, godzina 17.44

To był dzień spotkań, samych niepokojów. Zanim kapitan Raginis wysłuchał meldunków porucznika Zawadzkiego

i kapitana Schmidta, zanim objechał wszystkie pozycje, ze wschodu skradał się wieczór. Na kwaterę wrócił przed zmrokiem, zajechał prosto do dworu i zaraz na ganku stał się świadkiem sceny, która wyglądała jak z kabaretu, po prostu szmonces, patrząc, miało się wrażenie, że to warszawski kabaret do tekstów Konrada Toma, Hemara albo Tuwima.

Przed gankiem stało trzech starozakonnych, kłócąc się i targując zajadle. Żydzi jak z obrazów – dwóch w chałatach, jeden w tałesie. Ten był najwyższy. Wszyscy zaś oczywiście stali w czapkach, jeden w kapeluszu, pewnie pod tymi nakryciami głowy mieli jeszcze zwyczajowe jarmułki.

Wyżej górowało nad nimi oblicze pana Jamiołkowskiego i kamienna, szara, grobowa gęba Safiana.

– Powtarzam jeszcze raz – mówił zmęczonym głosem dziedzic – pana Raginisa nie ma. Safian wam wszak powiedział, panie Feler, że pierwsze: kapitana nie ma, drugie: tak wysoki oficer nie ma czasu na gadki z wami.

– O, panie dziedzicu, moja służąca też czasem mówi, że mnie nie ma, a jestem!

Raginis podjechał bliżej, zsiadał z konia, zły, bo już miał dosyć awantur i bałaganu, którego nie sposób było naprawić.

– Nie szkodzi, poczekamy – zagadał Feler, a pozostali umilkli i poczęli stukać go palcami w ramię, wskazywać poza plecy, na nadchodzącego kapitana. Żydzi cofnęli się i zaczęli kłaniać, grzeczni jak zwykle w spotkaniu z oficerem.

– Zapraszam pana kapitana do dworu, zaraz kolacja – zaczął Jamiołkowski, ale Raginis zatrzymał się przed stopniami.

– Z czym przychodzicie? – Ukazał Żydom zmęczoną, ale i zatroskaną twarz.

– Ja jestem Mordechaj Feler, kupiec, a to są ze mną Mojsze Babiecki i Fiszel Fryc, oba tyż z Tykocina, i one przyszły świadczyć za moje słowa, panie kapitanie. Bo my są w waźnej

sprawa, sprawa waszego oficera, pana porucznika Brykalskiego.

Brykalski! Znowu? Boże, co tym razem? Uwiedzenie córki rabina? Rekwizycja wozu?

– Jeśli idzie wam o zajmowanie wozów i konie, skargi przyjmuje dowództwo w Osowcu.

– Nam idzie o lepsie zieczy, o towary, koniaki, wina... – zaśpiewał z żydowskim akcentem Feler. – Tydzień temu juź będzie, jak pan porucznik urządził posiedzenie w domu u Ferszuni, a prawie aż do rana, aj-waj! A ile od nas wzięli towarów.

– Nie racił zapłacić. Tak my się spiknęli i przęśli, żeby panu, jako jego oficerowi, przypomnieć i domagać się sprawiedliwości.

– Bo my słysieli, zie pan kapitan sprawiedliwy człowiek i on Żyda nie skrzywdzi. A nasim braciom w Wiźnie kazał zwrócić podwody.

– Coś wy tu, Żydy, łżecie jak psy – odezwał się Jamiołkowski. – A może jeszcze powiecie, że pan porucznik was oszukał?

– To prawda, ale ja tego nie powiedziałem – odpowiedział Feler. – Bo papier niech mówi za nas. A wsiśtko jest na papierze. O, tutaj. – Podał kapitanowi starannie sporządzony i podpisany rachunek. – Pan porucznik zamawiał aby prziedniejsie rzeczy. Koniaki Martell za czterdzieści pięć złotych, monopolową luksusową, że ha, ha, siwuchę i starkę, butelka stoi złoty dwanaście.

– Do tego kolonialne zakąski, pomarańcze, ciasta i desery. Za złotych osiemnaście sześćdziesiąt.

– To razem wychodzi złotych sto sześćdziesiąt pięć i osim groszy!

– Ja za prywatne rachunki pana porucznika nie odpowiadam.

– A kto ma odpowiadać? – stropił się Feler. – Mozie ja?

– Już Żyd powiedział, co miał powiedzieć – zdenerwował się Jamiołkowski. – Dlaczego zawsze odpowiadacie pytaniem na pytanie?

– A ci to źle?

– Dajcie ten świstek. Ja go pokażę panu porucznikowi i przypomnę, bo pewnie zapomniał. – Raginis wziął rachunek.

– Żydzi już powiedzieli wszystko, już z wami skończyłem – machnął ręką gospodarz. – Żydzi mają teraz tylko jedno wyjście.

– A jakie to wyjście, panie dziedzicu?

– Przez bramę na pole! Jeszcze się Żyd pyta. Albo psy wypuszczę! Marsz!

Raginis wszedł do sieni, wypełnionej o tej porze zapachem gotujących się potraw. Odruchowo poszedł dalej, prawie do samych drzwi do ogrodu, spojrzał przez próg, bo drzwi były otwarte. Zobaczył ogromną kaflową kuchnię z piecem i żeliwnymi drzwiczkami, stoły, stołki, dzieże, jak to w dworskiej kuchni.

Lecz najdziwniejsze, że ujrzał również pannę Lodzię, która właśnie wsuwała do rozgrzanego pieca blaszane formy z jakimś ciastem. Złowiła jego wzrok i trochę się speszyła.

– Niech pan oficer nie patrzy, bo rejbak nie wyjdzie. I cała kolacja na nic.

– Niech się panna nie boi, uroków nie rzucam. Poza tym ciekaw jestem pani kuchennych talentów.

– Skończyłam kurs gotowania na kuchni gazowej, proszę się nie bać. A Janowa dziś nie przyszła, nie wiem dlaczego. Kolacja za godzinę.

– Będę, oczywiście.

Chciał odejść, ale dziewczyna poderwała się nagle, popatrzyła mu prosto w oczy.

– W czym jeszcze panu dogodzić, panie kapitanie? Taki pan dziś zmęczony.

– Kawy, panno Lodziu. Niech Safian zaraz przyniesie. Czarnej i mocnej. Z cukrem.

– Oczywiście.

Odszedł, skinąwszy głową, przez świetlicę dworską do swojego pokoju. Po ciężkim dniu gabinet wydał mu się oazą spokoju i chłodu. Zatrzasnął drzwi, odcinając się od szumu i hałasu świata. Kiedy spoczął na krześle przy sekreterze, siedział jak we własnym gnieździe. Tykający cicho zegar ciął czas i historię na równe odcinki odmierzane kołysaniami wahadła. Jak za dawnych czasów, jakby nie było wojny. Poczuł, że nie chce mu się wcale stąd odchodzić, mógłby tak siedzieć, słuchając zegara, wpatrzony w prostokąt okna, przez który wpadały ostatnie snopy jesiennego blasku.

Sięgnął po niedokończony list do Zofii, lecz ledwie rozkręcił pióro, ktoś zastukał do drzwi.

– Proszę!

Weszła... o dziwo, Lodzia. Z tacką i filiżanką, a także dzbankiem parującej kawy. Złożyła to wszystko na stoliku, potem wyprostowała się.

– A Safian pewnie zbija bąki – zażartował kapitan.

– To stary pryk – prychnęła. – Zaraz coś zbije, stłucze, poplami. Wzrok ma nietęgi. A młodemu Błażejkowi tylko te oczy latają na wszystkie strony. Ot i wszyscy słudzy mojego papy. Tak samo starzy i powykręcani jak i ten cały dwór.

– Pani nie lubi tego miejsca?

– Lubię, ale... Te całe konie, gospodarstwo, do którego nie ma z czego dopłacić... Długi nam rosną. Papa mógłby to sprzedać, przenieść się ze mną do Warszawy, mamy tam mieszkanie po ciotce, na Woli. On jednak jest starej daty, całkiem jak z zaścianka, jak niektórzy sąsiedzi. Widział pan ich przecież: wąsaci, w sukmanach, co herby wieszają na ścianach, a legitymację pochodzenia z zeszłego wieku trzymają razem

z Biblią. Przed wejściem stawiają ganek. Od włościanina dzieli takiego niewidoczna ściana, czasem wsie całe są jak na pół podzielone. Mój ojciec myśli, że całe życie będzie jeździł powozem, urządzał bale i przyjmował gości. Grać w karty na szczęście nie gra, bo już nie ma co stawiać. I nikt z nim nie chce. Pan z nim rozmawiał?

– Jeszcze nie. Dzisiaj zacznę.

– Och, dziękuję bardzo, nie śmiem tak ciągle prosić.

– Ależ to nic strasznego. Gościna u was jest tak miła, że ciągle nie chce mi się przenosić do schronu. No ale jutro będę już chyba musiał.

– Co pan kapitan robi? – Pochyliła się nad pulpitem. – Rozkazy?

– Strasznie tajne i poufne. Piszę list.

– Do żony?

– Narzeczonej. Gdyby nie wojna, bylibyśmy już po ślubie.

– Pan kapitan to musi mieć piękną narzeczoną.

– Proszę zobaczyć. – Wyciągnął zdjęcie, jedyne, które nosił przy sobie.

Lodzia spojrzała na wizerunek Zofii, potrząsnęła głową, aż zafalowały jej włosy.

– Ach, ta pana narzeczona to albo dziedziczka, albo artystka!

– Maluje obrazy. Ale jeszcze... ich nie sprzedaje.

– Taka to nie zadba o pana kapitana. To nie jest żona dla oficera. Dla kapitana. Przepraszam, muszę iść, bo się rejbaki spalą.

Dwór w Strękowej Górze, godzina 19.02

Do kolacji zasiedli we troje, kiedy zegar zaczął wybijać siódmą wieczór. Karloff, to znaczy Safian, przyniósł wypieki Lodzi,

a więc podlaskie czy łomżyńskie rejbaki, które okazały się po prostu pieczoną w piecu i przyrumienioną ziemniaczaną babką z dodatkiem boczku i cebuli. Ciepłe, świeże, zapijane zsiadłym mlekiem dawały upragnione poczucie sytości. Do tego półmiski zimnych wędlin, bulion i likiery.

Brykalski spóźnił się, wmaszerował dziarsko do pokoju już po podaniu potraw, zasalutował karnie, zapytał o pozwolenie siedzenia przy stole, na co Raginis łaskawie zezwolił.

Na koniec podano kawę, kompoty, melszpejz na zimno z jabłkami i biszkopty. Pan Jamiołkowski polewał likieru bernardyńskiego, a porucznik zaczynał drugą fazę oblężenia panny Lodzi.

– Przepraszam uniżenie za spóźnienie, ale pędziłem ostro na koniu i przy okazji próbowałem sposobu jazdy, o którym panna mówiłaś mi wczoraj. Zbierałem konia, że i mnie samego kark boli...

– No i co?

– I rzeczywiście, szedł jak po linii. Dobry sposób, zwracam honor i rację pannie Lodzi.

– Nic nie szkodzi, bo w tym czasie pan kapitan dotrzymywał mi towarzystwa.

– Za mundurem panny sznurem, zwłaszcza gdy cięższy o gwiazdkę.

– Za to do poruczników panny częściej piszą listy – pocieszył go Raginis. – Proszę, jeden dostałem i do rąk własnych oddaję. – Wyciągnął z bocznej kieszeni rachunek Mordechaja Felera i podał Brykalskiemu.

Ten najpierw spojrzał nań zdziwiony, potem śmiesznie zmarszczył brwi.

– To nawet tutaj mnie znaleźli, Icki tykocińskie! – wypalił. – Przecież mówiłem, zapłacę im, jak się wojna skończy, pobijemy Hitlera i będziemy w Berlinie.

– Coś ty w ogóle nawyprawiał tydzień temu?

– Ach, nic wielkiego, po prostu miałem urodziny, a poza tym świętowaliśmy przyjazd i rozłożenie baterii pod Górą Strękową. Tyle tego wyszło? Rany boskie. Zapłacę to oczywiście... Może w maju, może w grudniu, może jutro po południu, w każdym razie dzisiaj nie – zaśpiewał piosenkę z kabaretu.

– Prawdziwy mężczyzna honoruje wszystkie długi, nie tylko karciane! – rzekł z naciskiem Raginis. – Zapomniałeś o tym?

– Oj, proszę już nie najeżdżać na pana porucznika! – odezwała się Lodzia lodowatym głosem. – Wypił nie wypił, ma dług nie ma! Kiedyś zapłaci. Przecież jest wojna! Co tam, bawmy się, póki żyjemy! A pan kapitan to co, nagle zmienił się z oficera w buchaltera?

Raginis aż się skurczył, bo nie spodziewał się takiego wybuchu. No cóż, straciłem w jej oczach, pomyślał. Trudno tam...

– Dokładnie tak! – uśmiechnął się Brykalski. – Z ust mi to panna wyjęła. Zdrowie naszej Lodzi – powiedział, podnosząc kieliszek likieru. – Czy wiecie państwo, dlaczego Żydzi tykocińscy mają takie wielkie nosy? A zwłaszcza Feler, mój ty Boże jedyny, można by o nim... jak w kabarecie?

– Nie wiemy.

– Bo powietrze jest za darmo.

– Bardzo to stary kawał. Nie dziwię im się, bo przyjdą tu Niemcy, to... nie będą mieli lekko. Hitler nie cierpi Żydów.

– Przyjdą, Władeczku, jeśli ich tu wpuścimy. A my przecież silni, zwarci i jak sam diabeł zawsze gotowi!

– Ja na walkę, a ty nie wiem na co. Ja tu już pewnie zostanę, jak mam takich podwładnych.

– A jak koń, panie kapitanie? – zapytał Jamiołkowski. – Zdatny?

– Doskonały! Dawno nie miałem takiego wierzchowca. Niezbyt bojaźliwy, lekko nosi, chętny i posłuszny.

– Jak dobra kobieta – mruknął Brykalski.

– Widać, że pan porucznik ze wsi, skoro ma takie koncepty.

– A panna Lodzia jak zwykle wolna i wyzwolona. Takie wszyscy mężczyźni kochają, ale żenią się z cichymi i spokojnymi.

– Och. – Poczerwieniała, zatem Raginis postanowił skierować rozmowę na inne tory.

– Koń piękny – powiedział – jak i pozostałe, ale czy nie szkoda ich tutaj trzymać, panie Jamiołkowski? Przyjdą Niemcy, może się to zdarzyć, coś jeszcze im zrobią albo zarekwirują.

– Nie rozumiem pańskiego pytania. Jak przyjdą... przecież pan porucznik przed chwilą mówił, że ich nie wpuścicie.

– Ach, papo, chodzi o to, czybyś nie wyjechał. Nawet z tymi końmi – wtrąciła Lodzia.

– Tu pogranicze. Stoimy jak mur, ale zawsze się może zdarzyć, że trzeba będzie dokonać pozorowanego odwrotu, jak nasze armie z Pomorza – odezwał się Brykalski. – Co pan wtedy zrobi?

– Ja tu zostanę do śmierci. To moje miejsce – oświadczył dziedzic.

– Ależ, papo, to dla twojego bezpieczeństwa. Pojedziemy razem...

– Widzę, że już wierciłaś panom dziurę w brzuchu... niepotrzebnie! Tutaj jest mój świat, mój dwór, moje konie. Nie będę się szlajał po gościńcach.

– A co pan zrobi, jeśli będziemy musieli ewakuować całą Strękową Górę? Jeśli to będzie polecenie władz wojskowych?

– Wszyscy się sprzysięgliście przeciwko mnie! – powiedział ze złością stary. – Zrozumcie: nie mam dokąd jechać. Jak mam żyć bez pola, lasu, bez przestrzeni?

Ktoś zastukał w drzwi, potem wychynął z nich skulony Błażejek.

– Panie dziedzicu, goniec przyjechał... do panów oficerów.

– Niech wchodzi zaraz!

Wszedł spocony, zgrzany żołnierz z pocztu Raginisa. Zasalutował.

– Panie kapitanie, melduję, że radio podało najnowsze wieści: Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. W Warszawie radość, manifestacje. Ponoć wojska francuskie już wkraczają do Nadrenii, a nad Berlinem widziano angielskie bombowce.

– Nareszcie! – ucieszył się Brykalski. – Wiedziałem, że się ruszą. Wypijmy zdrowie sojuszników!

Jamiołkowski nie tylko nie podniósł kieliszka, lecz wstał sam.

– Cóż, macie odpowiedź względem mojego wyjazdu. Z takimi sojusznikami krzywda nam się nie stanie. Ale ja przypomnę wam fraszkę Ignacego Krasickiego: i wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły!

Raginis poczuł chłód w sercu.

4 IX 1939, pozycja Giełczyn, godzina 7.32

– Panie poruczniku, zgłosił się przodownik z Wizny. Ma coś ważnego dla pana, sam osobiście przyniósł – zameldował sierżant Murachwa, który był podoficerem służbowym.

– Niech zostawi i idzie – rzucił ze złością Kiewlicz, nie odrywając lornetki od oczu. Stał lekko wychylony z rowu strzeleckiego i lustrował teren pomiędzy schronami Giełczyn i Gać, łąki i pola, poprzecinane tu i ówdzie rowami strzeleckimi wzmocnionymi zasiekami. Widok był stąd gorszy niż z kopuły obserwacyjnej, ale zasięg widzenia szerszy, nieograniczony stalowymi krawędziami otworu obserwacyjnego.

– On nie chce, upiera się, że pan porucznik musi koniecznie to zobaczyć. Idzie o jakąś dywersję.

Kiewlicz opuścił lornetkę i splunął.

– Jak tak bardzo chce, to go dawajcie, byle szybko.

Murachwa odszedł i po chwili wrócił z wąsatym przodownikiem ubranym w granatowy policyjny mundur, z pasem i koalicyjką. Zasalutował prawą ręką, w lewej trzymał jakiś płócienny tobołek.

– Melduje się starszy przodownik Łuba – powiedział twardym, chropawym głosem, który pewnie wywoływał drżenie u kłusowników i złodziejów kur. – Przychodzę, bo jest taka sprawa, a między nami mówiąc, parszywa sprawa, panie poruczniku.

– Pokażcie, co tam macie, bo nie mam czasu.

– Jeden chłopina z Kołodziejów słyszał w nocy warkot samolotu. Rano, kiedy poszedł do lasu, tego wielkiego, pan wie, majątku Szelągówka, zobaczył, jak jakiś człowiek zakopuje coś w ziemi. Poczekał i odkopał, kiedy tamten odszedł. Myślał, że pieniądze, ale znalazł coś takiego.

Rozwiązał sznur i wyciągnął zawinięty w płótno zielonkawy kombinezon uwalany w ziemi. Strzepnął go, rozkładając – wtedy zobaczyli, że była to kurtka niepasująca w ogóle do żadnego znanego uzbrojenia. Długie rękawy, dziwne skośne pasy naszyte na ramionach, na dole, poza talią, spinana wokół nóg. Gdyby nie kolor, przypominałaby kitel zakładany na mundur.

– Ja bym przyszedł wcześniej, ale zostałem sam na posterunku, pan rozumie – zagadał przodownik. – Posterunkowych Kuleszę i Drobniaka ewakuowali już dawno, zabrali nawet motory, został mi rower. I kto to widział, stary Łuba na rowerze. Z karabinem, a pan porucznik nawet nie wie, jaki on ciężki.

– Ciszej, dajcie mi spokój. I co ja mam z tym zrobić? – zapytał Kiewlicz. – Czy wy myślicie, Łuba, że ja prowadzę biuro rzeczy zagubionych?

– To może być kombinezon dywersanta.

– Sierżancie, wrzućcie to do magazynku, na razie muszę sprawdzić zasieki między Gacią a Kołodziejami.

– Pan porucznik powinien może zawiadomić dowództwo...

– To wszystko, panie Łuba. Wojsko podejmie stosowne kroki. Możecie się odmeldować, to tyle.

Przodownik zasalutował, odwrócił się i odszedł. Sierżant Murachwa został z kurtką w ręku, jakby nie wiedząc, co z nią zrobić.

– Powiedziałem, cholera, rzućcie to gdzieś. Nie ma teraz czasu zawracać głowy dowódcy, zresztą gdzie ja kapitana znajdę? W Górze Strękowej, a może we dworze we wsi? Na bankiecie u dziedzica! Zameldujcie przez telefon, że znaleziono dziwny kombinezon, ale najpierw wyślijcie gońca po porucznika Szopę. Przekażcie mu, że musimy poprawić osłonę międzypola, zasieki nic tu nie dadzą.

– Tak jest, rozumiem.

– Nic nie rozumiecie, sierżancie. Zasieki dobre są na piechotę, ale jeśli Niemcy przyjdą tutaj z samochodami pancernymi, z czołgami, przejadą się po nas jak po maśle. Ten brzeg Wizny jest trudny do obrony – powiedział powoli Kiewlicz. – Biebrza opadła od upałów, a z Wierciszewa widać nasze pozycje jak na dłoni. – Splunął znowu i wyciągnął z papierośnicy wiarusa.

Dwór w Strękowej Górze, pod wieczór

To miał być ostatni przyjazd do dworu Jamiołkowskiego; tym razem Raginis wydał wyraźny rozkaz – wszyscy dowódcy mieli

natychmiast przenieść się do punktów dowodzenia w schronach. Do ciasnych kabin, gdzie czuć było wilgoć ledwie zasklepionego betonu. Cóż za przykrość po przestronnych, jasnych komnatach dworskich.

Kapitan ostatni raz odwiedził swój gabinet; sprawdził skrupulatnie, czy wszystko zostało zabrane. Bez sensu; przecież nie miał wiele, jedną pękatą walizkę, którą oddał ordynansowi Gierszułłowi, osobiste fotografie zostawił u gospodarza, stał więc teraz w milczeniu na środku pokoju, żegnając się z pobielonymi ścianami, makatami, sekreterą, stolikiem, giętymi krzesłami i sofą. Jakoś żal mu było zostawić samotny ten mały pokoik z oknami na jesienny, spalony słońcem ogród.

Na rozłożonym pulpicie sekretery ciągle leżał jego niedokończony list do Zofii. Złożył go i schował do górnej kieszeni bluzy munduru. Nie było czasu – teraz musiał dokończyć go w bunkrze, przy śmierdzącym blasku karbidówki.

Ktoś wszedł przez otwarte drzwi, zatrzymał się. Raginis poczuł woń perfum, chyba Elidy. Lodzia. Obrócił się do niej z żalem i bólem.

– Pan kapitan nas opuszcza? Tak szybko?

– Nie, pani Lodziu. Ja tu zostanę na zawsze. Tam – skinął głową na zachód – na pozycji.

Nagle w jej oczach zaszkliły się łzy, uczyniła ruch, jakby miała upaść. Wtedy Raginis pochwycił ją, podtrzymał, a tak naprawdę złapał w ramiona.

– Za co to wszystko oni, Niemcy, nam robią? Tyle lat od odzyskania kraju nowa wojna.

– Proszę nie płakać, jeszcze się jakoś ułoży.

– Ja też wyjeżdżam jutro wieczorem. – Nagle rzuciła mu się na szyję. – Nie mogę patrzeć, jak świat się wali. Papa nie chce, nie mogę go zmusić. Zostanie tu na śmierć, tak blisko granicy.

Przytulał ją ciepło, miękko i jakoś zupełnie nie myśląc o Zofii.

– Proszę nie odjeżdżać jeszcze. Jest tak spokojnie z panem, ojciec nie gra po nocach. Niech pan poczeka, przygotuję coś na drogę.

Powoli odsunęła się, potrząsnęła głową.

– Oj, bo zmoczę panu mundur, przepraszam.

– Nic nie szkodzi, panno Lodziu.

– Pójdę. Proszę tu czekać, chociaż chwilkę.

– Pójdę pomówić z ojcem. Gdzie on jest?

– U koni, na łąkach.

– Dziękuję.

Przeszedł przez świetlicę, którą teraz nazywano modnie salonem, pod portretami koni i wąsatych szlachciców, skrzyżowanymi szablami, wystawkami z jelenich rogów. Ominął stolik do pasjansa, spojrzał na kredens, wielki niczym gmach. Na kominek i zielonkawy piec kaflowy, żegnając te sprzęty ostatnim spojrzeniem. Wyszedł z ciemnej sieni przez tylne drzwi do ogrodu, przeszedł między płotkami odgradzającymi grządki kapusty i cebuli, wynurzył się spod baldachimu drzew na wielkie przestrzenie nad Narwią, która tutaj, za wsią, zakręcała znowu na południowy wschód. Zobaczył łąki i pastwiska bez końca, jedne bliżej, przed wstęgą rzeki, drugie za brodem, przez który kazał przepędzać konie każdego dnia Jamiołkowski.

Gospodarz był w samym środku stada, otoczony rozwianymi grzywami, szpalerem dumnych, czasem pochylających się łbów, wśród zginających się miękko nóg, podniesionych ogonów. Konie otaczały go, szły za nim z tyłu, trochę podskubując, zwracając uwagę, czasem prychając, trącając łbami w nadziei na kostkę cukru albo kawałek suchego chleba. Kogo kochają, ten nie wróci od stada czysty ani pachnący. Jedne przychodziły, inne biegały kłusem, galopem, z cichym tętentem. Raz na jakiś

czas wzbijał się w niebo kwik, bo któryś wałach skubnął klacz, żeby zrobić sobie miejsce w tłumie. Czasem pacnięcie, to jabłkowity wierzchowiec zamierzył się na kasztana albo kary strzelił nagle z zadu, trafiając bok lub pierś kompana. I wtedy odzywał się cichy głos właściciela, karcący, przywołujący. Jamiołkowski podchodził, obejmował ramieniem schylony łeb, gładząc go po płaskim czole.

Raginis przepchnął się do niego, przemknął między końmi, a dziedzic podniósł głowę.

– Pan kapitan wrócił wcześniej, zaraz każę wstawiać kolację.

– Niestety, nie będę mógł towarzyszyć. Obowiązki wzywają. Od dziś nocuję na stanowisku, Niemcy blisko.

– Szkoda, myślałem zasiąść do preferansa pod wieczór. Będzie jeden mój sąsiad, drugi, dawny carski rotmistrz, ledwie wywinął się rewolucji w Moskwie. Przyjedzie też ksiądz Reszka, wyjechał przed Niemcami spod Grajewa. Z tym trzeba uważać, bo ludowiec. Wierzy w Witosa i jego bandę. Ale poza tym człowiek porządny.

– Panie Jamiołkowski, zna pan niejakiego Subotę?

– Subotę? Czekaj pan, kapitanie, niechaj pomyślę, Subota, Subota. Marcinek, tak? Z Brzezin? Pewnie, że znam. I to jeszcze jak dobrze znam!

Nagle podciągnął rękaw marynarki i koszuli pod nią, pokazał białą bliznę na przedramieniu.

– Strzelałem się z nim w lesie gdzieś pod Łazami. Mam tu pamiątkę.

– Taki apasz?

– Kłusownik, niebezpieczny i bezczelny. Dwa razy stawał przed sądem, raz go zwolnili z braku dowodów, bo nakryty przez leśniczych na ambonie zdołał wyrzucić karabin w śnieg. Drugi raz wykupił go ojciec, Józef. Patrz pan, dał dwa tysiące złotych, a na małym zagonie siedzi. I nie szlachcic.

– Może zależy mu na synu.

– Ten Subota umie podchodzić zwierzynę. Ale jeśli pan kapitan potrzebuje przewodnika, lepiej popytać o niejakiego Pawła Replińskiego. Rodzina z pochodzenia Niemce, co dziś trochę kulawo, ale porządni. Tyle że zawsze trzymali z władzą, z sanacyjnymi. Tacy niby porządni, a tylko za swoim patrzą. Dlatego nie było mi z nimi po drodze.

– Pan, jak mniemam, ze Stronnictwa Narodowego?

– Miałem honor znać Romusia Dmowskiego osobiście, choć nie ze wszystkim się zgadzaliśmy. Zawsze przegrywał ze mną w karty, ale nigdy nie graliśmy o pieniądze, ma się rozumieć. On przecież zmarł niedawno, w styczniu, tutaj niedaleko, u Niklewicza w Drozdowie, we dworze. I powiem panu, że niezależnie od tego, co mówią te całe Śmigłe i Mościckie, ich klakierzy i ujadacze, zmarł pogodzony z Bogiem i Kościołem. Ksiądz prałat Krysiak dał mu ostatnie namaszczenie. Sam przy tym byłem i świadczę.

– Zatem Subota naprawdę jest kłusownikiem?

– I to jakim! Byłbym go wtedy pod Łazami zastrzelił, już miałem na muszce, trafiłem chyba w strzelbę albo kożuch, bo nie miał żadnej rany, szelma!

– Dziękuję, ja... – Raginis nie wiedział, jak to powiedzieć. – Ja mam jeszcze jedną prośbę do pana.

– Słucham, rad spełnię.

– Chciałbym pana ewakuować razem z końmi. Proszę, żeby posłuchał pan wreszcie Lodzi. Mogę potraktować pana konie jako remonty wojskowe, przydzielić dwóch ludzi i odesłać...

– Dokąd?! – przerwał mu Jamiołkowski. – Na koniec świata? Na Kresy? Do Warszawy z tym stadem? I gdzie je rozlokuję, w pokojach w mieszkaniu mojej siostry Salci?

– Choćby do Białegostoku. Na razie.

– Poszły! Wyyyy! – wykrzyknął dziedzic. Zagwizdał, zamachał rękoma, odrzucając je od siebie.

Wystraszył konie, bo nagle z łoskotem i zamętem całe stado rozbiegło się, najpierw dokoła, potem zwróciło się na zachód, przemknęło łąkami, wzdłuż brzegów Narwi, aby zakończyć tryumfalny galop z prawej, na wielkim ogrodzonym pastwisku jeszcze po tej stronie rzeki. Przez chwilę Raginis widział rozfalowaną rzekę końskich łbów na tle niekończących się nadnarwiańskich przestrzeni, gdzieś koło Zajek, przekreślonych ciemniejszą krechą lasów. Ten widok łamał mu serce.

– Gdzież ja pojadę, dajcie mi wszyscy spokój! Nie przesadzicie mnie jak drzewa. Tu żyłem i tu zostanę.

– Nasza linia obrony jest słaba.

– Lecz Niemców ciągle nie ma, a gdyby co, mamy potężnych sojuszników. Proszę poczytać sobie „Gazetę Polską”, gdyby pan miał wątpliwości!

– Wie pan równie dobrze jak ja, że miną całe dni, może tygodnie, zanim Francja zmobilizuje się do ataku. A nasze wojska na razie się cofają.

– Wiem o tym. Mieliśmy nie oddawać ani guzika, tymczasem urwą nam jedną i drugą połę. Ale pan chyba stąd nie ucieka, panie kapitanie?

– Daję panu oficerskie słowo honoru, że prędzej palnę sobie w łeb, niż poddam Wiznę. Ale jeśli Niemcy będą mieć przewagę, na nic moja ofiara.

– Nie, nie i nie! – wykrzyknął Jamiołkowski. – Nie mam sił uciekać. Młody człowieku, ja przeżyłem rewolucję, wojnę światową i bolszewicką. A nawet zamach majowy i kryzys. Co jeszcze może mnie spotkać gorszego niż Piłsudski? Niemcy? Nie są brutalniejsi od bolszewików.

– To nie są ci Niemcy z piętnastego roku. Dziś palą wioski na granicy, uprowadzają ludzi, rozstrzeliwują. Panie Jamiołkowski, jeszcze wczoraj mówił mi pan, że nie postawiłby pan dobra kraju na jedną kartę, a dziś chce pan grać własnym życiem w pokera?

– Leokadia na pana naciska. Myśli pan, że nie widzę, jak się do was wdzięczy? To harda sztuka, całkiem jak nie moja córka. Niejednego już przegoniłem stąd amanta, nieraz i psy dziurę mu w dupie wygryzły! Chciałaby położyć rękę na dworze, ale niedoczekanie! – Zamachnął się pięścią. – Proszę dać mi spokój. Proszę mnie zostawić, panie kapitanie, uszanować mój wiek i godność. Bohatyra niech pan używa, bo pański koń solidnie zerwał ścięgno, nieprędko będzie znowu biegał, choć mam o niego staranie, a ja nie mam zwyczaju odbierać wierzchowca polskiemu oficerowi. Na razie zaś idę precz!

Odwrócił się i odszedł, prawie odbiegł obrażony. Raginis nie miał sił zatrzymywać go i szarpać; zresztą co by to dało? Uparł się stary i już! Jak osioł.

Wracając do dworu, usłyszał podniesione głosy przed tylnym wejściem. Brykalski i Lodzia. Bardzo, ale to bardzo zła Leokadia.

– Proszę mnie zostawić! Panie poruczniku, nie czas na pogawędki. Mam cały dwór na głowie, wszystkie konie, ojciec... zwariował.

– Panno Lodziu, próbowałem...

– Wiem, ale... – Podniosła głowę i spojrzała na nadchodzącego kapitana. – Pan z nim pomówił? I co?

– I nic. Nie chce. Przecież nie zmuszę go siłą!

– Proszę, to dla pana. – Wręczyła mu dobrze upakowane zawiniątko. – Drobna wałówka na drogę, nieprędko zje pan coś ciepłego w schronie.

– Dziękuję.

– Niech pan chociaż zachodzi do ojca. Nawet jak się obrazi, to... ktoś o niego zadba.

– A pani? Jednak wyjeżdża?

– Nie mogę patrzeć, jak to wszystko się wali. Pojadę chyba... daleko. Nie mam sił.

– Rozumiem i dziękuję. Gdyby jakieś kłopoty, proszę dać znać przez posłańca. Zostawię tu mojego łącznika... Na razie.

Ucałował ją w dłoń, przytrzymując trochę dłużej. Brykalski podsunął się jako drugi, ale Lodzia prawie wyrwała mu rękę.

Wracali milczący, nie w humorach. Gotowi do walki z wrogiem, którego wcale nie było widać.

Express Poranny

Poniedziałek 4 września 1939 r.

NR 244 ROK XVIII

10 groszy

W prenumeracie i doręczeniu do domu zł. 2 gr. 10 miesięcznie

Francja i Anglia u boku Polski

wczoraj weszły w stan wojny z Niemcami

Pełny front wolności przeciw germańskiemu barbarzyństwu

W. Brytania i Francja wypowiedziały wczoraj wojnę Niemcom, stając u boku Polski.

Na wieść o napaści wojsk niemieckich na Polskę, ambasadorowie Francji i Anglii w Berlinie zwrócili się w imieniu swych rządów z ultymatywnym żądaniem do rządu Rzeszy, by niezwłocznie przerwał działania wojenne i natychmiast wycofał wojska niemieckie z terytorium Polski.

Termin ultimatum angielskiego upłynął wczoraj o g. 11-ej rano, francuskiego zaś o 17-ej.

Ponieważ rząd Rzeszy nie zaprzestał działań wojennych wobec Polski — ambasadorowie Anglii i Francji oświadczyli, że ich kraje weszły w stan wojenny z Niemcami.

Na wiadomość o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez naszych sojuszników, p. min. Beck odwiedził ambasadorów W. Brytanii i Francji.

Przed ambasadami obu państw w Warszawie odbyły się żywiołowe manifestacje ludności.

Orędzie królewskie oraz wypowiedzi prem. Chamberlaina i prem. Daladier na str. 2.

Anglicy zatrzymali

pierwszy okręt niemiecki

LONDYN, 4.9. Największy transatlantyk niemiecki „Bremen", który odbywał drogę przez morze angielską, | | własnie podróż z Nowego Jorku do Hamburga, zatrzymany został po

Wojska polskie

ścigają wroga na terytorium Niemiec

w rejonie Leszna i Rawicza

Nasze oddziały przeszły do natarcia brawurowym szturmem, którego [illegible] Rawicza i Leszna. Niemcy od razu się wycofywali. [illegible] wiązki polskiego [illegible]

Komunikat sztabu głównego Naczelnego Wodza

Nr 3

z dnia 3.IX.1939 r.

Działania lotnicze.

Nalety lotnictwa niemieckiego na terytorium Polski trwały nadal, powodując duże straty spośród ludności cywilnej. W ciągu dnia dzisiejszego bombardowano Warszawę, Dęblin, Radomsko, Toruń, Pelplin i ostrzeliwano oraz obrzucano bombami ludność pasącą bydło.

Nasze lotnictwo przeprowadziło dziś przed południem nalotu na zgrupowania broni pancernej w rejonie Częstochowy. Bombardowano skutecznie dwie kolumny broni pancernej nieprzyjaciela oraz zadano duże straty zgromadzonej tu artylerii nieprzyjacielskiej.

Straty lotnictwa nieprzyjacielskiego.

W dniu 2.9. rb. nasze lotnictwo myśliwskie w walkach nad Toruniem strąciło 9 samolotów nieprzyjacielskich, nad Bydgoszczą O.P.L. strąciło 6 samolotów. Razem w ciągu dnia wczorajszego strąciliśmy 27 samolotów. Ogółem w ciągu pierwszych dwóch dni strąciliśmy 64 samoloty niemieckie.

Straty własne lotnictwa.

Za ostatnią dobę — 11.

Działania lądowe.

Bardzo silne natarcie nieprzyjacielskie w rejonie Śląska i Podkarpacia trwa nadal. Nieprzyjaciel wprowadził do akcji znaczne siły. Silne zgrupowanie pancerne nieprzyjaciela przerwało się w kierunku Częstochowy i zmusiło do opuszczenia tego miasta.

Wobec wielokrotnej przewagi nieprzyjaciela wspartego bardzo liczną bronią pancerną, artylerią ciężką oraz lotnictwem, wojska nasze zmuszone są do ustępowania na linii Sępólno — Wschód — Grudziądz — Tczew — Gniew — Gdańsk.

Wschód—rzeki Osa na północny wschód od Grudziądza zostały. Na odcinku Prus Wschodnich walki trwają na pogranicznem. W rejonie Ostródy i Gdańska przeciwuderzeniem odbezwładniony Orzywo i Kacki. Załoga Westerplatte broni się nadal.

Odezwa Wodza Naczelnego

do żołnierzy Czechów i Słowaków

Naczelny Wódz wydał do żołnierzy czeskich i słowackich następujące odezwę.

Żołnierze czescy i słowaccy!

Odwieczny wróg ludów słowiańskich rozpoczął barbarzyński atak na nasze najświętsze prawa do wolności i niepodległości. Polska walczy o honor i o wolność naszą i waszą. Ziemie nasze zostały wyrwane z zobowiązania pokojowe. Wróg podstępnie, wbrew woli ludów, okupował Czechy i Słowację oraz kreślarskie napadł na naszą wolność naszą i wasz. Nakazuje do ostatniego tchnienia walczyć będzie „za wolność naszą i waszą". Niech święta tradycja Grunwaldu, gdy w krwawym boju z Teutonami występowały rzędem narody słowiańskie i dziś połączy się ofiarna krew naszych synów, przyniesie nadzieję waszej serca i wolność waszej ziemi.

Dobrze Przymierze Rzeczypospolitej o utworzeniu legionów czeskiego i słowackiego wzięło stał się dokumentem historycznym, który zapoczątkuje nasz wspólny czynu wyzwolenia wyzwolenie od niepodległości.

Nasz będzie on również trwałą podstawą przyszłej twierdzej współpracy polsko-wej naszych bratnich narodów.

Żołnierze czeski i słowaccy! Nie wolno ci ani chwili wahać się czy masz zostać germańskim niewolnikiem, czy też masz, chcesz za cenę swego życia, walczyć o trzeciem niewątpliwego bratniego, którego obecnie odczuwają w tej chwili wasze narody.

Gdzieśkolwiek jesteś Czechu i Słowaku, wzywam cię w imieniu naszego narodu byś podjął walkę z niemcem.

Na zbrodnie polskich towarzyszy są obecnie legiony czeskie i słowackie, których naczelne dowództwo obejmuje doświadczony, bojowy wy żołnierz generał broni Lew Prchala. Ze względów wojskowych tworzyć one będą na razie jednolitą formację wojskową, która razem w ramię z wojskiem polskim walczyć będzie za waszą i naszą wolność aż do zwycięstwa.

Naczelny Wódz
Edward Śmigły Rydz
Marszałek Polski

Warszawa, 3 września 1939 r.

Zbrodnicza ręka hitlerowskiego barbarzyńcy

[illegible] zawahała się obrzucić bombami

Rozdział III

Dywersja

5 IX 1939, Góra Strękowa, godzina 7.22

Porządek następnego dnia był zwykły. Najpierw obdzwanianie pododcinków, potem objazd pozycji, raporty, najpierw Kurpiki, potem pozycja wysunięta w Strumiłowie i Włochówce. Jednak zamiast jechać do Giełczyna, Raginis zmienił trasę przejazdu. Ledwie przebyli bród koło Góry Strękowej, wyjeżdżając na północny brzeg Narwi, skręcił

w prawo i ruszył nad samą wodą, przypatrując się wzniesieniu 126, opadającemu w stronę rzeki stromymi urwiskami przetykanymi tu i ówdzie plamami piachu. Wzgórze było z tej strony trudno dostępne, schron niewidoczny, w dodatku fałszywe kopuły usypane z piasku i wzmocnione cienkim betonem rozmywały jego zarysy. Usytuowanie głównego obiektu dawało dobry wgląd na okolicę – zarówno na Giełczyn, skryty nieco za drzewami, jak i Kurpiki, i w ogóle na całą drogę po południowej stronie rzeki. Jedynie stromizny wzniesienia przy Narwi dawały wrogowi ukrycie, tworząc martwe pole – mogły być jednak łatwo ostrzeliwane przez najbliższy schron bojowy z pozycji porucznika Kiewlicza.

Raginis jechał na wschód, przyglądając się z grzbietu Bohatyra zakolom rzeki płynącej wartko wśród ciemnozielonych łąk i mokradeł. Poziom wody spadł wskutek upalnego lata. Przez bród w wiosce spokojnie mógł przejść człowiek. Na szczęście dalej po obu stronach Narwi rozciągały się błota i mokradła; nie tylko przejazd czołgów i samochodów pancernych, ale nawet przejście zwykłej piechoty było tamtędy bardzo utrudnione.

Nagle Bohatyr aż podskoczył spłoszony. Prawie spod kopyt z wysokiej trawy i trzcin poderwał się człowiek. Wysoki, w pasiastej marynarce i białej koszuli, w czapce na bakier. Od razu trącił ręką drugiego; a ten... leżał w trawie i wciskając w oczodoły szkła lornetki, powolnym, spokojnym ruchem lustrował stoki wzgórza 126 po drugiej stronie Narwi.

Odtrącony przeturlał się, chroniąc wojskową lornetkę. Wtedy ten pierwszy poderwał w górę karabin i prawie nie celując... rąbnął do Raginisa!

Cyt! – kula zaćwierkała koło ramienia kapitana. Otarł się o śmierć... dosłownie. Zanim zdołał wydać komendę, rozległy się krzyki, łoskot kopyt.

– Szpiedzy! – rozdarł się Jarmulik. – Dywersanci!

– Poczet z koni! – zakrzyknął Raginis i pierwszy znalazł się na ziemi. – Uwaga! Na wprost ognia!

Skręcił w bok, łapiąc za visa. Byli tak cholernie zaskoczeni, opóźnieni jak diabli, jego łącznicy i obserwatorzy dopiero teraz zeskakiwali z koni, łapali za karabinki, jak zwykle zawahali się, czy trzymać konie, czy strzelać, pomógł im jednym szybkim rozkazem:

– Gierszułł, bierz konie! Ognia!

Wychylił się zza kulbaki, osłaniając się Bohatyrem jak tarczą, na szczęście koń nie czuł strachu, nie szarpał się, nie parskał sycząco, nawet nie tulił uszu. Raginis kropnął z pistoletu raz, drugi, trzeci, czując znajomą siłę odrzutu, wpakował kulę prosto w grupę uzbrojonych dywersantów. Rozbiegli się, spłoszeni jak kaczki, szukając ochrony, po krzakach, po chaszczach. Lecz jeden – ten w marynarce, szczupły, ciemnowłosy – strzelił raz, przeładował, wyrzucając łuskę, strzelił drugi; mierzył w Raginisa, ale nie trafił, poprawił trzecim strzałem, Raginis zripostował, ale też niecelnie. Nagle rozległa się bezładna palba, to poczet odpowiedział, waląc Panu Bogu w okno. Dywersantów nie było już widać.

– Przerwać ogień!

Nie było sensu strzelać, po tamtych zostało tylko wspomnienie. Czyjś spłoszony koń galopował po ścieżce w stronę brodu, łącznicy i obserwatorzy klęczeli, kulili się z bronią w ręku. Jarmulik zaś pochylał się...

– Panie kapitanie! – zajęczał błagalnie. – Panie kapitanie, Wilczyc! Nasz kapral.

Podoficer leżał na boku, jakoś tak dziwnie przekrzywiony. Kiedy Jarmulik obrócił go na plecy, Raginis zobaczył ciemnoczerwony znak na środku piersi, jak krzyż. Oczy zamknięte... Boże miłosierny!

– Nie oddycha!

– Wezwijcie patrol sanitarny!

– Dwóch za mną! – rozkazał kapitan. – Osłaniajcie!

Sam z pistoletem w ręku skradał się bokiem ścieżki, między łopianami i ostami. Schylony nisko, pistolet wysunięty w przód; próżny wysiłek. Wrogowie znikli. Zobaczył tylko kilka łusek w trawie i jeszcze coś – ślad krwi, świeży, jeszcze nie zastygły na liściach łubinu i zwykłej babki w trawie. Wyprostował się i popatrzył dalej, na wschód, na łąki, porośnięte krzakami, gdzieniegdzie poznaczone równymi stertami siana. Przygryzł zęby, czując, jak wybucha w nim wściekłość.

– Jarmulik! Gierszułł!

– Na rozkaz, panie kapitanie!

– Na koń i do Góry Strękowej. Zameldujecie podoficerowi dyżurnemu, niech przyślą sanitariuszy z noszami. Szefowi każcie, żeby wypuścił z aresztu tego kłusownika Subotę. Macie go tu sprowadzić, migiem! Gdyby się stawiał, macie go zmusić. Wykonać!

– Panie kapitanie, co z Wilczy...

Raginis uświadomił sobie, że wcale nie pochylił się nad kapralem. To przykre, nie było po co.

– Kapral nie żyje. Nic nie poradzicie. Wykonać!

Gdy odjechali, pochylił się nad swoim pocztowym, położył rękę na zamarłej, bladej twarzy, ale nie musiał zamykać podoficerowi oczu, śmierć uczyniła to za niego. Podniósł głowę, żołnierze z pocztu stali w grupie, jacyś tacy niewyraźni, zestrachani. Poderwał się i wyprostował.

– Starszy strzelec, zająć stanowisko tam – pokazał ręką – i wypatrywać, oni mogą wrócić. Pozostali, przenieść kaprala na bok.

– Melduję zacięcie broni – wybełkotał jeden z żołnierzy, starszawy, ciemny, nieogolony, oczy jak dwie plamy. – Nie mogę

strzelać. – Szarpnął za zamek, oglądał broń, a wtedy Raginis wyrwał mu ją z ręki.

– Nie odbezpieczyliście karabinka – powiedział, po czym ujął między kciuk i palec wskazujący skrzydełko bezpiecznika kończące zamek i przekręcił dwa razy w lewo. – Macie, iglica odblokowana, karabin gotowy.

Z łoskotem wracali Jarmulik i Gierszułł, pędzili kłusem na koniach, między nimi zaś biegł, słaniając się i zataczając, kłusownik Subota. Bez czapki, mokry – woda dosłownie lała się z niego. Pod okiem miał świeżego sińca. Raginis spojrzał na Jarmulika.

– Co się dzieje? Dlaczegoście go... tak?

– Stawiał się, panie kapitanie.

– Gdzie sta...wiał! – wyjęczał kłusownik i padł na kolana, wsparł się na rękach, dusząc się, prawie krzycząc. – Pognali... przez rzekę. Ja pły...wać nie umiem. Najechali koniem... Aj, za co? Ja przecież też Polak i człowiek.

– Więc masz okazję wykazać się miłością do ojczyzny, Subota. Mówili mi, że dobrze kłusujesz i podchodzisz zwierzynę.

– Tak, panie kapitanie.

– Prowadź śladami dywersantów, póki trop świeży. O, tu siedzieli, obserwowali nasze pozycje.

– Któryś dostał. – Subota przykucnął, dotknął pokrwawionej trawy. Podniósł do ust palce, powąchał. – Trzech, nie! Czterech. Poszli tam.

– Prowadź, szybko! Gdybyś uciekał, pamiętaj, sam cię zastrzelę! Idź!

Subota poderwał się, pochylony wpatrzył się w trawę, badając ślady, które z każdą chwilą robiły się coraz mniej czytelne.

Ale nie dla człowieka, który życie spędził w lesie.

– Tędy poszli, panie kapitanie, dwóch niosło trzeciego. Czwarty za nimi, a ranny, farbę daje. Pluska jucha, że hej, dobry był strzał. – Pokazał ciemny trop na trzcinach. – Zostawcie konie, nie będą wam potrzebne. Tamci idą w bagna, muszą być tutejsi, ale i ja te błota znam. Podchodziłem tu dzikie kaczki i czaple. Panie kapitanie, zważać na każdy krok. Stąpajcie, gdzie ja, ostrożnie, ale nie bać się. Tera je sucho, błota wyschły.

– Gierszułł, zostań z końmi. Czekaj na sanitariuszy. Reszta za mną! Szeregiem, ostrożnie następować.

Między Giełczynem a Strękową Górą, około godziny 8.00

Albo bagno nie było tak grząskie, jak ostrzegał Subota, albo kłusownik znajdywał tak dobrą drogę przez moczary. Szli za nim gęsiego, pierwszy kapitan, zaraz za nim Jarmulik, schyleni, wypatrujący zasadzki. Czasem skakali z kępy na kępę, czasem woda chlupała pod butami, niektórzy zapadali się w błocie po kostki. Błota wyschły, mijali wysuszone kępy trzcin, ostrych traw, czasem szli po szarobrązowym szlamie, który jeszcze na wiosnę był kożuchem wodnej rzęsy rosnącej na rozlewisku. Niebawem teren zmienił się w łąki, minęli z prawej stare koryto Narwi, jak klamra spinające od północy pofalowany nurt rzeki. Z prawej na pagórku zobaczyli szerokie łopaty unieruchomionego obecnie wiatraka pod Strękową Górą.

Subota poprowadził ich w łęgi i brzezinianki – rosnące na wzniesieniu za strumieniem. Znów trochę zamarudził, szukał śladów, znalazł wreszcie wygniecioną trawę, po której ciągnęli rannego, trochę złamanych gałązek. Przez olszyny poruszali się tyralierą, omijając grząskie miejsca i wypatrując znaków.

Wychynęli na drugą stronę, na łączki i płoty przysiółka Kleszcze, i wtedy kłusownik położył palec na ustach. Pokazywał ręką coś przed nimi. Samotną zagrodę krytą słomą. Chyba była opuszczona – okiennice rozwalone, stodoła, szopy były przechylone, dachy pełne dziur.

– Są tam... Chyba są, panie kapitanie.

– Jarmulik, osłaniaj z lewej, za płotem, jeden z prawej, za stodołą! – zakomenderował kapitan. – Reszta za mną, do środka, biegiem marsz!

Wypadli z lasku w jednej chwili – dwaj rozbiegli się na boki, starszy strzelec i jeden żołnierz skoczyli za kapitanem prosto na schodki, do wejścia. Raginis szarpnął za drzwi z boku chałupy, aż otwarły się i uderzyły o ścianę. Wszedł pochylony, najpierw pistolet, potem głowa. Zobaczył ciemną, zaschłą krew na deskach podłogi, ślady szły dalej, prosto do rozświetlonej porannym słońcem izby.

Wpadli tam we dwóch, razem ze starszym strzelcem-obserwatorem. Raginis zobaczył otwarte okna z potłuczonymi szybami, osypujące się ze ścian wapno, wilgotną, trochę nadgniłą podłogę. I spoczywającego na ławce pod ścianą zażywnego człowieka w prążkowanym swetrze, z posiwiałymi, przystrzyżonymi krótko włosami. Lewą ręką podtrzymywał zakrwawioną nogę obwiązaną bandażem, próbując podciągnąć ją wyżej.

– Stój! Nie ruszaj się, bo strzelę! – wykrzyknął kapitan, podchodząc. – Broń masz jakąś?

– Kittel! – rozdarł się tamten w stronę okna. – Kittel!

– Stul gębę! Ręce do góry.

– Nie, nie mam broni – zajęczał ranny czystą polszczyzną. – Zmusili mnie, panie oficerze, żebym przez bagna ich poprowadził. Nic nie mam, tylko to...

Nagle wyszarpnął coś prawie spod siebie, a może leżało to po prostu obok, na ławie, zasłonięte drugą nogą. Wyciągnął rękę, jakby dając to kapitanowi...

Stuk, po deskach potoczyło się podłużne metalowe jajo z dwoma żelaznymi wąsami i zgrubieniem na końcu...

– Granat! – rozdarł się strzelec. – Padnij!

Obaj żołnierze zwalili się na ziemię – jeden w przejściu, drugi – blady ze strachu – pod ścianą. A ranny dywersant zerwał się z ławy; kulejąc mocno, skoczył do okna, rozepchnął skrzydła, wyciągał ręce, chcąc przewalić się na zewnątrz, jakby chronił rozstawionymi dłońmi łeb przed upadkiem. Na próżno. Raginis strzelił raz, drugi. Kule szarpnęły uciekającym, na plecach, na boku wykwitły ciemne plamy. Zamiast na zewnątrz padł brzuchem na otwór okienny, zjechał w dół, na podłogę, i tak już pozostał, w przemijającym cichym i śmiertelnym dygocie.

– Na nogi, chłopaki! – jęknął kapitan. – Wstawać! Ich jest tu więcej! Przeszukać dom i piwnicę.

Widząc, że roztrzęsieni strzelcy ciągle popatrywali na niego z podłogi, pochylił się i podniósł ciężki, obły niemiecki granat, pokazał im go w palcach, stuknął w niebieską kopułkę na szczycie.

– Zapalnik widzicie? Nie wyciągnął zawleczki!

Trzask, brzęk, to poszła szyba w oknach; na zewnątrz gruchnęły strzały. Ciężkie, powolne, karabinowe. Odpowiedziały im suche trzaśnięcia broni Jarmulika i drugiego obserwatora.

Raginis przypadł do ściany, wyjrzał przez okno, na drogę i zapuszczony ogród, wystrzelił jeden jedyny raz, bo wtedy zamek i osłona pozostały cofnięte, odsłaniając przednią część lufy. Wystrzelał magazynek!

Sięgnął do kabury, wydobył drugi, pozbył się pustego, wciskając zatrzask magazynka, i przeładował.

Wtedy uderzył w nich sztorm. Długą serią zaniósł się erkaem. Uderzył w cienkie ściany chałupy, aż poszedł kurz, nagle wykwitły na nich dziury.

– Padnij! – zakrzyknął Raginis.

Za późno. Jeden ze strzelców krzyknął, złapał się za łokieć, przetoczył. I cały czas krzyczał, wył, zraniony, lecz przecież żywy.

– Jarmulik! Z lewej, obejdź ich! – darł się kapitan.

Na próżno! Erkaem zaniósł się znowu przeciągłym, pulsującym trzaskiem. Z brzękiem tłuczonego szkła poleciała na nich skoszona serią i wepchnięta do środka rama okienna. Chwila, sekunda przerwy – karabin zabił równym wytłumionym marszem śmierci. Drzazgi poszły z framug drzwi i okien, dziury wykwitły w ścianach, kule minęły o włos okrągłą czapkę Raginisa. Odruchowo pomacał się po lewej kieszeni, czy nie zginęły obrączki. Były!

Podniósł głowę, zastanawiając się, czy skoczyć do okna, czy kazać to zrobić starszemu strzelcowi. Wpakowali się w matnię, nikt nie spodziewał się ciężkiej broni!

Obejrzał się na swoich ludzi – jeden wił się na plecach, drugi podpełzł do niego, pozostawiając karabin na podłodze, zatkał mu gębę, rozerwał pakiet opatrunku polowego.

Subota! Gdzie był Subota?! Wszedł razem z nimi, ostatni. Zniknął. Uciekł? Zdradził?

– Jarmulik! Wal w kaem! – rozdarł się kapitan.

Nic, odpowiedział mu trzask i łoskot kolejnej serii, drzazgi walące w twarz, kule przebijające cienkie ścianki na wylot. Byli w pułapce...

Kleszcze, godzina 8.44

Jarmulik zajął stanowisko za kostropatym i krzywym, pobielonym od dołu pniem jabłonki – owocującej teraz, przy końcu lata, cukrowymi kosztelami. Karabin miał odbezpieczony, załadowany, jeszcze cztery naboje w magazynku. Kiedy w chałupie rozległy się krzyki, a zaraz po tym gruchnęły strzały, po prostu przyklęknął, przyłożył broń do ramienia, biorąc za cel chaszcze i ogród po drugiej stronie piaszczystej drogi. Coś zaszamotało się wśród młodych brzózek i krzaków, strzelił tam, gdzie wyczuwał ruch. Odpowiedział mu grzmot strzałów, a potem równym, suchym łoskotem odezwał się erkaem.

Karabin dywersantów bił w chałupę, w drewniany, pochylony płot, aż poszły drzazgi z rozwalonych szczebli. Starszy strzelec przypadł do ziemi, bo kule latały po całym obejściu – nie wyłączając sadu. Dostało się mocno jabłonce; wypluwał z ust kawałki kory.

Strzelił znów na krzyk kapitana, ale nie był w stanie przepełznąć do przodu, strach dławił, szarpał, za jabłonką był już otwarty teren, czyli śmierć; nie miał go kto osłonić, gdyby poderwał się na nogi. Nie zdążył przeładować, bo z drzwi wypadł, sadząc ogromnymi susami, ciemny kształt w szarej kurcie. Subota! Kiedy przemykał koło kryjówki Jarmulika, starszy strzelec poderwał się na kolana, wystawił lufę karabinka, wbijając mu ją prawie w brzuch, zatrzymując w miejscu.

– Dokąd, Subota? Stój, bo strzelam!

– Po pomoc... dla kapitana! Puszczaj!

– Kładź się, bo strzelam!

– Wal, aby celnie! – warknął Subota. I nagle zbił lufę w bok.

Jarmulik chciał nacisnąć na spust – poczuł opór, wystrzelał magazynek. Kłusownik chwycił karabinek oburącz, poderwał go w górę razem ze starszym strzelcem, który uczepił się

kurczowo kolby i łoża. Rzucił w dół i wykręcając, uderzył zamkiem w szczękę żołnierza. Jarmulik jęknął, zwalił się na plecy, a wtedy rubszyc puścił broń, przemknął nad żołnierzem, skoczył gdzieś i zniknął. Starszy strzelec obrócił się na prawy bok, podciągnął karabin, przeładował, wciskając do komory kolejną łódkę z pięcioma nabojami, poprawił czapkę polową na głowie i...

Kaem ciął drugi raz; Jarmulik przeturlał się znowu pod jabłonkę. Kule biły obok, obsypywały go ziemią, szczerbiły zawęgłowania chałupy. Po kłusowniku ni widu, ni słychu. Straszy strzelec przewrócił się na brzuch. Znów trzask serii, niewidoczny dywersant bił po zagrodzie. Jak wielki musiał mieć magazynek, że prawie nie robił przerw?

W tym czasie Subota był już daleko. Wpadł w brzezinę, skręcił w prawo, biegł przez łąki, najpierw od jednej kupki siana do drugiej, potem już tylko lekkimi zakosami między wierzbami, wiązami. Kiedy przeskoczył strumień i wpadł na piaszczystą, rozjeżdżoną drogę, zwolnił, złapał oddech. Od teraz posuwał się krótszym kłusem, jak w lesie wtedy, kiedy ścigali go z obławą, z psami. Leciał, aż dopadł do rozwidlenia dróg, skręcił przed drewnianym kościółkiem; wtedy zobaczył rozciągniętą wzdłuż traktu zabudowę wsi Giełczyn. Mijał drewniane, zwrócone frontem do drogi chałupki z ciemnych, brązowych, ociosanych bali, stodoły uginające się pod szarymi strzechami, zapadał się w dołach i koleinach.

– Stój, kto idzie?!

Był już za wioską, prawie wpadł na zasieki przecinające pola, na kozioł opleciony kolczastym drutem, zagradzający przejazd. Zobaczył trzy hełmy wartowników z posterunku, lufy mierzące w niego. Dwóch rosłych strzelców w mundurach khaki, jeden mniejszy, drobny i chudy żołnierzyk. Pierwszy podniósł

karabin, wymierzył. Kłusownik zatrzymał się więc i podniósł ręce w górę.

– Nie strzelać, ja Marcinek Subota! Od kapitana! Z wiadomościami.

– Od kapitana? Czekaj, nie ruszaj się! Józik, leć do podoficera, niech zadzwonią na placówkę, zameldują.

Jeden z żołnierzy, zwykły strzelec, pobiegł ociężałym truchtem. Nie było go długo, aż niedawnego kłusownika zdążyły rozboleć trzymane w górze ręce. Próbował opuścić je ukradkiem, wtedy jeden z żołnierzy trącił go lufą w plecy.

– Stój, jak stałeś. Chwili nie możesz poczekać? Ty nie ze wsi, nie pamiętam cię.

Przyszedł sierżant, marsowy, wąsaty, dopinający pas ze służbowym pistoletem. Spojrzał na zatrzymanego i skrzywił się.

– Jak nazwisko?! – huknął.

– Subota... znaczy Marcin Subota. Ja od kapitana. Melduję, że wasz dowódca jest otoczony przez dywersantów koło Strękowej Góry.

– Jak ty Subota, to my cię, bracie, w areszt zajmujemy – poruszył wąsami sierżant. – Sprawdźcie go, czy nie ma broni, i do ancla.

– Kapitan prosi o pomoc! Wyślijcie patrol! Nie ma czasu.

– Ja nic ci, bracie, nie poradzę, pan porucznik tak kazał. Ty nie posłaniec, tylko kłusownik. No, drugi raz się nie wywiniesz. Zabrać go i pilnować. Sprawdźcie, czy broni nie ma, a ja zadzwonię do dowództwa, spytam się.

Subota chciał protestować, ale żołnierz pchnął go lufą, drugi celował z tyłu prosto między łopatki. Wszystko waliło się w gruzy.

– Mogłem do ojca pobiec, uciec, ech, wy skatiny!

– Idziesz, idziesz – popędzał go z tyłu mały strzelec.

Kleszcze, godzina 9.02

Raginis przetoczył się pod okno, wsparł plecami o pobieloną wapnem ścianę, podźwignął z pistoletem w ręku, zaryzykował krótkie spojrzenie.

Od razu się schował, bo nic nie zobaczył – tylko zarośla przed oknem, pokrzywiony, porozwalany od kul płot i zagajnik po drugiej stronie drogi. Dywersanci byli skryci jak rysie na polowaniu, nieźle wstrzelani. Od jednego krótkiego spojrzenia nie mógł rozpoznać ich pozycji, wtulił głowę w ramiona, bo po chałupie poszła kolejna seria, wyrywając kawały spróchniałego drewna z ram okiennych, waląc w bale i wybijając lniane pakuły ze szczelin pomiędzy nimi. Wtedy się zdecydował – odkręcił kurek zapalnika niemieckiego granatu, wyszarpnął linkę, łamiąc opór. I cisnął go przez okno, jak najdalej od domostwa, w stronę drogi!

– Granat! – krzyknął.

Jego ludzie rozpłaszczyli się prawie na deskach. Zaraz potem uderzył grom, wybijając resztki szyb i ram, tnąc ich deszczem szkła i odłamków, wzniecając w zachwaszczonym ogródku tuman kurzu.

– Wycofujemy się! Do tylnych drzwi.

Żaden się nie poruszył, jeden żołnierz ranny trzymał się za łokieć, drugi wpatrywał się błędnymi, przerażonymi oczyma. Szok strzałów, pierwszych godzin wojny, do tej pory udawanej, ta prawdziwa trwała poza granicami odcinka. Raginis skoczył pierwszy, zachęcając ich ręką uzbrojoną w pistolet. Nawet dla niego wszystko działo się za szybko, wydarzenia następowały po sobie jak klatki na taśmie filmowej...

Wpadł do sieni, złapał za otwarte drzwi na tylne podwórze. Bach, bach! – strzały rąbnęły tuż obok, dostał w policzek kawałkiem żelaza albo twardego drewna; od razu, nie

zatrzymując się, wskoczył do zrujnowanej kuchni po lewej, doskoczył do okna.

Trzask, brzęk wybijanych resztek szyb – ktoś strzelił w okno z tyłu, zza płotu. A więc wzięli ich w kleszcze! Raginis przycisnął się do ściany, dał ognia dwukrotnie, ostrzeliwując płot i róg stodoły.

– Jarmuliiik! – rozdarł się. – Wycofuj się, sprawdź, co za płotem.

– Przycisnęli mnie! – odkrzyknął starszy strzelec. – Nie widzę ich.

Byli w pułapce – z przodu erkaem, z tyłu strzelcy – mogli tylko czekać albo... wyskoczyć wprost pod lufy.

Pozycja Giełczyn, godzina 9.13

– Otwórzcie! – krzyczał Subota, waląc pięściami w drzwi komory bojowej, w której zamknięto go pod strażą. Wnętrze było ciasne, miało tylko jeden otwór strzelniczy – na karabinek albo erkaem blokujący korytarz wejściowy, przed drzwiami przeciwgazowymi. – Tam wasz kapitan walczy z dywersją. Pod Strękową Górą, w Kleszczach.

– Morda w kubeł! – odparł wartownik. – Bo zaraz zatańczysz kujawiaka, jak dam ci po nerach.

– Ja nie kłamię! Otoczyli kapitana Raginisa. Dywersanci. Nikt się ich nie spodziewał.

– O co idzie, Subota? – rozpoznał głos wąsatego sierżanta. – Mam się do ciebie osobiście pofatygować?

– Tera żeście głusi, ale jak wasz kapitan wróci, da wam szkołę!

Usłyszał podniesione, zmieszane głosy, zgrzyt odmykanej zasuwy. Nagle uderzyło go światło latarki; mrużąc oczy,

zobaczył stojących na progu żołnierzy.

I podniesioną do ciosu kolbę, obok złe, przekrwione oczy sierżanta.

Skulił się, zasłaniając twarz łokciem.

– Nie kłamię! – powiedział. – Jak ojcu, jak księdzu na spowiedzi, ja...

Kleszcze, godzina 9.17

Tkwili w rozwalonej chałupie, której ściany dygotały od wystrzałów. Od strony drogi przestali walić seriami, ale Raginis nie zdecydował się na opuszczenie kryjówki. Ledwie przysuwał się do okna, ledwie cień człowieka pojawił się w drzwiach, zaraz uderzał strzał. Z tyłu musiało być przynajmniej dwóch ludzi, pilnujących podwórza. Jarmulik nie mógł ich zobaczyć ani wykryć, obaj strzelcy kapitana nic nie widzieli przez na wpół rozwalone okna z kuchni i komory za nią.

Dowódcy kończyły się naboje, wystrzelał dwa magazynki, strzelcy mieli jeszcze sporo w ładownicach, ale... nie było do czego prowadzić ognia. Dywersanci wtapiali się w chaszcze jak... kłusownicy. I może faktycznie nimi byli; Raginis poczuł chłód, kiedy pomyślał, że Subota mógł być z nimi w zmowie.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, od południa, od strony Strękowej Góry, zabrzmiała palba, przez którą przebijały się zmieszane głosy.

– Panie kapitanie, nasi idą! – krzyknął ktoś zza stodoły, chyba milczący dotąd strzelec-obserwator.

– Sekcja zwiadowcza, kierunek zagajnik, w tyralierkę, odstęp pięć kroków!

Zagrał znowu erkaem, ale już nie dobijał rozwalonej chałupy, walił w zupełnie inną stronę.

– Kryj się! – zabrzmiał znajomy głos. – Sekcja, na wprost ognia!

Znów palba strzałów, jeden po drugim, zlewające się trzaski, rozsadzające czaszkę.

– Przerwać ogień! Na wysokość zagajnika przed nami dwadzieścia kroków biegiem marsz.

Znów strzały, ale teraz krzyki zza chałupy; wyraźne, pomieszane, niemieckie.

– *Zurück! Zerstreuen... Schneller, schneller!*[1]

– Sekcja, kryj się! Na wprost ognia!

– Za mną! – wykrzyknął Raginis, kiedy przebrzmiały strzały.

Wypadli przez sień prosto na podwórze, pod płot, kapitan strzelił dwa razy, osłaniając rannego strzelca, który zataczał się, krwawił. Z boku spod jabłonki odezwał się karabin starszego strzelca Jarmulika. I wtedy w zagajniku za zagrodą wszczął się ruch. Ktoś uciekał przez chaszcze, ktoś ciężki.

– Skurwysyn! – ryknął Jarmulik. – Czekaj, chcesz fangie?

Poderwał się i strzelił z biodra, a potem pobiegł do zagajnika. Raginis chciał go zatrzymać, ale tamten wpadł między młode brzózki, barwiące ziemię jesienną żółcią opadającego listowia.

– Starszy strzelec, wracać!

Nagle zakotłowało się wokół chałupy. Raginis zobaczył falujące drzewka w zaroślach za drogą, więc zgarnął pozostałego strzelca do ogrodu z lewej, sam zajął stanowisko opuszczone przez Jarmulika, strzelił dwukrotnie, sekundował mu – teraz dzielnie – drugi obserwator.

Wtedy ujrzeli poruszających się skokami, cały czas prowadzących ogień żołnierzy. Szli od Strękowej Góry, drogą i polami obok, co chwila kryli się, osłaniali ogniem.

– Władek, nie strzelaj, my swoi!

Zza stodoły, gramoląc się przez rozwalony płot, wychodzili żołnierze w półokrągłych hełmach, przepasani parcianymi

pasami na krzyż, wszyscy z krótkimi karabinkami w dłoniach. Z tyłu znajomy, szczupły porucznik o gładkim obliczu.

– Serwus, Władek! – zakrzyknął Brykalski. – Myślałem, żeś u panny Lodzi.

– Poruczniku, do jasnej cholery, poproszę o meldunek. Co tu robicie?

– Tak jest. – Brykalski wyprężył się jak struna. – Melduję, że nasz patrol usłyszał strzały, więc wziąłem sekcję zwiadowczą, poczet i kogo tam mogłem z taborów i wyruszyłem sprawdzić.

– Uratowałeś nas, dziękuję. – Raginis wyciągnął rękę. – Wpadliśmy na dywersantów koło głównej pozycji, zacząłem ich ścigać, żeby zdobyć języka, ale okazali się sprytniejsi. Mam rannego, opatrzcie go!

– Tak jest! Zobaczcie go, kapralu, w razie czego zabierzcie do sanitariuszy.

– Gdzie dywersanci?!

– Kapral Zalewski ich pogoni, tam. – Wskazał na oddalającą się tyralierę. – Będziemy szukać do skutku.

– Odwołaj ich, to nie ma sensu. Ci Niemcy są miejscowi, znają teren lepiej niż twoi ludzie.

– Rozumiem, zaprzestać pościgu. Ale żadnego chyba nie trafiliśmy. Chcesz zostawić nieprzyjaciela pod bokiem?

– Zostawić, o nie – przygryzł wargi kapitan. – Mamy jednego trupa, trzeba go sprawdzić i rozpoznać. Jest w chałupie. Hej, przynieście go i niech ktoś przywoła z powrotem strzelca Jarmulika. Macie konie?

– Oczywiście, cała sekcja i my wierzchem, zostawiliśmy je w Kleszczach, w ostatniej zagrodzie.

– Dawaj je tutaj. Jedziemy do Giełczyna, do Kiewlicza, a tego trupa wsadźcie na luzaka.

Pozycja Giełczyn, przed godziną 10.00

Zwalili ciało martwego dywersanta na brezentową płachtę na samym końcu Giełczyna, przed zasiekami. Kapral z sekcji zwiadowców baterii artylerii przeszukał trupa, sprawdzając, czy nie ma żadnych dokumentów. Nic nie znalazł. Raginis nakazał zatem przyprowadzić wójta, zawołać z pobliskich chałup wszystkich mieszkańców, pokazać zwłoki starszego, siwawego mężczyzny w prążkowanym swetrze, rannego w nogę i przeszytego trzema kulami w trakcie ucieczki. Powoli nadciągali niscy, krępi chłopi w kubrakach i koszulinach, babiny w chustkach, niektórzy przyszli boso, z widłami prosto od gnoju.

– Znacie go? – pytał kapral, pokazując trupa. – Wasz sąsiad? Z tej okolicy? Był widziany?

Kręcili głową, ale oczy mieli pełne lęku, puste, zdejmowali czapki, kłaniali się przed Raginisem jak przed księdzem w kościele. Mówili prawdę? Chyba tak; okoliczne wsie były wszystkie polskie, mało komunistów, prawie żadnych Białorusów jak pod Białymstokiem.

Powoli, z namysłem szedł porucznik Kiewlicz z nieodłącznym sierżantem Murachwą, obaj wąsaci, jakby z jednego zaścianka, pomyślał odruchowo Raginis. Oficer zasalutował, stuknął obcasami, zameldował się.

– Poruczniku, spójrzcie na nieboszczyka – rozkazał kapitan. – Dywersant, zastrzelony osobiście przeze mnie, wiecie, próba ucieczki.

– Nie znam go, nie widziałem. Sierżancie?

– Nie mieszka w okolicy. Nikt z Giełczyna, Gaci, Kołodziejów, nie przypominam sobie.

– Jest ich więcej. Dziś rano natknąłem się na nich nad Narwią. Przynajmniej pięciu uzbrojonych ludzi, mają erkaem,

mogą atakować niespodziewanie i próbować rozpracować naszą linię obrony. Proszę wzmocnić posterunki i wydzielić dodatkowe patrole, wysyłać je do wsi, niech zatrzymują wszystkich podejrzanych osobników.

– Melduję, że zatrzymaliśmy Marcina Subotę, tego kłusownika, pewnie pan pamięta, wałęsał się koło naszych stanowisk pod Kołodziejami.

– Subotę? – wycedził Raginis. – Dawajcie go zaraz.

– Sierżancie, słyszeliście?

– Zobaczy trupa, potem natychmiast odsyłam go do Osowca, niech się nim zajmie żandarmeria. To podejrzany typ, uciekł nam.

– Mówiłem przedwczoraj, panie poruczniku, takich to tylko trach, trach i spokój. Pewnie był w zmowie z dywersantami. Papierosa?

– Dziękuję, łeb mi trzeszczy od strzałów.

– Marna głowa i od szampana dwa lata boli – wzruszył ramionami Kiewlicz. – O, już go prowadzą.

Subota, eskortowany przez dwóch strzelców w hełmach, wyglądał na z lekka poturbowanego. Ale trzymał się prosto, trochę zataczał; wielkie i chude chłopisko, ponura gęba.

Stanął przed kapitanem i wyprostował się.

– Jesteś podejrzany o współpracę z dywersantami – powiedział Raginis. – Masz coś na swoją obronę, zanim przekażę cię żandarmerii?

– Pan kapitan tego nie zrobi.

– O, a dlaczego niby? Za twoje piękne oczy i szczerbaty uśmiech?

– Pobiegłem sprowadzić pomoc. Tam, gdzie najbliżej nasi. A wszyscy przecież wiedzą, że najbliżej w Giełczynie.

– Kłamiesz, chłopie, jak z nut! – warknął Kiewlicz. – Nie wiem, jak pan kapitan, ale ja bym cię zaraz...

Jarmulik, stojący obok, przygryzał wargi. Walczył ze sobą.

– Przecież mówiłem do pańskich ludzi – tłumaczył Subota – że pan kapitan w opałach. Ja widziałem, że sami nie wyjdziecie z matni. Sam miałem taką sprawę, jak zaplątałem się u pana dziedzica Jamiołkowskiego między sanie...

Jarmulik popatrzył na Subotę krzywo. Zrobił krok, stanął przed kapitanem jak do raportu.

– Panie kapitanie, melduję, że on mówi prawdę. Wtedy w zagrodzie, jak uciekał, zatrzymałem go i powiedział, że idzie po pomoc.

Subota uśmiechnął się krzywo.

– Kłamał, żebyście go nie zastrzelili – powiedział Kiewlicz.

– Na dowód prawdy rozpoznam tego ot człowieka. – Subota wskazał trupa. – Panie kapitanie, ja wiem, kto to jest.

– Mów.

– Maks Repliński, gospodarz. Mieszka w Sępikach pod lasem, koło Słomianki. Duży dom, murowana stodoła. Ma syna, co też chodzi do lasu, a kiedyś służył u gajowego w Borsuku.

– Co wy nie powiecie?

– Jego syn znikł jeszcze w sierpniu. Znaczy nie widziałem go. Mogę pokazać, gdzie mieszkają.

– Jarmulik, weźcie jeszcze jednego strzelca i pilnujcie Suboty. Gdyby drugi raz nawiał, strzelajcie od razu. A wy pamiętajcie, jeśli jeszcze raz mnie zawiedziecie, naprawdę urządzę tutaj sąd polowy.

Sępiki koło Słomianki, godzina 11.57

Dowodzący akcją porucznik Kiewlicz nie popełnił błędów. Najpierw kazał swoim żołnierzom otoczyć zagrodę na skraju wioski, a sekcję zwiadowczą ukrył w pobliżu, w zaroślach przy

drodze. Gdyby ktoś uciekł – mieli go ścigać, nie oszczędzając koni.

A potem na dany znak – strzał w powietrze – wpadli do środka, z bagnetami na karabinach. Jedni przez bramę i furtkę, drudzy od tyłu, przez płoty i drugą bramę na mokre łąki w starorzeczu Narwi.

Zagroda była porządna – czarny dom kryty gontem, z ceglanym kominem, z okiennicami i gankiem zdobionymi w ludowe wzory. Podmurowana stodoła i obora z kamienia. Drzwi ledwie zamknięte na skobel, żołnierze wyważyli je w jedną chwilę, wpadli do sieni i izby z krzykiem, złorzeczeniem. Odpowiedzią był tylko cienki okrzyk. W tym czasie sierżant Murachwa przeszukał ze swoimi stodołę i oborę na dziesięć krów i dwa konie. W sąsieku kłuto ostrzami bagnetów siano i słomę, zrzucano z góry całe snopki, przetrząsano piwnicę pełną kartofli.

Raginis wszedł do domu już po wszystkim. Przekroczył próg, widząc na każdym kroku dostatek, jakiego trudno było szukać w zwykłych chałupach nad Narwią, w Wiźnie czy w żydowskich kleciach w Tykocinie. Ciemne łóżka zasłane wysoko poduchami i pierzynami, stoliki, stoły przykryte białymi serwetami, tuż obok skrzynie, stołki, ławy. W kącie maszyna do pisania, na stoliku odbiornik radiowy Polskiego Towarzystwa Radiotechnicznego w drewnianej obudowie. I prosty krzyż na ścianie, pod nim Pismo Święte, chyba Nowy Testament. Książki, dużo książek w szafce za szkłem.

Dwoje ludzi otoczonych przez żołnierzy w hełmach. Sucha, wysoka kobieta w czarnej chuście, z pooraną zmarszczkami twarzą. Wyrostek, z siedemnaście lat, w kamizelce, sztuczkowych spodniach, w białej koszuli. Pod ścianą na krześle otwarta, rozbebeszona walizka.

– Zastaliśmy tylko tych dwoje. Ten gnój się pakował, przeszkodziliśmy mu – zameldował Kiewlicz.

Raginis podszedł do starej.

– Imię i nazwisko pani. Proszę nie utrudniać.

– Gertruda Replińska – odpowiedziała cicho. – Dlaczego do nas przyszliście, nic nie zrobiliśmy...

– Panie oficerze, o co chodzi? – zawołał młodzieniec. – Jesteśmy zwykłymi ludźmi...

– Jak się nazywasz?

– Johann... Znaczy Jan Repliński. Dokumenty są w komodzie, mogę przynieść.

– A twój ojciec? Jak się nazywa?

– Mój mąż to Maks. Maks Repliński – powiedziała stara. – Wszyscy nas tu znają, każdy może potwierdzić.

– Gdzie jest pani mąż?

– W polu, pojechał orać...

– Pani mąż brał dziś udział w ataku na mój patrol – wyjaśnił Raginis. – Jako dywersant, jesteście więc zatrzymani do wyjaśnienia, chyba że natychmiast wyda nam pani całą broń przechowywaną w domu!

– Nasze dokumenty są w szafce w pokoju. Zaraz przyniosę.

– Sierżancie, sprawdźcie!

– Nie mamy żadnej broni – odezwał się chłopak. – Możecie szukać, nic nie znajdziecie! Mogę poka...

– Ty nic się nie bój, sami znajdziemy!

– Jak bardzo zechcecie, to tak. Znajdziecie, ale chyba swoją. Panie oficerze.

– Obszukać ich i zabrać. Postawić pod strażą. Panie poruczniku, rozkazuję przeszukać dom!

– Tak jest! Ruszajcie się!

Kiedy ich wyprowadzano, chłopak spoglądał na Raginisa twardo. Młody wilczek. Zły, ukrywający nienawiść głęboko

w oczach.

Nagle Replińska szarpnęła się, skoczyła do bocznego pokoju, do kuchni. Najbliższy strzelec odepchnął ją brutalnie, aż zatoczyła się pod ścianę, zniżył karabin z bagnetem.

– Gdzie, Niemra? Puś tu! K'sobie!

– Chleby się pieką! O, panie poruczniku, puszczajcie! Miałam wyjmować...

– Nic mnie to nie obchodzi, zabierzcie ją – wzruszył ramionami Kiewlicz.

Jęczała i krzyczała, kiedy dwaj strzelcy wlekli ją do sieni. Pozostali rzucili się do pracy, do szaf, do kufrów, szybko i metodycznie opróżniali szuflady stolików, wyrzucając z nich wszystko, a więc nici, szpulki, kawałki materiałów, stare gazety, zdjęcia, buty i trzewiki. Szczotki, lekarstwa w grubych butelkach.

– Szukajcie papierów, dowodów! – mówił Kiewlicz. Wyciągnął papierośnicę, zapalił sam, nie częstując Raginisa.

Kapitan nie dbał o to, rozglądał się po ścianach, po sprzętach, po gładkiej podłodze z desek. Obco się czuł w tej niemieckiej chałupie, bogatej, schludnej, ale jakiejś takiej pustej, jak wymyte ługiem płótno. W kurpiowskich chatach pełno było ozdób, wycinanek, wstążek, kwiatów, nic to, że za podłogę klepisko z gliny, a w kuchni piec z polepą. Dużo świętych obrazów, podmalowanych fotografii – tutaj zaś tylko białe ściany jak w kościele protestantów i jeden wiszący krzyż. Brakowało Boga.

– Szukajcie! Dalej!

Żołnierze rozhulali się dobrze, wywalali ubrania z szaf, przewracali stołki, któryś zwalił kolbą z okna doniczki, tłukł metodycznie, jedną po drugiej. Inny zaczął rozwalać piec. I nagle kapral gwizdnął przeciągle, przyskoczył do Kiewlicza z grubym plikiem gazet wyciągniętych z górnej półki szafy.

Z papieru szczerzyły zęby niemieckie litery szwabachą czy innym nienawistnym gotykiem, od którego widoku Polakowi zgrzytają zęby. Tytuł też był odpowiedni: „Völkischer Beobachter”. Na pierwszej stronie widniał Hitler pochylający się nad mapą i obrazki przedstawiające dawne granice Rzeczypospolitej – pewnie w artykule o rzekomych polskich roszczeniach względem Niemiec. Kiewlicz wyrwał podoficerowi gazetę z ręki i popędził do sąsiedniego pokoju.

– Co to ma być? – krzyczał. – Skąd to macie?

Raginis pokręcił głową, to nie był żaden dowód, gazeta niemiecka, ale sprzed wojny, z szóstego sierpnia.

– Szukajcie dalej!

– Coś w stajni? W stodole?

– Nic!

– Zrywać podłogę! – rozkazał Kiewlicz. – Muszą gdzieś trzymać broń, sukinsyny!

Kapitan wyszedł na dwór, na ciepłe jesienne słońce, mijając zatrzymanych i żołnierzy przetrząsających każdy kąt w domu.

– *Der Schlag soll dich treffen!*[2] – krzyknęła stara. – Tak wszystko zniszczyć! Za co? Za co! My niewinne!

Przechodząc obok kuchni, poczuł woń pieczonego chleba, żar bijący od wielkiego, bielonego pieca. Nie wszedł tam. Stanął za progiem, gdzie czekał Jarmulik, Gierszułł i reszta pocztu. Zobaczył strzelców, wypychających z komórki stary wóz drabiniasty. Z brzękiem lądowały na podwórzu gliniane garnki, miski, dzbany wyrzucane z domu. Jęk starej Replińskiej mieszał się z gdakaniem, z krzykiem kur, rozwścieczonych przez starszego strzelca, który wpadł do kurnika, rozwalając klatki, wzbudzając popłoch drobiu.

– Panie kapitanie – zagadał Subota – w domu nic nie znajdziecie.

– Co ty nie powiesz?

– Właśnie że powiem, gdzie szukać. Tam, gdzie ja sam chowam strzelbę przed posterunkowym. Mogę pokazać.

Raginis uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Jarmulik, pilnujcie go!

– Drugi raz mi nie zwieje, panie kapitanie. Słowo hunoru!

Subota raźno skoczył do stodoły, ale nie do środka. Stanął tam, gdzie schodziła strzecha, i począł ją wymacywać. Jarmulik stał za nim, karabin zdjęty z pleców, niby skierowany lufą w dół, ale gotowy.

Nagle kłusownik uśmiechnął się i zaczął coś wyszarpywać. Nie szło mu dobrze, musiał wytężyć wszystkie siły i nagle wyszarpnął długi, cienki kształt. Karabin maszynowy, wąski, z dziurkowaną lufą, z dziwną wygiętą rączką w połowie broni i magazynkiem ładowanym od góry. Uwagę zwracało okrągłe pokrętło celownika z lewej strony. Raginis aż gwizdnął, pozostali żołnierze przyskoczyli bliżej.

– Ot, co złowiłem, panie kapitanie. Ma się łowiecki opyt? – Spojrzał z wyższością na Jarmulika.

– Czeski erkaem. Znaczy już teraz, od pół roku, niemiecki – powiedział sierżant Murachwa.

– Dawajcie to i do chałupy!

Weszli, stukając obcasami, Murachwa od razu pokazał broń Johannowi. Ten drgnął, zbladł.

– Wasze? Skąd to macie? Hitler z nieba przysłał?

– Jakie nasze, podrzucili!

– Gdzie twój brat, Johann? Gdzie Paul Repliński?

– W waszym wojsku.

– W waszym... Dobrze, w Osowcu zaśpiewacie składniej. Kapralu, proszę kazać zaprzęgać, wsadzić ich na wóz i odwieźć do żandarmerii, do fortu. Sierżancie, napiszecie zaraz raport. Ten karabin przekazać jako dowód.

– Tak jest!

– Nie mamy czasu bawić się w śledztwa. Zlikwidowaliśmy gniazdo niemieckiej dywersji tuż pod samym bokiem. Panie poruczniku – Raginis poszukał wzrokiem Kiewlicza – proszę zostawić tutaj dwóch ludzi. Kto przyjdzie do zagrody, ma zostać zatrzymany i przesłuchany. Obcych zatrzymywać.

– Tak jest! Wykonać!

Kiedy Raginis wychodził znowu z domu, ścigał go krzyk i przekleństwa starej.

– Chleby! Chleby wyjmijcie. Panie kapitanie!

Zajrzał do kuchni, od strony pieca dochodził swąd spalenizny. Nie podchodził bliżej, po prostu wyszedł na zewnątrz, przywołał skinieniem kłusownika.

– Dziś się sprawdziłeś. Moi ludzie zaprowadzą cię do obozu pod Górą Strękową. Tam zdecyduję, co dalej z tobą zrobić.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. Wciąż jesteś winny kłusownictwa.

Raginis skinął na ordynansa, który podprowadził mu Bohatyra. Wsiadając, ogarnął wzrokiem bałagan na podwórzu, rozszlochaną Replińską i ponurego Johanna, prowadzonego do drabiniastego wozu, do którego zaprzęgano kasztanowego, wypasionego konika. Słyszał, jak żołnierze z brzękiem rozwalali kolbami okna, ze stukotem wyrzucali skrzynie, rozbijali zamki, przewracali meble. Ktoś przybiegł z meldunkiem do Kiewlicza, pokazując dwa magazynki do erkaemu.

Jarmulik wyciągnął płaskiego bez filtra, wsadził do ust, wyjął zapałki i jedną szybką sztuczką udał, że zapala od ucha Suboty. Przyłożył ogień, zaciągnął się.

– Upiekło ci się, Marcinku – powiedział i przydeptał zapałkę butem. – No, przytrzymajcie go, strzelcy! Rozkaz.

Złapali go za ręce, a wtedy Jarmulik od jednego zamachu przyładował kłusownikowi w gębę, mocno, zaciśniętą pięścią.

Rubszyc zatoczył się, zaraz zerwał i...

Starszy strzelec przeładował karabin.

– Za tamto przy chałupie. Uważaj, bo drugi raz nie uciekniesz. A pan kapitan kazał cię pilnować. Pójdziesz z nami grzecznie do samego Giełczyna. Mówię: pójdziesz, bo my pojedziemy.

Subota potrząsnął głową.

– Słowa, słowa, żołnierzyku.

– Co, może jeszcze raz?

– Przymało. Warszawską masz rączkę, paniczyku. Lekką jak pederasta!

– Ja, ja z Białegostoku, ryju głupi jeden.

– Od razu poczułem, że sljedzik z ciebie, ważniaku.

– Ożkurwa mać – wymamrotał Jarmulik z papierosem w gębie. – Fafoclu ty!

– Co tam się dzieje?! – zagrzmiał Murachwa.

– Nic, nic, panie sierżancie.

– My tak... po przyjacielsku, w fangie i w łypie gramy.

Siadali na konie jeden po drugim. Subota jedyny był na piechotę, otoczony przez ludzi z pocztu kapitana.

– Żeby tak chociaż rower. – Obejrzał się na zagrodę Replińskich.

– Ruszajcie już!

I wtedy Gierszułł zawrócił, podjechał do kłusownika i wyciągnął rękę.

– Siadaj z tyłu, kobyła nas obu poniesie.

Daleko za nimi zostali ludzie Kiewlicza przetrząsający chałupę.

– Podłoga zerwana, panie poruczniku – meldował Murachwa. – Nic już nie znaleźliśmy, chałupa przetrząśnięta na durch. Co mamy?

– Nie będziemy zostawiać żadnych wart – uciął porucznik. – Nie mamy czasu, ja nie rozdrobnię naszych sił. Byli

dywersanci? Byli. Dowody były? Znaleźliśmy. To podpalajcie dla przykładu.

– Podpalać?

– Tak jest! Wszyscy ze środka! Obłożyć słomą, palić szwabską zagrodę!

Sam pierwszy podszedł do stodoły, brzęknął benzynową zapalniczką, przyłożył płomień do strzechy. Z tyłu żołnierze robili to samo z szopami. Ktoś z brzękiem rozlał naftę na stół i sprzęty; kiedy wychodził, rzucił zapałkę.

Buch! Syk, błysk płomieni.

Stali już na drodze, patrząc, jak ogień wspina się po dachu aż do kalenicy, jak dym zaczyna unosić się nad domem, a w środku zapala się złowieszczy blask płomieni.

Czekali, Kiewlicz wypalił kolejnego papierosa, poczęstował sierżanta.

Buch, trzask, dym! Musieli cofnąć się dalej. Zagroda była już w ogniu, płonęła stajnia, szopy, we wściekłym trzepocie oszalałych, uciekających kur zajmowały się suche badyle i krzaki przy płocie.

Kiewlicz zarządził zbiórkę, odchodzili dwójkami, pozostawiając ogromną pochodnię, ofiarny stos na miejscu czystego, dobrze wysprzątanego gospodarstwa. Ktoś obserwował ich z lasu; równie uważnie jak wcześniej jadącego na Bohatyrze kapitana Raginisa.

Góra Strękowa, godzina 15.05

– Wypada, że muszę ci podziękować. Ku chwale ojczyzny – powiedział Raginis.

– Wypadałoby też przeprosić, panie kapitanie.

– Chyba ci się klepki we łbie poprzestawiały – mruknął chorąży Świstoń. – Gdyby nie dobra wola pana kapitana, siedziałbyś w puszce w Osowcu, a do tej pory już by ci szczury jajca poobgryzały.

– Ja też mam swój hunor, panie starszy – odparł Subota. – Może i podchodzę zwierzynę, ale nie naszych. Ze Szwabami nigdy nie było mi po drodze ani nie należałem do tej bandy.

– Mówisz prawdę – westchnął Raginis. – Faktycznie, nie jesteś dywersantem. Cóż, zmyłeś swoją przewinę, zwalniam cię. Wojsko do ciebie nic nie ma, możesz iść, nie będzie żadnego raportu.

– Panie kapitanie, a co z Luśką?

– Lodźką? Jaką Lodźką?

– Luśką. Tą od pana księcia. No, ze strzelbą.

– Strzelbę przekażę przodownikowi Łubie. Z urzędową adnotacją, że złapano cię na kłusownictwie.

– A mówił pan, że mnie wypuszczacie?

– Mówiłem, że z naszego, wojskowego punktu widzenia puścimy w niepamięć dawne zarzuty. Ale to nie znaczy, że zapomnimy o kłusownictwie. Niech już policja się tym martwi.

– Panie kapitanie, to niedobrze. Bo na policji ja mam przesrane. A gdybym tak... do wojska? Na ochotnika. To co?

– He, he! – parsknął chorąży. – Jeszcze nam trzeba tutaj kłusownika!

– Mnie nie chcieli na komendzie, bo jestem karany. Za posiadanie broni. Celnie strzelam, mógłbym przypilnować, żeby znowu dywersanci nie podłazili. Gdybym dostał Luśkę...

– Szkolenie wojskowe znasz? Wiesz, co to powstań, padnij? W tyralierkę?

– Nauczę się. Za to w dwadzieścia groszy trafiam z pięćdziesięciu kroków.

– Niemożliwe – uśmiechnął się Raginis. – Może jeszcze ktoś ma ci trzymać je w ręku?

– A jak trafię, przyjmiecie?

Kapitan uśmiechnął się i wstał. Myślał nad czymś, ale potrząsnął głową.

– Tak ci zależy na Luśce?

– Panie kapitanie, ja mogę was jak ojca w ręce.

– Oj, nie przesadzajcie. Ale... No dobrze – rozłożył ręce Raginis. – Jeśli rzeczywiście traficie z karabinka na niecałe pięćdziesiąt metrów w monetę... Wezmę was do oddziału.

– Ale Luśkę oddacie?

– Zobaczy się.

– To gdzie mogę pokazać?

– Przecież nie tutaj. Dobrze, chodźmy tu kawałek, na strzelnicę. Jarmulik, weź poczet, będą chłopaki mieli zabawę. Panie chorąży, zorganizujcie dla niego jakiś karabinek.

Wyszli z baraku stojącego u stóp wzniesienia 126 w Górze Strękowej. Skręcili między chałupami w prawo, wzdłuż wznoszącego się stromo, podmytego deszczami zbocza góry. Za ostatnią chałupą, w wielkiej rozpadlinie, która powstała po wybraniu piachu i żwiru, urządzona była wojskowa strzelnica. Piach zbocza robił za kulochwyt, sto i sto pięćdziesiąt metrów dalej były stanowiska dla strzelców, osłonięte workami z piaskiem.

– Dajcie mu broń.

Chorąży przyniósł krótki karabinek wz. 29, używany przez sekcje kaemów i oddziały forteczne. Jednak zamiast dać Subocie łódkę nabojów, chyba po złości wręczył mu pięć pocisków luzem. Kłusownik sprawnie odbezpieczył i odryglował zamek i po kolei wciskał do komory błyszczące groty śmierci. Załadował, zaryglował.

Kapitan podrzucał w ręku błyszczącą dwudziestogroszówkę z orłem. Chwycił ją i wręczył Jarmulikowi.

– Odmierzcie pięćdziesiąt kroków i umieśćcie tak, żeby nie spadła.

Starszy strzelec pofatygował się do końca strzelnicy. Znalazł kawałek drewna, wcisnął go w piach, na nim prawie pionowo umieścił monetę. Wycofał się na bok.

– Próbuj, sztukmistrzu – powiedział chorąży. – Pan kapitan zobaczy, co jesteś wart.

Subota położył się bez słów za workami z piaskiem. Poślinił palec wskazujący, a wcześniej przestawił celownik karabinka. Przycisnął go do ramienia, do oka. Mierzył, celował i niespodziewanie pociągnął za spust. Huknął strzał, ale kłusownik zerwał się jak ugryziony, popatrzył na lufę, przeciągnął po niej ręką.

Jarmulik przyskoczył do kulochwytu, popatrzył, odwrócił się i pokręcił głową z dezaprobatą. Chorąży parsknął śmiechem.

– Wybiłeś okno Panu Bogu – powiedział. – Nie trzeba nam takich partaczy, jeszcze nas kara boska za to spotka.

– Panie kapitanie – rzucił zdenerwowanym głosem Subota – ten karabin nie trzyma linii, lufa jest krzywa. Co wyście mi dali, panie szarża?! Jakiś szmelc!

– Aha, może jeszcze podstawić ci armatę?

– Proszę tu spojrzeć. – Kłusownik przyłożył do ramienia broń i wycelował w zbocze. – To grat! Panie kapitanie, błagam, dajcie mi inny karabin! Ostatni raz. Proszę.

– Wojsko to nie polowanie z kundlami na zające, rubszycu!

– Gierszułł, daj mu swój karabin. Niech jeszcze raz spróbuje. Ostatni – powiedział zrezygnowany Raginis. – Nie mamy czasu.

Subota prawie wydarł broń z ręki ordynansa. Rzucił się plackiem na stanowisko, aż gruchnęło.

– Jeszcze naboje. Proszę...

Gierszułł rzucił mu jeden pocisk. Subota nie załadował.

– Poproszę jeszcze cztery.

– Nie będzie marnotrawstwa amunicji.

– Dajcie mu, niech tam – rozkazał Raginis. – Niech sobie strzeli, może to już ostatni raz tej wojny.

Gierszułł wręczył rubszycowi całą łódkę. Ten załadował, zaryglował. Chorąży zamachał do Jarmulika, by się schował.

– Na linię strzału! – zakomenderował. – Pole wolne!

Subota strzelił, prawie nie celując. Aż coś podskoczyło na kulochwycie. Odsunął broń i poczekał, aż Jarmulik spojrzy na piasek. Tym razem starszy strzelec był jakby zafrasowany. Kłusownik dał mu znać, aby odszedł na bok.

Padł drugi strzał, trzeci, czwarty. Po każdym wykwitał dymek w innym miejscu, tam gdzie odlatywała odrzucona impetem dwudziestogroszówka. Wystrzeliwszy ostatni pocisk, Subota odłożył karabin, przyskoczył do kulochwytu, szukał czegoś, kopał w ziemi, wreszcie wrócił. Pokazał kapitanowi na dłoni poszczerbioną, pogiętą niklową monetę.

Raginis uśmiechnął się.

– Panie chorąży, dajcie mu mundur, pas i buty.

– Nie mamy, panie kapitanie. Co było, rozdzieliłem między siódmą kompanię.

– Niech chodzi w swoich póki co. Wezwijcie jakiegoś dziarskiego zupaka, niech weźmie tego tu Subotę w obroty. Wieczorem przyjdę i zobaczę, jak wam idzie.

– Tak jest!

– Panie kapitanie, dziękuję. I...

– Co jeszcze? Nie mam czasu.

– W zagrodzie nie było Paula Replińskiego. Wziął pan kapitan jego starą i brata, rozwalił ojca. A ten Paul to duży kozak, duuuży. Czasem nawet skakaliśmy po lasach. Ale potem już nie.

– I co z tego?

– On może polować na waszych żołnierzy, czaić się. Niech pan kapitan uważa.

– Będę uważał. Odmaszerować.

Dziesięć minut potem Świstoń wydał w baraku stary, postrzępiony mundur nowemu obrońcy pododcinka Wizna. Butów nie dostał. A kiedy spytał o broń, chorąży rzucił na złożoną w kostkę bluzę wyszczerbiony kozik.

– Oto wasza pierwsza broń. Zadanie: naskrobać kartofli dla całego plutonu. Odmaszerować do kuchni. Kapral Mielcarz powie wam, co dalej!

Kurpiki, godzina 17.47

W ciemnej czeluści schronu GG-126, ciągle śmierdzącego świeżym, wilgotnym betonem, rozbrzmiał brzęczyk telefonu. Raginis sięgnął do drewnianej skrzynki, podniósł słuchawkę, jego wzrok padł na tabliczkę z napisem „Uwaga! Nieprzyjaciel podsłuchuje”.

– Panie kapitanie, melduje się kapitan Schmidt z odcinka Kurpiki.

– Dajcie na linię – powiedział Raginis, wciskając czerwony przycisk w słuchawce. Kiedy usłyszał głos podkomendnego, jeszcze mocniej przycisnął ją do ucha. – Kto przyszedł? Jak to? – zapytał ze zdumieniem w głosie. – Na pewno? Tak powiedziała? – Na chwilę zamilkł, przesunął ręką po czole, zgarbił się za stołem. – Nie, nie, sam przyjdę. Niech czeka na mnie. Wyjaśnimy tę sprawę. Dziękuję za zrozumienie. Tak, tak.

Odłożył słuchawkę, wstał jak osłupiały w ciasnej komorze dowodzenia głównego schronu w Górze Strękowej. Wyszedł do sypialni, stamtąd przez ciągle pustą ramę przygotowaną do montażu drzwi przeciwgazowych do przedsionka, skręcającego

w lewo uskokiem. Wychodząc przez główne wyjście, chronione z boku przez strzelnicę dla erkaemu, znalazł się w rowie łącznikowym. Przeszedł, prawie przebiegł obok stanowisk, gdzie pod siatką maskującą czekał cały jego poczet. Jarmulik i Gierszułł powiedli wzrokiem za dowódcą, który nawet nie zwrócił na nich uwagi.

– A gdzież to gna sam, bez nas, nasz kapitan?! – zamruczał cichutko Gierszułł.

– Nie jesteś mu widać do niczego potrzebny – powiedział Jarmulik.

– Może na Niemca zaraz idziemy!

– Uważaj, żebyś nie zaspał, jak będziemy w Berlinie, cybulo!

Kapitan był już daleko. Zszedł rowami dobiegowymi z pagórka, przeszedł przez linie zasieków otaczających wzgórze 126, wartownicy zasalutowali i przepuścili go przez zaporę z hiszpańskich kozłów i szyn przeciwczołgowych. Raginis przeszedł na skos drogę prowadzącą do mostu pod Wizną i znalazł się między niewielkimi chałupami Kurpik. Pierwsza z nich była od dawna zajęta na kwaterę dowódcy pododcinka Giełczyn. Przed bieloną chatą krytą strzechą stał posterunek – strzelec z karabinem. Raginis wszedł do środka i już w sieni poczuł charakterystyczną woń tytoniu, poznałby ją o każdej porze dnia i nocy.

Wpadł prawie do pokoju, zatrzymał się, zdębiał. To było jak ze snu, to się nie mogło zdarzyć! Z krzesła powstała powoli jego narzeczona Zofia Kochańska, w jesiennym, obszytym futrem kostiumie, podciętym fantazyjnie tak, że odsłaniał nogi po kolana, z boa owiniętym wokół szyi. Na głowie miała fantazyjny kapelusz z woalką. Jak zwykle w srebrnej długiej fifce paliła papierosa marki Nil. Innych nie znała i nie tolerowała.

Chwila jeszcze i miał ją w ramionach, tulił, sam jeszcze nie wierząc, że to prawda. A prawda była taka, że bardziej, niż się

cieszył, był przerażony.

– Co ty tu robisz? Skąd w ogóle przyjechałaś?! – wykrzyknął. – Miałaś być w Warszawie, przecież jest wojna.

– Wojna, wojna, ciągle ta wojna! – powiedziała, odsuwając się i poprawiając woalkę. – Sam mówiłeś, że ją wygramy, a ja nie mogłam się skupić bez ciebie. Nie napisałeś żadnego listu! – wybuchła. – Nic nie dostałam. Jeśli będziesz się tłumaczył, że znowu poczta, nie uwierzę!

– Za chwilę będą tutaj Niemcy, zaczną się walki! Nie wiem, jak długo się utrzymamy! A ty... To nieodpowiedzialne, to głupie. Przecież nie przyjechałaś tu malować obrazów!

– Wojna, walka, sam nie wiesz, jak to wszystko mnie podnieca. Stary świat umiera, chcę widzieć, jak tworzy się nowy. To wszystko takie nowe, takie piękne. – Zaciągnęła się papierosem. – Przecież władze, sam nasz marszałek Śmigły-Rydz do końca kazał wierzyć w zwycięstwo.

– Wiesz, że nie możesz tutaj długo zostać. Jestem dowódcą, mam obowiązki.

– Będę ci pomagać.

– Jak?! – krzyknął i złapał się za głowę. – Rozwijać zasieki z drutu? Zbijać kozły? Odpędzać dywersantów, gotować grochówkę na szperce, dziewczyno?!

– Nie przesadzaj. Matka opowiadała mi o tamtej wojnie. I tak nie mogłam zostać w Warszawie.

– Miałaś dostać posadę w szkole plastycznej!

– Ciszej, ciiii. – Podeszła bliżej i po prostu zamknęła mu usta dłonią. – Szkoły zamknięte, nie wiadomo, kiedy otwarcie. Zresztą wszyscy wyjeżdżają. Był apel, żeby mężczyźni opuszczali miasto. Zresztą rząd też wyjechał. O wszystkim powiedziała mi Czesia Oknińska.

– Jaka Czesia, na miłość boską?

– Nie pamiętasz? Jak to? Narzeczona Witkiewicza. Oni też wyjechali. No, mój drogi, na nim jeszcze się wszyscy poznają.

– Na kim? Co to za Witkiewicz? Nie pamiętam. Gdzie masz bagaże? Ile tego jest?

– Tylko dwie walizki.

– I to wszystko przywiozłaś? Przyniosłaś?

– Trochę ważyło. Czasem mnie podwiózł jakiś chłopina. Dostał dwa złote. Do stacji Wiechy udało mi się dostać pociągiem. Ostatnim chyba, jaki jeszcze jechał.

– Daj jakiś papier – powiedział. – Znajdę ci kwaterę w Strękowej Górze, u znajomych. Kurpiki będą ewakuowane, nie możesz mieszkać we wsi, gdzie lada chwila mogą zjawić się Niemcy.

– Przecież mój kochany kapitan mnie obroni – powiedziała Zofia ochrypłym głosem, obejmując Raginisa za szyję.

Nie odwzajemnił tej pieszczoty, wyciągnął wieczne pióro, napisał na kawałku papieru listowego kilka słów.

– Oddasz to we dworze w Strękowej Górze pani Lodzi, jeśli jeszcze nie wyjechała. Albo jej ojcu, panu Jamiołkowskiemu. Tam jest bezpieczniej, tam odpoczniesz.

– Co chcesz zrobić? Dokąd idziesz?! Niedobry jesteś, a może... Jakiś wojenny romans, co? – Zajrzała mu w oczy i prowokacyjnie szukała swoimi dłońmi jego rąk. – Nie, na to chyba jesteś za honorowy.

– Mój ordynans odwiezie cię na kwaterę. Czekaj tam i nie rób niczego głupiego. Jestem tu dowódcą. Mam pełne ręce roboty.

– Będę czekać. – Pokiwała główką. – Przecież zobaczymy się wieczorem?

– Nie mogę obiecać. Jak mówiłem, dowodzę całym odcinkiem i... – Machnął ręką. A potem uchwycił Zofię w ramiona, przycisnął, złożył na wargach mocny, prosty, żołnierski pocałunek. I zaraz odwrócił się, wyszedł.

– Władziu?! Dlaczego mnie zostawiasz? Gdzie idziesz?

– Do schronu.

Góra Strękowa, po godzinie 18.00

Jeszcze tego samego dnia odebrał od Suboty przysięgę wojskową. Widowisko trwało krótko koło głównego schronu dowodzenia. Czasu nie było, więc w obecności Świstonia i całego pocztu ustawionego w szereg kazał kłusownikowi klęknąć, zdjąć hełm, unieść dwa palce do przysięgi.

– Powtarzajcie za mną – powiedział chorąży. – Wolno i wyraźnie, żeby wszyscy słyszeli.

– Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej.

– Chorągwi wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na straży konstytucji i honoru żołnierza polskiego, prawu i prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzec.

– ...tajemnic wojskowych strzec – powtórzył spocony i mokry Subota.

– Za sprawę Ojczyzny mej walczyć do ostatniego tchu w piersiach i w ogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać jak prawy żołnierz polski. Tak mi dopomóż Bóg i święta Syna Jego męka. Amen.

– Tak mi dopomóż Bóg i święta Syna Jego męka. Amen – powiedział nowy obrońca odcinka Wizna.

– Powstań. Baczność. Na prawo patrz.

– Dajcie mu broń – rozkazał Raginis. – I wydajcie kolację, jeśli coś zostało. Subota, przydzielam was pod rozkazy porucznika

Zawadzkiego jako strzelca wyborowego. Zameldujecie się po pobraniu wyposażenia w jego kwaterze w Sulinie.

Subota prosił samymi oczyma, przewracał nimi żałośnie.

– Macie tę swoją Luśkę czy jak tam. – Kapitan podał mu strzelbę zawiniętą w brezent. – Żołnierzom nie wolno mieć nieregulaminowej broni. Schowajcie ją czy jak tam wam wygodniej. Bylebym jej nie widział.

– Rozkaz, panie kapitanie.

---

1 *Zurück!...* (niem.) – Odwrót! Rozproszyć się... Szybciej, szybciej!

2 *Der Schlag soll dich treffen!* (niem.) – Niech cię szlag trafi!

GONIEC WARSZAWSKI
10 GR. 10 GR.

Francuzi wkroczyli do Niemiec

Kawaleria polska w Prusach Wschodnich

Zacięte boje na frontach

DZIŚ WCZESNYM RANKIEM RADIO POLSKIE W SWYM KOMUNIKACIE PODAŁO WIADOMOŚĆ, ŻE ODDZIAŁY ARMII FRANCUSKIEJ RUSZYŁY OD STRONY METZU I PRZESZŁY W 12 PUNKTACH GRANICĘ NIEMIECKĄ, WCHODZĄC NA TERYTORIUM RZESZY.

AKCJA TA MOŻE BYĆ SKIEROWANA NA ZAGŁĘBIE SAARY.

Musieliśmy się nauczyć na doświadczeniach wielkiej wojny, że nie rozmiar zajętego terenu przesądza o losach wojny, lecz moc żołnierza, nie ilość zajętego kraju. Lecz siła wewnętrzna, siła armii stanowi ostatecznie o zwycięstwie.

Pamiętamy świetnie, że Niemcy zaraz w początkach wojny podeszli pod Paryż i tam przez cały czas całej wojny siedzieli, a w rezultacie musieli prosić o pokój. Pamiętamy, że Niemcy podczas kampanii francuskiej zajęli większość Belgii, Holandię, Danię, Norwegię, Luksemburg, Francję, a mimo to nie zwyciężyli.

Dziś widzimy, że Niemcy zajęli tylko większość jej działa właśnie na froncie południowym. Nasze oddziały, znacznie szczuplejsze w siłach, wstrzymują napór masy nieprzyjacielskiej, przychodząc do silnych kontrataków. Niemcy rzucili tutaj dywizje pancerne, które działały w rejonie Częstochowy, ponosiły dotkliwe straty, wyrządzone przez nasze lotnictwa, oraz przez kontrataki piechoty. Z tego faktu widać dowodnie, że jakkolwiek musieliśmy ustąpić nieprzyjacielowi terenu, jednak wojska nasze nie poddają się depresji, krzyżuje skutecznie siły nieprzyjaciela.

Na Pomorzu

Drugi front to front północny. Tutaj Niemcy posuli atakiem wzdłuż Noteci i od strony Złotowa w kierunku na Świecie i Chełmno, gdy równocześnie od Kwidzynia na Warmii i Olsztyna na Mazurach przypuścili atak w kierunku na Grudziądz. Walki były bardzo ostre, a komunikat niemiecki wspomina o bardzo zaciętej obronie sił polskich. Takie przyznanie się to nie tylko szacunek wobec przeciwnika, ale również przyznanie się do dużych strat.

Na tym froncie jest Hitler. Jemu chodzi o efekty polityczne, co wyraźnie podkreślał w odezwach do żołnierzy. Niemcy donoszą, jak był przy przekraczaniu Wisły koło „urdeutsch Kulm", czyli naszego Chełmna. Mój Boże, pisał, że Ziemia Chełmińska, odwiecznie polska, posiadająca od wieków biskupstwo swoje chełmińskie, jest... prawiemiecka.

Uzupełnieniem tej operacji jest akcja niemiecka z Prus Wschodnich na odcinek Ciechanów — Przasnysz. Od strony Mławy oddziały niemieckie uderzają ku południu, żeby łatwiej opanować Pomorze.

Nasza konnica w Prusach

W takim stanie rzeczy jest sensacyjna wiadomość o rajdzie naszej kawalerii od strony Kurpiów na Kowalewo. Relacja zapowiada pozwanie się naszej konnicy. Najbliższe dni wykażą, czy to jest tylko wywiadowcza nasza rajd czy też operacja, zagrażająca flankom nieprzyjacielskim. W każdym razie fakt ten dowodzi, że siły nasze są niezużyte, gotowe do akcji i marszu naprzód.

Polityka w wojnie

Widocznie tedy Hitlerowi chodzi o najszybsze uzyskanie terenu Pomorza dla celów propagandowo - politycznych. Operacji wojennych nie prowadzi się dla celów politycznych. Istotą walki jest pokonanie żywej siły nieprzyjacielskiej. Hitler, który operuje bluffami i bluffami wyskiwał cotęż swe sukcesy, i teraz na polu walki szuka drażnych sukcesów, które by olśniły świat, a przede wszystkim własnych obywateli. Nie zapominajmy, że on ma przed-

Dokończenie na str. 2-ej

Rozdział IV

Szybki Heinz

6 IX 1939, obiekt GG-126, godzina 7.15

Melduję, że cały pluton artylerii Siedemdziesiątego Pierwszego Pułku Piechoty zaprzodkowany i usadowiony na pozycji wysuniętej – powiedział porucznik Brykalski. – Oba działa na zamaskowanych stanowiskach, cztery jednostki ognia na jaszczach i przodkach.

– Dziękuję. Spocznij – uśmiechnął się Raginis. – A stany?

– W obu działonach dwudziestu ośmiu podoficerów i szeregowców. Osiemnastu w pododdziałach tyłowych. Tabory i patrole telefoniczne stoją przy głównych stanowiskach artylerii w lesie, patrol zwiadowców ze mną, razem z pocztem.

– W takim razie czekamy tylko na Niemców.

– Jest tylko jeden kłopot. Mamy różne działa w bateriach. W mojej stare prawosławne siedemdziesiątkiszóstki, a armaty podporucznika Buczyńskiego są przekalibrowane do siedemdziesięciu pięciu milimetrów. Nie ma do nich więcej pocisków jak po dwie jednostki, znaczy po sto dwadzieścia. Czyli połowa należności na każde działo.

– Mamy kolejny kłopot. Wyślij zapytanie do Osowca, czy jest amunicja.

– Nie mają. Muszę uzupełnić w Łomży. Ale nikt nie odbiera.

– Poślij wozy taborowe. Zadzwonię do nich. Później.

Zabrzęczał telefon. Kapitan podniósł słuchawkę.

– Osowiec na linii.

– Łączcie.

– Tutaj dowództwo odcinka Osowiec – zabrzmiał w słuchawce melodyjny, spokojny głos. – Kto przy aparacie? Ważne, kto przy aparacie?

Słabo słyszał, bo na linii rozlegały się jakieś trzaski i gwizdy. Brykalski wyczuł chyba, co się dzieje, bo podał mu dodatkową słuchawkę.

– Przy aparacie kapitan Raginis, dowódca odcinka Wizna – zameldował Raginis, wciskając czerwony przycisk.

– Panie kapitanie, za pół godziny będą nad wami lecieć samoloty angielskie. Proszę wstrzymać ogień i nie strzelać.

– Zrozumiałem.

Trzask i połączenie się skończyło. Raginis popatrzył zdziwionym wzrokiem na porucznika.

– Anglicy będą lecieć nad nami.

– Z pomocą? Wreszcie!

– Chyba to raczej przelot nad Warszawę.

– Może desant?

– Nie wykluczam. Strzelec Domalewski – kapitan zwrócił się do telefonisty – przedzwońcie po wszystkich pododcinkach i przekażcie, że przez godzinę obowiązuje zakaz ostrzału samolotów.

– Tak jest!

– Chodźmy. – Raginis skinął na Brykalskiego. – Zjemy śniadanie, a przy okazji zobaczymy, co się dzieje w powietrzu. Coś mnie to wszystko niepokoi.

Wyszli z bunkra do rowu, potem na stanowisko obserwacyjne. Raginis wydobył z futerału lornetkę, Brykalski sięgnął po własną; zanim przyłożył szkła do oczu, rozejrzał się po błękitnym, czystym wczesnojesiennym niebie.

– Co ta kapitanowa przywiozła – gadał tymczasem Gierszułł do chłopaków z pocztu, ziewając. – Jakie duperelki, cacka, pół nocy wyciągałem z waliz.

– Co konkretnie?

– A różności, wazoniki, puzderka, jakiesi pędzelki, samego pudru dwa pudła, szale takie, że nasz schron by oplótł. I takie szkła, jakiesi...

– Jakie? Słów ci brakuje?

– Takie... takie – opowiadał natchnionym głosem ordynans – jak w kościele, u księdza dobrodzieja.

– Jeszcze pani kapitanowa będzie dowodzić naszym kapitanem. Widziałem kobitę – prychnął Jarmulik. – Ona jak starszy sierżant co najmniej. Dystynkcji jej tylko brakuje.

– Mówiłem wam – gadał rozciągnięty na workach z piaskiem, nieogolony łącznik – wszyscy tak robią. Całe naczalstwo i szarże, ładują w samochody dywany, meble i hops na

południową granicę. Słyszałem, jak w taborach mówili, że cała Warszawa ucieka.

– Tylko my tu, na stanowiskach – mruknął Jarmulik.

– Zobaczycie, jak będą wiać z tymi swoimi cacuszkami, kiedy się Niemiec pojawi. Wiać, aż echo pójdzie.

– Eeeee, nasz kapitan nie taki.

Z nieba spadł na nich warkot. Najpierw cichy, potem narastający, rozdwajający się w huk przynajmniej dwóch motorów.

– Nie strzelać! – podawali sobie strzelcy wzdłuż rowów. – Anglicy lecą! Nie strzelać!

Samoloty nadciągały z zachodu, znad Narwi, chyba od strony Łomży. Leciały dość wysoko i wolno. Oba górnopłaty, rozkładające ogromne skrzydła jak wielkie ptaki. Kiedy majestatycznie przepływały nad Wizną i bagniskami, kierując się do ujścia Biebrzy, kapitan Raginis podniósł do oka lornetkę. Nie było łatwo złowić ciemnobrązowe ptaki w szkła, wreszcie zatrzymał się na kadłubie, zobaczył przeszkloną owiewkę dla pilota, zamkniętą z trzech stron. Od tyłu była przestrzeń, w której coś błyszczało.

Samoloty przeleciały, po czym zaczęły zawracać; daleko, nad rozlewiskami Biebrzy, brały szeroki zakręt, aby tym razem przelecieć niżej nad samymi stanowiskami odcinka Wizna.

– Nie podoba mi się to – mruknął kapitan. Kiedy złapał ostrość i znów skoncentrował się na zielonkawym samolocie, zobaczył czarne krzyże na skrzydłach, a przede wszystkim na kadłubie za kabiną. – Niemcy. Widać jak na dłoni.

– Może przemalowali... – Brykalski chyba sam wątpił w swoje słowa. – Nie, do diabła, oni robią zdjęcia. Rozpoznają nasze pozycje...

Raginis podszedł do północnego stanowiska obserwacyjnego, z którego rozciągał się widok ponad strzechami chałup Góry

Strękowej na całą dolinę Narwi, rozlewiska, stare koryta, bajorka błyszczące srebrnym błękitem. Zakręcił korbką induktora w telefonie.

– Łączcie z Osowcem – rozkazał.

– Zgłasza się Osowiec, dowództwo Sto Trzydziestego Piątego Pułku, kapitan Naróg.

– Tutaj kapitan Raginis, dowódca odcinka Wizna. Proszę o potwierdzenie rozkazu nieotwierania ognia do angielskich samolotów obserwacyjnych.

– Nie potwierdzam. Nie było takiego rozkazu. Pomyłka albo...

– Dziękuję. Rozłączam się.

Kapitan odłożył słuchawkę i spojrzał na Brykalskiego.

– To szwabski podstęp. Osowiec nie wydał takiego rozkazu!

Zakręcił mocno korbką induktora.

– Łączcie z pozycją wysuniętą, porucznikiem Zawadzkim albo oficerem dyżurnym! – prawie krzyknął do telefonu.

Samoloty już wracały – przesuwały się teraz znacznie niżej nad złotawozielonymi rozlewiskami Biebrzy, przekreślonymi, jak w raju, błękitnymi strugami cieków wodnych i odnóg rzeczki. Nad szerokim, wpadającym już w jesienne barwy obszarem, w którym gniazdowały bekasy, kaczki, żurawie, dzikie gęsi, teraz zbierające się do odlotów. Zamkniętym z obu stron brązowo-zielonymi krechami wysokopiennych lasów, obejmujących dolinę rzeki niczym dwa ramiona. Zniżały się ciągle – były nad Sieburczynem, Wierciszewem. Kiedy nadciągały nad most przy Wiźnie, z chałup i domów poczęli wypadać machający rękoma ludzie. Wieść o przelocie sojuszników przedostała się już do ludu, w okopach także panowało podniecenie. Niektórzy strzelcy wyciągali ręce, osłaniali oczy od słońca.

– Anglicy! Nasi! – krzyczano.

Chłopi bez lęku wjeżdżali wozami na most, zdejmowali czapki, zamiast się kryć, całe rodziny patrzyły, spoglądały... podziwiały.

I wtedy nagle ze wschodniego przyczółka mostu, z okolic Sulina-Strumiłowa, rozbrzmiały strzały, pozapalały się błyski kaemów. W górę poszły mocne strugi serii.

Pierwszy z samolotów zakołysał się trafiony, odpadł w prawo – na zachód, ku granicy z Prusami, wypuszczając cieniutką strugę dymu.

Drugi zawył silnikiem, wzniósł się, zatoczył koło... Runął prosto na most, zagrał karabin maszynowy, przecinając strugą fontann gładki nurt Narwi. Siekał serią po moście, po wozach, ludziach, przeniósł ogień na Sulin i nagle wykonał zwrot w prawo. Kiedy się wznosił, zagrał drugi karabin – tylnego obserwatora – waląc po zasiekach, po stanowiskach na szosie. Odpowiedział mu regularny stukot cekaemów placówki porucznika Zawadzkiego.

Ludzie walili się z wozów, konie chrapały, ponosiły się. Czyjś wóz wpadł prosto w zasieki, rozszalałe zwierzę wplątało się w kozły hiszpańskie, poczęło kwiczeć, szarpać się, w końcu padło, pozostawiając na podjeździe długą smugę krwi.

Krzyk! Pisk kobiety! „Zabili Łukaszka!” Krew na kamieniach, szaleńczy pęd stóp dzieci kryjących się w krzakach i laskach. Z podjazdu po wschodniej stronie mostu nie było wyjścia! – boki ograniczały linie czarnych zasieków, niedopuszczających do zejścia z drogi. Ludzie krwawili na drutach, przeskakiwali nad przeszkodami, drąc skórę i ubrania.

Samolot przeleciał nad Wizną. Ostrzelał z tylnego stanowiska miasteczko, bijąc po chałupach, po ulicach, ogrodach i sadach. Zawrócił i przeciągnął ogniem po lasach Sulina-Strumiłowa, przeskoczył nad Włochówkę i zniknął na południu, nabierając wysokości. Na pożegnanie pomachał szyderczo skrzydłami,

wygrywając pożegnalną pieśń z tylnego kaemu. Gdy przepadł gdzieś nad Grądami-Wonieckiem i Rutkami, żegnała go cisza. Wszyscy pokryli się, pochowali, na drodze do mostu nie widać było nawet cienia.

Pozycja wysunięta Sulin – Włochówka, godzina 10.34

Na wybrukowanym podjeździe na most widniały jeszcze ciemne smugi krwi. Była wszędzie – na kamieniach drogi, na zasiekach, na krzakach. Ciała zabrano do Wizny i Raginis poczuł ulgę, że nie musiał patrzeć na tych nieszczęśników. Z ludnością były kłopoty, najpierw chłopi nie chcieli sprzedawać żywności, chowali krowy po stodołach. Teraz wciąż trwał ruch na drodze – chociaż fala uciekinierów już przeszła. Kapitana i jego ludzi mijał właśnie turkocący wóz, którym powoził chudy gospodarz w maciejówce, wioząc upakowany z tyłu dobytek – żonę w chustce i siedmioro dzieci. Cywile pchali się pod lufy, wyłazili w najgorszych momentach, choć pierwsze dni wojny powinny ich nauczyć, że trwa walka z przeciwnikiem, który rycerskość i honor pokazuje tylko na pierwszych stronach niemieckich gazet.

– Panie poruczniku, proszę zarządzić jeszcze dzisiaj ewakuację Wizny, Włochówki i Sulina-Strumiłowa. Wiem, że pewnie tutejsi nie będą chcieli wychodzić z chałup, ale jeśli Niemcy zaczną bombardowanie, będziemy mieli setki trupów. Nie trzeba, żeby żołnierze je oglądali i obawiali się, że to samo spotka ich bliskich. Ja z mojej strony każę opuścić Kurpiki.

– Tak zrobimy – pokiwał nerwowo głową Zawadzki. – Już raz wysyłałem patrole, ale oczywiście chłopi nie słuchali. Nie

zamierzali, rozumie pan, nie to, że ja nie wykonałem rozkazu...

– Nikt pana nie wini, poruczniku. Kiedy pojawią się Niemcy, zaraz zaczną wiać i tworzyć ścisk, którego nie chcemy.

– Skąd rozkaz nieotwierania ognia? – zapytał Zawadzki. – Gdybyśmy wiedzieli, że to Szwaby, kazałbym oczyścić most! To straszne, to niesprawiedliwe!

– Proszę nie panikować. Padliśmy ofiarą dywersji. Ktoś podłączył się do naszej linii i udawał sztab odcinka w Osowcu. Dlatego wezwałem tu was, kapralu – Raginis zwrócił się do dowódcy patrolu telefonicznego – żebyście sprawdzili wszystkie połączenia pomiędzy pozycją wysuniętą a moją kwaterą, a potem pomiędzy Giełczynem a nami.

– Panie kapitanie, ja zaraz wysyłam patrol konny sprawdzić połączenie z Górą Strękową, a pieszy do Włochówki. Ale jeśli gdzieś podłączył się Niemiec, to na pewno na linii między pana stanowiskiem a Strękową Górą. Tam idzie zakopany i zamaskowany kabel, który łączy się z linią telefoniczną wzdłuż drogi do Osowca. To też sprawdzimy.

– Świetnie. Raport złożycie telefonicznie. Odmaszerować.

Raginis odwrócił się i ruszył do swojego pocztu, czekającego na skraju drogi. Już z daleka usłyszał podniesione głosy, sprzeczkę, jak zwykle pomiędzy Jarmulikiem a Gierszułłem.

– Czegoś nie zameldował od razu, cybulo nadbużańska! – wyrzucał ordynansowi starszy strzelec. – Przecież to ważna sprawa!

– Mówili we wojsku, żeby się nie wychylać. Pokorne cielę dwie matki ssie...

– Pokorne cielę w wojsku idzie na konserwy! Panie kapitanie! – Jarmulik strzelił obcasami, widząc nadchodzącego Raginisa. – Jest ważna sprawa, ten tu ordynans coś wczoraj widział przy linii telefonicznej.

– Co takiego? Czemuście nie meldowali od razu?

– Panie kapitanie – wyprężył się Gierszułł – wczoraj wieczorem, jak odwiozłem panią kapitanową do dworu... widziałem koło drogi przed lasem wóz na polu i chłopów. Ja ich nawet zapytałem, co robią. Mówili, że po siano...

– I co w tym dziwnego?

– Że to po nocy było, panie kapitanie. A przecież kto zbiera siano po zmierzchu?

– Tamtędy przecież idzie kabel, potem przez rzekę i do linii telegraficznej do Osowca – dokończył za niego Jarmulik.

– Rzeczywiście. Każę to sprawdzić. Siadajcie na konie.

Dwie minuty później wracali już w stronę Kurpik, najpierw kapitan na Bohatyrze, za nim ordynans luzak i pozostałych czterech gońców i obserwatorów dwójkami. Minęli już dawno drugi zakręt drogi, przy którym pozostał niedokończony schron blokujący szosę. Kapitan nie wierzył już, że zdołają wylać beton. Zostawili po lewej sosnowy lasek, mając po prawej ręce zaczynające się za nasypem drogi podeschnięte bagno Wizna, przejechali obok zasieków i kozłów blokujących drogę na Górę Strękową i w drugą stronę, do Kurpik. Minęli odchodzącą w prawo drogę na Maliszewo, wjechali w kolejny las – większy, sosnowy, podszyty z brzegów brzozami. Nagle za rozległą wyrąbaną polaną po północnej stronie drogi Bohatyr potknął się. Jak to zwykle koń, który choć ma cztery nogi, potrafi nagle szarpnąć się, zakołysać łbem, jeździec ma przez chwilę wrażenie, że wali się w dół.

Wtedy padł strzał! Huknął zupełnie niespodziewanie, aż konie podrzuciły łby. Raginis miał wrażenie, że to on dostał, kula ćwierknęła mu chyba przez środek głowy. Nie zmieniając chodu, pochylił się w kulbace i krzyknął:

– Poczet harcownikiem galopem maaaaarsz!

Poszli z miejsca ostro, aż podkowy brzęknęły na bruku, schyleni gnali dalej drogą prosto na Kurpiki, rysujące się już

w oddali szarymi stromiznami strzech. Przejechawszy sto, może dwieście metrów, Raginis podniósł rękę.

– Stój! Między drzewa, kryć się! – A potem: – Poczet, do walki pieszo, wszyscy z koni!

Zjechawszy z niewysokiego nasypu pod osłonę brzóz, zsiadali na wyschniętą trawę, nieskładnie zbierali wodze z grzbietu końskiego; nie byli przecież kawalerią, ale kompanią fortecznych kaemów.

– Gierszułł, bierz wodze – zawołał cicho Jarmulik.

Nikt nie wyciągnął po nie ręki. Ordynansa nie było wśród nich – został na drodze, leżał na plecach z dziwnie skręconą nogą. Hełm spadł mu z głowy, potoczył się po nierównościach, zatrzymując się na jakimś wystającym kamieniu. Koń Gierszułła, biedny, poczciwy, wypasiony kasztanek, pobiegł za innymi i stał teraz kilka kroków z tyłu.

– Jarmulik, bierz konie! Poczet, rojem marsz! Kierunek zagajnik, skokami!

Wyskoczyli z zagajnika, pędząc tam, skąd padły strzały – jak sądził Raginis, z sosnowego lasku. Niespodziewanie usłyszeli trzask kolejnego strzału. Niecelny! Jeden z łączników aż podskoczył.

– Kryj się!

Padli na ziemię.

– Celownik sto, kierunek zagajnik, ognia!

Karabiny rąbnęły nieskładną, rwącą się salwą. Kapitan walił z visa, unosząc się na łokciu. Odpowiedział im znowu pojedynczy wystrzał; z prawej strony tuż obok jego ręki wykwitł obłoczek kurzu. Do diabła, gdzie był ten strzelec?! Wstrzelał się niczym sam szatan, zlał z otoczeniem kolczastych gałęzi sosen.

Walili jak opętani, przez krótką chwilę, na ślepo. Usłyszał trzask przeładowywanych karabinków. Dopiero potem wydał

rozkaz:

– Przerwij ogień. Pojedynczo, skokami do lasku, naprzód.

Raginis poderwał się z rosnącej na piasku trawy, ale nie był pierwszy. Wcześniej zerwał się jego łącznik, strzelec z blizną na wardze. Zerwał i... zaraz padł. Dostał kulę w pierś, przetoczył się, runął na wznak i leżał, dysząc, rozdygotany, drżący.

Kapitan krzyknął:

– Padnij! Zostań. Ogień na zagajnik!

Znowu rozbrzmiała palba – już tylko z trzech karabinków. Odpowiedź przyszła od razu – kula strzelca wyborowego obsypała go ziemią i zbutwiałymi liśćmi. Raginis zamarł, byli jak na widelcu, strzelec miał taką pozycję, że ciągle miał ich na muszce.

Znów strzał – blisko, bardzo blisko, kula przemknęła nad głową, prawie o cal, o włos. Strzał – jęk któregoś ze swoich, Jezu, wybiją ich tutaj! Ilu ich jest? Dwóch, trzech?

Huk, ogień pojedynczy, z przerwami akurat na przeładowanie broni. Ile tych strzałów było, czy już nie skończył mu się magazynek? Myśli przelatywały przez głowę kapitana z szybkością huraganu. Musiał coś zrobić, teraz, w tej jednej chwili, albo ich tu wybiją. Przełamać, przerwać lodowatą obręcz strachu, dać przykład i...

Poderwał się, krzyknął:

– Biegiem marsz!

Przez chwilę widział, dosłownie kątem oka, a może jakimś innym zmysłem, który odzywa się w człowieku będącym na muszce wrogiego karabinu, że powstał sam, tylko sam; nikt z jego ludzi, łączników i obserwatorów, nawet się nie poruszył, wszyscy zostali na miejscach, kiedy on sam gnał już w stronę sosnowego lasku. Strzelił raz, drugi, raczej na postrach, bo w biegu nie mógł trafić, gdzieś za nim pozostał niknący gwizd kuli. Trzydzieści kroków! Dwadzieścia! Wpadł między gałęzie.

Rozejrzał się, schylony, zgięty, ale nic nie zobaczył. Skoczył do przodu, wypadł przez zasłonę z iglastych gałęzi młodych sosen do miejsca, w którym las stał się bardziej przejrzysty. Zajął stanowisko za pniakiem... Nic.

Ktoś z hałasem, jak nosorożec, przedzierał się za nim przez gałęzie. Raginis zobaczył okrągłą, spoconą gębę Jarmulika.

– A konie ty gdzie zostawił, a?

– Przywiązałem, panie kapitanie! Do drzew.

– Na lewo! Sprawdź do szosy!

– Tajest!

Rozdzielili się. Kapitan był teraz ostrożniejszy, sprawdzał ślady w igliwiu pod sosnami, rozglądał się.

Nagle przystanął, zobaczył na mchu dwie mosiężne łuski; były jeszcze jakby ciepłe, kiedy się po nie schylił. Dwie łuski, nic więcej. Spojrzał na sosnę i zobaczył obtarcia na korze. Tamten wlazł na górę – chyba już zdążył zeskoczyć. I zwiać.

Znalazł jeszcze jedną łuskę – kawałek dalej, w wykrocie pod powalonym pniem. Wróg zmieniał stanowisko po każdym strzale – dlatego nie mogli go namierzyć. Do diabła, dobry był z niego strzelec, wyborowy. Godny przeciwnik. Gdzie był? Pewnie daleko.

– Do mnie! Zbiórka! – krzyknął Raginis. – Jarmulik, zawołaj resztę. Chwilę trwało, nim usłyszał nadchodzących dwóch pozostałych łączników. Spoceni, bladzi, drżący, szli z karabinkami w wyciągniętych rękach. Głupio im było, że stchórzyli, wobec kapitana, który dał przykład. Diabeł to wszystko wiedział.

– Nie ma tu nikogo – powiedział Raginis. – Dywersant chyba uciekł. Jeśli to był dywersant. Sprawdźcie drogę, przenieście tu Gierszułła i drugiego, sprawdźcie, co z nimi.

– Już po Gierszulle – odparł rozdygotany Jarmulik. – Pan kapitan sam jest ranny.

Nagle, kiedy podchodził bliżej, z jego oczu puściły się łzy. Łącznik cały drżał, dłonie mu wprost dygotały, kiedy rozdarł pakiet opatrunku. Raginis dopiero teraz poczuł kłucie w lewym ramieniu. Poniżej barku materiał bluzy był rozdarty, nasiąknięty krwią. Kula czy jakaś gałąź, nie wyglądało to dobrze, ale nie bolało.

– Spokojnie, starszy strzelcu Jarmulik. To jeszcze nawet nie wojna. Przewiąż prowizorycznie – rozkazał. – Zajedziemy do dworu Jamiołkowskiego. Tam mnie opatrzą. I uważajcie, co teraz powiem...

– Cały czas słucham.

– Przewiąż mnie i jedź do Zawadzkiego. Przekaż mu rozkaz, że zabieram z pododcinka Subotę i włączam go do mojego pocztu. Niech ten... kłusownik zamelduje się i czeka w Górze Strękowej. Mam z nim do pogadania.

– Tak jest!

Dwór w Strękowej Górze, piętnaście minut później

Tym razem nikt nie wyszedł, aby powitać ich na ganku. Kapitan zastukał sam w drzwi, a nie słysząc żadnych kroków ani głosu, nacisnął na klamkę. Sień była pusta, jedynie z lewej strony, z części, w której stały konie, dochodził stłumiony łoskot kopyt.

Raginis wszedł do salonu z prawej jak do innego świata. Było tu ciemniej, w kandelabrach płonęły świece. Przy zielonym stoliku zobaczył scenę jak z obrazu. Nad kartami, starą talią Piatnika, siedział dziedzic Jamiołkowski i jakiś zażyły ksiądz. A także... to było jednak wielkie zdziwienie – Zofia, umiłowana Zosieńka kapitana.

– Pan kapitan, uniżenie witamy – poderwał się Jamiołkowski. – Właśnie zasiedliśmy do preferansa, proszę bardzo, gusarik, rosyjska odmiana. Jaka szkoda, że pan nie grywa w karty.

– Moja narzeczona dzielnie mnie zastępuje. Zosiu, dobrze, że już poznałaś się z gospodarzem.

Narzeczona szła, właściwie płynęła ku niemu. Była w długiej, powłóczystej sukni w kolorowe pasy, odsłaniającej plecy i ramiona. W ręku nieodłączna fifka z długim papierosem, rozmarzone spojrzenie.

– Wreszcie jesteś, Władku. – Pocałowała go i przycisnęła do siebie. – Jak długo jeszcze miałam czekać?!

– Dopiero szósty dzień wojny. Nie czas ubierać się jak do kawiarni.

– Przecież wygrywamy! – odezwał się Jamiołkowski. – Proszę, dziś przynieśli prasę, „Dzień Dobry” zamiast „Dziennika Białostockiego”. Nowiny świeże jak, z przeproszeniem, trup marszałka na Wawelu. O, proszę. – Sięgnął do stolika i rozłożył płachtę. – Linia Zygfryda przerwana, Francuzi wkroczyli do Nadrenii, nalot polskich bombowców na Berlin, komunikat sztabu naczelnego wodza numer pięć.

– I nalot siedemdziesięciu bombowców na Warszawę – dokończył ksiądz. – Pan mnie nie zna, pozwoli, że się przedstawię. Jestem Reszka, ojciec Jakub Reszka, z parafii z Lachowa, pod granicą. Chwilowo na uchodźstwie.

– Ksiądz znalazł u mnie gościnę. I tak... przerzucamy się politycznymi komentarzami, mając nadzieję na szybkie zakończenie wojny.

– Nasz rząd powinien już teraz mówić z aliantami o przyszłości Niemiec – ciągnął ksiądz Reszka. – W wielką wojnę cele były od początku ustalone. Powinniśmy koniecznie upomnieć się o Prusy Wschodnie.

– Gadacie same głupstwa! – odezwał się ostry głos. – A pan kapitan ranny.

– To właśnie jest głupstwo, panno Lodziu – powiedział Raginis. – Mieliśmy starcie z dywersantami i...

– O Boże! – Zofia teraz dopiero zobaczyła przewiązane bandażem lewe przedramię narzeczonego. – Biłeś się z Niemcami? Wczoraj?

– Proszę ze mną. – Lodzia bezceremonialnie pociągnęła go do gabinetu. – Niech Safian przyniesie opatrunki z szafki, maść, wodę gulardową. Opatrunki Varix. Dwa razy nie będę powtarzać!

– Pani się na tym zna?

– Przecież prawie skończyłam... medycynę w Warszawie! Pan nie wie? No tak, nie mówiłam, że jestem na studiach. Proszę ściągać mundur.

Sprawnie i fachowo obejrzała ranę, przemyła wodą, którą razem z innymi ingrediencjami Safian przyniósł w żelaznej tacce nerce. Kapitan nawet się nie skrzywił, gdy przemywała ranę, a trzeba przyznać, że ręce miała chłodne i zręczne, typowa wyzwolona pani doktor.

Zofia tymczasem rzuciła mu się na szyję, przycisnęła mocno.

– Biedaku – powiedziała – bardzo cię boli?!

– Panna się odsunie! – mruknęła Lodzia. – Panna nie widzi, że przeszkadza? Potem będzie czas na amory.

– Zosiu! – Raginis odsunął narzeczoną. – Sama widzisz, co tu się dzieje. Panna Lodzia lada chwila wyjeżdża, proszę, żebyś dołączyła do niej.

Zofia pokręciła głową, minę miała zaciętą.

– Już mnie zbywasz? A nawet nie przyszedłeś, jak zapowiadałeś.

– Niech panna się odsunie! – prawie krzyknęła Lodzia. – Pan kapitan jest zawodowym oficerem, nie przyjechał tu na

letnisko.

– Zosiu, co dzień walczymy z dywersją, co chwila mamy naloty. Jeśli przyjdą tu Niemcy, zaczną ostrzał i wszystkie okoliczne wsie pójdą z dymem. Kazałem dzisiaj wysiedlić Wiznę. Czy widzieliście może uchodźców? Zosiu, proszę!

– Pięknie pani się stara o mojego męża – powiedziała Zofia Kochańska, patrząc na Lodzię, która właśnie zaciskała węzły bandaża.

– Skoro przyszła żona ma paluszki od parady, od kart i olejnych pędzelków, od malowania ekspresji jak Stryjeńska, to kto ma zająć się raną!

– To nie ekspresja, ale décoratif. I nie pędzelki, ale tempera. Pani zbyt często przebywasz z krowami, żeby odróżniać gałęzie artu.

– Zosiu, uspokój się, jesteśmy w gościnie.

– Przepraszam. Znów robię się narowista. Zaczekam, aż skończycie. – Wyszła, a właściwie odpłynęła do salonu, zostawiając ich na chwilę samych.

– Miał pan szczęście – powiedziała Lodzia. – Trafił pana od wewnętrznej strony ramienia, na wysokości serca. Bo pewnie w serce celował, a chybił.

– Nawet nie poczułem. Niemcy mają dobrych strzelców wyborowych. Dobrze, że pani została.

– Została, została... Już sama nie wiem, co robić... Porwać papę chyba. On nie chce zrobić kroku poza dwór. Sam pan zobaczy.

– Dziękuję za opatrunek, zgrabnie to pani zrobiła, lepiej niż mój lekarz wojskowy. Mógłbym panią zaasenterować do służby, gdyby...

– Gdybym nie była kobietą. Wiem, wiem!

– Proszę się nie gniewać. Moja siostra też ukończyła nauki medyczne w Wilnie.

– I też były z nią podobne problemy?

– Nie takie, jakie mam dzisiaj.

Wrócił do salonu, zostawiając Lodzię zbierającą resztki poprzedniego bandaża, odszukał wzrokiem narzeczoną.

– Zosiu, czas się pożegnać – powiedział. – Musisz stąd wyjechać, tu robi się niebezpiecznie. Mam nadzieję, że pan Jamiołkowski użyczy nam jakiegoś transportu, żeby dowieźć cię na stację.

– Ekwipażu! – rzuciła przez drzwi Lodzia. – Bo samochodu to ojciec nie puści za wrota tego całego przybytku.

– Panie kapitanie, a dokąd się śpieszyć! – zaprotestował Jamiołkowski. – Pana żona nie musi, nie może wręcz nigdzie wyjeżdżać. Ofiarowałem jej dożywotnią gościnę w Strękowej Górze, gdzież bym znalazł podobnie piękną towarzyszkę do stolika i dyskusji.

– Daj już spokój, wariacie! Nawet nie proś – mruknęła Zofia do Raginisa, zgarniając ze stołu talię kart.

– Może w takim razie spóźnione śniadanie! – zaoferował dziedzic. – Albo wczesny obiad, kapitanie? Z pewnością pan nic nie jadł, a ja nie zwykłem wypuszczać gości głodnych.

– Nie chciałbym być niegrzeczny, ale czeka mnie służba. Moi żołnierze czekają na ganku. Życzę państwu w takim razie wesołej zabawy.

Raginis wyszedł, pozostawiając za sobą ten mały, cichutki, miękki świat. Wsiadał na Bohatyra, kiedy skrzypnęły drzwi, przez próg wypadła Zosia, z oczyma pełnymi łez i żalu, a może skruchy po tym niedawnym akcie uporu. Chwyciła go za nogę, bo siedział już w kulbace, i przytuliła się cała do boku konia.

– Wrócisz! Obiecaj mi, że wrócisz! – wykrztusiła zapłakana. – Proszę cię, nie przemęczaj się, dbaj o siebie!

Raginis poczuł przypływ złości. Ze wszystkich stron spoglądały na niego zacięte gęby jego żołnierzy. Przed chwilą

stracili dwóch kompanów, dowódca został ranny, gdzieś wokół Strękowej Góry krążyli uzbrojeni dywersanci, polując na oficerów.

– Kochanie, nigdy nie cierpiałaś patosu. A to są słowa jak ze sztambucha pannicy.

– Tak, wiem, ale nie mogę.

– Uciekaj stąd! Wyjedź jak najszybciej. Nie rób mi wstydu, moi ludzie patrzą!

Obrócił konia, wyrywając się z jej objęć, aż Bohatyr odepchnął ją lekko zadem.

– Galopem marsz! – zakomenderował Raginis.

Ruszyli skokiem prosto w otwartą bramę dworu. A z każdym końskim krokiem kapitanowi robiło się coraz lżej na sercu. W tej chwili Bohatyr stał się jakby jego zbawieniem i okrętem, a on sam jak żeglarz zostawiał za sobą wszystkie ziemskie kłopoty.

Góra Strękowa, godzina 15.44

Ostatni raz przed pogrzebem spoglądał w martwe oblicze Gierszułła i tego drugiego strzelca z pocztu, niech to, ciągle zapominał jego nazwiska. Majewski! Właśnie! Nieustannie podrywał dyscyplinę i autorytet kapitana, gadał różne rzeczy za plecami. A jednak zerwał się pierwszy w zasadzce. Może żeby uciekać?

Raginis zgryzł tę złą myśl jak orzech, przeżegnał się, włożył czapkę. Wezwany z Wizny wikary już pobłogosławił ciała, teraz, zawinięte w płachty, grzebali je w sypkim nadnarwiańskim piasku.

Kiedy odwrócił się, aby odejść, wyrósł przed nim Subota. Zasalutował.

– Panie kapitanie, miałem przejść do waszego pocztu – powiedział. – No to się melduję.

– Nie wiecie, jak porządnie się meldować? Chcecie do jutra kopać rowy?

– Tajest! Strzelec Subota melduje przybycie.

– Spocznij. Widzieliście ciała? Jarmulik mówił wam o tym, co się stało?

– Panie kapitanie, ktoś się na was zasadził. Sam tak robiłem, kiedy miałem na pieńku z leśniczym, młodszym Zaleszczakiem. Czekał na oficera.

– Czekał? On? Znaczy się jeden?

– Panie kapitanie, na mój węch to Paul Repliński. Dywersant, on od dawna trzymał stronę Niemców. Jak zresztą ma nie mieć do pana żalu, skoro pan kapitan zabił mu ojca, wysłał do żandarmerii matkę i brata. I spalił na koniec chałupę w Sępikach. Dobrą i zacną zresztą, bo podmurowaną, z gontem, jak się patrzy.

– Co znaczy spalił? Jak to?

– Ano tak to, był pożar. Nie ma zagrody.

– Przecież porucznik Kiewlicz miał tam zostawić posterunek!

– To ja tam nic nie wiem. Tylko słyszałem, jak mówili żołnierze, że chałupa się zapaliła od przeszukiwania. Musiał ktoś przewrócić lampę. I nie ma zagrody.

– Ten Kiewlicz... – Raginis zacisnął dłonie w pięści. – Nadgorliwość jest gorsza od zdrady. Nic nie wiedziałem, nie wydałem takiego rozkazu. Szeregowy, odmaszerować do pocztu. Czekać na rozkazy.

– Tak jest.

Odchodził do schronu z ponurym, zaciętym obliczem. Wymacał w kieszeni wieczne pióro. Za chwilę miał pisać list do matki Gierszułła. Niech nie czeka nadaremnie na syna w na razie spokojnej puszczańskiej chacie za Białymstokiem.

Góra Strękowa, zagroda Szubowskich, godzina później

Odpoczywał po tym wszystkim w zagrodzie u sołtysa, gdzie szef kompanii znalazł mu jeden pokój w zwykłej chłopskiej chacie. Zajmował go sam, gospodarze siedzieli w kuchni. Dom, choć kryty strzechą, był w środku porządny, z podłogą, kaflowym piecem, w którym palili w chłodne wrześniowe noce. Chłopi traktowali go jak hrabiego, niejeden raz słyszał, jak powiadali za plecami: „nasz kapitan”.

Ktoś zastukał do pokoju, cichutko, nieśmiało.

– Wejść.

Powoli wsunęła się siedemnastoletnia córka gospodarzy. Dygnęła grzecznie.

– Panie kapitanie, przyniosłam mleczka.

– Dziękuję.

– Rodzice proszą na kolację.

– Dziękuję, zjem później. Mam całą masę roboty.

Faktycznie ślęczał nad planami doliny Narwi i Biebrzy. Poczekał, aż Kazia postawi na stole kubek z mlekiem, i uśmiechnął się lekko.

– Jeszcze ciepłe. Prosto od krowy.

Patrzyła na niego trochę zalotnie, kiedy wrócił do pracy.

7 IX 1939, Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 12.09

Było już dobrze po dwunastej, kiedy rozległ się brzęczyk telefonu. Kapitan podniósł słuchawkę.

– Łączę z dowództwem pułku w Osowcu. Podpułkownik Tabaczyński na linii.

– Zgłasza się kapitan Raginis, pododcinek Wizna.

– Niech pan mnie słucha uważnie – zatrzeszczał w słuchawce głos dowódcy 135. Pułku Piechoty z Osowca i jednocześnie komendanta całej szkoły – wycofujemy z przedpola oddziały zwiadowcze twierdzy. Jednocześnie zawiadamiam, że wykryliśmy znaczny niemiecki oddział pancerny posuwający się w stronę Wizny. Obecnie kieruje się przez Grajewo i Szczucin prosto na Jedwabne. Zrozumieliście?

Raginis przymknął oczy, na chwilę znikł, odpłynął, jakby wcale nie było go w pokoju dowodzenia w schronie GG-126 w Górze Strękowej. Telefon trzeszczał i domagał się odpowiedzi.

– Zrozumiał pan? Halo, słucham, tu Tabaczyński.

Kapitan z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Tak jest, panie podpułkowniku, potwierdzam.

– Proszę ogłosić alarm i meldować, co dalej.

– Zrozumiałem. Dziękuję.

– Powodzenia.

Trzask, dowódca rozłączył się. Raginis natychmiast zakręcił korbką induktora.

– Połączcie z pozycją wysuniętą, z porucznikiem Zawadzkim.

Za chwilę zabrzmiał brzęczyk, kapitan znów podniósł słuchawkę.

– Mówi Raginis, Osowiec donosi, że w naszą stronę posuwa się pancerna kolumna nieprzyjaciela. Proszę natychmiast ściągnąć z przedpola wszystkie patrole i ogłosić alarm. I przede wszystkim niech pan zawiadomi naszych zwiadowców, podporucznika Rusinowskiego, że nadchodzą Niemcy.

– Nie mamy z nim łączności. Wyślę gońca.

– Świetnie. Proszę uważać na most. W razie gdyby pojawił się nieprzyjaciel, wysadzać bez względu na okoliczności.

– Będę... meldować. – Głos porucznika drżał.

– Uszy do góry, przyszła i na nas kolej, nie myśleliście chyba, że całą wojnę prześpimy w schronach.

Raginis odłożył słuchawkę i znowu zakręcił korbką.

– Łączcie z pododcinkiem Kurpiki, z kapitanem Schmidtem.

– Tu Schmidt – zabrzmiało w słuchawce. – Czekam na rozkazy.

– Mam wiadomości o zbliżających się Niemcach. Oddziały pancerne. Proszę ogłosić alarm. I sprawdzać kierunek Grądy-Woniecko. Wyślijcie tam jakiś wzmocniony patrol.

– To bagno, nic tamtędy nie przejdzie. Ale wyślę, wyślę. Panie kapitanie! – zawołał Schmidt tak, że Raginisowi zadudniło w uchu. – Jest tutaj pańska narzeczona. Wartownik znowu ją zatrzymał. Domagała się rozmowy telefonicznej z panem.

– Diabli nadali... Proszę ją odwieźć znowu do Strękowej Góry. I wyznaczyć kogoś, żeby jej pilnował. Do cholery, zakazuję jakichkolwiek prywatnych połączeń, także do mnie. Wykonać.

W rowie na stanowisku koło schronu w Kurpikach kapitan Schmidt odłożył słuchawkę do pudełka i odwrócił się do podporucznika rezerwy Wilanda.

– Proszę wyznaczyć woźnicę, żeby odwiózł tę pannę do Strękowej Góry, do dworu. I jakiegoś strzelca, żeby jej tam pilnował. A może i zajął się – uśmiechnął się szyderczo – pod nieobecność kapitana.

– Panią kapitanową znaczy? – zdziwił się podporucznik.

– Całe szczęście, że jeszcze nie kapitanową. Władek dowodzi tym wszystkim, a nie umie upilnować jednej baby. Rozkaz wykonać. I nie słyszałeś pan tego, co mówiłem. – Schmidt uśmiechnął się zimno. – Ogłoście alarm. Przenieść telefon do schronu. Wszyscy na stanowiska! – zawołał. – Niemcy idą!

Las w pobliżu pałacu Finckenstein nad jeziorem Gaudy, sześć godzin wcześniej

Z niezwykłą uwagą i prawie zegarmistrzowską precyzją śledził sylwetkę celu na muszce myśliwskiej dubeltówki. Wstrzymał myśli i oddech, zlał się z bronią w jedność, widząc, jak przeciwnik wolno i majestatycznie przemieszcza się na tle młodych dębów. Przez krótką chwilę był tylko on i jego wróg. Strzelec i ofiara.

Stopił się w jedno z ruchami tamtego, zanim we właściwym momencie pociągnął za spust. Trafił idealnie. Jeden perfekcyjny strzał, stłumiony pogłos pocisku... Trafiony podskoczył, wyciągnął się, jakby w ostatniej chwili poczuł żal za tak brutalnie przerwanym życiem i wolnością. Na próżno... Zwalił się ciężko w leśne runo. Zadygotał i znieruchomiał.

Dopiero teraz strzelec odrzucił na ramię dubeltówkę, po czym opuścił stanowisko. Średniego wzrostu, szeroki w barach, w myśliwskim trenczu i wojskowym płaszczu bez dystynkcji. Kiedy spoglądało się na jego szerokie oblicze, na szeroki, trójkątny, podstrzyżony wąs nad górną wargą, sprawiał wrażenie wręcz jowialnego, choć ruchy miał bardzo gwałtowne.

Podszedł do ustrzelonego, pochylił się. W jego ręku błysnął długi myśliwski nóż w kościanej oprawie. Jednym ruchem strzelec poderwał głowę ofiary i podciął gardło, dobił leżącego, aż trysnęła ciemna krew.

– Nie trzeba, panie generale – odezwał się leśniczy w przekrzywionym kapelusiku z piórkiem, postępujący za nim krok w krok. – Jest martwy.

– Jak zabijać, to na całego.

– Gratuluję strzału. – Hrabiowski leśniczy Dohnów zliczył wzrokiem poroże zabitego jelenia i aż cmoknął. – Dwunastak.

Dawno nie widziałem takiego okazu.

Jeleń rzeczywiście był królewski, potężna pierś połączona kształtnym łukiem ciała z rozdwojonym zadem, smukłe nogi. I pysk, z którego wylewała się struga krwi. Martwe, puste oczy.

– Musimy wracać, panie generale – powiedział leśniczy. – Przysłali po nas powóz.

– Wiem, wiem, przyjacielu. I tak cud, że miałem te dwa dni spokoju.

Leśniczy zamachał ręką – podbiegło trzech wyrostków w kurtkach i oprychówkach, jeden w poszarpanym swetrze. Poczęli ciągnąć jelenia przez krzaki do miejsca, gdzie czekały konie.

Z cichym łoskotem podjeżdżał dwukonny myśliwski brek. Generał zajął miejsce pierwszy, rozsiadł się na pokrytej skórą kanapie, jakby chciał zająć ją całą. Leśniczy skromnie stanął na stopniu. Pasażer poklepał wówczas w siedzenie obok siebie, ale urzędnik odmówił. Ruszyli.

Najpierw jechali leśnym duktem, potem koła załomotały po brukowanej drodze wiodącej na zachód, omijającej od północy jezioro Gaudy i jego trzęsawiska. Pędzili szybko, woźnica strzelił z bata, gwizdnął przeciągle i wypasione konie poszły galopem. Wczesnojesienny, budzący się ze snu las przemykał z obu stron traktu. Słońce wstawało nad puszczą, błyszcząc w nitkach babiego lata i rozpędzając ostatnie kłęby lekkiej mgły.

Przez żelazną bramę w murku wjechali do ogrodów na tyłach posiadłości. U celu za drzewami wyrastała przed nimi wschodnia, tylna ściana zamku Finckenstein, tego samego, na którego widok ponad sto lat wcześniej Napoleon powiedzieć miał ponoć zachwycony: *Enfin un château!*[3]. Jednopiętrowa, z mansardowym poddaszem, z płaskim frontem i schodami zdobionymi na górze czterema rzeźbami. Mury malowane na czerwonaworóżowy kolor nadawały mu baśniowości. Jednak

na schodach czekały dwie postacie niepasujące do tego sielskiego obrazu. Oficerowie w szarawych mundurach i czapkach z niemieckim orłem. Wysoki major, chudy jak trzcina, miał ogromny, sumiasty wąs, szlachetne, wybitnie wręcz pruskie oblicze – szeroką szczękę podkreśloną blizną na policzku. Krzaczaste brwi osłaniały błękitne oczy. Zapewne w dawnym mundurze huzarskim sprawiałby piorunujące wrażenie, grube i leniwe Grety oraz Helgi sikałyby po nogach. Całości dopełniał Krzyż Żelazny i złota odznaka „Za Rany", z wypukłym stahlhelmem i skrzyżowanymi mieczami. Drugi z oczekujących był młodszy i jak na złość starszy stopniem, oberstleutnant, miał zacięte oblicze, jakby wystraszone, mokre i spocone. On pierwszy wyrzucił dłoń w hitlerowskim pozdrowieniu na widok generała.

– *Heil Hitler!*

Tymczasem jego starszy towarzysz uczynił coś wręcz przeciwnego – po prostu wyciągnął rękę na powitanie. I dziwna rzecz – wracający z polowania generał najpierw uścisnął mu prawicę, a dopiero potem zbył krótkim machnięciem wyprężoną rękę młodszego.

– Dobrze, że już jesteś, Heinz – powiedział siwy Prusak. – Właśnie przyszedł radiogram, wzywają cię do sztabu grupy armii do Olsztyna w celu osobistego odebrania rozkazów.

– Osobistego. Panie Braubach – generał odwrócił się do oberstleutnanta – proszę mi przygotować samochód i eskortę.

– Nie tak szybko, Heinz – zaoponował major. – Wzywają cię dopiero na dwudziestą. Mamy czas na sznapsa i nie tylko.

– Chodźcie. – Generał zagarnął ich rękoma i wszedł w drzwi okryte z góry białym baldachimem osłaniającym przed słońcem. Wszedł wprost do sieni, pełnej trofeów myśliwskich, gdzie z lewej strony rzucał się na niego stojący na tylnych łapach wypchany niedźwiedź, na wprost pod maleńkimi

sankami sterczały poroża jeleni i kozłów, wypchane bażanty i inne ptaki.

Heinz, nie zatrzymując się, oddał dubeltówkę firmy Sauer & Sohn na ręce czekającego w sieni kamerdynera. Swojemu adiutantowi przekazał z kolei myśliwski trencz. Pod nim miał bluzę mundurową i srebrno-złote naramienniki generała wojsk pancernych. Wiszący na szyi Krzyż Żelazny nie miał swastyki, co pozwalało sądzić, że został nadany jeszcze za czasu poprzedniej wojny.

Przeszedł pod rzędem portretów władców Rzeszy, poczynając od odpychającego Fryderyka Wielkiego, a skończywszy na cesarzu Wilhelmie. Na piętrze skręcił do gabinetu myśliwskiego, przed którym stali dwaj wartownicy.

Wszedł do ogromnego pokoju, obwieszonego porożami jeleni, z których najmniejsze i tak było dwakroć bardziej rozłożyste niż to zdobyte rankiem. Usiadł na krześle przy stole zawalonym mapami, wyciągnął rękę po papierosa, który oberstleutnant Braubach natychmiast podał mu w otwartej papierośnicy. Pstryknął benzynową zapalniczką. Generał zaciągnął się mocno.

– A więc, panowie – powiedział – nasz Dziewiętnasty Korpus wraca do gry. Wezwanie na pewno jest osobiste, Günther?

– W radiogramie pisze jak w gębę strzelił – pokiwał głową siwy major – „wzywa się osobiście generała wojsk pancernych Heinza Guderiana w celu odebrania i uzgodnienia nowych rozkazów dla korpusu”.

– Są jakieś meldunki z przepraw?

– Trzecia Dywizja Pancerna i Dwudziesta Zmotoryzowana są już na tym brzegu Wisły. W tej chwili przeprawia się jeszcze Druga pod Gniewem. Niebawem skończy.

– Świetnie! Panowie, kampania w polskim korytarzu była krótka, że już się bałem, że odstawią nas na boczny tor.

– Oberkommando des Heeres nie zapomniało, kto tak naprawdę jest pionierem nowoczesnej wojny pancernej – zauważył ostrożnie Braubach.

– I dlatego nasz przyjaciel generał zajmuje się teraz polowaniem na łabędzie – mruknął major. – Zwycięstwo ma zawsze wielu ojców, zwłaszcza tak łatwe jak w Polsce.

– Thormann! – uciął surowo Guderian. – Uważaj się za podpadniętego.

– Nie nowina. Zwykle i ciągle ci podpadam, Heinz. Od piętnastu lat chyba. Napijesz się może chociaż kawy?

– Skąd ci, do diaska, przyszło do głowy, że poluję na łabędzie?! To Napoleon upolował kiedyś w tym zamku piękną łanię, polską hrabinę Walewską, ale ja, do diabła, wolę prawdziwego zwierza. Połączcie mnie przez radio ze sztabem grupy armii, z generałem von Salmuthem albo jego zastępcą.

– Już idę przekazać – odezwał się Günther Thormann. – Ale nie dowiesz się niczego więcej, niż ja ci powiem. Dziesiąta Dywizja Pancerna ma na lewym skrzydle Trzeciej Armii nieliche kłopoty z przekroczeniem linii Narwi.

– Braubach!

– Tak jest! – wyprężył się adiutant generała.

– Przygotuj mi samochód natychmiast. Muszę być w sztabie znacznie wcześniej, niż sobie życzą.

– Dlaczego?

– Zmuszę von Salmutha, a w razie czego nawet samego wielkiego Bocka, żeby pozostawili nasz korpus pod bezpośrednimi rozkazami grupy armii, żeby nie strzeliło im do głowy podporządkować nas do Trzeciej Armii generała Küchlera. Taka podległość sprawi, że stracimy szybkość, towarzysząc piechocie. Tak nie może być! – Guderian uderzył pięścią w poręcz skórzanego krzesła.

– Mówisz jak sam Führer, mój drogi – powiedział z uśmiechem Thormann.

– Czy to źle? – zapytał Braubach.

– Coraz lepiej idzie ci naśladowanie jego rzymskich gestów. Gdyby jeszcze poznali się na tym w OKH. Niestety, teraz jest u nich w łaskach ten drugi Günther, ten, którego nie lubisz.

Guderian nagle rozluźnił się, opadł głębiej w siedzenie.

– Jeśli mój plan przekonania dowództwa ma jakieś słabe strony...

– Jest doskonały jak zwykle. Jak zwykle jednak przyda się szczypta zdrowego sceptycyzmu.

Stryjaki pod Jedwabnem, godzina 12.33

Ruch na szosie od razu zwrócił uwagę patrolu, już kilka chwil po tym, kiedy pierwsze pojazdy wyjechały z ostępów leśnego uroczyska na puste pola pod gęstwiną. Jechali od Stryjaków, przez las, prosto na stanowisko zwiadowców ze 135. Pułku Piechoty, za potokiem Przytulanka, obok mostka.

Kapral Baryka wytężył wzrok, pokazał pozostałym strzelcom poszarpane, niewyraźne kształty samochodów. Uderzył w nich warkot motorów, chrzęst gąsienic na szosie. Kapral usiłował dostrzec znaki na szarawych pancerzach. Jakże przydałaby się lornetka!

W głośny ryk motorów włączył się stłumiony warkot motocykli. Kilka ich wyjechało z lasu, rozsypując się szeroko, krążąc, zawracając.

– Niemcy? – zapytał kapral. – Wypatrujcie!

Wytężył wzrok, aż poczuł suchość w oczach. I wtedy dostrzegł znaczony roletą chłodnicy tępy pysk trójosiowego samochodu pancernego. Ozdobionego parą reflektorów jak

ślepia, najeżonego dodatkowo dwoma lufami działek z wieżyczki.

Zza tego pierwszego wyłonił się drugi, mniejszy, z podniesionymi wizjerami na przedzie, z lufą ciężkiego kaemu albo działka nad nimi. Na płycie czołowej miał wielki, gruby biały krzyż.

– Niemcy! – jęknął kapral.

– Niemcy! Idą! – zawtórowali mu pozostali strzelcy.

Kolumna zbliżała się szybko, samochody jeden za drugim wyłaniały się z lasu, motocykle przemykały polnymi drogami.

Kapral włożył do ust gwizdek, zagwizdał długim, przeciągłym gwizdem. Potem poszło już szybko:

– Sekcja do wsiadania! Na koń!

Koniowodni podawali już konie, wcześniej stojące na uwiązach za płotami Stryjaków. Strzelcy wsiadali na nie, raz, raz, jeden za drugim.

Z najbliższej chałupy wypadła starowina w chustce, rozdygotana, drżąca, chciała zaganiać kury, ale zatrzymała się, patrząc na dosiadających koni zwiadowców.

– Panowie żołnierze, zostawiacie nas? A tam Niemcy!

– Harcownikiem za mną, maaaarsz! – zakomenderował Baryka. Odjeżdżając, zobaczył babuleńkę przed progiem krytej strzechą chaty, coś w nim zadrżało. Patrzyła, przesłaniając oczy dłonią.

– O, polski biały krzyż jedzie! – krzyknęła.

– Nie polski, chowajcie się. To Szwaby!

– Szybciej! – ponaglał starszy strzelec.

Niemcy już nadciągali, motory grały w polach, odbijały się echem od chałup.

– Galopem marsz! – zakrzyknął Baryka. – Kierunek Jedwabne!

Wycofywali się skokiem, w pędzie, wystraszone wierzchowce niosły ich drogą jak wicher. Przez chwilę kapral widział wokół siebie tylko obłe hełmy pochylonych nad karkami koni zwiadowców. Lecieli wąską, ale bitą drogą, łagodnie wijącą się zakrętami na południe. I wreszcie z prawej wyrósł nagle szary kształt wiatraka, z lewej za laskiem był drugi – znaczyło to, że byli blisko Jedwabnego. Zaraz ujrzeli poszczerbione od wiatru strzechy chałup.

Wpadli galopem w ulicę będącą przedłużeniem drogi. W miasteczku był ciągle ruch, mieszkańcy stali w drzwiach otwartych sklepików, warsztatów, kilka wozów jechało wolno w stronę rynku. Minęli je z wrzaskiem, z krzykiem:

– Niemcy! Niemcy! Kryć się!

Skręcili w lewo, w uliczkę obok synagogi, drewnianej, lichej, bo zbudowanej na zgliszczach znacznie większej, spalonej tuż przed wielką wojną. Minęli grupę starozakonnych w tałesach, którzy szli wolno, jakby w ogóle nie chcąc niczego widzieć. Żydzi jak z obrazu, ostatni widok odchodzącego świata. Kiedy mijali ich zwiadowcy, brudne, bose dzieciaki zaczęły krzyczeć. Nagle poleciały na nich kamienie.

– *Pojlisz! Gejn! Antlojfn!*[4] – wrzeszczał ktoś po żydowsku.

– Niemcy idą! Chowajcie się! – zakrzyknął któryś z żołnierzy.

Niski, warczący szum motorów nadciągał od zachodu, od strony drogi prowadzącej od Jurca.

– Za mną! – krzyczał Baryka. – Za mną! Galopeeem!

Pochyleni w kulbakach, wpadli na ogromny brukowany rynek, zwieńczony od północnej strony bryłą białego dwuwieżowego kościoła. W tej samej chwili ze wszystkich prawie dróg wjechały na niego długie kolumny niemieckich motocykli. Każdy z koszem, w nich pochylone postacie w szarobłękitnych mundurach, w baniastych hełmach. Jeden kierowca, a drugi schylony nad erkaemem.

I w samym pędzie, rozjeżdżając się wzdłuż domów przy pierzejach rynku, otwarli ogień po ludziach! Jak złowroga piła zastukotał erkaem, po nim odezwały się niskim terkotem pistolety maszynowe; trzasnęło szkło w oknach, serie waliły po bielonych wapnem ścianach, gwizd kul uderzył w uszy, złowrogi warkot motorów narastał, zbliżał się.

– W lewo! Za mną! Maaarsz!

Wpadli w uliczkę przechodzącą w drogę na Wiznę z prawej strony rynku niemal w ostatniej chwili. Za nimi zmotoryzowana kolumna zajmowała miasteczko, za motocyklami posuwały się kanciaste pudła pojazdów pancernych, z dala po chrzęście gąsienic rozpoznać można było czołgi.

Zwiadowcy zwinęli się w bok jak ptaki – pogalopowali dalej, pozostawiając za sobą trzęsące się od strzałów Jedwabne. Szli na Nową Wieś, Kotowo odkrytą drogą, czasami ocienianą przez rosnące z boków drzewa.

– Stępeeem! Sekcja stępeeem! – rozdarł się kapral.

Tutaj, w lasku za Nową Wsią, przy drodze znajdowała się umocniona placówka.

Rozpędzeni, poczęli wstrzymywać konie, Baryce przyszło to najłatwiej, jego Wigor słuchał się, nie był zaciągnięty na pysku jak pozostałe tępawe remonty.

– Stój! Stój! Sawicki! – okrzyknął Baryka kolegę z sekcji erkaemu. – Jesteś tu?

Coś poruszyło się w krzakach przy drodze.

– Ciszej, nie krzycz. Co się dzieje?

Dopiero kierując się głosem, Baryka zobaczył hełm, obok jeszcze dwa poruszenia listowia, świadczące, że są tam jeszcze karabinowy i celowniczy.

– Niemcy! – wydyszał. – Za nami, zajęli Jedwabne, silna kolumna motorowa. Wycofujemy się.

– Jedźcie do Boguszek, zameldujecie podporucznikowi, co się dzieje.

– A ty?

– Ja ich zatrzymam.

– Sam? Oszalałeś?

– Na chwilę chociaż. Mamy erkaem i granaty. Śpieszcie się!

– Za mną, galopem maaarsz! Maaarsz!

Zwiadowcy znikali ze stukotem kopyt, kapral Sawicki obejrzał się na swoich.

– Na stanowiska! Erkaem też!

Przypadli w gąszczu, za maskującymi ich gałęziami olszyny. Od strony Jedwabnego rósł szum motorów, warkot silników samochodowych przeplatał się z terkotaniem motocykli.

– Niemcy przed nami – zameldował celowniczy.

Od miasteczka jechała szybko, płynnie kolumna wroga. Na czele niski i płaski czterokołowy samochód pancerny. Za nim kolejny – cięższy, trzyosiowy, kanciasty, z podciętymi skośnie burtami. W wieżyczce widać było lufę działka i cieńszą głównego kaemu. Z tyłu rozsypywali się motocykliści – skręcali w prawo, w lewo, w polne drogi, zataczając łuki, potem wracając do szosy, trzymając się raczej za plecami samochodów pancernych.

– Celownik dwieście metrów – rozkazał Sawicki. – Podpuszczamy bliżej! Bliżej! Walić do szczelin obserwacyjnych. Tylko do szczelin! Pamiętajcie!

Z chrzęstem gąsienic na szosie pojawiły się cztery czołgi. Kanciaste, na wąskich gąsienicach, z wieżyczkami uzbrojonymi w działko i cekaem. Czoło kolumny przyśpieszyło, zbliżało się, było, prawdę mówiąc, tuż-tuż.

Za szybko to wszystko! Zbyt niespodziewanie.

– Otworzyć ogień! Już! – rozkazał Sawicki.

Erkaem wz. 28, wierny przyjaciel każdego polskiego żołnierza, zaniósł się ciężkim metalicznym stukotem. Sawicki zobaczył iskry i smugi po pociskach wykwitające na przedniej masce samochodu pancernego, podrywające w górę i tak podniesione osłony szczelin obserwacyjnych.

Nagle pojazd skręcił w lewo, zjechał z bitego traktu, waląc w przydrożną olszę, wbił się w nią mocno, zatrzymał, przez chwilę kręcąc w miejscu kołami.

– Ogień na drugi wóz.

Celowniczy wystrzelał cały magazynek – teraz zmienił go na nowy, zaryglował, pchnął rączkę zamka do przodu, natychmiast przykładając kolbę do ramienia.

Dał ognia do drugiego wozu bojowego, który zatrzymał się, błysnął z działka, waląc po zagajniku, po krzakach. Z góry spadły na nich ścięte gałęzie. Sawicki usłyszał wrzaski, zobaczył, że z przechylonego, rozbitego samochodu wypełzają Niemcy w czarnych mundurach i beretach. Więc chwycił granat obronny, ciężką, ciemną wydłużoną kulę pociętą jak kryształowy puchar, ścisnął łyżkę w prawej ręce, lewą wyciągnął zawleczkę. I rzucił, podrywając się na chwilę na czworaka.

– Kryj się!

Granat padł na drogę, potoczył się, potem eksplodował, sypiąc odłamkami. Przez pył i dym po wybuchu przedarł się jadący wolno naprzód niemiecki wóz pancerny. Jak straszna piła zastukał kaem, bił długimi seriami po lasku, po stanowisku Sawickiego. Z boków motocykliści zjechali w pola, zeskakiwali z motorów, wypadali z koszy, schyleni, nisko szukali osłony. Bach, bach! – stanowiska wykwitły ognikami strzałów.

Polacy już nie strzelali, spadła na nich nawała ognia, kule wznosiły dymki kurzu, rozwalały w drzazgi gałęzie drzew, przelatywały koło głów. Kapral zdołał tylko zobaczyć, jak

wszystkie czołgi objeżdżają ich z boków. Od strony Nowej Wsi, od Pietraszy. Bolesnym krzykiem celowniczy erkaemu objaśnił światu, że został trafiony, zatem kapral obrócił się na wznak, padł płasko, plecami w wyschniętą trawę. Rozpłaszczył się, trzymając karabin za lufę.

Kanonada zabijała samym hukiem. Pruł do nich seriami trzyosiowy transporter, czołgi waliły z działek raz po raz, znacząc trafione miejsca wybuchami obłoczków kurzu. Ostrzeliwali ich z trzech stron, krzyżowy ogień, pole śmierci. Za szybko, za gwałtownie...

– Dostałem! Boli! – jęczał celowniczy.

Karabinowy milczał, zalany krwią.

– Poddajemy się! – wybełkotał Sawicki. Ostatkiem sił wyciągnął z kieszeni białą chustkę, szukał jakiegoś kija, aby ją wystawić, ale nie widział. Wyciągnął zatem rękę, próbował pomachać...

Nagle dostał w przedramię, mocno, jakby seria urwała mu rękę. Trysnęła krew, ramię opadło przestrzelone, biała chusta wolno spłynęła w dół.

Ostatnim jego wspomnieniem była cisza. I widok umundurowanych na czarno Niemców w okrągłych beretach, niektórych w czapkach polowych, ruszających się szybko, nerwowo, skaczących i pokrzykujących. Ciągnięto go przez krzaki na drogę, świadomość rwała się i rozdwajała. Czuł ból w ręce, drugi w piersiach, trzeci w nogach, kiedy ciśnięto go na kamienie, kładąc obok dwóch pozostałych zwiadowców.

Motor złowrogo grał na requiem. Kapral usłyszał zbliżający się łoskot i chrzęst; ostatnim, co zobaczył, była zakurzona, segmentowana, obracająca się i zbliżająca szybko gąsienica czołgu. Gdy przejechała po nich wszystkich, zabarwiła się krwią.

Las koło Boguszek, godzina 12.47

Wiedząc, że kapral Sawicki zorganizował zasadzkę, wycofywali się w większym porządku. Lecieli najpierw ostrym galopem, głowy w hełmach schylone nad końskimi karkami, wodze w lewym ręku, czasami szybkie spojrzenia rzucane za siebie.

Wieś Boguszki była jak z bajki, między lasami, otoczona ścierniskami i kartofliskami, na których brązowiały sterty zwiędłych łętów. Drewniane, porządne chałupy oszalowane deskami zdobionymi w ząbki i kurpiowskie wzory. Posadowione wzdłuż drogi, frontem do traktu, jak zwykle w dawnym zaścianku.

Na stanowiska w lasku docierali na mokrych koniach. Niektóre, te starsze, grubsze, nie tak wyrobione w terenie, miały już pianę między zadnimi nogami.

Baryka zeskoczył z konia, trzymając wodze w ręku, podbiegł do podporucznika, który czekał przy konowiązach, poprawiając mapnik.

– Panie podporuczniku, melduję, Niemcy! – wykrzyknął zasapany. – Kolumna samochodowo-pancerna zajęła Jedwabne piętnaście minut temu. Wycofaliśmy się drogą.

– Kapral Sawicki?

– Zatrzymuje wroga na głównej pozycji.

– Jak liczna kolumna?

– Przynajmniej cztery samochody, kilka czołgów, motocykliści. Idą na nas.

– Rozumiem. Spocznij! – Podporucznik Rusinowski odwrócił się do reszty swoich ludzi. – Uwaga! Plutooon! Zbiórka!

Zagwizdał przenikliwie gwizdkiem. Zwiadowcy zaczęli zbierać się na polance, przed prowizorycznym konowiązem z liny rozwieszonej między drzewami.

– Waluś – Rusinowski odwrócił się do starszego strzelca, zapewne zwiadowcy gazowego, który nic nie miał do roboty – jedź do Wizny, do porucznika Zawadzkiego, złóż meldunek, że wykryliśmy silne pancerne kolumny wroga. Przekaż, że podporucznik Rusinowski – podkręcił wąsa – zatrzymuje je i prowadzi rozpoznanie walką. Jedź!

– Tak jest!

– Sierżancie – Rusinowski odwrócił się do zastępcy – proszę zebrać drugą sekcję erkaemu i piątą liniową, a potem zorganizować zasadzkę ogniową na skrzyżowaniu za wsią. Na drodze do Jedwabnego. Czekajcie na nas. Wyślijcie gońców do czwartej, do Jędraszewskiego, niech natychmiast wracają albo wycofują się na Wiznę. Zrozumiano?

– Czekajcie na nas! – zagrzmiał podporucznik. – Pierwsza, druga, trzeciaaa sekcja, zbiórkaaa! Podać konie.

Zakotłowało się, żołnierze chwytali broń, biegli do konowiązów, ustawiając się koło wierzchowców.

– Do wsiadania!

Zwiadowcy przełożyli wodze wędzidłowe przez głowę konia, zrobili krok w prawo, by stanąć przed jego łopatką.

– Na koń!

Nie wsiedli wszyscy od razu, pułk był zmobilizowany ze starszych roczników, włazili na kulbaki jak dziady na stare płoty. Podporucznik kręcił głową, przygryzał wąsa, sam dosiadł skarogniadego wierzchowca o ciężkim łbie i smukłych nogach.

– Po jednemu za mną maaarsz!

– Kłusem maaarsz.

Ruszyli do wsi, od razu na drogę, między chałupami krytymi strzechą, obok stodół i kamiennych obór pomalowanych na biało i także nakrytych słomianymi dachami.

– Do dwóch odlicz!

– Jeden! Dwa! Jeden! Dwa...

– Dwójkami!

Wyszli ze wsi kłusem, ostro, na skrzyżowanie, do Kotowa mieli może ze dwa kilometry. Teren był płaski, z lewej kończyła się właśnie ciemnozielona, spalona słońcem ściana lasu, pachniało drewnem i żywicą, zapach przenikający ciało, potęgujący jeszcze ścisk w dołku przed ciężką przeprawą.

Nagle przed nimi wybuchła strzelanina, gdzieś niedaleko za wsią zastukały kaemy, rozległ się pojedynczy wybuch, jak stęknięcie. Po nim usłyszeli warkot silników.

– Plutoooon rozwinięty! Galopem maaaarsz!

Byli już prawie przed opłotkami wioski, kiedy prosto w nich rozszczekał się niemiecki cekaem. Kule poszły w pola, leciały nisko, rozproszone, wzbijając obłoczki kurzu. Zaraz rozległy się odgłosy strzałów, serii z peemów, głuche dźwięki działek bijących z wieżyczek czołgów.

I wszechobecny, potężniejący szum motorów.

– W prawo! Za mną! – krzyknął podporucznik. – Harcownikiem!

Pluton rozproszył się po polach, po krzakach, skręcił w prawo luźnymi grupami, z których każda miała na czele sekcyjnego.

– Kierunek zagajnik! Za mną!

Rwali po ostrych ścierniskach, po ledwie zaoranych i zabronowanych, szarych polach. Po idących skośnie bruzdach kartofli, po pozłocistych polach pełnych ściętych wysoko łodyg lnu.

Wpadli do zagajnika, przelecieli przez chaszcze, potykając się i zajeżdżając drogę jeden drugiemu; nikt nie spadł – na szczęście!

– Dwójkami maaarsz! Kłuseeem marsz!

Wracali do Boguszek bokiem, z dala od drogi, przeskakując między zagajnikami. Do lasu, gdzie było miejsce postoju,

wjeżdżali od północy. Rusinowski zarządził zbiórkę, ale bez zsiadania z koni. Sam zostawił wierzchowca, pobiegł na stanowisko erkaemu, do sierżanta, zdyszany, rozgorączkowany. Wszystko przebiegało w tak oszałamiającym tempie. Kiedy klękał obok zwalonej brzozy, gdzie ustawiony był erkaem, usłyszał dochodzący od szosy szum motorów. Niemcy jechali, pędzili jak pociąg pośpieszny.

– Idą! Idą! – zajęczał sierżant, wpatrując się w wyłaniające się z lasu dwa samochody pancerne. Podporucznik położył mu rękę na ramieniu, a podoficer aż się szarpnął.

– Czekajcie! Celownik trzysta. Czekać, aż będą bliżej.

Jechały dwa samochody – motocyklistów nie było widać – pierwszy potężny, na kołach, z wieżyczką z dwoma działkami. Na przednim pancerzu miał lekko uniesioną klapę szczeliny obserwacyjnej pod wieżą. Za nim posuwał się mniejszy, otwarty od góry; wytężając wzrok, można było dostrzec odbity blask słońca na kratownicy i szary zarys hełmu schylonego nad działkiem Niemca.

– Do szczelin obserwacyjnych... Ognia!

Erkaem wz. 28 zagrzmiał krótkim staccato wystrzałów. Pruł prosto przez pole do większego z samochodów pancernych. Zawtórowały mu karabiny zwiadowców z drugiej strony skrzyżowania dróg. Podporucznik przygryzł wargi, niemal czuł – bo nie słyszał w kanonadzie strzałów – dźwięk kul odbijających się z łoskotem od pancerza. Uniósł się nieco, gotów dać sygnał do rzucenia granatów, ale nie było to potrzebne...

Nagle samochód ruszył tyłem, ciągle waląc z cekaemu, potem z grubego działka, które miał obok karabinu, kręcąc bezradnie wieżyczką, jakby nie mógł namierzyć stanowisk ukrytych w lesie po obu stronach skrzyżowania. Kule waliły po drzewach, po gałęziach nad ich głowami. Strzaskały skrzydło anioła z kapliczki na rozstajach, rozwaliły w drobny mak,

podziurawiły drewniane ścianki budowli, przekrzywiły wiszący krzyż.

Drugi wóz po prostu zawrócił – cofając się na pole i obracając do nich tyłem. Pojechał ścigany seriami i wystrzałami ukrytej w zasadzce piątej sekcji zwiadowców.

– Wieją, jak pragnę zdrowia, wieją! – prawie krzyknął sierżant.

– Przerwać ogień. Nie bójcie się, mogą wrócić. Zmieńcie stanowisko i czekamy.

Przestawili erkaem pod brzozę, nieco bliżej szosy, ale ciągle tak, aby linia ognia broni maszynowej krzyżowała się z wystrzałami sekcji po drugiej stronie. Jeszcze nie ustawiali go na stanowisku. Trwali w napięciu, celowniczy odryglował zamek, przeczyścił komorę, zaryglował znowu.

Nagle motory zagrzmiały ze zdwojoną siłą. Od Kotowa ujrzeli ruch na bitym trakcie, podporucznik śledził go przez lornetkę. Wtem oderwał szkła od oczu, wzrok miał nieprzenikniony.

– Idą znowu, duża grupa. Erkaem w gotowości! Pozostali na stanowiska! Kryć się!

– Ile wozów? Ile? – dopytywał rozpaczliwie sierżant.

– Cztery duże, jeden z anteną.

Jechała na nich cała kolumna, dwa ciężkie, kanciaste transportery z wieżyczkami, dwa mniejsze, jeden dziwaczny, z wygiętą, obłą kratownicą wysoko nad wieżyczką, podtrzymywaną z boku i z tyłów wspornikami. Niemcy zbliżali się, rosły białe krzyże na płatach pancerza, sterczały groźnie lufy działek i kaemów.

– Czekać! Jeszczeeee! – zakomenderował Rusinowski.

I nagle uderzył w nich odbity echem od ściany lasu pisk gąsienic, huk motorów, przeciągły, niski, wpadający w chóralny jęk. Z lewej strony, z leśnej drogi prowadzącej do Kotowa Starego i Nieławic, wynurzył się szarawy wąż kanciastych,

rozpędzonych czołgów z białymi krzyżami na wieżach, rozwinął w tyralierę na wprost nich.

– Sierżancie, wyślijcie gońca, wycofajcie piątą sekcję! Erkaem ognia!

Wysłużony browning zaniósł się szybką, nerwową kanonadą strzałów. Jedna seria, druga, magazynek skończony. Podpięty nowy.

I wtedy z lasu po drugiej stronie drogi, za kapliczką, wypadło sześciu ludzi. Piąta sekcja. Skokami lecieli przez szosę, przez skrzyżowanie prosto do wioski. A za nimi... podporucznik zobaczył, jak w lesie pochylają się, walą sosny i młode świerki, jak idąc na przełaj, wyłaniają się z niego kolejne żelazne pudła szwabskich tanków, łamiąc drzewa, rozjeżdżając krzaki i zarośla. Spomiędzy młodych brzóz na skraju otworzyli ogień do uciekających, jeden, dwóch, jeszcze jeden padli na szosę i zostali tam, poskręcani, porozrywani przez kulę.

– Panie kapitanie – krzyczał łącznik – motocykliści na prawo, wjechali do lasu, otoczą nas!

– Sierżancie – rozkazał podporucznik – weźmie pan sekcję erkaemu i resztę piątej, wycofujcie się na Zanklewo – Sieburczyn.

– A pan?

– Ja pójdę na Wiznę, spróbuję ich zatrzymać!

Sierżant wywrzaskiwał komendy, wycofując erkaem, wlokąc ciężko rannego karabinowego. Przebiegali przez las, ścigani krzyżującymi się nad głowami, a czasem walącymi w nich seriami pocisków. Kule roztrzaskiwały drzewa, ścinały gałęzie, odłupywały kawały kory z sosen, dębów, okaleczały brzozy.

Dopadli koni, Rusinowski z trudem dosiadł swojego skarogniadego wierzchowca, pozyskanego do wojska z poboru w jakiejś podlaskiej wsi.

– Za mną! Pierwsza, druga, trzecia i czwarta sekcja. Harcownikiem, galopem maaaarsz!

Przeszli jak burza, ostrym, wyciągniętym galopem przez Boguszki, aż spod kopyt i podków rwały w górę bryły ziemi, strzelały strugi piachu. Za wsią skręcili w prawo, w pola, przed zagajnikiem i mokradłami obrócili się na lewo, na południe, do utwardzonego traktu. Równina przed nimi była prosta jak stół, bez żadnych rowów, zagajników, przeszkód; z przodu na horyzoncie zarysowały się szarawe, rozwleczone, wysokie strzechy chałup i stodół w Męczkach. Szli ku nim, konie były już zmęczone, mokre, coraz wolniejsze, daleko im zresztą było do śmigłych rumaków regularnej polskiej kawalerii.

I wtedy, przy samej wiosce, dostali ogień w prawy bok. Mocny, z kaemów, z erkaemów, z wieżyczek. Od strony Rutek jechała kolejna kolumna samochodów i czołgów. Migały motocykle, czołgi posuwały się przez wieś i polami.

Dostali mocno; świst kul, ciężkie, mocne pacnięcia, zwalił się jeden koń, drugi, starszego strzelca wymiotło z kulbaki, wyrzuciło precz!

I wtedy dostał podporucznik Rusinowski, poleciał na przód, na szyję konia, w plecach wykwitły dwie ciemne plamy.

Jadący obok kapral Baryka zwolnił, przytrzymał dowódcę.

– Kierunek lewo! – krzyczał. – Lewo! Za mną!

Skręcili pod ogniem walącym w bok, pozostawiając w polu ludzi i konie, walące się z nóg albo okaleczone i zostające w tyle.

Niemcy walili do nich jak na strzelnicy, rąbali po polach, nawet gdy pluton skręcił w stronę Biebrzy, na Małachowo, które przebyli w jedną, góra kilka chwil. Gnając polami, obok ciemnobrązowych i bielonych chałup wyłaniających się nagle malowniczo spoza pagórków zarośniętych lasem.

Zwolnili, zbili się w gromadę na miękkiej polnej drodze, suchy kurz drażnił oczy, usta, zakrywał oddział kłębami i przy okazji – zdradzał, gdzie byli.

Kule znów poszły nad głowami. Od strony Męczek jechały za nimi dwa niezmordowane ciężkie samochody pancerne, waląc z działek i kaemów w ślad za uchodzącymi zwiadowcami.

– Konie nam padną! – krzyknął Sawicki do plutonowego.

– Niech padną! Byle do rzeki, tam już nasi!

– Podporucznik nie wytrzyma.

Rusinowski zrosił krwią całą szyję i grzywę konia, leżał bezwładnie, z czerwoną pianą wydobywającą się z ust w postaci bąbelków, pękających bezgłośnie. Baryka i starszy strzelec podtrzymywali go z dwóch stron, wzięli konia w trójce między siebie.

– Na Sambory! Galopeeeem marsz!

Pognali po polach, ścigani seriami i warkotem motorów. Pędzili bezładną, rozsypującą się gromadą. Przemknęli przez Sambory, rozrzuconą byle jak chłopską wieś przy drodze z Wizny do Osowca. Wierciszewo i prom, bezpieczny przejazd przez Biebrzę był już tuż-tuż!

Wpadli tam drogą od południa, najpierw idącą wprost do rzeki, potem skręcającą na północ. Wieś położona była na wzgórzach, na ostrych pagórkach, dających z tej strony dobry wgląd na drugi brzeg. Ten był płaski, pełen łąk i rozlewisk, jaśniejszych plam kwiatów i trzcin. Tam była pozycja Giełczyn, zupełnie niewidoczne rowy strzeleckie i dobiegowe, schrony ukryte wśród łąk i niewielkich wzniesień.

Jechali już, a raczej wlekli się piaszczystą drogą pod górę, mając po prawej wąskie koryto Biebrzy, kiedy jeden ze strzelców krzyknął i pokazał coś między chałupami. Spojrzeli w dół ze stromego brzegu. Promu nie było, spalono go kilka godzin temu, wąska strużka dymu jeszcze snuła się nad

osmalonymi szczątkami drewnianej płaskiej łodzi łączącej na linie oba brzegi rzeki.

– Wpław! Przejedziemy! Za mną! – krzyknął plutonowy. – Biebrza jest płytka. Spadła po upałach, chodźcie.

Skręcili w prawo, zjeżdżając przez łąki do rzeki. Konie ledwie stawiały nogi, potykały się, słaniały. Woda zachlupotała pod kopytami; jedne nie chciały wchodzić, inne przeciwnie – zniżały głowy, zanurzając pyski w odmęty.

– Cholero jeden! Nie pij! Ochwat będzie.

Z trudnością wjechali w ciemne nurty Biebrzy. Przy brzegu była czysta jak kryształ, widzieli przez wodę spłoszone, uciekające rybki i kamienie. Konie potykały się, biły kopytami w nurt. Im dalej od brzegu, tym stawała się głębsza. Nagle gniadosz Baryki zapadł się w muł albo w dziurę, kapral krzyknął, opadł, kiedy koń przysiadł na zadzie niemal jak pies. A ranny podporucznik przechylił się w starej austriackiej kulbace i spadł prosto w wodę.

Krzyk! Wrzask, szum fal wzbijanych przez konie, ledwie idące do brzegu.

– Masz! – krzyknął Baryka, rzucając wodze strzelcowi obok.

Zeskoczył, zanurkował prawie w odmętach, lecz chwycił za bluzę, za rękę podporucznika, podźwignął go w górę, przerzucił bezwładne ramię przez kark.

– Za mną! Za mną!

I nagle ostry, przeszywający głos jak wyrok śmierci:

– Niemcy! Niemcy na brzegu!

Kule ćwierkały, przelatując nad głową, z bryzgami wody wpadały w rzekę. Tuż obok zachwiał się w kulbace, zatoczył z koniem starszy strzelec i spadł, barwiąc nurty szkarłatem.

Baryka zobaczył, jak na tamtym brzegu zjeżdża w dół kanciaste pudło samochodu pancernego. Działko pruło do stłoczonych, uchodzących zwiadowców. Wpadali przechyleni,

zgięci na drugi brzeg, uchodząc w stronę własnych pozycji. Ci, co stracili konie albo spadli, wspinali się pieszo na obiecujące zbawienie łąki.

Baryka nie mógł biec, stał wystawiony na śmierć, ale nie rzucił ciężko rannego.

Niemiecki samochód pancerny pruł, pruł ze wszystkich luf, kręcąc działkiem w prawo i lewo.

Drugi wyłonił się jakieś piętnaście metrów od niego, rozwalił płot, przejeżdżając obok chałupy. Zatrzymał się i zaczął walić. Rytmicznie, raz, raz. Bach, bach!

I wtedy trzysta metrów dalej, po drugiej stronie Biebrzy, na stanowisku cekaemu w rowie strzeleckim, porucznik Teofil Szopa zacisnął zęby.

– Ogień na wprost! Cel samochody pancerne.

Od razu zagrzmiały dwa ciężkie cekaemy. Wypruły długie, niekończące się serie pocisków tuż obok i nad głowami uchodzących. Przeszły nad rzeką, siekąc po pancerzach, po reflektorach i wieżach, tłukąc bezlitośnie i bezustannie.

Niewiele im zrobiły, a jednak nagle pojazdy zaczęły się cofać – powoli, na wstecznym biegu, grzęznąc w błocie, dźwigając się wolno na skarpę nad brzegiem rzeki. Odchodziły, nadal waląc ze wszystkich luf, jakby miały nieograniczony zapas pocisków.

Na stanowisku Giełczyn porucznik Kiewlicz zszedł z kopuły obserwacyjnej.

– Łączcie z Szopą! – wykrzyknął. – Do diabła, kto mu kazał strzelać! Nie ja przecież. Zdradził stanowisko! Jeszcze jeden... rezerwista.

Chwycił słuchawkę i otarł pot z czoła. Cała ta obrona zaczęła stawać się małym szaleństwem.

– Do diabła, kim ja dowodzę! – rzucił.

Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 14.21

– Na linii porucznik Zawadzki – odezwał się głos w słuchawce. – Melduję wycofanie plutonu zwiadowców z ciężkimi stratami.

– Gdzie są Niemcy?

– Niemcy! Niemcy... wszędzie! Idą od strony Jedwabnego, ostrzelali naszych pod Męczkami, słyszymy też strzały w Wierciszewie, z pozycji Giełczyn.

– Gdzie dokładnie są Niemcy? – zapytał Raginis z naciskiem. – Znaczy widzi ich pan czy nie? Proszę raportować dokładnie.

– Nie, nie widzę. Nie mam żadnych meldunków. Przyjechał tylko łącznik od podporucznika Rusinowskiego z raportem.

– Proszę uważnie obserwować przedpole. Gdyby zbliżyły się kolumny wroga, wysadzajcie most. Rozkazuję w żadnym wypadku nie otwierać ognia przedwcześnie, zanim zostaniecie odkryci przez wroga. Proszę przekazać do placówek.

– Tak. Tak będzie, panie kapitanie.

– Zaraz u was będę.

Kapitan oderwał słuchawkę od ucha, podniósł się.

– Starszy strzelec Jarmulik. Natychmiast siodłajcie konie! Za chwilę ruszamy!

– Tajeeeest!

Raginis zakręcił korbką induktora w telefonie.

– Łączcie z porucznikiem Brykalskim, pozycje artylerii. Halo? Tu dowódca – powiedział. – Proszę natychmiast wysłać do mostu podporucznika Buczyńskiego, żeby objął dowództwo nad plutonem artylerii. Mam wiadomości o nadchodzących Niemcach.

– Na jednej nodze, kapitanie! Wreszcie! Zaczyna się! No, teraz damy im bobu...

Kapitan odłożył słuchawkę, w której zamierał głos Brykalskiego, kiedy znów rozbrzmiał brzęczyk.

– Zgłasza się porucznik Kiewlicz, pododcinek Giełczyn – zadudnił nieprzyjemny głos. – Melduję, że Niemcy są we Włochówce.

– Prom?! – wypalił Raginis.

– Kazałem spalić. Melduję, że do Włochówki wycofała się reszta plutonu zwiadu. Przeprawili się przez rzekę, duże straty. Podporucznik Rusinowski ciężko ranny, wysyłam go do Laskowic, do punktu sanitarnego.

– Przyjąłem. Co robią Niemcy?

– Wycofali się odpędzeni przez kaemy. Przy okazji składam wniosek o postawienie do karnego raportu porucznika Szopy za samowolne otwarcie ognia i zdradzenie stanowisk.

Kapitan poderwał się i nałożył na głowę hełm, ścisnął pasek na brodzie, poprawił kaburę z pistoletem przy prawym boku. I pędem wypadł ze schronu przez tylne stalowe drzwi, które rozwarł przed nim wartownik.

Ledwo znalazł się za tylną ścianą schronu, przestąpił wysoki próg i uderzył w niego warkot, a raczej jęk motorów. Górą przemknął cień i prawie razem z nim ciężki, ogromny, bo nisko lecący samolot z rozłożystymi skrzydłami ozdobionymi dwoma czarnymi krzyżami. Podniósł się wrzask. Kapitan, przytrzymując hełm na głowie, skoczył przytomnie pod skośny betonowy okap nad wejściem, który zapewniał choć minimalną ochronę przed odłamkami. Drzwi zamknięto, nie było czasu szarpać się z nimi ani stukać umówionym sygnałem...

Pozycja wysunięta Sulin – Włochówka, minutę wcześniej

Świst, a raczej wycie połączone z narastającym przenikliwym pogłosem motorów lotniczych spadło na ludzi porucznika Zawadzkiego akurat wtedy, kiedy dymiąca kuchnia polowa wydzielała obiad. Scenariusz był zatrważający, atak lotniczy nie dawał szans na schronienie! Najpierw nadciągający dźwięk silników, potem niespodziewane wycie, wreszcie przenikliwy świst, przeszywający uszy, głowę, ciało, niedający możliwości wytchnienia, niepozwalający na ucieczkę. Nawet w betonowym schronie człowiek miał wrażenie, że i tu dosięgną go bomby.

Ciemnozielonkawe samoloty jak koszmarne ptaki grozy waliły się w dół, pikując prosto na Wiznę, Sulin i Włochówkę. Ich wycie wywoływało strach i panikę. Na krzyki: „Lotnik! Kryj się!” żołnierze pierzchali, rzucając menażki, osłaniając rękoma uszy, padając na ziemię, rzucając się do rowów. Nic to nie dało. Bomby leciały, a ich świst przyduszał ludzi do ziemi.

A potem rozerwały się, wzbijając ogromne krzaki wybuchów, chmurę spalonego kurzu! Wybuchły w Wiźnie, roztrzaskując domy, wzniecając pierwsze pożary. Trafiły w Sulin, w laski wokół zabudowań. Przy drodze, w zasieki między Włochówką a Smolarzami...

Porucznik Zawadzki po pierwszych wybuchach skoczył do głównego schronu, nieco na północ od Strumiłowa, walił w panice w drzwi, krzyczał, a razem z nim jego podoficer służbowy.

Wpadli do środka, potykając się o próg, przebiegli przez przedsionek za drzwi przeciwgazowe, które nie były jeszcze wstawione. Zawadzki usłyszał narastające, stłumione jeszcze wycie, wydobywające się ze wszystkich szczelin schronu. Osunął się na betonową podłogę, waląc plecami o ścianę, zasłonił się skrzyżowanymi rękoma, objął ramionami, aby odgrodzić ten straszny świst, ten pogłos, który budził grozę.

Wybuchy targały stanowiskiem jak statkiem. Jakby schron podniósł się niczym łódka i opadł po przejściu fali. Z góry sypał się gruz, kamienie, leciały w górę odłamki wyrzucone falą uderzeniową.

A samoloty już zawracały – z wyciem oznajmiały drugą falę uderzenia. Tym razem już bez bomb – po prostu siekły z pokładowych kaemów po zasiekach, po domach, po lasach. Przemknęły z gromowym wyciem i jękiem motorów, przeleciały nad Sulinem, Strumiłowem, kierując się skośnie na Giełczyn i Osowiec.

Zapadła cisza, ale Zawadzki wciąż słyszał w niej straszny jęk nadciągającej podniebnej śmierci. Siedział i kiwał się, a jego sierżant coś krzyczał, otwierając usta.

– Niemcy! Niemcy idą! Oj, panie poruczniku!

Oficer był jak sparaliżowany, siedział, najpierw dygotał, potem już tylko jęczał.

I nagle pośród tego wszystkiego rozległ się wołający go głos, jak wybawienie z odmętów, jedyna stała rzecz na tym świecie.

To był głos kapitana Raginisa...

Wizna, godzina 15.43

Ledwie opadły dymy po wybuchach bomb, przez chmury pyłu i kurzu zalegające nad Wizną przedzierał się już pierwszy przeciągły metaliczny ryk motorów. Niemcy pędzili z dwóch stron, dwoma, nie! – trzema kolumnami motocyklowymi. Maszyny podskakiwały na wybojach polskich dróg, wtedy mocno kołysali się nad kierownicami żołnierze w baniastych mundurach, obok ich towarzysze skuleni w koszach, czasem nad cienkimi lufami erkaemów.

Wpadli do miasteczka z trzech stron, stalowoszare rzeki maszyn. Wjechali w pełnym pędzie drogami od Łomży, od Jedwabnego i polną, piaszczystą ze Srebrowa. Runęli na bezbronne miasteczko, wpadając najpierw w długą ulicę wzdłuż Narwi, potem skręcali w wąskie uliczki pełne drewnianych, pokrzywionych domków. Tu i ówdzie płonęły chałupy, w niebo biły poskręcane smugi dymu.

Niemcy przemykali uliczkami, dodając do swędu spalonego drewna i gałganów smród spalin i kurz wzbijany kołami motorów. Z rzadka strzelali, jedna seria, druga, trzecia, rozpryskiwały się kawałki szyb poklejonych na krzyż paskami papieru. Wizna była opustoszała, bezbronna. Większość mieszkańców uciekła, pozostali pokryli się w piwnicach na kartofle, w dziurach.

Niemieckie motocykle wpadły na rynek, część podjechała pod wiekowy ceglany kościół. Wysypywali się z nich żołnierze w mundurach feldgrau, wpadali do domów, osłaniając się wzajemnie. Sprawdzali, szukali śladów oporu; nie było go nigdzie, nikt nie strzelał. Miasteczko było nie do obrony.

Szybko zajmowali pozycje przy rzece, dźwigali erkaemy o lufach okrytych chłodnicami pełnymi dziurek, z pistoletowymi uchwytami i kolbami rozdwojonymi niczym ogon ryby. Amunicyjni targali za nimi w torbach okrągłe magazynki do MG-34.

Minęły długie, rozciągające się jak guma chwile, nim z północnego zachodu motory zagrały ze zdwojoną siłą. Do Wizny jechała od strony Łomży długa kolumna samochodów pancernych i ciężarówek. Na drugiej drodze, od Jedwabnego przez Męczki, był większy ruch. Tam słychać było zgrzyt gąsienic, wycie silników czołgowych. Do mostu zbliżała się coraz szybciej ogromna chmura pyłu i kurzu, niosąc niski śpiew rozpędzonych silników. Czołgi – jedne kwadratowe, kanciaste,

najeżone lufami działek i kaemów, drugie mniejsze, szybsze, z wieżyczką umieszczoną niesymetrycznie, z prawej strony maszyny, z osadzonymi w niej dwoma bliźniaczymi cekaemami. Długa pancerna kolumna niosąca białe krzyże na maszynach, zwycięstwo na lufach dział i ciężkich karabinów.

Pozycja wysunięta, posterunek przed mostem na Narwi, godzina 17.03

Kapitan Raginis i porucznik Zawadzki, który ochłonął z szoku po nalocie, byli już na wysuniętej placówce nad rzeką. Raginis zlustrował lornetką drugi brzeg Narwi, widoczny dobrze ze wzniesienia – płaski, pokryty łąkami, rozlewiskami, przecięty dźwigającą się łagodnie w górę groblą, którą do mostu pięła się droga. Kapral Józef Rynkiewicz czekał przy zapalarce elektrycznej, obok żołnierze kulili się przy erkaemie; jedynie Raginis stał wyprostowany, lekceważąc sobie zbliżającego się wroga. Wyraźnie widział nadciągającą niemiecką kolumnę pancerną, idącą równo, bezlitośnie, jak stalowy grot wymierzony w serce jego odcinka.

– Wysadzajcie most! – rozkazał.

– Ludzie są! – jęknął Zawadzki. – Panie kapitanie, proszę spojrzeć, jeden, dwóch, trzech. Wóz cały jedzie.

– Do diabła, mieliście ewakuować Wiznę!

– To ludzie z wiosek, przyszli na sianokosy, nie dali się odpędzić!

– Trzeba ich było nie puszczać!

– Panie kapitanie! – jęknął plutonowy Józef Oleksy. – Jak pragnę zdrowia, jedna baba powiedziała, że przejdzie, nie dała

się zatrzymać, uciekła nam! Co... miałem strzelać? – Rozłożył ręce.

Czołgi szły, toczyły się niepowstrzymanie i Raginis, patrząc przez lornetkę, był pod wrażeniem ich szybkości. Zwinne i lotne potwory, przemykały raczej jak samochody osobowe niż ciężkie, powolne stalowe francuskie siedemnastki, które przyjechały z armią generała Hallera po odzyskaniu niepodległości. Kolumna pruła przed siebie bez trwogi, już, już mijała Witkowo, wjeżdżając na groblę na wysokości starego kirkutu nad rzeką.

– Uciekajcie, ludzie! – jęknął plutonowy.

– Tyle tych czołgów – mamrotał starszy strzelec wyglądający zza worków z piaskiem. – Jak my... Jak my... wytrzymamy?

Jeśli Raginis łudził się jeszcze, że może spróbować poderwać most razem z czołgami, to teraz stracił wszelką nadzieję. Zobaczył w szkłach, jak zza drzew po obu stronach drogi wysypują się małe, biegnące szybko figurki żołnierzy. Piechota! Szła obok czołgów, przepatrując drogę. Chwila jeszcze, jeszcze minuta i mogli dostrzec ładunki połączone kablami. Nie wolno było do tego dopuścić.

– Biorę tych ludzi na moje sumienie. – Raginis przygryzł wargi. – Wysadzać! To rozkaz!

Kapral Józef Rynkiewicz uczynił ruch, jakby chciał się przeżegnać. A potem przekręcił oburącz rączkę zapalarki o jedną trzecią obrotu.

Przysiedli odruchowo, skulili się. Chwilę, pół sekundy, która trwała jak wieczność, nie działo się nic. Nagle most powstał, zaczął podnosić się w górę, iść, jakby dźwignęła go niewidzialna siła. Ogromne żelazne przęsła pokryte płatanina nitów łamały się, rozrywały w szalonym, tytanicznym pędzie. Wyrzuciły w górę drobne figurki biegnących ludzi – jakąś kobietę, dwóch mężczyzn, wóz z końmi. Wzniosły się na szczyt i zaczęły walić

w dół, rozpadać się na plątaninę żelastwa, gnąc się jak leszczynowe witki i deformując podczas upadku. Osadzały się, wykrzywiając w lewo i w prawo. Teraz, z minimalnym opóźnieniem, doszedł do nich grzmot eksplozji i razem z nim gorący podmuch wybuchu. Przemknął górą, nad workami z piaskiem, i poleciał dalej, do Sulina i Strumiłowa, aby uderzyć w ścianę lasów i zarośli za pierwszymi schronami obronnymi.

Eksplozja poszła dalej – na przyczółek, gdzie byli już Niemcy. Wyrzuciła w górę samochód pancerny, czołg, jeden albo dwa, zagarnęła w gejzerze ognia i dymu kilka biegnących sylwetek w mundurze feldgrau. Raginis zacisnął pięści. Jednak dostali, przynajmniej trochę, udało się!

Most był już tylko ciemnym szlakiem poskręcanego żelastwa, jedynie górne części przęseł przetrwały wybuch w miarę niepowyginane, ale i tak spadły na ziemię i do rzeki. Pod nimi drogi już nie było, wszystko, co ją tworzyło, leżało wbite teraz w piach, błoto albo po prostu w nurtach Narwi.

I wtedy serce kapitana Raginisa zatrzymało się w biegu. Pomimo strat i eksplozji, od której pękały bębenki w uszach, Niemcy wcale nie zwolnili. Czołgi rozjechały się na dwie strony, zjeżdżając z grobli na sam brzeg, potoczyły się ku wodzie, a potem zatrzymały, ale na krótko. Nagle ryknęły silniki i dwie maszyny ruszyły ku Narwi, powoli, ostrożnie zjechały w dół w miejscu, gdzie było płycej i zapędzano bydło na pojenie. A potem już śmielej wjechały do rzeki i zaczęły ze stłumionym głosem motorów przeprawiać się na drugą stronę.

– Juchy, przejdą! – jęknął plutonowy Oleksy. – Panie kapitanie...

– Przejdą? Utopią się!

Głos Raginisa był chrapliwy i nerwowy.

– Przejadą! Rzeka opadła po upałach. Przeklęta susza. Wycofujemy się stąd!

– Zajmą przyczółek – powiedział porucznik Zawadzki.

– Nie zajmą. Jarmulik, leć do podporucznika Buczyńskiego i przekaż rozkaz otwarcia ognia.

Pozycja wysunięta, schron we Włochówce, godzina 17.31

– Panie kapralu, Niemcy na wprost, mała grupa – zameldował celowniczy z kopuły obserwacyjnej schronu nad Narwią.

– Puszczajcie na górę!

Starszy strzelec zeskoczył prawie po metalowych szczeblach, a kapral Władysław Pawlak wspiął się na górę i zajął miejsce obok celowniczego cekaemu wz. 30 zamocowanego na obrotowej podstawie.

– Pozycja druga, kierunek Wizna, trzy pniaki ściętych drzew. Na naszym brzegu. Patrol nieprzyjaciela.

Kapral odsunął pancerną zasuwę ze strzelnicy oznaczonej numerem dwa, przyłożył lornetkę do oczu. Poruszał nią, a w okularach przepływały krzaki po tej stronie prawie niewidocznej Narwi. Nagle zesztywniał, zobaczył, jak zza przyciętych kęp łoziny wynurza się grupa żołnierzy w stalowoszarych mundurach. Blisko, bardzo blisko, prawie przy drodze łączącej Smolarze z głównym traktem do wysadzonego mostu.

Próbował ich rozpoznać, wyraźnie odróżniał żołnierzy w baniastych hełmach od oficerów w czapkach. Coś tam zabłysło – rozstawili ciężki trójnóg, na nim coś, co poznawał. Konstrukcję z dwoma wygiętymi w ich stronę rurami. To mogła

być tylko polowa lorneta lunetowa. Niemcy po prostu rozpoznawali linię umocnień.

Zacisnął dłonie na lornetce. Obowiązywał zakaz otwierania ognia, każdy strzał mógł przedwcześnie zdradzić stanowisko. Nie wiedział, co robić...

– Panie kapralu, walimy? – niecierpliwił się celowniczy cekaemu.

– Zaraz! Czekać! Nie mamy rozkazu.

Wpatrywał się ciągle w Niemców i aż żałował, że nie może wystrzelić. Wróg nie spodziewał się ich, nie wykrył jeszcze bunkra. Kapral podkręcił ostrość i prawie widział twarze jako białe plamy. Patrzył w oczy wrogom; to było dziwne, aż budziło chłód, na szczęście obraz w lornetce skracał dystans, ale nie uczucia. Zacisnął zęby.

I wtedy zobaczył cywila w zielonkawej kurtce leśniczego, który pokazywał wprost na nich, jakby dokładnie wiedział, gdzie znajdował się ich schron. Za chwilę patrzyli na nich wszyscy niemieccy oficerowie. Zobaczył błyski lunety, jak i zwykłych lornetek.

– Józuś, ogień na pozycję drugą.

Odskoczył od szczeliny i przypadł do sąsiedniej. W tym samym czasie celowniczy przestawił lawetę z karabinem, ustawiając lufę w pancernej wkładce, przytknął kolbę do ramienia i spojrzał przez górną część, która miała być zabezpieczona szkłem – miała, bo jak zwykle go nie dowieźli.

– Widzę cel!

– Celownik sześćset.

– Jest sześćset!

– Ogień poszerzany, ciągły!

– Gotów.

– Ognia.

Cekaem zaniósł się równym, rytmicznym stukotem, który tu, pod kopułą, wbijał się w uszy, jakby każdy strzał był gwoździem wbijanym do głowy. Huk, trzask, brzęk spadających łusek i nagle głos celowniczego:

– Nie widzę celu. Chyba dostali.

Kapral Pawlak przycisnął się do szczeliny, sięgnął po lornetkę – musiał stąd patrzyć maksymalnie w prawo, minęła spora chwila, nim znalazł punkt na skraju doliny Narwi, przy trzech pniakach ściętych olch. Zobaczył tylko piekło, takie sobie nieduże piekiełko w miejscach, gdzie trafiały pociski z cekaemu. Raz po raz wzbijały się tam dymki, obłoki kurzu, nic jednak nie było widać.

– Przerwać ogień.

Łoskot wbijający się w czaszkę znikł. Kopuła pancerna pełna była dymu prochowego, a każdy oddech przynosił metaliczny smak i smród przypominający przepaloną siarkę.

Kapral wodził lornetką w prawo i lewo. Nie spostrzegł ani jednego wroga. Lecz ledwie wyostrzył szkła i przeniósł wzrok na drugą stronę rzeki, na słabo widoczny zarys wzgórza zamkowego w Wiźnie, zobaczył, jak u jego podnóża, ulicą Zamkową, jadą obłe, zamazane kształty. Czołgi albo samochody pancerne. Odjął lornetkę od oczu i zszedł, aby zameldować wszystko przez telefon porucznikowi Zawadzkiemu.

Pozycja plutonu artylerii w rejonie Sulina, godzina 17.45

Oba działa stały już od dawna na stanowiskach, osadzone w ziemi, okopane, osłonięte siatkami maskującymi. Dwie prawosławne siedemdziesiątkiszóstki przekalibrowane do

siedemdziesięciu pięciu milimetrów. Podporucznik Buczyński wysłuchał spokojnie rozkazu przekazanego przez Jarmulika, po czym podniósł rękę.

– Bateria do dział!

Artylerzyści już wcześniej zdjęli płachty maskujące, odsłaniając uniesione lekko ku górze lufy armat – cienkie i krótkie, osadzone na o wiele grubszych kołysce i cylindrach oporopowrotnika. Na komendę ładowniczy opuścili lewą tarczę ruchomą, a zamkowi – prawą w obu działach. Nastawniczy opuścił nastawnicę, wręczyciele otwarli skrzynie z nabojami, jeden z nich zdjął z jaszcza kubeł i ustawił go przepisowe trzy kroki w prawo od końca prawego wrzeciona osi armaty.

Zamkowy przesunął bezpiecznik na spust bojowy, otworzył zamek, wyjął wycior i stempel, połączył razem i położył na ziemi, opierając wyciorem o kubeł. Prędko jak w ukropie obsługa zajmowała miejsca przy armacie – celowniczy i zamkowi na siodełkach, działonowi z prawej strony.

I już błyskawicznie szły kolejne komendy:

– Krąg osiem w lewo, bęben dwadzieścia osiem. Punkt celowania: południowy przyczółek mostu. Odetkać dwie pary nabojów, granat stalowo-żeliwny, ładunek normalny, zapalnik z krótką zwłoką.

– Gotów!

– Od działa! Po dwa ognia!

Działa rąbnęły krótkim hukiem wystrzałów, cofnęły się na oporopowrotnikach, z odryglowanych zamków wyleciały dymiące, jeszcze gorące łuski.

Pociski przemknęły nad wyschniętą doliną Narwi, nad zrujnowanym, poskręcanym mostem. Spadły z jasnego nieba prosto między stojące tu czołgi, z których kilka zdołało już przejechać Narew. Pociski wybuchły na grobli i tuż obok, wyrzucając w górę wielkie fontanny ziemi. Wśród wychylonych

z włazów pancerniaków podniosły się krzyki i jęki, Niemcy znikli jak zdmuchnięci.

Ogień przeniósł się teraz na rzekę, kolejny pocisk wybuchł na brzegu, tuż obok dwóch zmierzających do przeprawy czołgów. Już w odpowiedzi zapaliły się ognie wylotowe u luf, zastukały bezładną kanonadą cekaemy i działka dwadzieścia milimetrów. Ale armaty nie strzelały na wprost, na to nie pozwalał wysoki brzeg – były ukryte w miejscu, którego nie mogli ustalić Niemcy.

Pociski mknęły ze świstem, ze złowieszczym chichotem, rąbnęły wprost w rzekę, wzbudzając fontanny wody.

– Skrócić. Poprawić w prawo o dwa, bęben trzydzieści! – zakomenderował podporucznik Buczyński.

– Gotów!

– Od działa! Pal!

Zamkowi pociągnęli i zwolnili cięgła mechanizmów kurkowych. Dwa wystrzały prawie zlały się w jeden.

Pociski przeszły nad brzegiem rzeki, wpadły w gromadę odsłoniętych, kręcących się rozpaczliwie pojazdów. Jeden uderzył w samochód pancerny, odrzucił go na bok, rozwalając cały przedni lewy bok, wyrywając koło. Samochód zamarł od razu pochylony, płomienie wyrwały się spod żaluzji chłodnicy, z rozprutych boków poszły długie wstęgi czarnego dymu. I zaraz otworzyły się drzwiczki w wieżyczce z tyłu pojazdu, wygramoliło się stamtąd trzech czarnych, pokrwawionych Niemców, ciągnąc rannego czwartego. Nie zdołali zrobić nawet dziesięciu kroków, gdy pocisk rozerwał się na szosie, rzucając ich na ziemię i obsypując piachem i kamieniami.

Armaty nie próżnowały. Raz po raz dawały ognia, waląc po stłoczonych Niemcach. Kolejny czołg dostał z tyłu, prosto w silnik, od góry. Wypuścił dym, zwolnił, toczył się bezwładnie w stronę rzeki, gdy przez górny właz wyskoczyli dowódca i ładowniczy.

Wśród pozostałych wozów bojowych wszczął się zamęt, bezładnie wycofywały się w stronę Wizny i Męczek. Te, które przejechały rzekę, wracały z powrotem, walcząc z nurtem i mułem. Samochody jechały tyłem, potrącając się, prując z kaemów, po ruinach mostu, po drodze, po drzewach, po drugim brzegu, nieważne gdzie, byle dalej od Narwi.

Niemcy cofali się. Pociski nadlatywały znowu – rąbnęły w skarpę nadbrzeżną, ponownie w drogę, potem przeniosły się na resztki przyczółka po drugiej stronie Narwi. Huk wybuchów mieszał się z graniem motorów, z krzykami uchodzących Niemców. Piechota, która nie doszła jeszcze do mostu, cofała się skokami, zachęcana okrzykami oficerów.

Buczyński wychylił się ze stanowiska obserwacyjnego, oderwał od lornety i wydał rozkaz:

– Pluton! Pierwsze działo: powiększyć o trzydzieści! Drugie działo: powiększyć o dwadzieścia pięć!

Celowniczy zeskoczyli z siodełek, najpierw jeden, potem drugi, poczęli dawać znaki obsłudze.

– Do dźwignięcia!

– Bez usadowienia!

Wręczyciele chwycili ogony armat, dźwignęli je nie bez wysiłku i poczęli obracać w prawo, dopóki celowniczy nie pokazał ręką w dół.

– Punkt celowania: Wizna, rynek, koło kościoła. Szrapnele, odetkać trzy pary! Zapalnik zwykły, poprawiacz szesnaście!

– Gotów!

– Od działa! Pal!

Tym razem dali ognia nad miasteczko. Pociski przemknęły nad rynek, nad uliczki, na których stały motory i samochody pancerne Niemców. Wybuchły na ulicach, sypiąc gwiżdżącymi odłamkami na domy, ogrody, płoty. Jeden raz i drugi! I trzeci! Ziemia zatrzęsła się, zadudniła głucho. Wykwitły nad dachami

krótkie rozbłyski, a po nich grube, czarne gejzery wybuchów. Buczyński przeszedł na granaty stalowe, bił raz po raz, w krótkich odstępach, aż wręczyciele dyszeli z utrudzenia. Uderzył w rynek, w okolice synagogi, w domy, od kościoła aż po górę i cmentarz. Pociski wyrzucały w górę bruk, kamienie, roztrzaskiwały domy, rozwalając grube bierwiona ścian, siejąc drzazgami i kawałkami drewna.

– Stój! – wstrzymał ogień, wrócił do lunety, wodził szkłami po całej mieścinie.

Już prawie jej nie było widać, dymy i opary po wystrzałach przesłaniały uliczki, omywały stromy, poznaczony sterczynami dach ceglanego kościoła, szły aż do skrzydeł sterczącego bezradnie wiatraka w Witkowie, na wzniesieniu. Paliły się żydowskie domy i warsztaty przy długiej ulicy, kamieniczki przy opustoszałym rynku. A kiedy Buczyński przybliżył obraz, zobaczył przesuwające się między dymami jaśniejsze, bo szare kształty motorów i samochodów, wolno, majestatycznie jadących z Wizny na zachód i północ. Niemcy wycofywali się.

– Stój! Odbój! – zakomenderował. I ukrywając lornetkę w futerale, powiedział do siebie cicho: – Mają dość.

Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 19.27

Do schronu dowodzenia wracali już po zmierzchu, galopem przez drogę, uszkodzoną tu i ówdzie wcześniejszym nalotem. Raginis był niespokojny o posterunki, postanowił od razu obdzwonić wszystkie pododcinki, śledzić na bieżąco sytuację, może nawet nie spać, choć Niemcy nie przejawiali aktywności. Jeszcze przed odjazdem zameldowano mu z Włochówki, iż nieprzyjaciel wycofał się z Wizny, ale wzmacniał siły po drugiej stronie Narwi.

W schronie czekał już goniec z Osowca; na jego widok kapitan westchnął. Spodziewał się złych wiadomości i się nie mylił. Starszy strzelec zasalutował i wręczył mu zapieczętowaną kopertę.

– Panie kapitanie, połączenie telefoniczne z Osowcem zerwane, więc przynoszę rozkaz. Proszę o potwierdzenie.

Raginis czytał go przy świetle karbidówki. Rozkaz był od podpułkownika Tabaczyńskiego i nie zawierał pociechy.

Proszę wycofać wszystkie jednostki junaków i techników budowlanych. Skierować je na Bielsk Podlaski, gdzie będą czekać dalsze rozkazy. 136. rezerwowa kompania saperów przechodzi do odwodu w rejonie Strękowej Góry, gdzie pozostanie jako odwód ogólny odcinka. Podpisano: podpułkownik dyplomowany Tadeusz Tabaczyński, dowódca 135. Pułku Piechoty.

– Macie łączność z Osowcem? – zapytał kapitan podoficera przy centralce.

– Zerwana od nalotu. Wysłaliśmy już patrol, ale nie wiadomo, kiedy skończą. Jest tylko połączenie z pododcinkami.

– Proszę w takim razie zameldować podpułkownikowi, że rozkazy wypełniam, melduję też o nadejściu grupy pancernej wroga liczącej około sześćdziesięciu wozów bojowych. Zatrzymaliśmy ich na Narwi. Nie dopuściliśmy do stworzenia przyczółka.

– Tak jest!

– Proszę, oto pisemny raport. – Raginis kreślił w skąpym świetle lampy duże, okrągłe litery na blankiecie. Podpisał się trochę krzywo i zakręcił pióro. Kiedy je chował, pomacał się po kieszeni na piersiach, gdzie trzymał obrączki. Były tam.

Goniec właśnie odmeldowywał się i wychodził, kiedy zadzwonił telefon.

– Kapitan Raginis, słucham.

– Zgłasza się plutonowy Dywicz, trzecia drużyna pionierów. Melduję posłusznie, że ten prom, co jest w Niwkowie, wysadziliśmy całkowicie. Według rozkazu, bo podeszli już Niemcy.

– Świetnie. Dziękuję za dobrą postawę. Wieś zajęta przez nieprzyjaciela?

– Tak jest! Przyjechały samochody pancerne. Zobaczyliśmy sześć. I motocykliści. Za rzekę się nie przeprawiają.

– Dziękuję. Proszę obserwować.

Kapitan odłożył słuchawkę do pudła i zaraz sam zakręcił korbką telefonu.

– Łączcie z pozycją wysuniętą.

– Słucham, porucznik Zawadzki przy telefonie.

– Kapitan Raginis. Proszę o dokładny raport sytuacji.

– Na razie spokój, Niemcy wycofali się z przyczółka po ostrzale. Nie ma ich też w Wiźnie. Z podsłuchu meldowali o hałasach zza rzeki, słychać było motory, jakby ciężarówki. Niechybnie ściągają nowe siły.

– Proszę przekazać podporucznikowi Buczyńskiemu rozkaz wycofania się z plutonem do porucznika Brykalskiego, na główne stanowiska artylerii za Górą Strękową. W ogóle należy sprawdzać podsłuchy i nie odpowiadać ogniem na żadne zaczepki Niemców.

– Tak jest, zrozumiałem.

Kapitan otarł pot z czoła, odłożył słuchawkę i zaraz znowu zakręcił korbką.

– Łączcie z pododcinkiem Giełczyn... Kiewlicz? Co się u was dzieje?

– Na razie spokój, kapitanie, jak ma być? Wierciszewo, Sieburczyn i Sambory zajęte przez Niemców. Oddziały motorowe oceniam na kilka, kilkanaście wozów bojowych. Czołgi i samochody. Na razie prowadzimy obserwację, żeby nie zdradzić pozycji.

– Prom?

– Już meldowałem wcześniej, wysadzony. Co zostało, spalone. Ale poziom wody w Biebrzy jest niski, rzeka nie zatrzyma ataku.

– Rozumiem. Dziękuję.

Raginis siedział chwilę w milczeniu. Zaczynało się.

Góra Strękowa, zagroda Szubowskich, godzina 19.50

Tym razem naprawdę żegnał się z kolejną, ostatnią już kwaterą. Wszedł do pokoju, zabrał mapy i papiery, spakował wszystko w mapnik, starannie zakręcił wieczne pióro, którego prawie nie używał. Poprawił płaszcz i czapkę. Wyszedł do kuchni, położył na stole klucz. Popatrzył na Szubowską i jej córkę, uśmiechnął się.

– Panie kapitanie, słyszałam, że Niemcy już blisko. Co to będzie? Zginiemy? – załamała ręce matka.

– Są już w Jedwabnem, w Wiźnie. Wy to odjedziecie stąd, wołajcie ojca, niech zaprzęga. Odjedziecie, ale ja to zginę, ja stąd nie wyjdę – powiedział ponuro, naciskając mocniej czapkę, bo czuł, że cała głowa mu płonie.

– Niech pan kapitan weźmie mleka na drogę – poprosiła córka. – Świeżo nadoiłam. Co mają wziąć... Niemcy.

Podstawił na stole odkręconą manierkę, patrzył, jak nalewała mu do pełna.

– Pora już – powiedział. – Dziękuję za gościnę. Do widzenia.

Zamknął za sobą wolno i delikatnie drzwi, zostawił ten mały wiejski światek, aby skierować się prosto do betonowego schronu na szczycie góry.

Kurpiki, godzina 21.46

Odjeżdżali i odchodzili już po zapadnięciu zmroku. Samochody ze zgaszonymi światłami wyjeżdżały na drogę z Sulina, Kurpik i Góry Strękowej. Za nimi maszerował pluton pionierów, jechały konne wozy z narzędziami, gwoździami, palami, młotami, krawężnikami, deskami i innym sprzętem do przepraw.

Chłopaki z szesnastego batalionu Junackich Hufców Pracy kołysali się ściśnięci na samochodach – z walizeczkami, z tobołkami, plecakami, część bagaży musieli zostawić z braku miejsca. Dwójkami szła z tyłu cała sto trzydziesta szósta kompania saperów. Po cichu, potykając się na podniszczonej drodze.

– Panie kapitanie, żebyśmy się jeszcze spotkali, do zobaczenia po wojnie – powiedział dowódca saperów Tadeusz Jurowski, wyciągając rękę.

Raginis uścisnął ją mocno i uśmiechnął się w ciemności.

– Po wojnie? Ja tu chyba zostanę. Na zawsze.

– Niech pan nie opowiada głupstw, proszę. Wszyscy się spotkamy. To już długo nie potrwa. Słyszał pan, Francuzi przekroczyli Linię Zygfryda, wkroczyli do Nadrenii, do Zagłębia Saary.

– Słyszałem, ale że Niemcy podchodzą pod Warszawę.

– No cóż, manewr taktyczny zapewne. Obyśmy doczekali lepszych czasów. Odmeldowuję się, panie kapitanie!

Jurowski wsiadł na wóz i ruszyli. Długimi kolumnami, rzędami. Teraz, kiedy odchodzili wszyscy, którzy do ostatnich chwil pomagali umacniać i wylewać schrony, ci wszyscy junacy, saperzy, cały personel techniczny, dowódca poczuł się dziwnie samotny. Pomacał się po górnej kieszeni bluzy mundurowej, sprawdził, czy są obrączki, i z trudem zwalczył w sobie myśl, żeby pojechać do dworu w Strękowej Górze. Był sam, sam na stanowisku, musiał dawać przykład. Obiecał sobie, że jeszcze dziś siądzie i przynajmniej dokończy list do Zofii.

Długo stał przy drodze, spoglądając za odchodzącymi, dopóki nie znikli za lasem, a potem dosiadł Bohatyra i ruszył do stanowisk artylerii pogadać z jej dowódcą. Potrzebował choć na chwilę rubasznej obecności i gadki porucznika Brykalskiego, bo myśli jego biegły ciągle do narzeczonej. Odrywały od spraw, do których wzywały go honor oficera i ojczyzna.

Dwór w Strękowej Górze, sześć godzin wcześniej

Byli już po ostatniej chyba we dworze buteleczce wileńskiej maciejówki, choć panna Zofia wolała jak zwykle wiśniową pomarańczową. Zielony stolik zawładnął nimi ze szczętem, choć nie był szczęśliwy tego dnia dla ojca Reszki.

– Ot, masz ksiądz nową schizmę – rzekł pan dziedzic Jamiołkowski, kładąc na stole karetę króli. – Prosto z prawej, mojej szczęśliwej ręki. Prawicą się żegnasz! Prawicą pracujesz, prawicą się bronisz, prawicę wyciągasz do zgody. Na prawicy staną zbawieni, na lewicy potępieni. Lewica to Żydzi, socjaliści i

– specjalnie zaakcentował to słowo – ludowcy. Człowieku dobry, nie idź za lewicą!

Ksiądz Reszka mruczał coś pod nosem, burczał, bo miał tylko słabiutkiego strita, od siódemki karo w górę.

– Pas! – Zofia z pasją rzuciła karty na stół i zamiast komplementować zwycięstwo Jamiołkowskiego, zaczęła osadzać papierosa w srebrnej fifce. – Niestety, każdy, kto siada do gry z zawodowym szulerem, jest głupcem, a nie przegranym!

– Szanowna pani, ależ ja nie oszukuję – żachnął się dziedzic. – Gdybym tak postępował, czy widziałaby mnie pani siedzącego na połowie dworu vis-à-vis z końmi, czy raczej w Radziwiłłowskim Nieświeżu?

– A może nikt już z panem nie gra?

– Raczej brakuje ludziom fantazji do zawierzenia losu i bogactwa Fortunie. Szanowna pani, ja jestem łagodnym i miłym człowiekiem. Przekonała się o tym choćby hrabina Szeremietiewa, kiedy przegrała do mnie fortunę w moskiewskim domu kupca Fontina i ze strachu przed gniewem małżonka zaoferowała... siebie.

– I cóż pan wtedy? – zainteresował się ksiądz.

– Proszę się nie bać, ojcze. Wolałem honorowo anulować jej dług, niż wykorzystać hrabinę cieleśnie.

– Toś mi pan zaimponował! Phy! – wydęła wargi Zofia. – Trzeba ją było wziąć po kozacku, może miałaby co wspominać na starość.

– Nie doczekała. Niestety, czego nawet nie zacząłem, dokończyli bolszewicy.

Nad dworem jak grom z jasnego nieba rozległ się potężniejący i zaraz zanikający huk motorów. Jeden, drugi, trzeci, czwarty. A potem grzmot, stłumiony, ale bliski, aż zakołysała się ziemia, zadzwoniły kieliszki i filiżanki. Ogromna

zawieszona na ścianie głowa odyńca spadła z trzaskiem tuż obok Jamiołkowskiego.

– Nalot! – Drzwi do pokoju otwarły się, wypadła z nich roztrzęsiona Lodzia. – Nalot! Kryjcie się! Niemcy bombardują.

Safian, który oparty o framugę podrzemywał, teraz się ocknął, przyskoczył do ściany, skulił się.

– Ot mi nalot, nalot – gadał Jamiołkowski. – Przecież widzę. Niech Safian lepiej otworzy okna, bo szyby powylatują. I przyniesie buteleczkę myśliwskiej.

– Papo, oszalałeś... już do końca?! Trzeba zejść do schronu.

Najpierw świst, przejmująca detonacja. Grzmot, jeden wybuch po drugim.

– Chyba bombardują most na Narwi. Drogę do Osowca i słupy telefoniczne.

– Niechaj ja to zobaczę – powiedziała Zofia i podbiegła do okna, skąd prawie odciągnęła ją Lodzia.

– Do schronu! – krzyknęła histerycznie.

– Duża to będzie różnica, że bomba trafi w piwniczkę z kartoflami zamiast w dom. – Jamiołkowski nawet nie ruszył się zza stołu. – Niech Safian... czy ja mam dwa razy powtarzać, czy może krzyczeć!?

– Nigdzie go nie wyślesz! – Lodzia zasłoniła sługę własnym ciałem. – Jest wojna, czy tego nie rozumiesz?

– Wszystko jedno, gdzie będziemy, kochana – wzruszył ramionami dziedzic. – Na mój gust najlepiej zostać w celu, bo wszak najtrudniej w niego trafić.

– Ciekawe, gdzie nasze orły? – powiedział ze złością ksiądz. – Tyle się składek napłaciłem za LOPP.

– Roztrwonili to wszystko panowie wojskowi. Przefujarzyli skarb narodowy!

– Et, gadasz, pan dziedzic!

– A wasi, jak rządzili, jak Piast był u władzy, to co, może drogi budowali? Widział ksiądz ojciec dom posła Wardęgi? Większy niż mój dwór. I z czego to wszystko, jak myślicie?!

– Panie Jamiołkowski, w obliczu wojny potrzeba nam zgody narodowej, a waść jątrzysz! Gdybyście wy, endecy, nie bojkotowali wyborów, ale zawarli sojusz z ludowcami, jak przed zamachem majowym, zapędzilibyśmy panów pułkowników z powrotem do koszar!

Samoloty przemknęły nad dworem i całą wsią z oszałamiającym wyciem. Zadrżeli, słysząc potężniejący świst, a potem ogromny, bliski wybuch. Szkło posypało się z okien, spadły obrazy arabskich koni, szable, ze ścian odpadło białe wapno.

Zofia podniosła jeden z obrazów, ukazujący araby z dumnie podniesionymi ogonami, przyjrzała się i z niesmakiem odstawiła go pod ścianę.

– Ot, Kossak chyba. Stare bibeloty!

– Jak miała być zgoda, skoro wasz prymas Hlond nawet nie chciał pochować naszego Romka Dmowskiego w katedrze gnieźnieńskiej?!

– Miał leżeć z Bolesławami? On, który zwalczał święty Kościół?

– Ksiądz słuchasz bolszewickiej propagandy. Nie czytał ksiądz „Kościoła, narodu i państwa”, gdzie stoi jak wół, że Kościół katolicki nie jest dodatkiem do polskości, ale tkwi w jej istocie, że zacytuję dosłownie.

– Do diabła i wszystkich biesów! – krzyknęła Lodzia. – Zejdźmy do piwnicy!

– Nie boję się szturmowców Hitlera! – odparł Jamiołkowski. – Jestem szlachcicem polskim, bronię ziemi i dworu do końca. Nie ustąpię!

– Jesteś, papo... papo... idiotą! – wrzasnęła.

Znów oddalający się warkot, tym razem po wsi poszły serie, słyszeli gwizd kul, tuż, zaraz obok, zda się, na podjeździe i w ogrodzie.

– Jaki tam kardynał Hlond nasz?

– A Piłsudskiego, komendianta, kościotrupa w maciejówce, pozwolił pochować na Wawelu! Przez niego to wszystko. – Jamiołkowski machnął ręką w kierunku nieba.

– Mnie się takich słów nie godzi słuchać! – Ksiądz poderwał się na nogi. – To był naczelnik, nasz komendant, twórca niepodległej Polski. – Wzburzony skoczył do sieni, otworzył drzwi na ganek i...

Ogromny wybuch wstrząsnął wszystkimi zmysłami, rozwalił okna, zaszarpał okiennicami, z dachu posypały się stare gonty, przewrócił się tykający cicho zegar z wahadłem. Księdza rzuciło w tył, na ścianę sieni, a u wylotu alei dworskiej, za rzędami lip, w polu wyleciała w górę ziemia, wykwitł ogromny, postrzępiony krzak eksplozji. Echo poniosło jego pogłos do wsi, dworu i dalej – w odległe pola nad Narwią.

Ksiądz zbierał się, w czym pomógł mu Safian, podtrzymała go blada, drżąca Lodzia. Wspólnie otrzepywali ludowego miłośnika Marszałka z ziemi, pyłu i białego wapna.

– Ksiądz już lepiej wraca – rzekł pojednawczo Jamiołkowski – po coś na odwagę.

– Idziemy do piwniczki! – krzyknęła Lodzia. – Już!

– Ja zostaję – powiedział bezdyskusyjnym głosem Jamiołkowski. – Wolę zginąć z kieliszkiem zacnego trunku w ręku, niż ukrywać się w kartoflach. Safian! – Skinął na przestraszonego sługę. – Gdzie cię poniosło?

Niespodziewanie ktoś napełnił myśliwską długi, wytworny kieliszek starego dziedzica i hazardzisty. To była Zofia. Jamiołkowski natychmiast poderwał się i ucałował jej rękę w rękawiczce.

– Pani Zosieńko, to ja powinienem pani. Gdzież tak.

– To poproszę, do pełna! – powiedziała, zasiadając przy stole.

– Słyszeliście – dziedzic podniósł w górę palec – już przestali. Nie trzeba było siać defetyzmu. Polecieli szturmowcy Hitlerka.

Rzeczywiście, zapadła cisza. Tylko pył i kurz wnikały przez porozbijane okna, osiadając na makatach, dywanach i sprzętach.

– Niech Safian zbierze szkło. Okna trzeba będzie później zakleić... Papierem.

– Mówiłem panu dziedzicowi, nakleić paski – gderał sługa.

– Gdzie tam, jak by to wyglądało! Jeszcze sąsiedzi pomyślą, że mnie nie stać na szyby!

– Bo właśnie dziś był z wizytą Żyd z Jeżewa, względem zapłaty za ten owies...

– Zapłacę, zapłacę pachciarzowi – uniósł się dziedzic. – Niech Safian go jakoś spławi, wszystko będzie uregulowane... honorowo!

– Tak jest! – krzyknęła Zofia. – Za honor szlachty polskiej!

Jednym ruchem wychyliła kieliszek, przymknęła oczy, potrząsnęła głową. A potem nagle zerwała się od stołu, blada i przerażona.

– Mój Boże! – wykrzyknęła. – Ja zapomniałam... jak tu był nalot, to co tam, nad Wizną! Co z Władkiem! Och, dlaczego nie masz pan tutaj telefonu?!

– Pan kapitan poradzi sobie lepiej bez pani – wtrąciła Leokadia. – Jest wojskowym, oni tam mają karabiny maszynowe, schrony, okopy. Nic im nie zrobią niemieccy lotnicy.

– Ja muszę zaraz... pojechać.

– Panna pojedziesz, ale w bezpieczne miejsce – powiedziała Lodzia zimnym głosem. – Obstalowałam już Szmula furmana, który odwiezie pannę do Białegostoku, do znajomych. Samą, bo

ja już straciłam nadzieję, że papa stąd wyjedzie i będzie ci towarzyszył!

– Pojedziesz panna sama – odparła Zofia – bo ja nigdzie się nie ruszę. Przejechałam piekło, żeby być bliżej mojego kapitana. Można by rzec, że bardzo ci zależy na tym, aby nas rozdzielić. Chcesz panna zająć moje miejsce? Ale to ci się nie uda, bo trzeba mieć to coś...

– Chcesz znać prawdę, to ci powiem! – krzyknęła Lodzia. – Twój kapitan ma cię dosyć, uciekł i pewnie zabarykadował się w schronie, żeby uchronić się od twoich ciągłych histerii i turbacji! I nachodzenia wartowników, prób wykorzystania służbowego telefonu. Niczego tak się nie boi każdy oficer jak bycia śmiesznym!

Trzask! Zofia spoliczkowała Lodzię. Ta nie była dłużna – chwyciła pannę za suknię, aż zatrzeszczały szwy.

Nagle obie zaczęły się szarpać, przepychać, okładać pięściami, jak ulicznice. Zofia się rozpłakała, a Lodzia zaniosła krzykiem.

...rozdzielili je – Jamiołkowski, ksiądz Reszka i Safian.

– Panno Lodziu! Jak można! – wołał ojciec.

– To grzech, grzech wielki! Uspokójcie się! – wtórował mu ksiądz. – I o co w ogóle poszło?

– O kawalera, przecież widać – mruknął posępny Safian.

– Mdleję! Mdleję! – jęczała Zofia. – Powietrza! Dusi mnie!

– Zostawcie mnie już! Zostawcie! – rozkrzyczała się Lodzia. – Jesteście wszyscy tutaj, wszyscy... tacy głupi, głupi do szczętu! I wszyscy tu zginiecie!

Wyrwała się Safianowi i uciekła do sieni, trzaskając drzwiami.

– Lodziu, co to za obyczaje! – krzyknął za nią ojciec. – Wróć i przeproś!

Nie wróciła. Otwarła drzwi do ogrodu, potem wróciła, rozwarła te do części dworu, w której stały konie. Nagle w przypływie wściekłości zaczęła rozwiązywać uwiązy, puszczać je na wolność, a potem gwizdać i machać rękoma, krzyczeć i tupać.

Wnet stadko, i tak mokre, spienione po nalocie, spłoszyło się do szczętu, wpadło do sieni, aż zadudniło, potem przez jedyny wolny otwór – na ogród, z ogrodu pogalopowało na łąki. Lodzia pognała za nimi zdyszana, zatrzymała się dopiero za ostatnimi drzewami, nad Narwią. Patrzyła na świat, który ciągle dygotał po nalocie, na dymy unoszące się nad wsią i zbombardowanym mostem. Krzyczała, straszyła konie, chciała, żeby stąd poszły, wtedy może uparty ojciec podążyłby za nimi. Ale nie bały się – przeciwnie – zaczęły wracać, podchodzić bliżej dworskiego ogrodu.

– One nie uciekną. Wiedzą, że to ich dom – powiedział ktoś, kto nadszedł od tyłu.

Ojciec. Papa, teraz prawie wróg. Ujął ją za rękę, ale wyrwała dłoń.

Stali w milczeniu na bezkresnych, poszarzałych od upałów łąkach nad Narwią, namalowanych, pociągniętych jak farbą ciemną zielenią trawy, blaskiem słońca, błękitem wody i daleką głębią przestrzeni.

– Mówisz, że wszyscy tu zginiemy – powiedział stary Jamiołkowski. – I dobrze. Myślisz, że będzie jakieś życie po tej wojnie?

– Jutro wyjeżdżam. Nieodwołalnie.

Nagle zobaczył łzy w jej oczach. Rzuciła mu się na szyję.

– Papo, dlaczego tak musi być?! Za co to wszystko?!

---

3 *Enfin un château!* (fr.) – Nareszcie zamek!

4 *Pojlisz!...* (jid.) – Polacy! Chodźcie! Uciekają!

I 407/266 arch.

Cena 10 gr. **DZIENNIK KRAKOWSKI** Cena 10 gr.

Rok I. Kraków, piątek 8 września 1939. Nr. 1.

Od Redakcji.

KRAKÓW, 8 września.

Dziennikarz, tak jak żołnierz, musi trwać na posterunku, jakiekolwiekby się zdarzyły okoliczności.

Ludność Krakowa, pozbawiona od kilku dni wszelkich gazet i wszelkich informacyj, ze wszystkich stron domagała się od nielicznego grona dziennikarzy w Krakowie pozostałych, aby zaczęło ukazywać się jakiekolwiek pismo polskie, aby w tej bardzo ciężkiej chwili dziejowej podjęli się oni tego bardzo trudnego zadania.

Życie bez informacyj w druku, wszystkim najłatwiej dostępnych, jest dla ludności wielkiego miasta niemożliwe. Prasa jest jedną z niezbędnych potrzeb życiowych.

Rzecz oczywista, że dziennik taki w obecnych warunkach może mieć jedynie charakter lokalno - informacyjny, a przynosić musi też komunikaty urzędowe. Rozporządzenia zarządu miasta w sprawach gospodarczych itp., informacje wszystkim potrzebne o nowych rozporządzeniach itp., muszą stać się wszystkim wiadome.

Jako redaktor odpowiedzialny podpisuje ten dziennik p. Ludwik Szczepański.

Nie wolno jednak nikomu opadać ze sił i w rozpaczy zakładać rąk. Musimy wszyscy pracować i starać się odbudować, unormalizować życie w miarę sił i możności.

Ludność Krakowa, po opuszczeniu miasta przez panikarskie żywioły, zachowuje zupełny spokój. Niech to spokojne zalędy **unormalizowanie życia w stolicy.** Władze niemieckie zapewniają, że w razie zachowania spokoju, porządku tyczące się godziny policyjnej zniesieniu ulegną itd., będą w najbliższym czasie złagodzone. — A więc do pracy cierpliwej, do pracy wytrwałej dla dobra ogółu — a stokroć niezakłócony niech zapanuje na ulicach miasta!

L. Sz.

Kraków po wkroczeniu wojsk niemieckich.

Po gorączkowo spędzonej nocy z poniedziałku na wtorek przy ustawicznym huku dział przeciwlotniczych i eksplozjach bomb — aż środę około godziny 6-tej rano starały się mostami krakowskimi wojska niemieckie.

Najpierw wjechały motoryzowane patrole, które przejeżdżały ulicami miasta i obwieszczały wydany już gościńcami kraków nasz rozkaz. Później zaczęły wkraczać do miasta patrole piesze, złożone z paru żołnierzy.

Miasto przedstawiało obraz osobliwy. Ludzie w skupionych grupkach wystawali w milczeniu pod bramami domów, oczekując dalszego biegu wypadków. Dopiero około godz. 9 po raz pierwszy wyjechał na ulice miasta Kraków. Jakiego jakichkolwiek wiadomości, których w ostatnich godzinach przed wejściem wojsk niemieckich brak bardzo dotkliwie, Powoli miasto zaczęło przybierać wygląd normalniejszy.

W międzyczasie od zachodu nadjeżdżały zmotoryzowane oddziały wojsk niemieckich, które przejeżdżały przez miasto w kierunku wschodnim i południowym, zatrzymywały się na Rynku przy kramach kwiatowych, aby nabyć kwiaty, a następnie ruszały dalej.

Na parach miasta rozlepiony jest plakat w języku polskim i niemieckim, wzywający mieszkańców do zachowania spokoju, **wydania broni i amunicji** i grożący surowymi karami za wrogie działania przeciw wojsku niemieckiemu i akty sabotażu.

Drugie rozporządzenie dotyczy ograniczenia godzin, **w których można chodzić po ulicach** czasie od godz. 19 do 5 rano, bez specjalnych przepustek, dalej zakazów i godzin i lokali, które mają być otwarte w godzinach dozwolonych, oraz bardzo mocno się zaostrzyć w odniesieniu do

Kara śmierci **grozi za posiadanie materjałów wybuchowych.**

Na ulicach porządkowi o zaopatrzeni w broń palną we środę o godz. 6 wieczorem zaczęli wydawnie pełnić **wymagającą**, bo i na ulicach nie świeciły się latarnie elektryczne, a okna mieszkań były w dalszym ciągu szczelnie zasłonięte.

Po ulicach krakowskich patrole i oddziały niemieckiej **członkowie Straży Obywatelskiej.**

jako to grono osób, z którego w danej chwili najlatwiej jest wybrać żądanych wybitnych przedstawicieli Krakowa, mających realne zajęcia.

Członkowie Komitetu mieli powrócić przybywać do czasu. Ratusza, żądano zapewnienia. Na godz. 2-gą było ich już znaczne grono, jednakże nie wszyscy. Zaczęli dalej przybywali w dalszym ciągu. Nie nastąpiła też zapowiedziana wizyta komendanta.

Tymczasowo więc prezydent Kiwerski przedstawił członkom Komitetu przebieg zdarzeń (m. in. nastąpiła tu także specjalne, które gdzieindziej podsłuchał), obrady dowodzone nad stosunkiem sformułowania listy zakładników. Wywiązały się różne projekty. Podzielił się różne zdania — w... wahania, że może odpowiedzialność... spoczęć członków Komitetu, członków rady miejskich. Stało się jednak zanim zrozumiała trudność ich ostatecznie.

Równocześnie prez. Kiwerski oznajmił... na skutek kilku interpelacyj, co do grona ... sposobu wyboru ... co ponieważ on jest **sam zamierzał swoją osobą, na której** zasadzie spoczywa całk.wita odpowiedzialność sądzi, że nikt się wcale nie będzie mógł odmówić od stanu do dyspozycji dla przyszłości.

Rozdział V

Stracona pozycja

8 IX 1939, Wizna, godzina 6.45

Sztukasy spadły na pozycje odcinka Wizna, pikując przez poranne mgły. Rano, choć nie o świcie. Ich nadejście obwieszczał ponury głos syren, który paraliżować miał wszelką wolę oporu. Tymczasem zdradzał nalot z daleka, zapowiadał bombardowanie, jeszcze zanim złowrogie cienie szwabskich

ptaków pojawiły się na niebie. Później zniżały się kolejno z niskiego pułapu, mierząc w Kurpiki, w Górę Strękową, potem w Giełczyn i pozycję wysuniętą. Żołnierze byli już przyzwyczajeni, kulili się w okopach, wtulali głowy w słony nadnarwiański piach. Czekali, czekali, jak na kata...

Warkot motorów, którzy przebijał się przez wycie syren, był znakiem, że samolot wychodził z lotu nurkowego; wszyscy już nauczyli się, że teraz pozostaje tylko zaciskać pięści, dygotać, trząść się, że zaraz rąbnie bomba.

I wtedy rozbrzmiewał powtarzający się huk wybuchów, wytryskały rozgwiazdy wyrzuconego pyłu i ziemi, wytyczające drogę kolejnych bomb następującymi po sobie rozbłyskami.

Samoloty przemykały przez opary jak cienie, ale z powodu porannych mgieł nie trafiały celnie. Bomby spadły w pola i łąki koło Kurpik, pozostawiając nierówne linie lejów, które widziane z góry przypominały plamy po cieknącym atramencie. Uderzyły koło schronu we Włochówce, rąbnęły w Narew i domy w Górze Strękowej. Obramowały Giełczyn. Wszystkie chybiły, rezultat był taki, że niektórzy żołnierze z ósmej kompanii kapitana Schmidta, wstając z piasku, przecierali oczy ze zdumienia. Poranne mgły zmyliły lotników, zakryły stanowiska nieprzeniknionym, białym jak mleko płaszczem oparów. Narew i Biebrza broniły swoich obrońców samą naturą.

Razem z milknącym, odchodzącym na zachód odgłosem lotniczych silników narodził się hałas za rzeką. Setki samochodów, czołgów i pojazdów pancernych ciągnęły we mgle ku Wiźnie, Wierciszewu i do Niwkowa. Drogami przemykały całe kolumny czołgów znaczonych białymi krzyżami. Bokami dróg od Jedwabnego, Srebrowa, Zanklewa przemykały szybkie i zwrotne motocykle. A z tyłu jechały wolno najcięższe pancerne sztuki. Znacznie wyższe, roślejsze, jak byczki przy

cielakach. Uwagę zwracały krótkie, jakby ucięte lufy działek i wysokie kopuły obserwacyjne dowódcy na wieżyczkach. Niektóre przy boku wiozły związane linami pęki łoziny i ociosanych pni drzewek, całe kłody – do pokonywania bagien i błot.

Szerokie i niskie ciężarówki ze znakiem Mercedesa na chłodnicy podwoziły w tym czasie piechotę. Niemcy wysypywali się spod brezentowych bud, szybko i sprawnie formowali kolumny, posuwając się na wschód – polami, łąkami, bezdrożami. Część szła do Wierciszewa, przez Sambory, pozostali na Wiznę – do wysadzonego mostu. Wjeżdżali znowu do miasteczka, opuszczonego poprzedniego dnia po ostrzale polskiej artylerii. Ruch był jak w ulu.

W tym samym czasie część kolumn pancernych zaczęła stawać, zjeżdżać na pobocze, aby oczekiwać na swoją kolej, bo na brzegu rzeki zrobiło się tłoczno. Ustępowały miejsca artyleryjskim ciągnikom, otwartym, z odrzuconymi brezentowymi dachami. Z przodu wyglądały jak wielkie, wysokie ciężarówki, ale z tyłu jazgotały długie i ciężkie gąsienice. Na zaczepie prawie każdy holował masywną haubicę polową kalibru sto pięć milimetrów, z charakterystycznymi żelaznymi kołami obitymi gumą. Na górze ciągnika w dwóch przedziałach z ławkami siedziała spokojnie obsługa armaty.

Szły cięższe sztuki, powoli, majestatycznie przedzierały się przez mgłę, walcząc z piaskiem polskich dróg. Potężne ciągniki wlekły za sobą długie cygara ciężkich haubic, bez żadnych osłon ani blach, bo przeznaczonych do ostrzału z daleka. Każda zaopatrzona w podwójne łoża z lemieszami, które na stanowisku rozkładały się szeroko – jak nogi łatwej szwabskiej Berty. Ciężkie haubice piętnaście centymetrów, według miary niemieckiej. Używane do przerażającego, huraganowego ognia

na umocnienia i pozycje wroga. Jechały na Wiznę, ale stawały wcześniej, na otwartych polach za miasteczkiem.

I wtedy ryknęły silniki, ze zwieńczonych tłumikami rur wydechowych wydarły się kłęby spalin. Kilka wozów bojowych ruszyło z miejsca, najpierw powoli, z lufami działek i kaemów uniesionymi do góry, prosto do rzeki. Nabrały rozpędu, wjechały w srebrny nurt Narwi z takim impetem, że od ich czołowych pancerzy rozchodziły się skośne fale przyboju. Z rykiem i wizgiem silników wjeżdżały na drugą stronę, tworząc przyczółek obok poskręcanych, powyginanych filarów mostu. Z polskiej strony nie odpowiadał strzałami nikt.

Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 7.21

– Kapitanie, kapitanie! – wołał zdyszany porucznik Brykalski, ledwie wpadł do pokoju dowodzenia w schronie w Górze Strękowej. – Musisz to zobaczyć. Sam nie uwierzysz, chodź.

– Nie mógłbyś choć raz złożyć mi porządnego raportu? – Raginis przetarł czerwone ze zmęczenia oczy. – Co się stało?

– Niespodzianka. Chodź, proszę cię!

Kapitan włożył polową rogatywkę i przeszedł przez kręty przedsionek, wartownik zaraz otworzył mu pancerne drzwi schronu. Wyszedł na zewnątrz, do rowu łącznikowego, zatrzymał się przy stanowisku przeciwlotniczym, gdzie rzędem siedziała obsługa zapasowa trzeciej kompanii karabinów maszynowych, zajmując się nudnym i żmudnym taśmowaniem nabojów. A potem zamarł.

Za zasiekami stali Niemcy w garnczkowych hełmach, w szarozielonkawych mundurach. Było ich może ze dwudziestu, niektórzy dygotali z chłodu, bo noce były zimne, dni gorące. W pierwszej chwili Raginis po prostu w to nie

uwierzył, złapał za pistolet, bo zdawało mu się, majaczyło gdzieś w głowie, że wrogowie przyszli szturmować schron. Ale nie – Niemiaszki stały grzecznie, jak w kindersztubie, z rękami uniesionymi nad głową, pilnowani przez żołnierzy z karabinkami. Słońce nie rozpędziło jeszcze mgieł, więc Góra Strękowa była jak wyspa wśród oparów. Mgła osadzała się wilgocią na hełmach żołnierzy.

– Podarunek od Kiewlicza – mówił Brykalski, który wyszedł ze schronu tuż za Raginisem. – Złapał ich patrol, jak pobłądzili we mgle między zasiekami pod Wierciszewem. Po naszej stronie Biebrzy.

– Mówi ktoś po niemiecku?

– Ja mogę tłumaczyć – powiedział Brykalski.

Raginis wodził wzrokiem po obliczach wrogów. A więc to byli ci, z którymi miał skrzyżować broń, strzelać im w oczy; ci, co przyszli po polską ziemię, tak znienawidzoną przez nich, tak ośmieszaną i wyszydzaną, a jednocześnie, co dziwne, tak pożądaną. Prawdę mówiąc, nie wyglądali na mocnych. Przemoczeni, drżący, oblicza raczej podstarzałe, zmęczone budziły pytania. Kogo tu Hitler przygnał? Jakichś ojców rodzin? Gospodarzy? Parobków? Nie byli to młodzi i piękni chłoptysie z okładek niedzielnych wydań „Stürmera”. Prawdę mówiąc, w oczach kapitana budzili prawie litość.

– Powiedz, że mogą opuścić ręce – powiedział kapitan, a porucznik przetłumaczył.

– Jesteśmy pionierami Sto Sześćdziesiątego Pierwszego Pułku Piechoty Landwery! – odpowiedział starszawy feldfebel. – Brygada Forteczna „Lötzen”. Panie oficerze, czy można zapalić? Zimno tutaj.

– Zanim zapalicie, proszę powiedzieć, gdzie są pozycje waszej jednostki.

– Za rzeką, w pobliżu Wierciszewa, Rusi i Sieburczyna. Wysłano nas na rozpoznanie waszych linii. Wszystko, co wiem. Czy można już...

– Nie można – przerwał mu brutalnie Brykalski. – Proszę odpowiadać na dalsze pytania. Z kim graniczy wasza brygada? Jakie jednostki obsadzają Wiznę i przyczółek mostowy?

– Nie jestem oficerem – powiedział feldfebel – jednak... z tego, co słyszeliśmy, stoi tam nasza Dziesiąta Dywizja Pancerna generała Schaala. Przynajmniej sto pięćdziesiąt czołgów. Panie oficerze, dobrze panu z oczu patrzy, więc mówię szczerze: poddajcie się. Idąc tutaj, widziałem wasze bunkry tam, na dole. – Pokazał ręką w kierunku Giełczyna. – Nie macie broni przeciwpancernej, a wasze pozycje, choć przemyślane, są płytkie.

– Panie podoficerze, proszę mi powiedzieć: o co pan walczy?

– O przestrzeń do życia dla Niemców.

– A my bronimy wolności. Każdy z nas bije się o to, czego mu brak. Proszę, może pan zapalić.

Raginis przyjrzał się uważnie Niemcowi. Żaden tam blond fanatyk ze snów namiętnej walkirii, ze czterdzieści, może więcej lat, ponura, pobrużdżona twarz. Uśmiech jak u grabarza.

– Nie chciałbym filozofować, ale nie utrzymacie się, panie oficerze – powiedział tamten, zaciągając się papierosem Juno bez filtra. – Słyszałem, że ma nam przyjść z pomocą cały korpus pancerny generała Guderiana. Dziś jeszcze ich nie ma, ale jutro...

– Sierżancie – Raginis nie słuchał więcej Niemca, lecz zwrócił się do dyżurnego podoficera – proszę wyznaczyć dwa patrole z odpoczywających ludzi, żeby odprowadzili jeńców do Osowca. Jak najszybciej. Przed wyjściem – zawahał się – dajcie im coś zjeść. Niech się udławią Szwaby!

Jeńcy palili, przypalając papierosy jeden od drugiego. Dziękowali mu chrapliwymi głosami. W sumie nie tacy straszni byli ci poranni Niemiaszkowie.

Armatni wystrzał, przytłumiony przez mgłę, przeszył ciszę jak grom. Podnieśli głowy wszyscy, obejrzeli się.

– Na stanowiska! – zakomenderował Raginis. – Zabierzcie ich, sierżancie. I połączcie z pozycją wysuniętą!

Zniknął w schronie, Niemcy ruszyli, popędzani przez wartowników. Tylko poczet kapitana siedział za plecami obsługi przeciwlotniczego kaemu, siorbiąc ciepłą zbożówkę z menażek.

– Opowiedziałbyś co śmiesznego, sljedziku – mruknął Subota do Jarmulika.

– Nie mam chęci, odwal się – burknął starszy strzelec. Od kiedy zabili Gierszułła, przestał tryskać dowcipem.

– Przychodzi Białystok do lekarza, a lekarz... też Białystok – zażartował Subota.

– Stare i z brodą jak u starego Żyda. Paszoł ty w bołoto, rubszycu!

Wizna, godzina 9.49

Niemieckie armaty rozerwały ciszę i mgłę na strzępy. Najpierw pojawiły się błyski za skrzyżowaniem dróg prowadzących z Jedwabnego do Wizny i przez zrujnowany most do Strękowej Góry. Potem pociski zaczęły spadać prosto na okopy pomiędzy Włochówką a Sulinem. Waliły z góry w zasieki, wyrzucając ogromne gejzery ziemi, rozrzucając z gwizdem kamienie, kawałki drewna, splątane zwoje drutu kolczastego. Żołnierze kryli się w rowach, w ziemiankach, przyciskając osłonięte hełmami głowy do ziemi, zaciskając pięści, pobladłe wargi. Blisko! Działa, na razie chyba zwykłe polowe haubice, czyli

stopiątki, macały tymczasem po brzezinach i olszynach. Biły w Strumiłowo, potem niespodziewanie przeniosły ogień na drogę, wybijając dziury i kratery w wybrukowanej kamieniami nawierzchni. Kilka trafiło w okopy, na szczęście jeszcze bez strat. Ogień przenosił się z miejsca na miejsce – na południe. Rąbnął we Włochówkę, koło schronu kaprala Władysława Pawlaka, a potem uderzył w wieś. Pociski rozrywały się w opustoszałych zagrodach, trafiały w chałupy, które rozlatywały się od wybuchających granatów. Wnet zapłonęły pierwsze ognie, strzechy zajęły się ciężkim, ledwie widocznym płomieniem, który buzował gdzieś na poddaszu, wyrzucając w górę czarne kłęby kwaśnego dymu, był jak zasłona.

Z cichym, rwanym dygotem zastartowały silniki czołgów koło mostu. Z wyciem i metalicznym pogłosem ruszyły niemieckie dwójki i jedynki, wjeżdżały po kolei w rzekę, przebywały ją, dołączając do kilku strzegących przyczółka po polskiej, wschodniej stronie Narwi.

Przejechać rzekę – to tylko kilka minut. Panzerwageny zaraz zaczęły odchylać się do tyłu, wyjeżdżając na stromy, piaszczysty brzeg po drugiej stronie. A potem wspólnie brały stromy nasyp – groblę drogi dochodzącej do mostu. Pierwszy zatrzymał się na chwilę na górze, karabin maszynowy zastukotał przeciągle, waląc po zasiekach, po zaporach czołgowych.

Osłonił kolejne wozy, które wjeżdżały na wyniosłość, jednak dowódcy zorientowali się chyba, że sama droga przegrodzona była zaporami, zmienili więc kierunek – ruszyli dołem, do przejazdu zagrodzonego zasiekami. Pierwszy, drugi, trzeci – czołgi wjeżdżały z pędem w kolczaste druty, łamały kozły, rozdzierały przeszkody, kręcąc się w miejscu.

Pogłos motorów uderzył w żołnierzy kryjących się w okopach i schronie koło Włochówki. Nagle, zupełnie niespodziewanie, ujrzeli przez szczeliny obserwacyjne w kopule wynurzające się

powoli z nadnarwiańskich zarośli zdobione białymi krzyżami wieżyczki, cienkie lufy działek i cekaemów. Czołgi szły na nich od Wizny, Niemcy dobrze oznaczyli bród na końcu odchodzącej od rynku drogi, którym zwyczajnie mógł przejechać wóz z końmi. Kolumna pancerna rozpraszała się na obszernych płaskich łąkach, zalewanych zwykle na wiosnę przez Narew. Najpierw wjechała w pierwszą linię zasieków, zaczęła rwać je, niszczyć, rozjeżdżać; potem ruszyła nieniepokojona na południe i północ, robiąc szerokie przejście.

Z tyłu, w Wiźnie, długą ulicą prowadzącą na południe koło wiatraka szła już kolejna kolumna pojazdów pancernych, mierzyła tylko w jeden punkt – bród i przeprawę pod Niwkowem na kierunku Grądy-Woniecko.

Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 10.09

– Przejechali rzekę czołgami. – Kapitan Raginis wstrząśnięty oderwał lornetkę od oczu. – Powinniśmy się byli tego domyślić...

– Woda opadła. Nie może być inaczej – wykrztusił Brykalski, który wspólnie z kapitanem śledził rozwój sytuacji z kopuły obserwacyjnej. – Jednak nie przeprawią ciężarówek z ropą, a bez nich czołgi daleko nie odjadą.

– Jeśli bagno Wizna też nas nie osłoni, zrobi się gorąco – powiedział cicho dowódca.

– Zgłaszam gotowość do otwarcia ognia i wsparcia pozycji wysuniętej – zameldował Brykalski.

– Zdradzisz stanowiska... przedwcześnie. Obserwuj Szwabów... – Raginis zszedł po żelaznej drabince niżej, zajrzał do komory dowodzenia. – Łączcie z porucznikiem Zawadzkim.

Ujął słuchawkę, odczekał, aż zamelduje się dowódca pierwszego plutonu.

– Tu Raginis. Poruczniku, pamiętajcie o ściągnięciu ubezpieczenia i patroli znad rzeki. A, już ściągnięte, dziękuję. W takim razie otwierajcie ogień z bliska. Trzymajcie się. Jesteśmy z wami, powodzenia.

Odłożył do pudła słuchawkę polowego telefonu i szybko – tak, żeby nikt go nie zobaczył – przeżegnał się.

Schron we Włochówce, godzina 10.09

Czołgi nie szły do zwarcia, kapral Pawlak widział je wyraźnie z kopuły obserwacyjnej. Rozstawiły się w luźnym szyku i nagle dały ognia. Zaczęły strzelać z cekaemów, pruć z działek, bez końca, bezustannie. Widział, jak na przedpolu schronu tryska w górę ziemia, piach i kamienie, jak wściekłe serie uderzają w beton, przechodzą przed i nad linią okopów. Jak wyrywają kawałki drewna z palików drugiej linii zasieków. Raz i drugi zadrżała pancerna kopuła.

I nagle cisza, tylko ten daleki, stłumiony pogłos motorów, kanciaste kształty stojące na przedpolu jak złe cienie.

– Idą! Idą! – krzyczał ktoś.

Kapral przyłożył lornetkę do oczu, prawie wbił okulary w oczodoły, wodził nią od jednego czołgu do drugiego; powiedzieć, że zachowywał spokój, byłoby nieprawdą – był cały rozdygotany, drżący.

I nagle coś się zaroiło wokół wozów bojowych. Mrowie ludzi, rozpraszających się, biegnących. Piechota! Jedna drużyna kryła drugą. Przeskok, kilka kroków, padała, wyciągając lufy karabinów w stronę ich pozycji. Wtedy ruszała następna.

– Piechota – powiedział drugi obserwator. – Melduję, piechota na nas naciera.

– Szykować się! – wrzasnął ktoś w bunkrze.

– Spokój! – krzyknął Pawlak w głąb schronu. – Karabin pierwszy, celownik strefa dwa. Karabin drugi, cel przedpole i Smolarze.

– Widzę!

– Widzę! – zameldował drugi celowniczy.

– Karabin pierwszy, celownik sześćset. Drugi – dziewięćset.

– Gotów, gotów!

– Czekać na sygnał! Niech wejdą do stref. Wtedy ogień ciągły, karabin pierwszy pogłębiany! Powtórzcie! Poszerzany!

– Tak jest. Gotowy!

– Karabin drugi, ogień poszerzany. Powtórzcie!

– Tak, zrozumiałem! Poszerzany!

Niemcy już szli, nacierali trochę chaotycznie, czasem zbijali się w zbyt duże gromady, będące na tych bezkresnych łąkach świetnym łupem ciężkich karabinów maszynowych. Szli na całym froncie – od wysokości Włochówki aż po drogę i most. Gdzieś od pozycji w rejonie Sulina rozległy się pierwsze strzały, jak trzaski...

Coraz bliżej nierównomiernie rozsiane, zlewające się z otoczeniem szyki szarych mundurów, poszarpane linie hełmów; już sekcje erkaemów przenoszą skokiem długie, cienkie lufy, osłaniając piechotę!

Silniki zawyły znowu, jakby pancerna armada chciała ruszyć za piechotą, ale – Pawlak widział to wyraźnie – nawet nie drgnęła z miejsca. To tylko z tyłu podjeżdżało kilka samochodów pancernych. Bali się! Chociaż okryci pancerzami, bali się wystawiać je pod ostrzał schronów. Może myśleli, że jest tu Bóg wie jaka obrona przeciwpancerna.

Usłyszał jakiś hałas na dole, ktoś walił w pancerne drzwi w umówiony sposób, a potem, kiedy wartownik je otworzył, wpadł do środka, dławiąc się krzykiem.

– Taaaanki! Taaaaanki idą! Otwierajcie! Dajcie!

– Stój! Stój!

– Panie kapralu! – wrzeszczał ktoś. – Panie kapralu! Rozjadą!

– Co tam się dzieje?!

– Kapralu, tutaj! Do nas!

Znów obezwładniający ryk silników, ale żaden z czołgów nie rusza się z miejsca, stoją daleko, poza zasięgiem strzałów. Na dole wzrasta panika, słychać krzyki.

Zeskoczył z metalowego podestu, prawie zsunął się po stopniach do komory pierwszego, prawego karabinu maszynowego, obsługiwanego przez dwóch strzelców. Drzwi do korytarzyka były otwarte, a przed kolejnymi – zamkniętymi i wiodącymi do komory nabojowej – zobaczył dwóch żołnierzy z obsady karabinu przeciwpancernego. Z jednym z nich szarpał się wartownik. Pawlak przyskoczył bliżej, popchnął któregoś, próbując ich rozdzielić. Cofnęli się.

– Dawaj pan naboje do karabinu! Tanki idą! Rozjadą! Nic nie mamy!

– Odstąpcie! Precz od komory!

– Jak się mamy bronić przed tankami!?!

– Mówiłem, jest dwanaście! Dwanaście, rozumiecie... nabojów! Nie można, kurwa! Ludzie, nie można ich tak po prostu zmarnować!

– Kiedy tanki!

– Nie idą! Patrzcie, wytrzeszczajcie gały, stoją nad rzeką. Jak pójdą, sam wam przyniosę te cholerne naboje.

Tamten nie ustępował. Szarpnął za klamkę pancernych drzwiczek, walił w nie, jakby w komorze amunicyjnej ukryte było lekarstwo na wszystkie choroby świata. A wtedy w kapralu Pawlaku coś pękło. Jednym ruchem wyrwał z kabury służbowy pistolet, podsunął tamtemu pod żebra.

– Kurwa wasza w dupę jebana mać! – ryknął. – Baczność! Starszy strzelec! Co wy, kurwa, sobie myślicie! Na stanowisko!

Albo wam łeb rozwalę!

– Niemcy idą!

Strzelanina, palba wokół bunkra, Pawlak czuł, że ręka mu drży coraz mocniej, dlatego zwolnił palec ze spustu. Chwilę mierzyli się wzrokiem – patrzył w czerwone, głęboko osadzone oczy na poczerniałej, brudnej, zabłoconej i zakopconej twarzy starszego strzelca. Wygrał.

– Nie ma żadnego ataku tanków! W tył zwrot! Odmaszerować! Na stanowisko!

Nagle, jakby w nim pękła jakaś struna, tamten zasalutował. Obrócił się i wyszedł, pociągając za sobą kolegę.

– Zamknij te drzwi, do cholery! – wrzasnął kapral do wartownika. – I następnym razem patrz, kogo wpuszczasz!

– Melduję: Niemcy mijają schron! Odległość sto metrów! – podawał z góry obserwator.

– Na stanowiska! Wypatrywać! Przygotować się – krzyczał kapral, gnając na górę po drabince. Od razu wyjrzał przez prawy otwór, zobaczył pofalowane szeregi niemieckiej piechoty tak blisko, że gołym okiem prawie widział już hełmy, karabiny, szczegóły, jak okrągłe, podłużne, bruzdowane żelazne pojemniki na maski.

Drużyny, całe plutony szły skokiem, kryjąc się wzajemnie. Krok za krokiem wchodzili w pole rażenia krzyżowego ognia między schronem we Włochówce a niewykończonym bunkrem przy drodze. Dalej zatrzymać ich miała kolejna linia zasieków między Włochówką a Sulinem. Za nią był rów strzelecki ze stanowiskami erkaemów, z żołnierzami kulącymi się nisko, płasko, by nie pokazywać się wrogowi, czekać na sygnał. W krótkim przebłysku Pawlak docenił myśl kapitana Raginisa, aby odsunąć zasieki z linii ognia na wschód – aby utrudnić podejście, bo Niemcy wejdą w strefę ognia, jeszcze zanim zalegną przed zasiekami.

– Karabin jeden... Otworzyć ogień.

I chwytając za ramię celowniczego cekaemu numer trzy w kopule, powiedział jasno i dobitnie:

– Wy jeszcze, Józuś, nie...

Cekaem wz. 30 zabił mocnym, równym, zjadliwym werblem śmierci. Walił od boku, flankując nacierających z południa i od szosy. Nagle przebudziła się cała linia bojowa. Schron we Włochówce, stanowisko przy szosie, rowy strzeleckie zaroiły się od piechoty, na stanowiskach wysunęły się długie, rozszerzające się lejkowato lufy erkaemów.

Nawała ognia nakryła wroga, zdawać by się mogło, że nie ma miejsca, nie ma nawet małego skrawka terenu i przestrzeni, który byłby wolny od przeszywających na wskroś powietrze grotów śmierci. Niemcy zaczęli padać, kiedy szarpały ich na strzępy kule obrońców Wizny. Zaskoczeni w pół kroku, na kolanach, w marszu. Nagle na ciałach wykwitały krwawe piętna, rwąc żywą tkankę prawie w kawały. Inni walili się na trawę, gdzie dygotali przez chwilę albo krzyczeli, jęczeli, wzywając towarzyszy.

– *Hinlegen!*[5]

– *Sanitäter! Hilfe! Sanitäter...*[6]

Zalegli od razu w polu ostrzału. Nie mogli się poderwać, nieliczni próbowali pełznąć naprzód, ciąć nożycami i tak już poszczerbioną linię drutów. Erkaemy z okopów waliły do nich z miarowym stukotem, ciężkie karabiny z bunkrów pruły bez końca.

Próbowali obejść schron kaprala Pawlaka – z południowego skrzydła, od Smolarzy. Rowy wprawdzie szły tam dalej, ale wyginały się w łuk ku bagnom. Obserwatorzy widzieli, jak podoficerowie pokazują na schron, jak określają jego położenie, a potem zaganiają swoich strzelców łukiem, aby go obejść od południa; przebiegając tak, by pełzając, przeciąć linię ognia.

Kapral Pawlak poczuł, że wszystko dzieje się za szybko i za daleko – jakby za szkłem. A jednak wykrzykiwał komendy wbite w głowę na ćwiczeniach – jak automat, sam z siebie.

– Karabin dwa! Cel strefa czwarta!

– Widzę!

– Poszerzanym na wprost, ognia!

Cekaem z lewej komory ugodził Niemców boleśnie. Nagle rozbłysnął ogniem z wnęki, osłoniętej od rzeki występem betonowej konstrukcji. Bił z lewego boku, zmuszając wrogów do padnięcia, rozsypania się, szukania schronienia między przyciętymi nisko kępami łoziny i rokity.

– *Zurück! Alle zurück!*[7] – zabrzmiało.

Tych, którzy zapędzili się za daleko, prawie pod okopy, wyławiał krótkimi seriami erkaem z drugiej, ustawionej skośnie, schodkowej, przeciwrykoszetowej strzelnicy. Bił oszczędnie, punktował, wyjmował coraz to nowych nieproszonych gości w szarawych hełmach, posyłał ich na wieczną defiladę, zwiększając poczet oczekujący w piekle nadejścia Hitlera, Ribbentropa i Göringa.

Niemcy wycofywali się – czołgali pod ogniem, rozpełzali, znikali między kępami trawy. Czołgi znów zaczęły strzelać – Panu Bogu w okno. Kule przelatywały nad okopami i zasiekami, w najlepszym razie grzęzły w obsypanej ziemią i umocnionej kamieniami tylnej ścianie schronu.

Widząc, że nieprzyjacielskie drużyny wychodzą ze strefy krzyżowego ognia i czując się bezpiecznymi, wstają i odbiegają w podskokach, kapral Pawlak puścił ramię celowniczego cekaemu w kopule, wskazał strzelnicę numer trzy i powiedział:

– Wal, Józuś, po nich, wal szerokim ile wlezie!

Celowniczy od razu nastawił kaem. A potem wypruł długą serię. Pruł, ścigał, gonił kulami uciekających, strzelając

szerokim ogniem, to znaczy wodząc równomiernie lufą w prawo i w lewo po całym polu ostrzału.

Niemcy pękli. Złamali się, zamiast zwykłego, uporządkowanego odwrotu wieli grupami i pojedynczo, mieszając szyki plutonów, uciekali schyleni, przewracali jeden drugiego, ścigani kulami szybszymi niż myśli. Wśród czołgów, samochodów wszczęło się zamieszanie – podjeżdżały bliżej, zmieniały stanowiska, próbując osłonić własną piechotę ogniem. Lecz blisko do bunkrów podejść nie zdołały.

I wtedy Pawlak zrozumiał, patrząc przez lornetkę na pierzchających Niemców, że z pierwszej rundy walki wyszli zwycięsko!

Dopiero teraz poczuł mdłości, doszedł do niego smród spalonego prochu. Schron był pełen dymu i oparów, na górze, w kopule, było jeszcze znośnie, ale z dołu słyszał jęki, kaszel i krzyki obsługi kaemów.

– Otwórzcie drzwi! Dusimy się!

Smród był okropny, dławił, targał trzewiami, wywoływał torsje.

– Dyżurni do wentylatorów! Pompować – krzyczał kapral, ale głos uwiązł mu w gardle. Zasłonił usta rękawem bluzy i zeskoczył na dół, wpadł w gęste, białawe i sine opary, otworzył drzwiczki do komory obok składu amunicji, gdzie wiły się rury wentylacyjne, sam chwycił za korbę! – Kręcić! Kręcić!

– Nie działa – charczał ktoś.

Jedyny wentylator, jaki mieli, stary grat, przysłany z Łomży, nie działał! Dokoła żołnierze zataczali się i tarzali w wymiocinach.

– Otworzyć drzwi!

Dopiero teraz uderzył w nich podmuch świeżego powietrza. Zgięci wpół, kaszlący, rzężący, wychodzili z bunkra nie jak zwycięzcy, ale pokonani.

Pododcinek Giełczyn, godzina 11.46

– Czekać – mówił porucznik Kiewlicz z lornetką przyciśniętą do oczu. – Już są blisko, zaraz wejdą w szkodę.

Niemcy szli – na razie piechota – forsowali Biebrzę na łodziach i w bród. Wyskakiwali na brzeg i rozsypywali się w długie gromady na bezkresnych łąkach pod Gacią i Giełczynem.

Coraz bliżej, krok za krokiem.

– Wszystkie stanowiska, ognia!

Schron rozbrzmiał strzałami, hukiem wystrzeliwanych z piorunową prędkością serii. Obie wnęki chronione przez kanciaste, schodkowe strzelnice zabłysły ogniem serii. Na północ, w stronę Kołodziejów, walił cekaem z prawej komory, na południe dwa ustawione obok siebie – z lewej. Karabin w kopule pancernej milczał.

Niemcy zalegli, nie zgrywali zuchów, żeby podchodzić bliżej. Nagle ku linii okopów poleciało kilka granatów, wybuchły, wyrzucając w górę grudy błota. Nieprzyjaciel zaległ, odpowiadając pojedynczymi ognikami strzałów.

– Przerwać ogień! – rzucił Kiewlicz. I do słuchawki telefonu: – Giełczyn, ognia!

Teraz odezwał się milczący dotąd schron na południe od Gaci. Szył skośnie, osłaniając południową stronę głównego bunkra dowodzenia pododcinka.

Niemcy nie próbowali kontratakować. Cofali się powoli, pod ogniem; na tym odcinku nie mieli wsparcia – samochody pancerne nie przejechały przez bród, a artyleria stała za rzeką, nie mogła zresztą strzelać, bo raziłaby swoich.

– Cofają się! Dostali łupnia! – powiedział sierżant Murachwa.

– To tylko manewr, atak pozorowany – mruknął Kiewlicz. – Tfu, do diabła! Otwórzcie drzwi, bo się podusimy.

Starczyło kilka minut, aby powietrze stało się nie do zniesienia, a może byli nieprzyzwyczajeni. Schron nie miał żadnej wentylacji poza pustymi kanałami.

– Otworzyć drzwi, wynieść kaemy do okopów! – rozkazał porucznik. – Kto tam, do diabła, jeszcze strzela?!

– Porucznik Szopa z Kołodziejów!

– Do diabła, łączcie! Natychmiast przerwać ogień! – wrzasnął do słuchawki. – Ile razy mam powtarzać?! Zdradzacie stanowisko. Bądźcie wreszcie rozumniejsi niż gówno na szczotce!

Rzucił z pasją słuchawkę telefonu polowego i obrócił się do sierżanta Murachwy.

– Ci oficerowie rezerwy – powiedział z pasją – a przede wszystkim ci z ósmej kompanii powinni najpierw zapierniczać tydzień ze skrzynką granatów po poligonie, zanim da się im pod komendę choćby drużynę czyścicieli latryn!

– Tak jest! – wycharczał Murachwa. Dla niego schron cuchnął gorzej niż niejedna latryna polowa.

Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 12.44

– Potwierdzam wycofanie Niemców z Włochówki i Sulina – nadawał do telefonu porucznik Zawadzki. – Utrzymują ciągle przyczółek mostowy po naszej stronie, poza tym są w Wiźnie. Na drogach do mostu widzimy zmotoryzowane kolumny wroga. Natarcie na Włochówkę odparte ogniem kaemów.

– Dziękuję, trzymajcie się.

– Panie kapitanie – wykrzyczał porucznik – to ważne, bardzo ważne! Niemcy budują most! Patrol widział pionierów po drugiej stronie.

– Przyjąłem.

– Melduję, że Niemcy wycofują się za rzekę po przeprowadzonym rekonesansie. Zapewne ustalili położenie naszych schronów. Rozważam przejście do obrony w okopach – meldował za chwilę porucznik Kiewlicz.

– Zrozumiałem. Dziękuję.

Raginis odłożył słuchawkę i podszedł do drabinki prowadzącej do lewej kopuły obserwacyjnej, zadarł głowę.

– Stasiu, otwieraj ogień. Niemcy się cofają. Ogień na most! Zaraz! Już.

Na górze Brykalski od razu chwycił za telefon, zakręcił korbką induktora.

– Bateria do dział! – zakomenderował. – Punkt celowania przyczółek mostowy po naszej stronie. Pierwsze działo krąg dwadzieścia, bęben szesnaście. Rozwiń o dwa.

Wyczekał, aż dowódcy plutonów, zaczynając od prawego, powtórzą odchylenia dział, a podporucznik Buczyński, komenderujący całą sześciodziałową baterią, upewni się, że nie ma omyłki.

– Gotów!

– Po trzy ognia, skokami w tył!

– Gotów.

– Od działa! Pal!

Działa na stanowiskach w lasku za Górą Strękową, zarówno cztery stare prawosławne siedemdziesiątkiszóstki, jak i dwie nowocześniejsze, bo przekalibrowane do siedemdziesięciu pięciu milimetrów, armaty z plutonu artylerii 71. Pułku Piechoty, zaczęły dawać ognia. Lufy leciały w tył z miękkim, przejmującym pogłosem. Raz, dwa, trzy, cztery... sześć. Brzęk wypadających łusek, komendy oficerów.

I wtedy Niemcy czekający w wozach bojowych na przyczółku po wschodniej stronie Narwi zaczęli umierać.

Pociski spadały z nieba: granaty półpancerne AL R/2, wybuchające z głuchym hukiem po uderzeniu w ziemię lub przebijające stal przy trafieniu w pancerz. Pierwsze dwa spadły niecelnie, kolejny rąbnął w bok wychylonej do przodu dwójki, rozrywając gąsienicę, rozcinając bok wieży, gnąc żelazo jak masło!

Ryknęły silniki, pancerniacy, którzy wychyleni z włazów ćmili papierosy, znikli jak zdmuchnięci. Czołgi zaczęły się cofać, zawracać, wjeżdżać w rzekę. Podniósł się krzyk, z półotwartych włazów górnych i tylnych wieżyczek pokazywały się blade oblicza podoficerów, machających, pokazujących znakami drogę odwrotu.

Pociski spadały – jeden za drugim, bez końca, bez litości. Rąbały w czołgi, w stalowe elementy mostu, rozrzucając żelazne kawałki przęseł, które cięły i waliły jak odłamki szrapnela.

Wozy niemieckie z rykiem i wizgiem wjeżdżały znowu do rzeki, pozostawiając tylko jeden samochód pancerny i dwa samochody na przyczółku. Wracały na drugi brzeg, ścigane gwizdem nadciągających od strony Góry Strękowej granatów. Jeden stłumiony wybuch, drugi, trzeci.

I wreszcie granat rąbnął z góry w silnik zanurzonego w wodzie czołgu. Wóz zatrzymał się, zanurzony prawie po szczyt pancerza, wypuścił strugę dymu, znacznie grubszą, kiedy otwarły się włazy z przodu i z góry – a z wnętrza doszły jęki i wrzaski.

– *Hilfe! Hilfeee!*

Nikt nie skoczył im na pomoc. Piechota była na drugim brzegu. Brykalski zmienił pociski, teraz walił zwykłymi stalowymi granatami z zapalnikami natychmiastowymi.

– Po cztery oddajcie. Ogień skokami w przód. Celownik dwa czterysta! Pal!

Brzeg po niemieckiej stronie przed chwilą pełen był półnagich, uwijających się pionierów z odkrytymi głowami lub w furażerkach. Wbijali świeże drewniane pale w nurt rzeki, przygotowując się do przerzucenia prowizorycznego mostu. Pociski Brykalskiego spadły na nich jak grom, rozpędzając ich w cztery strony świata. Najpierw wybuchły bowiem za daleko – przy grobli, wśród elementów mostu. Potem rąbnęły w rzekę, zawracając tych, którzy usiłowali odskoczyć w srebrzyste nurty Narwi.

Podniósł się krzyk, pionierzy pędzili do samochodów na brzegu, część wskakiwała do bud, inni biegli ku szosie. Granaty nie dały im szansy – wybuchły na drodze, trafiły w stosy materiałów – belek, desek, krawężników, wyrzucając je w powietrze, kręcące się i potrzaskane. Zmusił pionierów do krycia się w rowach i dołach, do szukania osłony za skarpami.

Grom rąbnął z nieba bardzo blisko. Jeden, drugi, trzeci. Zapalił ciężarówkę, która ruszyła z płonącą skrzynią, przejechała jakieś sto metrów, wpadła do rowu, przewracając się na bok. Z błyskiem i głuchym hukiem zapaliły się kanistry z benzyną, ktoś wrzeszczał, pionierzy wieli znad rzeki.

Osiem kilometrów dalej, w kopule obserwacyjnej schronu GG-126, porucznik Brykalski oderwał lornetkę od oczu i spokojnie rozkazał do telefonu:

– Od prawego baterią! Celownik osiemnaście. Po cztery ognia!

Celowniczowie wprowadzali poprawki, zamkowi, kręcąc korbami celowników, zmieniali kąt podniesienia luf i obracali działa bardziej w prawo. Sześć luf prawie jednocześnie podniosło się i obracało, mierząc w niebo czarnymi oczkami na końcu. A spod kopuły od porucznika Brykalskiego sypały się następne rozkazy:

– Od prawego do lewego, schody! Celownik dwa osiemset!

Działo skrzydłowe nastawiało celownik według podanych wskazówek, a każde następne powiększony o sto metrów. Wszystko to oznaczało, że pociski spadną w odstępach, jeden za drugim, nie tworząc szerokiej zapory, ale linię.

– Po dwa oddajcie. Ogień skokami w przód!

– Gotów!

– Od działa! Pal!

Armaty zaczęły się szarpać na oporopowrotnikach, wyrzucając śmierć. Jedna po drugiej, kolejno, poczynając od prawej prawosławnej siedemdziesiątkiszóstki, kończąc zaś na siedemdziesiątkachpiątkach z baterii Buczyńskiego.

Pociski pomknęły górą, nad Sulinem, drogą, wysadzonym mostem, nad przyczółkiem i...

Spadły na drogę z mostu do Wizny!

Uderzyły prosto w stojące na poboczach, czasem ukryte za krzakami czołgi i ciężarówki z piechotą czekającą na podciągnięcie w stronę przeprawy.

Znów wrzaski, krzyki, gorączkowe komendy. Czołgi zjeżdżały na boki, uciekały w pola. Ciężarówki próbowały zawracać, żołnierze zeskakiwali w biegu, kryli się w rowach.

Znów świst, pociski padały kolejno, jeden za drugim, grzmot, huk wybuchu, ogromny krzak wyrzuconej ziemi, strzępy drewna, metalu. Po nim drugi, trzeci, czwarty i piąty...

Jak uciekająca, rozbiegająca się na boki fala w łożysku rzeki, tak niemiecka piechota zmotoryzowana rzuciła się na pola po obu stronach drogi.

Grzmot, niski, porażający huk wybuchu. To zapłonęła ciężarówka z amunicją.

– *Hinlegen! Hinlegen!*

Trzask, strzały, kiedy zajmowały się skrzynki z nabojami, siekąc po wszystkim dookoła pociskami, z brzękiem odbijającymi się od pancerzy czołgów.

Błysk! Pocisk wali w uciekający ciężki, wielki czołg z krótką lufą, podrzuca go w górę, rozwalając lewy bok razem z gąsienicą. Pojazd skręca w lewo, zaczyna kręcić się w kółko, pozostawiając smugę dymu...

I wtedy Niemcy odpowiedzieli. W polach po północnej stronie drogi, między Męczkami a Rusią, nagle zabłysły ogniki wystrzałów. Jeden, drugi... czwarty. Dziesięcioipółcentymetrowe, kanciaste haubice zaczęły się szarpać jak psy na łańcuchu, celując uniesionymi lufami prosto w Strumiłowo i w polski brzeg Narwi. Już w locie pociski rozminęły się z polskimi granatami, przemknęły nad bagnami, błotami, łąkami, zniżając lot coraz bardziej...

I rozerwały się w laskach, na drodze między Strumiłowem a Kurpikami. Ciężkie wybuchy, wyrzucające w górę drzewa, łamiące konary, przewracające pnie młodych sosen. Do pierwszej baterii przyłączyła się zaraz i druga, potem trzecia – znad Wizny. Pociski biły we Włochówkę, znów w drogę, w Kurpiki, macały na ślepo okolicę, chcąc namierzyć wrogą baterię, która okazywała się tak dokuczliwa.

Brykalski śledził to wszystko z kopuły, przekrwionymi szarymi oczyma.

– Bateria! Zmniejszyć o dziesięć! – zakomenderował.

Wręczyciele podrywali z ziemi ogony dział, przestawiali je o kąt podany przez celowniczych, potem dobywali kolejne granaty ze skrzynek.

– Salwa, celownik trzy sto! Od działa! Pal!

Ciąg błysków prawie w jednej chwili, jakbyś orzech zgryzł. Granaty walą w brzeg Narwi, w pola pod Rusią! Lecz Niemcy zwijają się jak w ukropie, chłostani głosem komend podoficerów, także ze słuchawkami przy uchu. Pędzą do ciężarówek, wyciągając z nich srebrzyste groty pocisków.

Błysk, szereg odpaleń. Artyleria wali w lasy, w Giełczyn, w brzegi rzeki pod Górą Strękową. W las za baterią.

– Celownik trzy siedemset, krąg dziesięć! Salwą! Pal!

Brykalski odpowiada. Błysk dział, łagodny, wstrząsający ziemią huk wystrzałów. Pocisk uderza w pole prawie przy samych okopanych samochodach z pociskami. Przewraca pokotem wręczycieli, uderza podmuchem w niemiecką armatę, zmuszając obsługę do szukania schronienia. Kolejny wyrzuca w górę tonę ziemi, inny rozwala nasyp. Następne wybuchają za stanowiskami, podnosząc chmurę kurzu. Pocisków jest jednak tylko pięć.

– Armata numer trzy nie wystrzeliła! – krzyknął w słuchawkę podporucznik Buczyński.

– Sprawdzamy właśnie... Zacięcie opornika. Lufa nie wraca!

– Sprawdziliście miernik?

– Melduję, miernik wszedł do gniazda.

– Wyłączyć z walki! Sprawdzić działanie wodzideł. Meldować dalej.

– Cholerny grat! – krzyknął Brykalski, odkładając słuchawkę. – Na szmelc z takimi działami, nie w pole!

– Panie poruczniku – powiedział drugi obserwator – proszę posłuchać... Nie strzelają!

Faktycznie, nie dochodziło do nich dudnienie armat zza Narwi. Słyszeli tylko stłumione, narastające odgłosy wystrzałów pięciu pozostałych dział za Górą Strękową.

I nagle na zachodzie narodził się cichy, narastający odgłos silników lotniczych.

Brykalski porwał za słuchawkę.

– Przerwać ogień! Odbój. Od dział! Schronić się!

Wycie było już coraz bliżej, w okopach wokół schronu wstał na chwilę zamęt, słyszeli głosy:

– Lotnik! Alarm lotniczy!

A potem był tylko narastający gwizd, przeklęte wycie spadających z nieba samolotów, jak upiorne ptaki. Głośne, przeszywające.

Zastukał z boku cekaem, poczciwy stary wz. 30 na podstawie przeciwlotniczej. Nic więcej nie mogli zrobić, jedynie czekać, jedynie trwać.

Brykalski przycisnął się plecami do pancernej ściany pomiędzy dwoma otworami obserwacyjnymi. Wycie narastało, coraz silniejsze, drwiące ze wszystkich wysiłków załogi Góry Strękowej i głównej pozycji.

Lodzia, przemknęło mu przez głowę. Na pewno jest bezpieczna. Zeszła do schronu, zaciągnęła upartego starca. Nic jej nie będzie, nic...

Nagle wizg zmienił się w warkot, jeden, drugi, trzeci, czwarty. Samoloty przemknęły nad wzgórzem...

I wtedy rąbnęły bomby, zakołysało, podrzucając w górę schron jak łódkę na wzburzonej fali. Wnętrze od razu napełniło się pyłem i kurzem, spadły nieliczne przedmioty ze stołów, ludzie poprzewracali się na podłogę. Na dole, w komorze dowodzenia, wybuch odłupał kawał betonu ze ściany. Padł na stół operacyjny, drąc mapę z zaznaczonymi pozycjami pod Górą Strękową, Giełczynem i Kurpikami. Raginis splunął, pomacał obrączki w kieszeni.

Cztery metry wyżej Brykalski zaryzykował spojrzenie przez szczelinę. Samoloty zdawały się być wszędzie, latały, przeszywały niebo czarnymi cieniami. Zobaczył, że pozorne kopuły mające zmylić przeciwnika już nie istnieją. Ogromny słup dymu wznosił się z boku, z zabudowań i chałup Góry Strękowej, znad Giełczyna i Kurpik. W drugą stronę trwał chyba nalot na Strękową Górę i drogę do Osowca.

Powoli, po długich minutach, a pewnie i kwadransach, wycie i warkot motorów ucichły. Kapitan kazał otworzyć wtedy

pancerne drzwi schronu, wyszedł na posterunek obserwacyjny w suchym piasku, wzmocniony sosnowymi okrąglakami. Stanął pod niebem pełnym dymów i rozejrzał się przez lornetkę. Okolica była już poszczerbiona, płonąca. Od bomb, a może artylerii paliła się Włochówka, Smolarze, Sulin, wyrzucając w górę wielkie kłęby dymu. Płonęły albo leżały pokotem lasy między Strękową Górą a łagodnym zakrętem Narwi, na łąkach i polach widać było świeże kratery i doły po wybuchach. Strugi dymu przeszywały pobłękitniałe, ciągle piękne jesienne niebo. Nad Narwią zaczęła się nagła kanonada dział i moździerzy.

Zofia, pomyślał. Po co tu przyjechała... Co za szaleństwo!

W schronie drżał brzęczyk telefonu. Jarmulik wyskoczył przez drzwiczki prawie na czworakach.

– Panie kapitanie, zgłasza się pozycja wysunięta.

Raginis wszedł do środka, do komory dowodzenia, chwycił słuchawkę.

– Zawadzki na linii! – usłyszał. – Niemcy zadymiają rzekę. Pociski dymne, chyba. Stawiają osłonę dla pionierów.

– Obserwować i być gotowym do odparcia ataku – powiedział. – Nastąpi zaraz po ustąpieniu zasłony. Powodzenia, poruczniku.

– Nic nie widzę! – wołał z góry Brykalski. – Chyba stawiają zasłonę albo wybuchł jakiś skład...

– Zasłona dymna – powiedział Raginis, szukając w kieszeni papierośnicy. – Możesz zejść. Na razie nic nie zrobimy.

Schron Włochówka, pozycja wysunięta, godzina 14.30

Ledwie poczęły rzednąć i opadać sztuczne dymy użyte przez Niemców do osłonięcia ich przygotowań, uderzyły w nich armaty. Ciężkie, stopięciomilimetrowe haubice ze stanowisk za Wizną. Przez dymy obserwatorzy w kopule pancernej i w okopie widzieli najpierw rozbłyski kolejnych baterii, potem, dosłownie w tej samej chwili, pociski spadały na łąki i mokradła między Włochówką a Narwią, wyrzucając błoto i ziemię. Wkrótce przeniosły się dalej, przez polskie pozycje – biły w wieś, w ruiny chałup, z których zostały tylko poczerniałe pogorzeliska i sterczące w górę ceglane, okopcone kominy. Waliły w brzozowo-dębowy zagajnik za wsią, w pola i łąki na południe od niego.

– Przenieśli! – krzyczał kapral Władysław Pawlak. – Zaraz w nas! Zdjąć cekaemy z lawet, chronić się pod ścianami. Pod ścianaaami! Zamknąć strzelnice, otwory!

Wtórował mu trzask zamykanych stalowych drzwiczek strzelnic w obu ścianach i szczelin obserwacyjnych w kopule na górze. Armatnie wystrzały nie ustawały. Poczuli, że schron zadrżał, zakołysał się, słyszeli szelest drobnych kamieni walących w obsypaną ziemią północną ścianę. A potem szarpnął nimi wstrząs, tak silny, że prawie zbił ich z nóg, z sufitu poleciały kawałki betonu. Pocisk trafił od strony rzeki, ale półtora metra żelbetonu na razie wytrzymało.

Na zewnątrz było piekło. Niemieckie granaty spadały jeden za drugim, wyrzucając tony ziemi, waląc w okopy, rozrywając zasieki wzdłuż linii ognia i resztki tych z pierwszej linii, nad rzeką, których wcześniej nie pozrywały czołgi. Schron zaraz wypełnił się kurzem i pyłem, znów trudno było oddychać, ale i tak było to lepsze, niż rzygać od oparów po spalonym prochu.

I wtedy usłyszeli wrzaski, dudnienie, walenie w pancerne drzwi z tyłu, z rowu łącznikowego.

– Panie kapralu! Wpuszczajcie!

– My tu giniemy! Biją w nas!

– Nie ma mowy! – odkrzyknął Pawlak. – Wracać na stanowiska!

Grzmot wybuchu przytłumił jego głos do jakichś strzępów komend. Schron zadrżał. Z góry waliły znów pociski, nie słyszeli nawet gwizdów – tylko kolejne detonacje wstrząsające ścianami.

I nagle błysk, grzmot, który wstrząsał całym ciałem, jakby puszczono przez obrońców prąd elektryczny; razem z nim brzęk dartego metalu, drgnięcie tak straszne, że aż zwaliło kaprala z nóg. Zobaczył, jak w prawej komorze pod kopułą, gdzie nie było drzwi, spadł na dół jęczący starszy strzelec – celowniczy i obserwator.

– Józuś! – zakrzyknął Pawlak, brnąc do niego poprzez kulących się i leżących pod ścianami żołnierzy.

Żołnierz dygotał, trzymając się za głowę, był pokrwawiony, mundur podarty w strzępy.

– Nieeeee wiiiidzę! – jęczał. – Ooooooczy! Mojeeee!

Pawlak zdębiał, bo nagle zobaczył sączącą się z góry strużkę światła. Krzyknął na sanitariusza i sam wskoczył na drabinę. Wpadł na górę i zamarł. Kopuła była pęknięta. Artyleryjski pocisk ugodził ją z prawej strony, prawie w szczelinę numer dwa. Pancerna wkładka była zmiażdżona, otwór obserwacyjny wygięty, podobnie jak sąsiedni – numer trzy. Tuż przy nim ziała rysa na wylot, kopuła bowiem pękła od uderzenia pociskiem; co gorsza, obrotowa laweta cekaemu była zgięta i rozdarta.

– Straciliśmy karabin! – jęknął Pawlak. Nie można już było strzelać w stronę rzeki, okaleczony schron mógł prowadzić ogień tylko na osiach północny wschód i południe.

Wtem ogromny cios rzucił go pod ścianę, zrobiło się ciemno, w uszach zabolało, zaszumiało, przez chwilę nie słyszał nic, nawet swoich myśli. Schron dosłownie zatrząsł się i przesunął

na północ, jakby potężna pięść rąbnęła go gdzieś z boku, może z przepastnych głębin ziemi.

– Ranny! Wali się! – krzyczał ktoś.

Kapral sam już nie wiedział, jak zbiegł na dół, w chaos dygocących, trzymających ręce przy uszach żołnierzy, kulących się pod ścianami.

– Jeden na górę! Ty! – Szarpnął za ramię najbliższego strzelca. – Obserwować Niemców. Ruszać się!

Przedarł się obok komory amunicyjnej, potem przez drzwi do sypialnej, w lewo, do lewej komory erkaemu. Wszystko jak w kalejdoskopie, po prostu ciąg obrazów. Ręka wyciągnięta ku zasuwie opadła, drzwi do ostatniego pomieszczenia, gdzie znajdowała się skośna strzelnica dla erkaemu, broniąca dostępu do schronu, były wyrwane, wisiały na jednym zawiasie. W środku zobaczył wybrzuszony beton, ścianę cofniętą prawie do połowy pomieszczenia, sterczące ze szczelin, powyginane pręty. Blisko! Blisko było naprawdę. Jakaż to siła musiała uderzyć w ścianę albo koło niej, by złamać wzmocnioną, ożebrowaną w środku płytę jak drewnianą deszczułkę?!

Uderzył trzy razy i raz w drzwi do lewej komory cekaemu. Potem walił i walił, odruchowo, bo kołatało w nim przekonanie, że są tam same trupy.

Ale nie – szczęknęła zasuwa, drzwi otwarły się wolno. Komora była w miarę zachowana, ściany popękały, poodpryskiwał beton, to wszystko. Mniejsza o ludzi, jarzmo cekaemu wyglądało na nieuszkodzone. Pancerna zasuwa na strzelnicy nie była wygięta.

Celowniczy i taśmowy słaniali się na nogach, ten pierwszy oparł się plecami o mur i tak już pozostał, kiwając się bezustannie w przód i w tył. Krew szła mu z uszu.

– Jebło! Ale jebło! – jęczał taśmowy. – Tu, obok. Powietrza.

– Uspokój się! Starszy strzelec! Baczność! – krzyczał kapral.

Tamten spoglądał na niego oczyma, które nie widziały nic.

– Baczność! Patrz na mnie!

– Tak... Tak jest. Melduję.

– Nic nie melduj! Gdzie cekaem?

– W skrzyni...

Ktoś szarpał za ramię kaprala, wszystko za szybko! Jeszcze nie zdążył skończyć z poprzednimi, już wojna nie dawała ogarnąć myśli. Przed nim stał obserwator z kopuły. I mówił, jęczał, krzyczał.

– Panie kapralu! Panie kapraluuuu! Niemcy!

– Jak, gdzie?

– Idą od rzeki! Cała chmara. Natarcie!

– Wracaj na stanowisko. Na stanowiska! Wszyscy do strzelania!

Chwycił za ramię taśmowego i popchnął go w kąt, tam gdzie w skrzyni leżał schowany cekaem wz. 30 z grubą, chłodzoną wodą lufą. Poderwał za kołnierz jęczącego pod ścianą celowniczego.

– Człowieku! Ogarnij się! Cekaem na lawetę! Zaraz mi, już! Biegusiem.

– Biegu...siem – wykrztusił celowniczy przez krew. Jęcząc, pobiegł do kolegi, wspólnie dźwignęli broń.

Potem wszystko już było tak jak w regulaminie, dźwignięcie lufy, złożenie na zaczepach, odemknięcie zasuwy strzelnicy. Kapral wrócił do korytarza, w schronie nie było jeszcze łączności, więc tylko stąd mógł dowodzić i czuwać nad wszystkim.

I wtedy rozległy się strzały, na razie jeszcze daleko, jednak zbliżały się szybko.

– Otworzyć drzwi!

Wyskoczył z bunkra do rowu, wpadł na puste stanowisko erkaemu z lewej strony, nieco za linią ognia lewego karabinu schronu, wystawił głowę, rozejrzał się...

Tym razem Niemcy nacierali rozważniej. Całe plutony pokonywały łąki skokami, co pewien czas waląc się na ziemię z karabinami w dłoniach, od razu rozkładali karabiny maszynowe.

Nie atakowali na wprost jak poprzednio, ale obchodzili Włochówkę od południa, szli ku linii zasieków i okopów, gdzie stała drużyna piechoty z ósmej kompanii, wsparta cekaemem. Po porannym rozpoznaniu nie wystawiali się już na ogień boczny, bo wyznaczyli jego linie. Pawlak zrozumiał to, kiedy nagle nacierające linie piechoty i saperów padły na ziemię i z tyłu doszedł do nich przeciągły wizg czołgów.

Dwa, trzy tanki szły do przodu, prosto na poszarpane ogniem artyleryjskim zasieki. W odpowiedzi zatrzaskał polski cekaem, wypruł wnet jedną serię, drugą. Rąbnęły bezładną palbą karabiny strzelców z okopu.

Pawlak zawrócił do schronu, wpadł przez drzwi do przedsionka, w prawo, w lewo, przez drzwi przeciwgazowe, w lewo, przez salę sypialną do komory erkaemu, a potem – do ostatniej, lewej komory ciężkiego karabinu maszynowego.

– Karabin dwa, na wprost pogłębianym ognia!

Cekaem zaniósł się ogniem, wywalił długą serię, aż poszarpany błysk przeszył całą południową wnękę schronu. Lecz nie miał do kogo strzelać – mierzył do czołgów, które bezpiecznie rwały zasieki i szły wprost na stanowiska Polaków. Ze stukiem, z metalicznym pogłosem pruły z wieżowych karabinów do okopów, nie pozwalając nikomu wychylić się choćby na metr. Silniki wyły, stukotały metalicznie...

Błysk, za chwilę doszła do nich detonacja – to był granat. Na nic, po nic – wyglądając przez rozpękniętą szczelinę zniszczonej

strzelnicy erkaemu, kapral zobaczył nagle, jak z okopów wyskakują piechurzy, wieją nieregularnie rozchwianą tyralierą w pola – w stronę Maliszewa, błotnistych łąk i rosnących między nimi olszyn. Czołgi ich nie ścigały, jeden wjechał z rozpędem na stanowisko cekaemu, rozwalił je, rozdusił worki, przetoczył się pędem przez rów, prując za uciekającymi krótkimi, oszczędnymi seriami. Drugi skręcił, zawrócił na północ, w stronę schronu. Nagle kapral zobaczył na wprost siebie ogień wylotowy z luf na wieżyczce. W tej samej chwili w betonowe ściany uderzyły pociski, nic nie zrobiły, odbiły się, zrykoszetowały, ale przez szczeliny wręcz poczuł podmuch odbijających się pocisków. Wytężył wzrok, na chwilę przyłożył do oczu lornetkę i zamarł.

Na skraju rowu strzeleckiego zobaczył wyłaniającą się krótką i tępą lufę armatki przeciwpancernej z pochylonymi mocno do tyłu płytami pancerza i jedną szczeliną z prawej, jak niedomknięte oko żelaznej ropuchy.

Wystrzelą, jak rany Chrystusa, wystrzelą!

Poderwał się i przypadł do obsługi karabinu w sąsiedniej komorze, złapał za ramię taśmowego, prawie odciągnął od maszynki.

– Przerwać ogień! Cel w prawo, celownik trzysta, na skraju rowu pepanc! Szukajcie go, szukajcie!

Celowniczy wodził lufą, pochylił się nad cekaemem, trząsł się z nerwów.

– Nie widzę!

– Bardziej na zasieki, w prawo.

Błysk, dym, szarpnięcie ścianami. Potem w równych odstępach uderzenia dwudziestomilimetrowych pocisków z wieżyczki czołgu. Jęk motorów, zbliżają się.

– Mam ich! Widzę cel.

– Ogniem zamkniętym! Streszczajcie się!

Cekaem zadudnił, zatrzaskał równą serią i równie szybko zgasł.

– Taśma!

– Ładuję!

Celowniczy odblokował, odrzucił do góry pokrywę komory nabojowej, taśmowy wcisnął początek nowej taśmy, jego kolega zatrzasnął, odciągnął zamek, przestawił celownik na wierzchu.

I wypluł kolejną porcję grotów śmierci, strzelec z boku szybko wygładzał, podawał zwijającą się jak wąż taśmę. Bił równo, skupiony, ze wzrokiem przenikającym przez celownik gdzieś dalej.

I wtedy szarpnęło coś nimi, odrzucając ich od karabinu. Pocisk przeciwpancerny rąbnął prawie w strzelnicę, wbił się w beton, sypiąc gruzem i odłamkami. Nie przebił się oczywiście przez metr żelbetu. Jednak było blisko!

– Walcie do nich, niech się nie wychylają! Prowadzić ogień! – Pawlak zanurkował w niskie przejście do sąsiedniej komory, wskoczył do korytarzyka, potem do komory sypialnej, gdzie czekała obsługa erkaemu. – Zabrać granaty, do rowu na południe! – rozkazał. – Zniszczyć działko przeciwpancerne, obrzucić z daleka granatami! Uważajcie!

– Tak jest!

Zbierali się niemrawo, a wtedy uderzył w niego okrzyk jak wyrok, niczym stalowa kula waląca w pierś, przyginająca do ziemi.

– Tanki! Tanki!

– Panie kapralu – z korytarzyka wpadł starszy strzelec, ten sam, który rano chciał zmusić go do wydania nabojów do karabinu przeciwpancernego – dajcie nam kule do tego urugwajczyka! Teraz naprawdę! Idą... o, słyszycie?!

Karabin numer jeden walił seriami jedna za drugą, dwójka odgryzała się z drugiej, południowej strony. A w przerwach

między strzałami słyszeli stłumiony głos czołgów.

– Od Strumiłowa objechali. Przez okopy. Wszyscy tam uciekli. Nas zostawili!

– Idźcie na stanowisko! Zaraz dołączę...

Prawie pchał przed sobą starszego strzelca na zewnątrz, do korytarzyka przeciwgazowego. Sam ruszył dalej, do komory z nabojami, przy której czekał amunicyjny, będący jednocześnie wartownikiem.

– Otwieraj! – krzyknął. – Czasu szkoda!

Tamten poderwał się, przekręcił klucz w zamku, odemknął ciężkie, pancerne drzwi, otwierając przejście do ciasnego schowka ze skrzynkami z granatami i taśmami do erkaemów. Pawlak sięgnął za nie, wydostał ukryte przed wzrokiem amunicyjnych tekturowe pudło z długimi, ciężkimi nabojami 7.92 DS, z orłem i pieczątką „P.W.U. Fabryka Amunicji".

Wypadł z bunkra, schylając głowę, bo górą szły serie z czołgowych kaemów, na razie jedynie odłupywały kamyki i gruz z górnej części schronu. Pobiegł w lewo i wpadł do rowu przy obłożonym workami stanowisku erkaemu. Klęknął za plecami strzelców, przygotowujących długi i cienki karabin przeciwpancerny wz. 35, z tyłu miał zwykłe łoże i rączkę zamka, z przodu niezwykle cienką i długa lufę z hamulcem, na dwójnogu.

– Ładować – powiedział Pawlak, rozrywając pudło.

Cholera, w środku były naboje luzem, nie magazynki. Starszy strzelec wcisnął mu w rękę puste czarne, długie pudło.

– Ładujcie, panie kapralu! Czasu szkoda.

Sam chwycił w rozdygotane ręce cztery długie, lśniące naboje przeciwpancerne, wciskał je do magazynka, ale nie było już kiedy skończyć. Wbiwszy tam trzy, wcisnął resztę luzem do ładownicy, chwycił karabin. Od północy szły na nich dwa czołgi, prując z kaemów i działek. Wokół zalegli w okopach żołnierze

z trzeciego plutonu ósmej kompanii, przydzieleni do ochrony schronu.

Czołgi już zawróciły na południe, przebiły się przez okopy, rozerwały zasieki, szły teraz jeden obok drugiego prosto na bunkier, nie obawiając się widać broni przeciwpancernej. Serie szły górą, po zasłonach z worków z piaskiem, tryskał piach, kamienie, nie sposób było wychylić się z okopu.

Dlatego starszy strzelec uchwycił magazynek i wcisnął go od spodu do komory, przeładował, wprowadzając długi, śmiertelnie długi i twardy dla załogi czołgu nabój mieszczący w łusce ogromny ładunek prochowy, z ołowianym rdzeniem w stalowym płaszczu.

Nie mógł, a raczej bał się wystawić głowę nad okop, więc prawie na czworakach, schylając głowę osłoniętą hełmem, pomknął dnem rowu, skracając dystans do pierwszego czołgu. Usłyszał mocną, nieprzyjemną grę motoru, chrzęst gąsienic, wizg rozpędzonych mechanizmów. I wtedy przyklęknął, opierając dwójnóg o wyłamaną deskę utwardzającą lewy bok rowu. Czekał. Czekał, choć pot ciekł mu z czoła, przesłaniając wzrok.

Czołg toczył się nie równolegle, ale skośnie do okopu. Coraz bliżej, coraz szybciej. Walił do bunkra, szczęściem nie było przy nim piechoty. Starszy strzelec Kutrzeba wyciągnął broń, oparł kolbę na ramieniu, usztywnił uścisk i czekał.

Czekał, czekał, patrzył, jak w polu widzenia pojawia się najpierw lewa gąsienica, potem kawałek przedniego, pełnego koła napędowego, wreszcie osłona gąsienic, lewy bok i leżąca na nim, przypięta do pancerza stalowa szyna. Wreszcie płaski pancerz czołowy pod wieżyczką i umieszczona pośrodku zamknięta płyta z wąską szczeliną obserwacyjną.

Wziął ją na cel i pociągnął za spust. Karabin strzelił krótko, urywanie. Szarpiąc okrutnie ramię. Nie trafił, chybił, poszło

w pancerz boczny, pod kątem, kula zrykoszetowała od stali. Może pod wpływem strzału czołg skręcił mocniej w stronę rowu, zaczął wręcz zbliżać się do okopu.

I wtedy Kutrzeba przeładował i rąbnął drugi raz – tym razem w pancerz czołowy obok szczeliny. Zobaczył dziurę, czarną wyrwę, przeładował po raz kolejny i...

Nic, czołg ciągle się toczył. Jechał z chrzęstem, wjeżdżając prawie w okop.

Więc przeładował jeszcze raz i...

Ostatni strzał, trzeci pocisk, obok, prawie w szczelinę. W zamkniętą płytę.

Czołg nie zwolnił!

Jechał wciąż w stronę starszego strzelca, ten wyrzucił magazynek, gorączkowo, dygocącymi rękoma szukał w ładownicy nabojów, znalazł, wbił jeden, załadował, przeładował rączką.

Trach! Strzał nie padł. Niewypał w lufie! Czołg był tuż-tuż. Już słyszał prawie nad sobą gwizd gąsienic. Więc zrejterował, ale nie był szybki, biegł, uciekał, ciągnąc za sobą karabin, a raczej kuśtykał, przeskakiwał, bo górą ciągle szły serie z kaemów. To drugi czołg! Kolejny tank obrócił wieżę w lewo, prując w rów, osłaniając towarzysza ogniem.

Kutrzebę uratował kapral Pawlak. Nagle przyskoczył bliżej, podciął go, przycisnął do ziemi.

I rzucił odbezpieczonym granatem zaczepnym prosto pod wjeżdżający do okopu czołg!

– Niżej, padnij! Uwaga!

Grzmot, krótki błysk, wóz skręcił jeszcze bardziej w lewo, wjechał w okop, uderzył w drugą ścianę i zatrzymał się pochylony w przód. Powoli otwarły się drzwi awaryjne w tylnej ściance wieży. Wypełzł z nich Niemiec w czarnym mundurze,

w berecie, wyciągając kolegę na tylny pancerz czołgu. Sam pokrwawiony, drżący...

Trzask! Polski cekaem pokrył ich obu ogniem, odrzucił od maszyny, porwał na strzępy, zabierając resztki żywota.

Drugi czołg zwolnił, zatrzymał się i zaczął odchodzić w stronę Narwi, ciągle prując z kaemu.

– Panie kapralu, cekaem dwa rozbity!

Pawlak wracał do zadymionego schronu, ciągnąc starszego strzelca Kutrzebę z karabinem. Rozejrzał się po polu walki – zobaczył, jak daleko, od strony Smolarzy, Niemcy bezkarnie przeskakują przez pole ostrzału. Cekaem milczał. Przeciwpancerne działko wstrzelało się prosto w strzelnicę, niszcząc pancerną osłonę, karabin i lawetę.

– Erkaem na tyły! – rozkazał swoim ludziom. – Pod schron, zajmować stanowiska. Pilnować, żeby nie podciągnęli działka.

Byli prawie otoczeni – Niemcy obeszli ich od południa, od północy już zajmowali stanowiska w rowie i obok. Nagle na łąkach zapaliły się dwa ognie wystrzałów. To przemówiły MG-34, ze złowieszczym stukotem, z narastającym jazgotem strzałów poczęły bić po zasiekach, po okopach, po ścianach bunkra, oślepionego z dwóch stron już na zawsze.

– Wystrzelaliśmy ponad połowę ładunków – meldował z ciemnego wnętrza amunicyjny.

Kapral Pawlak, który dotąd działał jak w amoku, poczuł, że wszystko zwolniło. Z góry, z dołu, z każdej strony wsączał się w jego ciało zimny, ohydny strach.

Co będzie dalej?

Schron Sulin, pozycja wysunięta, godzina 16.12

– Panie poruczniku – meldował zdyszany, osmalony podporucznik Puzynowski, dowódca trzeciego plutonu piechoty z ósmej kompanii przydzielonej do pozycji wysuniętej – Niemcy przedarli się przez rowy dwoma czołgami. Wycofaliśmy się tutaj. Przeszli też między Włochówką i Smolarzami. Schron we Włochówce, kapral Pawlak jest odcięty i okrążony!

Porucznik Zawadzki nie zbladł tylko dlatego, że już od dawna był blady i wymęczony.

Sięgnął po telefon, zakręcił korbką.

– Melduje się Zawadzki, pozycja wysunięta. Panie kapitanie, schron we Włochówce okrążony przez Niemców. Przedarli się czołgami. U nas chwilowo wstrzymali natarcie. Proszę o posiłki.

– Nie będzie posiłków – usłyszał zmęczony głos Raginisa. – Proszę utrzymać pozycję i odbić Włochówkę tym, co pan ma. Rozkaz. Wykonać niezwłocznie.

Trzask, połączenie przerwane. Słuchawka zadygotała w ręku porucznika.

– Ilu ludzi pan przyprowadził?

– Dwie drużyny... Niepełne, reszta jest otoczona. Panie poruczniku, przebijemy się do nich! Można spróbować.

– Gdzie jest karabin przeciwpancerny?

– W schronie, w pierwszej drużynie!

– Łączcie z Włochówką! – zażądał Zawadzki. – Natychmiast.

– Panie poruczniku, linia zerwana – zameldował kapral. – Wysłać patrol?

– Sam sprawdzę!

– Przebijemy się do nich – gorączkował się podporucznik. – Niech nam kapitan przyśle posiłki.

– Nie będzie żadnych posiłków. Jesteśmy sami, mam dwa niepełne plutony, cztery schrony, po drugiej stronie rzeki stoi chyba cała pancerna dywizja niemiecka, a pan kapitan każe mi odbić Włochówkę.

– Panie poruczniku, niech pan mi da swoich ludzi. To może się udać.

– A kim obsadzę ten schron?

– Da pan tyle, ile można. Przebiję się do Pawlaka, nawet sam, nie powinniśmy ich tak zostawiać.

– Dobrze. Kapralu – rozkazał Zawadzki – proszę obserwować kierunek przyczółka. W razie czego przywitać Niemców ogniem trzeciego kaemu z kopuły.

– Tak jest.

– Za mną, podporuczniku.

Wyszli do rowu z tyłu schronu, poszczerbionego, poranionego przez pociski wroga. Na pancernej kopule wyraźnie zaznaczały się okrągłe wgłębienia po pociskach z działek kalibru dwadzieścia milimetrów.

– Cały poczet zbiórka! – zakomenderował Zawadzki. – Zapasowi do mnie, amunicyjni za mną. Druga i trzecia drużyna – to było do ludzi z plutonu podporucznika Puzynowskiego – za mną!

Ruszyli na południe, najpierw rowem, pod zasieki, Zawadzki pierwszy wyskoczył między drzewa, wszedł i znikł między poszczerbionymi, połamanymi sosenkami. Żołnierze szli za nim, omijali doły i wykroty po wybuchach. Podporucznik wskazał niewypał granatu, na wpół przykryty szarą ziemią, piaskiem i korzeniami.

W jedną chwilę dotarli do nasypu drogi przy skrzyżowaniu z drogą do wsi. Wznosił się ponadgryzany wybuchami, osłaniający ich jednak od południa. Po drugiej stronie był tylko wielki, zwalony wybuchami dąb. W górę biły dwie strugi dymu z płonącej Włochówki. Słyszeli wyraźnie wybuchy i palbę – strzały, krzyki, pojedyncze serie na południowym odcinku pozycji wysuniętej.

– Biją się. Proszę, niech pan rozpozna teren – powiedział Zawadzki zmęczonym głosem.

Najpierw przypadli wszyscy do nasypu, potem Puzynowski skinął na swoich.

– Strzelec i jeden obserwator za mną!

Powoli czołgali się na górę – na drogę. Podporucznik wyciągnął lornetkę, patrzył przez chwilę na południe, na południowy zachód, lustrował łąki nad Narwią i daleką, ledwie widoczną Wiznę.

Powiedział coś do obserwatora, jeszcze raz obiegł wzrokiem okolicę. A potem... Nagle wstał, poderwał się z pistoletem w ręku, zamachał lewicą, pokazał coś za siebie.

– Czołgi odeszły, panie poruczniku! – wykrzyknął. – Niemcy ostrzeliwują schron, do nas plecami. Nie wystawili ubezpieczenia!

– To co...

– To na nich! Na nich, panie poruczniku!

Zawadzki zawahał się, to było jak samobójstwo. Puzynowski stał niczym posąg na tle drogi, musieli przecież go widzieć, ale nikt nie strzelał. Po drugiej stronie nie znalazł się widać ani jeden strzelec wyborowy.

– Poruczniku, jak pan się boi... ja poprowadzę.

Zawadzki podjął decyzję. Podniósł się i zamachał ręką do pozostałych żołnierzy i swojego pocztu.

– Plutooon! Bagnet na broń!

Sam już nie wiedział, co robi, podskoczył do podporucznika, spojrzał w pole i... Zobaczył dymy, ogniki stłumionych strzałów, serie jakiś kilometr dalej, gdzie trwała walka, gdzie paliła się wieś...

I potem, jakby w rozpaczy, ruszył sam pierwszy na południe, schodząc z nasypu na piaszczystą drogę biegnącą przez łąki

i zarośla prosto ku dymom, kulom i zamieszaniu. Wyrwał pistolet z kabury, machnął nim.

– Pluton! Kierunek Włochówka, za mną, rojem naprzód!

Szedł sam, nikt nie ruszył za nim. A wtedy podporucznik Puzynowski, jakby nie dbając już o nic, wyskoczył jako drugi z wyciągniętym pistoletem. Za nim poszedł jego zastępca, sierżant, strzelec i obserwator. A dalej: poczet Zawadzkiego. I wreszcie, jakby z wahaniem, ruszyła się reszta strzelców z plutonu KOP-u, a z ociąganiem druga drużyna. Trzeciej nie pozostało nic innego, jak iść za pozostałymi.

Bagnety były już nasadzone, błyszczały w słońcu, okrągłe hełmy tkwiły pewnie na głowach. Szli pochyleni, rozsypani w drużynach, szli coraz szybciej, coraz pewniej, bo nikt nie strzelił, nikt ich nie okrzyknął.

Porucznik Zawadzki zaintonował:

– Za mną! Biegiem marsz! Do szturmu. Huraaa!

Bagnety pochyliły się jak kopie i wszyscy jak jeden mąż zakrzyknęli z ochrypłych gardeł, z całych sił, z rozpaczą:

– Huraaaa! Huraaaa!

Pędzili, gnali wzdłuż porozwalanych okopów, za którymi przesuwała się plątanina porwanych zasieków, wywrócone kozły, sczepione druty, odsłaniające przejścia dla całego plutonu albo kompanii.

Trzasnął strzał, kula gwizdnęła, waląc w dal, pióropusz piachu wyskoczył spod stóp podporucznika!

Gnali co tchu, nic nie myśląc, nic nie czując, krzycząc już tylko z narastającego wysiłku, z szału. Łąki, pola, droga, drzewa, kępy rokity i olszyny przelatywały jak ciąg obrazów, jak ich ostatni wielki seans w fotoplastykonie. Wyciągnięte karabinki i karabiny, ostrza bagnetów celują w płonącą wieś, na jej tle widać leżących, klęczących w rowach, w lejach żołnierzy w hełmach jak garnki. Z odrzuconymi do tyłu brezentowymi

torbami, pojemnikami okrągłymi jak walce, z czarnymi ładownicami na pasach...

Jak burza spadli od tyłu na wrzeszczących, zrywających się Niemców. Podporucznik Puzynowski z biegu powalił strzałem podoficera, rozpoznanego po czarnej lornetce zawieszonej na piersiach, mignęły tylko przed oczyma obramowane białą linią naramienniki tamtego.

Obok polski kapral z KOP-u wbił z całej siły bagnet w brzuch szeregowca podnoszącego do strzału mausera, powalił go w pędzie i zatrzymując się, wyrwał i wbił pionowo, jeden raz, drugi, trzeci!

– Dalej! Dalej! – zaganiał ich wszystkich podporucznik. – Huraaaaaaa!

Niemcy uciekali, ktoś podniósł do strzału karabin i dwa bagnety wbiły mu się w pierś, ordynans Zawadzkiego chlasnął po łbie swojego przeciwnika, nisko, pod okapem hełmu, po uchu, po policzku. Zawahał się, byłby zginął, bo drugi Szwab podniósł do strzału karabin. W ostatniej chwili Zawadzki strzelił. Chybił, nie było czasu mierzyć, vis aż podskoczył mu w ręku. Spłoszył wroga, na nic więcej nie było czasu.

Niemcy wieli, uciekali na prawo, lewo, rozpraszając się. Nie mieli bagnetów, nie było kiedy składać się do strzału, zresztą może taki był ich rozkaz – w razie ataku wręcz lub szarży wycofywać się do własnych stanowisk.

– Tutaj, tutaj! – Puzynowski złapał dwóch swoich, skoczył z nimi w okop, gdzie sterczała cienka, okryta podziurkowaną chłodnicą lufa MG-34, wymierzona na południe.

Spadli prawie na głowy Szwabów, zawrzała krótka walka, wróg nie chciał się stawiać, nie było rzezi. Jednego Niemca obserwator z plutonu Puzynowskiego zwalił z nóg, wykręcając ręce, którymi tamten schwycił za karabin. Szarpali się, lecz nagle Szkop zwiotczał, to drugi strzelec doprawił go kolbą.

Gnali już zdyszani, nie mając nikogo przed sobą. Wpadli między dogasające zagrody, zgliszcza, resztki belek, z których unosił się kwaśny dym. Płonęła jeszcze jedna stodoła, jakieś szopy, ostatnia chałupa.

– Za mną! – wycharczał Zawadzki. – Do schronu.

Dopadli pierwszego okopu, znaleźli przejście pomiędzy porwanymi, postrzępionymi drutami kolczastymi. Porucznik wszedł między swoich, zobaczył przekrwione, wymęczone oczy żołnierzy, dwóch, trzech zabitych leżących pod ścianami. Schron był właściwie zniszczony.

– Nasi! Nasi! – podniósł się okrzyk, ale krótki.

Kapral Władysław Pawlak przeciskał się wolno ku nim.

– Panie poruczniku, melduję obsługę schronu Włochówka i pierwszą drużynę z plutonu ósmej kompanii. Zabitych siedmiu, trzech rannych, zostało nas... trzynastu.

– Jak schron?

– Oślepiony – machnął ręką kapral. – Na nic już, pan sam zobaczy...

Zawadzki widział i gryzł się z myślami. Schron był poszczerbiony, pokaleczony wybuchami pocisków i od ognia z działek. Lewa ściana i wnęka były rozwalone, potrzaskane, kopuła pancerna rozbita. Okopy rozwalone, rozbite ogniem z haubic. Wszędzie poniewierały się resztki zakrwawionych bandaży.

– Wycofujcie się z nami! – powiedział. – Proszę zabrać resztę amunicji i wszystkie kaemy. Rannych dajcie, wezmą ich moi ludzie.

– Panie kapitanie, pocisków prawie nie ma. Wystrzelaliśmy wszystko – uśmiechnął się Pawlak, jakby przepraszająco.

– Karabin przeciwpancerny?

– Zacięcie. Kazałem usunąć. Zostało nam osiem pocisków.

– Dobre i to. Zbierajcie się! Zarządzam odmarsz do Sulina. Panie poruczniku...

– Taaaajest?

– Proszę wziąć dwa erkaemy i ubezpieczać odwrót z tyłu. Zbierajcie się! Nie ma czasu!

Biegli pochyleni, jeden za drugim, potykając się, rowem strzeleckim na północ, wlokąc, czasem niosąc w brezentowych płachtach rannych. Za nimi, z tyłu, odgryzały się Niemcom erkaemy Puzynowskiego. A więc naprzód! Głowa w dół, bo z lewej biją kule, pojedyncze strzały. Kierunek – droga.

Przeskakiwali przez nią pod ogniem znad rzeki – głównie karabinowym i kaemów, ale lada chwila mogło rozpętać się piekło. Dziś miało swoją drugą nazwę – atak ogniowy na Włochówkę. Ciągle widzieli jego ślady, ogromne wyrwy w okopach, powyrywane i połamane drzewa, okaleczone kikuty godziły w błękitne, pogodne niebo przeklętego polskiego września.

Byli już prawie wszyscy przy Sulinie. Zawadzki stał przed tylną ścianą bunkra, kierując rannych do izby załogi, kaemy do komór bojowych, resztę do schronów i na stanowiska. Na końcu nadciągał zziajany, ale uśmiechnięty podporucznik Puzynowski. Zawadzki zatrzymał go na chwilę.

– Panie kolego, panu należy się jakiś medal... za dzisiaj.

– Głupstwo. Ku chwale...

Głucha detonacja, gorący impet rzucił ich na ścianę schronu, koło drzwi i strzelnicy. Drugi wybuch cisnął w nich pyłem i resztkami drewna. Nagle zrobiło się ciemno. Zawadzki poczuł, że ktoś podrywa go z ziemi... Jego ordynans.

– Aaaaaaaa! Nogiii! – darł się Puzynowski.

– Do schronu! Dalej! Pomóżcie.

Zawadzki chwycił za ramię jęczącego podporucznika, nikt mu nie pomógł, musiał sam wlec go ku drzwiom.

– Ruszcie się, gady!

Ktoś złapał z drugiej strony, podniósł, ale Puzynowski wył jeszcze gorzej. Nogi, coś było nie tak, ale tego już Zawadzki nie widział.

Wlekli go; zemdlał, kiedy przeciągali go przez wysoki próg. Ciągnęli korytarzykiem, zostawiając okropny ślad krwi. Byle dalej, byle na prawo, do izby. Tam już chwyciły go dodatkowe ręce.

– Sanitariusz!

– Jestem!

– Podporucznik... Obejrzyjcie go.

– Przecież już widzę.

– Kurwa, to co się patrzycie? Opatrzyć!

– Nic nie zrobię. Tu trzeba chirurga. Ja jestem tylko sanitariuszem z wyboru pana kapitana Raginisa.

Zawadzki spojrzał na nogi Puzynowskiego i zaklął w myślach. Dopiero teraz poczuł słony smak na języku. Nogi od kolan w dół były jedną wielką miazgą kości, drzazg i płynącej coraz szybciej krwi.

A potem ciężki pocisk z haubicy trafił w sam szczyt schronu. Gromowy huk i wstrząs zbił ich z nóg, rzucił na ziemię. Dostali dobrze, mocno, tuż obok kopuły. Tak zaczynał się ostatni akt pozycji wysuniętej.

Pozycja Giełczyn, w tym samym czasie

Przeprawiali się na pontonach, na zabranych z Wierciszewa i Sieburczyna łódkach, na zbitych z desek tratwach, które nie utrzymałyby działa ani czołgu, ale przewiozły bez kłopotu drużynę saperów i piechoty. Wyskakiwali na drugi brzeg i zaraz rozwijali się, rozpraszali, przechodząc w szyk rozwinięty.

I tak wchodzili na bezkresne łąki i mokradła za Biebrzą, ciągnące się w dal i tylko czasem poprzecinane ciemnozielonymi plamami lasów i olszyn. W pobliżu schronów szli już ostrożniej, najpierw skokami – kolejno podrywały się całe drużyny, przebiegały od ukrycia do ukrycia.

Piechota z Brygady „Lötzen" szła coraz wolniej, coraz ostrożniej, niosąc za sobą cekaemy, wsparta oddziałami saperów, rozpoznających stanowiska polskie, które z daleka, patrząc ze wschodniego brzegu Biebrzy, wtapiały się w płaski teren tak dobrze, że nawet z bliska można było wziąć schrony za pagórki albo stosy słomy, a kopuły – za sterty siana.

Porucznik Kiewlicz nie dał im podejść blisko, nie zamierzał na razie wciągać ich na linię krzyżowego ognia pomiędzy schronami. Kazał strzelać na wprost z odległości mniej niż półtora kilometra i był to ogień nękający. Krótkie, celne serie, czasem poszerzane. Cekaemy z kopuł biły raz po raz we wszystkie miejsca, gdzie obserwatorzy dostrzegali przez lornetki jakikolwiek ruch przeciwnika. Wszystko, aby utrzymać wroga jak najdłużej, aby nie zdołał rozpoznać walką nielicznych stanowisk polskich rozrzuconych między Kołodziejami a płynącą w tym rejonie ze wschodu na zachód Narwią. Pierwszy odezwał się schron Kiewlicza pod Gacią, potem drugi, porucznika Szopy pod Kołodziejami. Schron trzeci, cofnięty trochę na wschód, milczał, nie zdradzając pozycji.

Niemcy nie szarżowali. Zalegli po pierwszych strzałach – jeśli się czołgali, to tylko by znaleźć lepsze stanowisko. Z rzadka odgryzali się z cekaemów, jednak wyjątkowo niecelnie – razili krzaki, garby i nierówności terenu pozostałe po dawnych meandrach Narwi. Kiewlicz, patrzący z kopuły obserwacyjnej, przygryzał wąsa.

– Panie poruczniku, zalegli? – pytał z dołu sierżant Murachwa.

– To tylko natarcie pozorowane. Chcą nas zmusić, żebyśmy odsłonili stanowiska. Ale jak tego nie zrobimy, i tak nas wykryją.

Kiewlicz wodził lornetką po nadbrzeżnych łąkach i raz, drugi i trzeci zobaczył daleki odbłysk szkła. Saperzy podchodzili coraz bliżej, wystawiając nożycowe lornety jak uszy zająca zza krzaków i kamieni. Wpatrywali się w pola między Kołodziejami i Giełczynem, jakby spodziewali się znaleźć tam wszyscy żelazne krzyże. Na razie jednak skrzyżowane, ukryte w strzelnicach lufy cekaemów obiecywały im zwykłe, brzozowe i drewniane.

Niemcy nie posuwali się. Wolno wycofywali się nad rzekę, gdzie wrzała praca na przeprawie w Wierciszewie. Jedynie z boku niósł się szerokim echem donośny huk i grzmot artylerii rozstawionej na polach nad Wizną.

Schron Sulin, pozycja wysunięta, po godzinie 17.00

Kuląc się w schronie bojowym pod płonącym i zrujnowanym Sulinem, czuli się tak jak tarcza na strzelnicy. Armatni ostrzał nie ustawał ani na chwilę – jedyne szczęście, że Szwaby nie rozpoznały jeszcze, że porucznik Zawadzki wycofał załogę schronu i obsadę pododcinka pod Włochówką. Co drugi pocisk walił zatem w okolice pustego, okaleczonego bunkra po drugiej stronie drogi.

Ludzi kaprala Pawlaka wpuścił do środka, bo ogień był tak celny, że nie sposób było wytrzymać w rowach i na stanowiskach. Granaty z haubic rujnowały okopy, rozwalały zwykłe schronienia z belek przykrytych ziemią. Waliły

w umocniony strop schronienia, wstrząsając betonowymi murami, odrywając znad głowy całe kawałki betonu. Żołnierze już nie wytrzymywali tego bezustannego ostrzału. Najpierw jeden ze strzelców z ósmej kompanii rzucił się do drzwi, zaczął odsuwać pancerne rygle i zasuwy.

– Powietrzaaa! – darł się, przekrzykując nawet odgłosy artyleryjskiej nawały. – Puszczajcie! Chcę powietrza!

Kapral Pawlak i obserwator z pocztu Zawadzkiego złapali go od razu, związali pasami, zarzucili na łeb kawał brezentu, rzucili na jedną z prycz obok rannych.

Inni śmiali się, uderzali głowami w hełmach o betonowe ściany, rozpłaszczali się na podłodze. Porucznik widział, jak starszy strzelec, celowniczy erkaemu rozdygotaną ręką bez przerwy ładował magazynek browninga. Choć było w nim już całe dwadzieścia pocisków, wciąż wciskał jeden i ten sam nabój wyłuskany z łódki, wpatrzony pustym, nieobecnym wzrokiem w popękaną ścianę.

A potem nadszedł krzyk, w końcu dostali celny strzał w kopułę pancerną. Zawadzki spodziewał się tego, prawdę mówiąc, od początku. Dlatego zaraz skoczył ku żelaznej drabince w ścianie, wszedł na górę, ostrożnie wystawił głowę.

Zobaczył dwa splątane ciała – celowniczego cekaemu i opartego plecami o ścianę obserwatora. Z ust ciekła im ślina, z nosa i uszu krew. Oczy mieli zamknięte.

Szczelina obserwacyjna była zdemolowana, zgnieciona obudowa, nadpęknięta płyta pancerna o grubości dziewiętnastu centymetrów. Pozostał drugi otwór, bardziej na północ – porucznik przycisnął doń głowę, potem odsunął żelazną płytę i wyjrzał, zlustrował przedpole.

Zobaczył ruch od strony niemieckiego przyczółka – zza nasypu drogi wystawały dwie cienkie, krótkie lufy działek przeciwpancernych...

Kolejne uderzenie, brzęk, albo stali, albo to w jego głowie. Pocisk zmacał kopułę, ześliznął się jednak na bok; uderzenie było straszne, oślepiało i ogłuszało – działo trzydzieści siedem milimetrów biło prosto w szczeliny, najlepszy, najprostszy cel.

– Sanitariusz! – wykrzyczał. – Dwóch rannych! Zabierzcie ich.

Wszczął się ruch, kapral Pawlak, dwóch sanitariuszy i jego ordynans spuszczali po drabince nieprzytomnych. Podoficer postawił nogę na pierwszym żelaznym stopniu, ale porucznik uchwycił go za ramię.

– Niemcy ściągnęli pepance. Nie wychylajcie się, nie do kopuły. Musimy zostać na dole.

Znów dźwięczny wybuch, jakby wszystko zamarło. Zawadzki, który przed chwilą zszedł z kopuły, zobaczył lecące wokół gwiazdki, świetliki, ale to były rozpalone kawałki metalu. Schronem zatrzęsło, ludzie chwytali się za uszy. Powoli brnął w stronę kabiny dowodzenia. To było jak droga przez piekło, nie było czym oddychać, duszno, gorąco, pył gryzł w oczy, w gardziel, osiadał na języku, ktoś rzygał w kącie, inny wrzeszczał cienko.

Porucznik dopadł do telefonu polowego, zakręcił korbką, podniósł słuchawkę do ucha i...

Cisza, przewód dawno był zerwany. Posłać zaś kogoś za pancerne drzwi – to lepiej już w schronie przystawić mu lufę do głowy i pociągnąć za spust.

I wtedy zobaczył ruch w słabym świetle podskakującej karbidówki, szedł do niego sierżant, zastępca podporucznika Puzynowskiego. Z tyłu był kapral i dwaj podoficerowie, karabinowi z jego własnego plutonu. Zobaczył ich złe, zmęczone oczy.

– Panie poruczniku, ludzie nie wytrzymują!

– Jak długo jeszcze?!

I wreszcie, w końcu to jedno złe słowo:

– Poddajmy się.

– Uch, zamknij mordę, ty głupi! – warknął sierżant. – Niemcy nas rozstrzelają!

– Lepsze już to niż ostrzał!

Schron aż podskoczył. Usłyszeli wyraźnie, jak granat uderzył w boczną, południową ścianę, we wnęce. Poprzez pozamykane drzwi słyszeli wrzask rannego, a może umierającego. A wcześniej jęk rozlatującego się metalu. Ze stropu spadły kamienie, pośpiesznie lany, niezbyt dobrze związany żelbeton pękał, kruszył się, odsłaniając żelazną konstrukcję z prętów.

– Kaem numer jeden rozbiło! Strzelnica do niczego!

– Co mamy robić?!

– Zaraz! – krzyknął, a raczej jęknął Zawadzki. – Zaraz. Czekajcie, do diabła, dajcie pomyśleć.

Wszystko się trzęsło. Wystrzały nie były słyszalne, ale po regularnych detonacjach można było poznać, że ogień prowadziły przynajmniej dwie baterie niemieckich stopiątek. Bateria to cztery działa, a więc osiem. Artylerzyści musieli się zmieniać, inaczej sami dawno by już ogłuchli. Co mieli robić stłoczeni w schronie?

Zawadzki przedarł się przez podoficerów, zajrzał do komory załogi, śmierdzącej zgnilizną, krwią, ranami i moczem. Od razu popodnosiły się na niego blade, płonące w ciemności oczy.

– Jak z podporucznikiem?

– Źle. Bardzo – mruknął zarośnięty, pokryty krwią sanitariusz. – Dałem opaski, żeby się nie wykrwawił, ale i tak wejdzie gangrena. Nogi rozprute, połamane w kawałki. Chirurga tu trzeba...

– Naszykujcie nosze...

– Nie mamy, a na płaszczu... jak go poruszać, krzyczy, jęczy, mdleje. Nie dotrwa drogi do Góry Strękowej, panie poruczniku. To trzeba lekarza lepszego niż ja, powtarzam.

Zawadzki przygryzł wargi. Zamknął oczy. Decyzja dojrzewała... Z tyłu wybuchły krzyki, jęki.

– Poddajem się! – charczał ktoś. – Ile można.

Porucznik już zdecydował.

Góra Strękowa, godzina 15.54

Działa wciąż grzmiały na zachodzie, za rzeką, dzieląc przestrzeń pionowymi błyskami luf i nieprzerwanym grzmotem, jak burzy przetaczającej się gdzieś nad widnokręgiem, kiedy w ich pogłos wdarł się warkot motorów. Z ciężkim terkotaniem od strony Strękowej Góry nadjeżdżały dwa motocykle Sokół 1000 z koszami. Podjechały najpierw pod zasieki na dole, przy skrzyżowaniu z drogą do Kurpik. Wartownicy zatrzymali ich, dowódca natychmiast zadzwonił do schronu na górze. To, co usłyszał, musiało być wielkiej wagi, bo sam razem z żołnierzami z warty odstawili ciężki, najeżony zwojami kolczastego drutu kozioł hiszpański. Motocykle pruły dalej – na szczyt wzgórza, drogą wijącą się z tyłu, bliżej stanowisk artylerii, spowite obłokami kurzu, wymijając dziury po ostatnim nalocie.

Raginis czekał w drzwiach schronu. Wyszedł, bo z kosza wyskoczył szczupły, wysoki mężczyzna w mundurze z dystynkcjami podpułkownika. Krótko przycięte włosy na skroniach, głęboko osadzone, spokojne oczy. Kapitan zasalutował, witając podpułkownika Tadeusza Juliusza Tabaczyńskiego, komendanta Centralnej Szkoły Podoficerów KOP w Osowcu i dowódcę zmobilizowanego w oparciu o nią 135. Pułku Piechoty, a zarazem odcinka obrony Narwi.

Podpułkownik natychmiast pokazał drzwi do schronu.

– Kapitanie, przyjechałem zobaczyć, co się u was dzieje. Proszę o szczegółowy meldunek.

Weszli do ciemnego wnętrza, przebili się do pokoju dowodzenia, gdzie płonęła karbidowa lampa, a na stole leżał plik wojskowych map – setek i dwudziestekpiątek, pokazujących okolice Wizny i ujście Biebrzy do Narwi. Na widok dowódcy podniósł się i wyprostował jak świeca dowódca artylerii. Strzelił obcasami.

– Melduje się porucznik Brykalski!

– Spocznij.

Raginis powiódł palcem wzdłuż własnych pozycji na mapie taktycznej.

– Melduję, że wczoraj wysadziliśmy most, odcinając się od wroga. Cały pododcinek jest w styczności z nieprzyjacielem. Słaba grupa przeprawiła się w nocy i zajęła przyczółek zniszczonego mostu. Były ataki pojedynczych oddziałów wroga wspartych czołgami. W chwili obecnej trwa ostrzał pozycji wysuniętej. Nie wiem, co się tam dzieje, łączność jest zerwana, patrolu nie mogę wysłać, bo cała pozycja jest od dwóch godzin pod ciągłym ostrzałem. Słyszy pan go zresztą.

Tabaczyński pokiwał głową. Nagle wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Rozkazuję panu wyrzucić nieprzyjaciela z przedmościa. I jak najdłużej, za wszelką cenę utrzymać pozycję Wizna. Da pan radę?

Raginis milczał przez chwilę, wreszcie przymknął oczy, jak gdyby mówił: biorę to na siebie.

– Melduję, że utrzymamy – powiedział, chociaż wzrok Brykalskiego zdawał się mówić co innego.

– Jak z artylerią?

– Mam jeszcze tylko po dwie jednostki ognia na działo. Jedna armata wypadła, rozleciała się kołyska i opornik. Nie mamy

takich części do starej siedemdziesiątkiszóstki. Przeciwnik ma dużą przewagę – mówił powoli Brykalski. – Przynajmniej dwadzieścia cztery haubice polowe. Ale co tam, zadaliśmy im dziś straty. Przynajmniej trzy czołgi i kilka samochodów zniszczone.

– Utrzyma pan Wiznę tymi siłami?

– Tak jest – powiedział z rezygnacją Raginis. – Wypełnię obowiązek do końca.

– Obiecuję wsparcie pierwszym batalionem pułku, ale nie wcześniej niż dziesiątego września. Podciągam odwód z zamiarem działania na pododcinku Wizna. Nie może pan jednak liczyć na pomoc jutro.

– Przewaga Niemców jest bardzo duża – odezwał się Brykalski. – Panie pułkowniku, mamy przed sobą przynajmniej dwie duże jednostki motorowe wroga. Ale na honor, damy radę. Jest ich tylko niecałe dwadzieścia tysięcy, a nas...

– Wiem, ma pan siedmiuset dwudziestu żołnierzy i oficerów...

– Już tylko sześciuset dziewięćdziesięciu dwóch, a odliczając dezerterów, zapewne jeszcze mniej – westchnął Raginis.

– Będzie gorzej, bo Niemcy podciągają nowe jednostki. Wreszcie dostałem wiadomości od zwiadu lotniczego. Kolejne oddziały pancerno-motorowe kierują się na Wiznę i Jedwabne prosto z Prus.

– Damy radę – powiedział Raginis, a Brykalski uśmiechnął się smutno i też pokiwał głową.

– Panowie, nie wiem, czy doszły do was ostatnie wiadomości?

– Jeszcze nie uruchamiałem RKD po nalocie. Łączność telefoniczna jest zerwana. W tej chwili patrol naprawia kable na drodze do Osowca.

– Więc posłuchajcie, jaka jest sytuacja. Nasze armie cofają się do Wisły, żeby stworzyć zwarty front obronny. Niestety, Niemcy przerzucili niespodziewanie znaczne siły nad Narew,

naprzeciwko naszej grupy operacyjnej. To te dwie jednostki, które na was nacierają. W tej chwili przełamali obronę pod Różanem, ale to jeszcze nic. Toczą się walki o Nowogród i Łomżę, bo o Osowiec wcale się nie boję. – Tabaczyński westchnął, opuścił rękę, wskazując drogę z Wizny przez Strękową Górę na Białystok. – Jeśli Niemcy przedrą się tędy, zajmą Białystok i Brześć. Tym samym wyjdą na tyły naszych armii między Wisłą i Bugiem. Nie muszę chyba wyjaśniać, że w obecnym położeniu to koniec kampanii. Musicie wytrzymać.

– Ma pan moje słowo – powiedział Raginis.

– Dziękuję. Nie zapomnę o was. Nie zostawimy was. Wytrzymajcie jeszcze jutrzejszy dzień. Będzie gorąco. Dziękuję.

Tabaczyński włożył czapkę polową, zasalutował i odszedł po cichu, jak z grobowca albo kaplicy. Raginis i Brykalski zostali sami w świetle karbidówek, w tle rozlegających się wciąż wybuchów i salw na pozycję wysuniętą.

– Nie powiedziałeś panu podpułkownikowi całej prawdy – odezwał się Brykalski.

– Po co? Przecież nie uciekniemy.

– Melduję zatem gotowość do otwarcia ognia.

– Połóż ześrodkowany na moście i przyczółku. A potem za rzeką, w miejscach, w których mogą być szwabskie baterie. Ja już przygotowałem patrol. Jeśli przestaną strzelać, pchnę go do Zawadzkiego. Muszę wiedzieć, co tam się dzieje.

– Jest ciemno, ale co tam! Spróbujemy!

Brykalski odwrócił się i wyszedł. Raginis usłyszał jeszcze, jak wchodził po stopniach do kopuły obserwacyjnej.

Góra Strękowa, godzina 16.44

Działa Brykalskiego zdołały oddać tylko dwie salwy, kiedy ogłoszono alarm. Nad Narwią, od strony Jedwabnego, pojawił się samolot, więc porucznik kazał przerwać ogień, aby nie zdradzać stanowisk. Niemiecki lotnik leciał wysoko, maszyna była z krzyżami na skrzydłach, nie zrzucała jednak bomb ani nie strzelała, wyglądała, jakby robiła zdjęcia albo rozpoznawała pozycje. Raginis, który wyszedł na papierosa, zobaczył nagle białą mgłę ścielącą się za ogonem maszyny. Serce ścisnęło się, jakby jeszcze nie dość miało nerwów. Myślał, że to atak chemiczny, ale to były ulotki. Karty papieru, które opadały niczym śnieg na pola koło Kurpik i Góry Strękowej. Niemiecka broń mająca złamać ducha bojowego obrońców.

Żołnierze!
Nie walczcie dalej bezcelowo! Szkoda waszej krwi i ofiar dla angielskich kapitalistów! Jesteście otoczeni ze wszystkich stron! Poddajcie się! To jest wasz jedyny ratunek!
Złóżcie broń!

Kapitan przeczytał to wszystko z kartki, którą przyniósł mu wartownik. Najpierw zmiął ją w ręku, potem jednak rozprostował.

– Zbierzcie to, co leży w pobliżu – rozkazał – i połóżcie w latrynie. Dość podcierania się pakułami.

– Tak jest.

I wtedy z boku, zza schronu, wybiegł kolejny wartownik. Stanął i zasalutował.

– Panie kapitanie, melduję, że wrócił patrol z pozycji wysuniętej.

– Gdzie jest dowódca? Dlaczego nie złożył raportu?

– Melduję, że patrol przyszedł razem z pierwszym plutonem i porucznikiem Zawadzkim. Mają rannych, proszą o pozwolenie

złożenia ich w schronie.

– Dawajcie ich. Niech porucznik złoży mi raport.

Minęły długie chwile, zanim powracająca obsada pozycji wysuniętej zaczęła wchodzić na wzgórze 126 stromą ścieżką od strony Strękowej Góry. Żołnierze szli poczerniali, w porwanych na strzępy mundurach, niosąc ciężko rannych w brezentowych płachtach. Podtrzymywali tych, którzy jeszcze mogli powłóczyć nogami. Wspięcie się ścieżką pod zasieki na górze było dla nich jak męczarnia, niektórzy dosłownie popadali na ziemię, dysząc i jęcząc. Wyglądali, jakby poszarpał ich szrapnel. Porucznik Zawadzki, który zasalutował przepisowo przed Raginisem, sprawiał jeszcze gorsze wrażenie.

– Melduję odwrót z pozycji wysuniętej po całodniowych walkach i ostrzale. W pierwszym plutonie ośmiu rannych, pięciu zabitych. W drugim plutonie ósmej kompanii dziesięciu zabitych, jedenastu rannych.

– Podporucznik Puzynowski?

– Ciężko ranny, pozostawiony na placówce.

– Jak to, tak po prostu go zostawiliście?

– Dostał w nogi, panie kapitanie. Rozległe rany, nie mogliśmy go nawet nieść, krwawił i mdlał. Dostał... pistolet. W razie czego.

– Jak schrony?

– Zniszczone przez artylerię. Obie kopuły pancerne, prawie wszystkie strzelnice. Schron we Włochówce prawie zburzony po ostrzale haubic.

– Rozumiem, proszę się ogarnąć, dać rannych na salę. Za kwadrans odprawa.

– Zostawiłem pięciu ludzi i kaem w schronie przy drodze. Proszę jednak o wymianę.

– Rozumiem. Zaraz porozmawiamy.

Góra Strękowa, obiekt GG-126, około 17.00

Na odprawę przyszli wszyscy dowódcy odcinków: kapitan Wacław Schmidt, dowódca ósmej kompanii, porucznik Witold Kiewlicz – dowódca drugiego plutonu trzeciej kompanii cekaemów KOP, Jan Zawadzki, dowódca pierwszego plutonu, porucznik Brykalski i jego zastępca – podporucznik Buczyński. W pomieszczeniu dowodzenia było mroczno, światło dawały tylko dwie karbidowe lampy, kopcące trochę, rozświetlające stół sztabowy i mapy. I ponure oblicza obecnych.

– Panowie, sytuacja się pogorszyła – oświadczył Raginis bez ogródek. – Niemcy zmusili nawałą artyleryjską pierwszy pluton do opuszczenia pozycji wysuniętej. Zdobyli i umocnili przyczółek koło wysadzonego mostu, w dodatku opanowali wszystkie brody, Narew i Biebrza opadły, więc ich nie zatrzymają.

Na chwilę zapadła cisza.

– Mamy przed sobą przynajmniej dwie duże jednostki wroga. Niestety, otrzymałem doniesienia od zwiadu lotniczego o nadciągających kolejnych kolumnach pancerno-motorowych. Dziś był u mnie podpułkownik Tabaczyński, rozkazał mi zepchnąć Niemców z przyczółka. Czy jesteśmy w stanie to wykonać?

Oficerowie spojrzeli po sobie. Jak zwykle najodważniejszy był Kiewlicz.

– Z dwoma plutonami piechoty i kaemów mam bić się z dywizjami motorowymi Hitlera? – zapytał porucznik. – Nie chcę podawać w wątpliwość talentu dowódczego naszego dowódcy, ale chyba nie zameldował mu pan o prawdziwej sytuacji. Jeśli wydzielę jakieś siły do przeciwuderzenia, nie starczy mi do obsadzenia międzypól. Przecież nie przyślę wam kucharzy i ludzi z taborów.

– Jestem w stanie przekazać pluton podporucznika Wilanda do obsadzenia pozycji wysuniętej i obrony. Ale wtedy na odcinku Giełczyn pozostaną tylko załogi schronów – powiedział kapitan Schmidt.

– Nie mamy sił do kontrataków – oznajmił Zawadzki. – Wykrwawiłem pluton z ósmej kompanii i mój własny, odbijając pozycję pod Włochówką. Nic więcej nie wykrzeszę z moich ludzi.

– Rozumiem... – powiedział powoli Raginis. – Zatem uznaję, że rozkaz pana podpułkownika jest niemożliwy do wykonania. Zaczekamy na posiłki. Są obiecane na dziesiątego września, pojutrze. Wygląda na to, że jutrzejszy dzień będzie najważniejszy. Musimy za wszelką cenę utrzymać pozycje.

– Będzie trudno – zauważył Kiewlicz. – Należy się liczyć z możliwością wycofania, jeśli przewaga nieprzyjaciela będzie zbyt wielka.

– I wiedząc, jak słaby materiał żołnierski mamy w pododdziałach – uzupełnił Schmidt.

– Panowie, nie ma mowy o odwrocie – uciął Raginis. – Jesteśmy oficerami, a przykład dla podwładnych powinien iść z góry!

– Nie daje się przykładu – rzekł Schmidt – siedząc osobiście w schronie, przy telefonie.

– Zaraz się o tym przekonasz – mruknął Raginis. – Nie ukrywam przed wami, że nasz pododcinek stał się głównym miejscem oporu. Niemcy chcą przedrzeć się tędy na Białystok, żeby zamknąć nasze oddziały w kleszczach między Wisłą a Bugiem. Nasze poświęcenie jest miarą zwycięstwa całej kampanii. Jeśli odstąpimy, zawali się front. Proszę o meldunki o stanie pododcinków.

– Mój pluton rozbity, połowa ranna i zabita – mruknął Zawadzki. – Schrony zniszczone, przede wszystkim kopuły

pancerne. Pozostawiłem placówkę w tradytorze przy drodze. Prosiłbym o wymianę i odpoczynek.

– Pańscy ludzie wzmocnią pozycję główną i schron na dole, w Górze Strękowej. Słucham dalej.

– Mam ciągłe straty z powodu dezercji – powiedział ponuro Schmidt. – Nie mogę spuścić z oka moich ludzi. Uciekają głównie Białorusini i inny niepewny element. Dziś znowu straciłem trzech.

– Rezerwiści – mruknął z przekąsem Kiewlicz. – Było ich wtedy rozstrzelać!

– Proszę darować sobie takie uwagi. Jesteśmy tu, żeby wspólnie walczyć...

– No, walczyć jak zwykle będziemy my, kopiści, sami w schronach, kiedy reszta piechoty pójdzie w pielesze z okopów...

– Przywołuję pana do porządku, panie poruczniku. I proszę o raport.

– Odparliśmy dziś dwa ataki przeciwnika ogniem bezpośrednim z kopuł. Niemcy szykują przeprawę i budują most w Wierciszewie. Żadnej innej aktywności nie stwierdzono. Pomimo nalotu nie mam żadnych strat. Także w drugim plutonie porucznika Szopy.

– Dziękuję. Artyleria?

– Mam po dwie jednostki ognia na działo. Pięć sprawnych armat, jedna zepsuta. Staramy się naprawić, do rana powinny strzelać wszystkie. Liczę się z możliwością wsparcia po tej stronie rzeki, bo baterie wroga są dla nas za daleko. Za duży rozrzut pocisków, niewiele im zrobimy. Inaczej tym, którzy przekroczą rzekę. Postawa i duch mojej baterii wzorowe. Wszyscy gotowi zginąć za ojczyznę – zameldował Brykalski z łobuzerskim uśmiechem.

– Panie kapitanie – zwrócił się Raginis do Schmidta – proszę wyznaczyć pluton i rozpoznać pozycje wzdłuż drogi Góra Strękowa – Wizna. Zastąpicie placówkę pozostawioną przez porucznika Zawadzkiego i sprawdzicie, czy możliwe jest powtórne obsadzenie pozycji wysuniętej. Zróbcie to w nocy, najlepiej już jutro.

– Tak jest.

– Panowie, na jutro wyznaczam ogólny rozkaz obrony pozycji w miarę możliwości ogniem bocznym, flankującym. Będziemy w stałym kontakcie. Wszystkie zerwane linie telefoniczne naprawiać natychmiast. Jutro od nas zależy los ojczyzny. Musimy wytrzymać i wytrzymamy. Dziękuję, ale proszę jeszcze poczekać! Mówiłeś o dawaniu przykładu – powiedział Raginis do kapitana Schmidta. – Zatem proszę teraz za mną!

Podniósł się i poprawił okrągłą czapkę KOP-u. Skierował się do wejścia, po drodze zajrzał do komory sypialnej.

– Kapralu, proszę zebrać całą obsługę schronu poza obserwatorem. Natychmiast.

Blady, ale nie drżący, wyszedł przed przedsionek, przekraczając wysoki betonowy próg. Wyszedł z rowu na pole, na samym szczycie wyniosłej góry nad Narwią, na czerwonawy, coraz bardziej krwawy zachód słońca. Dokoła był spokój, czasem od strony Wizny niósł się cichy stuk strzałów, jakby Niemcy wypróbowywali polską obronę.

– Żołnierze, podoficerowie, w szeregu zbiórka! – rozkazał. – Baczność!

Stał samotny na wprost grupki oficerów i wyprężonych szeregów żołnierzy. Był jak ostatni ptak pod ogromną kopułą mroczniejącego nieba, od ziemi szedł już chłód, bo noce były zimne, a dnie gorące. Widnokrąg był czysty, wiatr przewiał dymy, tylko wysoko nad głowami błyszczały biało wysklepione kłęby chmur jak hełm wartownika.

– Wszyscy tu obecni będziecie moimi świadkami – powiedział wolno. – Albowiem przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, że żywy nie opuszczę tej pozycji. – Postąpił kilka kroków i zatrzymał się przed strzelcami z trzeciego plutonu. – Przysięgam tu przed wami, prostymi żołnierzami, że nie odstąpię was do samego końca. I raczej zginę, niż się poddam. Tak mi dopomóż Bóg i święta Syna Jego męka. Amen.

Spojrzenia oficerów, jakby z niedowierzaniem. Nieruchome, jak wyciosane z kamienia oblicza zwykłych strzelców.

– Powtórzcie to swoim podkomendnym, kolegom, wszystkim dokoła. Ja, Władysław Raginis, uciekać nie zamierzam. I to wam przysięgam.

Schmidt pokiwał głową.

– Kto nie dotrzymuje słowa, ten nie jest człowiekiem. Jeśli ktoś z panów oficerów chce również dopełnić tej przysięgi, to proszę, droga wolna.

Nikt się nie poruszył, nawet Kiewlicz. Nie, stój! Ktoś się przepychał pomiędzy starszyzną. Młoda, łobuzerska twarz, czapka trochę przekrzywiona jak napoleońskie czako. Brykalski! On?!

Porucznik podniósł dwa palce. Powiedział:

– Przysięgam przed wszystkimi tu obecnymi i Tobie, Boże Wszechmogący, że pozostanę na pozycji i żywy jej nie opuszczę. Nie zostawię też kapitana Raginisa. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Trójca. Amen.

– Spocznij. Na stanowiska. Rozejść się!

Oficerowie i żołnierze stali jak wmurowani, nikt się nie poruszył. Dopiero kapral Stopiński pierwszy wystąpił z szeregu, zawołał swoich i ruszył do bunkra. Żołnierze odwracali się, rzucali niepewne spojrzenia na kapitana.

Ten zaś zbliżył się do Brykalskiego i powiedział cicho:

– Dziękuję, Stasiu.

– Ktoś musiał. Ratować... honor żołnierza polskiego. Może i wszystko się wali w gruzy, Władziu. Wszystko, ale nie honor artylerii! Będzie co potem opowiadać... po wojnie.

– Jak dożyjemy.

Kapitan wracał do schronu, jakby ubyło mu obowiązków. Dokoła było tak cicho, tak spokojnie; siadając w komorze dowodzenia, słyszał modlitwę i mamrotanie starszego strzelca, który klęczał za ścianą, w komorze sypialnej, przy otwartych drzwiach na korytarz.

Sam wyjął wieczne pióro, rozkręcił, wyciągnął z torby polowej niedokończony od prawie tygodnia list do Zofii, pomacał obrączki w kieszeni na piersi i uśmiechnął się. Zasiadł za stołem, zaczął pisać w skąpym świetle lampki.

Umiłowana Zosieńko!
Miałem już dawno pisać do ciebie, ale obowiązki dowódcy nie pozwalają mi przyjechać do dworu pana Jamiołkowskiego. Nie gniewaj się i pomyśl sama, co pomyśleliby prości żołnierze i podoficerowie, gdyby ich kapitan w tak wielkiej bliskości wroga pozwalał sobie na wizyty u narzeczonej, choćby tak pięknej jak ty.
Proszę cię, abyś była dobrej myśli o mnie i nie próbowała sama do mnie przyjeżdżać. Niemcy zaczęli nas bombardować, to zbyt niebezpieczne. U pana Jamiołkowskiego będzie ci dobrze, mam też nadzieję osłonić cię przed nieprzyjacielem, który lada dzień zacznie nacierać na nasze umocnienia na Narwi i Biebrzy...

Pisał dalej po chwili zastanowienia. Przelewał na papier myśli, które nagle wydały mu się jakieś takie pensjonarskie. Pełne patosu, którego sam nie cierpiał. Jakby nie myślał wcale

o Zofii, będącej tak niedaleko. Dziś, po tym wszystkim, może przydałby mu się ktoś, kto potrafiłby zadbać o nich oboje.

Walenie w pancerne drzwi, ustalony stukot pięścią. Raz i trzy krótkie brzęknięcia. Do środka wpadł wartownik. Od razu do komory dowodzenia.

– Panie kapitanie! Ważna sprawa! Przyszedł chłop ze wsi, zza Narwi. Przyniósł... – Żołnierz zawahał się, jakby drżał. – Wieści. Niemcy zbombardowali dziś Strękową Górę, nie tylko most, ale i wieś. Dwór dziedzica. A tam przecież żona pana kapitana.

Raginis poderwał się i zacisnął pięści. Czarne płaty zawirowały mu przed oczyma.

Na drodze do Wizny, okolice Kolna, godzina 19.03

Od chwili przekroczenia granicy Prus Wschodnich wszystkie wąskie polskie drogi, obsadzone na poboczach drzewami, zatłoczone były ciągnącymi na południe kolumnami zaopatrzeniowymi i transportowymi 3. Dywizji Pancernej i 20. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej. Kolumna ze sztabem XIX Korpusu Armijnego z trudem przeciskała się przez gęstwinę pojazdów. Na traktach nie było jeszcze źle – żandarmi po prostu kierowali ciężarówki i cysterny na pobocze, przepuszczając dowódcę i oficerów. Gorzej było w zapchanych i zatłoczonych miasteczkach. Generał Heinz Guderian, jadący w służbowym, trójosiowym samochodzie Kruppa z podniesionym dachem, podziwiał przesuwające się za oknem sznury ciężarówek, ciężkich opli blitz i mercedesów, przy których kręciły się tłumy żołnierzy czekających na otwarcie drogi. Za wolno! Wszystko za wolno! Przyzwyczajony był od lat, że dowódca pancernych

jednostek jest zawsze na przedzie, na czele atakujących wojsk. A szybkość i manewr są podstawą tej nowoczesnej taktyki wojennej, określanej już teraz, na początku wojny, mianem „blitzkriegu”. Zżymał się zatem na opóźnienia w marszu, na razie wszystko wskazywało na to, że większy opór niż wojska przeciwnika stawią im fatalne, pokręcone polskie drogi.

Kolumna sztabowa poprzedzana przez pluton motocyklistów składała się z pojazdów służbowych, kilku trójosiowych panzerspähwagenów, Kfz. 68 z radiostacjami, wozu sanitarnego i ciężarówek z obstawą. Przeciskała się przez zatory z prędkością nieprzekraczającą czterdziestu kilometrów na godzinę. Prawdziwa tragedia robiła się jednak w miastach, gdzie na rynku spotykało się więcej dróg, pokrywających ten kraj rzadką siecią połączeń. Wówczas między domkami i chałupami dochodziło do karczemnych scen, gdy podoficerowie krzyczeli na siebie, żandarmi z blachami na piersiach bezsilnie wymachiwali lizakami, bo każdy chciał wolnej drogi, każdy chciał jechać, by choć na kilka kilometrów wyrwać się z tego piekła, zanim wpadnie zaraz w następne, przy kolejnym miasteczku. Światła samochodów sztabowych wydobywały z mroku kanciaste zarysy półgąsienicowych ciągników artyleryjskich ciągnących na zaczepach długolufowe haubice polowe artylerii korpusu. Obok przemykały z ciężkim warkotem albo stały stłoczone pod ścianami chałup motocykle, blokowały przejazd wielkie i ciężkie transportery piechoty zmotoryzowanej, jak również małe, czterokołowe wozy pancerne ze sterczącymi lufami MG-34 i działek automatycznych. Przybycie sztabu korpusu uspokajało ten galimatias tylko na chwilę, nagle w pośpiechu otwierano drogę, przetaczając ciężkie wozy, usuwając przyczepy i cysterny. Jednak zaraz, gdy w oddali znikały ostatnie zarysy opli,

kolumny transportowe zamierały w oczekiwaniu, a awantury rozpoczynały się na nowo.

Guderian patrzył przez szybę na przesuwający się raz szybko, raz wolno krajobraz Polski. Pola i laski, jedne za drugimi, raz na jakiś czas otchłań głębokiego, mrocznego boru. Potem znów – zaklinowane, zastawione sprzętem wojskowym miasteczka i wioski z drewnianymi, prymitywnymi chałupami, krytymi słomą. Oglądał skrzyżowane na ich kalenicach belki, powycinane w ludowe wzory, czasem z rogami, ganki ozdobione skierowanymi w dół sterczynami i misternymi balustradami. Coś mu to przypominało. Dwadzieścia lat temu był jeszcze zwykłym kapitanem...

11 XI 1918, Bronowo koło Wizny, godzina 15.02

Weszli do izby bez pukania, nieproszeni, właśnie wtedy, kiedy stał odwrócony plecami do drzwi, poprawiając przed lustrem pas i koalicyjkę. Lustro było zawieszone na otwartych drzwiach ciężkiej orzechowej szafy, najbogatszego chyba sprzętu w zagrodzie w wiosce należącej do pana Ostrowskiego. Dzięki niemu widział ich odbicia, nawet nie odwracając się.

Czterech Polaków w wojskowych bluzach, w czapkach, zacięte, nieprzyjazne gęby, w rękach pistolety...

– Zakładam, że macie panowie ważną sprawę, żeby niepokoić niemieckiego oficera?

– Przyszliśmy pana rozbroić – powiedział najstarszy, pistolet miał w ręku, ale nie celował nim w kapitana Heinza Guderiana. – Ale nie walczyć. Wojna jest skończona. Wczoraj Niemcy podpisały bezwarunkową kapitulację.

Stał nieruchomo, a jego ręka błądziła w okolicach kabury. Do diabła, całkiem jak w jakiejś awanturniczej historii. W końcu

byli na Wschodzie...

Przez okno kątem oka Guderian widział swoich żołnierzy, cały patrol przy studni. Starczyło tylko zawołać...

Odwrócił się, rozpinając kaburę, położył rękę na rękojeści mausera. Stali, mierząc się wzrokiem, ale jeszcze nie celując.

– Proszę nie robić żadnych głupstw – powiedział starszy. – Nie chcemy pana zabijać, tylko rozbroić. Potem będzie pan zwolniony do domu. Zagroda jest otoczona, a nasz batalion ma na muszce pańskich ludzi.

Podniósł rękę do góry, Guderian myślał, że po broń, sam wyciągnął mausera, wtedy tamci trzej młodzi unieśli swoje pistolety.

A starszy tylko przytknął dłonie do czapki. Zasalutował i przedstawił się.

– Stefan Szymański, komendant Polskiej Organizacji Wojskowej w Wiźnie. Panie kapitanie, my wiemy, co to stopnie i honor wojskowy.

Patrzyli sobie w oczy. Guderian słyszał pokrzykiwania żołnierzy; wystarczyłoby tylko słowo, ale... Nie wypowiedział go. Czuł się jak w malignie, wmawiał sobie, że nie miał szans.

– Jestem chory – skłamał. Wyciągnął broń, ale rękojeścią w stronę Polaków.

– Panie kapitanie! – krzyczał ktoś z podwórka. – Uzbrojeni Polacy tu są! Co mamy robić?

– Zachować spokój – odkrzyknął słabo. – Nie prowokujcie, ich jest więcej.

– Proszę kazać im złożyć broń, a unikniemy przelewu krwi.

– Panowie, co zrobicie ze mną?

– Nic. Do jutra będzie pan, kapitanie, spać spokojnie, a potem odjedzie do Niemiec.

– Jestem słaby, więc w zamian oczekuję jakiegoś transportu...

– Będzie wóz, lecz tylko do Jedwabnego – mruknął Szymański. – Stamtąd do Prus już blisko. Proszę nie opuszczać domu, najlepiej w ogóle nie wychodzić, ja zostawiam tu moich ludzi. Nie gwarantuję za nich, jeśli spróbuje pan ucieczki.

Guderian przytrzymał się stołu, poczuł nagły zawrót głowy.

– Co z żołnierzami?

– Mówiłem: proszę im kazać złożyć broń. Do rana prześpią się w stodole, potem będziecie wolni.

Powoli, jakby miał uwiązane u nóg stufuntowe ciężary, kapitan podchodził do okna, otwierał je, uwalniając z haczyków, aby przekazać swojemu plutonowi ostatni rozkaz przegranej wojny.

Następnego dnia wywieźli go zwykłą chłopską furką naładowaną grochowinami okrytymi prostą derką. Żołnierze szli za nią, brnąc w błocie i z ponurymi spojrzeniami, i tylko wzrok leutnanta Günthera Thormanna wydawał się dziwnie przeszywający i szyderczy...

8 IX 1939, Stawiski, godzina 19.34

I dzisiaj znowu Günther Thormann, teraz już major, oficer do zleceń w XIX Korpusie Armijnym, spoglądał mu w oczy z szyderczym uśmiechem.

– Mój generale – powiedział, tarmosząc Guderiana za ramię – bo prześpisz zdobycie Warszawy. Czekają na nas!

Generał wojsk pancernych poruszył się i wstał z siedzenia, drzwiczki były już otwarte. Samochody zajechały przed duży, murowany budynek w południowej pierzei rynku, obok dwuwieżowego kościoła. Z tyłu szumiał agregat, polowe reflektory rozjaśniały mrok, zalany światłem był też cały piętrowy dom, którego strzegli motocykliści uzbrojeni

w schmeissery. Guderian wszedł do sieni, z niej na prawo, do dużej sali oświetlonej prowizorycznie rozwieszonymi żarówkami.

Przy stole czekał sztab XIX Korpusu. Poważni mężczyźni w sile wieku, żelazne krzyże i dębowe liście. Oficerowie wstali, wyprostowali się, zasalutowali. Adiutant oberstleutnant Robert Braubach wyrzucił rękę do przodu w partyjnym pozdrowieniu, jedyny zresztą. Obok stał poczciwy z wyglądu oberst Walther Nehring, szef sztabu, przy nim major Fritz Bayerlein, dowódca oddziału operacyjnego. Jego pociemniałe, czarniawe oblicze z grubymi brwiami tworzyło wyraźny kontrast z jasnoblond czupryną i twardym, jakby wyrzeźbionym narodowosocjalistycznym dłutem obliczem Braubacha. Guderian wiedział, dlaczego tak było, ale nigdy w życiu nie zwierzyłby się z tego temu gorliwemu wielbicielowi Führera.

Po drugiej stronie stołu tłoczyli się oficerowie łącznikowi dywizji, czekał tam Thormann i kilku pomniejszych oficerów.

– Moi panowie – powiedział Guderian – dziś po południu odniosłem pierwsze małe zwycięstwo na drodze do chwały. Nasz korpus nie został wcielony do Trzeciej Armii generała von Küchlera, ale pozostaje pod ogólnymi rozkazami sztabu Grupy Armii Północ. Nasze zadanie jest proste – przejechał ręką po mapie w okolicach Wizny – musimy jak najszybciej uderzyć jednostkami szybkimi na tyły wojsk polskich zgromadzonych w okolicach Warszawy, żeby uniemożliwić im wycofanie się na wschód i stworzenie linii obronnej na rzece Bug. Przypominam, że w składzie korpusu zaszły zmiany, w tej chwili pod nasze rozkazy przechodzi Dziesiąta Dywizja Pancerna i Brygada „Lötzen”. Pierwsza Dywizja Pancerna zostaje w Prusach jako odwód grupy armii, a Trzecia Pancerna i Dwudziesta Zmotoryzowana pozostają bez zmian. Zarządzam zatem, co następuje...

Wszystkie spojrzenia skierowały się na mapę.

– Dziesiąta Dywizja i Brygada „Lötzen” mają pozostać na swoich stanowiskach nad Narwią i Biebrzą. Obie mają wykonywać poprzednie rozkazy przebicia się przez polskie linie obronne. W tym czasie Dwudziesta Dywizja Zmotoryzowana zajmie pozycję nad Narwią na prawo od Dziesiątej Dywizji. Trzecia Dywizja Pancerna pana generała Geyra von Schweppenburga niech posuwa się na Jedwabne i pozostaje jako odwód korpusu. Okoliczne drogi są w fatalnym stanie i tak wąskie, że do rana nie dotrze pan na miejsce. Nalegam jednak, aby szkolny batalion pancerny wyposażony w czołgi typów trzy i cztery pozostawał w gotowości do udzielenia wsparcia Dziesiątej Dywizji. Jak meldunki zwiadu?

– Siły Polaków – rzekł Nehring – jak donosi zwiad lotniczy, nie przekraczają kilku batalionów. Mają na tym kierunku schrony, ale nie spodziewam się silnego oporu.

– Panie generale – odezwał się oficer łącznikowy 3. Dywizji – Wizny bronią doborowe jednostki szkoły oficerskiej w Osowcu, które...

– Które są nieliczne i słabo uzbrojone – przerwał mu bezceremonialnie Guderian. Nasz korpus liczy czterdzieści trzy tysiące oficerów i żołnierzy, czterysta pięćdziesiąt czołgów, dwieście dział i moździerzy, wspierają nas sztukasy z pułku lotnictwa szturmowego. Jak bić, to na całego! Spodziewam się rano przełamać linie wroga i wieczorem nocować już w Zambrowie albo w Wysokiem Mazowieckiem.

– Panie generale, melduję, że nasz dowódca generał Schaal został wczoraj ranny w wyniku polskiego ostrzału. Komendę przejął generał Stumpff.

– To nie był żaden ostrzał – przerwał Guderian.

– Ależ widziałem na własne oczy...

– Nic pan nie widział. Proszę zameldować wyżej, że generał miał... „wypadek”. Na moją odpowiedzialność. Poza tym dywizja ma kontynuować poprzednie rozkazy Trzeciej Armii. Jakieś pytania?

– Czy pan generał może wskazać jakiś dalekosiężny cel naszego natarcia? – zapytał major Fritz Bayerlein.

– Tak jest, twierdza w Brześciu nad Bugiem, niech pan zapisze i pamięta, że to jest główny obiekt naszego natarcia.

– Przydałoby się dokładniejsze rozpoznanie polskich pozycji – odezwał się Thormann. – Na zdjęciach widać tyle pagórków, że nie jesteśmy w stanie stwierdzić, które z nich to kopuły pancerne, a które kopki siana.

– Nie ma czasu. Schrony muszą zostać zdobyte o świcie. Pokażmy panom generałom z OKH, jak naprawdę wygląda natarcie czołgów. Wykonać!

– Za Führera! – poderwał się Braubach, zmuszając wszystkich do wyrzucenia rąk w pozdrowieniu. – *Heil Hitler!*

– Za Führera i Rzeszę – podsumował Guderian. – Doceniam pańskie uświadomienie polityczne. Proszę zatem, żeby dopilnował pan rozkazów dotyczących przemarszu Trzeciej Dywizji w terenie. Zajmie to panu czas zapewne do świtu.

– Tak jest! – Braubach wyprostował się i strzelił obcasami.

– Dziękuję, jesteście panowie wolni.

– Papieroska? – zaproponował Thormann.

– Oczywiście. Idziemy spać, majorze. Nad ranem muszę jechać do Dwudziestego Pierwszego Korpusu Piechoty, do naszego sąsiada generała Falkenhorsta, sprawdzić, co u nich.

– Wysoko mierzysz... Forsować linie umocnień w jeden dzień. Nie bez powodu żołnierze gadają o tobie „szybki Heinz”.

– Ty i ja nie mamy rodowego „von” przed nazwiskiem. Jesteś synem zwykłego chłopa spod Allensteinu, a ja pospolitego

oficera z Prus Zachodnich. Czym, jak nie śmiałością, szybkością i pracą, zdobyliśmy to wszystko, co mamy?

– Tylko że ja jeszcze musiałem w tym celu zabić trzech Francuzów na pozycjach nad Marną. Obyśmy za jutrzejszy dzień nie zapłacili żołnierską krwią. Nie jesteś już kapitanem, a ja podporucznikiem. Nie będziemy na pierwszej linii jak kiedyś.

– Zapewniam cię, że będziemy. Jak wrócę od Falkenhorsta, zaraz jadę pod Wiznę. Nie zwykłem dowodzić z tyłów jak Kluge czy Paulus. Sukces zawsze ma wielu ojców, tym razem ja będę pierwszy. Moich czołgów nie zatrzymają Polaczki w schronach.

Strękowa Góra, godzina 18.27

Dwór był spalony i zrujnowany. Z daleka biły w niebo smugi ciemnego dymu. Już sama aleja wielkich lip, szumiących latem rojami owadów, była pokaleczona, poszczerbiona. Drzewa połamane, jedno wyrwane przez bombę z korzeniami... Co krok – to gorzej.

Dach spalił się i rozpadł, pozostawiając osmalone belki; pożar nie strawił całości, widać podmuchy bomb po prostu rozwaliły ściany, rozrzucając połamane bale i belki we wszystkie strony świata. Raginis zsiadł z konia przed zawalonym gankiem, rzucił wodze, a potem wstąpił na rumowisko, próbując przypomnieć sobie, gdzie była sień, a gdzie salon, w którym siedzieli, jedli, grali w karty, kłócili się i odpoczywali. Po połamanych porożach, resztkach postrzępionych obrazów i nadpalonych szczątkach klepek podłogi poznał największe pomieszczenie dworu. Bomby rozszarpały na strzępy ten unikalny klimat starego miejsca. Zniszczyły piec z zielonych kafli, wielki, bielony kominek. Z rumowiska desek i bali sterczały złomki

murowanych ścian i dwa okopcone ogromne kominy wznoszące się nad rumowiskiem.

O dziwo, ocalał kredens z resztkami porcelany i obraz przedstawiający pięknego siwego konia na tle stepu, ciągle wiszący krzywo na zrujnowanym kawałku murowanej ściany. Bohatyr? Wokół dworu kręciło się kilku chłopków ze wsi, wyciągających spod szczątków nadpalone meble, głównie krzesła i fotele, przenoszących je potem dalej, do ogrodu za dworem.

Przestąpił przez belkę, pod którą było kiedyś wejście do gabinetu, zobaczył niskiego chłopaka o przydługich, opadających na kark włosach. Pod pachą tamten trzymał zegar z kukułką, uratowany, a raczej wyszabrowany z ruin. Rozpoznał bezczelne oczy Błażejka, niegodziwego kamerdynera Jamiołkowskiego, zobaczył, nad czym się tamten pochylał i co wyciągał spod gruzów. Krzyknął, złapał za pistolet.

Zanim wyciągnął visa, tamten uciekł pochylony nisko – złodziej, szelma, wor. Raginis nie ścigał go, pochylił się nad jego niedoszłym łupem. Zobaczył brązowy, nadpalony pugilares, a raczej jego fragment wystający spomiędzy poczerniałych, zwęglonych desek. To była jego własność, zostawił go we dworze na przechowanie.

Szarpnął i... Resztki spalonych zdjęć rozleciały się dokoła jak szarawe płatki śniegu. Tylko że to nie był śnieg, ale całe życie. Przepadły wszystkie... Wszystkie! Te z Wilna, z gimnazjum, te z siostrą Marią, z ojcem, z matką, ze szkoły podchorążych. Z Inflant polskich, z Dźwińska. Jedyne, które mu zostało, to Zofii, Zosieńki.

– Zosiuuuu! – krzyczał, rozglądając się po rumowisku. – Zosiuuu! Gdzie jesteś? O Boże!

Jak oszalały kręcił się po spalonym dworze i nagle uświadomił sobie, że ktoś go wołał; kobiecy krzyk, niczym jęk.

Dochodził spoza rumowiska, z ogrodu, z jakiegoś miejsca pod drzewami.

– Władek!

To była Lodzia, pokrwawiona, blada, twarz miała pokrytą cętkami zakrzepłej krwi, włosy w nieładzie, warkocz rozplątał się zupełnie. Lewą rękę trzymała na temblaku.

Przyskoczył do niej, a wtedy padła mu w ramiona, jęknęła, kiedy przygarnął ją mocniej, miała chyba złamaną albo potrzaskaną prawą rękę. Ich usta spotkały się mocniej niż zwykle, kiedy dziewczyna zarzuciła zdrową, lewą rękę na szyję oficera.

– Lodziu, nie teraz! Czekaj. – Nadaremnie próbował ją odsunąć, może po prostu nie miał siły. – Gdzie Zofia? Gdzie Zosieńka? A ojciec? Konie?

– Zofia, Zofia... po co ci jakaś Zofia! Ja tutaj jestem, przeżyłam... Dla ciebie. Władku, nie odchodź ode mnie!

Już widział wszystko – stos połamanych mebli w ogrodzie, pod dębem, wóz wyładowany sianem, obok – jakieś ciała, okryte postrzępionymi, nadpalonymi płachtami albo prześcieradłami. O Boże!

Wyrwał się z objęć Lodzi i dopadł do tego miejsca. Spojrzał na wóz i zadrżał. Zosieńka leżała nieruchomo na plecach, z bladą, pociemniałą twarzą znaczoną dwoma skaleczeniami. Nakryta pledem. Głowę miała w bandażach, a na ich szarawym płótnie krew.

Porwałby ją w ramiona, ale jakiś drobny, łysawy człowiek w okularach zastawił mu drogę, chwycił za rękę.

– Zosieńka!

– Żyje! Żyje, przestań pan krzyczeć, panie oficerze. Jeszcze żyje, ale i to nie wiadomo ile... Nie ruszać jej, ranna w głowę, coś z kręgosłupem, nieprzytomna i tak.

– To moja... – wycharczał – moja narzeczona.

– Weź pan ją za rękę, kapitanie. I módl się.

Raginis ujął ją za szczupłą rękę, podniósł, ucałował. Była chłodna, jakby już umarła, z trudem wyczuwało się puls.

– Niech pan coś robi! Ratuje ją.

– Szanowny panie – skłonił się mężczyzna – ja jestem tylko weterynarzem z Mężenina. Co ja tam mogę, odebrać poród u klaczy albo wyleczyć kolkę u wałacha. Co tylko byłem w stanie, to już uczyniłem. Tu potrzeba lekarza, chirurga, szpitala. Musi pan odwieźć narzeczoną do Białegostoku!

– Kto to zrobi? Zapłacę.

– Ja ją odwiozę, sama też muszę do szpitala – usłyszał cichy głos Lodzi. – Boli. Funt nas zawiezie.

Zza wozu wyszedł niski, chudy Żydek z długą brodą i pejsami. Skłonił się, a wtedy Raginis wyciągnął z kieszeni wszystkie pieniądze, prawie dwieście złotych, wręczył mu, wcisnął w rękę, choć tamten zrazu mitygował się, nie chciał brać.

– Bierz, bierz i ruszaj.

– Tak będzie. Ja zaraz... Tylko panią wsadzę. Zawiozę, a jakże – mówił, jakby się tłumaczył. – Ja znać od zawsze, od tyla – pokazał ręką w okolicy kolan – pana dziedzic Jamiołkowskiego i panienkę.

Raginis teraz powiódł wzrokiem po obecnych. Zobaczył Jamiołkowskiego siedzącego na kulawym krześle, wpatrującego się pustym wzrokiem w pozostałości dworu. Policzył wszystkich, popatrzył na dwa ciała przykryte obrusami. Ksiądz Reszka... Safian.

– Nie można było ich uratować. – Łzy jak krople deszczu płynęły po drobnej, delikatnej twarzyczce Leokadii. – Tyle co zdążyłam wypuścić konie na łąki.

Przytuliła się znowu do Raginisa, ale odepchnął ją, bo żal, złość i miłość do Zofii zlewały się teraz w jedno.

– To przez ciebie! Tego chciałaś, prawda? Byłaś zazdrosna!

– Tak, to źle? Ale nie zamierzałam, nie myślałam... Przecież nie wepchnęłam jej pod bomby! – krzyknęła z płaczem. Nagle zaczęła jedyną zdrową ręką drapać się po twarzy, jakby chciała rozedrzeć wargi i policzki.

– Uspokój się, przestań. To już nic nie zmieni...

– Przecież ja wtedy... Byłam z końmi.

– Jak to? Przetrwały?

– Tak. Tam są! Wypędziłam je na łąki, kiedy to się stało.

Patrzył między drzewami na wygrodzone pastwisko nad rzeką, na którym kręciło się stado. Konie kłusowały niespokojnie, czasem podgalopowywały, podrzucały piękne łby, jakby chcąc popisać się delikatnymi grzywami. Wydawało się, jakby spoglądały na dwór, wypatrywały dawnej stajni, domu, który nie istniał.

Raginis już nie miał sił odpychać Lodzi. Tulił ją jak dziecko, jak prawdziwą narzeczoną.

– Za co to wszystko... – powiedziała z żalem – nam zrobili? Za co ta wojna, dlaczego oni są tacy... tacy?

– Wszystko będzie jeszcze jak dawniej – powiedział, dobierając słowa, w które sam już nie wierzył. – Wszystko się jeszcze ułoży.

– Nic się nie ułoży. Och, głupi, głupi mój papa! Po stokroć głupi.

Raginis szarpnął Jamiołkowskiego za ramię.

– Patrz pan, do czego doprowadził pański upór! Jak wszystko się skończyło! Jak?!

Dziedzic milczał.

– Nigdy pan nie grał o konie i ojcowiznę. A jednak przez upór postawił pan wszystko na jedną kartę! Ksiądz Reszka, sługa nie żyją. Moja Zosieńka... umiera. Patrz pan na to wszystko.

Milczenie. Stary się zaciął, wpatrywał się w ruiny, w dymy, w płomienie. W chłopów wyciągających spod belek połamane, poszarpane obrazy koni.

– Na mocy prawa wojennego konfiskuję pańskie stado! Nakładam zarazem obowiązek doprowadzenia wierzchowców do koszar Dziesiątego Pułku Ułanów Litewskich, jako koni remontowych! Nakazuję to natychmiast wykonać. Jarmulik!

– Na rozkaz! – zameldował się starszy strzelec.

– Weźmiesz kogoś do pomocy i zagnacie to stado do koszar Dziesiątego Pułku! Potem wrócicie jak najszybciej. Czy mnie pan słyszał, panie Jamiołkowski? Ja nie proszę, ja żądam!

– To nie jest takie proste, jak pan myśli, panie kapitanie. Nie byłem tu dla pana, dla pychy i dla dworu. Byłem tu dla koni... Dla nich. Dla Bohatyra.

– Zwracam go panu.

– Nic podobnego! Musi pan go zatrzymać. – Jamiołkowski wpatrywał się teraz w Raginisa jak błędny. – To nie jest zwykły koń! Miał go mój ojciec w powstaniu... styczniowym, dosiadał jego dziad i naddziadowie. To jest koń, w którym zaklęty jest duch wolnej Polski.

– Pan jest niespełna rozumu!

– Pojadę, tylko jeśli pan go tu sprowadzi i obejmie nad nim pieczę. Powiem, jak to zrobić!

– Proszę siadać na wóz. Jarmulik, wypędzajcie konie!

– Nigdzie nie pojadę, dopóki pan nie zrobi, co powiedziałem. Musi pan strzec go do końca tej wojny.

– Proszę wstać! Moja narzeczona jest ciężko ranna!

– Ten koń ma szczęście, które przechodzi na jeźdźca. Przeżyje pan na nim wojnę, wyciągnie pana z najgorszych opresji. On się nie może dostać w ręce Niemców!

– Wstawaj pan!

– Nie pojadę nigdzie i nie puszczę córki, póki pan nie przyprowadzi Bohatyra. Chce mnie pan szarpać, pobić? Mnie, starego? Nie będzie to godne honoru polskiego oficera.

– Do diabła! Jarmulik, przyprowadź Bohatyra!

– To co mam najpierw...

– Najpierw go, do cholery, przyprowadź!

Starszy strzelec spełnił rozkaz, przyszedł z koniem, sprowadził siwka do ogrodu, przytrzymał za wodze, kiedy piękny jak łania wierzchowiec stał przed właścicielem.

Stary Jamiołkowski podniósł się i położył rękę na głowie konia – dokładnie tam, gdzie mieści się miękkie jak puch miejsce. I pogładzony tam, posłuszny zwierzak zwykle zwiesza głowę, pokazując swą miłość do pana.

– Bohatyr, Bohatyr, byłeś i jesteś przez wieki – wycharczał Jamiołkowski. – Rąbałem na tobie Moskali w powstaniu i na Kresach, budionnowców pod Komarowem, Niemców w Wielkopolsce i na Śląsku. Zwracam ci wolność, zwracam ci wiatr. Leć! – zakrzyknął.

Wierzchowiec wyprężył się, potrząsnął głową, jakby zbudzony ze snu.

– Teraz go weź, kapitanie. I mów... Mów...

Raginis obejrzał się na Lodzię, która płakała bezgłośnie, na chłopów i Żyda Funta, którzy patrzyli na to wszystko jak na dziwowisko. A jednak powtórzył za dziedzicem.

– Bohatyr, jesteś mój. Na zawsze i wszędzie, w polu i w niebie, o świcie i o zmierzchu, póki sam ci wolności nie oddam.

Wtedy Jamiołkowski sam podszedł do wozu, wdrapał się z przodu na kozioł wyłożony baranią skórą i usiadł skulony. Raginis podniósł Lodzię jak dziecko i posadził z tyłu na sianie, przy nieprzytomnej Zofii.

– Władku, zostań ze mną, proszę, nie złość się.

– Ciiii – położył palec na wargach – nic nie mów. Wszystko się może zdarzyć.

– Odnajdziesz mnie po wojnie, prawda? Prawda?

Pożegnali się pocałunkiem, potem wóz ruszył, z przodu jechał Jarmulik i łącznik, zaganiając stado spędzone z łąk nad Narwią. Raginis przypomniał sobie jeszcze o czymś, dogonił trzęsący się, jadący wolno wóz i wyciągnął z mapnika list do Zofii.

– Daj go jej, jeśli... – chciał dodać „przeżyje", ale tylko westchnął. – Dopiero teraz miałem czas go skończyć. A ona leży jak martwa.

– Będę się nią zajmować – powiedziała Lodzia. – I czekać. Kiedyś pobijecie tych cholernych Niemców.

– Kiedyś wrócę, zobaczysz. Odwiedzę was. Pisz do mnie!

Wóz oddalał się, trzęsąc się na wybojach. Raginis wskoczył na Bohatyra i jechał za nimi jakiś czas, do końca drogi dworskiej. Samotny, szczupły i wyprostowany w kulbace kapitan KOP-u w czapce z okutym daszkiem i błękitnym otokiem. Oświetlany ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

„Wtedy widziałam go ostatni raz" – miała wyszeptać po latach Leokadia. „Takiego zapamiętałam mojego kapitana".

Wracał galopem przez pola zasnute dymem, słysząc co jakiś czas strzały od strony Wizny. Pędził, omal nie wpadając do dołów, przeskakując nad zwalonymi sosnami i brzozami, leciał jak ptak ku przeznaczeniu. Na dole, na skrzyżowaniu drogi do Kurpik i Góry Strękowej, zatrzymał konia, zdjął z grzbietu kulbakę oficerską okutą mosiądzem, zerwał czaprak, rozpiął paski na pysku i zsunął ogłowie razem z kantarem.

– Bohatyr! – zawołał do konia, najpierw poklepał go po szyi, pogłaskał, wsłuchując się w oddech zwierzęcia, czując bijące od niego ciepło. Przepiękny był to koń! Jak marzenie; ale Raginis

pozostawił ostatnie z marzeń pogrzebane pod gruzami dworu w Strękowej Górze.

Klepnął konia po zadzie, zamachał rękoma.

– Uciekaj! – krzyknął. – Leć za stadem, za panem! Znikaj, tu tylko zginiesz, nie wezmę cię do schronu.

Koń nie chciał iść. Odskoczył, ale zaraz zatrzymał się, podnosił i opuszczał głowę, wpatrując się jakby z niedowierzaniem w człowieka wielkimi, ciemnymi oczyma. Strzygł uszami.

– Uciekaj! – krzyknął kapitan. – Poszedł precz! Idź!

Rzucał się, machał, odpędzał wierzchowca, którego przywiązanie łamało mu serce. Sam zrozpaczony, z rozdartym sercem, pochwycił wreszcie gałąź ściętą przez pociski i zdzielił nią konia, postraszył.

Bohatyr prychnął, stulił uszy i poszedł, popędził najpierw drogą, stukając podkowami, ścigany gniewnym głosem kapitana. Potem skręcił w prawo, w łąki za Kurpikami, prosto w dąbrowę i dalej, w ciemny, mroczniejący bezmiar pól i mokradeł, za którymi leżał las pod Rudnikami. Kapitan westchnął, poczuł ulgę, ciężar spadł mu z serca. Nie chciał zostawiać zwierzaka na pewną śmierć. Wolał już, by ktoś go złapał, by komuś służył, niż zginął tutaj albo dostał się do szwabskiej niewoli.

Pół godziny później powiedział o wszystkim Brykalskiemu. Porucznik miał łzy w oczach. Nic nie mówił.

Twierdza Osowiec, sztab 135. Pułku Piechoty, godzina 23.36

Była już późna noc, kiedy podpułkownik Tabaczyński wrócił do twierdzy, do pomieszczeń sztabowych w forcie centralnym. Po ciężkiej podróży przez zbombardowane drogi pomiędzy Strękową Górą a Osowcem zmęczony walił się z nóg. Cisza na odcinku gwarantowała chociaż kilka godzin snu; nie miał go wiele, odkąd w twierdzy zmobilizowano 135. Pułk Piechoty.

Ledwie wszedł do pokoju komendanta, otwarły się drzwi, stał w nich adiutant, kapitan Kazimierz Grzybowski, zasalutował, podał długą taśmę z aparatu Hughesa, pokrytą ciemnymi rządkami liter.

– Panie podpułkowniku, depesza z dowództwa.

Tabaczyński spojrzał na długą taśmę, przysunął ją do światła lampy zasilanej przez pracujące całą noc prądnice, przeczytał:

Dowódca Grupy Operacyjnej „Grodno”, gen. bryg. Józef Olszyna-Wilczyński. Z tą chwilą przechodzi pan pod moje rozkazy. Proszę zarządzić pogotowie marszowe 135. Pułku. Na odcinku pozostanie baon forteczny, stacje załadowcze Knyszyn i Białystok. Załadować w nocy z dnia 8 na 9 IX.

Nie, to nie mogła być prawda! Miał chęć zgnieść tę dziwną, tę nieprawdopodobną wręcz depeszę z rozkazem.

Wstał, przeszedł obok adiutanta i skierował się do sąsiedniego pokoju łączności. Całą noc stał tam w gotowości aparat Hughesa, podobny trochę do maszyny do szycia, bo zaopatrzony w szereg kół, jeszcze więcej zaś do instrumentu muzycznego. Miał klawiaturę jak fortepian – duże białe i czarne klawisze. Pod stolikiem zawieszone były ciężarki na łańcuchu, jakby wyjętym z roweru lub motoru.

Przy maszynie czuwał cały czas podporucznik, oficer dyżurny.

– Proszę nadać do Grupy Operacyjnej „Grodno” – podyktował Tabaczyński: – „Panie Generale, rozkaz otrzymałem, uważam, że to jakaś mistyfikacja, proszę o potwierdzenie”.

Podporucznik natychmiast uruchomił maszynę. Stukał w klawisze z szybkością zawodowej maszynistki. Odpowiedź przyszła prawie po chwili:

Tak, rzeczywiście, taki jest rozkaz naczelnego wodza.

– Proszę odpisać, jak najszybciej – powiedział podpułkownik, oblicze miał blade i nieruchome. Podporucznik uderzył w klawisze, głowica z czcionkami stukała po papierowej taśmie.

W tej chwili wracam spod Wizny, npl przygotowuje natarcie; jeśli jutro przerwie odcinek – jego oddziały zmotoryzowane będą w Białymstoku prawdopodobnie wcześniej niż moje. W każdym razie 8. kompanii spod Wizny wyciągnąć nie mogę.

Odpowiedź była od razu.

Tak, to smutne – proszę poczekać przy aparacie.

Minęła chwila, bardzo długa chwila. Tabaczyński przełknął ślinę, gardło miał tak wyschnięte, że jego głos chrypiał i załamywał się. Aparat Hughesa terkotał jak karabin maszynowy, jakby przynosił wyrok śmierci na załogę Wizny.

Pułk bez 8. kompanii załadować... Zamiarem naczelnego wodza jest skoncentrować wszystkie niezużyte oddziały na południu Polski celem wykonania decydującego uderzenia.

– Proszę potwierdzić odbiór – rozkazał Tabaczyński, odchodząc od aparatu ze zwojami papierowej taśmy w ręku. Siadł przy stole, obok łącznicy telefonicznej, wziął w rękę słuchawkę. – Łączcie mnie z Wizną, z kapitanem Raginisem – powiedział ochryple.

I nagle odłożył ją z trzaskiem.

– Nie, nie łączcie. Wybaczcie.

Ukrył twarz w dłoniach, ale tylko na chwilę. Nie mógł powiedzieć o tym kapitanowi. Nie mógł przekazać słów generała Olszyny-Wilczyńskiego temu obowiązkowemu, najwierniejszemu z oficerów pułku KOP „Sarny”.

– Wysłałem go na śmierć – wyszeptał sam do siebie, jakby szukał rozgrzeszenia dla roli posłusznego wykonawcy rozkazów.

---

5 *Hinlegen!* (niem.) – Padnij!

6 *Sanitäter!...* (niem.) – Sanitariusz! Pomocy! Sanitariusz...

7 *Zurück!* (niem.) – Odwrót! Wszyscy odwrót!

Redakcja i administracja:
Lwów, Akademicka 14
Telefony: 249-58 i 241-00.

ILUSTROWANY

Cena 20 groszy.

KURYER CODZIENNY

Założyciel: Maryan Dąbrowski.

Rok XXX. Kraków - Lwów, sobota 9 września 1939 Nr. 247.

Pierwsza linja Zygfryda złamana na całej szerokości.

Paniczny odwrót wojsk niemieckich.

PARYŻ 8 września (tel. wł.) Associated Press donosi, że w nocy z 6 na 7 b. m. **wojska francuskie w brawurowym ataku zajęły pierwszą linję niemieckiej linji Zygfryda**, wyrzucając z niej obsadę niemiecką. Wojska niemieckie w dzikim popłochu **cofnęły się na drugą linję obronną.**

—o—

Niemcy przerzucają masowo wojska z Polski na front zachodni.

LONDYN, 8 września (tel. wł.). Jak donosi komunikat sztabu brytyjskiego, **Niemcy pospiesznie przerzucają swe wojska z frontu wschodniego na front zachodni.**

Siedem dywizji zostało przerzuconych z Polski dla obrony zagrożonego frenta zachodniego. Armja francuska wciąż posuwa się naprzód.

Fortyfikacje linji Zygfryda wy-

nierze niemieccy narzekają na wilgoć i na **siechlizne. Powietrze jest** zepsute i nie można zupełnie odćyhać.

Wielką niespodziankę dla Niemiec przygotowuje armja brytyjska.

LONDYN 8 września (tel. wł.). Radjo angielskie ogłosiło w dniu dzisiejszym, że dotychczas nie podaje żadnych szczegółów operacyjnych armji brytyjskiej. W najbliższych dniach należy oczekiwać pewnych, które będą wielką niespodzianką. To powiedziała armji brytyjskiej matka, rzeka prosta, być przygotowane w największej tajemnicy.

—o—

stosował wewnątrz kraju w stosunku do własnych obywateli, chciałby zastosować i w świecie międzynarodowym. Sprawa, o którą walczy świat nigdy nie była słuszniejsza. **Trzeba walkę prowadzić do samego końca, bez względu na ofiary i szkody.** Jakie walka ta mogłaby za sobą pociągnąć. Już teraz można stwierdzić, że z walki tej

IMPERJUM WYJDZIE JESZCZE BARDZIEJ ZWARTE,

wszystkie bowiem dominja stanęły wiernie i natychmiast obok swojej macierzy.

„Manchester Guardian" pisze: Plan Hitlera szedł w tym kierunku, by **drogą pokojowego dyktatu wyeliminować Polskę z frontu pokojowego, aby potem na wiosnę móc rzucić się na Zachód. Ten plan mu się nie udał.**

Rozpoczął więc operacje błyskawiczne, które miały powalić przeciwnika, aby wkrótce

POTEM DOBRAĆ SIĘ DO RUMUNJI I PAŃSTW BAŁKAŃSKICH.

Ale i ten plan zawodzi całkowicie.

Armja polska bije się bohatersko, bronjąc każdej piędzi ziemi.

Należy złożyć hołd dyscyplinie i odwadze całego narodu polskiego. Armja polska jest całkowicie nietknięta. Liczba jeńców polskich jest zupełnie minimalna.

Strata pewnych terenów jest po-

Rozdział VI

40 do 1

9 IX 1939, na drodze między Kurpikami a Wizną, godzina 1.07

Szli poboczem drogi na Wiznę luźną dwójkową kolumną. Noc była ciemna i zimna, księżyc bliski nowiu nie świecił prawie wcale. Z przodu posuwała się szpica podporucznika Wilanda z erkaemem, dalej pozostałe siły plutonu z kapitanem Schmidtem.

Wiatr nie wiał, Niemcy nie strzelali, stąd kroki żołnierzy czasem niosły się stukotem po drodze. Trakt był podziurawiony. Co chwila obchodzili leje po wybuchach, przekraczali powalone drzewa, rozszczepione pnie, połamane gałęzie. Na łąkach i torfowiskach z prawej, nad Narwią, widzieli tlejące się ognie, zalatywało stamtąd spalenizną. Poza tym nic. Pusta, głucha noc. Aż strach było przemykać się coraz bliżej wroga.

Nagle kapitan zobaczył światełko latarki z przodu. To Wiland dawał znać. Coś się działo!

– Pierwszy pluton, w prawo rojem marsz! – zakomenderował kapitan, a rozkaz powtórzony przez podoficerów dotarł do wszystkich żołnierzy.

Skręcili w prawo, do sosnowego lasu, między drzewa. Niektóre połamane od wybuchów.

– Zająć stanowiska!

Przycupnęli za drzewami, w wykrotach, bo Wiland znów dawał znaki. Na razie zrobiło się cicho. Żadnych głosów, nawet zza rzeki nie dochodził odbijający się od lasów warkot motoru. Żołnierze zachowywali spokój tylko przez chwilę.

– A nasz kapitan Raginis to gdzie pojechał, widzieliście? – zaszemrał ktoś z tyłu.

– Jak gdzie? Do kapitanowej. Nie wiecie, że mu ją zbombardowali?

– Myślałem – podsumował ktoś – jak zaraz będzie za Bugiem. A on wrócił... Porządny chłop jednak.

– Przecie przysięgał, nie słyszeliśta?

– Co przysięgał?

– Że nas nie zostawi. Do śmierci.

– Jego czy naszej?

– Swoich na pewno nie zostawi. Tych z KOP-u, z trzeciej kompanii.

– Zamknąć się! – warknął Schmidt. – Cisza, do diabła! Coś się dzieje!

Nad drogą niósł się zbliżający się hałas, ciche człapanie, chrzęst kamieni, przeradzający się w szybki stukot kroków. Ktoś biegł od strony Wizny.

– Sam jeden – szepnął strzelec Subota, przydzielony do patrolu przez kapitana Raginisa jako znający teren. – Chyba nasz.

Nagle usłyszeli ciężki oddech, w ciemności prawie nic nie było widać, tylko podłużna, zwiększająca się coraz bardziej plama przybierająca kształt człowieka.

I ten człowiek – żołnierz – biegł, pędził zdyszany, ledwie żywy skrajem nasypu, oglądając się za siebie.

– Weźcie dwóch i zatrzymajcie go! – rozkazał Schmidt plutonowemu.

Ten skinął na swoich. Podnieśli się, wyskoczyli na szosę, prosto przed uciekającego.

– Stój! Kto idzie!

Biegnący aż krzyknął, zatrzymał się; w pierwszej chwili zatrzymał się, w następnej rzucił w stronę lasu, chciał zwiać, ale stamtąd wyskoczył Subota, chwytając karabin w obie ręce, zagrodził mu drogę, w tej samej chwili plutonowy uchwycił uciekającego za kołnierz, przytrzymali go dwaj pozostali strzelcy.

– Stój! Dokąd, do cholery?!

– Już nie wyfruniesz, ptaszku...

– Ja swój! Ja swój! – wybełkotał tamten. – Z trzeciego plutonu. Z posterunku plutonowego Wąska. Zostawił nas porucznik Zawadzki, jako placówkę przy drodze.

– To dlaczego nie jesteś ze swoim oddziałem? – zapytał Schmidt. – Wiesz, co ci grozi za samowolne opuszczenie szeregów?

– Nie wiedzieliśmy, co robić, panie kapitanie. Zostawili nas, każdy jest ranny, a Niemcy...

– Widzieliście ich chociaż?

– Za rzeką. Są za rzeką. I coraz więcej, cięgiem przyjeżdżają nowe auta po ciemku. Mnie plutonowy wysłał spytać, co z naszym posterunkiem...

– Bez karabinu? Bez hełmu? Jakże tak?

Schwytany podrapał się po kędzierzawych, skołtunionych włosach.

– To żeby szybciej!

– Staniecie do raportu, jak wrócimy. A teraz baczność! Spocznij! Dołączyć do drużyny. Panie plutonowy, miejcie na niego oko!

– Tak jest!

Schmidt dał znak latarką Wilandowi, że wszystko w porządku, mogli ruszać.

– Pierwszy pluton, za mną! Pierwsza, druga drużyna, na równej wysokości marsz.

Teraz szli wolniej, bo przedzierali się przez las. Byli coraz bliżej przyczółka mostowego, Schmidt kroczył na czele oddziału i czekał tylko, aż z ciemności wyłoni się prowadzący łagodnie w lewo zakręt drogi.

I wtedy cisza ożyła. Znad rzeki doszły do nich stłumione puknięcia strzałów. Zatrzymali się. Szmery, kroki, ktoś przedzierał się przez krzaki do dowódcy.

– Panie plutonowy – zameldował jakiś mały i chudy żołnierzyk. – Tam z tyłu, z drugiej drużyny, prawie połowa nawiała. Zostali z tyłu i...

– Swołocze! – mruknął plutonowy. – Wszyscy stać!

– Zostańcie pilnować reszty! – rozkazał kapitan. – Ty i Subota, za mną. Pokaż, gdzie zwiali!

Zawracając, pędzili przez krzaki, przez chaszcze, prawie nic nie widząc; kapitan potknął się, byłby się przewrócił.

– Gdzie? Gdzie uciekli!

– Tutaj, tutaj, panie kapitanie – wołał żołnierzyk, ten sam, który wcześniej wspominał o przysiędze kapitana Raginisa. Teraz wskazywał pustą przestrzeń. Schmidt wypadł tam, zapalił latarkę, zobaczył migające w blaskach światła, plecy uciekającego okryte żołnierskim płaszczem. Wyrwał pistolet z kabury, ale nie strzelił.

– Stać, stać, sukinsyny! – krzyczał.

Do tamtych dopadł już Subota. Nagle, jakby zdjął ich jeszcze większy strach, padli na ziemię. Leżąc, unieśli ręce nad głowami.

Ktoś biegł obok, z trzaskiem przedzierał się przez chaszcze, inni ciągnęli drogą, słyszeli cichy łoskot podkutych żołnierskich butów. Nie byli w stanie po ciemku, zderzając się, potykając, wyłapać wszystkich.

Kapitan oświetlił leżących pięciu żołnierzy, wszyscy w hełmach, z karabinami. Dyszeli, wciskali gęby w piach jak strusie, jak głupie gnoje przyłapane na chuligaństwie. Przeszedł się, równie zdyszany i wściekły, koło ich głów. W ręku miał broń, ale nie myślał nawet, żeby strzelać.

– Gdzie się wybieracie?! – zapytał bez gniewu. – Pójdziecie do raportu. Jak przyjdziemy z powrotem. Czy macie coś na swoje usprawiedliwienie?

Milczeli, jeden dygotał, inni dyszeli, uspokajali się. Nie wiedział tak naprawdę, co zrobić. Patrzył na nich, nie najmłodsi, nieogoleni, brudni, może nawet ojcowie rodzin. Starsze roczniki nadawały się bardziej do roboty w polu niż do wojaczki!

– Baczność! Za samowolne oddalenie zgłosicie się później do plutonowego. A teraz biegiem, na stanowiska marsz! Gonić

drużynę! Już, do jasnej i ciężkiej, ostatecznej cholery!

Gonił ich przed sobą, wymachiwał pistoletem, ale co miał zrobić. Nie widział, ilu nie dognał, ilu jeszcze uciekło. Wróci chyba z połową patrolu, psiamać!

– Przysięgam, że was nie zostawię – powiedział. – Idziemy tylko sprawdzić, co stało się z placówką. Ruszać się, mam was na oku!

Za chwilę doszli do reszty plutonu, wznowili marsz. Jednak nie uczynili nawet dziesięciu kroków, gdy z przodu rozległy się jakieś szelesty, stukot, zdyszane oddechy.

– Zająć stanowiska! Celownik sto!

Czekali – podporucznik Wiland z erkaemem po drugiej, południowej stronie drogi, za nasypem, oni ukryci pod drzewami po północnej. Żadnych świateł, cisza. Schmidt nie chciał się zdradzić, a jednak to nadchodzący odezwali się pierwsi.

– Kto tam w lesie? Co za ludzie? Hasło?

– Narew! Odzew?!

– Osowiec! My z ósmej drużyny.

– Dawajcie tutaj, aby cicho.

Powoli, zmęczeni, zdyszani ciągnęli pod drzewa. Było ich pięciu, z dowódcą, wysokim, prostym jak świeca plutonowym. Widząc dowódcę kompanii, zasalutował.

– Melduje się plutonowy Wąsek i reszta ósmej drużyny!

– Co tu robicie? Kto wam pozwolił zejść z posterunku?

– Porucznik Zawadzki kazał nam czekać do północy. W razie gdyby nie było zmiany, wycofać się. Jesteśmy poranieni, panie kapitanie. – Pokazał rękę przewiązaną prowizorycznym opatrunkiem. – Cały dzień ostrzeliwali nas Niemcy. Melduję, że czata rozbita, schrony nie nadają się do walki.

– Gdzie nieprzyjaciel?

– Za rzeką. Trzyma przyczółek po tej stronie.

– To chodźmy, pokażecie nam te schrony.

– Tak jest!

Plutonowy wyglądał na rozgarniętego, ale pozostali byli rozdygotani. Niedobry jest i bardzo przygnębiający obraz wystraszonego żołnierza. Karabiny przewieszone niedbale przez plecy, oczy jak czarne plamy, trzęsące się ręce, smród potu i brudu. Ukradkowe zerkanie za plecy – w stronę Wizny. Taki widok źle działa na pozostałych.

– Za mną!

Nie musieli iść zbyt długo. Minęli zakręt drogi, jeden, potem drugi, znienacka uderzyła w nich fala chłodu i zimna znad Narwi.

– Teraz powoli! Tam zaraz Niemcy – ostrzegł Wąsek.

– Drużyny rojem, w linii marsz, kierunek Sulin.

Zaśmierdziało spalenizną, powiało dymem i swędem. Z boku, za drogą, dopalały się drewniane domostwa Sulina, po drugiej stronie świeciły resztki pożarów Włochówki. Czerwone krechy ognia objęły zarośla i wyschnięte chaszcze, zajmując cały ten obszar dalekim okręgiem aż do Smolarzy, z drugiej strony pożary rozciągały się od lasu aż do ujścia Biebrzy do Narwi.

– Polacy! Poddajcie się! Jesteście otoczeni! – zagrzmiał metaliczny, dudniący głos.

– Padnij! – krzyknął plutonowy.

Walili się na ziemię, gdzie kto stał, szukając jakiegokolwiek schronienia.

– Wstawać! Wstawać! – mówił kapitan Schmidt. – Nic się nie dzieje! Niczego nie ma! Cholera, tchórze, Raginis by was zastrzelił!

– Polacy, wasi dowódcy uciekli, zostawili was na śmierć. Jesteście otoczeni!

– Wstawać, to tylko megafon! Rozumiecie? Widzicie, nic mi się nie dzieje!

– Nadają z drugiego brzegu – mruknął Subota, wytężając wzrok. – Cholerna szczekaczka. Ale jest za daleko na strzał, panie kapitanie.

– Wasz kapitan Raginis uciekł! Zostawił was samych. Złóżcie broń, wywieście białe flagi, przechodźcie do nas, na drugą stronę rzeki. Po złożeniu broni zwolnimy was do domów.

Subota zamarł, wsłuchany w ten głos, a Schmidt zaczął chwytać swoich ludzi za hełmy, za ramiona, podrywać w górę.

– Wstawać! Wstawać! Za mną! To kłamstwo! Kapitan jest w schronie, sam go widziałem godzinę temu!

– Dowódca przysięgał, że was nie zostawi! Pamiętajcie! Przysięgał – krzyczał Subota.

Żołnierze wstawali, zbiegali z nasypu, rozpraszając się szybko. Nikt już nie słuchał nadawanych z drugiej strony Narwi komunikatów. Schmidt poprowadził pluton ku umocnieniom czaty, a podporucznik Wiland – jak umówili się wcześniej – do Włochówki.

Prawie nie dało się przejść. Rowy i stanowiska erkaemów były porozwalane od ostrzału. Ogromne leje, powalone drzewa, ślady po kulach. Tu i ówdzie leżały poskręcane ciała obrońców, poniewierały się hełmy, plecaki, karabiny.

Bunkier przy drodze był rozbity pociskami. Główny schron przy Sulinie nie nadawał się do obrony. Strzelnice powybijane, podziurawiona i pęknięta kopuła. Ciągle śmierdziało spalonym prochem. Na porwanych kozłach i palikach zasieków powiewały zwoje zakrwawionej gazy.

Osłaniając się wzajemnie, dotarli do wejścia, plutonowy Wąsek znów zanurzył się w ciemną czeluść, za nim poszedł Schmidt. Zabawili niedługo. Niewiele mogli tu zrobić. A bronić się – było prawie niemożliwością.

– Subota, wyjrzyjcie i rozpoznajcie, co dzieje się przy moście – rozkazał Schmidt.

Kłusownik zniknął w mroku. Nie było go jakiś czas, wrócił z karabinem na ramieniu, wskoczył do rowu za schronem.

– Niemiaszki trzymają przyczółek za brodem, po naszej stronie. Są trzy tanki, jakieś samochody, działa, mrowie ludzi. Po drugiej stronie ruch, jakby się paliło w burdelu. Budują most na tę stronę. Słychać szczęk żelaza przy pontonach. O, teraz też, słyszycie? Do rana może skończą.

– W porządku! Zbiórka!

– Panie kapitanie, jeszcze chciałem coś rzec.

– Mów.

– Ta szczekaczka... chyba poznaję głos.

– Kto to?

– Paul Repliński, dywersant z Sępików, co chciał zabić naszego kapitana.

– Jesteście pewni?

– Jak w Boga wierzę, panie kapitanie. Taki sam głos, choć to przecie przez tubę.

– Zameldujcie o tym kapitanowi. Albo... sam to zrobię. Baczność! Uwaga! Pluton, kierunek Kurpiki, trójkąt w przód!

Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 5.57

Siedzieli wszyscy przy ogromnym stole we dworze w Strękowej Górze, w pełnym komplecie domowników, pan Jamiołkowski, ksiądz Reszka, Lodzia i... od tego widoku kapitanowi pękało wręcz serce – Zofia, Zosieńka, jakże inna od tej, którą kilka godzin temu oglądał wywożoną na żydowskiej furze do Białegostoku, ranną, pokrwawioną, spowitą w zwoje bandaży.

Debatowali nad talerzami i półmiskami z gęsiną, do której, jak powiedział dziedzic, nadawało się tylko dobre mołdawskie wino, kiedy ktoś zastukał do drzwi. Zastukał to było mało

powiedziane – walił, tłukł z całych sił, jakby nie tyle zapowiadał przybycie, co chciał się włamać do środka. Pan Jamiołkowski poderwał się od stołu...

– Gość w dom, Bóg w dom! – zawołał. – Safian, otwieraj, a my prosiemy, prosiemy!

Drzwi odskoczyły z hukiem, z trzaskiem, aż domownicy poderwali się znad stołu. Przez ciemny otwór nie widać było nic, zupełny mrok, pustka, którą dopiero po chwili wypełnił jakiś kształt. Jak pająk z ciemnego kąta, tak teraz wylazł stamtąd niemiecki oficer, generał właściwie, tak inny od pruskich wymuskanych oficerków, jak różni się dąb od sosny. Z pozoru nie wyglądał na wściekłego miłośnika Hitlera, cierpiącego na rozkurcz prawej ręki od częstego wykonywania szwabskiego pozdrowienia. Krępy, miał jasny wąs przystrzyżony nad górną wargą, sprawiał wrażenie nawet przystępnego człowieka. Uśmiechał się.

– *Guten Tag!* – pozdrowił obecnych, a potem nagle odezwał się po polsku: – Szanowni państwo, powitajcie, proszę, niezapowiedzianych gości.

– Chyba nieproszonych, panie oficerze – mruknęła Zosieńka.

– Jednak zagoszczę u was na dłużej – roześmiał się, a z otwartego przejścia jak z czeluści wychodzili jego żołnierze, w szarych mundurach, w hełmach jak garnki.

Generał nie zwrócił uwagi na dziedzica, o wiele większą poświęcił obrazom na ścianach.

– Czyż to nie „Wieczór nad Sekwaną”? – zapytał uradowany. – Gierymski? A to? Kto to, wygląda na stare, wręcz antyczne płótno, panie starszy, ja was pytam?

– Peter von Cornelius, „Panny mądre i głupie”, wygrałem ten obraz we Wrocławiu od miejscowego...

– Zabierajcie to! I tamten też! – Generał nie krępował się wcale, zdejmował obrazy i składał. – O... piękna komoda.

I świecznik. Bierzcie!

Pakował wszystko jak swoje, oglądał szable, długie husarskie koncerze, zbroje, a pan Jamiołkowski spoglądał na niego z coraz większym zdumieniem.

– Zaskoczył nas pan tak bardzo, że się nie przedstawiłem – powiedział dziedzic. – Jestem Janusz Kajetan...

– A ja Heinz Guderian – powiedział Niemiec, ciągle po polsku. – Proszę sobie nie przeszkadzać, ja tylko przyszedłem przejąć pana nieruchomości. Führer kazał mi wybrać majątek ziemski w tych stronach, a pana dwór przypadł mi bardzo do gustu. To ważna nagroda. Za przełamanie linii Narwi pod Wizną.

Kapitan Raginis wstał i zaczął zbliżać się do obcego.

– Pan się zapomina, jest pan gościem, a zachowuje się jak najeźdźca!

– Kapitan Raginis? – uśmiechnął się Guderian. – A pan jest trupem. Co pan tu jeszcze robi z tymi swoimi pięciuset żołnierzami...

– Mam prawie siedmiuset i myślę, że liczbę pańskich także znacznie uszczupliłem wczorajszego dnia...

– Doprawdy? Ja mam prawie czterdzieści trzy tysiące! – wypalił Guderian. – Więc dlaczego pan tu jeszcze siedzi? Nie macie żadnych szans, a ja muszę być jutro w Zambrowie. To żaden wstyd, nie ma pan szans, wszyscy wasi dowódcy uciekają, a pan? Kogo obchodzi los zwykłego kapitana, zostawionego na pastwę czołgów w tych błotach, w miejscu, gdzie nie ma nawet porządnej kwatery dla mojego sztabu.

– Widzę, że nie tylko maniery, ale i honor zostawił pan za drzwiami tego domu! – Raginis stanął przed Guderianem i... był wyższy. Żeby spojrzeć mu w twarz, Niemiec musiał podnieść głowę. – Skoro zapomniał pan, że najwyższą powinnością żołnierza jest wypełnianie rozkazów i dawanie przykładu żołnierzom.

– Pan daje przykład nie szaleństwa, ale waszego polskiego romantyzmu. Łatwo wam szafować życiem podwładnych, podejmować zakład o wszystko i wszystko stawiać na szali przeznaczenia. Umrze pan, nic to, ale pana bliscy będą żyć dalej. W świecie, w którym po przegranej i śmierci pana historię napiszą na nowo wrogowie...

I wtedy kapitan dał mu w gębę z rozmachem! Z całych sił! Guderian przewrócił się na bok, kapitan usłyszał strzały, coś uderzyło go w pierś i...

Otworzył oczy, zobaczył przed sobą oblicze kapitana Schmidta. Był w komorze dowodzenia, zasnął nad stołem, na którym ciągle płonęła karbidówka.

– Władek! Władek. – Schmidt szarpał go za ramię. – Wróciłem z rozpoznania.

– Tak, przepraszam. Tylko trochę snu... – dodał Raginis, jakby się usprawiedliwiając.

– Wróciłem z rozpoznania, przecież mówię! – prawie krzyczał Schmidt. – Z całym plutonem. Melduję, że schrony na pozycji wysuniętej nie nadają się do obrony. Stanowiska erkaemów i rowy strzeleckie zniszczone, rozbite ogniem artylerii... Jakie są rozkazy? Rozkazy, mówię...

Raginis westchnął.

– Rozkazuję zatem zamknąć szosę kozłami hiszpańskimi. Wystawisz przy nich czujkę podoficerską z dwoma erkaemami. Reszta plutonu niech wraca na stanowiska w Giełczynie. Jeśli o świcie zacznie się ogień artyleryjski, wycofaj piechotę z rowów do schronów, żeby uniknąć strat.

– Rozumiem. Odmeldowuję się.

Schmidt wychodził w zimny i lekko mglisty poranek. Daleko w niebiosach cichł warkot samolotu; leciał zbyt wysoko, aby można go było dosięgnąć ze zwykłych cekaemów ustawionych na przeciwlotniczych trójnogach.

Maszyna nie zrzucała jednak bomb, tylko ulotki, które jak biały śnieg opadały na pola i łąki wokół Góry Strękowej. Kapitan podniósł jedną z nich. Przeczytał:

Polscy żołnierze, nie siedźcie w kurnikach, gdyż czeka was śmierć. Większość miast jest w rękach niemieckich – Poznań, Gdynia, Kraków, Częstochowa. Dalsza walka beznadziejna. Jeśli się poddacie, niemieckie dowództwo gwarantuje wam powrót do rodzin.

Wizna, godzina 7.56

Jeszcze przed ósmą rano kolumna sztabowa XIX Korpusu Armijnego wjechała do Wizny. Jechali z Korzenistego, pełnym pędem, najpierw pluton motocyklistów, za nim wszystkie samochody i wóz pancerny. Od strony Łomży, przebijając się przez ostatnie resztki mgieł zalegających w dolinie Narwi. Generał Guderian przebudził się, gdy tylko samochód zaczął podskakiwać, a koła załomotały na nierównym bruku ulic przy rynku. Miasteczko było jak wszystkie, które oglądał w Polsce po przekroczeniu granicy. Drewniane, co jakiś czas murowany dom. Kiedy wjechali na rynek, zobaczył dwa piętrowe domostwa i kolejne domy. Porządną, murowaną szkołę z czerwonej cegły, sklepy z przekrzywionymi szyldami. Restaurację, knajpę, piekarnię, żydowski sklep łokciowy, mleczarnię. Gdzieniegdzie ziały wyrwy, kilka domów było zburzonych, uszkodzonych przez ostrzał, okna powypadały w całości pomimo śmiesznych naklejonych skrzyżowanych pasków papieru. Niektóre razem z framugami leżały na ulicy; konwój musiał ostro skręcać, aby ominąć dziury po wybuchach,

prawdziwe kratery między porozrzucanymi kamieniami. Skręcili w lewo, w stronę starego kościoła, zatrzymali się przed wysokim białym domem. Drzwi były już obstawione przez motocyklistów z pistoletami maszynowymi MP-38 i karabinami, formujących podwójny szpaler do potężnych drzwi, jakby w każdej chwili groziło im niebezpieczeństwo. Heinz Guderian wysiadł, nie zatrzymując się, poprawił czapkę i ruszył do środka.

– Trudno było znaleźć porządny dom w tej wiosce – zagadał Thormann. – Wszystko drewniane chałupiny, najlepsza murowana plebania.

– Jak zwykle u katolików. – Generał rozglądał się po ścianach sieni. – W domu nędza, bieda, jedna krowa, a na Kościół połowa! Nie będziemy tu dłużej niż jeden dzień.

– Niezłą nam dałeś przebieżkę. Narada, potem nad ranem wizyta u Falkenhorsta, gdzie pobudziłeś cały sztab. Ledwie zmrużyłem oczy, zaczynasz natarcie.

– Kochany, to wszystko sprawia pervitinu, przyjaciela każdego niemieckiego bojownika nowych czasów. Życie żołnierza jest zbyt krótkie, żeby je przesypiać. Jedna, góra dwie tabletki i czujesz się jak nowo narodzony. Nie tylko technika, ale i nauka medyczna jest w służbie narodu i... no tak, jakżebym mógł zapomnieć – w służbie partii.

– Dziękuję, nie skorzystam.

– Masz jeszcze pralinki Hildebranda, jeśli nie chcesz naszej *Panzerschokolade*.

Guderian wszedł z sieni do pokoju z prawej, dużego, pachnącego jeszcze świeżym wapnem. Przy stole oczekiwał cały sztab 10. Dywizji Pancernej z generałem Horstem Stumpffem. Pierwsze zdziwienie – na stole nie było map, stały tylko telefony polowe, pod ścianą instalowano właśnie radiostację polową. Jeszcze jadąc przez kręte uliczki miasteczka, Guderian miał

wrażenie, że wszystko tutaj robiono w pośpiechu i na ostatnią chwilę przed jego wizytą.

Podniósł wzrok na generała Stumpffa, zażywnego mężczyznę w okularach; wyglądał na dziwnie speszonego wizytą starszego kolegi, zresztą w porównaniu z ponurym wygą Thormannem czy nawet adiutantem Braubachem dowódca 3. Brygady Pancernej wyglądał jak wiejski nauczyciel albo rzeźnik z Bawarii. Może dlatego młodszemu o rok Guderianowi udało się tak łatwo wyprzedzić go w awansach.

– Proszę o dokładne meldunki! – wypalił od razu po powitaniu. – Nie mamy wiele czasu.

– Melduję, że nasz dowódca generał Schaal dosta... to znaczy miał wypadek...

– Wiem już, że pan go zastępuje. Jakie postępy uczyniliście od wczoraj?

– Nasza piechota przekroczyła rzekę i przy wsparciu nielicznych przerzuconych przez brody czołgów zdobyła betonowe schrony Polaków. Toczymy dalsze walki o rozszerzenie przyczółka.

– Dlaczego czołgi są jeszcze na naszym brzegu rzeki?

– Chcieliśmy, ale...

– Ale co dokładnie zamierzaliście, generale Stumpff? Zapomniał pan już, że piekło wybrukowane jest samymi dobrymi chęciami?

– Nasi pionierzy nie zbudowali jeszcze mostu.

– Proszę w takim razie dołożyć wszelakich starań, aby przeprawić broń pancerną na drugi brzeg. Czy droga z Wizny na Białystok i Wysokie Mazowieckie jest bezpieczna?

Stumpff i jego oficerowie sztabu spojrzeli po sobie.

– Nie mamy dokładnych danych, ale według porannego rozpoznania nie ma na niej stanowisk wroga.

– Świetnie – uśmiechnął się Guderian. – Proszę w takim razie kontynuować natarcie na ogólnym kierunku Strękowa Góra i meldować na bieżąco. Oczekuję od panów, że w ciągu kilku godzin pchniemy wszystkie czołgi na Wysokie Mazowieckie i Zambrów. Jakieś pytania?

Nikt nie miał wątpliwości, a może po prostu woleli się nie wychylać.

– Proszę pamiętać, a najlepiej zanotować, co zarządzam.

Co gorliwsi naprawdę wyjęli notesy, zaskrzypiały pióra, zachrzęściły ołówki po poliniowanych kartach notatników.

– Dziesiąta Dywizja naciera tak, jak nakazałem. Za wami czeka w gotowości Trzecia Dywizja Pancerna, szkolny batalion ciężkich czołgów może w każdej chwili udzielić wam wsparcia. Na prawo od was przygotowuje się do forsowania Dwudziesta Zmotoryzowana Dywizja Piechoty, w razie czego udzieli wam wsparcia. Na lewo uderza Brygada Forteczna „Lötzen”, zabezpieczając was od północy. To wszystko. Proszę wykonać rozkazy!

Guderian zasalutował i nagle, tak samo niespodziewanie, jak się pojawił, wyszedł z sali.

Eskorta czekała już przed wejściem. Samochody stały w szeregu, najpierw potężny, trzyosiowy Kfz. 21 Kruppa nakryty brezentowym dachem, za nim drugi, dla reszty sztabu, potem samochody pancerne, wreszcie ciężkie ople Kfz. 68 z radiostacjami, autobus sztabowy i reszta ciężarówek. Część miała już tu zostać. Resztę zabierał ze sobą.

– Palcie motor – rozkazał kierowcy. – Jedziemy do Wierciszewa, do sztabu Brygady „Lötzen”, złożyć wizytę oberstowi Gallowi.

Wierciszewo, przed godziną 9.00

Kolejna podróż była już krótsza. Wyjeżdżając z Wizny, skręcili w prawo, drogą do wysadzonego i poskręcanego mostu. Wyglądając przez szybę, Guderian zobaczył pracujących w pocie czoła pionierów; porozbierani do koszul, układali wzmocnioną deskami drogę na brzeg, a dalej stawiali przęsła drewnianego mostu. Na razie robota szła wolno, przeprawa nie sięgała nawet połowy Narwi.

Samochód skręcał, podskakiwał na wybojach polskich, zakurzonych dróg, wymijając stojące na poboczu ciężarówki, nim odbił na północ, w stronę Samborów. Szosa pełna była żołnierzy 10. Dywizji. Stały tu ciężarówki i półgąsienicowe transportery brygady piechoty, za nimi czołgi, zarówno cięższe dwójki, jak i lekkie, wyposażone tylko w dwa kaemy jedynki. Do mostu ciągnęli pionierzy, niosąc na plecach topory i łopaty, w drugą stronę przebijały się otwarte ciężarówki, wioząc świeżo obrobione pnie drzew. Okolica pokryta była wojskiem, już kiedy skręcili w stronę Wierciszewa, poczęli mijać kolumny obciążonych bronią piechurów landwery maszerujących w stronę wioski.

Sztab brygady mieścił się blisko frontu, na samym początku wsi, w domu na zakręcie drogi, na skarpie, skąd rozciągał się malowniczy widok na płaską dolinę Biebrzy, przeciętą szarobłękitną wstążką rzeki. Oberst Gall czekał w otwartych drzwiach w otoczeniu oficerów sztabu, wyprostowany jak struna, z pooranym zmarszczkami, spokojnym obliczem. Zasalutował pierwszy, podnosząc rękę do czapki, podobnie oficerowie.

– Przyjechałem sprawdzić, jak wam idzie – powiedział Guderian.

– Proszę za mną, generale. Wszystko jest gotowe.

Przy stole w izbie rozświetlanej lampami naftowymi oberst wskazał mapę okolic Wizny z zaznaczonymi pozycjami

brygady.

– Właśnie podciągam Sto Sześćdziesiąty Pierwszy Pułk Piechoty Landwery. Sto Sześćdziesiąty Drugi jest już na drugim brzegu. Wczoraj rozpoznaliśmy stanowiska nieprzyjaciela: trzy żelbetowe bunkry i okopy z zasiekami. Cztery stanowiska erkaemów. Czekamy na rozkazy.

– Jak z artylerią?

– Przygotowaliśmy do przeprawy wszystkie działa przeciwpancerne. Haubice zajęły stanowisko za wioską i są gotowe do położenia ognia na pozycje wroga.

– Ile czasu zajmie wam zdobycie tych umocnień?

– Kilka godzin. Nie chciałbym niepokoić pana generała, ale przydałoby nam się wsparcie ciężkich pojazdów.

– Mogę przydzielić wam samochody pancerne z plutonu zwiadu Trzeciej Dywizji, na razie są niepotrzebne.

– Jak przeprawicie je na drugi brzeg? – zapytał Thormann.

– Nie będzie kłopotu. Ta rzeka, przepraszam, Biebzha? opadła wskutek suszy. Żołnierze przechodzą brodem, samochody przejadą bez kłopotu, działka przeciwpancerne przewieziemy na promach, które przygotowali nasi saperzy, albo przeciągniemy za ciągnikami artyleryjskimi.

– Dziękuję. Nie mam pytań. Rozkazuję jak najszybciej zacząć natarcie, po zdobyciu stanowisk wroga osiągnąć szosę Strękowa Góra – Osowiec. Proszę ją zabezpieczyć, żeby nie było od strony twierdzy żadnych prób odsieczy dla załogi głównej linii polskich umocnień.

– Tak jest. Co z mostem, który znajduje się na południu?

– Proszę go zdobyć, a gdyby to było niemożliwe, zniszczyć! Żeby nie przeszły tamtędy posiłki dla wroga.

– Rozumiem doskonale, przystępuję zatem do walki.

– To wszystko... Przyjemnie słuchać takich raportów – powiedział Guderian do Thormanna, kiedy pakowali się do

samochodu. – Trzeba przyznać, ta brygada, jak na jednostkę landwery złożoną ze starszych roczników, niezmiernie mi się podoba.

– Znam Franza z czasów wielkiej wojny. Kaiserowski dryl i fason. O niego możesz być spokojny...

– Jedziemy! Jedziemy!

Silnik samochodu pracował cały czas, wprawiając w lekki dygot pochyloną w dół maskę, z tyłu samochody pancerne i ciężarówki strzelały spalinami z rur wydechowych. Guderian jak zwykle się śpieszył, Thormann nie zdążył jeszcze zamknąć drzwi, gdy motor ruszył z przeciągłym postukiwaniem zaworów. Jechali – z powrotem do Wizny...

Plebania w Wiźnie, sztab XIX Korpusu, godzina 9.02

Miasteczko pełne było wojska. Nadeszła nie tylko ciężka artyleria korpusu, rozkładając na polach za Wizną haubice piętnaście centymetrów, ale i kolumny zaopatrzeniowe 3. Dywizji Pancernej. Wracając do miejsca postoju sztabu, samochody Guderiana mijały grupy żołnierzy wyciągających z domów zarekwirowane wieprze i kury oraz kuchnie polowe w trakcie gotowania posiłku. Młodzi żołnierze i podoficerowie ze sztabu z wesołymi minami nieśli przez pola trzepoczące skrzydłami gęsi. Inni rozwijali linie telefoniczne albo ustawiali się z menażkami w kolejkach po śniadanie. Przypominało to bardziej obóz najemników z wojny trzydziestoletniej niż nowoczesne wojsko, które miało walczyć z dyktatem nienawistnego pokoju wersalskiego i rozszerzać przestrzeń życiową dla Niemców. Guderian zżymał się, przygryzał wargi

i krótko ostrzyżonego wąsa, nieprzypominającego na szczęście ostrego jak dotknięcie pędzla wąsika wodza.

W kwaterze, w obszernym, ledwie pomalowanym pokoju, gdzie sprzęty były zbite z desek, bo nie było jeszcze żadnych mebli, czekał na nich oberstleutnant Braubach z zaciętą miną.

– Panie generale, melduję, że nie wszystko wygląda tak dobrze jak w porannych raportach generała Stumpffa.

– Doprawdy? Niech pan referuje. Chętnie posłucham.

– Piechota przeprawiła się na drugi brzeg rzeki, ale zaległa przed stanowiskami wroga, które nie zostały zdobyte.

– Doprawdy? Co z czołgami?

– Most ciągle nie został ukończony.

– Wiem, sam widziałem. Gdzie są pozycje i dowództwo Osiemdziesiątego Szóstego Pułku Piechoty?

– Nie znalazłem, powiedzmy, że są bardzo dobrze... zamaskowane.

– Braubach, proszę mi powiedzieć, co tam się konkretnie w tej chwili dzieje. Czy artyleria prowadzi ogień?

– Panie generale... Prawdę mówiąc... Nic. Żołnierze czekają na pozycjach, niektórzy kąpią się w rzece. – I dodał, ściszając głos: – Pan generał chyba powinien się tam udać.

– Być może brak im narodowosocjalistycznego uświadomienia – powiedział zjadliwie Thormann. – Ale co do pierwszego, to nasz drogi oberstleutnant ma rację: mamy tam chyba kompletny burdel, oby jeszcze nie było pożaru.

– Pierwsze, co powinienem zrobić, to odwołać w trybie natychmiastowym generała Stumpffa i zastąpić go dowódcą pułku piechoty...

– Tylko gdzie go szukać? – wtrącił Thormann.

– Czy mam przygotować rozkaz? – zapytał milczący dotąd szef sztabu, oberst Nehring.

– Jestem o krok...

– Poczekaj, nie bądź taki szybki, Heinz – mruknął Thormann. – Przeprawię się na drugą stronę, zobaczę, co się dzieje. Może mamy tutaj przed sobą drugie Verdun?

– Dobrze, wstrzymajmy się jeszcze. Proszę w takim razie koordynować akcję Dwudziestej Dywizji i brygady Galla. Co do przeprawy... pójdziemy tam razem. I zobaczymy, co się dzieje! Braubach?!

– Tak jest?

– Natychmiast udaję się na drugi brzeg! Ja ich rozruszam! Każcie przygotować samochód.

– Czeka ciągle w gotowości.

– Idziemy! Nie ma czasu!

Wyszli za drewniane, niepomalowane drzwi. Wszystko w tym domu było niedokończone, brak podstawowych mebli, niestety, gdyby nie plebania, nocowaliby chyba w jakiejś chałupie. Wyszli do korytarzyka, kiedy Guderian przytrzymał za rękę Thormanna.

– Gdzie jest polski ksiądz, co tu mieszkał?

– Nie wyrzucaliśmy go, jak kazałeś. Siedzi w pokoiku od tyłu. Mam go sprowadzić?

– Sam do niego zajdę! Prowadź.

Thormann wskazał drogę do ostatnich, małych drzwiczek. Generał nacisnął klamkę bez pukania. Ustąpiły. Wewnątrz, w małym pokoiku, poderwał się z kolan przed krzyżem blady ksiądz. W drżącym ręku kołysał się różaniec.

– *Herr General, ich habe nichts getan*...[8] – zaczął nieskładnie, ale oficer zgasił go ręką.

– Niech ksiądz się nie martwi – niespodziewanie powiedział... po polsku. Duchowny aż podskoczył, wytrzeszczył oczy. – Nie jesteśmy bolszewikami. Mam rozkaz dla was. Czy znacie może men... menszyzn Szymanskiego i Zaszeckiego? Dwóch, mają po jakieś... *vierzig*. Czterydzieści lat, to jeden. Drugi mieć mniej,

ze... jak to będzie?... *dreißig*. Trzydzieści, może więcej lat. Oni są z Bronowa, znacie tamtejszy ksiądz?

Proboszcz pokiwał głową.

– Świetnie. To niech im przekaże, że Heinz Guderian, generał Guderian zaprasza ich do siebie, bo kiedyś dobrze się ze mną obeszli. Powtórzycie?

– Tak, oczywiście, panie generale. Przekażę chłopom i ojcu z Bronowa... Ojcu Antoniemu...

– Dziękuję. – Guderian zasalutował. – Nie będę przeszkadzał. Módlcie się dalej, zezwalam!

Zamknął drzwi i ruszył korytarzykiem, ale Thormann następował mu na pięty.

– Co to za Szymański i Zarzecki?

– No jak to, nie pamiętasz, Günther? Nie poznajesz tej okolicy? Byliśmy tu już kiedyś, kiedy waliła się poprzednia Rzesza! Listopad osiemnastego roku.

– Tak! – Thorman uderzył się w pierś. – Rozbroili cię tutaj niedaleko. A potem wywieźli wozem. Ale to wyglądało! Kapitan cesarskiej armii na grochowinach, na furce ciągniętej przez parszywą żydowską szkapę...

– Nawet mi o tym nie wspominaj!

Kiedy wyszli przed dom i wsiadali do czekającego na nich samochodu, Guderian pochylił się jeszcze do adiutanta.

– Proszę udać się do plutonu żandarmerii Dziesiątej Dywizji i przekazać rozkaz: natychmiast przeszukać całą Wiznę i Bronowo, zatrzymać wszystkich mężczyzn w wieku poborowym. Szukać przede wszystkim dwóch: jeden nazywa się Szymanski, drugi Zaszecki. W wieku lat około czterdziestu.

– A jeśli ich znajdę?

– Wtedy proszę ich zatrzymać osobno i przekazać, że generał Guderian pamięta i zaprasza ich na plebanię.

– Tak jest.

– Po co to wszystko? – zapytał Thormann. – Heinz, minęło ponad dwadzieścia lat!

– Z wiekiem moja pamięć robi się coraz ostrzejsza. Rozbroili nas, powiadasz. Dziś wróciliśmy z trochę większymi siłami niż pluton skomunizowanych landwerzystów. Nie przypominaj mi o tym!

– Chcesz się zemścić? Po tylu latach?

– Zemsta to rozkosz bogów i nadludzi. Jesteśmy nadludźmi, nie słyszałeś, co mówi Führer i ten jego nadworny szaman Himmler?

– Zemsta po latach staje się tylko nikczemnością. Chcesz być takim małym, nikczemnym człowiekiem, Heinz? Przecież ci Polacy zachowali się wtedy całkiem przyzwoicie.

– Powiedzmy sobie zatem, że chcę dać coś do roboty Braubachowi. Do takich akcji nasz drogi narodowosocjalistyczny *Parteigenosse* nadaje się wyśmienicie.

Okolice Sulina – Włochówki, godzina 9.19

Na drugim brzegu rzeki, na który przeprawili się pontonem, działo się coś niepojętego. Gdyby nie żółknące liście na drzewach, można by powiedzieć, że to majówka. Żołnierze na przyczółku kręcili się bowiem bez zajęcia, palili, siedzieli na resztkach mostu w porozpinanych mundurach, kilku kąpało się w rzece, bo dzień wstawał gorący i suchy. Piasek aż trzeszczał w zębach.

Poza tym na przyczółku stały trzy czołgi z lufami wieżyczek wymierzonymi na wschód, obok lekkie działka przeciwpancerne trzydzieści siedem milimetrów, przeciągnięte tu brodem przez ciężkie, półgąsienicowe ciągniki artyleryjskie, gdyż przydzielone do nich samochody Kruppa Kfz. 69 okazały

się zbyt nisko osadzone, aby poradzić sobie z przejazdem przez rzekę. Były i haubice sto pięć milimetrów, jeszcze nie rozstawione, z pokrowcami na lufach. Obserwator dywizjonu ciężkiej artylerii kręcił się wśród piechurów, nie mając innego zadania niż skręcanie sobie papierosa.

Nietrudno się zatem dziwić, że generalski mundur Guderiana, spodnie z lampasami i czerwonawe generalskie epolety wywołały niemały popłoch. Żołnierze najpierw w zdumieniu i strachu wpatrywali się w generała wojsk pancernych, który bezceremonialnie wygramolił się ze zwykłego pontonu, a zaraz potem zaczął rozglądać się po okolicy. I zanim ich dowódcy znaleźli sobie jakieś zajęcie, Guderian był przy nich, kiwając przyzywająco zgiętym palcem na dowodzącego plutonem piechoty oberleutnanta, a zaraz potem obserwatora artylerii. Przybiegli w podskokach, wyprężyli się regulaminowo, oczekując bury, jednak generał wskazał im nasyp drogi pnący się ku skarpie obramowującej dolinę Narwi.

– Proszę za mną!

Weszli na górę. Guderian wyciągnął lornetkę i powiódł szkłami po widnokręgu, po płaskim terenie, który w pewnej chwili wznosił się lekko, by przejść w kolejną równinę ograniczoną z lewej pasmem lasu, a z prawej nierozpoznawalną stąd linią błot znanych jako bagno Wizna. Zobaczył na tym terenie jakąś zdumiewającą scenę – tyraliery piechoty przemieszczały się zupełnie bez sensu do przodu, podczas gdy inne cofały, mijając się w marszu. Manewr doprawdy zdumiewający i wywołujący nerwowy przykurcz u oficera przyzwyczajonego do pruskiego drylu.

– Panie poruczniku, może wyjaśni pan mojemu koledze, staremu frontowcowi – powiedział Guderian – co tam się dzieje na tych łąkach?

Oficer podniósł do oczu lornetkę, choć nie musiał, bo dziwaczne manewry były widoczne z daleka.

– Melduję posłusznie – powiedział – odbywa się obecnie luzowanie kompanii na przednim skraju.

– Wygląda jak uroczysta zmiana warty – mruknął Thormann. – Nieprawdaż? Brakuje tylko starego kaisera na siwym koniu.

– Dowódca waszego Osiemdziesiątego Szóstego Pułku Piechoty to, zdaje się, oberst Hans Ehrenberg, dobrze pamiętam?

– Tak jest, panie generale.

– Proszę go odszukać, przygotować na spotkanie z dowódcą korpusu i kazać mu stawić się tutaj. Uszy do góry, nie pan będzie adresatem moich cierpkich słów. A przy okazji niech pan tu przyśle jeden ciągnik, byle szybko.

– Tak jest!

– Proszę sobie przypomnieć, jakie są wasze rozkazy – zwrócił się Guderian do obserwatora artylerii.

– Melduję, że nie otrzymałem żadnych, panie generale.

– Coraz lepiej. – Generał obejrzał się z uśmiechem na Thormanna. – W związku z tym komunikuję, że należy podciągnąć baterię bliżej polskich schronów i zacząć ostrzał.

– Tak jest, muszą tylko wrócić patrole piechoty. Miały rozpoznać schrony, bo nie wiemy, gdzie one są.

– Proszę samemu dokonać rozpoznania. W miarę możliwości, oczywiście.

– Tak, zrozumiałem.

Podoficer zasalutował, a Guderian spojrzał w lewo i uśmiechnął się.

– Znalazła się nasza zguba.

Od strony wypalonej wioski po lewej szedł ku nim, prawie biegł chudy oficer w rozpiętym płaszczu, za nim jego zastępca

albo adiutant i kilku posępnych żołnierzy. Zasalutował w biegu i od razu meldował, szybko, nieskładnie, zacinając się.

– Oberst Hans Ehrenberg melduje się na rozkaz.

– I cóż pan porabiał, kiedy na pana czekałem?

– Byłem na pogrzebie naszych żołnierzy, panie generale. Ponieśliśmy straty w czasie zdobywania umocnień.

– Rozumiem. – Guderian rozłożył ręce. – Gdzie w takim razie są umocnienia Polaków?

– Zdobyliśmy pierwszą linię. Została opuszczona po naszym ostrzale. Wysłałem patrole dla rozpoznania dalszych.

– Są jakieś wzdłuż szosy?

– Nie wiem, panie generale. Na razie patrole nie wróciły.

Z cichym, groźnym warkotem i metalicznym odgłosem gąsienic podjeżdżał do nich drogą Sd.Kfz. 6.

– Uda się pan ze mną – powiedział generał – na rozpoznanie. Proszę tylko przerwać ten taniec pańskich oddziałów na łąkach, kazać żołnierzom zająć stanowiska i czekać.

Guderian spokojnie patrzył, jak oberst przekazywał rozkazy swoim łącznikom. Potem wskoczył na górę maszyny, zajął miejsce w pierwszym przedziale na ławce obok szofera.

– Ruszaj, dobry człowieku – powiedział do kaprala. – A nie żałuj gazu. Mamy cholernie mało czasu!

Silnik zagrzmiał pod maską, gąsienice obróciły się i pojazd ruszył. Coraz szybciej, z narastającym wizgiem. Z tyłu stłoczyli się Ehrenberg, jego adiutant i Thormann.

– Jedźcie lekkim zygzakiem – polecił Guderian kapralowi – nie chciałbym wpaść na jakiś polski patrol.

Jechali całą mocą, rzucało nimi trochę na boki, kiedy mijali wyrwy i kratery w drodze. Minęli dwie drużyny piechoty posuwające się na wschód, czujkę z wystawionym na drogę MG-34. Następnie spoconych żołnierzy w porozpinanych

mundurach, ciągnących ręcznie działko trzydzieści siedem milimetrów.

– Jak będziecie wracać – rozkazał Guderian kierowcy – pomożecie im podciągnąć, zrozumieliście?

Las po lewej skończył się, nagle roztoczyła się przed nimi szeroka przestrzeń łąk i błot pomiędzy nasypem drogi a Narwią.

– Generał Stumpff meldował, że dalej nie ma żadnych polskich schronów – powiedział Guderian do obersta Ehrenberga. – Czy pan to potwierdza?

– Nic jeszcze nie wiem. Piechota zaległa w bagnach, patrole nie wróciły. Wygląda jednak na to, że nie ma żadnych przeszkód dla dalszego natarcia.

Nagle Thormann pokazał coś przed nimi, Guderian skierował tam szkła lornetki i złapał kierowcę za ramię.

– Zjeżdżajcie natychmiast na bok, na bok. – Pokazał w prawo. – Nie bójcie się, nie ma błota, jest za sucho, bagna wyschły!

Ciągnik zjechał z bitego traktu, wjechał na trawę i zarośla, pozostawiając dwa długie, błotniste ślady gąsienic.

– Dobrze, stój! Proszę wysiadać. Wróćcie do tamtych, a potem poczekajcie w lasku, za drzewami.

– Oczywiście, panie generale! – wyprężył się kapral.

Wyskakiwali na trawę i krzaki. Rzeczywiście, nie było wody. Łąka, zwykle podmokła, zrobiła się sucha jak pieprz, uschnięte kępy traw i rokity skrywały ich podejście.

Guderian co chwila rozglądał się, patrzył przez lornetkę, przesuwał szkłami po okolicy.

– Wygląda na to, że czołgi tędy przejdą, przynajmniej te lżejsze. Ciężkie trzeba puścić drogą. Wytrzyma?

– Wydaje się, że tak.

Krok za krokiem zagłębiali się coraz dalej i dalej, odchodząc na prawo od drogi, przekradając się pomiędzy częściowo

rozrzuconymi stertami słomy. Thormann zapatrzył się w bok, zobaczył coś, co sprawiło, że zamarł.

– Tę wieś – Guderian pokazywał przed sobą majaczące na wschodzie chałupy przekreślone wąską smużką dymu – należy zająć w pierwszej...

Nie skończył. Nagle bowiem Günther chwycił go wpół i obalił, jakby chciał zrobić, z przeproszeniem, zamach na generała. Po prostu rzucił przyjaciela w błoto, w suchą trawę, między osty.

– *Hinlegen!* – krzyknął krótkim, chrapliwym krzykiem frontowca. Tak mocnym, że nie sposób było nie posłuchać.

Padli wszyscy oficerowie i towarzyszący im ludzie ze sztabu. Bez wyjątku. Tak trzymać!

W tej samej chwili górą poszła ciężka seria z kaemu. Bach, bach, bach! Tak bił polski cekaem, szybszy od starego maxima, wolniejszy od MG. Walił pociskami, tworząc strefę śmierci nad głowami leżących, zaraz potem dołączył się drugi. Kule mijały ich, rwąc powietrze z cichnącym w oddali gwizdem, trzask wystrzałów potęgował się, jakby waliło do nich co najmniej kilka kaemów.

– Przynajmniej dwa karabiny – meldował Thormann. – Co za gówno! Prawie weszliśmy w pole ostrzału! Zabierajmy się stąd.

– Nie mów, że jest jak pod Verdun. – Guderian przekręcił się na bok. – Ot i mamy drugą linię Polaków. Widzicie jakieś schrony?

– Dobrze zamaskowane, przestali strzelać i nic nie ma. Przeklęty płaski teren. Muszą mieć przynajmniej kilka betonowych stanowisk. Na pewno jedno w tej wiosce, może w chałupach.

– Budujemy most i uderzamy czołgami – powiedział Guderian, zabłocony, ale jakoś wcale nie upokorzony, wręcz nawet szczęśliwy. – Panowie, pora przypomnieć sobie dawne

czasy, kiedy byliśmy cesarskimi kadetami. Nisko głowy, czołgać się!

Wycofywali się najpierw na brzuchach, potem na czworakach, Polacy walili nad nimi seriami, oszczędnie, krótko, zbyt krótko, aby nawet bystry obserwator zdołał ustalić miejsce ostrzału. Krótkie serie, teraz mocno poszerzane, kule latały po polu jak Żyd po pustym sklepie.

Kiedy podnieśli głowy, usłyszeli krzyki. Z lewej strony w zagłębieniu terenu, za pniami i sztucznie usypanym przedpiersiem, stało działko trzydzieści siedem milimetrów, z pochyłą osłoną, zza której wynurzały się hełmy obsługi, ktoś machał do nich ręką.

– Tutaj, tutaj, panie pułkowniku!

Przeskakiwali pojedynczo aż do osłony, zapadali w wykrot za tarczą działka. Umorusana obsługa salutowała z uśmiechem.

– Skąd wiedziałeś, że nas wypatrzyli? – zapytał Guderian Thormanna.

– Zobaczyłem resztki wyciętej łoziny przed nami. Polacy wyczyścili te bagna z krzaków, żeby zrobić dobre pole ostrzału. Więc od razu pomyślałem, że jesteśmy na linii ognia.

– Dobrze wstrzelani, mają tu przynajmniej kilka bunkrów. Mój dług u ciebie rośnie. A wy, podoficerze, skąd się tu wzięliście?

– Melduję, że przyciągnęliśmy działko i atakujemy nieprzyjaciela – wyprężył się dowódca działa.

– Sami? Dobrze, zuchy z was. Poczekajcie jednak, aż nadejdzie piechota. Macie tu gdzieś samochód albo ciągnik?

– Nie, panie generale, przyciągnęliśmy działko własnymi rękami.

Guderian skrzywił się i popatrzył w kierunku Góry Strękowej.

– W takim razie czeka nas kolejny spacerek. Panowie, za mną, za chwilę narada w sztabie korpusu i wspólnie ze sztabem waszej dywizji!

Plebania w Wiźnie, sztab XIX Korpusu, godzina 9.58

– Panowie! – zaczął Guderian, ledwie przyjechał do Wizny, wydając po drodze majorowi dowodzącemu zmotoryzowanym batalionem saperów Dziesiątej Dywizji pisemny i ustny rozkaz jak najszybszego ukończenia mostu. – Nasz drogi kolega Günther powie wam w prostych żołnierskich słowach, jak wygląda nasza obecna pozycja.

– Siedzimy w gównie – powiedział bez ogródek Thormann. – Wasze meldunki o zdobyciu polskich schronów były o tyle niedokładne, że nieprzyjaciel posiada w odległości około dziesięciu kilometrów od brzegu kolejną, jeszcze silniejszą linię oporu.

Generał Stumpff westchnął bezgłośnie, wyglądał na spoconego i zmęczonego. Ten ranek musiał być dla niego wyjątkowo bolesny.

– Panowie, naszym nadrzędnym celem jest przełamanie linii nad Wizną w ciągu kilku godzin, aby czołgi Dziesiątej i Trzeciej Dywizji mogły wyjść na szosę Białystok – Zambrów, na kierunek Wysokie Mazowieckie. To sprawa honoru, musimy pokazać dowództwu grupy armii, że wojska pancerne potrafią przełamywać linie umocnień przeciwnika. W związku z tym zarządzam, co następuje. – Generał wskazał na mapie leżące na południe od Wizny Niwkowo. – Dwudziesta Dywizja Zmotoryzowana za chwilę rozpocznie natarcie w celu zdobycia

tej dziwnej wyspy wśród bagien, Grądów-Woniecka. Następnie zbada możliwości obejścia od południa przez błota albo naokoło przez Mężenin linii obronnej wroga.

Ręka Guderiana sunęła po mapie taktycznej jak czołg, tym razem na północ, do Wierciszewa.

– Od północy zaatakuje polską linię Brygada „Lötzen". Następnie ruszy do natarcia Dziesiąta Dywizja. Jednak oba ataki zostaną poprzedzone zmasowanym ostrzałem haubic dziesięć i pół centymetra oraz najcięższych, piętnastocentymetrowych, z rezerwy korpusu, które właśnie rozstawiły się za Wizną. Oberst Nehring skoordynuje te przygotowania.

– Później użyjemy naszej eskadry lotnictwa szturmowego na cele w Giełczynie, Strękowej Górze i głównej linii obrony. Czemu pan nie notuje, generale Stumpff?

– Przepraszam, za pozwoleniem, mam dobrą pamięć, zresztą mój adiutant...

Rzeczywiście major Hagen, adiutant dowódcy Dziesiątej Dywizji, miał już otwarty notes.

– Po nalocie przeprowadzimy główne natarcie...

– Jeśli coś jeszcze zostanie z tych schronów.

– Dokładnie tak. Proszę uważnie słuchać, bo nie ma czasu na bagatele. Najpierw przerzucicie za rzekę resztę działek przeciwpancernych i czołgi. Ponieważ most ciągle jeszcze... cholerne gówno! że się tak wyrażę, za co przepraszam, nie jest gotowy, przeprawimy czołgi na promach, w tym ciężkie trójki, z Trzeciej Dywizji. Atak proszę prowadzić w następujący sposób: wykrywać schrony w terenie, następnie odcinać i otaczać za pomocą czołgów, ostrzeliwać artylerią przeciwpancerną kopuły obserwacyjne i strzelnice. Po zniszczeniu strzelnic karabinów maszynowych, w czym również pomogą wam czołgi, piechota podchodzi pod sam schron przez martwe pola. Gdyby były problemy z ostrzałem,

proszę sformować specjalne grupy bojowe, posadzić saperów na czołgi, które bezpiecznie podwiozą ich do schronu, gdzie żołnierze zrzucą ładunki bojowe. Pozycje przeciwnika muszą być dziś zdobyte. Wykorzystujemy tak wielki przydział sił i środków, że porażka oznaczać będzie blamaż nie tylko wobec dowództwa Grupy Armii Północ, ale nawet u Führera.

– Nie muszę chyba dodawać – powiedział Thormann – jakie konsekwencje dla karier wojskowych wszystkich tu obecnych będzie miała porażka.

Stumpff i oficerowie łącznikowi kiwali głowami.

– Jakieś pytania?

– Panie generale, nie dotarła jeszcze do nas kompania mostowa Dwudziestej Dywizji Zmotoryzowanej – odezwał się oficer łącznikowy. – Czy można prosić o jakąś pomoc w przeprawie?

– Możecie wykorzystać zwalniających się ludzi z batalionu saperów Dziesiątej Dywizji – zadecydował Guderian. – Czy wszystko jest jasne? Mój szef sztabu przygotuje szczegółowe rozkazy. W takim razie zaczynamy. Jesteście wolni. Odmaszerować!

– Zaczynasz z rozmachem – mruknął Thormann, kiedy uczestnicy odprawy rozchodzili się do swoich samochodów, a radiostacja zaczynała pracować pełną parą – ale tylko jeden Bóg wie, jak to się skończy.

– Co ty nie powiesz?

– Powiem, że Polacy mogą mieć o wiele bardziej rozbudowaną linię oporu, niż sądzimy. A na pewno są doskonale wstrzelani w teren.

– Tych parę schronów nie zatrzyma naszego korpusu pancernego! Pamiętaj, że jedziemy na jednym wózku i jeśli z niego spadniemy, to wszyscy. Dostałem od dowództwa sporą samodzielność, która nie podoba się naszym wrogom. Musimy

dowieść, że jesteśmy wyjątkową grupą. Przecież to ja pierwszy wymyśliłem taktykę nowoczesnej walki czołgów! Nikt mi tego nie odbierze.

– Tak jest. Uwaga!

Nagle ściany plebanii zadrżały. Wiszący nad drzwiami krzyż zakołysał się i spadł na drewnianą podłogę. Drżały szyby w oknach, powietrzem wstrząsały pomruki nie tak wcale odległych wystrzałów.

– Aha. – Guderian zerknął na zegarek. – Generał Wiktorin jest akuratny jak ekspres Berlin – Warszawa. Zaczyna się.

Rejon Niwkowa, w tym samym czasie

Najpierw przemówiły polowe haubice dziesięć i pół centymetra z 20. Zmotoryzowanej Dywizji Piechoty. Krótkie, sucho brzmiące, szumiące strzały sypały się jeden po drugim albo salwami po cztery. Działa cofały się równym rytmem na oporopowrotnikach, a pociski przenosiły nad Narwią, waliły prosto w skraj lasu za Niwkowem, po wschodniej stronie rzeki. Najpierw, gdy ogień był zbyt krótki, wyrzucając z głuchym łoskotem potężne kolumny i gejzery błota i mokrej ziemi z łąk, potem przeniosły się na las i przysiółek osady Grądy-Woniecko, zaraz za wysadzonym promem dla wozów. Ogień szedł coraz dalej, próbując zmacać polskie stanowiska i niewidoczne dla oka okopy. Przeniósł się na las, a potem na południowy wschód, na teren wsi położonej na płaskowyżu sterczącym jak wyspa wśród błot i mokradeł, między bagnem Wizna a Łąką Treleńską.

Działa jeszcze biły, kiedy zza chałup Niwkowa zaczęły wypadać pododdziały piechoty wysadzonej z samochodów. Biegli do rzeki, dźwigając ciężkie, obłe pontony, do których

wskakiwały całe drużyny. Wiosłowali szybko, zmagając się z nurtem, nieniepokojeni dobijali do drugiego brzegu. Za nim był prawie płaski teren, pełen łąk i rozlewisk, zakończony poszarpaną linią lasu na wschodzie. Polacy z ubezpieczenia nie strzelali prawie wcale. Zduszeni ostrzałem, kryli się w rowach, padali, zasłaniając twarze; najpierw obsypywała ich ziemia, potem długo osiadał na hełmach i twarzach szary pył wzbity wybuchami.

Niemcy byli tuż-tuż, z pontonów wyskakiwali żołnierze w kanciastych hełmach, gnali przez płytką wodę przy brzegu, zajmując stanowiska na łąkach. I nagle w pyle i kurzu zaświeciły się lufy MG-34, zapłonęły małe, krzaczaste błyski wystrzałów. W huku bijącej zza rzeki artylerii odezwał się stukot wyrzucanych z szybkością błyskawicy pocisków. Gdy ucichł, kolejne drużyny podrywały się do ataku, przeskakiwały po dwadzieścia metrów i padały na ziemię, osłaniając następne. Na próżno – żadne strzały nie zakłócały podejścia pod polskie pozycje. Nikt nie odpowiadał z rowów wykopanych przed przysiółkiem, przecinających drogę na Grądy-Woniecko.

Niemcy szli zupełnie bezkarnie, coraz zuchwalsi. Pierwsi zaczęli dopadać okopu, zaglądać za stanowiska osłonięte workami z piaskiem, ubezpieczani przez kolegów. Pusto... Rów strzelecki, poszczerbiony od ognia artylerii, był pusty. Gdzieś na środku leżała tylko zagubiona polowa rogatywka piechoty. Czyjaś brutalna dłoń zgarnęła ją, aby oderwać błyszczącego orła w koronie...

Artyleria przestała już walić, więc gwizdki zebrały zmotoryzowaną piechotę do kolejnego skoku. Niemcy mijali opustoszałe, rozwalone domostwa, stodołę ciągle trawioną przez ogień, który pochłonął już słomiany dach i teraz szalał między sterczącymi jak czarne żebra krokwiami.

Niemcy przeszli szybko i sprawnie, w szyku rozwiniętym, lecz zaraz był las, ten zawsze wywoływał chaos i niepokój. W ostatnich dniach przed wojną czytano im w rozkazach, że każdy las miał być pełen partyzantów i zasadzek, za każdym drzewem czaił się uzbrojony po zęby polski buntownik.

Piechota znikała pluton po plutonie, od strony rzeki dochodził huk motorów, to ciężarówki i artyleryjskie ciągniki usiłowały przejechać wpław przez bród. Zły pomysł, pierwszy ciężarowy mercedes zatrzymał się i opadł, natrafiwszy na muł, bezsilnie mieląc go obracającymi się w miejscu kołami, zawieszony na podwoziu. Inne zrezygnowały, zatrzymały się na brzegu, czekając na podciągnięcie kolumny pontonowo-mostowej. Na pontonach przewożono za to pierwsze motocykle.

Piechota szła, zagłębiała się w las, na początku piaszczysty, sosnowy, potem podszyty młodymi krzewinami, mieszany, pełen brzóz, dębów i grabów. Był gęsty, czasem nie do pokonania, rozpościerał się szeroko po obu stronach drogi, skręcającej powoli ze wschodu na południe, w stronę Grądów-Woniecka.

Błysk przeszył przestrzeń przed maszerującymi, kiedy zabiły mocnym rytmem dwa erkaemy, biorąc w krzyżowy ogień Niemców na rozstaju dróg. Od razu padli, jedni szukając osłony, inni dopadnięci przez kule.

Bezskutecznie próbowali się odgryzać, bili z karabinków Mausera do krzaków jak do duchów, rozstawiony MG-34 pluł ogniem, siał pociskami po lesie, poszarpał pnie drzew, ścinał gałęzie. Od razu dołączył się do niego drugi, trzeci, czwarty i... dziesiąty. Łoskot był taki, że ogłuszał, wciskając do uszu ból i strach, zmuszał do schylenia głowy, wciśnięcia jej w piach.

Gdy ostrzał ustał, głosy i gwizdki oficerów poderwały plutony do ataku. Na próżno. Nagle polskie erkaemy zabiły znowu, z różnych stron, z dwóch kierunków. Na krzyż. Ich ogień, świst

pocisków, łoskot walących się ściętych gałęzi zmusiły znów Niemców do zalegnięcia w przeklętej gęstwinie, w lesie, gdzie nie można było ani poruszyć się bez hałasu, ani rozeznać, skąd między pniami szły zjadliwe strzały.

Polacy byli wstrzelani jak diabli, musieli zmienić stanowiska, dobrze osłonięci od kul.

– *Zurück! Zurück!* – odezwały się głosy.

Niemcy wycofywali się, osłaniani przez ogień rozszalałych MG-34, siejących po lesie serie bez ładu i składu. Najpierw odczołgiwali się, potem odskakiwali, przygięci do ziemi, osłaniając z kolei wycofujące się obsady ciężkich karabinów.

– Przerwać ogień! – zakomenderował podporucznik Przybylski, dowodzący kombinowanym oddziałem z dwóch drużyn z 33. Pułku Piechoty i jednej wydzielonej z ósmej kompanii kapitana Schmidta. – Na trzecie stanowisko biegiem maaaarsz!

Pędzili płytkim rowem, wyskakiwali pod osłonę ze ściętych gałęzi, potem skokiem przez las, za skrzyżowanie, w stronę wsi. Każda drużyna po jednej stronie starej drogi. Przeszli przez las jak duchy – najpierw strzelcy, potem obsługi dwóch erkaemów, karabinowi, celowniczy dźwigający ciężkie, lecz wdzięczne karabiny Browninga, amunicyjni dźwigający torby z magazynkami. Wypadali z lasu na otwartą przestrzeń, gdzie droga pokonywała grząski grunt na grobli, z prawej strony widok zamykał las za bagnami.

– Trzecia drużyna na stanowiska! – Pokazał kraniec grobli, gdzie był już przygotowany płytki rów.

Drugi pododdział pędził już do lasu, by rozsypać się wzdłuż drogi, zamykając Niemców – gdyby chcieli przebyć groblę – w krzyżowym ogniu erkaemów i karabinków.

Wpadając do rowu, podporucznik wstrząsnął się, widząc przycupniętych na jego krańcu dwóch mężczyzn w płaszczach,

kamizelkach i butach z cholewami. Zakurzonych jak wszyscy, wyglądających nerwowo z okopu.

– Wy co za jedni?

– Pan podporucznik nie krzyczy – powiedział wyższy i siwawy. – Jesteśmy z Bronowa. To jest Zarzecki, a ja jestem Stefan Szymański.

– Co tu robicie?

– Ano ukrywamy się.

– Przed kim?

– Przed generałem Guderianem.

– A kto to?

– Ten największy Niemiec, co przyjechał do Wizny i rozpycha się jak trzy grosze w worku. On nas ściga.

– Jak to? Przecież jesteście cywile?

– Ano, co tu rozumieć. My go rozbroiliśmy dwadzieścia lat temu w Bronowie. I teraz wrócił w godnej kompanii. Wysłał do nas księdza Czesława Dziondziaka, żeby przekazał, że generał Guderian zaprasza nas do siebie.

– To ja wtedy mówię – odezwał się ten drugi – Stefek, chłopie, co robić, spierdalamy! Bo w takiej niemieckiej gościnie na pewno nie ugoszczą nas tym, co by na zdrowie poszło.

– No i jesteśmy – powiedział Szymański, wyciągając papierosa.

Grzmot przeszył powietrze, zaczęła się osypywać ziemia ze ścian wykopu. Poczuli tąpnięcie, jedno, drugie, trzecie, czwarte. Nad lasem koło zakrętu drogi wykwitły wysokie krzaki wybuchów. Poleciały w górę drzewa, gałęzie, kamienie wyrzucone przez ponaddziesięciocentymetrowe granaty artyleryjskie.

Żołnierze wtulili twarze w ziemię, przycisnęli się, skurczyli, zmaleli. Armatni ostrzał przybierał na sile. Ogarniał cały skraj

lasu przed nimi, zahaczał nawet o łąki i mokradła za ostatnimi drzewami. I nagle ucichł, skończył się.

Czekali, ściskając w spotniałych dłoniach kolby karabinów. Palce gmerały przy spuście, kurczyły się i rozkurczały.

Cisza. Mijały minuty, potem kwadranse, lecz Niemcy nie pojawiali się. Od rzeki dochodził stłumiony warkot motorów.

Wizna, godzina 10.10

Ziemia pod Wizną zajaśniała błyskami. Jakby pojawiła się migocąca zorza na polach i łąkach za miasteczkiem, w stronę Srebrowa, z daleka wyglądało to, jakby ktoś rozrzucił po brązowoszarej ziemi rój fajerwerków, z bliska – jak pojawiające się niespodziewanie ściany ognia.

Były to baterie haubic polowych włączające się do walki z krótkim, przeciągłym hukiem. Sama 10. Dywizja miała ich dwanaście, ale zaraz doszlusowały do nich takie same armaty ze 161. Pułku Piechoty Landwery z Brygady „Lötzen” zgrupowane pod Samborami i Rusią. Dawały ognia mniej składnie, ale za to bez przerwy – było ich więcej, bo aż dwadzieścia cztery w całym dwudywizjonowym pułku. Wszystko powtarzało się rytmicznie, najpierw ogień, od razu całej czterodziałowej baterii, błysk, potem pojawiający się dym i pył wzniecony z wyschniętych pól i zagonów. Wzrastający chmurą, sięgającą wyżej niż kalenice drewnianych chałup nad Narwią. Potem skrócenie lub wydłużenie ognia, a wtedy kolejne błyski przecinały wstający wokół baterii pył i kurz.

Po chwili do walki włączyły się najcięższe, piętnastocentymetrowe haubice z artylerii korpusu. Z długimi, przywodzącymi na myśl cygaretki lufami, pozbawionymi blach osłony, osadzonymi na cylindrycznych amortyzatorach niczym

wydłużone puszki. Waliły, wysyłając pociski z krótkim, przytłumionym dźwiękiem. Po trzeciej salwie terkotały dzwonki polowych telefonów z poleceniami od obserwatorów ukrytych w zaroślach po drugiej stronie Narwi i Biebrzy.

I zaraz, dosłownie w mgnienie oka po wystrzałach, pociski zaczęły padać na pozycję Giełczyn. Granaty artyleryjskie wbijały się głęboko, wyrzucając w górę chmury pyłu. Ogień, najpierw niecelny, uderzał w płaskie łąki między Wierciszewem, Gacią i Giełczynem. Potem zaczął przesuwać się w stronę wioski, w rowy strzeleckie za głównymi trzema schronami; blisko stanowisk erkaemu drugiego plutonu ósmej kompanii wydzielonej do obrony tego odcinka. Potem ześrodkowano ogień na wykrytych już schronach.

Armatnia nawała, chociaż mało celna, była jak piekło, wzniecała bowiem potworne tumany pyłu. Żołnierze wciskali się w nisze i stanowiska, między worki z piaskiem, czasami uciekali z okopów, kryjąc się w wykrotach i zagłębieniach terenu, krzyczeli oślepieni, ogłuszeni, rozdygotani. Nikt nie uciekał, na otwartych polach dzielących ich od zabudowań wioski śmierć siekła żelazną nawałnicą odłamków. Nikt by nie przeżył, więc trwali – rozwierający usta w niemym krzyku, zatykający uszy, walący się pokotem na dno rowów. Piekło zaczynało się tuż-tuż; pod nogami, obok nagle wybuchały płomienie, bo od gorąca wystrzałów zapalała się wyschnięta plecionka okopów. Płonęły chaszcze i pniaki, pojedyncze drzewa pozostawione poza polem walki. Wydzielając gęsty czarno-brązowy dym, zajęły się ogniem strzechy chałup Giełczyna.

W schronie porucznika Kiewlicza na przedpolu wsi brakowało tchu. Drzwi były zamknięte, zaryglowane; dowódca był głuchy na krzyki i walenie kolbami z zewnątrz, gdy ludzie z czwartej drużyny usiłowali schować się we wnętrzu.

W schronie nie było wentylacji. Chociaż nie prowadzili ognia, robiło się coraz goręcej, pył wpadający przez okratowane rury wentylacyjne i strzelnice dusił płuca, drażnił oczy, wszyscy siedzieli skuleni, wtulając plecy w betonowe mury, podrzucani przez każdy kolejny wstrząs oznajmiający upadek granatu artyleryjskiego.

– Nie wpuszczać – charczał Kiewlicz. – Bo podusimy...

Wrzask, krzyk, jęki, to było nie do wytrzymania. Ktoś szarpał go za rękę, to był sierżant Murachwa, pokazywał telefon polowy. Jedynie łapiąc aparat, po drżeniu drewnianego pudła porucznik był w stanie wyczuć, że nadchodziło połączenie.

Przyłożył słuchawkę do ucha, ale musiał wyciągnąć drugą, żeby w ogóle coś usłyszeć. Po drugiej stronie odezwał się smutny, spokojny głos kapitana Raginisa:

– Ciężki ostrzał... trzymajcie się!

– Oczywiście, że się trzymamy! – wykrzyczał Kiewlicz. – Melduję zadymienie schronów, nie damy rady długo walczyć.

– Nic nie poradzę. Otwierajcie drzwi pancerne, jak skończy się ostrzał. My tak robimy. Wytrwajcie, zaraz przyciszy ich porucznik Brykalski!

– Tak jest! Zaraz Brykalski przyciszy.

I wtedy przemówiły polskie siedemdziesiątkipiątki i -szóstki zza Góry Strękowej. Ich głos zginął w niemieckiej nawale, brzmiał jak pukanina, ale armaty były lepiej wstrzelane w teren. Najpierw w górę poszły granaty stalowe wz. 1915 z zieloną głowicą i żółtym korpusem, nabite melinitem. Rąbnęły w przyczółek i ciągle nieukończony most, przy którym trudzili się bez przerwy półnadzy lub porozbierani do koszul pionierzy!

Wybuchy wzbiły ogromne fontanny wody z Narwi, wzniecając chaos i panikę. Pionierzy uciekali na zachodni brzeg po dopiero co położonych przęsłach albo wprost rzucali się w fale rzeki, brnąc, płynąc, przepychając się, gdy wychodzili na

brzeg. Kolejna salwa poszła schodami od zachodniego przyczółka w lewo, w ruiny mostu, w nasyp drogi. Wybuchy wyrwały w górę kawałki kratownic, poszły w strzępy przygotowane poręcze i krawężniki, poleciały, obracając się w powietrzu jak skrzydła wiatraka.

Niemcy pierzchali, uciekali w popłochu; praca pionierów była przerwana, cofnięta przynajmniej o parę godzin. Brykalski nie dawał im pardonu. Ze stanowiska w kopule obserwacyjnej schronu dowodzenia w Górze Strękowej nie widział dokładnie przeprawy, ale cel już od dawna był zapisany w tabelach artylerzystów. Szybko przeniósł ogień na groblę, potem na drogę i skrzyżowanie koło Witkowa, wreszcie na pola za Wizną, na wzgórze 146, gdzie błyski i kłęby dymów świadczyły o pozycjach niemieckiej artylerii.

Już w powietrzu jego granaty rozminęły się z pociskami zza rzeki, lecącymi na pozycje pod Górą Strękową i Kurpikami. Artyleria wroga przeniosła teraz ogień na główną pozycję obrony, macając po omacku schrony Raginisa i kapitana Schmidta. Wybuchy okryły rozmazanymi krzakami zbocza wzgórza 126, zapaliły ostatnie dwie nietknięte zagrody w wiosce poniżej. Porozrywały na strzępy hiszpańskie kozły i zasieki tam, gdzie na dole główna droga do nieistniejącego mostu przebiegała blisko samej wsi Kurpiki. Wybuchły wśród szkieletów chałup.

Biła w nich ciężka artyleria. Brykalski starał się odgryzać im zaciekle, lecz rozrzut pocisków był zbyt wielki. Przeniósł więc ogień na bród pod samą Wizną, na łąki i mokradła nad rzeką, gdzie gromadziła się piechota przeciwnika, grupując się do ataku na główną pozycję obrony. Niemcy zalegli, choć ogień nie mógł równać się z ich własnym. Strzelcy rzucali się na ziemię, pełzali, starając się znaleźć osłonę, kierowcy wyskakiwali z ciężkich, półgąsienicowych ciągników artyleryjskich,

gotowych do przeciągnięcia przez brody przy moście i miasteczku lekkich działek przeciwpancernych.

Schron GG-126 drżał i podskakiwał, beton odpadał całymi kawałkami, słyszeli, jak o ściany uderzały odłamki. Miejsca nie było zbyt wiele – Raginis kazał wpuścić do środka całą obsadę rowów strzeleckich, zabrać erkaemy ze stanowisk. Zarówno izba dowodzenia, jak i załogi oraz maszynownia, w której nie było maszyn, pękały w szwach. Żołnierze siedzieli jeden przy drugim, ściśnięci, ale przez to może czując się bezpiecznie. Byli tu i ludzie z ósmej kompanii i załogi pozycji wysuniętej razem z porucznikiem Zawadzkim.

Znienacka trwająca bez przerwy, zlewająca się w jednolity grzmot kakofonia wybuchów zaczęła cichnąć. Ściany już nie drżały, za to w schronie słychać było tylko charczenie, kaszel, torsje kilkunastu gardeł i płuc. Powoli i to cichło.

– Otwórzcie drzwi – rozkazał porucznik Zawadzki. – Przewietrzyć schron.

Kapral Pawlak odemknął żelazne zasuwy i rygle. Pchnął płytę, wpuszczając do śmierdzącego, pełnego pyłu wnętrza łyk czystego, choć gorącego powietrza. Rozwierał drzwi szerzej i szerzej i w miarę jak to czynił, jego oblicze stawało się coraz bledsze.

Zatrzasnął je pomimo protestów, kiedy usłyszał potężniejący ryk motorów. Przeciągłe zawodzenie tych strasznych samolotów nurkowych, które zrzucały bomby całkowicie bezkarnie.

Wylatywały grupami z oparów, z chmur pyłu i dymu płonących lasów, wsi. Skręcały jeden za drugim, obracając się na bok, a potem przechodząc w ostry, pikujący lot ku ziemi. Ryk syren uderzył wtedy we wszystkich, wdzierał się do schronu przez rury wentylacyjne, wibrując metalicznie wewnątrz konstrukcji, zmuszał do zaciskania zębów, osłaniania uszu

rękoma, wciskania się jak najgłębiej w chropowaty beton w poszukiwaniu czysto iluzorycznego schronienia. Nerwy pękały jak postronki, krzyk wydobywał się z ust, krzyk zdolny zagłuszyć wycie sztukasów.

– Celuuują w nas!

– Ratujcie!

Jakiś strzelec podbiegł do pancernej płyty drzwi, szarpał za zasuwy, zwalniając je z zatrzasków. Kapral Pawlak zareagował pierwszy, wbijając mu łokieć w bok; pomógł mu plutonowy z KOP-u, łapiąc szaleńca i wykręcając mu prawą rękę!

– Trafią! Trafią nas, aaaaaa!

Przeszywający gwizd, nagle zrobiło się ciemno. Potem schron podskoczył, po prostu uniósł się i opadł, zbijając wszystkich z nóg, przewracając i przesuwając tych, którzy siedzieli pod ścianami. Byli jak zgłuszeni, pogasły światła karbidówek, pył wypełnił płuca, strach paraliżował. W tej samej prawie chwili poczuli drugie uderzenie, słabsze, trzecie i czwarte – prawie niezauważalne.

Ktoś jęczał, inny modlił się chrapliwie. Rozległ się słaby głos Raginisa:

– Półtonowa bomba. Nie trafiła nas. Nic się nie stało.

Lotniczy atak spadł na Górę Strękową, Kurpiki, Maliszewo i most na Narwi osiem kilometrów dalej, na tyłach. I na pozycję porucznika Kiewlicza, rujnując rowy strzeleckie, zmieniając je w krajobraz, jaki musiał być na Księżycu, pokryty zwojami poszarpanego drutu z zasieków.

A potem od strony Wierciszewa rozległ się ryk silników. Tyraliery i grupy niemieckiej piechoty zaczęły podnosić się i iść przed siebie, przez bezkresne jesienne łąki nad Narwią. Szli na pozycję Giełczyn, ciągnąc armaty przeciwpancerne. Z tyłu do Biebrzy zjeżdżały samochody pancerne i ciągniki artyleryjskie z lekkimi haubicami polowymi. Przejazd przez bród był już

oznakowany przez saperów podwójną linią tyczek z chorągiewkami.

Niemcy najpierw szli, potem jechali. Prosto na schrony Kiewlicza.

Pozycja Giełczyn, godzina 11.18

Wybuchy i eksplozje targające schronem Gać urwały się nagle, ustępując miejsca ciszy, tak niespodziewanej, że aż wiercącej w uszach, tak nieoczekiwanej, że usta same otwierały się w grymasie zdumienia. Po godzinie ostrzału nikt już nie wierzył, że są na świecie miejsca, w których nie słychać stłumionego grzmotu wybuchów, że betonowe podłogi mogą dawać stabilne oparcie stopom, a nie podskakiwać i drżeć po każdej salwie. Cisza, cisza, podejrzana, wwiercająca się w głowę. Czyżby koniec?

Porucznik Kiewlicz poderwał się z ławy w komorze dowodzenia, otworzył drzwi do komory erkaemu na wprost, odsunął stalową zasuwę strzelnicy i wyjrzał ostrożnie. Zobaczył ciemnoszary tuman mgły utworzonej z pyłu ostrzelanych okopów, dymów palących się chrustów i domów wioski. Ledwie rozróżniał w nim zarysy plecionki chroniącej ściany rowów strzeleckich przed osypywaniem się w dół.

I nic więcej, spokój i cisza, jak na cmentarzu.

I tylko terkot, właściwie dźwięk brzęczyka w telefonie w sąsiedniej izbie.

Skoczył tam, podniósł słuchawkę, po drugiej stronie zadudnił ponury głos.

– Porucznik Szopa, schron Kołodzieje. Melduję, Niemcy nacierają!

– Nie strzelać z kopuły, podpuścić na linię ognia. Czekać rozkazu!

– Tak jest, zrozumiałem.

– Na stanowiska! – Kiewlicz odwrócił się do swoich. – Zajmować miejsca, karabin jeden, dwa, trzy! Powiedziałem.

Wszyscy byli jak ogłuszeni, oślepieni, oczadzeni, więc chwycił za ramię celowniczego kaemu numer dwa, skierowanego na Kołodzieje, poderwał go, zaraz po tym taśmowego i popchnął ich, przepchnął przez drzwi do komory erkaemu, prosto ku kolejnym żelaznym drzwiom do pomieszczenia, gdzie czekał osadzony w podstawie ciężki cekaem wz. 30.

– Gotowość do odparcia ataku! – krzyczał, a raczej charczał porucznik. – Karabin pierwszy, celownik tysiąc pięćset, dwójka dziewięćset, trójka tysiąc trzysta!

Ruszali się jak muchy w smole, przez pył wypełniający wnętrze widział, jak nieporadnie gramolili się na nogi, szli, trzymając się ścian. Jemu samemu kręciło się we łbie, jakby siedział na kamieniu młyńskim albo spadł z karuzeli. Ktoś przedzierał się do niego przez ten cały rozgardiasz, aby zameldować prosto w oczy:

– Niemcy, panie poruczniku, odległość niecałe dwa kilometry!

– Nie strzelać! Podpuszczać blisko... Powtarzam! Ogień tylko na rozkaz.

– Niemcy, panie poruczniku! Niemcyyyy! – darł się celowniczy z kopuły coraz głośniej.

Kiewlicz przeszedł przez izbę z wychodzącą ze ściany rurą doprowadzającą powietrze do pieca, który jeszcze nie został zainstalowany. Z umieszczonym w stropie, także niewykorzystanym przewodem kominowym. Wpadł na górę po żelaznych szczeblach, wdrapał się na ażurowy podest kopuły obserwacyjnej. Starszy strzelec przy cekaemie drżał

i pokazywał przed siebie, prosto w otwartą szczelinę prowadzącą na południowy zachód.

– Idą! Idą! Pan porucznik patrzy!

– Spokój. Podpuścić ich blisko, na linię ognia! Stać!

Uchwycił celowniczego za prawą rękę i prawie siłą ściągnął ją ze spustu. Chwilę później odsunął żelazną zasłonę na drugim otworze, wyjrzał, przykładając lornetkę do oczu, i aż pokręcił głową. Szerokie, rozłożyste i płaskie łąki nad Biebrzą pełne były ruchu, jakby ożyło wielkie mrowisko. Kiedy przybliżał obraz, w pole widzenia wchodziły mu rozsypane w rojowiska sylwetki skulonych, przemieszczających się żołnierzy w mundurach feldgrau, w wysokich hełmach, z czarnymi ładownicami przy pasach. Kiedy zwiększył przybliżenie, w szkłach zatańczył przed nim tępy pysk ciągnika artyleryjskiego, kołyszącego się na wybojach i ciągnącego armatę polową o żelaznych kołach. Porucznik zesztywniał. A więc wrogowie przebyli rzekę. Do tej pory łudził się, że Biebrza okaże się zbyt głęboka, pełna wirów i głębin, aby mogły przedostać się przez nią ciężkie maszyny i samochody pancerne.

Niemcy szli, wypatrując stanowisk wroga, gołym okiem można było złowić błyski szkieł, którymi dowódcy i obserwatorzy omiatali przestrzeń. Dwa główne schrony zapewne mieli już rozpoznane, ale artyleryjska nawała zmieniła łąki w pobojowisko. Na przedpolu umocnienia, na jego nasypie od strony rzeki widniały ogromne wyrwy i leje po pociskach, teren pełen był wądołów i bruzd, w niektórych tliły się ciągle pożary gałęzi i zarośli. Ten zrujnowany krajobraz przeszkadzał w rozpoznawaniu kolejnych okopów i umocnień.

Kiedy Kiewlicz powstrzymywał celowniczego ile tylko mógł, niespełna kilometr dalej, pod Kołodziejami, porucznik Szopa trzymał rękę na żelaznej zasuwie przesłaniającej otwór strzelniczy w kopule obserwacyjnej. Drżały lekko ręce

celowniczego cekaemu w dolnej lewej komorze bojowej. Spoczywał obok spustu palec wskazujący żołnierza obsługującego kolejny cekaem, w prawej komorze schronu w Gaci. Wzrok strzelców z KOP-u z obu schronów krzyżował się w polu rażenia ich karabinów, na płaskich łąkach pod Gacią i Kołodziejami. Obaj przebijali wzrokiem opary, dymy, wpatrując się w teren, szukając najmniejszego ruchu, lekkiego drgnięcia, pierwszego żołnierza wroga. I rozkazu otwarcia ognia.

Nagle zaroiło się od szarawych sylwetek! W zniszczonym, przeoranym pociskami terenie przesuwały się szybko, już bez skoków, wchodziły na linię śmierci między schronami w Gaci i Kołodziejach, w obszar wykreślony przeciwrykoszetowymi, schodkowymi źrenicami strzelnic.

Kiewlicz wydał rozkaz, krzyknął w głąb bunkra, przez otwarte drzwi do sali i korytarzyka:

– Karabin pierwszy, pogłębianym na wprost, ognia!

Cekaem zabił, zadudnił, zaniósł się równym, stukocącym rytmem. Przeszył prostą linią zwichrowane gromady niemieckiej piechoty, wbijając groty śmierci w żywe ciała wrogów. Poszarpał ich, wyrywając krwawe ślady na piersiach, bokach, pod okapami hełmów, zbijając z nóg trafionych, z których jedni padli uciszeni od razu pierwszymi pociskami, a drudzy, obaleni impetem serii, w drgawkach jak ryby wyrzucone na brzeg. Reszta zwaliła się w piach i trawę, zaległa pod ogniem nie do końca rozpoznanych schronów. I w tejże samej chwili zwaliła się na nich z drugiej strony kosząca, śmiertelna seria z lewego kaemu schronu w Kołodziejach, zamykając krzyżowe pole śmierci.

– Strzelajcie! Walcie! Co czekacie?! – zakrzyknął Kiewlicz do obsługi kaemu w kopule.

– Strzelnica, panie poruczniku!

A, prawda! Jednym ruchem dowódca szarpnął za zasuwę w otworze strzelniczym numer dwa, którą sam zasunął wcześniej, zabraniając strzału. Odsunął ją i uciekł na bok, wpuszczając do kopuły promień światła, a razem z nim odsłaniając widok biegnących na wprost Niemców. Byli o dziesięć, piętnaście metrów od kopuły! Walili prosto, nie rozpoznając stanowiska; schron był wszak dobrze umocniony, obsypany od przodu ziemią, kamieniami, obłożony z góry darnią sklejoną z betonem za pośrednictwem lepiku. Tylko kopuła sterczała z gruntu, jednak i ona, poszczerbiona od pocisków, obsypana ziemią, zamaskowana trawą i gałęziami, uszła uwadze wrogów!

Biegli prosto, jakby chcieli ich rozdeptać. Starszy strzelec, celowniczy, zobaczył podoficera zagarniającego swoich do jak najszybszego biegu, trzymającego w ręku krótki peem z pudełkowym magazynkiem.

– Rozdepczą, psiajuchy! – jęknął ze złością.

Pociągnął za spust. Z tej odległości nie musiał nawet celować. Karabin maszynowy położył całą grupę, rozszarpał, skrwawił, zmuszając pozostałych do rozproszenia się. Nawet ci, którzy nie zginęli od razu, lecz padli na ziemię, dostali kulki, nie było bowiem tak naprawdę gdzie się schować. Nawet leżąc, odcinali się od otoczenia w polu ostrzału, jak nieporadne, ciężkie toboły.

Pierwszy ruch; to było jeszcze zawahanie, czy strzelać tak od razu, z tak bliska do żywych w końcu ludzi. Ale po chwili celowniczy nie znał wahania. Pruł ciągłym, jednostajnym, poszerzanym trochę ogniem po otoczeniu. Któryś z Niemców musiał cisnąć granat – kopuła szczęknęła, lekko się zatrzęsła, w strzelnice sypnęło piachem. MG-34 wypruł długą serię po szczycie schronu, wyrzucając w górę kawały podeschniętej darni i pionowe pióropusze piasku.

Niemcy zalegli. Cała pierwsza linia, plutony, pewnie przynajmniej dwie, trzy kompanie, padły na ziemię, szukając ochrony. Nad ich głowami krzyżowały się mordercze serie ze schronów, którym wtórowały dwa lżejsze erkaemy z okopów. Powoli, metr za metrem żołnierze z pułków landwery wycofywali się w stronę Biebrzy, jednak czujnie, obserwując teren, zaznaczając miejsca polskich strzałów. Nie wszyscy jednak. Na południe od schronu porucznika Kiewlicza oficerowie zagrzewali swoich ludzi do walki. Kiedy sypnęły się pierwsze serie, plutony rzuciły się do ataku, obchodząc z lewej, od południa, główny bunkier na skraju spalonej, zrujnowanej Gaci.

Byli głupcami! Wyginając linię natarcia w łuk, nie wiedzieli, że wchodzą w pole rażenia pomiędzy schronem Kiewlicza a nie ujawnionym jeszcze schroniskiem odsuniętym nieco na wschód – postawionym i zamaskowanym na skraju płonącego obecnie Giełczyna.

Nagle spadły na nich serie i pociski dwóch cekaemów! Północ, południowy wschód, zamknięte pole śmierci. Rażeni z obu boków, mogli tylko paść na ziemię, przyduszeni ostrzałem, tworząc linię strzelców.

Wówczas otwarły ogień cekaemy z obu kopuł – z Gaci i Giełczyna – przecinając leżących długimi prostymi seriami, co poszły jak dwa ściegi w przeciwne strony, wyrzucając w górę piach i kawałki darni. W miejscu, w którym trafiały w ludzkie ciała, wbijały się w nie miękko, bez fontann ziemi. Przyszpilały Niemców, odbierając im nadzieję na odwrót, podczas gdy cekaemy z komór bojowych zamykały skutecznie dostęp do tyłów pozycji i do stojących w ogniu zagród Giełczyna.

Wróg cofał się, najpierw rakiem, odgryzając się z MG-34, ale nieskutecznie. Najbardziej przerażeni podnosili się na nogi i uciekali, sadząc ogromnymi susami; strach dodawał skrzydeł

skuteczniej niż rozkazy. Zrobiło się cicho, kule przestały uderzać w skarpy i nasypy.

– Wieją! – zawołał z kopuły celowniczy. – Wieją Szwaby, panie poruczniku!

– Przerwać ogień! – rozkazał Kiewlicz. – Słyszeliście? Uciekli. Wycofują się! Słyszycie! Odparliśmy atak!

– Huraaa! – krzyczał ktoś, a właściwie charczał.

Wnętrze schronu było jedną wielką studnią pełną oparów, siarczanego smrodu i potu. Jakiś szeregowiec wyrzucał żołądek do kubła, inni jęczeli, obsługa cekaemów, prawie zaczadzona od dymu, poukładała się na betonie, siadała pod ścianami, łapiąc powietrze otwartymi ustami, jak ryby.

Ale to nie był koniec. Nagle poczuli bardziej, niż usłyszeli stuknięcia wystrzałów. Jedno, drugie, trzecie. Przerwa. Schron dygotał, kołysał się, drżał, z betonu szedł kurz i pył drapiący w usta, zapychający nos i drogi oddechowe.

– Wooody! Wody! – jęczał ktoś.

– Dajcie mu, do cholery!

– Nie do picia! Do chłodnicy! Kaem się przegrzał! Kurwa mać!

– Gdzie zapasowe lufy? Stefan, przynieś!

I nagle detonacja, ogromna, ogłuszająca; schron dostał w bok, od południa, w schodkową strzelnicę pierwszego kaemu. Kiewlicz usłyszał wrzask, jęk dartego metalu i słabe wołanie:

– Sanitariusz, sanitariusz!

Zmusił się, żeby powstać, przepuścił w sąsiedniej sali dwóch amunicyjnych, którym zlecono funkcję łapiduchów, zajrzał nad ich ramionami i głowami, zobaczył rozwaloną wnękę cekaemu, rozdarty karabin, pogięty wspornik podstawy fortecznej i rozwalone, zdeformowane jarzmo w otworze strzelniczym. Karabin umilkł, celowniczy we krwi wił się na podłodze, taśmowy leżał cicho, ciśnięty pod ścianę jak szmaciana lalka.

Nie ruszał się, nawet nie krwawił. Tak mogła wyglądać tylko śmierć.

– Zamknąć strzelnice! Zamknąć drzwi!

– Udusimy się! Panie poruczniku!

– Zamknąć, powiedziałem!

Z hukiem zatrzaskiwały się po kolei pancerne drzwi, potęgując duchotę, zapylenie, zwiększające się po każdym nowym wstrząsie. A Niemcy bili w nich z bliska, bezpośrednio – musieli umieścić armaty na stanowiskach włamujących się w linię oporu, rozpoznać kopuły i schrony, by strzelać prosto w strzelnice.

Nowy udar z prawej, od północy; znów krzyk, wołanie przedzierające się przez pancerne drzwi... Uderzenie w strzelnicę pierwszego karabinu pociskiem przeciwpancernym, bo jakby fala przenikliwego dźwięku przeszła przez cały schron, szarpiąc bębenkami w uszach, w ogóle całą głową. Wszystko jakby trzepotało dokoła, szumiało, rozpadało się w chaosie. Usłyszał ruch w korytarzu, walenie w stalowe drzwi. Sierżant Murachwa otworzył je od razu, wpuszczając pokrytego kurzem kaprala.

– Melduję, rozwaliło pierwszą strzelnicę! Karabin rozbity, podstawa wygięta. A Maciejewski... ciężko ranny. Odłamkiem.

– Maciejewski nie żyje! – charczał ktoś.

Dławili się smrodem, przełknąć śliny też się nie dawało, bo kurz osadzał się na języku i przełyku grubą warstwą; dusili się, nie mogli złapać powietrza.

– Otwórzcie drzwi do kopuły – wycharczał w końcu Kiewlicz. – Otwierać zawsze, kiedy tylko nie strzelają.

Murachwa odemknął pancerne wrota prowadzące do komory z lewej, położonej pod samą kopułą obserwacyjną, gdzie przez środek przechodziła żelazna rura będąca kolumną wspornika dla obrotowej lawety cekaemu piętro wyżej.

– Niech to się skończy – wyjęczał porucznik. – Niech wreszcie będzie!

I nagle uderzył piorun, dosłownie poraził ich wstrząsem i hukiem. Kiewlicz zobaczył wokół siebie małe, rozbiegające się gwiazdeczki, jak w kuźni po uderzeniu młota. I razem z nimi spadł mu do stóp celowniczy karabinu maszynowego z kopuły.

Murachwa pochylał się nad nim, obrócił go, sprawdził puls.

– Żyje! Żyje! Chyba...

– Moje oczy! Oczy! – zajęczał strzelec. – Ciemnoooo! Taaaak ciemno!

Kiewlicz pochylił się nad nim, ale nie widział żadnych ran na twarzy, tamten miał źrenice otwarte, lecz puste, jakby niedowidzące...

– Zaniewidziałem... Za cooo! Za cooo! Aaaaa!

– Słyszysz mnie? Słyszysz! Starszy strzelec!

Nic nie wskazywało, by jakiekolwiek słowa docierały do rannego, a może tylko ogłuszonego celowniczego. Wspólnie z sierżantem wciągnęli go do komory sypialnej, tam już zajęli się nim dwaj amunicyjni, położyli go pod ścianą, sprawdzili puls, oddech.

– Będzie żył! Ogłuszony od ognia.

Grzmot, uderzenie gromu, schron się trzęsie!

– Nie wytrzymamyyy!

Kiewlicz pochylił się nad stołem.

– Łączcie z Raginisem, z Górą Strękową! – powiedział do telefonistów.

– Kabel zerwany! – rozłożył ręce starszy strzelec przy centralce. – Kabel zerwany!

– Cholerna śmierć! Sierżant Murachwa! Telefoniści! Za mną!

Wyszli, a raczej wytoczyli się do komory z miejscem na piec, potem przez drzwi do centralnego pomieszczenia, stąd przeciwgazowych drzwi do korytarzyka już nie było. Słyszeli

krzyki z komory pierwszego cekaemu, uderzenie omal nie obaliło ich na beton.

– Otworzyć główne drzwi!

Murachwa i telefonista skoczyli do zasuw, szamotali się z nimi, waląc kolbą karabinu, były zacięte, zakleszczone. I nagle odskoczyły! Odeszły od żelaznej futryny, wpuszczając podmuch pylistego, ale świeżego powietrza. Omal nie ścięło ich z nóg.

Wejście otwierało się na głęboki rów na tyłach schronu. Siatka maskująca już nie istniała, stoki wykopu były porujnowane, rozwalone wybuchami granatów. Armatnia kanonada nie ustawała. Tuż obok za ścianą rozerwał się pocisk, obsypał ich deszczem ziemi i kamyków.

– Gdzie ten cholerny kabel? Gdzie idzie?!

– Tam – telefonista pokazał największy krater na zachód od schronu – musiało rozerwać. No, nie jestem pewien...

– Bez tego nie wezwiemy... wsparcia. Kto na ochotnika? – przygryzł zęby Kiewlicz. – Kto?

– Ja! – zgłosił się telefonista.

– Ja mogę – powiedział obserwator plutonu.

– Dobrze. Idźcie. Po jednemu – zastrzegł porucznik.

Telefonista nacisnął hełm głębiej na głowę, przeżegnał się i... wybiegł. W pył po wybuchach, prosto w ścianę kurzu i prochowych oparów.

Murachwa zacisnął pięści, Kiewlicz trzymał kciuki, tarł lewą ręką o mur, patrząc, jak sylwetka chłopaka oddala się, jak znika pomiędzy kraterami i nasypami ziemi wyrzuconej przez ostrzał.

Stłumiony grzmot, wstrząśnięcie. Ujrzeli wyrastający słup pyłu, pióropusz wybuchu, jakieś trzydzieści, może mniej metrów od nich. Widzieli, jak biegnącego dosłownie rozerwało na strzępy, najpierw wynosząc w powietrze, obdzierając z munduru, pasów, broni, trzewików. Wszystko na ich oczach.

Uderzył w nich gorący podmuch, odłamki siekły po betonie, po otwartych na lewy bok drzwiach. Fala podmuchu cisnęła pod ścianę schronu pogięty, pokrwawiony hełm telefonisty, zabrzęczał, zadudnił po betonie, potoczył się, znieruchomiał.

– Nawet nie wiem – wyjęczał ktoś – jak się nazywaaaał. Aaaa!

Kiewlicz obrócił się beznamiętnie, wskazał obserwatora.

– Teraz ty!

– Nie pójdę! Nie, panie poruczniku! – krzyczał rozdygotany chłopak. – Żebym tak skonał! Nieee!

Oficer położył rękę na kaburze z visem, odpiął, wyciągnął broń i...

– Zgłosiłeś się na ochotnika!

– Już nim nie jestem! Niech pan strzela! – wybełkotał strzelec. – Lżej będzie tutaj od kuli niż tamój!

Kiewlicz wcisnął ostatkiem sił broń do futerału, szarpnął za kieszeń, wyciągnął papierośnicę, jednego wiarusa, złamał go, skruszył w rękach.

Huk, uderzenie gorąca, aż przysiedli, pochylając głowy.

– Zamknijcie drzwi!

Nagle hyc, hyc! – nie było między nimi sierżanta! Wymknął się bokiem, skoczył, Kiewlicz miał przekonanie, że zdezerterował. Ale nie strzelił za nim, a tylko krzyczał:

– Murachwaaa! Wracaj!

Nie posłuchał. Wpadł do pokiereszowanego rowu łącznikowego, wyskoczył na krater, znikł w kolejnym leju i tyle.

– Zamknijcie drzwi!

Zatrzasnęli je, zamknęli na głucho, założyli rygle i zasuwy. Znów wstrząs, uderzenie w górze, w kopułę obserwacyjną. Lepiej było nie sprawdzać, nie wychylać się, nie ruszać...

Kiewlicz przedzierał się przez schron pełen leżących, poranionych, krwawiących, czasem siedzących lub przyklejonych do ścian ludzi. W chmurze siarki i oparów jak

z piekła w komorze dowodzenia wynurzyła się ręka ze słuchawką, rozdygotana, biała jak śnieg.

– Panie poruczniku! Jest łączność! Jest!

– Dawajcie kapitana!

Opadł na ławę przy stole, przycisnął słuchawkę do ucha, aż do bólu, docisnął drugą na drugie, a potem powiedział słowa jak modlitwę:

– Odcinek Giełczyn. Porucznik Kiewlicz.

– Tutaj Raginis. Co się dzieje?

– Silny ostrzał, prosimy o wsparcie ogniowe. Nie wytrzymamy!

– Nie damy rady, słyszy pan? – Głos kapitana był dziwnie słaby. – Porucznik Brykalski nie żyje, ja sam jestem ranny. Głowa i plecy. Trzymajcie się. Nie odpuszczajcie! Ku chwale...

Trzask w słuchawce, cisza, milczenie. Chyba znów zerwał się kabel. Kiewlicz zamarł, zesztywniał i opadł twarzą prosto na stół, bo opuściły go siły.

Trwał ostrzał, ściany się trzęsły. A sierżant Murachwa nie wracał.

Brykalski nie żyje! O Boże!

Pozycja Kurpiki, godzina 12.38

Niemcy leżeli przyciśnięci, wduszeni w błotnisty, a teraz ledwie przeschnięty, bagnisty grunt łąk i błot wokół Kurpik, Góry Strękowej i Maliszewa. Całe kompanie, plutony, bataliony, zaskoczone ogniem bocznym schronów, punktowane przez cekaemy z kopuł, tkwiły zakleszczone między zasiekami i rowami strzeleckimi. Niektóre cofały się wolno, krok za krokiem, inne próbowały włamać się w linię przeciwnika, poruszając się skokami. Ciężkie karabiny maszynowe

likwidowały ich krwawy trud, tnąc pociskami nad głowami leżących kompanów, tworząc przecinające się i krzyżujące w powietrzu linie śmierci, po dwóch, trzech susach posyłając śmiałków na ziemię.

Leżeli wszyscy, prości piechurzy, którzy zsiedli z motocykli i ciężarówek po drugiej stronie rzeki, telefoniści i saperzy, plutony ciężkich karabinów maszynowych i operatorzy MG-34 obok śmiertelnie szybkich maszyn, amunicyjni zaś obok podłużnych, przypominających walizki skrzynek na taśmy. Porucznicy i sierżanci, telefoniści i sanitariusze z noszami. Dowódcy batalionów, adiutanci, oficerowie ordynansowi, lekarze batalionowi. Wciskali pospołu głowy w błoto i wyschniętą trawę szefowie kompanii, gońcy i obsługi moździerzy kaliber pięć centymetrów, których nie zdołali nawet rozstawić.

Z góry cięły w nich cekaemy z kopuł czterech schronów, podgryzały zwykłe erkaemy z okopów i linii umocnień przed bunkrami. A z góry czasem z gwizdem rąbały w nich artyleryjskie pociski porucznika Brykalskiego. Granaty stalowe wz. 1915 do niszczenia siły żywej i lekkich przeszkód uderzały całymi salwami albo schodami, rozkładając się po polach, wyrzucając w górę chmury pyłu i ziemi, rozsypując deszcz odłamków, czasem dolatujących nawet do żelbetowych schronów głównej pozycji obrony.

Niemcy cofali się sprawnie, odczołgiwali, odpełzali, ukrywali się za skośnymi pancerzami działek przeciwpancernych i osłonami polowych haubic, jeszcze przed chwilą podciąganych przez grzęznące w bagnie ciągniki na pole walki. Wybuchy goniły ich i wzbudzały panikę, całe kompanie były w odwrocie, żegnane pojawiającymi się za ich plecami krzakami eksplozji.

Znad Narwi zerwał się zaraz artyleryjski ostrzał. Jednak nieskładny, odzywały się same pojedyncze haubice dziesięć i pół centymetra, usiłując wstrzelić się w stanowiska polskie pod Giełczynem i Górą Strękową. Bardzo nieskutecznie, pociski wybuchały w polach, czasem dosłownie za plecami wycofujących się Szwabów, jakby ktoś rzucił kości. Żadna nie trafiła szóstki.

Schron GG-126 w Górze Strękowej trząsł się od wybuchów. Trudno było utrzymać się na nogach. Przy eksplozjach podskakiwało wszystko – drewniane stoły, plecaki złożone w komorze sypialnej, skrzynki z amunicją w komorach cekaemów i prowizorycznie zbite prycze. Pył i kurz zalegały grubą zawiesiną w powietrzu, wdzierały się w nozdrza, w gardła, oczy, oślepiając ludzi.

– Otworzyć drzwi! – wycharczał porucznik Jan Zawadzki, kiedy granaty przestały wstrząsać schronem, bo Niemcy przenieśli ogień na las za stanowiskami głównej pozycji oporu.

– Kiedy strzelają! – zaprotestował strzelec Słoma, strzegący drzwi! – Panie poruczniku, słyszy pan, walą do nas!

Zawadzki zorientował się, że faktycznie, ktoś walił w stalowe drzwi z metalicznym pogłosem, raz za razem, równo. Słychać było jakiś głos, który dopiero teraz przedostawał się do skołatanej ostrzałem głowy.

– Ktoś tam jest! Uwaga! Sprawdźcie to!

Jakiś strzelec skoczył do lewej komory cekaemu, odsunął żelazną płytę strzelnicy zwykłego erkaemu skierowaną na wejście.

– To nasz! – zameldował. – Jakiś szeregowiec.

– Wpuśćcie go.

Z trudem odsuwali zasuwy stalowych drzwi. Wypchnęli je na zewnątrz, aż obróciły się na solidnych zawiasach, uderzając

w betonową ścianę pokrytą pęknięciami i dołkami od odłamków.

Na zewnątrz stał zziajany, zdyszany chłopak właściwie w mundurze szeregowego strzelca, szeroka, ale przyjemna, miła wręcz twarz, pot na czole, spływający spod hełmu. Pokiereszowany pas, pęknięta ładownica, z której wypadły łódki z nabojami.

– Do pana kapitana! – zawołał bez tchu. – Z rozkazem, z Osowca. Hasło: Laskowiec.

– Wpuśćcie go.

Szybko wszedł do korytarzyka, przestąpił próg niezamontowanych drzwi przeciwgazowych, ruszył w lewo, do komory dowodzenia, gdzie przy stole zastawionym aparatami telefonicznymi siedział blady i znużony kapitan Raginis. W świetle karbidówki jego oblicze wyglądało jak z jakiegoś obrazu, popękane, poczerniałe. Z tyłu pod ścianą zasiadał telefonista Rajmund Domalewski oraz radiotelegrafista, chwilowo bez zajęcia, bo radiostacja RKD, duży, ciemny aparat z szeregiem okrągłych tarcz, była wyłączona. Działała tylko łącznica polowa z pięcioma klapkami na górze, podłączona do aparatu w drewnianej skrzynce.

– Panie kapitanie, melduje się szeregowy Seweryn Biegański z załogi Osowca z rozkazem.

Wyciągnął z torby polowej kopertę i położył na stole. Raginis od razu rozerwał ją niecierpliwie, wyciągnął blankiet, czytał. I uśmiechnął się smutno. To był rozkaz bezwzględnego pozostania na pozycji.

– Panie kapitanie, proszę o pokwitowanie otrzymania. – Biegański wyciągnął kolejny blankiet. – Muszę jak najszybciej wracać i zameldować dostarczenie u kapitana Naroga.

– Czym tu przyjechaliście? Konno? – Raginis wyciągnął pióro, odkręcał je powoli.

– Rowerem, panie kapitanie, zostawiłem w rowie.

– Dajcie mu wody. – Kapitan złożył podpis i oddał blankiet Biegańskiemu. – Odpocznijcie chwilę, do Osowca jest ponad trzydzieści kilometrów.

I wtedy schron zakołysał się, zatrząsł.

Od razu uderzyło w nich przynajmniej cztery albo sześć pocisków. Nagle zrobiło się ciemno, ogromny udar rzucił wszystkich na ziemię, Biegański zwalił się pod stół, kapitan aż podskoczył na ławie.

– Schowajcie się, szeregowy! – rzucił do łącznika. – Na razie nigdzie nie pójdziecie. Nie pozwalam!

Kolejny wybuch, jeszcze jeden. Tynk sypie się ze ścian, wszystko dokoła podskakuje, skrzynie z granatami, stoły, prycze, ławki. Żołnierze lecą z nóg, walą się na podłogę. Kurz, okropny kurz wypełnia płuca...

Chwila przerwy, znów podrzuciło ich w górę w zgranym, wypełniającym bębenki bólem wybuchu. Słyszeli krzyki, ktoś się modlił, inny klął. A nad tym wszystkim górował spokojny, przeszywający głos Raginisa:

– Nie bać się! Nie bójcie się! Schron wypróbowany! Wytrzyma!

Ktoś wychylił się z przejścia do kopuły obserwacyjnej, zobaczyli okrągłe oblicze porucznika Brykalskiego.

– Walą ześrodkowanym ogniem! Prosto na górę! – wyrzucił. – Ale niecelnie, nie biorą pod uwagę tej wyniosłości albo mają niedokładne mapy!

Znów poczuli uderzenia, tym razem słabsze. Zaczęły przechodzić dalej, jakby mijały schron.

– Przenieśli ogień – powiedział Brykalski. – Szukają, firerki, szukają, aż znajdą. Szukają mojej baterii!

– Na kopułę! Zobaczmy, co się dzieje!

– Ano, ano! Dalej, Władziu!

Obaj skoczyli do korytarzyka, dopadli do wbitych w mur klamer prowadzących na górę, do kopuły obserwacyjnej. Pierwszy wskoczył Brykalski, za nim kapitan. Dowódca artylerii od razu chwycił za lornetkę, przypadł do wychodzącego na zachód otworu obserwacyjnego, przyjrzał się. Raginis obserwował przedpole z drugiej szczeliny, pozbawionej, jak i wszystkie, żelaznej przeciwodłamkowej zasuwy.

– Ruszają się! Widzę strzelców. Skokami idą, prowadzą działa. Na odcinek Giełczyn, na Schmidta, boją się podchodzić do Góry Strękowej – mówił Brykalski.

– Krop, Stasiu! – odparł Raginis. – Krop! Po nich!

– Uwaga – rzucił Brykalski do siedzącego na dole z telefonem polowym Domalewskiego. – Bateria do dział!

– Na stanowiskach, panie poruczniku!

– Działo pierwsze, celowanie wzajemne.

– Jest ustawione!

– Salwa, celownik krąg piętnaście, bęben osiemnaście. Damy Szwabom bobu! Już ja ich pokropię, żelaznym kropidłem – rzucił Brykalski do Raginisa, a w dół do telefonisty: – Przygotujcie...

W tej samej chwili wszystko stanęło w miejscu, świat zachwiał się i wybuchł Raginisowi w oczach. Poczuł woń końskiej, mokrej sierści, zapach włosów Zofii, uczuł pocałunek Lodzi, dwór, ojciec, matka, ulice Dźwińska, wszystko przeleciało mu w jednej chwili przed oczyma.

Granaty wybuchły za schronem, ale blisko, zaraz za kopułą. Przez niezamknięte podłużne otwory obserwacyjne sypnęło odłamkami. Poczuł, że dostał czymś ciężkim w plecy, pod lewą łopatkę. Obok Brykalski zwalił się na podstawę kopuły, wykonaną z żelaznych prętów. Świat zawirował, zamienił się w blask, w ciemność z żelazistym zapachem krwi.

Chwila – ktoś dźwigał go z podłogi, obok znosili Brykalskiego. Zobaczył krótko ostrzyżoną głowę i strugę krwi z czoła człowieka, którego nie zdążył jeszcze nazwać przyjacielem. Nie było czasu.

– Stasiu!

Wyrwał się z rąk Biegańskiego i Domalewskiego, na kolanach przetoczył do Brykalskiego, porwał go w ramiona, zobaczył szeroką krwawą wyrwę na czole porucznika. Ale kiedy podłożył rękę pod głowę, wyczuł krew z tyłu, na potylicy.

– Stasiu! Stasiu! Mów do mnie!

Brykalski miał zamknięte oczy, wargi poruszyły się jeszcze, jakby coś próbował wyszeptać. Czy było to ostatnie westchnienie, imię Leokadii, matki, a może słowo „Boże”, tego już kapitan nie usłyszał.

– Trzymaj się! Słyszysz! Pójdziesz do szpitala, do Białego... Lodzia, słyszysz? Lodzia pytała o ciebie! Trzymaj się! No, bandażujcie go wreszcie!

Ponury sanitariusz podźwignął głowę Brykalskiego. Szybko i sprawnie zakładał opatrunek, przez który i tak zaraz zaczęła przesączać się krew. Zmacał potem puls oficera i pokręcił głową.

– Weźcie go na pryczę!

Nieśli Raginisa, podtrzymywali, kładli na brzuchu, Biegański z Subotą pomagali zdjąć mu bluzę i koszulę, nasiąkniętą krwią.

Obrazy się rwały. Krzyczał coś Zawadzki, schron trząsł się od wybuchów, było duszno, gorąco, bo zamknęli drzwi.

I nagle usłyszał głos sanitariusza:

– Pan kapitan ranny odłamkiem pod łopatką. Nie mogę wyjąć. Musi być chirurg.

– Wiąż! Mocno, do cholery.

Opatrunek trochę pomógł, ból zelżał. Ale Raginis nie chciał leżeć, poderwał się, opadł na posłanie zasłane zielonkawym

żołnierskim kocem. Pomogli mu, dźwignęli w górę.

– Co się dzieje! Dawajcie meldunki!

– Niemcy ostrzeliwują Maliszewo i Giełczyn. Przenieśli ogień na baterię, teraz znowu na Kurpiki.

– Łączcie z artylerią. Niech przyjdzie podporucznik Buczyński. Ktoś musi... kierować ogniem.

Zawadzki pokręcił głową, a jednak złapał za słuchawkę. Mówił coś, rozkazywał, wreszcie obrócił się do kapitana, który stał oparty o stół.

Najpierw wybuchy, trzęsą się ściany. Potem walenie w żelazne drzwi, ustalone, dwa krótkie, trzy długie. Sygnał.

Przez przedsionek prosto do komory załogi szedł, a raczej słaniał się podporucznik Buczyński. Bez hełmu, trzymał się za lewy bok głowy, podtrzymywał go Subota i jeden starszy strzelec. Artylerzysta charczał, kasłał, rozglądał się i zamarł, widząc leżącego na pryczy porucznika. Przeniósł wzrok na kapitana, który ledwie się trzymał.

– Porucznik Brykalski ciężko ranny – powiedział Raginis. – Przejmie pan dowodzenie baterią.

– Nie mam czym dowodzić – jęknął podporucznik. – Nakryli nas ześrodkowanym ogniem! Dostałem, idąc tutaj!

– Sanitariusz! Opatrzyć!

Przybiegł ponury i zarośnięty starszy strzelec, posadził Buczyńskiego na ławie, rozrywał pakiet opatrunku oznaczony czerwonymi krzyżykami, wyciągał kompresy, opaskę, najpierw zaczął oglądać i oczyszczać ranę skołowanego podporucznika. Raginis naciągnął bluzę mundurową, to znaczy chciał, ale nie mógł, przeszywał go ból.

– Subota – jęknął – pomóżcie...

Kłusownik ubierał go jak dziecko, zapinał guziki na piersi. Kapitan zmacał kieszeń. Obrączki ciągle tam były, jeszcze tliła się nadzieja.

– Daj mi pas z pistoletem! Nie pójdę rozbrojony! Ty chyba powinieneś to wiedzieć.

Nałożył pas, potem płaszcz. Zamiast hełmu wcisnął na głowę okrągłą kopówkę i tak, blady, pokrwawiony, utykający, rozpięty, postąpił do wejścia.

– Poruczniku Zawadzki, proszę przejąć komendę. Obserwujcie. Gotowi do odparcia nieprzyjaciela.

W progu prawie się przewrócił, więc Subota chwycił go pod pachę, przytrzymał. Raginis uśmiechnął się, jakby przepraszająco.

– Otwierać!

Pancerne drzwi rozwarły się, wpuszczając trochę świeżego powietrza. A razem z nim woń spalenizny i dymu. Raginis wyszedł w poszarzały, wypalony, zrujnowany świat, przy którym szara, niska bryła schronu zdawała się bezpiecznym miejscem.

Wzgórze przeorane było kraterami po ostrzale, zasieki wokół rowów prowadzących do baterii, w stronę lasku porozrywane, zdarte z kołków i kozłów. Stanowiska cekaemów zniszczone, worki z piaskiem zdmuchnięte; dobrze, że kazał obsłudze schować się we własnym schronie.

Świat dokoła, jeszcze dwa dni temu zielony i czysty, teraz był strzaskany pociskami jak dwór Jamiołkowskiego w Strękowej Górze. Lasy pokaleczone, wyrwane z korzeniami drzewa, spalone korony, przy drodze sterczały tylko osmalone kikuty. Zwęglone, pełne dołów łąki i łęgi, poczerniałe jak chaszcze po wiosennym wypalaniu. Wszystkie okoliczne wioski, które jeszcze przedwczoraj cieszyły oko małymi domkami, strzechami chałup, stodół, obórek, pyszniły się ogródkami, w których kwitły jesienne malwy, złotolice słoneczniki, owocował dziki bez i sterczały tyczki z grochem – teraz były zrównane z ziemią, rozniesione na strzępy. Giełczyn palił się,

wyrzucając kłęby czarno-brunatnego dymu, podobnie Kurpiki i Maliszewo. Z innych wsi pozostały tylko zgliszcza, na których wznosiły się ocalałe kominy, czasem poszczerbione, potłuczone piece kaflowe. Góra Strękowa była rozniesiona. Paliły się dwie zagrody, droga wzdłuż Narwi pełna była dziur i wądołów.

Kapitan, wsparty na ramieniu Suboty, zlustrował otoczenie. W tej chwili Niemcy ostrzeliwali pozycję Giełczyn i Kurpiki – głównie Maliszewo. Stale dochodził stamtąd grzmot wystrzałów, huk wybuchów, gwałtowne błyski w chmurze dymu. Raginis pokiwał głową, opuścił lornetkę i pokazał pobliski las.

– Pomóżcie, muszę do artylerii.

Szedł z bólem, czasem jęcząc, kulejąc, potykając się o zwoje drutu kolczastego, Subota ze łzami w oczach usuwał przed nim przeszkody, niemal przenosił go jak dziecko.

Zeszli z góry na wpół rozwalonym rowem do sosnowego lasku powalonego ogniem haubic i bombardowaniem samolotów.

Już podchodząc do pozycji, Raginis zobaczył, jak ciężkie straty poniosła cała sześciodziałowa bateria. Ujrzał wywróconą do góry kołami armatę, dwie kolejne zniszczone, powykrzywiane, wyrwane z obsady lufy, lemiesze sterczące w górę jak ogony wielkich ryb. Zmiażdżone przyrządy celownicze.

Zobaczył obsługę wynoszącą rannych dalej do lasku, gdzie bliżej Strękowej Góry był punkt opatrunkowy i tabory.

– Meldunek! – wykrzyknął z bólem. – Kto złoży meldunek?

Jak spod ziemi wyrósł wąsaty podoficer w porwanym płaszczu, ranny w rękę. Zasalutował.

– Starszy ogniomistrz Kalina... Melduję, jedno działo rozbite, dwa uszkodzone. Mamy trzynastu zabitych, siedmiu rannych. Straciliśmy trzydzieści sześć koni: padły lub ranione.

– Ile może... strzelać?

– Zostały dwie siedemdziesiątkipiątki z baterii podporucznika Buczyńskiego, bo jednej prawosławnej nie naprawiliśmy. Ale mało granatów, tylko jedna jednostka.

– Przygotować stanowiska, obsadzić, kim się da, czekać na rozkaz. Zrozumiano?

Raginis miał wrażenie, że cały świat kręcił się wokół niego, uchwycił się ramienia Suboty, aby się nie przewrócić.

– Tak jest! Wykonamy rozkazy, tylko pozbieramy rannych. Tfu! – Ogniomistrz patrzył nad ramieniem kapitana. – A ten to co? Z taborów się urwał? Uwaga!

Dowódca podążył za jego wzrokiem, obrócił się w prawo, w stronę dalekiego nasypu drogi i pokrytych ospą kraterów ściernisk. W dymach bijących od Giełczyna, w oparach siarki i prochu zobaczył pędzący do nich biały kształt.

Koń!

Do diabła! Był tylko jeden wierzchowiec, który tak lekko, bez strachu, bez wahania przesadzał dziury i leje, przeskakiwał nad poskręcanymi belkami, nad płonącymi pniami. I gnał z podniesionym ogonem, z dumnie uniesioną głową, jak nieśmiertelny duch wolności, oporu. Bohatyr!

Leciał galopem do kapitana, aż Subota wyskoczył do przodu, aby osłonić dowódcę, lecz koń zwolnił do kłusa, zadrobił, podszedł bliżej, do wyciągniętej ręki Raginisa.

Lekko dotknął chrapami dłoni, jakby szukając tam kostki cukru, potem przybliżył nozdrza do twarzy dowódcy, na chwilę oficer poczuł jego gorący, mocny oddech. Koń trącił go w ramię, przycisnął łeb do pleców, wywąchał krwawą ranę, zaprychał mocniej. Trącił w ramię Raginisa, aż ten mało co się nie przewrócił.

– Bohatyr, jak ty... Skąd? Jak ty żyjesz? – wyszeptał Raginis. – Kalina!

– Na rozkaz!

– Weźcie tego konia do taborów. To mój, służbowy. Dajcie mu owsa, opatrzcie jak trzeba.

– Oczywiście.

Bohatyr szarpał łbem, odchodząc. Oglądał się za kapitanem, który przecież nie mógł żadną miarą wziąć go do bunkra. Za to Raginis wyprostował się. Ból pleców minął, czuł jeszcze miejsce, w którym tkwił odłamek, zimny teraz jak lód, lecz już nie kłujący. Odprowadzał wzrokiem konia, który wolał wrócić tu, niż pobiec za stadem, uniknął bomb, szrapneli, serii z MG i Bóg wie czego jeszcze.

Raginis wracał wyprostowany, blady, w pokrwawionym mundurze. Kiedy przekroczył próg schronu, stojący na straży strzelec Słoma aż podskoczył i się przeżegnał. Zamiatając kurz i pył połami płaszcza, kapitan wszedł do swego gorącego i cuchnącego królestwa. W środku było jak w piecu, żołnierze dusili się, ktoś krzyczał, jęczał. Celowniczy i amunicyjny cekaemu z prawej komory leżeli półnadzy na podłodze.

– Na stanowiska! – wycharczał kapitan. – Gotowość do odparcia ataku.

Zabrzęczał brzęczyk telefonu w komorze dowodzenia. Domalewski podniósł się, trzymając słuchawkę.

– Porucznik Kiewlicz na linii.

– Dajcie, dajcie!

Raginis podchodził do stołu, kiedy ściany zatrzęsły się znowu od wybuchów. A znad Narwi, z Sulina i Włochówki, zaczął dochodzić nowy, przytłumiony jeszcze odgłos. Ryk, stukot i wycie wielu silników. Z metalicznym brzękiem gąsienic szły czołgi przeprawione promami przez Narew.

Kapitan oparł się w żołnierskiej izbie o pryczę, na której leżał nieruchomo, z zabandażowaną głową porucznik Brykalski.

– Stasiu, Stasiu! – wyszeptał popękanymi wargami Raginis. – Odpłacę im jeszcze za ciebie i siebie. Tylko się trzymaj! Do końca. Lodzia czeka!

---

8 *Herr General...* (niem.) – Panie generale, ja nic nie zrobiłem...

P.100071

Cena 10 gr. WTOREK, 5 WRZEŚNIA 1939 ROKU R Nr. 245

CZAS-7 wieczór

ukazuje się codziennie z rana tygodniowo nie wychodzą niedziel i dni świątecznych i podaje ostatnie wiadomości dnia.

30 samolotow polskich zbombardowało BERLIN

Wszyscy lotnicy powrócili do swych baz

Wczoraj eskadra naszych bombowców, złożona z 30 maszyn bombardowała z powietrza Berlin.

Wszystkie samoloty, które brały udział w nalocie, powróciły do swych baz.

Dowodzi to, że artylaria przeciwlotnicza niemiecka działa całkowicie źle.

Odezwa Rządu

Rząd Rzeczypospolitej Polskiej zwraca się niniejszym do wszystkich obywateli Państwa

że pod rozkazami Naczelnego Wodza będzie z największym natężeniem sił i niezachwianą

Na zachodnim froncie

PARYŻ, 5. 9. (tel. wł.)

Wiadomości o przekroczeniu granicy francusko - niemieckiej przez wojska francuskie wywołały w całej Francji niesłychany entuzjazm.

Według napływających z pogranicza wiadomości, nieprzyjaciel zaskoczony niespodziewanym natarciem ustępuje w popłochu.

Siły wprowadzone już przez naczelne dowództwo francuskie

tygodni wzdłuż linii granicznej co umożliwiło szybkie i bezpośrednie natarcie.

Jednocześnie nadeszły tu wiadomości **o wszczęciu działalności maryzarki wojennej angielskiej za wodach całego świata.** Ma ona na celu wyłapywanie statków niemieckich, z których jeden został już zatopiony po uprzedzeniu i zdjęciu z pokładu załogi. Drugi statek został na aresztowany w pobliżu Nowej Szkocji (Ameryka) i odstawio-

mentuje tu wiadomości o bombardowaniu przez lotnictwo angielskie floty niemieckiej, stacjonującej w portach Wilhelmshaven i Cuxhaven.

RZYM, 5. 9.

Wysłannik specjalny dziennika „Messaggero" donosi z Paryża, że dowództwo wojsk francuskich zamierza jakoby rozpocząć ofenzywę na odcinku rzeki Mozeli w punkcie, gdzie stykają się granice Francji, Niemiec i w Księstwa Luksembur-

Rozdział VII

Ostatni schron

9 IX 1939, pozycja Giełczyn, godzina 15.51

Podkradali się do schronu jak do powalonego olbrzyma. Tak zresztą wyglądał – spłaszczony szary betonowy kadłub wśród chaosu lejów i kraterów od pocisków. Betonowa czapa pokryta była mozaiką zagłębień po eksplozjach ciężkich granatów, niektóre pozostawiły prawie regularne dziury.

Stercząca na górze kopuła – jak mała czapka – pokryta była niczym ospą okrągłymi plamkami zagłębień po przeciwpancernych granatach, które jednak w większości nie przebiły siedemnastocentymetrowej stali. Z przodu schron był już odsłonięty – wybuchy rozerwały na strzępy przedpiersie, ukazując spękany i poszczerbiony żelbet czołowej ściany. Jednak najgroźniejsze punkty wciąż znajdowały się z boku, po obu stronach. Były to ukryte w głębokich, schodkowanych niszach, odsłonięte od czoła strzelnice karabinów maszynowych ognia bocznego.

Niemieccy strzelcy podchodzili ostrożnie. Mrowie figurek przeskakujących z dołu do leja, od osłony do osłony. Czasem wystawiali hełmy na patykach, sprawdzając czujność wroga.

Nic, cisza. Schron był zmasakrowany, z bliska, kiedy mogli zajrzeć do wnęk w bocznych ścianach, widzieli dziury po pociskach, które biły w strzelnice. W niektórych miejscach na płaskich ścianach granaty zdarły wierzchnią warstwę betonu, odsłaniając błyszczącą plecionkę drutów zbrojeniowych. Koło otworów czerpni powietrza widoczne były szerokie bruzdy zostawione przez rykoszetujące pociski, a kilka – przeciwpancernych kalibru trzydzieści siedem milimetrów – przebiło się do wnętrza, dając nadzieję, że cała załoga jest już martwa.

Kapral z pierwszej drużyny wychylił się ostrożnie z leja. Nic się nie stało, więc w jego ślady poszli następni. Całe otoczenie schronu zaroiło się od wrogów, od baniastych hełmów, szarozielonkawych mundurów.

Kapral splunął, wyciągnął granat, zamachnął się...

I zaraz zatańczył, zatrząsł się, gdy pogrzebowego marsza zagrał mu polski karabin maszynowy!

Schron zagrzmiał, zabłysnął wystrzałami. Z obu pokiereszowanych strzelnic rozszedł się ciężki, stukoczący

ogień karabinów maszynowych, z pomniejszych otworów – przesłoniętych płytami pancernymi – poszły serie zwykłych erkaemów wz. 28. Stanowisko broniło podejścia ze wszystkich stron, załoga dawała znać, że ciągle żyje.

Oberst Gall miał wciąż przed oczyma obraz dygocącego od przebijających go pocisków, jak w szaleńczym tańcu, żołnierza, kiedy odrywał wzrok od lornety wycelowanej w środek polskiej linii. Odwrócił się do telefonistów w prowizorycznym punkcie dowodzenia.

– Łączcie z pułkiem haubic – polecił. – Przekazać rozkaz: natychmiast otworzyć ześrodkowany ogień na północny schron Polaków i okopy w pobliżu. Proszę o silne przygotowanie artyleryjskie! Willmann – zwrócił się do oficera łącznikowego z kompanii samochodów pancernych – jak skończycie przeprawę, proszę nacierać za naszą grupą zwiadowczą, obchodząc bunkier. W ten sposób oskrzydlimy pozostałe od północy i wyjdziemy im na tyły. Natarcie jak zwykle: celujecie tylko w otwory strzelnicze, w razie czego podwozicie saperów z ładunkami pod same umocnienia. Wykonać!

Samochody pancerne były już w rzece. Z niskim, niosącym się daleko dźwiękiem motorów zjeżdżały po piaszczystym brzegu do Biebrzy, w Wierciszewie, koło zniszczonej przeprawy promowej. Jeden za drugim, same trójosiowe, potężne Kfz. 231, z pochylonymi do przodu maskami rozcinającymi fale. Jedne z samą wieżyczką i sterczącymi lufami działka i cekaemu, niektóre z ogromną ażurową konstrukcją anteny radiostacji. Jechały wolno, z wytężonym wrzaskiem silników, bo woda sięgała wyżej osi, przemieszczały się skośnym torem wytyczonym przez pionierów. Na tamtym brzegu Biebrzy pozostawiały smród szarawych spalin i zryty kołami podjazd do promu. Na drugi niosły grozę i strach.

Kołodzieje, godzina 16.27

Wystarczyło piętnaście minut ześrodkowanego ognia haubic, po których poprawiały sprawę działka przeciwpancerne strzelające na wprost, by schron pod Kołodziejami zamilkł. Kiedy patrole dotarły na odległość trzydziestu metrów, zobaczyły zniszczone, popękane ściany, poszczerbione strzelnice, zapadnięty dach. Pojedyncza kopuła strzelecka ślepiła na nich jedyną nieuszkodzoną szczeliną – tej jednak unikali, skradając się ku potrzaskanym murom. Spod betonu poznaczonego zatopionymi w nim ciemnymi kamykami z Narwi wynurzały się zgięte żelazne kratownice jak żebra.

Najpierw wrzucili granaty pod wejście. Potem, korzystając z martwych kątów ostrzału, podchodzili pod ściany. Drzwi były rozbite i zgniecione, wyrwane i odrzucone, odsłaniały czworokąt wejścia. Zanim dwóch śmiałków zajrzało do środka, wrzucili tam granaty. Eksplodowały z niskim, stłumionym hukiem, smugi dymu pojawiły się u wylotu strzelnic i otworów czerpni powietrza.

Potem wskoczyli do wnętrza – podoficer z MP-38 i jeden ze strzelców. Nie było ich tylko chwilę...

– Sto Sześćdziesiąty Pierwszy Pułk melduje – usłyszał w słuchawce pułkownik Gall – schron pusty. Nie ma ani jednego Polaka.

– Rozpoznawajcie okolicę do wsi Kołodzieje i las za nią. Wysłać samochody pancerne!

Szum silników niósł się daleko po nadbiebrzańskich łąkach. Kolumna wozów skręcała zaraz za brodem w lewo, podążając wytyczoną trasą omijającą stanowiska dział i pepanców. Trasa wiodła na północny wschód, pomiędzy wyciętym laskiem pod Gacią, gdzie ciągle odgryzał się nieskruszony schron Polaków, a bagienkiem, wyschniętym i możliwym do przejazdu,

zwłaszcza że saperzy wymościli już drogę z okrąglaków i chrustów.

Piechota grupkami i w tyralierach zbliżała się do wsi Kołodzieje. Było pusto i cicho, popołudniowe słońce oświetlało poszczerbione chałupy, okna wybite od wybuchów, z płotów powiewały jakieś szmaty, dziury w dachach odsłaniały krokwie i żerdzie, jednak nigdzie nie było widać płomieni.

Niemcy dopadali najpierw do płotów, potem wpadali w obejścia, zaglądali do chałup. Pusto. Jakieś drzwi z hałasem uderzały o framugi, bo szarpał nimi przeciąg.

– Do lasu! Rozproszyć się! Natychmiast! – dowódcy drużyn jak echo ponieśli komendy oberleutnanta.

– Co robisz, idioto! – krzyknął podoficer, uderzając po ręku starszego strzelca, który chciał przyłożyć zapalniczkę do strzechy.

– Jak to? Palę polskie, zapluskwione gówno!

– Do szeregu! Zdradzisz stanowisko. Od teraz idziesz pierwszy!

Tyraliery ruszały szybko w stronę lasu, pełnego wyniosłych brzóz, a dalej lip i grabów. Zaraz za chałupami zaczynał się rzadki młodniak pełen zarośli i niewysokich dębczaków, przechodzący dalej w wyniosły bór.

Niemcy wkroczyli do niego z wahaniem, ostrożnie, powoli.

– Hurraaaa! Huraaaaa!

Nagle, zupełnie niespodziewanie, drzewa i krzaki jakby rozdwoiły się, rozrosły, rozszerzyły, zmieniając się w szeregi nadciągających ludzi w zielonkawych mundurach khaki, w okrągłych hełmach! Z błyskami ostrzy na karabinach.

Polacy! W sekundę, dwie wpadli na oniemiałych Niemców, idąc na bagnety. Poranieni, poobdzierani, popaleni, niektórzy bez hełmów, bez płaszczy.

Krzyk, chaos, szamotanina... Wrzask atakujących mieszał się z łoskotem padających wrogów, branych na ostrza szerokich bagnetów, spychanych w tył, przewracających się ze strachu...

Skok, uderzenie, zbicie lufy w bok, chlaśnięcie po rękach albo cios w piersi, obalenie, wyrwanie, zdyszany, szaleńczy bieg dalej. Wrzaski, jęki rannych, jeden po drugim suchy trzask strzału.

– *Zurück! Zurück!* – rozległy się głosy.

I Niemcy podali tyły, zaczęli wracać, wiać do wsi. Całe gromady, przemieszane, sadzące susami wypadały z lasu, chroniąc się między chałupami, niezdarnie włażąc na płoty, ukrywając się w stodołach, wpadając do ziemnych piwnic albo po prostu waląc się na ziemię, udając martwych. Polacy pędzili za nimi, ale krótko.

Gwizdki i krzyki oficerów ściągały uciekających na północ, do zagród, z dala od otwartego pola. Bo po nim jechały już wolno, grzęznąc w błotnistej ziemi, samochody pancerne, rozwinięte w linię. Zabłysły lufy cekaemów na wieżyczkach. Serie poszły w las, zaczęły przenosić się ku wiosce, bić w ściany domów, w strzechy, szarpać i wyrywać w górę darń, podrzucać kawały ziemi i błota.

Polacy rozpierzchli się, wpadali do zagajnika ścigani deszczem śmierci. Raz jeszcze ryknęły silniki, długie, trzyosiowe samochody poczęły wolno posuwać się w stronę lasu. Pruły wszystkie naraz. Strzelały seriami MG-34, a dłuższe, zakończone lejkowato lufy działek odskakiwały rytmicznie. Kule rwały na strzępy pożółkłe liście, ścinały drzewa i drzewka, zrzucały całe gałęzie, krzesały iskry na kamieniach, pozostawiając po sobie zniszczony, okaleczony las.

Po uchodzących przeciwnikach nie było ani śladu...

Pozycja Giełczyn, schron Gać, godzina 16.36

Schron przypominał piekło. Po tylu godzinach od dnia sądu obrońcy stali się potępieńcami. Wszyscy bez wyjątku, poranieni, pokaleczeni, ogłuszeni, szarpani wymiotami, krwawiący. Niektórzy leżeli pod ścianami, żebrząc otwartymi ustami o łyk chłodnego powietrza, dusząc się, krzycząc, jęcząc w kwaśnym siarczano-prochowym dymie i swędzie ludzkiego strachu, smrodzie zapoconych ciał.

Pociski z armat biły w ściany cały czas. Z bliskiej odległości, wstrząsając i podrzucając okrwawionych ludzi tak, że przewracali się i przetaczali po posadzce. Tak czyniły haubice polowe, bo działka przeciwpancerne skupiły się na kopule – zginął starszy strzelec obsługujący cekaem, na dole w ostatniej niezablokowanej strzelnicy i przy erkaemach trwali już tylko amunicyjni, bo celowniczowie i taśmowi wszyscy leżeli we krwi i w drgawkach pod ścianami.

Porucznik Kiewlicz nic już nie czuł, o niczym nie myślał, kiedy rozbłysnął świat, dając znać opadającymi iskierkami metalu, że w kopułę trafił znowu pocisk przeciwpancerny. Kolejny raz z góry z jękiem zwalił mu się do stóp strzelec, dowódca odciągnął go do korytarzyka. A potem sam wszedł na podest kopuły obserwacyjnej. „Wszedł” było stwierdzeniem na wyrost, po prostu wpełzł, walcząc z bólem mięśni rąk, z bezwładem nóg, stanął za cekaemem, rozgrzanym tak, że wokół lufy dygotało powietrze, i z jękiem chwycił rewolwerowy uchwyt na końcu broni.

Bał się, że zaraz nastąpi zacięcie, ale karabin posłusznie zadygotał, zanosząc się mocnym rytmem strzałów. Przez muszkę i szczerbinkę, a dalej poprzez ostatni nieregularny otwór strzelnicy, koło którego uderzyły przynajmniej dwa pociski, zobaczył zryte przedpole bunkra, rozrzucone kamienie,

szare trupy Niemców i ruch, ciągły ruch na przedpolu. Kiedy pochylał się nad bronią, słońce zaświeciło mu w oczy, wpadając w wąski otwór – przestrzelinę z lewej.

Bił krótkimi seriami, oszczędzając amunicję. Zmieniał cele, pakując pociski tam, gdzie zdawało mu się, że krył się nieprzyjaciel. Niedługo...

Nagle karabin wypruł serię i zamilkł, spust nie był zablokowany, ale taśma zatrzymała się, zamarła. Uchwycił pokrywę zamka i chciał otworzyć do góry, ale krzyknął, tak była gorąca; w chłodnicy nie było chyba wcale wody, może już zresztą w ogóle nie było jej w całym schronie.

Szarpał się, chcąc wyrwać zakleszczoną taśmę, kiedy poczuł udar, bolesny wstrząs obiecujący zapomnienie. Nagle świat ściemniał, zrobiło mu się zimno i słabo. Poczuł tylko, że ktoś ściąga go z platformy. Uderzył głową w hełmie w mur, wiedział, że wloką go za nogi. Nic nie widział, słyszał tylko łoskot strzałów, czyjeś krzyki, wołanie o wodę; nagle chłód otrzeźwił go, wzrok wrócił, choć mętny.

Ktoś krzyczał mu prosto w twarz, policzkował. Kiewlicz miał dość, był złamany, postanowił nie odpowiadać. Skulił się, skurczył, myśl o powrocie do kopuły napełniała go tylko suchym dygotem, w tej jednej chwili chciał być jak płaz w skorupie.

Strzały i wstrząsy cichły. Pozwalał się nieść, niech z nim robią, co chcą, choć głowa czasem uderzała o kamienie. Przesunął się nad nim betonowy zarys wejścia, a nagle schron zmalał, znikł w oddali. Zrobiło się trochę chłodniej, usta i płuca nie łapały już prochowego dymu, ale sam pył. Porucznik charczał, usta i gardło wyschnięte miał na wiór.

Wzrok mu wracał, targali go zniszczonym rowem dobiegowym, kiedy na chwilę zatrzymali się, zobaczył kilka zmiętych jak łachmany kształtów, niczym kukiełki rozrzucone

wybuchem. Posypana piaskiem i okopcona, spoglądała na niego martwa twarz sierżanta Murachwy, ciągle trzymającego w ręku kabel telefoniczny.

Kiewlicz zaczął się ruszać, szarpać. Złożono go na środku drogi. Wyciągnął rękę, by wstać, jeden z amunicyjnych pomógł mu podźwignąć się na nogi.

Stał, coraz śmielszy, na rozstawionych nogach, przeliczył bezgłośnie pozostałych. Dziewięciu. Z dwudziestu dwóch stałej załogi schronu.

Z tyłu słyszał serie i kanonadę. Chyba odgryzał się skrajny, ostatni schron w Giełczynie. Jakby to miało jeszcze znaczenie...

– Za mną marsz! Na Laskowiec.

Ruszył, zataczając się, mając przed sobą jak latarnię iglicę drewnianego kościoła między Giełczynem a Gacią. Nie obejrzał się za siebie.

Laskowiec, punkt gospodarczy, godzina 16.51

Dwie wsie dalej było ich zaplecze, magazyn prowiantu i amunicji, pilnowany przez lekko wystraszonego wartownika. Dowlekli się tam ledwie żywi, chociaż każdy krok dalej od szalejącej nad Narwią i Biebrzą nawałnicy wlewał w ich ciała nowe siły.

Przede wszystkim skoczyli do studni. Woda! Pili prawie z wiadra, napełniali manierki. Lali ją sobie na twarze, strząsali, ktoś nawet się zaśmiał. Kiewlicz skarcił go wzrokiem, wciąż słychać było głuchy, dudniący huk armat z zachodu. Za Brzezinami, nad Giełczynem, Gacią, Kowalami widzieli ogromną chmurę pyłu, co chwila przeszywaną przez błyski wystrzałów. Huk i trzask stłumionych serii pozwalały przypuszczać, że resztki linii obronnej nie poddają się jeszcze.

Porucznik Kiewlicz ruszył do telefonu. Zakręcił korbką induktora. Czekał.

– Łączcie z kapitanem Raginisem, dowódcą odcinka Wizna – wycharczał.

– Tu dowództwo baonu fortecznego Osowiec. Nie ma połączenia z Górą Strękową.

– Zgłasza się porucznik Kiewlicz, dowódca pododcinka Giełczyn w odcinku Wizna. Proszę przekazać majorowi Korpalowi, że odcinek stracony, niemieckie kolumny pancerne przełamały linię. Będą posuwać się dalej. Melduję duże straty, brak ciężkiej broni, nie mogę stawiać dalszego oporu.

– Proszę czekać.

I nagle odezwał się nowy, silny głos:

– Panie poruczniku, gdzie jesteście?

– Wycofaliśmy się do Laskowca. Mam dziesięciu ludzi z całego plutonu. Pododdział ósmej kompanii już nie istnieje.

– Kapitan Raginis?

– Walczy. Niemcy otoczyli jego pozycję.

– Panie poruczniku – odezwał się major po chwili. – Proszę zniszczyć most na Narwi pod Strękową Górą i wycofywać się na Jeżewo – Białystok. Tam dalsze rozkazy. Zrozumiano?

– Tak jest.

Odłożył słuchawkę do skrzynki i westchnął, poprawił hełm na głowie.

– Wszyscy zbiórka! – zakomenderował. – Uzupełnić braki w ładownicach, zabrać granaty. Za pięć minut ruszamy.

Zegarek na jego ręku był rozbity, więc porucznik po prostu poczekał długą chwilę, a potem skrzyknął żołnierzy i ruszył szybkim marszem na południe.

Z Laskowca szła na południe zwykła bita szosa do Strękowej Góry, uszkodzona w kilku miejscach przez lotnictwo. Przez cały czas biegła na wyniosłym nasypie, mając po obu stronach

ogromną, rozległą przestrzeń nadnarwiańskich łąk, przechodzących w mokradła i trzęsawiska. Porucznik nie chciał ryzykować, kazał iść po wschodniej stronie nasypu, żeby nie wypatrzyło ich czyjeś oko. Idąc, nie robili dużo hałasu, słyszeli więc dobrze odgłosy bitwy – dochodzące coraz wyraźniej także od strony Góry Strękowej i głównej pozycji.

Most ciągle stał, choć uszkodzony przez bombardowanie. Belki balustrady były połamane, w drewnianych deskach nawierzchni ziały dziury.

– Panie poruczniku, ktoś idzie z prawej! – zameldował nagle kapral.

– Za nasyp, kryć się!

Skulili się, osłonięci groblą, wystawiając lufy karabinów w kierunku Kleszczy. Kiewlicz podpełznął bliżej, zmrużył piekące oczy; lornetkę zostawił w schronie, więc zdał się na słuch. Ktoś szybko biegł, zbliżał się, robiąc niezły hałas.

– Stój, kto idzie?!

– Swoi! Nie poznaje mnie pan, panie poruczniku?

– Co za swój, do cholery?! Hasło!

– Porucznik Szopa, drugi pluton!

Przeskakiwali po kolei przez drogę, kryjąc się i rozpłaszczając po drugiej stronie grobli. Szopa zwalił się obok Kiewlicza, wysoki, chudy, jakiś taki inteligencki, choć w poszarpanym, przesiąkniętym dymem mundurze, a spod okapu hełmu patrzyły oczy jak dwie czarne jamy.

Miał więcej ludzi niż Kiewlicz, na oko z szesnastu, ocalili też dwa erkaemy, torby z magazynkami, granaty.

– Wycofaliśmy się po zniszczeniu schronu. Nie dało rady strzelać. Po drodze, pod Kołodziejami, odrzuciliśmy Niemców. Na bagnety! A jak!

– Proszę uporządkować ludzi, dostałem z Osowca rozkaz zniszczenia mostu i wycofania się.

– A kapitan Raginis? Kapitan Schmidt? Co z resztą ludzi? Co chwila ktoś wychodzi z oparów. – Szopa pokazał w stronę Giełczyna. – Niemcy nie idą naprzód, damy radę, panie poruczniku, zgromadzić jeszcze więcej swoich. Stawimy opór, choćby na tym nasypie...

– Pan chyba oszalał! Proszę się podporządkować! Mam wyraźny rozkaz zniszczenia mostu. Proszę posłuchać starszego kolegi z KOP-u. I ze służby zawodowej.

– A kapitan Raginis mówił, że trzeba się bronić do końca. On nas nie zostawił jak pan! Idę mu na pomoc!

– Nie przejdziecie, pozycja główna jest otoczona, może już nawet zdobyta.

– W takim razie wycofuję się do Osowca. Pan też powinien.

– Ja mam rozkaz zniszczyć most.

– W takim razie życzę szczęścia. – Szopa popatrzył na potrzaskaną konstrukcję. – Niech pan go spali. Na łąkach powinno być siano.

Daleki gwizd przeszył powietrze. Na ich oczach pod Laskowcem w błotach rozerwał się granat artyleryjski. Po nim następny i jeszcze jeden.

– Walą w wioski. Szwaby myślą, że jest tu nas więcej. Czas na mnie. Życzę szczęścia.

– Niech pan nie robi głupstw, poruczniku Szopa! Ja żądam, rozkazuję...

– Moim dowódcą jest kapitan Schmidt i oczywiście dowódca odcinka. Hej, drugi pluton! Za mną!

Poderwał ludzi, wspólnie wycofywali się przez łąki do drogi na Zajki. Kiewlicz zaklął w myślach, ale już miał dość.

– Do mostu!

Biegli zdyszani, ledwie żywi. Most śmierdział spalenizną i olejem, belki były nim grubo nasączone, zabezpieczone przed wilgocią, deszczem i wiatrem.

– Jak to wysadzić? – zapytał kapral.

Kiewlicz rozejrzał się i z przykrością stwierdził, że Szopa miał rację.

– Przynieście siana z łąk, suchego. Podłóżcie tutaj, pod pierwsze belki! Spalimy go. Szybciej!

– A jak po drugiej stronie Niemcy?

– Kapralu, wyślijcie czujkę, trzech ludzi! Niech nas osłaniają! Za mną.

Szybko zbiegli z nasypu na łąkę nad rzeką, gdzie sterczały jeden przy drugim kopy siana złożone wokół wbitych w ziemię rozgałęzionych, rosochatych palików. Wyrywali garściami całe stosy, znosili pod przyczółek, zdyszani, spoceni.

– Szybciej! Jeszcze!

Pociski zaczęły padać na Kleszcze, na drogę, coraz bliżej. Wyrywały z łąk całe chmury błota, na jeziorkach wzbijały fontanny wody. Armatni ostrzał wzmagał się i nagle, niespodziewanie ścichł. To zwiastowało najgorsze.

– Dawajcie! – Kiewlicz nosił razem z innymi ciężkie, kłujące siano, rzucał je na stos, który rósł, powiększał się, prawie sięgał już pierwszych belek nośnych, dźwigających ciężkie tarcice nawierzchni.

– Niemcy! Niemcy! – zakrzyknął strzelec pozostawiony na straży.

Kiewlicz wybiegł na górę, zmrużył oczy, popatrzył w kierunku Laskowca. Już widział małe szare pudła sunące wolno między chałupami. Pierwszy wóz zakręcał na szosę, z zadartą w górę maską wjeżdżał na groblę.

– Wszyscy na drugą stronę! Zająć pozycję! Kapralu, podpalamy!

Kiewlicz skoczył do siana, sięgnął po zapalniczkę. Zaklął, w kieszeni bluzy ziała dziura.

– Co stoicie? Macie zapałki?

– Tak, tak. – Na szczęście tamten miał już w ręku czerwonawą paczuszkę Polskiego Monopolu Zapałczanego, wyciągnął jedną, dziwnie cienką, potarł z trzaskiem i... Zgasła. Wydobył drugą, to samo.

– Jak ma się palić, jak na cztery dzielicie? Złóżcie je!

– Tak jest, przepraszam. Zapałki drogie, cholerny monopol!

Trzask, pojawił się płomień, wzbił się w górę, przyłożony do siana zatrzeszczał, objął suchą trawę, pełgał przez chwilę, wreszcie zaczął rosnąć.

– Cholera, za wolno! – Kiewlicz machał rękoma. – Podmuchajcie może!

Nagle płomień zahuczał, objął cały stos, aż musieli się cofnąć. Lecz to nie wszystko – ogromny słup ognia strzelił w górę i zapalił belki, deski, krawędziaki, nasycone olejem lnianym i terpentyną. Nagle most zatrzeszczał, zajął się ogniem, który ogarnął cały przód.

– Cholera, wiejemy! – krzyczał kapral.

Wbiegli na górę i stanęli przed ścianą ognia, rozszerzającą się, sypiącą iskrami, walącą dymem.

Z tyłu posypały się strzały, rósł warkot motorów.

– Nie ma czasu! – Kiewlicz po prostu chwycił kaprala i popchnął przed sobą. – Dalej! Dalej!

Wpadli w ogień ścigani rykoszetami i terkotaniem serii. Jak upiorna piła stukotał MG-34. Pędzili po belkach, czując ognisty żar na twarzach, nogach, ramionach. Kiewlicz z przestrachem patrzył pod nogi, by nie wpaść w jakąś dziurę. Ogień gonił ich, rozchodził się po moście, ogarniał całą konstrukcję. Aż wreszcie poszedł w górę, zaćmiewając blaskiem słońce.

Na drugim końcu, na przyczółku, krzyczeli, gasząc rękawy i poły munduru. Buty były tak popalone, że nie nadawały się do użytku, bluza i spodnie też, oblicza poczerniały, skóra spękana, paliła żywym ogniem.

– Przeszli…śmy – wycharczał kapral. – Dajcie wody!

– Panie poruczniku – jakiś żołnierz wskazywał na zachód – tam, nasz kapitan.

Kiewlicz podniósł przekrwiony wzrok. Zobaczył chmurę dymu nad lasem, daleko, strasznie wysoko wzbijały się odłamki wybuchających w Górze Strękowej pocisków, dochodził stamtąd pomruk słyszany nawet na ósmym kilometrze. Jak z wulkanu, po prostu góra ognia.

– Niemcy atakują Kurpiki. I naszych. A my…

– Słyszeliście rozkaz – powiedział Kiewlicz. Nie mógł, nie był w stanie na to wszystko patrzeć, lecz jeszcze bardziej zmusić się, by chociaż podejść do tego piekła. – Za mną marsz.

Odwrócił się od schronu w Górze Strękowej, od kapitana, choć nie dzieliły ich otchłanie.

– W końcu – mruknął do siebie – Raginis przysięgał, więc ma, co chciał. Idziemy!

Pododcinek Kurpiki, godzina 13.20

Jechały czołgi. Prosto na odcinek Kurpiki, na środek obrony. Dwie pancerne kolumny przemieszczały się szybko, lewa prawie czterdzieści kilometrów na godzinę, bo szła po poszarpanej wybuchami szosie od mostu do Strękowej Góry. Prawa wolniej – drogą przez bagna, biegnącą od Włochówki do Maliszewa, nieco skośnie do głównego traktu.
Z charakterystycznym niskim głosem motorów kolejno jechały lekkie dwójki, mierząc lufami działek i sprzężonych z nimi karabinów maszynowych w nieodległe schrony głównej linii. Czołgi leciały jeden za drugim, podnosząc się na wzniesieniach, opadając z rykiem silników w obniżenia terenu. Za nimi ciągnęły kolumny cięższych wozów, kanciastych,

masywniejszych panzerkampfwagenów III. Z charakterystycznymi nadbudówkami na wieżach, z krótkimi, jakby uciętymi piłką lufami działek – sterczące obok lufy cekaemów wyglądały jak zabawkowe pistolety. Na burtach czołgi wiozły kłody drewna i pęki chrustu, z przodu, przed wieżyczką, kawałki zapasowych gąsienic. Pierwszy zaś w kolumnie wiózł na przednim pancerzu, poniżej reflektorów, zaczepione drutami dwa postrzelane polskie hełmy, znalezione zapewne koło Włochówki albo Sulina, na pozycji wysuniętej.

Gdy czołgi poczęły mijać leżące w trawie i błocie linie piechoty, rozległy się okrzyki zwycięstwa. Z boków pancernych kolumn rozsypywały się już obie saperskie drużyny szturmowe przydzielone do pułku piechoty, uzbrojone w podwójne porcje granatów, a przede wszystkim – w ładunki wybuchowe.

Czołgi wjechały w pole ostrzału z polskich kopuł, lewa kolumna zaczęła się rozjeżdżać, formując nieregularną linię, próbując oskrzydlić schron na południe od drogi, za spaloną, zrujnowaną wsią Kurpiki.

Bunkier, który trzymał pod ogniem całe niemieckie natarcie, natychmiast zaniósł się ogniem. Najpierw odezwał się karabin maszynowy z kopuły, a potem drugi – z bocznej wnęki, kiedy czołgi poczęły otaczać stanowisko od północy. Na koniec trzeci, gdy kolejna grupa wozów poczęła przedzierać się od południa, wjeżdżając w łąkę między Kurpikami i Perkusami.

Nic im nie zrobiły! Serie załomotały o pancerze, rykoszetując od wież, czasem krzesząc drobne iskry. Tymczasem czołgi z metalowym pogłosem silników, ze szczękiem obracających się gąsienic wpadły w linie zasieków na północ i południe od schronu, poprzerywały je w jednej chwili, łamiąc kołki i zapory, obalając i rozjeżdżając kozły. Z narastającym metalicznym rykiem zajmowały stanowiska, wyrzucając spod gąsienic

kawały darni i błota, pozostawiając szerokie smugi jak blizny na okaleczonej ziemi.

Schron odgryzał się do końca – bił po pancerzach, z kopuły po stanowiskach piechoty na przedpolu, nie pozwalając jej wstać. Lecz czołgi już zajmowały pozycje, obracały wieże, szukając celów. Wreszcie zatrzymały się wszystkie, stały jak stalowe potwory, ślepiąc na pojedynczy, posiekany i poszczerbiony schron czarnymi oczkami luf... Zaczęły strzelać. Zabiły automatyczne działka kalibru dwa centymetry, równym ogniem, trach, trach! Potem zaczęły odzywać się cięższe armaty panzerwagenów III, jedna po drugiej, rozpoczynając złowieszczą kanonadę.

Czołgi nie waliły na oślep. Celowały w obie strzelnice cekaemów wychodzące na północ i południe, w kopułę pancerną, w widoczny od tyłu koło pancernych drzwi otwór dla lekkiego karabinu. Kanonada głuszyła wszystko. Pociski uderzały w okaleczony schron, odłupywały ze ścian kawały betonu, rozwalały strzelnice, rykoszetowały od poznaczonej wgłębieniami pancernej kopuły.

– *Schnell! Vorwärts! Los!*[9] – padły krzyki.

Od strony Góry Strękowej za zadami czołgów przebiegał oddział szturmowy, uginający się pod ciężarem brezentowych toreb z materiałami wybuchowymi. Gnał, korzystając z osłony, do wsi Kurpiki, zachodząc schron od tyłu. Niemcy zapadli między spalone zagrody, poprzewracane płoty. A potem poczęli podpełzać, skradać się do betonowego stanowiska Polaków.

Gdy byli blisko, ostrzał się zmniejszył. Wtedy z gromady wyrwał się jeden z saperów; gnając bez tchu, dopadł tylnej ściany bunkra, z prawej strony, tam gdzie nie było strzelnicy, i z całych sił rzucił pakunek. Pakunek, który potoczył się aż pod tylne drzwi.

Chwila jeszcze... I nagle grom przeorał powietrze. Pancerne wrota wyleciały z zawiasów, pogięte, odrzucone w bok impetem, który najpierw wcisnął je w betonowe framugi, a potem wyrwał z zamocowania.

Trzask, równomierny grad serii z erkaemu! Dym poszedł z krawędzi otworu, kiedy odpowiedział ogniem ukryty w korytarzyku za kolejną strzelnicą polski erkaem. Krótko, oszczędnie walił na wprost, zagradzając wstęp.

Drugi z saperów podczołgał się bliżej, rzucił granat, prosto w otwór wejściowy.

Huk, krótki, stłumiony – z wnętrza buchnął kurz i dym. Erkaem zamilkł. A wtedy...

Wtedy odezwał się znowu cekaem w kopule. Bił do tyłu, po całym zapolu, zmuszając saperów do szukania schronienia, do wciskania się pod kępy trawy, do rozpaczliwego rozpełzania się jak ciężkie żuki.

Błysk, krótki huk – to znowu przemówiły czołgi. Strzelały z bliska w strzelnicę kopuły, u dołu prostokątną, na górze przyciętą na kształt górnej części krzyża rycerskiego.

Zaszumiał motor, jeden z lekkich czołgów ruszył z miejsca, ciągnąc za sobą smugę dymu z rury wydechowej na lewym boku. Podniósł się, wjeżdżając od północy na nasyp ochraniający schron, powoli mielił gąsienicami, wreszcie opadł, wjechał. Za jego wieżyczką przycupnął płasko jak pająk w sieci trzymający się występów pancerza saper.

Czołg zatrzymał się, a wtedy Niemiec zeskoczył, dopadł do poobijanej kopuły pancernej, sięgnął do torby...

I wrzucił granat w szczelinę. Okrągły, prawie gładki, zwany jajkiem. Skulił się, czekając na wybuch. Bach! Ze szczelin poszedł szary dym. Saper nie próżnował, wrzucał kolejne w jedną strzelnicę, w drugą, trzecia była zniszczona i zablokowana kawałami metalu.

Wybuchy targały trzewiami schronu raz za razem. Choć czołgi już nie prowadziły ognia, nikt nie odpowiadał z wnętrza. Saperzy podrywali się z miejsc, pokrwawieni, ubłoceni, wściekli. Przypadali do ścian, obstawiali strzelnice. Któryś zaczął machać, dawać znaki piechocie.

I wtedy cały najbliższy pluton poderwał się do ataku i zaczął biec w stronę polskich pozycji...

Do schronu wpadali jeden za drugim, osłaniając się. Wrzucając granaty do izb. I potem wkraczając do tego krwawego Hadesu z gotowymi do strzału karabinami.

We wnętrzu uderzył w nich smród prochowych gazów, pył wwiercający się w płuca, niedający oddychać. I woń krwi. Polacy zginęli tam, gdzie walczyli – przy strzelnicach, przy gniazdach erkaemów. Niektórzy ściskali jeszcze rękojeści browningów i karabinków. Dziewięć trupów, dziewięć pokrwawionych, złachmanionych ciał.

Schron miał dwie komory bojowe i dwie izby, wszystkie pełne śmierci. Był cichy i spokojny, za spokojny, zbyt bezbronny, więc w Niemcach, w zwycięzcach eksplodowała wściekłość.

– Świnie, polskie świnie! – wrzasnął jakiś szeregowy.

– Dlaczego tak długo! Tak długo tu siedzieli! Cholerni, zasrani Polacy!

– Jak w chlewie siedzieli...

Nagle pokrwawieni, zabłoceni żołnierze poczęli z ponurą wściekłością kopać zwłoki, bić, tłuc kolbami, pluć, wskakiwać na martwych i skakać po nich. Feldfebel od saperów zerwał i schował naramienniki polskiego sierżanta, dowódcy stanowiska, inny wyciągnął z izby żołnierskiej okrągłą czapkę KOP-u z granatowym otokiem. Ktoś, sapiąc, dysząc, a może dusząc się, zrywał bagnetem odznakę z lewej strony munduru zabitego plutonowego, podłużną i owalną, z orłem i polskim

słupem granicznym. Z napisem na samym dole, którego oczywiście Niemiec nie mógł zrozumieć: „Za służbę graniczną”.

Wychodzili, zataczając się, upojeni zwycięstwem, depcąc po trupach wrogów, kopiąc, oddając za każdego ze swoich, których pozostawili na łąkach przed Kurpikami. Na zewnątrz drgały i ryczały silniki czołgów, opadał dym i pył po wybuchach. A z tyłu, za łąkami dzielącymi Kurpiki od Perkus, przemieszczała się wolno, z szumem i brzękiem gąsienic druga kolumna czołgów, podążająca pod Maliszewo.

Pododcinek Kurpiki, schron pod Maliszewem, godzina 14.45

– Czołgi! Czołgi!

Schron w Maliszewie, gdzie miał kwaterę kapitan Wacław Schmidt, dygotał od strzałów. Wszystkie cztery cekaemy – jeden w kopule pancernej, dwa skierowane na południe i bagno Wizna, ostatni na północ – pruły ogniem bezpośrednim, trzymając z daleka niemieckie grupy wypadowe. Karabiny waliły ogniem bezpośrednim, czasem jednak poszerzanym i pogłębianym, żeby dobrze wymacać Szwabów ukrywających się w lejach i nierównościach terenu. W tych trybach ostrzału celowniczy wodził lufą wzdłuż linii celów albo podnosił ją i opuszczał z wolna, aby zmniejszyć lub zwiększyć kąt padania pocisków.

– Czołgi! Czołgi! – darł się obserwator z kopuły.

– Otworzyć drzwi! – rozkazał Schmidt. – Pierwsza i druga drużyna, chować się do środka.

Żołnierze wpadali zdyszani, pokrwawieni, cuchnący potem i ziemią. Powiększając i tak ogromny zaduch panujący

w schronie. Były to niedobitki pierwszego plutonu ósmej kompanii, które przetrwały dwa wściekłe ataki Niemców i ponawiające się po nich nawały artyleryjskie. Przynieśli erkaem i dwie torby magazynków do niego.

– Widzieliście ich?

– Słychać! Coś tam słychać! Od Kurpik!

Boże, pomyślał kapitan, dlaczego nie mamy pepanca?

– Panie kapitanie, potrzebny karabin urugwajski.

– Nie ma – jęknął Schmidt.

Dwa karabiny Ur były już rozdysponowane – jeden, zacięty i uszkodzony, przynieśli żołnierze z pozycji wysuniętej, naprawili, ale nie było już nabojów. Drugi miał w schronie Raginis.

– Przygotować granaty obronne. Plutonowy, wyznaczcie dwóch ludzi.

Strzały Niemców zaczęły cichnąć, umilkły karabiny maszynowe przeszywające powietrze złowrogim stukotem, lecz zamiast ciszy nadciągał szum motorów, brzęk gąsienic, coraz bliższy, coraz silniejszy. Kapitan Schmidt chwycił lornetkę, przeszedł przez korytarzyk pełen rannych, siedzących pod ścianami ludzi, przepchnął się przez amunicyjnych wyciągających z komory skrzynki z taśmami, wszedł do kabiny prawego cekaemu, skierowanego na północ, na Kurpiki, odemknął zasłonę strzelnicy erkaemu i wyjrzał. Nic jeszcze nie zobaczył...

A czołgi już szły, jechały wolno w kolumnie. Pierwszy, cięższy, bardziej kanciasty, przystanął na chwilę i błysnął ogniem z krótkiego działka. Po nim drugi i trzeci. Celował w prowizoryczny schron piechoty pomiędzy Kurpikami, i tak już zniszczony ogniem artylerii. Obiekt był wykończony tylko prowizorycznie, dziura w ziemi pokryta okrąglakami. Gdy trafił

w niego pocisk, wyrzucił w górę kłąb ziemi i popękane, połamane baliki.

Czołg ruszył, przejechał po resztkach stanowiska, po czym skierował się na południe. Za nim szły szybsze dwójki i reszta trójek, rozjeżdżając się w luźną linię i nie za bardzo zbliżając do schronu. Maszyny objeżdżały ich głównie od północy i wschodu, przez pola i łąki pod dopalającym się Maliszewem. Jechały, szczerząc groźnie działka i lufy jak kły, na tle bijących w niebo dymów. Pancerniacy nie próbowali jednak oskrzydlać bunkra od strony bagna, nawet teraz, po suszy, mogło być zbyt głębokie dla ciężkich pojazdów.

Czołgi stanęły, wstrząsane obrotami silników, okolone z tyłu, od zadów, kłębkami spalin. I zaczęły strzelać, walić, bić po ścianach, po strzelnicach, po kopule. Korzystając z położenia ognia, na południe przeciągano już dwa działka przeciwpancerne przez błota, przycięte kępy rokity i torfowiska.

Ostrzał czołgowych armat trzydzieści siedem i dwadzieścia milimetrów był jak pieszczota po artyleryjskiej nawale. A jednak – o wiele groźniejszy. Haubice waliły prawie na ślepo i jeśli nawet granat trafił, to tylko powodował wstrząs, podrzucał schronem, obalał ludzi na ziemię, przewracał prycze, stoły i skrzynki. Jednak nie przebijał ścian. Przeciwpancerne pociski uderzały bezpośrednio w strzelnice i szczeliny pancernej kopuły.

Nagle Schmidt, chociaż zamknął na głucho otwór strzelniczy erkaemu, poczuł wstrząs, zrobiło się ciemno, coś jakby garść świetlików zabłysło mu przed oczyma. To przeciwpancerny granat trafił w dolną strzelnicę cekaemu, rozwalił ją i karabin, zaklinował, zgniótł wspornik podstawy fortecznej karabinu. Kapitan tego już nie zobaczył, rzuciło go na betonową wylewkę,

będącą jednocześnie posadzką; gdy podniósł ręce do twarzy, nie widział ich.

– Pan kapitan ranny! – usłyszał jęk, podparł się na rękach, dźwignął z posadzki, kręcąc głową.

– Nic, nic mi! Oślepłem, samo przejdzie!

– Podnieście go!

Poczuł silne, twarde ręce dźwigające go w górę. Nie widział nic, za to słyszał wiele. Gdzieś na dnie jego duszy zbierała się rozpacz. Okrążyli ich ze wszystkich stron – walili do betonowych ścian z bliska.

– Karabin numer jeden rozbity! – raportował ktoś.

Schmidt poczuł, że sadzają go w mroku na szorstkim żołnierskim kocu, chyba na pryczy. Poczuł na ustach wylot manierki i smak ciepłej wody.

– Zostawcie dla rannych. Nic mi nie jest, przejdzie!

Faktycznie, wzrok powoli mu wracał, widział już jakieś kształty, niby zwidy, lecz przede wszystkim czuł ciepłą krew cieknącą z lewej strony głowy. I w regularnych odstępach czasu, raz za razem uderzenia w ściany, przeszywające całą konstrukcję schronu nerwowym dygotem.

– Panie kapitanie, ostrzał od południa. Działka! Dwa!

– Skierować ogień nękający z kopuły! – wykrzyknął, w ustach znowu miał sucho. Nie wiedział, czy była jeszcze woda. Słyszał dokoła jęki i postękiwania rannych, jakieś kształty wiły się na pryczach.

Grzechot strzałów. Kolejne uderzenia. Ile już czasu minęło?

Potem pocisk zdemolował strzelnicę lewego cekaemu. Zostały dwa – w kopule i w drugiej, południowej komorze.

I wówczas uderzył metaliczny grom, jak piorun. Pocisk przebił kopułę na wylot, z góry zleciał martwy celowniczy. Plutonowy dopadł do Schmidta, zameldował:

– Panie kapitanie, padł kaem w kopule.

– Niemcy! Niemcy podchodzą!

– Do strzelnic! Przygotować erkaemy i karabiny do walki na wprost!

– Melduję, zasuwa zacięta, wgięta, nie otworzę! Szczelina zablokowana!

– Bolii! Boooli! Aaaaaa!

Kolejne uderzenie, potem jeszcze dwa. Ktoś krzyczał przez otwarte pancerne drzwi do lewej komory.

– Nie mogę strzelać! Za blisko są!

– Rzucajcie granaty!

Wstrząs jeden, drugi, bardzo blisko, wcale nie od ostrzału.

– Wszystkie karabiny stracone! – jęczał nad głową Schmidta plutonowy. – Strzelnica na erkaem zacięta.

– Kłaść się na podłodze – rozkazał Schmidt. – Przygotować karabiny! Granaty do obrony.

Byli jak ślepi i głusi, zamknięci w trumnie, w betonowym grobie. Mogli tylko bezradnie przysłuchiwać się uderzeniom pocisków i liczyć, że żaden z przeciwpancernych granatów nie przebije ściany ani strzelnicy. Zgasły karbidowe lampy, jedyne plamki światła wpadały przez zdemolowane strzelnice i górą – przez postrzelaną kopułę pancerną.

Nagle wszystko podskoczyło. Udar przeszedł przez schron, obalając ludzi, przewracając tych jeszcze sprawnych na rannych, siekąc odłamkami betonu w twarze. Ktoś rzygał koło Schmidta, on sam dziwił się, że ma jeszcze czym oddychać. Płuca wciągały mieszaninę smrodu, kordytu i betonowego pyłu, serce waliło oszalałe o żebra.

– Drzwiiii! – rozdarł się ktoś. – Niemcy... Wysadzili!

– Na stanowiska przy korytarzyku! – charczał Schmidt. – Ogień na wejście! Juuuuż!

– Drzwi nie wyleciały. Wgięły się, nie otworzymy...

– Wody, Jezuuu... Aaaaa! Aaaa!

Obrona nie miała już sensu, karabiny same wypadały strzelcom z rąk. Zresztą – zostały tylko dwie strzelnice, przez które mogli wytknąć zwykłe karabiny. W schronie, w którym stłoczyło się trzydziestu jeden ludzi, w tym pięciu rannych, nagle zrobiło się mało miejsca na bohaterstwo.

Schmidt podniósł się, zaczął iść, trzymając się ściany.

– Przerwać ogień! – rozkazał, jak gdyby miał jeszcze w ogóle jakieś zdatne do użytku karabiny. – Poddajemy się! Koniec! Pozostać na miejscach. Plutonowy, wywieście jakąś szmatę!

Na wpół oślepły lazł do komory, z której było przejście do korytarzyka i kopuły pancernej.

– Jak to zrobić?

– Auuuu! Boli, depczesz po mnie...

– Wywieście z kopuły, przez szczelinę.

Obok przeciskał się podoficer, trzymając żelazny pręt i biały kawał materiału, po prostu zwój pokrwawionego bandaża.

– Ja tam nie pójdę! – szlochał starszy strzelec, taśmowy. – Zabiją. – Wskazywał stopnie na górę.

– Leź, bo cię, kurwa, zastrzelę! Już!

Schmidt już nie zwracał uwagi na te gadki, polazł w górę zaraz za podoficerem, który ostatecznie sam zdecydował się wejść na platformę. Wystawił z trudem przez zdeformowaną strzelnicę pręt, pomachał nim chwilę.

– Nie strzelajcie! Poddajemy się!

– *Nicht schießen!* – zawtórował mu kapitan. – *Wir geben auf!*

Ogień ucichł. Niemcy przestali strzelać, jakby czekali na tę chwilę.

I nagle blisko koło nich rozległ się głos:

– *Kommt einzeln heraus!*[10]

I drugi, złowieszczy, ostry:

– *Keine Tricks! Wir haben Granaten!*[11]

– Żołnierze, oddać broń. – Schmidt osunął się na podłogę. – Zdjąć pasy, hełmy, włożyć polowe czapki. Wychodzimy pojedynczo.

– Otworzyć drzwi – jęczał plutonowy.

– Nie damy rady! Wygięte, zablokowały się.

– Do włazu zapasowego.

Awaryjne wyjście było w maszynowni, obok północnej komory cekaemów. Nie było tu żadnego generatora prądu ani wentylatorów, jedynie betonowy cokół na maszynerię. I stalowe drzwiczki nisko nad podłogą.

Broń rzucali – każdy tam, gdzie stał. Wypełzali powoli, jeden za drugim, na zewnątrz, osłaniając przy wstawaniu głowy.

Schmidt czekał, chciał jak prawdziwy kapitan zejść z posterunku ostatni. To, co słyszał na zewnątrz, brzmiało groźnie. Krzyki, jęki, nawet rannych nie oszczędzali.

– Nie bij! Zostaw!

– *Pollacken! Pollacken!*[12] – krzyczały nienawistne szwabskie głosy.

– *Ihr Äser!*[13]

– *Guck mal, sie kriechen wie Kakerlaken!*[14]

Kapitan wyszedł przedostatni, plutonowy Marciniak pomógł mu się położyć, powoli wypchnął go z betonowego grobu. Wynurzając się na światło dzienne, Schmidt zobaczył Niemców: wielkich, wściekłych, aż podskakujących ze złości. Kopali ubłoconymi saperkami jego ludzi, okładali kolbami, pluli, nie pozwalali wstać. Wykrzywieni ze złości jak średniowieczne maszkarony, spod hełmów ślepiły wściekłe oczy, błoto i pył osadziły się na mundurach; mieli widać niezłą przeprawę po bagnach w czasie podchodzenia i osaczania bunkra.

Nagle ktoś strzelił, błysk przeszył niebo i ziemię. Schmidt zaniewidział po raz drugi i dostał czymś ciężkim w głowę.

Jednak nie zginął. Strzelili do niego z bliska z pistoletu. Jakiś strzelec i kapral chwycili go za ręce, odciągnęli od bunkra, sami pobici, pokrwawieni, ledwie żywi.

– *Das ist der Kommandant!*[15] – krzyczał feldfebel.

Wszyscy rzucili się na kapitana, zaczęli go kopać z dziką germańską pogardą dla rozbrojonego, poniżonego przeciwnika, która w kilka chwil zmienia człowieka w zwierzę. Bili kolbami, rozgniatali butami, pewnie zatłukliby na śmierć, gdyby nie wskoczył między nich chudziutki lekarz w polowej furażerce, z torbą medyczną.

– *Er ist nur ein Gefangener!* – krzyczał. – *Lasst ihn in Ruhe!... Komm! Komm!*[16] – Wskazał dowódcę dwóm najbliższym Polakom.

Ci chwycili go pod ramiona, podnieśli, powlekli dalej, na łąki, gdzie już na noszach leżał cały szereg niemieckich trupów, świeżo zebranych z przedpola.

Kapitan Schmidt otworzył oczy; wtedy zobaczył suche oblicze niemieckiego medyka, jego okrągłe okulary i zmęczone oczy, podczas gdy ręce przewiązywały głowę Polaka bandażem. Zapadł w ciemność, to było ostatnie, co zapamiętał z obrony odcinka Wizna.

Góra Strękowa, obiekt GG-126, po godzinie 16.00

Słuchawka telefonu polowego, którą trzymał w ręku kapitan Raginis, była martwa, cicha, nikt nie odpowiadał z drugiego końca linii.

– Połączenie z Maliszewem zerwane – zameldował Rajmund Domalewski, telefonista. – Czy wysłać patrol?

– Poszedłby na śmierć. Słyszycie, co się tam dzieje?

Nawet przez grube ściany bunkra dochodził łoskot nie tak dalekich wystrzałów, niosący się po łąkach aż do drogi i Góry Strękowej. Niemcy nacierali na lewe skrzydło głównej pozycji z czołgami, które obrońcy widzieli przez lornetki z kopuły obserwacyjnej.

Kanonada nagle ucichła.

– Maliszewo padło? – zapytał jakby sam siebie porucznik Zawadzki.

– Łączność z Kiewliczem?

– Patrol nie wrócił. Widzieliśmy samochody pancerne w Giełczynie i po drugiej stronie Narwi – zameldował podporucznik Buczyński, także ranny i pokrwawiony, bo czerwień plamiła cały czas bandaże na jego głowie.

Raginis zgarbił się, zmalał, ranny, walczący z bólem, wyglądał jak przygnieciony ciężarem tych wiadomości.

– Panie podporuczniku – powiedział – niech pan wraca do baterii. Nic pan nie zrobi, dowodząc dwoma działami. Proszę zebrać ocalałych i obie armaty ustawić w zasadzce w lesie, tak żeby mogły bronić nas przed próbami oskrzydlenia od tyłu, od strony Rudnik i Strękowej Góry.

– Oczywiście.

– Proszę poczekać, pewnie się już nie zobaczymy. Dziękuję.

Podporucznik stał, a jego oczy były nieruchome.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – powiedział, a kapitan wyciągnął rękę.

Uścisnęli sobie dłonie w milczeniu. Raginis poprawił się na ławie z bólem.

– Połączcie mnie z Osowcem.

– Także nie ma łączności.

– Coś takiego – jęknął kapitan. – Zatem pozostaliśmy sami. Nie będę ukrywał, że pododcinek Giełczyn i Kurpiki padły albo

są w okrążeniu.

– Z całego odcinka Wizna tylko my – powiedział ponuro Zawadzki.

– To ja sam wiem. Zostały nam dwa schrony. Proszę w takim razie uruchomić RKD i nawiązać połączenie z radiostacją w Osowcu.

– Tak jest.

Radiotelegrafista wziął się do pracy, pochylił się nad czarnym aparatem, strzeliły złączki, kiedy podłączał baterie. Do kompletu była jeszcze prądnica, ale tej na razie nie rozstawiali. Kapral radiooperator nałożył sobie słuchawki na uszy i zaczął dostrajać aparat. Kapitan nie patrzył na niego. Nikt nie patrzył... Wszyscy rzucili się do strzelnic i szczelin. A zaczęło się od krzyku strzelca Słomy, strażującego przy otworze służącym do obrony drzwi.

– Patrzcie, co tutaj lata!

– Chyba nasz, z taborów się urwał!

– Gdzie nasz, to szwabski. Odpędźcie go.

Rozległ się trzask wystrzałów, poszła krótka seria.

– Gdzie, gdzie strzelasz, idioto! – darł się plutonowy. – Trafisz go!

– Ja przecież walę za zadem. Żeby odpędzić.

Kapitan słyszał te okrzyki, bo drzwi były pootwierane; kiedy Niemcy nie strzelali, żołnierze starali się wietrzyć schron. Poderwał się, czując ból, pokuśtykał do lewej komory cekaemów, wychodzącej na opadające łagodnie ku drodze zbocze góry. Wyjrzał przez strzelnicę, usłyszał chrapanie, łoskot kopyt, coś białego przeleciało przez pole widzenia. Coś, co kojarzyło mu się z chwilami szczęścia we dworze w Strękowej Górze, było lotne jak ptak i niezwyciężone.

Bohatyr!

– Nie strzelać! – wycharczał. – Nie otwierać ognia. To mój koń.

Potykając się, zgięty, skurczony, ruszył do wyjścia. Przez korytarzyk, obok komory dowodzenia, mijając strzelca czuwającego z karabinem na strzelnicy flankującej wejście, potem kolejny korytarzyk i nieistniejące drzwi przeciwgazowe.

Wyszedł! Słońce świeciło! Uderzyło go jak obuchem po wyjściu z dusznego wnętrza schronu. Zataczał się, podpierał najpierw o ściany, potem powichrowane plecionki rowu odchodzącego od bunkra. Gramolił się z bólem, jęcząc, na górę, machał rękoma, krzyczał:

– Bohatyr, Bohatyyyyr!

Koń leciał, gnał, wynurzył się zza prawej północnej strzelnicy, zobaczył go i popędził, przeskakując przez doły i dziury po wybuchach. Z podniesionym ogonem, z wyciągniętą, wygiętą szyją, wyglądał jak wcielenie wolności. Biały, piękny i czysty nad zwojami kolczastego drutu, nad rozpękniętymi czerepami granatów, odłamami betonu i niewybuchami.

Przypadł do Raginisa ze szczerą końską wesołością, omal go nie przewrócił, trącając nosem, ocierając się o lewe ramię. Ten koń był tak nierealny, tak nieoczywisty w tej szarej, spustoszonej przez wojnę krainie, gdzie drzewa wznosiły ku niebu okaleczone kikuty gałęzi, a w wioskach pozostały tylko belki i poobijane, postrzelane ceglane kominy. Jak obraz wyjęty z zielonych łąk oraz pokrytych błękitem nieba przestrzeni i przez przypadek postawiony na wypalonym doszczętnie polu. Taki był z niego... bohater.

– Bohatyr, Bohatyr. – Oficer wyciągnął rękę, pogładził konia po szyi, po pysku, po chrapach. – Co ty tu robisz? Po co tutaj jesteś? Tutaj jest tylko śmierć, my już stąd żywi nie wyjdziemy.

Stał przy koniu, klepał go, czując, jak wracają mu siły. Był zgięty, złamany odłamkiem pocisku, który tkwił głęboko pod

łopatką, dając o sobie boleśnie znać. Teraz prostował się.

Z tyłu rozległy się serie, u podnóża góry, potem bliżej.

– Bohatyr, uciekaj, uchodź stąd, bo zginiesz – wyszeptał Raginis. – Nie, nie możesz tu zostać. Chodź...

I wtedy poklepał konia, położył mu dłoń na miękkim, delikatnym miejscu między uszami, aż wierzchowiec zniżył łeb. Kapitan powiedział słowa, które same podchodziły mu do gardła.

– Bohatyr, Bohatyr, byłeś i jesteś przez wieki. Rąbali na tobie Moskali w powstaniu i na Kresach, budionnowców pod Komarowem, Niemców w Wielkopolsce i na Śląsku. Jeździłem na tobie, broniąc Wizny i oglądając schrony. Lecz teraz już nie mam siły. Zwracam ci wolność, zwracam ci wiatr. Leć! – zakrzyknął. – Leć!

Wierzchowiec wyprężył się, potrząsnął głową, jakby zbudzony ze snu.

Raginis uderzył Bohatyra po zadzie, popędził krzykiem, gwizdnął, wsadzając palce do ust. Wyrzucił ręce od siebie, jakby chciał go odpędzić. I koń, spłoszony trochę, poszedł, pogalopował na wschód, w kierunku zniszczonych pozycji baterii porucznika Brykalskiego.

Raginis patrzył za nim, zmrużywszy oczy, spoglądał długo, z żalem, ze smutkiem.

I wtedy padł strzał. Oddał go mężczyzna w szarym niemieckim mundurze, w hełmie, na którym zapięte miał ciężkie gogle w skórzanej oprawie.

Dał ognia z karabinu z lunetą, ale i tak jej nie potrzebował. Trafił Polaka w lewe ramię, nad pachą, strzał na wylot. Chybił, bo się pośpieszył, bo stał prawie na skarpie, wychylał się zza krawędzi wzgórza jakieś trzysta metrów dalej, mając pod sobą zrujnowane chałupy Góry Strękowej u podnóża wzniesienia, a dalej bystre wody Narwi.

A tak naprawdę sfuszerował, bo w ostatniej chwili czyjaś mocna ręka odsunęła kapitana na bok, w prawo, rzucając go na kłujące zasieki. Raginis jęknął, padł, krwawił, a nad jego ciałem przemknął Subota.

Od razu złożył się i wycelował, rąbnął tam, gdzie majaczyła blada plama twarzy strzelca. Chybił! Pocisk wzbił tylko chmurkę piachu.

Subota nie czekał, aż tamten weźmie go na cel albo zmieni stanowisko. Przeturlał się w lewo, do leja po bombie, zrzucił hełm i wbił go w piach na krawędzi, jakby on sam wychylał się do obserwacji. Przycupnął jednak dalej w lewo. Przeładował krótkolufowy karabinek, wyrzucając łuskę, przyczaił się, czekał...

Trzask, strzał, brzęk kuli, która trafiła w hełm. Dobry to był przeciwnik, wprawiony w harcach z bronią w lesie. Pierwszorzędny myśliwy...

Subota od razu dał ognia tam, skąd padł strzał, na krawędzi obrywu. W trawie i krzakach zakotłowało się coś, zaszeleściło. Nie czekał, przetoczył się z leja na bok, poderwał, dopadł zbocza i zeskoczył dwa metry niżej. Przeładował karabin, popędził, przechylony na bok, prosto na opadającą stromo w dół dalszą część góry. Skulił się, wpadł, w zasadzie wtoczył się pod kolczasty krzak tarniny, który pozostał na skraju urwiska. Nic... Pusto. Zobaczył wygniecioną trawę i... pojedynczą łuskę; była jeszcze ciepła. Rozglądał się, wreszcie ujrzał daleko na polach, pod lasem połamanym ogniem artylerii, samotną białą, oddalającą się plamkę. Bohatyr...

Ścigały go serie smugowe z niemieckich kaemów. Śledziło oko tego samego strzelca, który powalił jego pana. Spokojne, zimne, bezlitosne, zgrane z czarnym krzyżem na środku celownika optycznego broni. Celowało prosto w punkt, nieco poniżej kłębu, koło lewej przedniej nogi.

Starczyło nacisnąć spust, koń był jego. I Paul Repliński uczynił to, wstrzymując oddech. Kropnął raz, w sam środek ciała zwierzęcia.

Chybił! Chybił w tak niemożliwy sposób, że aż opuścił broń i wytrzeszczył oczy. Jak mógł z tej odległości, może i dużej, ale z tak wspaniałym niemieckim celownikiem?

Bohatyr przeskoczył powaloną brzozę i wpadł do lasu, znikł, uszedł z pola walki, wolny, szczęśliwy, niepokonany. Pędził na wschód, na Białystok, śladem uchodzącej stadniny Jamiołkowskiego.

Subota nie ścigał strzelca, lecz dopadł kapitana. Raginis żył. Kiedy Subota podnosił go pokrwawionego, patrzył przytomnie, blado, uśmiechnął się słabo.

– Teraz to chyba koniec? – spytał cicho. – Weź mnie do schronu.

– No jakżeż, nie... panie kapitanie.

Subota prawie płakał, niosąc oficera do pancernych drzwi. Raginis był długi, wysoki, a teraz jeszcze biały i czerwony od krwi. Strzelec krzyczał, wzywał wartownika, wspólnie chwycili dowódcę, ponieśli go do izby żołnierskiej, ale kapitan pokręcił głową.

– Sanitariusz, niech to przewiąże – powiedział.

Zagryzając z bólu wargi, siadł na ławie przy stole w komorze dowodzenia. Radiostacja już grała, dawała głos, na razie gwizdy, piski i trzaski.

– Panie kapitanie, złapaliśmy Osowiec – powiedział kapral. – Na razie tylko na klucz!

– Nadajcie otwartym tekstem. Niech Niemcy wiedzą, jeśli podsłuchują. „Zgłasza się kapitan Władysław Raginis, odcinek Wizna. Mam straty, jestem ranny. Posterunku nie opuszczę”.

Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 18.02

Najpierw uderzył w nich głos, ludzki, a przecież sztuczny, przetrawiony przez maszynerię pełną cewek i lamp. Uderzał z mocą, wwiercał się do mózgu, wpadając przez szczeliny i strzelnice, przenikając schron jak fale radiowe.

– Polacy, poddajcie się, jesteście otoczeni. Niemieckie dowództwo gwarantuje wam godne traktowanie. Jak długo jeszcze możecie się bronić? Wywieście białą flagę. Nasze wojska są już pod Warszawą, przekroczyły Narew i Wisłę. Wasze miasta są bombardowane. Jak długo jeszcze będziecie ginąć dla angielskiej polityki?

Dowódca na wpół leżał na pryczy, ranny, szarpany kleszczami bólu, morfiny już nie było, dostali ją wcześniej wszyscy ciężej ranni. Spoglądał, na ile mógł, w twarze obecnych z nim żołnierzy. Wszyscy trwali nieporuszeni w gorącu i duchocie schronu.

– To naprawdę Paul – powiedział Subota, czuwający przy zwykłej strzelnicy z karabinem. – Poznaję ten wściekły głos.

Raginis przełknął ślinę, poruszył się.

– Jeśli to Repliński, rozkazuję wam go... zastrzelić. Zrozumieliście, Subota?

– Ale teraz jest za daleko.

– Pilnujcie tej szczekaczki. Jeśli się zbliży i będzie sposobność do strzału... rozwalcie go!

Subota pokiwał głową. I wtedy usłyszeli nadciągający szum motorów. Najpierw przeciągły pogłos, potem coraz głośniejszy wizg silników. Czołgi ruszyły.

– Karabin przeciwpancerny! Strzelec wyborowy, na stanowisko! – rozkazał kapitan.

Brzęknęły pancerne drzwi, starszy strzelec Słoma z drugim żołnierzem wyskoczyli na zewnątrz, by zająć stanowisko

w pokiereszowanym rowie obok schronu. Za nimi podążył Subota i jeszcze jeden z obsady.

Niemcy już szli, atakowali, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Od południa, od spalonych Kurpik, szła nawała. Najpierw przemieszane czołgi, zarówno lekkie, jak i cięższe. Z szumem wjeżdżały na wzgórze, zachodząc schron od lewego boku. Część strzelców zaczęła rozwijać się też od zachodu, podchodząc od strony łąk i zarośli nad Narwią, obok spustoszonej wsi Góra Strękowa, mijając drugi, nie wykryty jeszcze schron u podnóża wzgórza, za chałupami.

Czołgi rosły w oczach, potężniały; wcześniej były zaledwie małymi stalowymi pudłami kołyszącymi się w dali, u podnóża pozycji, teraz zaczęły urastać do rangi olbrzymów.

– Podpuścić na trzysta metrów! – mówił z bólem w głosie Raginis. – Czekaaać! Czekaaać! Jestem z wami, dacie radę! Ogień zaporowy, już!

Oba cekaemy z lewych południowych komór bojowych plunęły ogniem, wysyłając na powitanie wozów bojowych wiązki kul. Niemiecka piechota, która postępowała za czołgami, skupiając się za ich wysokimi zadami, padła na ziemię, kryjąc się przed ostrzałem, wyciągając do przodu długie lufy karabinów maszynowych. MG-34 próbowały się odgryzać, ale nieudolnie.

– Trzymać piechotę pod ogniem! Czołgi przejadą, ale bez osłony – mówił Raginis. – Walić w strzelców, nie dopuszczać ich bliżej...

Nawała przydusiła piechurów; maszyny jechały dalej, coraz bliżej i coraz wyżej. Na dwustu metrach przed schronem zaczęły stawać.

Przemówiły działka. Schron zatrząsł się od pocisków, jeden rykoszetował od strzelnicy, zasypując ją pyłem i odłamkami betonu.

– Wytrzymać, zaraz ruszą! Beton pierwsza klasa, nie tacy jak wy specjaliści go wymyślali. Czekać! Podejdą pod karabin przeciwpancerny.

Czołgi nie wytrzymały długo – wciąż waląc z armat i cekaemów, ruszyły w górę stoku wzgórza, daremnie próbując zmacać kopułę obserwacyjną. Niektóre wiozły na pancerzach z tyłu desant – pojedynczych saperów z torbami pełnymi granatów i materiałów wybuchowych.

Maszyny szły w górę, co chwila zatrzymywały się, kołysząc się na wybojach. Wtedy na końcu krótkiej lufy tych cięższych błyskał ogień – waliły w schron, chcąc dobrać się do strzelnic. Było to trudne, zważywszy na pochyłość zbocza; jakkolwiek by celowali, ciągle znajdowali się niżej niż schron kapitana Raginisa.

Wtedy odezwał się erkaem wz. 28 wniesiony do kopuły obserwacyjnej. Bił z góry, punktując kryjących się za wieżami saperów. Równy, mocny metaliczny stukot, krótka przerwa na wymianę magazynka i znowu. Erkaem zmiótł z pancerza trójki ukrywającego się tam sapera z ładunkami, zrzucił go na pole, na poszarpane zasieki, na których Niemiec zawisł, pokrwawiony, zgięty, twarzą do ziemi, z wyciągniętymi bezradnie rękoma.

Pozostali nie czekali na śmierć – zaczęli zeskakiwać z czołgów, kryć się w trawie i lejach. Maszyny poszły dalej, zaczęły szukać stanowisk, kręcić wieżami, jak gdyby wyszukując inne punkty oporu.

I wtedy jeden z czołgów ruszył, objeżdżając schron od zachodu. Przetoczył się przez rozsadzony wybuchami rów dobiegowy, skręcił prosto na tylną ścianę, chcąc ostrzelać drzwi i chroniącą je strzelnicę erkaemu.

Starszy strzelec Słoma, ukryty w rowie, zobaczył go na wprost siebie. Nad głową poszły serie z kaemu. Żołnierz

przeżegnał się, podciągnął karabin Ur, oparł na ziemi, na dwójnogu, przymierzył się, zlał z kolbą i bronią w jedno, wystawiając na wprost długą lufę zwieńczoną hamulcem wylotowym. Zobaczył przed sobą, nieco skosem, czołowy pancerz czołgu, na środku przymkniętą zasłonę, za którą siedział kierowca. Wymierzył tuż obok, przytrzymał broń i ściągnął spust.

Karabin szarpnął w ogromnym, wyłamującym ramię odrzucie. Plunął ogniem, ale Słoma nie widział, żeby zadał jakieś poważniejsze uszkodzenia. Przez mgnienie oka dostrzegł jakby szeroką plamę na przedzie maszyny. A jednak rozpędzony czołg zatrzymał się! Nie chciało mu się wierzyć, że poszło tak łatwo.

Nagle coś szarpnęło go za nogi, odciągając w stronę schronu. Zaskoczony, pozwolił się wlec, lecz nie wypuścił piekielnie ciężkiego, dziewięciokilogramowego karabinu z rąk. To był Mitczuk, kolega! Strzelec, z którym wyszedł na zewnątrz. Odciągał go ze stanowiska.

Dobrze zrobił, bo w tej samej dokładnie chwili w miejsce, w którym leżał, poszła seria. Prosto z czołgu, wieżyczka obróciła się, lufy się opuściły, plując ogniem.

Grzmot, suchy huk – ktoś, chyba Subota, rzucił granat pod gąsienicę. Potem jeszcze jeden. Czołg przestał strzelać. Zamilkł, granaty nie przebiły pancerza, ale wstrząs w środku musiał być znaczny.

– Do bunkra! Wracamy do bunkra! – darł się Mitczuk.

– Zaraz, nie tak od razu!

Słoma wstał, ciągnąc w górę karabin przeciwpancerny, oparł go o stos piachu wyrzucony z dołu po wybuchu pocisku i przeładował, wyrzucając długą mosiężną łuskę. Pochylił się, rąbnął w wieżę, wsadził pocisk pod ciężką lufę działka, teraz sterczącego bezradnie.

– Zostaw go! Wycofujemy się.

Z wizgiem motorów podjeżdżał drugi czołg, tym razem cięższy, z krótką lufą osadzoną między dwoma płaskimi żebrami na półokrągłym pancerzu z przodu wieży. Cekaem z gniazda na przedniej płycie pruł po schronie, po jego otoczeniu, kiedy Słoma wystrzelił trzeci raz. Celował w boczny pancerz, ale przeniósł, ręce miał zbyt rozdygotane, wszystko działo się jak w amoku. Pocisk rąbnął w boczną ściankę wieży, zrykoszetował, nie czyniąc poważniejszego uszczerbku. Słoma został przy karabinie, do połowy wychylony zza zniszczonego kozła z drutem kolczastym, prawie bez osłony... starczyłby jeden ruch niemieckiego palca na spuście, żeby odprawić go w kawałkach na drugą stronę świata.

A jednak seria nie poszła. Czołg zaczął się cofać, wolno mieląc piasek gąsienicami. Kiedy karabiny z przodu i z wieży odezwały się znowu, Słoma już znikł, teraz przemykał się pochylony rowem w stronę schronu.

Wycofywali się, zabierając ze sobą Subotę, klucząc, przeskakując od osłony do osłony, z dołu do dołu. Serie z kaemów uderzyły o betonowy dach schronu, rykoszetowały od południowej ściany. Wpadali kolejno do wnętrza, skuleni, waląc ramionami, bokami o betonowe krawędzie otworu wejściowego.

Czołgi wycofywały się po stracie jednego, ostrzelaniu drugiego, nikt nie chciał widać pchać się bezmyślnie na górujący nad okolicą schron i plątaninę rowów i zasieków z tyłu. Z sykiem poszła w niego rakieta, potem druga, zalewając okolicę martwym żółtym światłem. Był już zmierzch, robiło się ciemno.

– Uwaga! – krzyczał obserwator z góry. – Ruch na przedpolu, skradają się!

– Saperzy – powiedział niepewnie Biegański, wyglądający przez strzelnicę erkaemu obok południowej komory ciężkich karabinów maszynowych. – Chcą nam podrzucić, na co nie czekaliśmy!

Trzask i szum – kolejna rakieta poszła w górę, w mrocznym wnętrzu przy strzelnicach zagrały kawalkady cieni.

– Są na górze! – krzyczał ktoś.

– Krótkimi seriami. Ogień nękający.

Najpierw zabił mocnym rytmem erkaem z kopuły obserwacyjnej. Potem ciężki wz. 30 z południowej strony, jeden z dwóch ostatnich. Niespodziewanie odezwał się także ten od północnej strony.

– Przepłoszyliśmy Niemców. Włazili od Góry Strękowej.

– Uważajcie!

– Wrzucą granaty, o Jezusie – biadał ktoś.

– Nikogo nie ma, nie siejcie paniki!

Cisza, aż dźwięczało w uszach. Nie strzelały czołgi, nie waliły działka przeciwpancerne. Nie dawały ognia haubice. Powód musiał być jasny – raziłyby swoich.

Znów jedna, dwie krótkie serie...

I nagle Subota strzelił krótko. Trach, przeładował, trach.

– Mam go! Trafiłem.

Wychylający się zza załomu rowu strzeleckiego Niemiec dostał wprost w pierś, dokładnie wtedy, kiedy wychylał się do rzutu ciężkim pakunkiem. Złamał się, padł, rozkładając ręce, ładunek potoczył się kilka metrów i znieruchomiał.

– Otworzyć gęby, zaraz jebnie! – krzyczał Subota.

Wybuch był słabszy niż eksplozja granatu artyleryjskiego. W strzelnice przy wejściu cisnęło piaskiem, ciemną ziemią, pyłem.

Zapadła cisza.

– Żadnych Niemców, nie widzę ruchu. Wycofują się – meldował obserwator z kopuły.

Do Raginisa podchodził młody Seweryn Biegański, za nim Słoma i ktoś jeszcze.

– Panie kapitanie, my się zgłaszamy na ochotnika. Ciemno już, obrzucimy czołgi wiązkami granatów.

Słoma trącił Biegańskiego w ramię.

– I przedrzemy się, damy znać do Osowca o przerwaniu Szwabów.

– Idźcie we dwóch – powiedział kapitan. – Plutonowy, wydajcie im granaty.

Szybko zabierali pęki okrągłych, gładkich skorup, zaczepnych wz. 24, wiążąc je drutem wokół szyjki po dwa, po trzy razy.

Potem powoli ustawiali się w korytarzyku przy pancernych drzwiach.

– Ano próbujcie – zgodził się plutonowy.

Słoma odsunął rygle i zasuwy na górze i na dole, popchnął ostrożnie i powoli drzwi, wpuszczając do śmierdzącego wnętrza porcję świeżego powietrza.

I nagle załomotało, zatrzeszczało wokół nich, jęknął rykoszet. Drzwi zatrzasnęły się znowu, pchane żelaznym gradem pocisków. A Słoma jęknął, zatoczył się, opierając o mur, aż go podtrzymał Biegański. Rękę miał całą we krwi.

– Palec! Palec mi ucięło! Aaaa...

– Cicho, masz jeszcze cztery! Do brandzlowania! – ryknął ktoś z tyłu. – Dawajcie sanitariusza!

Łoskot, krzyki, potem się uspokoiło.

– Panie kapitanie, melduję, że jesteśmy pod ostrzałem. Nie da się wyjść ze schronu. Musieli przenieść karabiny z drugiej strony wzgórza.

– Na stanowiska. Nie poruszać się, nie zużywać powietrza. Ranni spać.

Nie dało się. W schronie był zaduch, smród strachu, potu, krwi, brudu. Zawiesina pyłu podszyta wonią świeżo spalonego prochu. Niektórzy z żołnierzy pokładli się na betonie, dającym trochę chłodu i wytchnienia, pozdejmowali bluzy i koszule.

– Poddajmy się! – zajęczał ktoś w ciemności. Któryś z rannych, słyszeli, czuli bardziej, jak wstrząsał nim szloch.

– Ja nie skapituluję – odpowiedział kapitan Raginis. – Złożyłem wam przysięgę, więc odmawiam. Zostanę tutaj, nawet sam jeden.

I nagle przytłumiony huk rozdarł powietrze. Pochodził jakby spod ziemi, spod nóg, aż schron się zakołysał.

– Dorwali Pawlaka! – krzyczał ktoś. – Wysadzili stanowisko pod górą!

– A więc jesteśmy sami – jęknął Zawadzki. – Ostatni schron.

Osłonił oczy rękawem poszarpanej bluzy.

Szosa Wizna – Strękowa Góra, godzina 18.27

Jeszcze roznosiły się strzały i trwała kanonada przy wzgórzu, kiedy drogą do Strękowej Góry ruszyły pierwsze niemieckie oddziały pancerne. Najpierw pluton motocyklistów i drugi – samochodów pancernych z dywizjonu rozpoznawczego 10. Dywizji. Za nimi dwa plutony czołgów lekkich – same szybkie dwójki, pędzące drogą z chyżością niewiele mniejszą niż samochód osobowy. Za nimi jednak posuwały się najważniejsze oddziały wsparcia czołgów. Ciężarówki z osiemdziesiątej szóstej kolumny transportowej, ciężarowe ople blitz, wyładowane po brzegi amunicją i częściami do czołgów, na koniec zaś dwie cysterny z paliwem.

Spełniali rozkaz Guderiana, który brzmiał: natychmiast po przełamaniu pozycji wroga przerzucić ile się da sił na kierunek

Strękowa Góra, Pokrzywnica, Zawady. Zająć oddziałem szybkim skrzyżowanie dróg na Białystok koło Jeżewa Starego.

Rozkaz jednak nie został wypełniony! Ledwie samochody pancerne i czołgi wjechały w las, mijając z prawej strony drogę do Rudnik-Kurpik, a z lewej dużą porębę, z lasu rozległy się strzały. Tak przemówiły dwie ostatnie armaty z plutonu podporucznika Buczyńskiego, ukryte w leśnej zasadzce.

Przeorały szosę. Jeden zmiótł, rozwalił ciężarówkę, wybuchając pod brezentową budą. Drugi trafił w czołg, w bok wieży, nieco pod kątem, odwalając gładko całą boczną ściankę pancerza.

Podniósł się wrzask, motory ryknęły ze zdwojoną siłą, gdy ciężarówka zapaliła się jasnym płomieniem jak smolna pochodnia. Motocykliści zaczęli zjeżdżać w bok, pod osłonę drzew, zderzali się, przewracali, skacząc z siodełek na ziemię.

Armaty biły raz po raz. Błysk, błysk! Granat w szosę, drugi między drzewa. Trzeci pod koła samochodu pancernego – podrzucił go, rozwalając przód. Wóz wpadł w lej po wybuchu, stanął pochylony w przód, a maskę od razu objęły płomienie.

Pozostałe ciężarówki zaczęły zawracać, kotłować się, blokować i zajeżdżać sobie drogę w ciasnocie. Polacy z lasu walili w nich jak do tarczy strzeleckiej. Jeden błysk, huk wybuchu, płonie samochód, rozlatuje się ciężarówka trafiona stalowym granatem.

Kolumna wykaraskała się wreszcie, zaczęła odwrót. Ktoś dał znać do czołgów, które osiągnęły już Strękową Górę. Położyły daleki ogień na las, nie chcąc wjeżdżać między drzewa w nocy, która Niemcom wydawała się dziwnie złowieszcza. Spieszeni motocykliści prowadzili chaotyczny ostrzał. Kiedy jednak usiłowali nacierać, odezwały się dwa karabiny maszynowe, przyciskając ich do ziemi. Granaty rozrywały się zbyt blisko, a próby obejścia ze skrzydeł trwały wystarczająco długo, by

ogień z dział ucichł, a polska bateria wycofała się z lasu. Gdy później, o świcie, patrole zapuściły się między drzewa, znalazły tam tylko kilka powalonych sosen, łuski po granatach i... końskie łajno w miejscu, gdzie czekały przodki i jaszcze.

Plebania w Wiźnie, miejsce postoju sztabu XIX Korpusu, godzina 20.47

Znów spotkali się na odprawie w niewykończonej plebanii, przy sztucznym świetle lamp zasilanych z agregatów. Całe dowództwo dywizji i sztab korpusu. Generałowie z daleka dziwnie podobni w idealnie skrojonych mundurach, dopiero z bliska pojawiały się znaczące różnice. Horst Stumpff, zażywny człowiek w okularach, przestępował niepewnie z nogi na nogę, podczas gdy wyniosły i bardzo arystokratyczny dowódca 3. Dywizji Leo Geyr von Schweppenburg prezentował typowo północnoniemiecki typ wojskowej urody, podobnie jak Braubach. W porównaniu z nim Guderian i dowódca 20. Zmotoryzowanej Dywizji Mauritz von Wiktorin wyglądali zupełnie przeciętnie, wyjąwszy starannie przystrzyżony wąs dowódcy korpusu.

– Panowie, poproszę o szczegółowe raporty. Wezwałem was, bo musimy osobiście uzgodnić plan natarcia. Wygląda na to, że ugrzęźliśmy pod Wizną na dłużej – powiedział z gniewem Guderian. – Ustalmy wspólnie, jaka jest tego przyczyna.

– W chwili obecnej moja dywizja toczy walki o zdobycie wsi Grądy-Woniecko – odezwał się generał Wiktorin. – Dobrze ufortyfikowana pozycja, Polacy zorganizowali tam zasadzki. Spodziewam się, że za godzinę, dwie będzie nasza.

– Jaki jest powód takiego opóźnienia?

– Bardzo prosty, panie generale, ta wieś otoczona jest przez błota. Mam tylko jedną drogę, którą mogę przeprowadzić motocyklistów i samochody pancerne. Nie ma jak rozwinąć artylerii. Gdy jakiś wóz zostanie uszkodzony, trzeba go ściągać do tyłu, powstaje zator. Uprzedzając zaś pańskie pytanie, nie mogę wesprzeć was w rejonie Maliszewa, bo ogranicza mnie bagno.

– Pomoc nie będzie nam potrzebna – odezwał się Stumpff. – Właśnie zdobyliśmy główną linię umocnień Polaków w Meszeninie i Kurpikach.

– O! – poderwał głowę Guderian. – Zatem główna szosa jest przejezdna?

– Z tego, co mi raportowano, tak. Posłałem tam dywizjon rozpoznawczy wsparty plutonem czołgów. Zgodnie z pańskim wcześniejszym rozkazem.

– Niestety, szosa nie jest do przejścia – odezwał się adiutant Braubach i podał Guderianowi blankiet z meldunkiem. – Przed chwilą przyszedł telefonogram z tamtego brzegu. Zwiad został ostrzelany z lasu. Ma duże straty w samochodach, zginął też dowódca lekkiej kolumny transportowej dywizjonu rozpoznawczego.

Guderian usiadł i uderzył pięścią w stół. Na jego obliczu widać było gniew. Rzadko widziany u byłych dowódców reichswery, którzy w spotkaniach z nową władzą państwową zmuszeni bywali raczej do powściągania uczuć.

– Co tam się dzieje!? Dlaczego nie możemy przełamać tych kurników!

– Przepraszam – wymamrotał Stumpff – widocznie nie mam dobrych meldunków. Poprawię...

– Bronią się jeszcze dwa potężne schrony na górze, koło Narwi – ciągnął Braubach. – Choć otoczone, blokują szosę ogniem.

– Dziwię się w takim razie – Stumpff próbował zmienić ton – że nasza dzielna Brygada „Lötzen” nie może przyjść z pomocą, obchodząc linie wroga.

– Polacy spalili most pod Strękową Górą – powiedział oberst Gall. – Nie możemy przekroczyć bagien i rzeki.

– Więc jeszcze nie zbudowaliście własnego?

– Ponieważ oddaliśmy wszystkie środki do przeprawy i pionierów do dyspozycji Dziesiątej Dywizji – odparował Gall.

Guderian podniósł rękę. Był zły. Powiedział:

– Panowie, nie tylko nasze plany, ale całe założenia naczelnego dowództwa walą się w gruzy. Jeśli zaraz nie zdobędziemy tej pozycji, Polacy zdążą odejść z łuku Narwi i Wisły, a potem wycofać się głęboko na wschód. Nasz sąsiad, korpus generała Falkenhorsta, przełamuje wprawdzie front, ale nie zdoła wyprzedzić odwrotu przeciwnika. To korpus piechoty, my jesteśmy taranem uderzeniowym.

– Być może po prostu cackacie się z Polaczkami – mruknął Leo von Schweppenburg. – Zagrozić im... ostrymi konsekwencjami za uporczywe i szaleńcze stawianie oporu! To nie romantyka, tylko wojna! Niech się poddają albo zdychają!

– Z meldunków wywiadu wynika, że broni się przed nami szkoła podoficerska z Osowca. Ludzie z oddziałów Korpusu Ochrony Pogranicza, które w Polsce były formacjami elitarnymi – odezwał się Thormann.

– Wezwaliśmy ich już do poddania – mruknął Stumpff.

– Z jakim skutkiem?

– Odrzucają wszystkie propozycje.

– Panowie, grozi nam blamaż nie tylko w sztabie Grupy Armii Północ, ale też u panów z OKH, nie mówiąc o tym, że może dojść do kwatery samego Führera. Przy natarciu na linie Polaków stwierdzam szereg błędów taktycznych wynikających z nieumiejętnego wykorzystania środków walki

w niesprzyjającym terenie. Po pierwsze, fatalna praca pionierów z Dziesiątej Dywizji, którzy do tej pory nie ukończyli mostu. Po drugie, kompletny brak współdziałania czołgów i artylerii przeciwpancernej z piechotą, która sama z karabinami rzucona została na ciężkie schrony przeciwnika. Jedynie czołgi są w stanie przerwać zasieki i strefy ognia wroga, zbliżyć się do umocnień, żeby ostrzelać schrony i umożliwić podejście saperom w celu wysadzenia bunkrów. Każdy atak zaś powinien być poprzedzony ogniem artylerii w celu zniszczenia kopuł pancernych i stanowisk cekaemów.

Guderian wstał.

– To, co wam mówię, pozostanie między nami – powiedział. – Jesteśmy wszyscy jednym zbrojnym ramieniem naszej drogiej Rzeszy. Dlatego rozkazuję za wszelką cenę przełamać ostatnie punkty oporu pod Górą Strękową – powiedział tę nazwę tak płynnie po polsku, że aż von Schweppenburg uniósł brwi ze zdumienia. – I w związku z tym udzielam panu, generale Stumpff, nadzwyczajnych pełnomocnictw w sprawie postępowania z przeciwnikami. Bądźmy mężni, ale też bezlitośni.

Uniósł rękę.

– Panowie, przysięgam na mój żołnierski honor, że jeśli Polacy się nie poddadzą i w dalszym ciągu będą stawiać beznadziejny upór, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności za złośliwość i niehonorowe postępowanie! Zostanie im wymierzona sprawiedliwość!

– Za pozwoleniem, panie generale, nasi ludzie są bardzo zmęczeni – powiedział Thormann. – Natarcie należy odłożyć do jutra do południa.

– Proszę upoważnić dowódców oddziałów sanitarnych Dziesiątej Dywizji – powiedział Guderian do milczącego Walthera Nehringa, szefa sztabu – do wydania żołnierzom

podwójnej porcji pervitinu, chyba że ktoś woli naszą czołgową czekoladę.

– Tak jest! Wykonuję w pierwszej kolejności.

– Panowie, dziękuję. – Guderian sam pierwszy wyciągnął rękę do Stumpffa. – Oczekuję od pana brutalnego pokazu siły.

– Będę silny, panie generale.

– Niech pan bierze przykład z Führera – wtrącił Braubach. – Pozwalam sobie przypomnieć panu generałowi słowa wodza, które wygłosił do nas, oficerów, trzy tygodnie temu: zniszczenie Polski jest na pierwszym planie! Zadaniem naszym jest zniszczenie żywych sił nieprzyjaciela, a nie dotarcie do określonej linii. Nawet gdyby wojna wybuchła na Zachodzie, zniszczenie Polski musi być zasadniczym celem. Ważną rzeczą w wojnach jest nie prawo, lecz zwycięstwo. Nie miejcie litości! Bądźcie brutalni!

– Zastosuję się w pełni do tej wykładni – powiedział zdenerwowany Stumpff, salutując. Jego prawa ręka, wyprężona przy daszku czapki, zadrżała. Kiedy wychodził, zacisnął ją w pięść.

Guderian, Thormann, adiutant dowódcy i Nehring zostali sami. Major pochylił się nad stołem, śledził naniesione pozycje wojsk.

– Popełniasz błąd, zgadzając się na takie sposoby działania – powiedział. – Ostatecznie Polacy spełniają swój obowiązek żołnierski tak samo jak my.

– Coś ci pokażę – mruknął Guderian i skinął na Braubacha. – Proszę wprowadzić tego strzelca.

– Miejscowy Niemiec, folksdojcz – powiedział generał, gdy adiutant wyszedł. – Podobnie w sumie jak ja. Powie ci sam, co tu się działo.

Wszedł młody, szczupły, ciemnowłosy mężczyzna w mundurze strzelca i w polowej furażerce. Zasalutował,

strzelił obcasami.

– Gefrajter Paul Replinski – przedstawił go Braubach. – Przydzielony do plutonu motocyklistów ochrony sztabu. Miejscowy, zna teren.

– Proszę powiedzieć moim kolegom, jakich metod używali Polacy w rejonie Wizny, zanim pojawiła się tutaj armia niemiecka.

– Panie generale, stosowany był terror. Każdy, kto był podejrzany o sprzyjanie Rzeszy albo choć posiadał gazety niemieckie, był aresztowany, bity i zamykany. Mój ojciec Maks Repliński został rozstrzelany za to tylko... że czuł się Niemcem. Taki sam los spotkał wielu innych gospodarzy. Henryka Choudiego, Guntera Schabowskiego. Mojego tatę rozstrzelał kapitan Raginis, ten sam wściekły Polak, który dowodzi Polakami na linii umocnień.

– Męstwa mu nie brakuje – odezwał się Thormann. – Proszę, zwykły polski kapitan zatrzymał korpus pancerny.

– I dlatego musimy jak najszybciej go złamać! Jeszcze dziś! Powiedzcie, co wam wiadomo o tym Raginisie.

– Jest oficerem formacji zwanej Korpusem Ochrony Pogranicza. Elitarna i fanatyczna formacja, ślepo wierząca prawdom głoszonym przez Piłsudskiego. Coś jak nasze SS, panie generale. Zawodowi oficerowie i kadra podoficerska. Dobrze uzbrojeni w broń maszynową. Raginis nie jest stąd, urodził się w Dyneburgu, na Łotwie. Kiedyś to było polskie miasto.

– Faktycznie, Heinz, całkiem jak ty w Chełmnie!

– Potem rodzice przenieśli się do Wilna, ponoć uciekli w dwudziestym roku, kiedy bolszewicy usiłowali zdobyć miasto. To rodzina zaciekłych patriotów, takie są najgorsze, Polacy ze Wschodu. Całe życie z bronią. Opowiadali, że jego ojciec walczył z czerwoną Rosją w ramach samoobrony wileńskiej.

– Dziękuję, możecie iść. Składam wam wyrazy uznania za akcję propagandową osłabiającą morale przeciwnika. Róbcie tak dalej!

Repliński zasalutował i odmaszerował, nieco spocony.

– Widzisz, Günther? Słyszałeś jego słowa?

– Ojciec naszego gefrajtra był zwykłym dywersantem. No to dostał kulę. Tak samo robiliśmy w wielką wojnę w Belgii. Jeśli pozwolisz, żeby żołnierz zachowywał się niezgodnie z regulaminem, narażasz na szwank dyscyplinę. Nagle armia przeistacza się w bandę łazików, jak... wojska Ober Ostu w osiemnastym roku. Sam chyba pamiętasz!

– Tchórzysz, mówisz jak Stumpff! Tak samo jak on boisz się Polaczków siedzących w błocie?! Paru cekaemów?

– Mam Krzyż Żelazny. – Thormann chwycił przypięte do piersi odznaczenie. – Prawdziwy, bez swastyki w środku. Dostałem go za zabicie trzech Francuzów saperką w okopie i uratowanie batalionu. A jutro udowodnię ci, że wcale się nie zmieniłem od tamtego czasu. Dopilnuję wykonania twoich rozkazów. Zdobędę własnymi rękami dwa ostatnie schrony!

– Ja też mam kaiserowski Krzyż Żelazny! – obruszył się Guderian. – A poza tym zakazuję ci tego! Masz zostać przy sztabie!

Mierzyli się nad stołem wściekłymi spojrzeniami.

– Upraszam o uwagę – odezwał się oberst Nehring. – Panowie, musimy wysłać raport do grupy armii. Co mam napisać względem opóźnienia planów?

– Że opóźnienie wynika z ciężkiego, bagnistego terenu i możliwości postawienia tylko jednego mostu. Dodajcie, że Polacy opuszczają stanowiska po ostrzale artylerii. A ich dowódca, ten cały Raginis... – Guderian zamyślił się. – Dodaj, że został zastrzelony przez własnych wystraszonych żołnierzy. Za

sto lat historycy napiszą, że nie był to koniec godny bohatera, prawda?

Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 23.11

– Polacy, poddajcie się, jesteście otoczeni. Przygotowujemy atak lotniczy. Jak długo jeszcze możecie się bronić? Po co? Wasze dowództwo uciekło, cała armia wycofała się za Białystok. Nawet was nie zawiadomili. Po cóż siedzieć? Wywieście białą flagę, respektujemy prawa jeńców. Czeka tu na was ciepła zupa!

– Repliński, skurwysynie, stul paszczę! – zaryczał Subota. – Nie mogę, no zupełnie nie mogę. Próbowałem go zmacać z kopuły, ale odsunęli się – jęczał. – Szczekaczka jest na samochodzie, poza zasięgiem.

Szwabska tuba propagandowa nie dawała spać. Co chwila czuwających przy strzelnicach żołnierzy oślepiały światła reflektorów przesuwające się po zrujnowanych ścianach schronu. Wydobywały z mroku dziwnie nierzeczywisty obraz okolicy. Pofalowane, poszarpane od wybuchów zbocze wzgórza, pozbawiony osłony prostokąt schronu, szare ściany wydawały się jak z dykty pomalowanej wapnem.

– Kapitanie Raginis! – zadudniła szczekaczka. – Na co pan liczy? Myśli pan, że będziecie polskimi Termopilami? Chce pan ginąć bez sensu, niech pan sam strzeli sobie w łeb, ale po co ciągnąć za sobą niewinnych żołnierzy?! Polacy, dowództwo was zdradziło! Pozbądźcie się oficerów i wyjdźcie z białą flagą.

Nie można było spać. Przed wieczorem odparli jeszcze jeden atak. Po nim kolejny ostrzał artylerii, po omacku. Raginis, leżący na pryczy w bandażach, ranny, pokrwawiony, nie wiedział, czym w ogóle oddychali w schronie przesyconym

smrodem spalonego prochu, gorącem wrześniowego dnia i pyłem z betonu.

Teraz powoli, ostrożnie sięgnął po wieczne pióro. Na stole obok miał naszykowany kawałek papieru. Nie władał dobrze lewą ręką, więc przygryzł zębami skuwkę, aby odkręcić ją z obsadki. Trzymał pióro nieporadnie w palcach prawej ręki, przycisnął do papieru, aby napisać pierwsze słowa. Chciał adresować je do Zofii, choć powinien do Leokadii. Jednak nie zrobił tego. Nagle poczuł pustkę na sercu. Odłożył pióro i pomacał lewą kieszeń. Była porwana i pusta. Obrączki znikły!

Ze łzami w oczach zakręcił pióro i opadł na posłanie. Nie miał do kogo pisać, został mu tylko ból i... ten ostatni schron.

---

9 *Schnell!...* (niem.) – Szybko! Naprzód! Ruszać się!

10 *Kommt einzeln heraus!* (niem.) – Wychodźcie pojedynczo!

11 *Keine Tricks!...* (niem.) – Żadnych sztuczek! Mamy granaty!

12 *Pollacken! Pollacken!* (niem.) – Polaczki! Polaczki!

13 *Ihr Äser!* (niem.) – Wy ścierwa!

14 *Guck mal...* (niem.) – Patrz, pełzają jak karaluchy!

15 *Das ist der Kommandant!* (niem.) – To jest dowódca!

16 *Er ist nur...* (niem.) – To tylko więzień! Zostawcie go w spokoju!... Chodź! Chodź!

NIECH ŻYJE RZĄD ROBOTNICZY I WŁOŚCIAŃSKI

Warszawa, NIEDZIELA 10 WRZEŚNIA 1939 r.

ROBOTNIK

CENTRALNY ORGAN P.P.S.

PROLETARJUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!

Wydawca: Rada Naczelna P. P. S.

ROK XLVI.

OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ.

NIECH ŻYJE SOCJALIZM!

Cena numeru 10 groszy

KONTO CZEKOWE W P. K. O. 175

Cena numeru 10 groszy

Warszawa broni się i obroni się!

ODPARLIŚMY pierwszy atak na Warszawę

Atak nocny na Warszawę z soboty na niedzielę

został odparty

Zdobyliśmy kilka czołgów i wzięliśmy dużo jeńców. Są to chłopcy hardzo zmęczeni, podnieceni sztucznie i wyraźnie pozbawieni wiary w słuszność sprawy, o którą się krwawią. Postawa wojska i ludności jest bez zarzutu.

Sprawa Polski sprawą honoru świata

Oświadczenie premiera Chamberlaina

Radio londyńskie donosi:

Dziś o g. 9 rano premier Wielkiej Brytanii Chamberlain oświadczył przez Radio: Hitler proponuje Wielkiej Brytanii i Francji pokój

za cenę Polski

Odrzucamy tę „ofertę" z pogardą

Sprawa POLSKI jest sprawą

Rozdział VIII

Wizna umilkła

21 X 1950, gdzieś w kwaterze Zarządu Informacji Wojskowej, godzina 3.03

Pokój, do którego go wprowadzili, a właściwie zawlekli, był prawie ciemny, rozświetlany tylko przez jedną jaskrawą lampę, skierowaną na pokryty plamami stołek. Kiedy zmusili go, by usiadł, poraziło go światło, jakby przez głowę przeszedł

prąd elektryczny. Kolejny raz był oślepiony, po dłuższym pobycie w karcerze, gdzie zaczynał już nawet oswajać się ze szczurami. W sumie okazywały się milsze niż zmieniający się co chwila śledczy pełniący obowiązki polskich oficerów.

Ręce miał we krwi, połamane palce. Bili listwami, deską, sadzali na stołku, stara sowiecka szkoła, nawet SS-mani z SD za okupacji nie byli tak brutalni. Znów taka sama sytuacja: dwa bambry za plecami, a jeden z przodu, za biurkiem zawalonym aktami. Wbity w mundur oficerski, zupełnie do niego niepasujący – oblicze jak wyrżnięte sowieckim sierpem. Była to jednak jakaś odmiana po poprzednich oprawcach – wszystkich chudych, czarniawych i śniadych. Po tych wszystkich Mośkach i Srulach, paradujących w mundurach jak na pokaz, z wężykami na kołnierzu, którzy przyjechali na czołgach prosto z Moskwy pięć lat temu. Ich rozkazy wykonywały z kolei toporne parobczaki, którym ludowa władza dała etat, kursy pisania i belkę na pagony.

– Wiesz, w czyich rękach się znajdujesz? – zagadał śledczy. – To już nie Urząd Bezpieczeństwa. Urząd to sanatorium. Jesteś w rękach kontrwywiadu wojskowego!

– Wiem dobrze. Na Mokotowie – powiedział więzień – mówili pocztą pantoflową, że nazywacie się porucznik Kiszczak.

– W takim razie sami zobaczcie, jak gówniana była ta cała wasza sanacyjna armia. Proszę, podpułkownik Władysław Raginis, wileńska brygada AK, a teraz w rękach zwykłego porucznika władzy ludowej. Pacierz umiesz?

– Umiem.

– Na kolana i mów! Śpiewaj!

Posłusznie klęknął na taborecie, wyciągając przed siebie pokaleczone ręce. Ciało prawie go nie słuchało. Od razu zresztą, ledwie schylił głowę, dostał po niej pałką, a może nogą od stołu

od jednego z tych, co czekali z tyłu. Spadł twarzą w posadzkę, ale nie poczuł bólu. Przypadli bliżej, kopali go, bili...

Nagle ustało wszystko. Zobaczył, że ktoś zrzuca porucznika Kiszczaka z krzesła. Mocny cios, czerwony oficerek poleciał na bok, padł na posadzkę całkiem jak przed chwilą podpułkownik Raginis. A jego miejsce zajął niemiecki wojskowy. Generał Heinz Guderian.

– Kapitanie, poddajcie się, nie macie szans. Oszczędzicie sobie kłopotów. Nawet w naszej niewoli nie będziecie tak traktowani jak przez tego tu... On nawet nie jest żołnierzem!

Wyciągnął rękę do Raginisa. A wtedy ktoś chwycił kapitana za ramię z drugiej strony. Obrócił się i zobaczył smutne oblicze swego ojca.

10 IX 1939, Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 7.05

– Panie kapitanie! – Porucznik Zawadzki szarpał Raginisa za zdrowe ramię. – Panie kapitanie! Co mamy robić?

Dowódca leżał blady jak trup, pokrwawiony, bo ciągle miał miejsce upływ krwi z lewego ramienia. Ale otworzył oczy.

– Niemcy?

– Niech pan posłucha...

Szczekaczka znów wyła na pełnych obrotach, waliła po uszach z bliska, aż słychać ją było niemal w każdym kącie schronu.

– Polacy, poddajcie się! Jesteście otoczeni. Za upór zapłacą wasi koledzy i przyjaciele. Dowództwo wydało rozkaz: jeśli będziecie strzelać dalej, wszyscy wasi jeńcy zostaną rozstrzelani! Kapitanie Raginis, czy nie żal panu oficera

Schmidta, podporucznika Puzynowskiego? I innych podoficerów? Ich życie zależy od pana! Żołnierze, nie dajcie się prowadzić na śmierć. Wywieście białą flagę, inaczej będziecie zmiażdżeni!

– Pomóżcie mi wstać! – warknął Raginis. – No dalej, panie Zawadzki, daj mi rękę!

Podniósł się, blady i pokrwawiony, powoli wziął w dłoń pistolet, zrobił pierwszy krok, drugi.

– Żołnierze, wasi oficerowie uciekli, rząd wyjechał z Warszawy, w tej chwili nasze wojska przeprowadziły pierwszy udany atak na stolicę – dudnił megafon. – Zostaliście sami, opuszczeni, bez rozkazów. Poddajcie się jak najszybciej!

– Ja was nie zostawiłem! – zawołał Raginis. – Dość tych kłamstw. Na stanowiska! Strzelać krótkimi seriami. Krew naszych biorę na siebie!

– Nie mogę! – zajęczał Subota. Nagle oderwał się od strzelnicy flankującej wejście, skoczył do korytarzyka, w tej chwili nie było tam nikogo, odsunął rygle i wypadł na zewnątrz.

– Subota! – rozdarł się plutonowy. – Natychmiast wracaj.

Uderzenie wstrząsnęło całym schronem. Celowniczy przy lewej południowej strzelnicy zajął się histerycznym wrzaskiem.

– Trafili! Trafili mnie! Pomocy.

Na pomoc rzucił się Biegański, otworzył drzwi, złapał cekaem, tylko po to, żeby go zaraz wypuścić. Strzelnica była zdemolowana, a broń pogięta, rozwalona, starszy strzelec leżał, trzymając się za zakrwawioną rękę, a taśmowy wyglądał na ogłuszonego.

– Straciliśmy cekaem! – zameldował, a potem chwycił opatrunek i próbował zatamować krew uchodzącą z ramienia starszego strzelca.

Kolejne uderzenie – teraz w kopułę pancerną; dziwne, że jeszcze wytrzymała. Łoskot spadającego obserwatora.

Kolejne strzały, krzyki, łzy. Trzęsą się ściany, znów wstaje biały opar z cementu, sypią się kamienie ze szczelin i pęknięć. Nie daje się oddychać.

– Niemcy! Widzę pierwszych. Idą! Przygotować się!

– Krótkimi seriami. Ogień dowolny.

Ostatni lewy cekaem zaniósł się ogniem, zabił mocno równym stukotem serii. Położył i zmusił do mocnego i gwałtownego padnij Niemców podchodzących zboczem od południa, przeskakujących od leja do leja, z wykrotu do wykrotu.

Odpowiedzieli ogniem, podciągnęli bowiem blisko własne MG, niewiele jednak mogli zrobić – pociski odbijały się od betonowych, pełnych pęknięć i wgłębień ścian, tłukły bezsilnie w strzelnice.

Odgryzał im się zajadle cekaem z południowej komory, erkaem ze strzelnicy koło wrót wejściowych, wychylony maksymalnie w lewo, bo występ muru ograniczał pole ostrzału.

Wnętrze schronu znów pełne było dymu, zawiesistego, duszącego, okropnego. Nikt już na to nie zważał. Przez ten poprzedni dzień wszyscy, jakby stali się diabłami, nauczyli się oddychać siarką, kordytem, betonem i stalą.

– Polacy – grzmiała szwabska szczekaczka – wasi koledzy są już prowadzeni na rozstrzelanie. Pożegnajcie ich, to wasza...

Nagle coś trzasnęło, dźwięk zabuczał, rozlazł się w falę, która niknęła w chaosie strzałów, i zgasł. Mało kto zwrócił na to uwagę.

– Saperzy! – krzyknął Słoma.

– Gdzie?!

– Jeden na godzinie czwartej, przemyka się!

Zawadzki przygryzł wargi, spojrzał na Raginisa, który ledwie trzymał się na ławie.

– Erkaem na górę!

– To śmierć!

– Kto pójdzie? Kto?

Porucznik rozglądał się po stłoczonych w komorze dowodzenia żołnierzach. Nie widząc ochotników, podniósł z podłogi browninga.

– Raz kozie śmierć! Ja pójdę!

– Zabiją pana!

Zawadzki skoczył do korytarzyka, wspiął się po klamrach, jęcząc z bólu, był wykończony, ledwie wciągał za sobą ważący dziewięć kilo karabin. Ktoś pomógł mu na ostatnich szczebelkach, podepchnął, porucznik zobaczył umorusaną twarz Biegańskiego.

– To ja... pomogę.

– Dawaj na górę.

Kopuła obserwacyjna nie była przystosowana do prowadzenia ognia, miała wyłącznie pojedyncze szczeliny, poszczerbione i poszarpane przez pociski. Brakowało jarzma i podstawy dla ciężkiej broni. Nie było żelaznych przesłon przeciwodłamkowych. A jednak porucznik dźwignął erkaem, wystawiając lufę przez okienko na wschód, zmrużył oczy, wodził lufą po dymiącym i poszarpanym pobojowisku dokoła schronu.

– Gdzie? Gdzie ten saper!

– Blisko! – krzyczał ktoś. – W stronę rzeki! Bardziej!

Zawadzki nacisnął za spust, wypruł serię strzałów, które szarpały bronią; trudno uznać je za celne, kiedy erkaem trzymany w ręku dygotał i szarpał się, uderzał w ramię. Walił do okopu, do poszarpanych lejów obok, do skraju wzgórza opadającego ku ruinom wioski. Wszędzie, gdzie mógł ukrywać się przeklęty Niemiec, jak pająk skradający się do schronu z wybuchową paczką trotylu.

Nagle zobaczył cień, prawie na skraju szczeliny. Obrócił erkaem, wciskając spust, wypruł ostatnie pięć nabojów, do wyczyszczenia magazynka.

Saper poderwał się i...

Nie rzucił. Trzask! Ktoś strzelił z bliska, trafiając go w rękę. Niemiec schował się równie szybko, jak się pojawił. Nie rzucił.

Zawadzki wyciągnął erkaem ze szczeliny, obrócił się do Biegańskiego.

– Nic już nie widzę, oczy wysiadają, zobaczcie wy, co się dzieje!

Nikt jednak nie strzelał, nikt nie podchodził do bunkra. Strzelec wyjrzał, przycisnął dosłownie głowę do żelaznej ściany.

– Też nic nie widzę.

Nagle ktoś uderzył w pancerne drzwi. Zgodnie z sygnałem – trzy razy, przerwa, jeszcze raz.

– Tu Subota! – zajęczał. – Wpuszczajcie, nie poznajecie?!

– To on, on sam! – rzucił Słoma, który miał stanowisko przy strzelnicy flankującej wejście. – Co robić?

– Wpuśćcie go!

Szczęknęły rygle, drzwi odsunęły się na chwilę. Subota dołem przeskoczył, właściwie przeturlał się przez próg. Pokrwawiony, w porwanym na strzępy mundurze.

Ledwie wskoczył, pociski z MG uderzyły z trzaskiem w betonową ścianę schronu, załomotały o ciężkie wrota.

Subota wstawał, potem przeciskał się do komory dowodzenia. Stanął na baczność przed ledwie żywym Raginisem.

– Panie kapitanie, melduję wykonanie rozkazu. Zastrzeliłem skurwysyna! Tego przy szczekaczce, Replińskiego! Nie będzie już wył po nocach.

– Dziękuję. Spocznij. Dajcie mu wody – odpowiedział Raginis. – Co widać? Kopuła?

– Niemcy się cofają – krzyczał Biegański. – Odchodzą od schronu.

– Opuścić stanowiska! Zamknąć strzelnice! Szykujcie się na ostrzał. Obserwatorzy, zejść z góry!

Znów ruch i gwar, jęki rannych, ścieśniali się w komorach, opierając się o ściany, wciskając w załomy, poprawiając hełmy.

Artyleryjska nawała nie następowała. Na pozycji zapanowała cisza; nic, żadnego dźwięku, nawet motoru, okrzyku, rozkazu.

I nagle Słoma, który ciągle zerkał przez strzelnicę na tylne przedpole, zagwizdał. Dosłownie, przez zęby.

– Panie kapitanie! Cud to chyba, ale Niemcy... Poddają się!

– Jak to?

– Widzę białą flagę.

– Poloki – doszedł głos – nie strzelać. Mam posłanie! Wiadomość do waszego dowódca! Dajcie podejść bliżej.

Raginis skinął głową.

– Niech przyjdzie. Żadnych sztuczek. I nie otwierać drzwi.

– Możecie podejść!

Zza ogromnego nasypu, właściwie leja po wybuchu bomby, wygramolił się mężczyzna w czarnym mundurze pancerniaka, w czapce polowej, w ręku trzymał białą flagę. Uczynił kilka kroków i zatrzymał się niepewnie. Głupio było tak stać prawie przed strzelnicami uzbrojonego po zęby, chociaż okaleczonego schronu.

– Mów, co masz do przekazania!

– Jeśli wasz oficer nie podda schronu, wy i wszyscy jeńcy z tego odcinka zostaniecie rozstrzelani za opór. Oto ostatnia szansa!

Raginis, wsparty na ramieniu Zawadzkiego i Suboty, przecisnął się do otworu.

– Tutaj kapitan Raginis. Słuchajcie uważnie! To wbrew zwyczajom wojennym! Wbrew prawu międzynarodowemu!

– Nie poradzę, *Herr Hauptmann*[17]. Rozkazy zostały już wydane.

Cisza, długa cisza. Raginis przetarł nieogoloną twarz, zarastającą jasnym zarostem. Rozmazał na policzku trochę krwi z ramienia. Wyglądał w tej chwili jak trup, jak upiór, ostatni pan tego zrujnowanego schronu bojowego. W zakrwawionym, pokrytym bandażami mundurze, z pistoletem w ręku, w hełmie, który nałożył, wstając.

Spojrzał po swoich, po młodym, brudnym obliczu Biegańskiego, po zasępionym, nieludzko zmęczonym Zawadzkiego. Ukrywającym myśli – Suboty, wymizerowanych, pokaleczonych – Słomy, Domalewskiego, Pancera.

– Proszę o pół godziny czasu do namysłu! – wycharczał.

– Tak jest. – Niemiec spojrzał na zegarek. – Jest za dwadzieścia jedenasta. Czekamy do dziesięć po.

– Odmaszerujcie!

Kapitan spojrzał na porucznika Zawadzkiego.

– Proszę za mną! Na chwilę.

Chciał iść, ale już nie mógł, przewracał się, więc musieli go powstrzymać. Jednak wyrywał im się, wyszarpywał z rąk, aby zatrzymać się przed drzwiami do komory amunicyjnej. Sięgnął do środka, odrzucił wieko skrzynki z granatami, wyciągnął jeden – gładką kulę z pierścieniem na środku. Ścisnął go w dłoni i podniósł w górę w rozdygotanej osłabieniem ręce.

– Dam Niemcom dobrą odpowiedź! – wycharczał. – Jedyną, jaką jeszcze możemy. Złożyłem przysięgę, że nie opuszczę tej pozycji. A więc tu zostaniemy!

Ktoś jęknął, westchnął.

– O Jezu. Jezuuuu!

– Koniec z nami!

Biegański poczuł w żołądku paskudny, przejmujący chłód.

Komora dowodzenia, obiekt GG-126, godzina 10.55

– Żołnierze, spełniliście obowiązek z honorem. – Głos kapitana był smutny i cichy, słyszeli go tylko dlatego, że Niemcy nie strzelali, a w schronie panowała cisza. Słuchali z otwartymi ustami, niektórzy ściskając dłonie w pięści, żeby nie było widać ich drżenia. Inni przeciwnie, rozkurczając je i składając jak do modlitwy. – Rozkazuję wam wywiesić białą flagę. Opuścicie schron bez broni i pasów. Zwalniam was od dalszej walki.

Teraz, kiedy zapadła decyzja, na którą niektórzy czekali niemal od wczoraj, odpowiedzią była wcale nie radość, ale rozpacz, niedowierzanie. Opuszczali głowy, żegnali się, zdejmowali hełmy. Siadali na betonie, odkładając broń.

– Jak to tak? – zapytał bezradnie Biegański. – Jakże to teraz będzie?

– Pójdziemy do niewoli – powiedział plutonowy.

– Zdjąć broń, pasy, hełmy, włożyć czapki – komenderował porucznik Zawadzki. – Niech Niemcy zobaczą, że wy wojsko, nie jakieś... jakieś łachudry.

Urwał, w oczach pojawiły się łzy.

Żołnierze zdejmowali pasy, odkładali broń, ktoś z wściekłością zaczął walić kolbą karabinu o ścianę. Walił i walił, póki nie pękła. Plutonowy patrzył obojętnie, wyciągnął bowiem z bluzy pogniecioną fotografię żony i dzieci, pocałował ją, oglądał, trzymał w dygocących dłoniach jak skarb. Raginis patrzył na to pustym wzrokiem.

– Subota, idźcie wywiesić flagę.

– Dlaczego ja?

– Bo rozkazuję!

Komora dowodzenia, obiekt GG-126, godzina 11.01

Generał Guderian zeskoczył ze stopnia samochodu, jeszcze kiedy ten był w ruchu, przebiegł z rozpędu kilka kroków i prawie podbiegł do miejsca, gdzie kroczył Braubach i patrol trzech sanitariuszy, dźwigających nosze z rannym.

– Jak natarcie? Co z ostatnim schronem?

– Prowadzimy rozmowy. Polacy dostali czas do namysłu. Chyba się poddadzą.

– Stójcie!

Generał podszedł do noszy, pochylił się nad nimi ze zmartwiałym, zesztywniałym obliczem, całkiem jakby uszła z niego krew, szybkość i życiowa siła. Na noszach leżał prawie nieruchomy, blady major Günther Thormann.

– Kto pozwolił? Wołajcie dowódcę pułku!

– Pan major nie słuchał żadnych rozkazów. Musiał być przy ataku, koordynował ogień pepanców i karabinów maszynowych.

– Jak to się stało?

– Pan major wszedł na samochód z megafonem, żeby zobaczyć pole walki. Dostał postrzał. Były dwie kule, jedna zniszczyła aparaturę, druga przebiła płuco.

– Żyje?

– Ciężki postrzał w pierś, panie generale – zameldował sanitariusz. – Jedziemy na punkt opatrunkowy. Doktor już tam jest!

– Dawajcie go! Uważajcie, weźcie mój wóz.

Guderian szedł obok noszy, ujął bladą rękę Thormanna i uścisnął ją lekko.

– Musisz żyć! – wyrzucił. – Ja ci każę! Chociaż jesteś głupcem, złamałeś mój rozkaz! Ty... trzymaj się, stary Prusaku!

Skurcz przebiegł przez męską, pociągłą twarz rannego, poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie miał sił. A może chciał się uśmiechnąć...

– Panie generale – Braubach przyskoczył do Guderiana – melduję, że Polacy wywiesili białą flagę. Poddają się. Co mamy z nimi zrobić?

Heinz Guderian przygryzł wargi. Był blady, był wściekły. W tej jednej chwili, w tych okolicznościach mógł wydać tylko jeden jedyny rozkaz. I zrobił to!

Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 11.15

Wychodzili pojedynczo, jeden za drugim, opuszczając schron, który prawie stał się grobowcem. Bez pasów, bez broni. Wszyscy, którzy przeżyli, ci zapisani we wspomnieniach. I ci, o których zapomniała historia. Domalewski, telefonista. Operator radia, za nim strzelec Słoma z zabandażowaną ręką. Łącznik Seweryn Biegański, Marcin Subota. Pancer, inni. Rannych podtrzymywano. Na koniec porucznik Jan Zawadzki.

Biegański długo zdejmował oporządzenie, szarpał się z pasem, z rozprutymi ładownicami, ściągał hełm, sprawdzał po kieszeniach, czy wziął wszystko. Poprawił polówkę na głowie, jakby żałując, że nie ma lustra, odłożył karabin, z którego wcześniej wyjął zamek.

I odwrócił się do leżącego na pryczy kapitana.

– A pan?

– Idź, Sewek – powiedział łagodnie Raginis. – Po mnie będą musieli tu przyjść. Idź, nie bój się. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Uszy do góry! I pamiętaj. Pamiętaj, powiedz innym, że... że przysięgałem. I nie zostawiłem was. Powiesz?

– Tak jest, panie kapitanie!

– Idź!

Już tylko dwa, cztery, pięć kroków. Z komory dowodzenia do korytarzyka, do pomieszczenia przeciwgazowego. Przesadzić wysoki próg i... Na zewnątrz czekał krzyk, wściekłe oblicza Niemców, broń wymierzona w obrońców, wykrzywione, brudne, zabłocone gęby. Boże, jak oni musieli się czołgać, nurzać w błocie, szukając ucieczki przed kulami obrońców Wizny. Dopiero teraz widać było porozrywane mundury, gałęzie powtykane za hełmy, za pasy. Niektórzy, powalani ziemią, wyglądali jak jakieś poczwary. Budzili śmiech, który gasł na widok opuszczonych luf schmeisserów i mauserów.

– Gdzie dowódca? Gdzie Raginis?! – darł się podoficer.

I nagle wychodzący ze schronu Biegański poczuł jeszcze w drzwiach, jak od tyłu uderzył w niego gorący podmuch. Usłyszał stłumiony huk, pusty grom za sobą. To mógł być tylko wybuch granatu w środku!

– *Raus! Schneller! Schneller!*[18] – rozdarli się Niemcy. Któryś padł na ziemię, inni poczęli tłuc jeńców kolbami, popychać, szturchać lufami, żeby tylko jak najszybciej zbiegli ze wzgórza.

Za nimi pozostawał samotny, poobijany, pokryty bliznami i ranami ostatni schron kapitana Raginisa. Z dymem unoszącym się przez strzelnice i otwory kopuły obserwacyjnej.

Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 11.17

Leżał obolały, szarpany cierpieniem jak trup. Niewiele już dzieliło go od grobu.

To już był koniec. Obejrzał się na spoczywającego na pryczy porucznika Brykalskiego. Pokiwał głową.

– Przysięgaliśmy. Ty dotrzymałeś, kolej na mnie. I tak nie mam po co wracać.

Podniósł rękę z granatem, wyszarpnął zębami zawleczkę, odgiął łyżkę, położył go sobie na piersi.

Pomyślał, że Niemcy będą go bić, znieważać po drugiej stronie betonowej ściany. I uśmiechnął się.

– Nie dostaniecie mnie!

Przymknął oczy. Czekał... Czekał... Czekał...

Bardzo długo.

Góra Strękowa, pozycje wojsk niemieckich koło szosy, godzina 11.34

– Dołączcie tych Polaków do pozostałych – rozkazał Guderian. – Nie robić im krzywdy, powstrzymajcie naszych. Niech wiedzą, że niemiecki żołnierz ma honor i przestrzega prawa.

– Tak jest! Dawajcie ich!

Pędzili załogę ostatniego schronu obok generalskiego samochodu, pokrwawionych, poranionych, utykających. Gnali ich krzykiem i groźbami w stronę Wizny, do mostu, do przeprawy. Guderian odprowadził ich wzrokiem.

– A gdzie kapitan Raginis?

– Jest w schronie! Ranny! Wynoszą go.

– No to jedziemy! Jedziemy!

Na górę było tylko jakieś trzysta metrów. Ostatni odcinek okazał się nie do przebycia, nawet dla sześciokołowego terenowego wozu Kruppa. Przez zryty pociskami teren generał musiał przejść na piechotę. Dopiero kiedy stanął przed schronem, który wyrastał z porytego gruntu jak wielki czworokątny grzyb, żołnierze ostrzegli go okrzykami.

– Panie generale! Polak nie żyje! Był wybuch!

– Melduję eksplozję granatu – powiedział feldfebel, który wynurzył się z ciemnego wejścia. – Kapitan zginął. Jego zastępca również.

– Wpuśćcie mnie do środka.

Wewnątrz czuć było spaleniznę, siarkę i krew. Guderian nie zatkał jednak nosa. Przeszedł próg, korytarz, stanął przed komorą dowodzenia. Nie wszedł tam. Popatrzył na szczątki Raginisa, na leżące ciało porucznika Brykalskiego.

– Zostawcie mnie samego!

Żołnierze wycofali się z szacunkiem, a wówczas mimowolnie ręka Guderiana powędrowała w górę, do daszka ozdobionej żółtym sznurem i niemieckim orłem czapki.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Rozkazuję nie ruszać ciała. Zostawić wszystko, jak jest! Zamknijcie drzwi i zablokujcie je. Niech leży, nie mamy czasu. Wojna zapewniła mu godny grobowiec.

Gdy wsiadał do samochodu, zawołał jeszcze Braubacha.

– Niech pamięta o odpowiednich raportach do dowództwa grupy armii. Proszę wysłać meldunek prosto do generała von Salmutha z wieścią o przełamaniu linii Wizny. Nasze straty pomniejszyć. Napisać, jak mówiłem, że Polacy uciekli, opór był krótki, a Raginisa... Cóż, zabili go jego właśni żołnierze.

Zanim wsiadł, poprawił czapkę na głowie, jakby wracając myślami do ceremonii tam, w schronie.

– Po co on walczył? – powiedział. – Nie miał szansy obronić Wizny przed nami. Sam bym czegoś takiego nie dokonał!

Wsiadł i dał znak do rozpoczęcia jazdy. Kiedy podskakujący na wybojach i mielący silnikiem na wysokich obrotach samochód wtoczył się na szosę, rozległ się metaliczny pogłos silników czołgowych. Ruszały pierwsze kompanie lekkie pancernego pułku 10. Dywizji Pancernej. Czołg za czołgiem, samochód za samochodem. Z brzękiem gąsienic, z szumem

rozpędzanych motorów. Wychyleni z wieżyczek dowódcy w czarnych mundurach salutowali sztywno wyprężoną ręką „szybkiemu Heinzowi", a ich oczy utkwione były w zakurzonej dali polskich dróg, obramowanych potrzaskanymi, okaleczonymi wrześniowymi lasami.

Z metalicznym trzaskiem za kapitanem Władysławem Raginisem zamknęły się drzwi schronu w Górze Strękowej. Na wieki.

Góra Strękowa – Sulin – Wizna, godzina 13.11

Pędzili ich najpierw jak bydło podniszczoną drogą do mostu przez Sulin. Cały czas krzyki: *Raus! Raus!* chłostały ich po karkach i plecach jak baty. Dopiero przed mostem Niemcy pozwolili zwolnić, ustawili jeńców w czwórki i przewieźli ich pontonami na drugą stronę.

Most ciągle nie był gotowy. Armatni ostrzał nieboszczyka Brykalskiego zrujnował poprzedniego dnia połowę roboty pionierów. Teraz znów setki żołnierzy rozebranych do białych koszul trudziło się przy przeciąganiu bali i krawędziaków, mocowaniu ich i przybijaniu poręczy. Patrzyli na to wszystko znieruchomiałym wzrokiem. Po dwóch dniach walki w schronie człowiekowi jest już wszystko jedno.

Potem prowadzili ich naokoło Wizny, w ulicę Długą, ogrodzoną drewnianymi płotami, zabudowaną z obu stron domami, z których tylko nieliczne były murowane.

Koło takiego właśnie domostwa z czerwonej cegły, z trzema okrągłymi okienkami na strychu zapędzili ich w bok, przez dziurę w rozwalonym płocie na niewielkie podwórko.

– *Setzt euch! Setzt euch!*[19] – mówili Niemcy uspokajająco, pokazując na ziemię.

Więc zmęczeni, pokrwawieni żołnierze siadali tak, jak weszli. Kopista obok strzelca z ósmej kompanii, łącznik obok cekaemisty. Znalazł się chleb, niedaleko była kuchnia polowa, starszy Niemiec chodził, rozdawał grube pajdy, niektórzy od razu wzięli się do jedzenia.

Nic jednak nie było za darmo. Inny Niemiec – młody, uśmiechnięty i z wyszczerzonymi zębami – chodził z aparatem, robiąc zdjęcia. Mrużył oczy, wysunął z oprawy obiektyw Zeissa i raz za razem przymierzał się do fotografii. Zrobił jedną, stojąc pod ścianą drugiego budynku, i przymierzał się do kolejnej, z drogi, chcąc uwiecznić niemieckich żołnierzy stojących nad jeńcami, kiedy podoficer rozkrzyczał się nagle i przyskoczył do porucznika Zawadzkiego.

– *Wo ist er?* – ryknął, pokazując coś po zachodniej stronie, gdzie było kolejne podwórko i stodoła. – *Der große, blonde?*[20]

– Nie wiem... *Ich weiß nicht* – tłumaczył bezradnie porucznik.

– *Er ist entkommen! Hurensohn! Ihr Schweine! Pollacken!*[21]

– Patrzcie, nie ma Suboty! – wykrzyknął Słoma.

– Przeskoczył płot i nawiał! Zwiał im! – mówił Pancer.

– Po cośmy się poddawali! Trzeba było do śmierci... Jak kapitan.

Nagle wrzask Niemca przeszedł w ryk, wykrzyknął rozkazy do swoich. Dwóch skoczyło za płot, wpadło do sąsiedniej zagrody, pod stodołę, szukając zbiega. Reszta rzuciła się na jeńców. Chleb wytrącano im z rąk na ziemię, bijąc ich, potrącając kolbami.

– *Aufstehen! Aufstehen! Raus!*[22]

Znów wyzwiska i krzyki, teraz eskorta była wściekła. Pędzili ich dalej, ulicą Krótką w stronę rynku, a jak się zaraz okazało, w stronę kościoła, który stał nieuszkodzony, stracił tylko od podmuchów część gotyckich sterczyn na fasadzie. Mijali z lewej

i z prawej strony ruiny domów, wypalone chałupy, rozbite żydowskie sklepiki.

Przed kościołem stał kordon żołnierzy z karabinami w dłoniach. I sporo Polaków – głównie kobiety z dziećmi, z chlebem i miskami, z wiadrami zupy w dłoniach. Jedna kłóciła się z podoficerem, rozmawiała, tłumaczyła coś na migi. A mała dziewczynka z warkoczykami upiętymi pod berecikiem, chyba jej córka, stała pod dzwonnicą, spoglądając przerażonym wzrokiem na to, co stało przy żelaznym ogrodzeniu.

To była beczka bez wieka. Kiedy zajrzeli do niej z góry, zobaczyli człowieka, mężczyznę w mundurze, ledwie wystającego ponad krawędź, z oficerskimi epoletami, ze znajomą twarzą, w czapce polowej. Był bez nóg, sam korpus i ręce, jak oszalały miotał się w beczce, patrząc przekrwionym wzrokiem na dziewczynkę.

– Chodź, dziecko! – jęczał. – Chodź mnie zabij! Weź mnie zabij! Zabij mnie! – krzyczał, szarpał się, wyciągając ręce. Młody, elegancki za zwykłego życia. To był dzielny oficer, podporucznik Puzynowski z ósmej kompanii.

Zawadzki postąpił w jego stronę, ale Niemiec kolbą wpędził go do szeregu. Gnali ich dalej, pod same drzwi kościoła, coraz bardziej oddalała się ta scena, wprost nie do zapomnienia. Beczka z oficerem bez nóg pod dzwonnicą i patrząca na to wszystko przerażona dziewczynka...

Wepchnęli ich do chłodnego wnętrza kościoła. Zatrzasnęli ciężkie drzwi. W środku był tłum, zwykłych Polaków, mieszkańców Wizny. I innych żołnierzy, rozbitków. Do Zawadzkiego podskoczył znajomy podoficer – kapral Władysław Pawlak, do ostatka broniący dolnego schronu w Górze Strękowej. Zasalutował.

– Melduję, że poddaliśmy placówkę po wystrzelaniu wszystkich nabojów i wysadzeniu drzwi przez nieprzyjaciela.

– Spocznij – odpowiedział porucznik. – Spełniliście obowiązek.

– A kapitan? Jest z wami?

– Raginis nie żyje. Rozerwał się granatem, wierny przysiędze, którą przed nami złożył.

– Panie poruczniku, co teraz będzie?

– Pytajcie Niemców. Nie rozstrzelają, to chyba rzecz pewna. Zawiozą do oflagu. Szykujcie się na nowe życie. Jeńca.

– Po cośmy się poddali – jęknął kapral. – Trzeba było jak kapitan. Tylko... Nie starczyło sił.

Wizna, godzina 13.34

Subota przesadził kolejny płot, wpadł na podwórze, rozglądając się za jakimś ubraniem. Pozbył się już mundurowej bluzy, ze stracha na wróble stojącego przy grochu zabrał podszytą wiatrem, dziurawą marynarkę. Została mu tylko wojskowa koszula oznaczona stemplami, spodnie, które zawsze były przykrótkie, i buty – proste czarne trzewiki podbijane ćwiekami od spodu, a także brązowe owijacze do nich. Wszystko wydane z rezerwy ósmej kompanii, bo pięknych saperek z cholewami, jakie nosili żołnierze KOP-u, nie było w magazynie, kiedy się zgłosił do wojska. Jednak to właśnie buty mogły go zdradzić, koszulę wpuścił w spodnie, ale trzewiki były prostym znakiem żołnierza.

Zatrzymał się zatem przy stodole i nagle zamarł. Ktoś patrzył na niego. Sporawy chłopak, podrostek, trzynaście albo czternaście lat. O wygolonej głowie, poważnej minie, jakby go chciał aresztować. W mundurku, który też przypominał żołnierski.

Subota mrugnął do niego przyjaźnie, rozplątał owijacze, zdjął trzewiki i... po prostu zostawił pod stodołą.

Boso, tak jak stał, wyszedł na ulicę, zamykając za sobą furtkę. Chłopak patrzył, jakby zdziwiony, odprowadzał go wzrokiem niczym świętego, na szczęście nie krzyczał ani nie wzywał starszych. Subota pomachał mu ręką i poszedł, po prostu poszedł – ulicą na północ.

Po chwili chłopak poleciał za nim, podbiegł do płotu i wyjrzał. Zobaczył, jak tamten doszedł do domu Szymanowskich, gdzie była studnia i... Niemcy. Już go zatrzymywali, już kiwali, otaczali.

Chłopiec nie patrzył dalej, bo dziwnie zaczęło go szczypać pod powiekami. Odwrócił się, podbiegł do stodoły, chwycił buty i owijacze, a potem wbiegł do środka, przeszedł przez gumno z tymi wojskowymi trzewikami, po czym wyszedł tylną furtką na pola i pobiegł, ale tylko kawałek. Rzucił buty daleko w ziemniaki, żeby nie znaleźli ich Niemcy.

Wracał powoli, zdyszany. I wówczas od strony zagrody Szymanowskich doszedł go stłumiony strzał.

14 IX 1939, Góra Strękowa, obiekt GG-126, godzina 18.13

Samochód zatrzymał się na dole, u podnóża wzniesienia, przy pierwszych zrujnowanych i spalonych chałupach Góry Strękowej. Wysiadło pięciu Niemców, jeden został przy wozie, czterech ruszyło na górę, wspinając się mozolnie po ostrym zboczu, wciąż poznaczonym śladami po detonacjach artyleryjskich pocisków.

Szli do schronu na górze, do grobowca kapitana Raginisa. Na czele szczupły, ciemnowłosy gefrajter, już z dystynkcjami SS. Za nim pozostali – zwykli podoficerowie Wehrmachtu. Starannie omijali niewybuchy, zapadali się w dołach, bo ściemniało się już i było grząsko.

Pancerne drzwi były jak zamurowane, nie mogli ich ruszyć. Na szczęście jeden z nich zauważył wyjście zapasowe – ciągle otwarte. Powoli wpełzali do środka, jeden za drugim.

Nikt nie wiedział, co tam robili, a obserwowały ich zza krzaków czujne, niewidoczne oczy.

Coś szczęknęło, trzasnęło. I nagle Niemcy zaczęli wynurzać się z bunkra. Znów, tak jak wchodzili, jeden za drugim. Stali koło schronu, otrzepywali się. Słychać było ich wesołe głosy, śmiech.

– Aleś go załatwił, Paul! – powiedział wesoło feldfebel. – Aleś zostawił Polaczka!

– Za moją krzywdę, za rodzinę! – mruknął Repliński. – Musiałem to zrobić. Nie mogłem ścierpieć, że za to wszystko, co zrobił, będzie tu sobie leżał w spokoju, w ciszy. O nie!

– Dawajcie szybciej, jeszcze amunicja wybuchnie!

Ruszyli w dół stoku, pozostawiając samotny, pokaleczony bunkier z ciałami Polaków.

Ledwie zniknęli, coś poruszyło się w krzakach. Wyszedł stamtąd starszy mężczyzna w czapce, za nim dreptały dzieci. Stefan Szubowski, sołtys ze wsi. Odmieniony i postarzały przez te kilka dni, od czasu gdy jeszcze nocował u niego kapitan Władysław Raginis.

Chciał podejść do schronu, ale nagle rozległ się trzask, jeden, drugi, trzeci! Coś waliło, wybuchało, strzelało w środku. Mężczyzna skulił się, złapał za głowę.

– Uciekajcie, dzieci! – krzyknął. – Jeszcze któregoś trafi!

Był późny wieczór, prawie noc, kiedy mężczyzna odważył się wrócić i zajrzeć do schronu z latarką. Długo się tam kręcił, szamotał, wreszcie pojawił się w otworze i zaczął się przeciskać na zewnątrz. Oblicze miał poważne.

– Skurczybyki! – powiedział do czekających dzieci. – Skurczysyny! Kapitanowi włosy podpalili. Zemścili się. A tak spokojnie sobie leżał na podłodze, piersi miał wyrwane. A ten porucznik to na pryczy, głowę miał w bandażach. Ale widać, że ranny, a już... trup.

I nagle łzy pociekły po jego twarzy.

– Trzeba go pochować – powiedział sąsiad, Marian Czyżewski, który też stał obok. – Zaraza będzie albo co.

– Najpierw trzeba iść do Niemców spytać o pozwolenie. Zrobimy to!

15 IX 1939, Góra Strękowa, godzina 10.56

Gdziekolwiek by uciekał, tam wyrastały złowrogie postacie. Z widłami, z siekierami, ze sztachetami z płotów. Kręcił się jak zbity pies po drodze przechodzącej przez zrujnowaną, spaloną wieś. Chciał uciekać, ale gonili za nim, otaczali go – wszyscy tutejsi, sam sołtys Szubowski, Czyżewski, Śledziewski, ich synowie, córki, dzieci i inni gospodarze.

Wieś była wściekła, uderzała zabójczo, ścigała i osaczała uciekiniera jak borsuka w polu. Zdyszany, pokrwawiony, kręcił się w kółko, niski, krępy, przygruby i wąsaty. W ręku trzymał czarne wojskowe oficerki.

– To ty skurwysyn! – powiedział przez zęby Szubowski. – Ty naszemu kapitanowi buty zzuł, tak?!

– Ja nie chciałem! Nie no, przecie zmarłemu już niepotrzebne! – Złodziej pluł śliną i dygotał.

– Co z nim zrobić? – zapytał Czyżewski.

– To Lawendowski, z Maliszewa. Niedaleko – mruknął ktoś.

– Skąd by nie był. Zabić, swołocz! Utłuc, bo to w tamtą wojnę nie wieszaliśmy złodziejów?

Podniósł się krzyk, rwetes. Ludzie rzucili się na rabusia, spadły na niego widły, pałki, grabie, deski, kułaki, buty, dzieci przyskakiwały z kamieniami – nie było jak rzucić.

Szubowski złapał Lawendowskiego za kołnierz, wywlekł z tłumu, rzucił w błoto, powstrzymał kopniakiem, by nie wstawał.

– Co z takim robić?

– Niemcom oddać!

– Zamknąć w baraku, co został po żołnierzach.

– Ludzie! – załkał obwiniony. – Zlitujcie się. Ja swój! Znacie mnie! Z głodu... Z głodu to wszystko.

– Oddamy cię Niemcom. Oni cię, kurwa, prześwięcą...

– Za co? – krzyknęła jedna z bab. – Jednak to swój, z Maliszewa.

– Jasne, że swój! Darujcie! – szlochał Lawendowski. – Ja te buty kapitanowi na powrót wzuję. Przysięgam na Święty Krzyż, na Najświętszą Panienkę! Tylko nie wydawajcie!

– Puścić go! – powiedział ktoś. – Niech idzie w cholerę jasną, skąd przyszedł.

– Buty niech odda! Niech zaniesie do bunkra.

Złodziej kiwał spazmatycznie głową, unurzany w błocie, zakrwawiony, unosił do góry ciągle czarne i czyste oficerki kapitana.

– To idź – splunął sołtys. – Idź i nie wracaj. A jeśli nie oddasz, to cię znajdę. Gromada, bierzecie go na sumienie!

Lawendowski podnosił się wolno, szedł skulony, potem uciekał jak zając, prosto do schronu. Do grobu.

– A prawdę mówiąc, trzeba wreszcie pochować naszego kapitana – powiedział Szubowski. – Mam papier od Niemców, zgadzają się. Kto pomoże?

– Ja – zgłosił się Piotr Śledziewski.

– I ja – podniósł rękę Marian Czyżewski. – Przecież żołnierzy naszych też pochowaliśmy. Jego dawno już trzeba było.

I pochowali kapitana razem z porucznikiem kilka dni później. Niedaleko, pod samym progiem schronu, wyciągnęli ich ciała, złożyli w kwadratowy grób wyścielony żołnierską pałatką, bez trumny. Raginisa, który miał piersi rozerwane granatem. Włosy spalone i ciało poranione. I porucznika Brykalskiego z głową przebitą odłamkiem. Niedługo jednak mieli spokój pod ziemią.

17 X 1939, gospoda w Kiermusach, godzina 18.15

Wytoczyli się z karczmy więcej niż trochę pijani. Najpierw Hassel, po nim Repliński. Była okazja, urodziny tego ostatniego, pozostali mieli służbę, pili więc tęgo u starego Żyda, strasząc go pistoletami i żądając coraz to wymyślniejszych zakąsek.

Potem wytoczyli się do samochodu, zwykłego, przemalowanego na czarno fiata zarekwirowanego jakiemuś Polakowi. Hassel długo mamrotał i szamotał się za kierownicą, próbując uruchomić auto. Na próżno. I za wolno!

Trzask! Nagle przednia szyba pokryła się siatką pęknięć. Paul zamarł, najpierw nie wiedział, co się dzieje, potem zesztywniał, prawie wytrzeźwiał, kiedy wszystko do niego dotarło.

Hassel leżał na kierownicy, a po zegarach, po wskaźnikach spływała jego krew. Ktoś z zewnątrz wpakował mu kulę prosto

w łeb!

Więc Paul schylił się, nacisnął łokciem klamkę i wysunął się, właściwie wypadł koło stopnia samochodu. Wymacał w kaburze walthera, ale wtedy przypomniał sobie, że na tylnym siedzeniu leży schmeisser.

Sięgnął za przedni fotel, odnalazł znajomą lufę, pociągnął, ale zaczepił o coś, chyba o obicie. Szarpał się chwilę, prostował i zginał, zanim wyszarpnął broń; już wiedział – za wolno!

Obrócił się, klękając na jedno kolano, tam, gdzie wyczuwał zagrożenie. Jego prześladowca był obok – potężna, wysoka, mroczna postać; wcale się nie krył.

Paul podniósł schmeissera i... Dostał kulę, jeszcze zanim odnalazł i nacisnął spust. Odrzut pchnął go na schodek auta, Repliński zjechał po nim plecami, osunął się, na wpół leżał przy samochodzie, palcami prawej ręki ciągle gmerał wokół pistoletu. Ostatkiem sił wyszarpnął walthera i...

Zobaczył wpatrzone w siebie blade, wściekłe, złe oczy. Oczy wilka.

– Za co? – wyjęczał. – Za co?

– Za kapitana!

Subota strzelił mu w łeb, blisko, z przystawienia prawie, aż drobinki prochu padły na zakrwawione oblicze SS-mana. Repliński opadł jeszcze bardziej, głowa zsunęła się na ziemię, ciało zadygotało.

Kłusownik pochylił się, trzasnął zapałką, podpalił i osmalił włosy tamtego.

– Smaż się w piekle za wszystko!

Odszedł szybko, chowając ulubioną Luśkę pod płaszczem. Zniknął w jesiennym, cichym, złotawym polskim lesie, który go wchłonął, przykrył i osłonił, jak czynił to zawsze.

Koniec

17 *Herr Hauptmann* (niem.) – panie kapitanie

18 *Raus!...* (niem.) – Ruszać się! Szybciej! Szybciej!

19 *Setzt euch!...* (niem.) – Siadajcie! Siadajcie!

20 *Wo ist er?...* (niem.) – Gdzie on jest? Ten wysoki, blondyn?

21 *Er ist entkommen!...* (niem.) – Uciekł! Skurwysyn! Wy świnie! Polaczki!

22 *Aufstehen!...* (niem.) – Wstawać! Wstawać! Won!

Wojna polska 1939 roku cały czas budzi nasze zainteresowanie, a historycy spierają się co do przebiegu bitew, bojów i potyczek. Co sprawiło, że ponad dwadzieścia lat po odzyskaniu niepodległości społeczeństwo polskie zdobyło się na tak gigantyczny wysiłek militarny i stawiło czoła potędze III Rzeszy i Związku Radzieckiego?

Wychowanie patriotyczne budowane na etosie powstania styczniowego, odzyskanej po stu dwudziestu trzech latach niepodległości i wygranej wojny polsko-bolszewickiej skutkowało tym, że wielu dobrze rokujących młodzieńców chciało wstąpić do wojska i bronić Ojczyzny. Mundur kojarzył się z Polską, z symbolem odzyskanej wcześniej niepodległości, był wyznacznikiem nadziei i dumy z bycia Polakiem.

Młody Władek zapewne pamiętał Wojsko Polskie pod Dyneburgiem w 1920 roku. Może wtedy sam zapragnął dołączyć kiedyś do walecznych rycerzy, którzy pierwsi stanęli przeciwko czerwonym hordom wojny polsko-bolszewickiej? Może właśnie wtedy żołnierze rozpalili w nim ogień nieugaszony – pasji i pragnienia dołączenia do społeczności herosów? Nie mając pojęcia, co wtedy się stało, oczami wyobraźni widzimy młodego Władka z błyszczącymi oczami i poważnego kapitana Władysława Raginisa spod Wizny, który przysięga, że albo obroni pozycję, albo żywy jej nie opuści.

Z całą pewnością podchorąży Raginis nie przypuszczał, że w Szkole Podchorążych Piechoty w Komorowie przejdzie jedną z najtwardszych lekcji w swoim życiu, żeby później, już jako oficer Korpusu Ochrony Pogranicza, stanąć na czele pododdziału pod Wizną.

Zgłębiając historię odcinka, poznajemy fakty, możemy zbadać miejsca i zweryfikować wcześniej zdobyte wiadomości. Ale w tym wszystkim brakuje barwnych opisów zwykłego żołnierskiego życia, normalnych zachowań ludzi, z których niewielu przypuszczało, że to ich ostatnie lato na tym świecie. Czytając powieść Jacka Komudy, nie tylko przeniesiemy się w czasie i założymy mundur polskiego żołnierza, ale także poznamy barwne opisy przedwojennego dworu i szacunku, jakim darzyło się polskiego oficera. Być może zapragniemy posłuchać szumu wiatru w Górze Strękowej i dotknąć zimnych kamieni schronu dowodzenia? Historia jest ciekawa, ale w analizie faktów i badań terenowych nie można poznać dyskusji, których nikt nie rejestrował. Nie ma emocji pola walki, niełatwych decyzji i uczucia, jakie towarzyszy człowiekowi, który zdaje sobie sprawę z nadchodzącej śmierci. Poczujcie to wszystko i przenieście się ponad osiemdziesiąt lat wcześniej.

Może nawet w tych wydarzeniach i zachowaniach odnajdziecie siebie samych?

Po „Hubalu” i „Westerplatte” pozycja obowiązkowa dla pasjonatów historii, ale nie tylko. Powieść wciągająca, łamiąca utarte schematy i barwna. Wojsko, wojna i obowiązek obrony tego, co mamy najcenniejsze – wolności i niepodległości. Poznajcie opowieść o walecznych żołnierzach spod Wizny, którzy obowiązek i honor cenili ponad własne życie.

Stowarzyszenie „Wizna 1939”

BITWA POD WIZNĄ

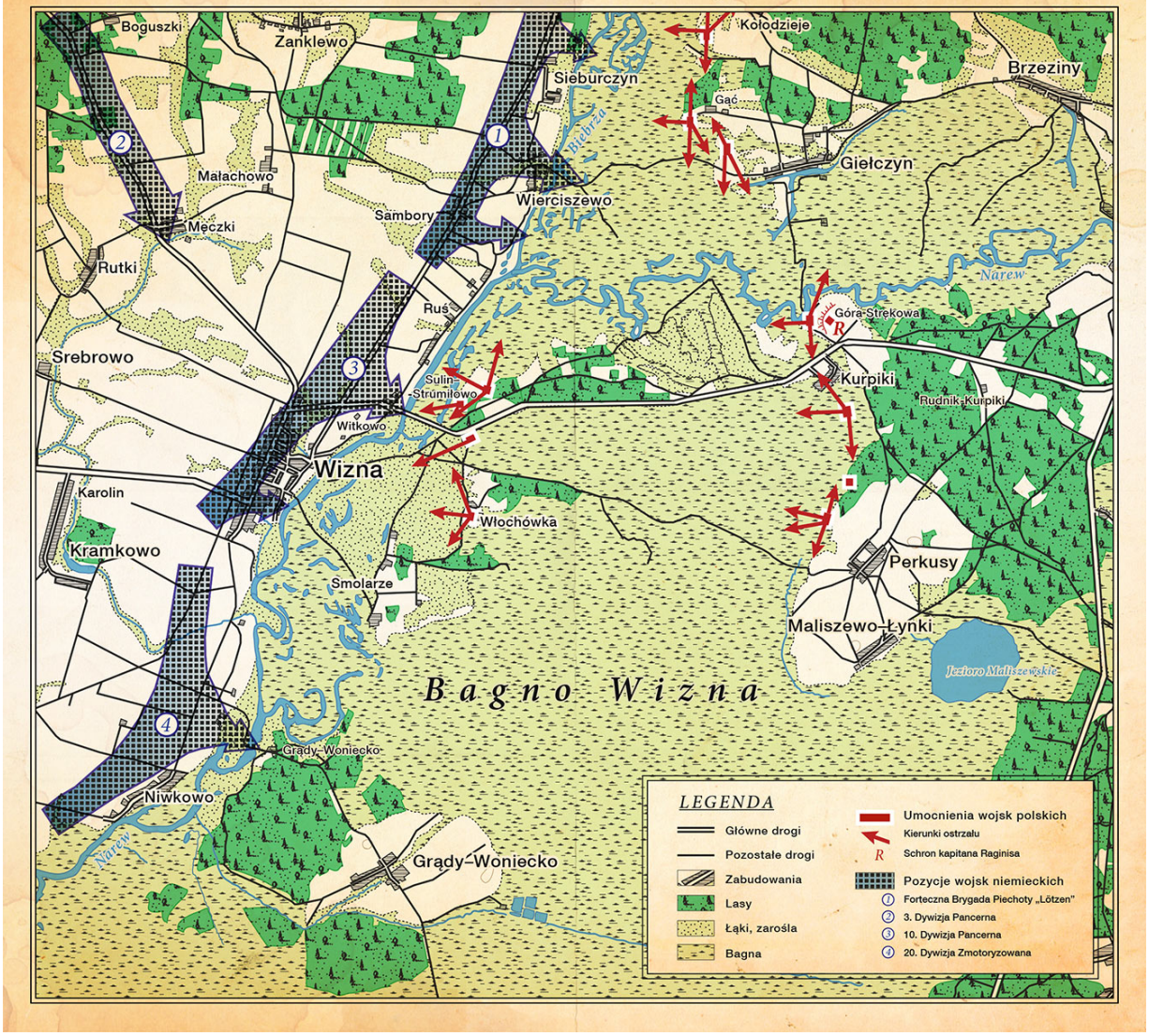

HIPOTETYCZNY SCHEMAT SCHRONU RAGINISA W GÓRZE STRĘKOWEJ GG-126

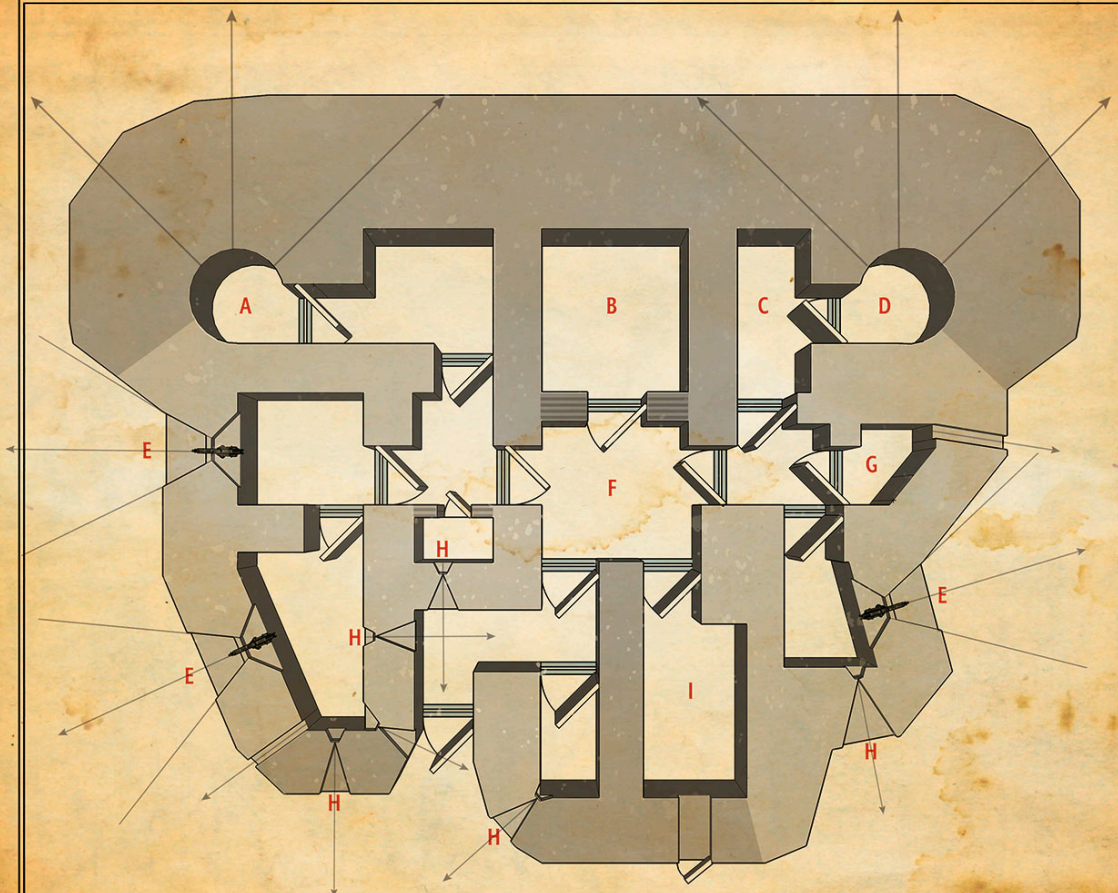

A - kopuła obserwacyjna
B - komora dowodzenia
C - komora punktu sanitarnego
D - niedokończona kopuła obserwacyjna
E - stanowiska karabinów maszynowych
F - sypialnia
G - komora amunicyjna
H - otwory strzelnicze
I - maszynownia

Książki Jacka Komudy wydane

Opowieści z dziejów Polski:

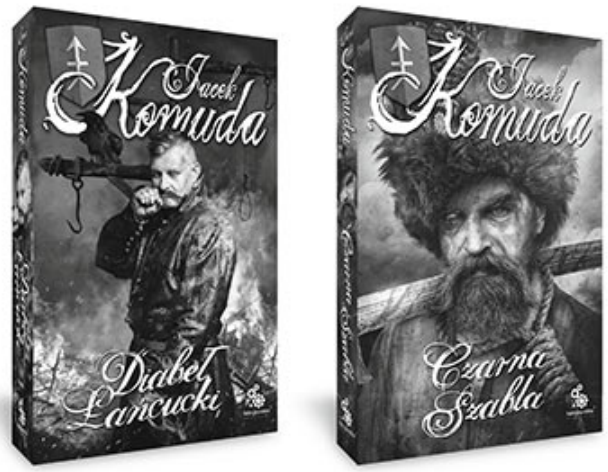

Wilcze gniazdo
Opowieści z Dzikich Pól
Bohun

Czarna szabla
Diabeł Łańcucki

nakładem Fabryki Słów

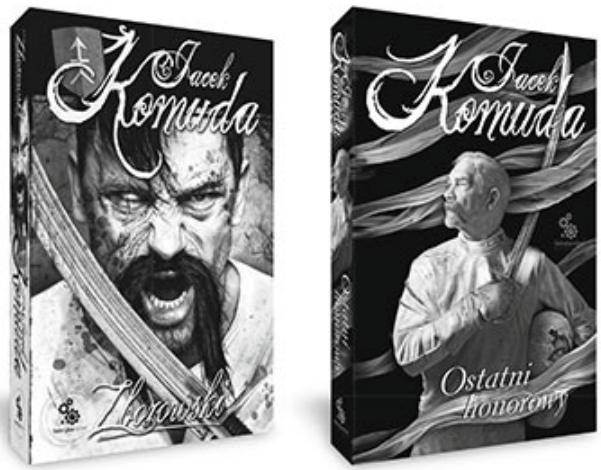

Galeony Wojny
Banita
Krzyżacka zawierucha

Zborowski
Ostatni honorowy

Orły na Kremlu

Samozwaniec – tom 1
Samozwaniec – tom 2
Samozwaniec – tom 3
Samozwaniec – tom 4

Moskiewska ladacznica – tom 1

Jaksa

Jaksa
Jaksa. Bies idzie za mną

O Piratach

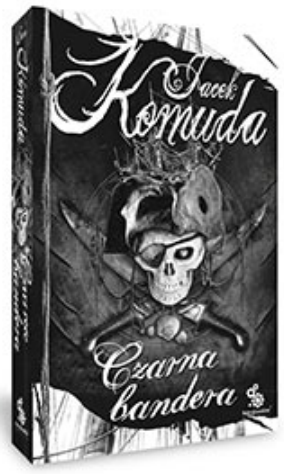

Czarna bandera

Chwała polskiego oręża

Hubal
Westerplatte
Wizna

Dzieje François'a Villona

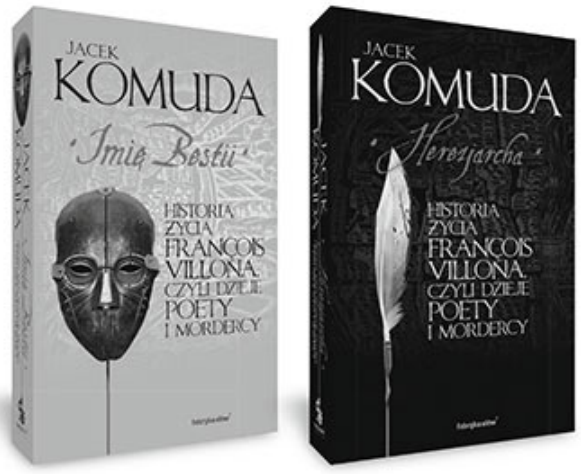

Imię Bestii
Herezjarcha

Copyright © by Jacek Komuda, Lubliin 2020
Copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2020

Wydanie I

ISBN 978-83-7964-617-3

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt i adiustacja autorska wydania
Eryk Górski
Robert Łakuta

Grafika oraz projekt okładki
Dark Crayon

Opracowanie okładki
Szymon Wójciak

Mapy
Szymon Wójciak, Paweł Zareba

Zdjecia na stronach 7, 139, 423, 450
Archiwum Stowarzyszenia „Wizna 1939”

Zdjecia na stronach 59, 99, 213, 299, 369
Narodowe Archiwum Cyfrowe

Redakcja
Dorota Pacynska

Korekta
Magdalena Byrska

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Sprzedaż internetowa

Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

Wydawnictwo
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow/

Jacek Komuda

Zawodowy pisarz i historyk. Autor licznych powieści historycznych. Otrzymał stypendium Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznawane w ramach konkursu na scenariusz filmu historycznego.

Wierny prawdzie, nie stroni od brutalnych, mocnych kart historii. Wskrzesza dawne obyczaje, postaci, zapomniane miejsca. Najważniejszym celem, jaki sobie stawia, jest przybliżenie i spopularyzowanie wśród czytelników historii Polski. Wiedząc, jak bardzo najnowsze dzieje wpływają na ocenę bieżących wydarzeń i podejmowanie ważnych decyzji, Komuda zajął się historią Polski XX wieku. *Hubal* – powieść opowiadająca o losach legendarnego zagończyka i dowódcy majora Henryka Dobrzańskiego, który nie złożył broni we wrześniu 1939 r., oraz *Westerplatte* – powieść o bohaterskiej obronie półwyspu, nie przeszły bez echa.

Wizna – to kolejny ważny tekst w twórczości Komudy.

Polskie Termopile 1939 roku.

Załoga odcinka **Wizna**. Dwie kompanie piechoty w kilku betonowych schronach. Sześć dział. Mniej niż 700 żołnierzy.

przeciwko 40 tysiącom niemieckiego korpusu pancernego generała Heinza Guderiana.

. . .

Tak rozpoczyna się desperacka walka do ostatniego naboju, ostatniej kropli krwi. Walka **kapitana Władysława Raginisa**. dowódcy, który przysiągł, że żywy swej pozycji nie opuści.

„Po *Hubalu* i *Westerplatte* pozycja obowiązkowa dla pasjonatów historii, ale nie tylko. Powieść wciągająca, łamiąca utarte schematy i barwna. Wojsko, wojna i obowiązek obrony tego, co mamy najcenniejsze – wolności i niepodległości. Poznajcie opowieść o walecznych żołnierzach spod Wizny, którzy obowiązek i honor cenili ponad własne życie".

Stowarzyszenie „Wizna 1939"

fabrykaslow.com.pl

ISBN 978-83-7964-588-6

9 788379 645886

Wyłączny dystrybutor

DRESSLER

facebook.com/fabryka